



KOTKA
I GENERAŁ
NINO HARATISCHWILI

Najnowsza powieść autorki

Ósmego życia



NINO HARATISCHWILI

K O T K A
I G E N E R A Ł

TEUMACZENIE URSZULA POPRAWSKA


OTWARTE
KRAKÓW 2019

*Śpij, syneczku mój jedyny,
Luli, synku mój.
Księżyc roni blask swój siny
Na policzek twój.
Zacznę ci ja bajać baśnie,
Piosnek tryśnie zdrój,
Ty przymknąwszy oczki –zaśnij,
Zaśnij, synku mój.*

*Płynie Terek w bystrym biegu,
Z szumem mętnych fal,
Wróg zaczął się na brzegu,
Ostrzy swoją stal.
Lecz twój ojciec zaznał wojny,
Wie on, co to bój.
Śpij, maluśki, bądź spokojny,
Śpij, syneczku mój.*

*I ty poznasz byt wojaka,
I przywykniesz doń;
Śmiało wskoczysz na rumaka,
W rękę chwycisz broń.
Ja siodełko twe przystroję
W ściegów barwny zwój...
Śpij, dzieciątko moje, moje,
Śpij, syneczku mój.*

Michał Lermontow, *Kołysanka kozacka*,
przełożył Leonard Podhorski-Okołów
(w: tenże, *Wybór poezji*, Wrocław 1972, s. 87–88)

*Autorka dziękuje za wsparcie Fundacji im. Roberta Boscha i
Akademii Kultury Tarabya.*

PROLOG: NURA

1994/NURA

Spojrzała na niebo. Przez szczelinę w grubej kołdrze chmur prześwitywał boleśnie jaskrawy krąg. Wydało jej się, że gdyby dostatecznie długo wpatrywała się w jego oślepiającą biel, zobaczyłaby rozżarzone kości. W końcu musiała odwrócić wzrok, a wtedy chmury w okamgnieniu zasłoniły słońce. Wisiały tak nisko, że zepchnęły mgłę do wąwozu.

Przechodząc przez rynek, widziała pogardę w oczach starych, przypominających jaszczurki kobiet, szedł za nią ich zły szept, paliły ją lepkie, jadowite spojrzenia. Na pewno znów gadają, że pokazuje się bez chusty na głowie.

Mgła wylewała się z wąwozu, ciężko i cicho wpełzała do wsi, wsysając wszystkich i wszystko w swą przepastną paszczę. Trudno było rozpoznać człowieka stojącego o krok.

Ta mgła i wilgotne zimno sprawiały, że ludzie stawali się bardziej nerwowi, przewrażliwieni, a atmosfera we wsi, i bez tego napięta, robiła się trudna do zniesienia. Kobiety krzątające się koło gospodarstwa starały się chodzić na palcach, a mężczyźni, zamyśleni i tajemniczy, zbierali się małymi grupkami w pokojach na tyłach domów.

Zima miała się wkrótce wdrzeć w górski wąwóz ze zwykłą dla tej okolicy bezwzględnością. Mieszkańcy przygotowywali się do niej, szykowali się na mroźne noce pełne gwiazd i lodowate poranne wichry. Ale było jeszcze coś innego: wisiało w powietrzu, a raczej wkraadało się między ludzi, a ona nie potrafiła tego nazwać, nie znała niczego podobnego, czuła tylko, że atmosfera nie wróży nic dobrego. Lecz nie chciała tak jak inni poddać się troskom i lękom. Chciała jak co roku z radością czekać na pierwszy śnieg, chciała z małą Asmą urządzać bitwy na śnieżne kule i jeździć na sankach, mimo wyrzekań matki, że takie zachowanie nie przystoi młodej kobiecie,

chciała poczuć skrzyp śniegu pod nogami, strząsać białą śnieżną kołderkę z zielonych jak mech cienkich gałęzi jodeł i śmiać się przy tym nie wiadomo z czego, po prostu tak jak zawsze.

W końcu to nic nowego, że starsi szepczą za jej plecami, piorunując ją wzrokiem. Zna to, przywykła. Teraz też, mimo zmrożonej atmosfery, mimo trudnego do nazwania zagrożenia wiszącego w powietrzu, nie przestraszy się, nie zwiesi głowy. Po mąkę zamówioną przez matkę pójdzie do młyna tą samą drogą co zwykle. Wystarczy, że na chwilę przymknie oczy i przywoła głos Natalii Iwanowny, strofujący ją: „Cóż to za postawa?! Czy tak chodzi dumna mieszkanka Kaukazu? Wyprostuj plecy! Zgarbiona kobieta nigdy nie osiągnie tego, czego pragnie! O tak, jak balerina z Teatru Wielkiego, tak jest! A więc jednak się da! Doskonale, *Madame!* A teraz musimy popracować nad pierwszą pozycją!”. Nura lubiła to słowo w jej ustach, bo Natalia Iwanowna wymawiała każdą sylabę z osobna i mimo że odnosiło się ono tylko do postawy ciała, zyskiwało nagle głębszy sens. Nietrudno było Nurze przypomnieć sobie głos Natalii Iwanowny i jej piękny rosyjski akcent, w końcu to ona nauczyła ją mantry, dzięki której każda przeciwność losu, każda trudna sytuacja była łatwiejsza do zniesienia. Ten głos nadal brzmiał w uszach Nury, jakby rozstały się wczoraj, i coś jej mówiło, że tak już pozostanie, czuła, że słowa mentorki wzmacniają jej dumę, teraz więc szła przez rynek z wysoko podniesioną głową, prosta jak świeca, jakby się szykowała do *rond de jambe*.

„Musisz się skupić! Fantazja nie znosi dowolności, a tym bardziej niestaranności. Wyobrażeniom potrzebna jest precyzja!” Mgła otulała ją teraz niby futrzana etola i przez chwilę zdawało jej się, że to czary Natalii Iwanowny, które osłaniają ją przed zawistnymi spojrzeniami i szeptami raniącymi uszy.

Wąwóz drzemał, pozwalając mgłę wziąć się w objęcia, i zdawało się, że góry wstrzymały oddech. Nura od dawna wyobrażała sobie, że pewnego dnia opuści tę wieś, może na zawsze, i choć to przekonanie, ta nieuniknioność, ta pewność były wpisane w jej ciało i myśli, tak jakby nic innego nie wchodziło

w rachubę, to kiedy o tym myślała, coś się w niej kuliło. I to wcale nie z powodu ludzi, lecz z powodu gór, bliskości nieba. Tu zawsze miała wrażenie, że wystarczy wyciągnąć rękę i już głaszczą się chmury, dotyka nieba, a jeśli się nie dotyka, to przynajmniej nim się oddycha.

Gdy była w mieście, pierwszy i jak dotąd jedyny raz – za to w prawdziwym mieście, a nie w jednym z tych leżących w pobliżu prowincjonalnych miasteczek – przeżyła szok, kiedy się przekonała, że nie widać tam gwiazd, a niebo wygląda jak jego atrapa namalowana przez kiepskiego malarza. Miała wtedy dziesięć lat. Chodziła z ojcem po szerokich ulicach, trzymając go za rękę, patrzyła na mijające ich w pędzie auta i choć – jako nieprzywykła – czuła się dziwnie i obco, było to cudowne, emocjonujące, móc zaznać czegoś nieznanego, co potrafiła już nazwać: wolności. Jej smak był pewnie dlatego tak intensywny, że pojechała tylko z ojcem, bez matki, jej zasad i zakazów, i ojciec wydawał jej się wtedy jakiś inny, swobodny i dobrze usposobiony, po dziecięcemu rozbawiony, lekki, jakby z jego ramion spadł stutonowy ciężar. To było dawno temu... Również to wspomnienie radosnego i zadowolonego ojca wydało jej się teraz niemal nieprawdziwe.

Awlan, właściciel młyna, wytarł ręce o fartuch i uśmiechnął się szeroko. Potem spytał ją o zdrowie matki i sióstr. Interesowała go właściwie tylko Malika, najstarsza z nich trzech. Ale była to historia bez perspektyw. Malika dawno poślubiła innego mężczyznę i choć Awlan wiedział, że ulokował swe uczucia w beznadziejny sposób, nie potrafił zrezygnować i pogodzić się z losem. Nura zawsze mu współczuła. Jego tęsknota od początku była nierozsądna – Malika nigdy by za niego nie wyszła, a przede wszystkim rodzina Giełajewów nigdy nie związałyby się z jego rodziną. Awlan uchodził za zbyt łagodnego i kobiecego jak na góry, był kimś w rodzaju wybrakowanego, niezbyt przydatnego krewnego z bocznej linii w warze^[1], w jego żyłach nie płynęła krew wojownika, przez co nie był dobrym Nohczuo^[2]. Malika, która zawsze lubiła wiedzieć, czego się od niej oczekuje, odczuwała niemal erotyczną ekstazę, kiedy musiała się

podporządkować. Więc już choćby z tego powodu ich związek byłby skazany na niepowodzenie.

– To doskonała mąka, drobno zmielona, tak jak życzyła sobie twoja matka, wspaniała na czepałgasze^[3]. Twoja matka robi najlepsze na świecie. Jadłem je na urodzinach twego dziadka i ciągle czuję ten smak, uch!

Nura zastanawiała się przez chwilę, czy Awlan dlatego chwali jej matkę, że chce zyskać jej sympatię, czy też naprawdę ją podziwia – matka świetnie gotowała, ale nie była we wsi wyjątkiem. Potem się uśmiechnęła i wyjrzała na zewnątrz. Mgła gęstniała, tworząc szare mury na ulicach aułu^[4].

– Okropna ta mgła – westchnęła.

Awlan otrząsnął się z ostentacją i współczująco się uśmiechnął.

Nura chętnie by go objęła, lecz czuła, że przypatrują im się dwaj mężczyźni rozmawiający przed wejściem do młyna, a ponieważ nie chciała ich dodatkowo prowokować, oparła się impulsowi i od razu zezłościło ją własne opanowanie.

– A co słyhać u naszej drogiej Maliki? Jak jej się wiedzie? Odwiedza was czasami?

Awlan nie umiał trzymać uczuć na wodzy tak jak Nura.

– Przyjedzie najpóźniej na święto, na Kurban Bajram, jestem pewna. Poza tym... mam nadzieję, że wszystko u niej dobrze.

Naprawdę tak myślała. Malika wyszła za mąż przed rokiem i wyprowadziła się do Urus-Martan. Nikt nie wiedział, czy była szczęśliwa, ale matka, wydając ją za mąż, na pewno ją uszczęśliwiła. Rodzina męża Maliki stanowiła mocny klan – wszyscy wprawdzie uchodzili za „asymilowanych”, lecz nie podlizywali się władzy. Teść był właścicielem fabryki mydła w Urus-Martan i małżeństwo to było dla Maliki i jej rodziny spełnieniem marzeń, a zarazem awansem społecznym: po skandalu, jaki wybuchł po odejściu ojca, zamążpójście było prawdziwym uśmiechem losu, gwarancją spokoju.

Matka zawsze stawiała na Malikę. Malika była, po pierwsze, najposłuszniejsza, po drugie, była prawdziwą dziewczyną z prawdziwymi dziewczęcymi marzeniami, które krążyły wokół mocnego i wpływowego mężczyzny, a po trzecie, była najładniejsza. Najmłodsza Asma była jeszcze mała i nie dało się przewidzieć, co z niej wyrośnie. A ona, Nura, druga z kolei... o tym lepiej na razie nie mówić. Malika była kartą atutową. Matka dobrze nią zagrała, co na pewien czas – krótki, jak się okazało – pozwoliło jej pogodzić się z sobą, ze światem, a przede wszystkim z przeszłością.

Małżeństwo skojarzyła swatka z sąsiedniej wsi. Matka ciągle powtarzała, co to za szczęście, że Malika ma ładną buzię i że Urus-Martan leży na tyle daleko, by ludzie stamtąd nie interesowali się zbyt upokarzającym zniknięciem jej męża. Malika powiedziała „tak”, zanim w ogóle zobaczyła narzeczonego, bo marzyła o życiu w mieście i o mężu z niemieckim autem. Wyprawiono więc wesele i Malika wyprowadziła się do męża. Od tego czasu Nura widziała siostrę tylko raz, gdy ta w środku lata odwiedziła z teściami ich auł w drodze do Nichałojewskich Wodospadów, które podobno wzmagają płodność. Malika, jak przystało zamężnej kobiecie, nosiła chustę na głowie i suknię do kostek.

Teraz jednak Nura zastanawiała się, czy jej siostra naprawdę jest szczęśliwa i jak w ogóle wygląda szczęście Maliki. Czy da się je rozpoznać? Czy je po niej widać? Czy może jest bez barwy i zapachu, ciche, dyskretne i bezkształtne niczym mgła w ich kotlinie? Malika też stała się bardzo cicha, cichsza niż zwykle, i sprawiała wrażenie trochę przestraszonej, niepewnej, jakby zapomniała, jak to jest być tutaj, w pobliżu matki i sióstr, na wsi, jakby zapomniała być sobą, a nawet jakby włożyła maskę i bała się, że ktoś pod nią zajrzy i dostrzeże coś, czego nie powinien.

– Jej rodzina trzyma z Rosjanami, prawda?

Nurę zdumiało to pytanie. Awlan nie sprawiał wrażenia mężczyzny interesującego się polityką. Była też pewna, że nigdy nie opuściłby tego miejsca, tej wsi, chyba że by go z niej wypędzono.

– Czemu o to pytasz?

– Nie chodźcie do Gasujewów na telewizję?

– Chodzimy, czasami.

– Był pucz. Ruscy chcą postawić swoich wasali na czele naszego rządu. Zestrzeliliśmy ich śmigłowce bojowe.

– My?

– Tak, nasi.

Zdziwiło ją jego słownictwo. Musiał spędzać dużo czasu w byłym klubie Komsomołu, gdzie w ostatnim czasie zbierało się coraz więcej młodych mężczyzn nieustannie omawiających jakieś „ważne sprawy”, jak nazywała to matka, czyli dyskutujących o polityce. Chodził tam, nauczył się obcych słów i teraz się popisuje.

– Wielu lizusów aresztowano.

W głosie Awlana zabrzmiała patriotyczna duma, oczy mu zalśniły i to z miejsca ostudziło jej sympatię.

– Muszę już wracać, matka i Asma czekają...

Po raz pierwszy Nura poczuła się nieswojo w jego obecności. On zaś jakby nagle się przebudził, potrząsnął głową, zaśmiał się w swój ujmujący sposób i podał jej worek z mąką. Kiwnęła mu głową na pożegnanie i wyszła z młyna. Mgła otuliła ją w mgnieniu oka niczym ciepły płaszcz.

Po kilku krokach o mało nie wpadła na grubą Gülnaz i jej nieforemnego syna. Gülnaz była prawdziwą wiejską matroną, a ponieważ jej mąż miał kilka sztuk bydła i tyle samo żon – co podobało jej się o wiele mniej, choć tego po sobie nie pokazywała – Gülnaz uważała, że ma prawo rozstrzygać różne sprawy wiejskiej społeczności i mieszać się do wszystkiego. „Gdyby tyło się od plotek, Gülnaz już dawno musiałyby ważyć z tonę” – powiedziała kiedyś Nura do Asmy i rozśmieszyło to ją samą.

Syn Gülnaz, który właściwie nie był już dzieckiem, ale też nie był jeszcze

dorosły, mocno trzymał matkę za rękę i postępował za nią ociężale.

– Ach, Nura, to ty! Ależ mnie przestraszyłaś! – wykrzyknęła Gülnaz.

Gęsta mgła nie przysłoniła widoku złotych zębów w jej ustach.

– Tak, to ja, ciociu Gülnaz, wybacz! Mgła jest dziś wyjątkowo gęsta...

– Mój brat mówi, że to sprawa Ruskich. No nie patrz tak na mnie.

Podobno stosują jakieś gazy, żeby się na nas zemścić i podstępnie wytruć.

– Trudno mi w to uwierzyć, ciociu!

Nura zrobiła kroczek do przodu, dając do zrozumienia, że chce odejść, ale Gülnaz udaremniła ten zamiar. Chciała dowiedzieć się jeszcze kilku rzeczy, a poza tym upewnić się, że niczego nie przegapiła.

– Co teraz poczniesz twoja biedna matka!

– Co masz na myśli, ciociu?

Nura naprawdę nie wiedziała, do czego pije ta fałszywa żmija.

– No cóż... Sama w domu z dwiema córkami w tych niepewnych czasach...

Nura poczuła nagły skurcz. Najchętniej by coś krzyknęła, plunęła Gülnaz w twarz i odeszła.

„Tyle przewrotnej radości z cudzego nieszczęścia, tyle wrednej potrzeby, żeby innym źle się działo! Jak można żyć, nosząc w sobie tyle frustracji” – myślała, zmuszając się jednocześnie do uśmiechu.

– Wszystko w porządku, ciociu. Nie martw się o nas.

– Nie przyczyniaj matce zmartwień, słyszysz! – odparła Gülnaz karcąco i nachyliła się ku niej tak blisko, że Nura poczuła niemiły zapach z jej ust, zapach gotowanych na twardo jaj i czegoś tłustego. – Twoja matka już swoje przeszła.

Nura miała ochotę odepchnąć ją od siebie. W tym momencie boleśnie odczuwała nieobecność Natalii Iwanowny. Gdyby mogła, pobiegłaby do niej,

wyładowałyby swoją złość, przeklinała, dopóki by się nie uspokoiła i nie poczuła, że wszystko wraca na właściwe tory. Lecz teraz musi zdusić w sobie gorycz i gniew i nawet się uśmiechnąć.

– Do widzenia, ciociu – powiedziała i ruszyła przed siebie drogą we mgle.

Chłopak, który wcześniej stał apatycznie obok matki, pokazał jej język i splunawszy, krzyknął coś za nią. Najpierw nie zrozumiała, ale po chwili dotarło do niej, że zawołał: „Dziwka!”. Gülnaz musiała szybko zakryć mu usta, bo urwał i znów zapadła wszechogarniająca cisza.

„Nie mogę stracić panowania nad sobą – myślała Nura gorączkowo. – Nie mogę dostarczyć tym wsiokom nowych powodów, żeby wieszali psy na mnie i całej naszej rodzinie”.

„Oddychaj, oddychaj, głęboko i równomiernie” – usłyszała szept Natalii Iwanowny. Jak rozpaczliwie jej potrzebowała! „Oddychaj, a potem włącz perspektywę zewnętrzną”.

Nura robiła tak, kiedy świat wokół niej stawał się zbyt twardy, zbyt nieprzyjazny: wyłączała rzeczywistość, zmieniała ją, tak jak się zmienia kolorowe filtry. Nie było to wcale trudne – wystarczyło zamknąć oczy, skupić się i każdym zmysłem przenieść się w inne realia. Wszystko wtedy stawało się inne, ona sama stawała się inną osobą, kimś o wymiennej osobowości, zależnej tylko od siły jej wyobraźni. Z każdym dniem, miesiącem, rokiem zyskiwała w tym większą biegłość. Z początku odważała się najwyżej wyobrażać sobie, że jest lekarką w jakimś dużym mieście pełnym pięknych parków i atrakcji. W mieście, gdzie jak na odpuszcie jest barwnie, krzykliwie, mnóstwo muzyki i różnych przyjemności, a ona w środku tego wszystkiego spiesznie wraca ze szpitala, jest chirurgiem, jej praca jest sensowna i ważna, bo idzie o życie i śmierć, a ona oczywiście pomaga zwyciężać życiu, potem zaś przechadza się wśród budek z watą cukrową i wspaniałych karuzeli, śmieje się i objada lodami, jest w przepięknej sukni, ma rozpuszczone włosy.

Gdy już odkryła, że może trenować swoją fantazję, ćwiczyć ją, tak jak się ćwiczy konia, zaczęła wymyślać coraz odważniejsze, coraz wyrazistsze, coraz

bardziej ryzykowne historie. Jeśli na przykład nie chciało jej się za bardzo wysilać wyobraźni, była po prostu księżniczką, bo nie sprawiało jej to żadnej trudności. Ale nie pierwszą lepszą księżniczką, tylko japońską. Kiedyś w zaniedbanej wiejskiej bibliotece pełnej socjalistycznych broszur propagandowych odkryła stare postrzępione czasopismo z modą kobiecą, wydrukowane alfabetem łacińskim, w obcym, przywodzącym miłe skojarzenia języku. Zamieszczone w nim zdjęcia przedstawiały piękne, dobrze ubrane kobiety. Wśród nich była młoda dama, japońska księżniczka, jak udało się jej odczytać, o egzotycznym imieniu budzącym tęsknotę za dalekimi krajami – Michiko. Miała na sobie szykowny kostium i machała tłumowi zgromadzonemu przed książęcym pałacem, całym pokrytym złotem.

Ale w ostatnim czasie najczęściej była Marią. Piękną Marią z meksykańskiej telenoweli *Po prostu Maria*, którą oglądała co wieczór razem z kobietami ze wsi u Gasujewów. Na telewizję przychodziło tam tylu ludzi, że odbiornik wystawiono do holu. Wiły się w nim przedłużacze połączone z sobą taśmą klejącą. Maria, bohaterka telenoweli, prosta chłopska córka, mimo przeszkód i trudności została słynną projektantką mody i pokonała wszystkie społeczne bariery, choć nie dane jej było zostać żoną bogatego Juana Carlosa del Villar Montenegro. Cudownie było być Marią. I łatwo było wypożyczyć sobie w wyobraźni rzeczywistość, w której Maria się obracała, ponieważ film miał rosyjski dubbing, a barwne meksykańskie realia pokazywał żywo i z detalami.

Nura widziała wnętrza, w których przebywała Maria, suknie, które nosiła, przedmioty, których dotykała, a reszta – reszta dopełniała się w jej głowie. Na przykład smak ust Juana Carlosa del Villar Montenegro. Nawet jeśli miłość Marii była nieszczęśliwa, jeśli nie było jej dane wyjść za tego, którego kochała (tego Nura nie mogła jeszcze wiedzieć na pewno, jeszcze nie traciła nadziei, bo miała przed sobą sto dwadzieścia dwa odcinki), to i tak była niezwykle piękna, tajemnicza, intrygująca.

Dowiedziała się, że aktorka grająca Marię nazywa się Maria Victoria Eugenia Guadalupe Martínez del Río Moreno-Ruffo i nauczyła się jej

nazwiska na pamięć jak jednego z wielu patriotycznych wierszy, które wbijano jej w szkole do głowy. Jak magicznie i kusząco to brzmiało: Maria Victoria Eugenia Guadalupe Martínez del Río Moreno-Ruffo... Rozpływało się na języku jak wata cukrowa i pozostawiało smak, który budził jeszcze większą tęsknotę. Świat Marii Victorii Eugenie Guadalupe Martínez del Río Moreno-Ruffo był taki, jak sobie wyobrażała, że być powinien, bo jeśli już ma się szczęście żyć, życie i otoczenie powinny sprzyjać, to nie jest chyba za wielkie wymaganie? A może jednak? Czy to źle pragnąć czegoś więcej? Więcej niż to, co według jej matki przystoi porządnej kobiecie? Więcej niż to, o czym myślą stare kobiety przesiadujące na rynku i wlepiające w nią żółte jaszczurcze oczy, patrzące z pogardą, bo uznały, że to bezczelne być młodą jak ona i nieświadomie emanować tajemniczą obietnicą. Czy powinna przeproszać za to, że jest pełna gracji jak sarna na leśnej polanie? Czy ma przeproszać za to, że ciągle o czymś marzy? Że wieś jej nie wystarcza? Za tymi górami, za tym przepastnym wąwozem, za tą dziką rzeką był świat, kuszący, różnorodny, kolorowy. O takim świecie marzyła. Musi się w nim znaleźć. Musi jej się udać. Drętwiała z przerażenia na myśl, że pewnego dnia jej wyobraźnia uschnie i ona nie będzie mogła się przenieść w inną rzeczywistość, bo ta obecna, realna, zniszczy ją niczym żrący kwas. Najgorszą rzeczą, jaka mogłaby jej się przydarzyć, była utrata tej magicznej umiejętności. Wyobraźnia trzymała ją przy życiu i pozwalała cierpliwie znosić wszystko, co było przeciwieństwem szczęścia, nie będąc nieszczęściem – nie miała na to jeszcze określenia.

„Jakie to smutne, Nuro, że większość ludzi pragnie tylko przeciętności! Przeciętności w życiu, przeciętności we wszystkim. A ja właśnie tego boję się najbardziej”. Zobaczyła Natalię Iwanownę stojącą przy oknie, odwróconą do niej plecami, z papierosem w lewej ręce. Natalia była leworęczna i zawsze mówiła, że lewa ręka jest bliżej serca, i ona może robić tylko to, co bezpośrednio płynie z jej serca. Była zima. Prawie zawsze, kiedy myślała o Natalii Iwanownie, widziała ją w zimie, tak jakby ich wspólny czas był niekończącą się śnieżną zimą – w blaszanym piecyku płonął ogień, trzask polan miał w sobie coś usypiającego, zapraszał do marzeń. Świat za oknem

wyglądał na wrogi i bezlitosny, ale w malutkim pokoiku było ciepło i przytulnie.

Nura nie widziała jej twarzy, kiedy Natalia Iwanowna to powiedziała, ale przebiegł ją nagły dreszcz. Nie wiedziała, czy te słowa były znajome, czy wydawały jej się straszne albo napełniały ją lękiem, lecz poczuła, że wywarły na niej wrażenie.

„Ciągle walczyliśmy z przeciętnością, mój mąż i ja, oboje nie robiliśmy nic innego. A teraz, po tylu latach, zadaję sobie pytanie, czy nie był to błąd, czy nie ponieśliśmy porażki. Gdybyś mnie zapytała, to powiedziałabym, że przekleństwem ludzkości jest przeciętność. To nie wąż sprowadził grzech do raju, to przeciętność...” Natalia Iwanowna zaciągnęła się papierosem (w świecie, w którym żyła Nura, palenie papierosów przez kobietę było czymś bulwersującym i zakazanym), a Nura miała ochotę podejść do niej, przytulić się i powiedzieć, że jest najbardziej niezwykłym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkała.

„Ale niektórym ludziom, bardzo niewielu ludziom, udaje się... Potrafią przemóc to przekleństwo...” Natalia Iwanowna znów raptownie urwała, lecz to przecież nie mógł być koniec i rzeczywiście, zdusiwszy papierosa na podstawce służącej za popielniczkę, dodała: „Może... Tak! Może mogłabyś być jedną z tych, którym to się uda, Nuro”.

Dobitniejszego „tak” nie usłyszała w całym swoim życiu. Ale o to „tak” musi walczyć, powinna walczyć jak lwica, tego też Natalia Iwanowna ją uczyła. Jeśli stąd nie odejdzie, jeśli nie ucieknie od tych gór, tej rzeki, tej natury tak kłamliwie pięknej, skończy pewnego dnia na rynku jak te stare kobiety w wełnianych chustach na głowie, siedzące tam z żółtymi rękami splecionymi na brzuchu, ze sklejonymi oczami i słowami pełnymi żółci, od których usta stają się zatrute. Albo stanie się coś jeszcze gorszego – upodobni się do swej matki, która ciągle użalała się nad sobą, która każdym włóknem swego ciała boi się o bezpieczeństwo aulu, która rygorystycznie pilnuje prawości każdego czynu, każdej decyzji. Od kiedy odszedł ojciec, ona, bezradna istota, błąka się po galaktykach, lękliwa i onieśmielona, niepewna

do szpiku kości i zatracająca się w wypełnianiu licznych obowiązków.

Nie, nigdy nie uzna za sens życia związku z mężczyzną, nawet takim jak Juan Carlos del Villar Montenegro. Sama będzie Słońcem swego systemu planetarnego. Niczego nie będzie ukrywać, będzie nosić najpiękniejsze, najbardziej kolorowe suknie i pokazywać nie tylko kostki nóg, lecz także rowek, który od dwóch lat zaznacza się między jej krągłymi, jędrnymi piersiami. A jak pięknie urządzi mieszkanie, do którego się kiedyś wprowadzi! Będą obrusy w kwiaty i porcelanowe wazy, ręcznie tkane dywany i miękkie sofy. Tak jak na hacjendach w telenoweli. Może jednak – i to marzenie było najbardziej ekscytujące, najodważniejsze, najbardziej zwariowane i dlatego może najgłębiej ukryte ze wszystkich – zostanie sławną aktorką, taką, w której wszyscy się kochają, która dostaje nagrody i chodzi w najelegantszych sukniach i która z wilgotnymi oczami posyła ze sceny pocałunki. Taką jak Maria Victoria Eugenia Guadalupe Martínez del Río Moreno-Ruffo. Ale tego nie miała odwagi wyobrazić sobie do końca, ze wszystkimi możliwymi konsekwencjami.

Myśl, że nie tylko cała rodzina, ale też Asma mogłaby nią pogardzać i odwrócić się od niej, była zbyt bolesna. Ale może by się udało i au! nie wciągnąłby Asmy w swój wir, nie zainfekował swymi żelaznymi zasadami, może udałoby jej się stać dla siostry tym, kim dla niej była kiedyś Natalia Iwanowna: kotwicą. I może pojechałaby do Groznego, potem do Moskwy, a potem... No tak, właściwie dokąd? Może do Meksyku, dlaczego nie, w końcu to w Meksyku kręcą tak bajeczne seriale jak *Po prostu Maria*, a ona zagra w jednym z nich i kiedy w końcu tam dotrze, i zamieszka na kolorowej hacjendzie z papugami i wielkimi kaktusami w ogrodzie, ściągnie do siebie Asmę i będzie z nią ćwiczyć wolność, codziennie, z żelazną dyscypliną, tak jak kiedyś robiła to z nią Natalia Iwanowna, i Asma pojmie, że jej dotychczasowy świat był tylko jednym z nieskończenie wielu wariantów wielkiego świata, w żadnym razie absolutnie i jedynie właściwym, i wtedy może zmiękczy też serce matki, bo mimo wszystko byłyby we dwie i matka przyjechałaby je odwiedzić, i zdziwiłaby się, w jakim technicolorze rozgrywa

się meksykańskie życie jej córek. Matka, uparta z natury, nigdy wprawdzie nie wyjechałaby na zawsze z tego kraju, z tego aułu, ale może kilka razy w roku przemierzyłaby ocean i wybrała się z córkami na wycieczki do najpiękniejszych miejsc w Meksyku.

Natalia Iwanowna, Rosjanka, która poślubiła Czeczena, przyjechała do ich aułu mniej więcej przed czterema laty, a później przeniosła się z mężem do Groznego. Oboje byli nauczycielami, którzy z jakiegoś niepojętego dla Nury powodu zdecydowali się wędrować po najodleglejszych wsiach północnego Kaukazu i uczyć dzieci. Uczyli nie w wiejskich szkołach, lecz w klasach zaimprovizowanych w pokojach domów, w których się zatrzymywali. Żyli z datków i darów od wdzięcznych rodziców zachwyconych dzieci, a przyświecała im idea pobudzania młodego pokolenia do myślenia wychodzącego poza obowiązujące ramy. Wozili z sobą kufer książek i coś równie cudownego: telewizor z wideo i mnóstwem ręcznie podpisanych kaset. Wyczarowywany przez nie świat przyciągał gromady dzieci. Czego tam nie było: pirackie kopie starych filmów z Chaplinem, filmy Viscontiego i barwne hollywoodzkie kino akcji, nawet filmy z Bollywood. Przed każdym seansem dzieci wysłuchiwały prelekcji o historii powstania filmu, o grających w nim aktorach, o epoce, w której toczy się akcja i o związanych z nią wydarzeniach na świecie. Po projekcji była dyskusja. Nie wystarczyło powiedzieć, że film się podobał albo nie – trzeba było to uzasadnić i przedyskutować. Nie obowiązywały żadne kryteria estetyczne, można było myśleć i mówić wszystko. Dla wielu dzieci było to zbyt trudne, bo nigdy wcześniej nie miały okazji wypowiadać swobodnie swych opinii. Ich życie regulowały dotychczas normy adatu^[5], a na co dzień o tym, co mają robić lub nie, decydowali rodzice, dziadkowie, starszyzna aułu, partia albo imamowie. A tu pojawiło się nagle dwoje czarodziei, którzy porwali je w świat, gdzie, jak się wydawało, wszystko było możliwe. Wiele dzieci nie radziło sobie z tą wolnością i rezygnowało po kilku spotkaniach albo rodzice wietrzyli coś podejrzanego i zabraniali im chodzić do domu pary przyjezdnych. Inni jednak byli zadowoleni, widząc radosne dziecięce twarze, i nie dociekali, jak wyglądają te lekcje. Tak czy inaczej wiadomo było, że

para oryginałów wkrótce pociągnie dalej, a dzieci wrócą do swej ubogiej, surowej codzienności, bo takie było prawo gór, prawo przodków, odwieczne prawo Wajnachów^[6].

W wypadku Nury było jednak inaczej. Ziarno trafiło na glebę nadzwyczaj urodzajną. Niestety, jakie się wydarzyło, dla niej okazało się czystym szczęściem. Mąż Natalii Iwanowny zmarł nagle na atak serca, po kilku zaledwie tygodniach pobytu w wąwozie Argun, zanim Nura zdążyła zapamiętać jego imię. Wynajmowali wtedy małą opuszczoną drewnianą szopę na skraju głównej drogi. Pewnego wieczoru ten brodaty, dobroduszny mężczyzna po prostu się przewrócił. Natalia Iwanowna długo trwała w żałobie. Lecz inaczej niż kobiety w aule. Była to niema żałoba, przeżywana intymnie. Mieszkańcy wioski gadali o tym, lecz nikt się nie mieszał – Natalia Iwanowna nie należała do Nohczi, była obcą, bezbożną socjalistką z północy, skąd więc miała wiedzieć, że wdowa powinna głośno opłakiwać męża?

„Tak, tak, ludzie z miast są zepsuci przez komunistów, zeszedli z właściwej drogi – szeptali starzy. – Ale teraz pojawiła się nadzieja, gdy rosyjski olbrzym przewrócił się jak chory słoń, gdy założono Demokratyczną Partię Wajnachów, gdy ogłoszono niepodległość! Może Allah na nowo pobłogosławi nasz kraj!”

Śmierć męża załamała Natalię Iwanownę. Wydawało się, że wszystko stało jej się obojętne, że tylko przy nim potrafiła znaleźć sens działania. Dzieci nie mieli, z nikim też nie byli mocno związani. Prowadzili życie nomadów, uzupełniali się i nie potrzebowali nikogo poza sobą i swymi uczniami. Natalia Iwanowna lubiła jeździć do Groznego, do Machaczkały, Tbilisi, Erywania – wydawała się przywiązana do Kaukazu jak niegdyś Prometeusz, o którym pewnego razu opowiedziała Nurze przy herbacie z miodem i cienkimi plasterkami cytryny. Leningrad, w którym się urodziła i dorastała, a który znów przemianowano na Petersburg, przestał być dla niej ważny, nic jej tam nie ciągnęło. Jej domem stały się góry. Jasnoniebieską ładą niwą przemierzała z mężem Kaukaz, przejechała z nim Gruzińską Drogę

Wojenną^[7], posłuszna odważnej tęsknocie, podążająca tropem emocji, a może nadziei. Teraz nie było już w niej wystarczająco wielkiej tęsknoty, by znowu chciała ruszyć w drogę przez niekończące się przestrzenie. Nie widziała już przed sobą celu.

Dużo czasu minęło, nim Natalia Iwanowna, obca kobieta bez chusty na głowie, odważyła się wyjść z domu na zakurzone wiejskie drogi. Wyglądała jak ptak, który odłączył się od stada i błąka się bez celu. Nura obserwowała ją z okna z rozdartym sercem. Niewiele o niej wiedziała, bo ta obca kobieta zjawiała się tu z innego świata, lecz w jej sposobie chodzenia, w jej zagubieniu było coś, co przypominało Nurze ją samą. Czuła, że obie szukają korzeni, lecz nie tych, które idą w ziemię, mocne i twarde, ale tych, które tworzą się z myśli i uczuć.

Raz pobiegła za nią po kryjomu w tłumiącym odgłosy, głębokim, prowokująco białym śniegu, zafascynowana czymś, co z niej emanowało, i dla czego nie znajdowała odpowiedniego słowa. Dopiero później zrozumiała, że to samowystarczalność. Natalia Iwanowna sprawiała wrażenie, jakby niczego i nikogo nie potrzebowała, jakby pełna była czegoś, czego wprawdzie nie widać, ale co się czuje. Och, jakże Nura chciałaby wiedzieć, jaka była miłość Natalii Iwanowny, czy jej mąż należał do tych mężczyzn, którzy mają wszystko, czego potrzeba im do życia, dlatego uważają żonę nie za kogoś niezbędnego, lecz za kogoś, kto ich wzbogaca. Nura spędziła z Natalią Iwanowną długie miesiące, ale nie udało jej się tego odkryć ani zrozumieć, jak ta kobieta może żyć, nie mając żadnych potrzeb. Jak wszystko, co się robi, czym się jest, można opierać wyłącznie na dobrowolności. Jednak w pewnym momencie przestało to mieć znaczenie...

Natalia Iwanowna przebywała w wąwozie długo, dłużej niż gdziekolwiek wcześniej, bo było jeszcze coś, co sprawiało, że coraz bardziej się wycofywała i miała coraz mniej odwagi, by krążyć po Kaukazie – nacjonalizm, który łączył się ściśle z powstaniem Czeczeńskiej Republiki Iczkerii. Od kiedy Inguszetia połączyła się z Federacją Rosyjską, a Czeczenia tego odmówiła, atmosfera wokół niej zaczęła gęstnieć. Wszyscy nagle zaczęli

dzielić świat na dwa obozy, na przyjaciół i wrogów, a wrogami byli ci, którzy pragnęli czegoś innego. Chciano być i działać tylko dla swoich i wśród swoich – wystarczająco długo znosiło się nieproszonych gości. Teraz, gdy Związek Radziecki rozpadł się w pył i gigantyczna, rozwichrzona Rosja po omacku błędziła w ciemności, chciano wykorzystać sprzyjający moment i pozbyć się wreszcie intruzów.

Natalia Iwanowna nigdy nie była związana z żadnym ruchem i to mogło stać się jej zgubą. Na południu lała się krew, w Gruzji wrzało, w Armenii i Azerbejdżanie rozgorzał konflikt, a teraz czuło się zapach metalu również na północy. Tymczasem Natalia w swojej szopie wyobrażała sobie, że przemierza starożytną Grecję albo we wspaniałej sukni i wysokiej jak wieża peruce płynie przez Wersal i Fontainebleau. Była panią światów, które stwarzała w wyobraźni.

Ponieważ wystrzegą się rozgłosu, lekcji rosyjskiego, który właśnie został usunięty z programów szkolnych, udzielała tylko czasami – niektórzy rodzice nadal chcieli, żeby ich dzieci znały ten język. Powróciła też do zajęć inspirujących dzieci do myślenia. Aż pewnego dnia jej droga i droga Nury przecięły się i Natalia Iwanowna, otrzymawszy od życia pocałunek, obudziła się z długiego snu.

Ich pierwsze spotkanie zaczęło się od cichych słów, pasujących do sięgającego kolan śniegu, i było jak wejście w świat czarów. Nura zakradła się kiedyś pod szopę i jak wałęsający się kot obchodziła ją wkoło z nadzieją, że Natalia Iwanowna wyczuje jej obecność. I rzeczywiście wyczuła.

– Wejdz do środka, bo widzę, że moje skromne progi przyciągają cię jak magnes – powiedziała, otwierając drzwi.

Potem usiadła przy małym stoliku nad filiżanką parującej herbaty, zsunęła okulary na koniec nosa i wlepiała jasnoniebieskie oczy w kolorową kostkę. Czegoś takiego Nura jeszcze nigdy nie widziała – kostka wyglądała jak zabawka dla dorosłych.

– To kostka Rubika, zwana czarodziejską kostką, takie obracane puzzle.

Nie znasz tego?

– Nie.

– No tak, może i lepiej, bo ja przez cały czas bezskutecznie łamię sobie nad nią głowę.

– Dlaczego?

– Nie udaje mi się jej ułożyć, choć tysiąc razy próbowałam. Mój mąż się ze mnie śmiał, mówił, że wyglądam, jakbym chciała odkryć tajemnicę życia. Po prostu zwariowałam na jej punkcie. Może tobie uda się to, co nie wyszło mnie – powiedziała i podała kostkę Nurze.

Nura poczuła się tak, jakby po długiej wędrówce wróciła do domu. Wszystko wydało jej się znane, choć w niepojęty, nielogiczny sposób. Czary były wszechobecne. I każdego wieczoru, gdy po wizycie u Natalii Iwanowny wchodziła do swego domu, a złe spojrzenia kuzynek i wyrzekania matki spadały na nią jak lawina, zastanawiała się, jak mogła dotąd żyć bez całej tej wiedzy i tych umiejętności. W szopie u Natalii Iwanowny doznawała szczęścia, czystego szczęścia. Najbardziej ekscytujące było to, że za jej sprawą zaczęła inaczej pojmować rzeczy dobrze znane, a te znieawidzone nawet doceniać. Dzięki niej zakochała się w wąwozie i w nieokiełznanej rzece. Pogodziła się z przeszłością i ćwiczyła się w przebaczeniu.

Tak, musiała przebaczyć ojcu pewne słowo, którego nie wymawiała od czasu jego odejścia z domu, tak jakby jego dźwięk parzył język. Słowo to zostało skasowane, znikło z rzeczywistości, z teraźniejszości, jak gdyby ojca nigdy nie było, chociaż matka nadal po nim rozpaczała, a ludzie ze wsi ciągle o nim gadali.

Nienawidziła swojej tęsknoty, bo bała się, że jest to może skłonność po ojcu, którą odziedziczyła. I że pewnego dnia ta tęsknota okaże się jej przekleństwem. Czy ona też ciągle będzie musiała szukać, wiecznie niespokojna i nigdy niezaspokojona, niezdolna do szczęścia? Ojciec nie potrafił inaczej, czuła to i jednocześnie miała sobie za złe, że jeszcze teraz próbuje go usprawiedliwiać. Przecież wiedział, że po jego odejściu ich

rodzina będzie traktowana we wsi jak trędowata. Jaką władzę nad nim musiało mieć to przekleństwo, że nie potrafił inaczej, że musiał uczynić to, co uczynił? Tak, znikł i okrył ich hańbą.

Lata poprzedzające jego odejście były jednym ciągiem wstydlivych epizodów. Zaczęło się od katastrofy z owcami. Kiedy matka spostrzegła, że dziwactwa ojca się nasilają, postanowiła przydzielić mu dużo obowiązków, żeby skierować jego energię na inne tory. Nigdy nie mieli owiec, konie tak, kury oczywiście też, ale owiec nigdy. Więc matka postanowiła, że ojciec będzie pilnował stada owiec, które wyprowadzi wysoko w góry, gdzie niewiele rzeczy będzie mogło odciągnąć go od pracy. Ojciec nie zaprotestował, co matka poczytała sobie za sukces. Poszedł z owcami w góry, ale nie minęły dwa tygodnie, gdy większość owiec się zgubiła albo pospadała ze stromych urwisk w przepaść. Cała wieś zatrzęsła się z oburzenia, ojciec zaś powiedział tylko, że zwierzęta mają wolną wolę. To był początek końca. Od tego momentu aż do swego zniknięcia nieustannie kompromitował rodzinę. Matka zaczęła się już nawet zastanawiać, czy nie poszukać mu młodszej żony, nieoficjalnej, lecz cierplivej współtwórczyni jego szczęścia, ale nie zdążyła tego zrobić. Odszedł i zostawił ją samą ze wspomnieniami i wstydem. A wspomnień – lat, które przy nim spędziła, i trzech córek, które z nim miała – nie dało się skasować, uczynić czymś niebyłym. Do tego jeszcze zaczęła się obawiać, by któraś z córek nie odziedziczyła jego charakteru, nie okazała się zwariowana, milcząca całymi dniami albo jak on tygodniami mieszkająca w skalnej grocie. Ona była kobietą żyjącą według nakazów adatu, chodziła do meczetu nawet w czasach socjalizmu, w erze kołchozów, i najbardziej bała się tego, za czym najmocniej tęskniła jej średnia córka: bycia inną, a przez to obnoszoną na ludzkich językach.

Pierwszy skandal zdarzył się, jak opowiadano, niedługo po ich ślubie, gdy była w ciąży z Maliką. Pewnego dnia jej mąż, goły jak święty turecki, poszedł się kąpać w rzece i wylądował na posterunku milicji. Potem na urodzinach swojego teścia został pobity przez wujka żony – ta historia stała się ulubioną rodzinną anegdotą. Otóż wdał się w dyskusję z dość zacofanym wujkiem –

chodziło o przesiedlenia ludności, a może o rządy Breżniewa albo specjalną metodę hodowli owiec, wersje są różne – i nagle zaczął rzucać w niego jedzeniem, które miał na talerzu, chlebem i serem, wszystko leciało na głowę starego człowieka.

Dla matki najgorsze było, że musiała to wszystko cierpliwie znosić, a i tak w aule traktowano ją jak trędowatą i nie mogła sobie powiedzieć, że opłacała jej się anielska cierpliwość, nadludzka wręcz wytrwałość. Ta niesprawiedliwość odbierała jej sen od czasu, kiedy niespodziewanie i bez słowa od nich odszedł; tak dała o sobie znać tłąca się od lat bezsilna wściekłość.

Mgła opadała i oplatała jak wąż skały wąwozu. Nura miała nadzieję, że zdąży do domu przed zmrokiem. Noc zapowiadała się lodowata. Po mgle nadejdzie pewnie bezlitosny mróz.

Przed domem Osmajewów usłyszała za sobą kroki. Stanęła przestraszona i odwróciła się.

– Zawsze jesteś taka odważna, a teraz masz pietra, co?

To był Musa, wioskowy mąciwoda. Odetchnęła z ulgą, a jednocześnie poczuła napięcie w całym ciele. Podeszedł do niej blisko, bliżej, niż wypadało, najwyraźniej czuł się swobodnie w tej mgle.

Z Musą chodziła do szkoły, a on jakoś ją sobie upatrył. Każdą kulę papieru, którą rzucał, rzucał w jej stronę, każde pociągnięcie za włosy było pociągnięciem za jej warkocz, każdy dowcip o dziewczynach opowiadał w jej obecności, każdy wygłup inscenizował na jej oczach. Od małego w czasie wspólnych zabaw na podwórku i na rodzinnych spotkaniach tak się zachowywał. Był zręczny i elokwentny, uchodził za dobrą partię, bo jego ojciec miał największą mleczarnię w całej dolinie i w czasach prywatyzacji dorobił się znacznych pieniędzy. Musa był wyższy od niej prawie o głowę, mocny i kipiący energią, niespokojny, zawsze kołysał tułowiem albo przestępował z nogi na nogę.

– Wcale się ciebie nie boję. Czemu się tu kręcisz? Nie masz nic lepszego

do roboty, tylko czatować na dziewczyny?

– Na nikogo nie czatuję. Jesteś przed moim domem, a ja mogę tu robić, co mi się podoba, to mój teren.

Wyciągnął paczkę papierosów i wyjął dwa naraz. Odważył się na to dlatego, że w pobliżu nie było dorosłych, a mgła chroniła go od ciekawskich spojrzeń. Jeden papieros wetknął sobie za ucho, drugi włożył do ust. Płomień zapalki wywołał krótką iluzję przytulności i ciepła, to jej się spodobało.

– Muszę wracać do domu – powiedziała bardziej do siebie niż do Musy.

Miała przed sobą jeszcze długą drogę, a wszystko szczelnie zasłaniała mgła.

– Jak się boisz, to może cię odprowadzić, co? Żeby cię ktoś nie ukraść.

Zaśmiał się głośno i bezczelnie, jak zwykle. Był to jednak śmiech kogoś, kto ma jakieś ukryte zamiary.

– Nie, nie trzeba, dziękuję.

– Daj spokój, to nie jest bezpieczne dla dziewczyny, szwendać się o tej porze.

– A czemuż to?

Z jednej strony miło było pomyśleć, że nie będzie musiała sama pokonywać drogi w ciemności, z drugiej jednak bliskość Musy nie była dla niej czymś uspokajającym. Kiedy zapalał papierosa, zauważyła, że zapuścił brodę, która jednak nie urosła jeszcze tak, jak chciał. Musiała ukryć uśmiech.

– Ostatnio krąży u nas masa hołoty. Niewierzących i bluźnierców.

Słowa te brzmiały jakoś obco w jego ustach. Przypomniała sobie, jak matka i jej kuzynka opowiadały, że Musa zaangażował się w budowę nowego meczetu w centrum wsi, a jego ojciec zamierzał sfinansować większą część tego przedsięwzięcia. Lekkomyslny, niepoważny, niecierpliwy Musa nie kojarzył jej się zupełnie z bogobojnym i surowym muzułmaninem.

Ruszyła przed siebie, zła, że nie posłuchała matki i nie wzięła z sobą

latarki. Nie było gwiazd, które oświetlałyby drogę, zdawało się, że wszystko znikło pochłonięte przez gęstą mgłę i ciemność. Gdzieś w oddali szczekał pies. W powietrzu wisiało dziwne napięcie, które przypisywała pogodzie. Musa szedł obok, milcząc.

- Naprawdę, dziękuję ci bardzo, ale lepiej pójdę sama.
- Muszę odprowadzić cię do domu, jestem to winien twojej matce.
- A to dlaczego?!
- Dostyc już nieszczęść się zdarzyło.

Zabrzmiało to gorzko, surowo. Chciała coś odpowiedzieć, ale zabrakło jej siły. Nie miała już ochoty znów się usprawiedliwiać, tłumaczyć, bronić. Było jej obojętne, co się wydarzyło w przeszłości, obojętne, jakie problemy miał ojciec i dokąd poszedł, obojętne, czym stało się to dla matki, nie chciała oglądać się za siebie, chciała patrzeć do przodu, chciała kierować wzrok na krańce świata. Milcząc, przeszli przez centrum wsi, minęli dawną gospodę. Panowała upiorna cisza, a przekłeta mgła w swym nienasyceniu zdawała się wsysać w siebie wszystkie dźwięki, nawet szmer oddechu, jakby chciała pożreć cały świat.

- Powinnaś pomyśleć o włożeniu chusty na głowę – powiedział Musa.

Został kilka kroków z tyłu, a ona poczuła się w jakiś dziwny sposób zażenowana, że zobaczył coś, co nie było przeznaczone dla jego oczu.

Chwyciła go za płaszcz, zanim zdążyła się opanować.

- Co się z tobą dzieje?! – zawołała gwałtowniej, niż powinna.
- O co ci chodzi? Ja... ja... – Musa zaczął się jąkać, jakby zakrztusił się swoimi myślami.

Odwróciła głowę i spojrzała mu w oczy. Odgadła więcej, niż zobaczyła. Poczowała jego lęk, a może coś innego, co miało niemal swój zapach – wstyd. Tymczasem on pochylił głowę i tak bardzo zbliżył swą twarz do jej twarzy, że zastygła z przerażenia. Żaden chłopak, żaden mężczyzna nie był nigdy tak

blisko niej, to było zakazane. Nie wiedziała, co zamierzał, i była rozdarta między ciekawością a wstrętem. Czy się odważy? Czy wilgotnymi, grubymi wargami dotknie jej ust? Czy będzie to miało smak pocałunku Juana Carlosa del Villar Montenegro? Czy w ogóle chciał ją pocałować? A czy ona chciała, by jako pierwszy pocałował ją Musa Osmajew? Czy nie marzyła o czymś ekscytującym? Ale każdy kiedyś jakoś zaczynał, Maria też jakoś zaczęła. Znieruchomiała w oczekiwaniu na to, co miało się zdarzyć, coś przekreśliło się w jej żołądku, jakby była na karuzeli. Lecz w tym samym momencie usłyszała głośny szum skrzydeł ogromnego ptaka i złękła się. Musa podniósł głowę i już wiedziała, że poskromił pragnienie, że pójda dalej spokojnie.

Może to był sęp, a może obcy czarny ptak wróżący nieszczęście jak w historiach opowiadanych czasami przez starszych. Czarny ptak występował w nich zawsze – przylatywał, gdy miało zdarzyć się coś złego, był ostrzeżeniem, którego jednak nikt nie słuchał ani nie dostrzegał oprócz skazanego na bezczynność przeklętego opowiadacza.

– Musa... – wymówiła jego imię i nagle zabrzmiało ono zupełnie inaczej, groźnie. Nie potrafiła już swobodnie wypowiadać jego imienia.

– A więc... – powiedział, błyskawicznie odsuwając się od niej na przyzwoitą odległość. – A więc kiedy meczet będzie gotowy, rozpocznę budowę domu.

– Czyjego domu?

– Mojego.

– Ach tak...

– W dole rzeki, pod samym zboczem, tam jest najżyźniejsza ziemia. Tam, gdzie dawniej mieszkał stary Pankow.

– Pankow... Gdzie on teraz jest?

– To przecież nieważne.

– Przeciwnie, chciałabym wiedzieć, bo kiedy wymieniłeś jego nazwisko, przypomniałam go sobie. Dawno o nim nie myślałam. Kiedyś często

zakradaliśmy się do jego ogrodu i potajemnie zrywaliśmy gruszki, pamiętasz?

– No pewnie.

– To było idiotyczne, przecież w naszym ogrodzie też były gruszki, ale jego smakowały szczególnie, w każdym razie tak nam się zdawało, prawda?

– Tak to jakoś było.

Nagle powróciła lekkość tamtych dni, poczuła ją w swoim ciele, chętnie oddałaby coś z tego Musie, pokazałaby mu język, szturchnęła go, pościgałaby się z nim. Lecz ostatnie lata nauczyły ją nieufności. Nie potrafiła zachowywać się spontanicznie, była to być może cena za to, że stała się dorosła.

– A jaki był dobry dla zwierząt! Umiał wyleczyć wszystkie ich choroby.

– No tak.

– Naprawdę, był najlepszym weterynarzem w okolicy. A pamiętasz, jak chciał tańczyć lezginkę, ale nie dał rady?

– Rosjanie nie potrafią tańczyć lezginki, nie mają jej we krwi.

– Dlaczego tak mówisz?

– Co?

– Był dla nas miły, dlaczego źle o nim mówisz?

– Wszystko jedno. Chciałem powiedzieć coś innego...

– Nie, nie wszystko jedno. Nie możesz go stawiać w złym świetle.

– Daj spokój, przecież tego nie robię.

– Właśnie że robisz. Z tego samego powodu wyjechała stąd Natalia Iwanowna. Bo wszyscy patrzyli na nią takim wzrokiem, jakby nosiła w sobie zarazę.

– Masz na myśli tę zwariowaną Rosjankę, która mieszkała w szopie?

– To nie była zwariowana Rosjanka, tylko moja przyjaciółka!

– Była dziwaczna.

– Przecież wcale jej nie znałeś.

– Dobrze, już dobrze, uspokój się.

– Nie chcę się uspokoić, muszę to z siebie wyrzucić... Skąd wiesz, co jest prawdą, a co fałszem, co jest dobre, a co złe?! Nigdy nie pomyślałeś, że możesz się mylić?

– A powinienem?

– Tak, bo jesteś tylko człowiekiem.

– A czy ty wiesz, co Rusczy z nami robili? Wiesz, że twoją babkę i mojego dziadka w czterdziestym czwartym deportowali do Kazachstanu razem z pół milionem Nochzi i że oni wrócili stamtąd dopiero po śmierci Stalina? Stalin chciał się pozbyć nas wszystkich, wszystkich, wyobraź to sobie! Rusczy od stuleci myśleli o tym, żeby nas wygubić. Kazali nam się wyprzeć naszego Allacha i...

– Musa, ale przecież nie zrobili tego Pankow ani Natalia Iwanowna!

– To nie ma znaczenia. Oni do nas przyszli, wzięli to, co było nasze, wygodnie się rozsiedli, wmówili nam, że jesteśmy ludźmi drugiej kategorii, ale teraz nasz ruch. Nie pozwolimy się już ujarzmić. Jesteśmy walecznym narodem, musimy sobie o tym przypomnieć, i o tym, kim jesteśmy, skąd przychodzimy...

– A co potem?

– Nadejdzie nasza kolej.

Posuwali się w ciemnościach jak ślepcy, doszli do masarni, skręcili w lewo, w kierunku przystanku autobusowego, który od lat był nieczynny, potem minęli ruiny wieży obronnej, skąd było już blisko do głównej drogi.

„Tam jest kilka latarni i stamtąd pójde już sama” – pomyślała Nura.

Musa zamilkł, jakby stracił wątek, ale to było jej na rękę. Nie rozumiała go, nie chciała go rozumieć, nie chciała podporządkowywać wszystkiego przeszłości, nie chciała słuchać rad ani uwag o zasadach adatu.

– Tam zbuduję dom. A potem...

Potrzebowała chwili, by zrozumieć, o czym mówi, aż przypomniała sobie, że powiedział coś o żyznej ziemi. Przycisnęła worek z mąką do piersi i przyspieszyła kroku.

– Dlaczego chcesz się wyprowadzić? Przecież wasz dom jest dostatecznie duży – podjęła raczej z uprzejmości niż dlatego, że naprawdę ją to interesowało.

– Bo będę się żenił, a w domu zostaną moi bracia.

– Ożenisz się? Ty?

Brzmiało to absurdalnie, był dla niej ciągle wiecznie niespokojnym, wiercącym się chłopcem, który jakby przypadkiem wszedł w ciało mężczyzny, chłopcem, którego zawsze trzymały się głupstwa, który namawiał chłopaków ze wsi do psot i denerwował wszystkie dziewczynki. I on chce zakładać rodzinę? To do niego nie pasowało, więc parsknęła śmiechem.

Zatrzymał się i zrozumiała, że poczuł się dotknięty.

– Nie gniewaj się, nie miałam nic złego na myśli. A kto będzie szczęśliwą wybranką?

– Ty.

Najpierw znów parsknęła śmiechem, ale śmiech zamarł jej w gardle, poruszała otwartymi ustami jak ryba wyrzucona na ląd. Na szczęście było ciemno, a on szedł krok przed nią.

– Mój ojciec w przyszłym tygodniu pomówi z twoją matką.

Mówił cicho, ale wyraźnie, spokojnie, jakby wcześniej to przećwiczył.

– To zupełnie niepotrzebne.

Przyspieszyła kroku, przegoniła go i zaczęła niemal biec.

– Hej, zaczekaj! Co to znaczy „niepotrzebne”?

– Nie wyjdę za ciebie. W ogóle nie wyjdę za mąż. Wyjadę stąd.

– Jak to? Dokąd?

– Najpierw do Groznego. Muszę tylko poczekać kilka miesięcy, aż skończę osiemnaście lat, i potem...

– Ale... ale... – jękał się. – To niemożliwe. Poza tym twoja rodzina...

– To nie ma znaczenia.

Biegła dalej, w stronę głównej drogi, i nagle ciemność przestała wydawać jej się groźna, przeciwnie, zapewniała ochronę i bezpieczeństwo. Słyszała, że Musa biegnie za nią, dysząc.

– Nura, zaczekaj, Nura!

„Kiedyś był szybszy” – pomyślała i uśmiechnęła się, ale on na szczęście tego nie widział. Albo on spowolniał, albo ona nauczyła się pędzić jak wiatr.

– Ale ja cię kocham! – krzyknął za nią, a słowa długo jeszcze wybrzmiewały echem.

Zatrzymała się. Było jej go żal, a jednocześnie cieszyło ją to wyznanie, choć nie mogła ani nie chciała go odwzajemnić. Cieszyła się, że powiedział coś, co wyszło tylko od niego, nie było wyuczone ani podyktowane uświęconym obyczajem. Poczowała coś w rodzaju wdzięczności i o mało nie pocałowała go w policzek. Powstrzymała się jednak, bo mógłby to źle zrozumieć. „Najtrudniejszy w życiu – zdradziła jej Natalia Iwanowna – jest nieustanny wysiłek, by na co dzień nie być sobą”.

– Dziękuję.

Nie wiedziała, dlaczego podziękowała, pojęła też, że to słowo zupełnie nie pasuje do sytuacji i zirytuje Musę, ale nic lepszego nie przyszło jej do głowy.

– Słyszałaś, co powiedziałem?

Teraz w jego głosie dzwięczała złość.

– Tak, słyszałam. To piękne, ale ja i tak za ciebie nie wyjdę. Teraz naprawdę muszę wracać, matka się pewnie niepokoi, a nie chcę, żeby wysłała

za mną któregoś z moich głupich kuzynów.

– Nie powinnaś tak mówić...

– Niby jak?

– Tak arogancko.

– To nie jest arogancja, to prawda.

Na głównej drodze rzeczywiście było jaśniej, chociaż światło latarni wystarczało tylko na oświetlenie kilku metrów. Mimo to mogła się wreszcie zorientować, gdzie jest, rozpoznała okolicę, ziemię pod swymi stopami. Zarysów ruin wieży obronnej też można się było domyślić. Zbliżając się do nich, przypomniała sobie piskliwy głos szkolnej nauczycielki: „Kaukaskie wieże obronne służyły w regionie północnego Kaukazu jako wieże strażnicze i obronne strzegące ziem klanów rodzinnych, można się też było w nich schronić w razie napadu. Mynajew, natychmiast przestań dłużyć w nosie”.

Mgła zaczęła się przersedzać.

– Tak się nie godzi – powiedział drżącym głosem.

Panował nad sobą, a jego złość zmieniła się w rozczarowanie.

– Wiem. Nic, co człowieka uszczęśliwia, się nie godzi. Ja jednak chcę...
Ach, nieważne.

Nie miała ochoty dłużej niczego tłumaczyć, było jej wszystko jedno, i tak by nie zrozumiał. To dobry chłopak, mały zawadiaka, którego nie męczy wątpliwość, który nie kwestionuje świata i cieszy się wszystkim, co daje mu życie, prócz... prócz może Rosjan i bezbożności przywleczonej przez nich do kraju, jak zawsze powtarzał jego ojciec.

Ale tu nie było nic do tłumaczenia, nic do mówienia. Życzyła mu wszystkiego najlepszego, dobrze życzyła nawet jego gniewnemu ojcu, który zamierzał rozmawiać z jej matką, by zaaranżować ich małżeństwo. Jej matka pewnie nawet by się ucieszyła, Osmajewowie uchodzili przecież za majątnych, a Musa za dobrą partię. Ale... tak, nic więcej nie było tu do

dodania.

– Wracaj, proszę. Mam już niedaleko. Chciałabym iść dalej sama.

Musa, jak obrażone dziecko, nieoczekiwanie przestał protestować i zatrzymał się na głównej drodze w przytłumionym świetle latarni. Miał na sobie kurtkę z jagnięcej skóry, na pewno kupioną na czarnym rynku w Groznm albo Machaczkali za sporą kwotę, bo takie kurtki były w ostatnim czasie symbolem zamożności.

Nura poszła przed siebie, kierując się szumem rzeki i kopiąc od czasu do czasu drobne kamyki leżące na drodze.

– Trzymaj się, Musa, i nie bądź na mnie zły! – krzyknęła do niego w ciemność, nie obracając się, a kiedy już, już miała zniknąć z pola jego widzenia, usłyszała, że coś do niej woła. Nie zrozumiała początku, lecz ostatnie słowa brzmiały: „być kobietą”.

Natalia Iwanowna miała może rację, gdy szukając przyczyny zniknięcia jej ojca, wymyśliła pewną teorię. W tym dniu Nura z płaczem przybiegła do swej mentorki.

„Ja... ja... Ojciec po prostu znikł. Nie ma go. Nie wróci, wiem, że nie wróci... Zabrał wszystkie rzeczy, szukałyśmy wszędzie...” – łkała. „Kto? Co się dzieje? Uspokój się, proszę, usiądź, zrobię ci herbaty”.

Zawsze ta herbata, jakby w tym gorącym napoju tkwiła jakaś magiczna moc, która pomaga wszystko znieść.

„Mój ojciec... odszedł od nas”. „Jak to się stało?” „Wybrał się do Gudermes do dentysty, bo bolał go ząb... Nie wrócił. Kiedy zaczęłyśmy przepatrywać dom, okazało się, że znikły wszystkie jego rzeczy. Mój wujek i kuzyni pojechali go szukać, ale jego wcale nie było w Gudermes... Nigdy tam nie dotarli”.

Kiedy wyrzuciła z siebie cały ból i wypila trzy szklanki herbaty, kiedy dwa, a nawet trzy razy powtórzyła to, co było do powiedzenia, i niczym detektyw odtworzyła poranek w dniu zniknięcia ojca, odezwała się Natalia

Iwanowna. Zaczęła się zastanawiać nad przyczyną tego, co się stało. Nura odebrała to jak szyderstwo, nie chciała słyszeć nawet o jednym, nie mówiąc o wielu możliwych powodach postawy ojca. „Nic nie usprawiedliwi jego zachowania. Nie ma dla niego żadnego wytłumaczenia. I nigdy nie będzie” – myślała wtedy. Nie przyjmowała spojrzenia na sprawę Natalii Iwanowny. Nie wysłuchiwała jej do końca, wypadła z szopy bez pożegnania. Wyrozumiałość i akceptacja decyzji ojca przyszły dopiero później, wiele miesięcy po fakcie, ale wtedy, tamtego dnia, czuła tylko nienawiść. A to, że Natalia Iwanowna nie podzielała jej odczuć, wydało jej się niewybaczalne.

„Może niektórym ludziom dane jest znajdować szczęście tylko w sprzeciwie wobec otoczenia” – powiedziała Natalia.

Mówiła jeszcze dużo innych rzeczy, próbując dociec przyczyn niezdolności jej ojca do tego, by stać się częścią wspólnoty, w której żył do tej pory. Wtedy Nura nie chciała tego słuchać. Lecz teraz, kiedy zwalnając kroku, szła za uwodzającym szumem rzeki i poddawała mu się, zaczęła się zastanawiać, czy nie odziedziczyła po ojcu tej skłonności do sprzeciwiania się zawsze i wszędzie. Na myśl o tym posmutniała, lecz czuła, że nie pozwoli opanować się temu uczuciu, że z każdym krokiem będzie zrzucać z siebie wszystkie uciążliwe, niepotrzebne myśli i przyjdzie do domu lekka i wolna.

W tym samym momencie usłyszała trąbienie auta, a z dala rozległy się wołania. Były to męskie głosy. Obejrzała się: od aułu zbliżało się auto, nie, nawet dwa, i trąbienie przeszło w ciągły denerwujący hałas, potem znowu powtórzyły się wołania. Zatrzymała się i usiłowała dostrzec coś w ciemności, by pojąć przyczynę nieprzyjemnego niepokoju, lecz hałas i zamęt nie układały się w żaden spójny obraz, w żaden sens. Ruszyła dalej, ale teraz z innej strony z wielką prędkością pędziło kolejne auto – brudny terenowy samochód mignął tylko obok niej. Z uchylonego okna wystawały flagi Czecheńskiej Republiki Iczkerii, a siedzący z tyłu młodzi mężczyźni w żołnierskich kurtkach coś wykrzykiwali. Za nimi jechały dwa następne auta, stare łady, i też bez przerwy trąbiły, a mężczyźni w nich skandowali patriotyczne hasła. W ciągu paru sekund w zwykły spokój wąwozu wkroczył

obcy hałas i gorączkowy tumult.

Próbowała rozpoznać twarze, lecz było zbyt ciemno, poza tym oślepiały ją reflektory samochodów. Zeszła na pobocze. Miała nadzieję, że hałaśliwa karawana minie ją szybko. Tymczasem pojawiało się coraz więcej pędzących aut. Pomyślała, że może gdzieś w okolicy odbędzie się jakaś uroczystość albo bogate wesele, ale flagi, wrzaski i liczba młodych mężczyzn to wszystko było dziwne i nie zapowiadało radosnego świętowania. Atmosfera miała w sobie coś elektryzującego, coś z amoku. Nura przyglądała się grze świateł rzucanych przez reflektory, a ich pojawianie się i znikanie wzmocnione nieustannym, równomiernym szumem rzeki wywoływało wrażenie czegoś nierealnego.

Nagle usłyszała, że ktoś wykrzykuje jej imię. Przestraszyła się i zaczęła szukać wzrokiem tego, kto mógł ją wołać, lecz mijała ją teraz w pędzie kolumna aut. Zacisnęła mocno powieki, obracając głowę w jedną i drugą stronę i przyciskając do siebie worek z mąką.

– Nura, Nura! – przekrzykiwał ktoś huk motorów i pisk opon, trąbienie samochodów, wrzaski i śpiewy.

Najpierw pomyślała o Musie, że wrócił samochodem ojca, żeby ją zawieźć do domu, lecz po chwili rozpoznała ochrypły głos Rustama, swego najstarszego kuzyna. Nie wiedziała, czy poczuła ulgę czy rozczarowanie. Rustam siedział w żółtym, rozklekotanym aucie swego ojca. Zdziwiło ją, że był sam, bez nieodłącznej kompanii braci i kolegów obdarzonych nadmiarem testosteronu.

– Wsiadaj, szybko! – rzucił przez uchylone okno, zatrzymując się z piskiem opon na skraju jezdni.

Wskoczyła na siedzenie obok kierowcy i zanim zdążyła zatrzasnąć drzwi, samochód ruszył z miejsca.

– Szukam cię już ponad pół godziny! Zwariowałaś? Dlaczego idziesz główną drogą?!

Wyglądał na zdenerwowanego. Zapalił papierosa, choć nigdy nie palił w obecności ojca, a to przecież było jego auto.

„Typowe dla Rustama: po prostu się nie zastanawiać” – przemknęło jej przez głowę.

Ciepło panujące w aucie było miłe.

– Dlaczego mnie szukasz? Nana wiedziała przecież, dokąd poszłam...

– Nie wiesz o niczym?

Pokręciła głową, a wtedy on włączył radio. Najpierw pojawił się znajomy szum. Tu, w wężym, nie było łatwo złapać stację, często widziało się improwizowane, krzywe, łączone z kawałków metalu anteny, które konstruowano w nieustannym wysiłku poszukiwania dobrego odbioru.

Z przeciwka pędziły z dużą szybkością dwa wozy terenowe. Rustam zwolnił i wychylił się z okna.

– *Salam alejkum*, bracie! – wykrzyknął ktoś.

– *Maszallah!* – zawołał Rustam w odpowiedzi.

– Wolność narodowi czeczeńskiemu! – krzyczeli mężczyźni, których twarzy Nura nie rozpoznawała.

– Wolność! – odpowiedział Rustam nieco powściągliwiej.

Wykrzykiwali jeszcze inne hasła, ale Nura przestała słuchać, bo radio w aucie złapało stację i dotarły do niej słowa: „wkroczenie wojsk”, „obowiązek obrony kraju”, „interwencja militarna”, „prezydent Federacji Rosyjskiej”. Poczła miękkość w kolanach. Nie miała odwagi dopuścić do siebie myśli, która nieuchronnie się narzucała. Dopiero kiedy Rustam znów nacisnął pedał gazu i na rozwidleniu skręcił z głównej drogi w małą odnogę w kierunku jej domu, na której na szczęście nie było żywego ducha i panowała zupełna ciemność, odważyła się spytać:

– Mamy wojnę?

– Tak.

Poczuła ulgę, że Rustam o nic nie pyta ani nie prawi jej kazań.
W milczeniu podwiózł ją pod dom.

Przed drzwiami stała niezliczona ilość butów. W dużym pokoju tłoczyły się kobiety z sąsiedztwa, była też ciotka, matka Rustama, która tuliła do siebie przestraszoną Asmę. Stara Rabyat, królowa pszczelarzy, jak ją z sympatią nazywano, chodziła po pokoju w tę i z powrotem z rękami założonymi do tyłu, mruczając jakieś modlitwy o szczęście i prośby o pokój. Przyszły nawet kobiety Gasujewów. Mężczyzn nie było, zapewne zgromadzili się u muftego, a może zwołali radę starszych.

Nura ściągnęła buty i weszła do środka, skinęła głową obecnym, potem z szacunkiem skłoniła się przed Rabyat. Ta odpowiedziała uśmiechem, widać było, że odetchnęła z ulgą na widok dziewczyny, lecz uwagi Nury nie umknęła dezaprobata w spojrzeniu starszej kobiety – nie miała chusty na głowie. Być może Rabyat pocieszała się myślą, że najpóźniej po zamążpójściu nienakryta głowa Nury będzie należała do przeszłości.

– Gdzie byłaś?! O mało nie umarłyśmy z niepokoju! – zawołała matka, podchodząc do Nury.

– Nie miałam pojęcia, nic do mnie nie dotarło, skąd mogłam wiedzieć... – cicho mówiła Nura, powtarzając te słowa jak w oszołomieniu.

Może rzeczywiście była oszołomiona, może jej ciało było mądrzejsze od niej, może w ten sposób ją chroniło. Nic nie czuła poza dystansem między sobą a tym, co działo się wokół niej.

– Bogu dzięki, że wreszcie jesteś! – krzyknęła ciotka i ucałowała Nurę w czoło.

Nura nie była przyzwyczajona, by kobiety okazywały na jej widok taką radość, przeważnie reakcje, jakie wywoływała swoim pojawieniem się, były zupełnie innego rodzaju.

Jedyną istotą, która budziła w niej jasne i żywe uczucie, była jej dziesięcioletnia siostra Asma, do której zawsze, gdy się widziały, puszczała

oko. Właśnie teraz było to konieczne, bo Asma się bała. Widać to było po jej szeroko otwartych oczach. Nura potrafiła dostrzec jej napięcie i niepewność. Musi dodać jej odwagi, drobnymi gestami przekonać ją, że wszystko jest w porządku, że nie ma się czego bać. Tak bardzo by chciała, żeby jej śliczna siostrzyczka widziała świat od najlepszej strony. Szkoda, że Asma była za mała, kiedy Natalia Iwanowna przybyła do wąwozu z kasetami wideo i swymi czarami. Nura chętnie przekazałaby siostrze to, czego się nauczyła, pokazałaby jej wszystkie tamte filmy. Asma zasługiwała na wiele, na to, by się śmiać, tańczyć, dostawać torty, wiśnie, kwiaty, zwiewne sukienki, podróżować, mieć perspektywy na przyszłość, własne poglądy i radości.

Nura poszła do kuchni, gdzie starsza z siostr Gasujewych przygotowywała twaróg na czepałgasze.

– A, to ta dobra mąka... – powiedziała i wzięła od Nury worek.

W oddali czekał pies. Nastrój, jaki panował w domu, był tak przytłaczający, że miało się wrażenie, iż głowę uciska stalowy hełm. Trąbienie aut na głównej szosie ucichło i okolica pograżyła się znowu w przejmującej ciszy, w której słyszało się tylko szum rzeki, typowy dla tej pory dnia.

Gasujewa zaczęła rozmowę, co oznaczało, że głównie ona będzie mówić, a Nura ma tylko od czasu do czasu pokiwać głową i westchnąć: „Tak, tak, okropne to wszystko”. Nura słuchała chwilę, lecz gdy Gasujewa na moment umilkła, powiedziała, że musi umyć ręce, i wyszła z kuchni. W sieni włożyła gumowce i wymknęła się z domu tylnym wyjściem. Objęła wzrokiem spokojne podwórze. Wydało jej się, że nie ma ono żadnego związku z tym, co się dzieje w domu. Jakby to były dwa zupełnie inne światy.

Natalia Iwanowna w ostatnich tygodniach przed wyjazdem nieustannie mówiła o wojnie. Nurę drażniła jej obsesja i łapała się na tym, że coraz rzadziej chciało jej się ją odwiedzać. Zamiast obejrzeć sobie jakiś film, Natalia Iwanowna chodziła zafrasowana w tę i w tę, wypijała morze herbaty, mokrymi oczyma patrzyła w dal i prorokowała coś niedobrego.

Sprawiała wrażenie, jakby nie była całkiem przy zdrowych zmysłach, i Nurze coraz trudniej było zachować przy niej pogodę ducha. Ale teraz, gdy Nura stała w ciemnym ogrodzie, zrozumiała, że to nie były urojenia, i poczuła piekący żal, że nie słuchała jej uważniej. Nie była też dla niej żadnym oparciem i Natalia Iwanowna musiała to odczuć, bo w ostatnich tygodniach zamknęła się w swojej samotności jak w skorupie. Powróciła tam, gdzie była po śmierci męża, kiedy Nura pierwszy raz przysłała do szopy i próbowała razem z nią rozwiązać zagadkę kostki Rubika.

Pewnego wieczoru Natalia Iwanowna przysłała po nią chłopaka z sąsiedztwa, czego nigdy dotąd nie robiła, Nura bowiem zawsze przychodziła do niej z własnej woli. Pobieгла więc do niej, mimo późnej pory i narzekań matki, i zastała Natalię Iwanowną ze spakowanymi walizkami i torbami. Nauczycielka uśmiechała się łagodnie, a w oczach miała dziwny blask.

– Muszę cię opuścić, moja śliczna – powiedziała, po dziewczęcemu przechylając głowę na bok.

– Jak to „opuścić”?! Wyjeżdżasz?

– Nie mogę zostać dłużej. Spełniłam swoje zadanie. Ruszam dalej.

– Ale co będzie...

– Tu już nie jest dla mnie bezpiecznie.

– Dlaczego?

– Wszystko, co mam ci jeszcze do powiedzenia, napisałam w tym liście. Przeczytasz go po moim odjeździe. Wyjeżdżam jutro rano.

– Ale dokąd?

– Tego jeszcze nie wiem. Jak tylko znajdę dla siebie miejsce, przyślę ci wiadomość, obiecuję.

Trzy walizy z kasetami i cztery torby to było wszystko, co miała; dorobek jej życia ściśnięty i upchany w tych tobołach. Nurę to kompletnie zaskoczyło,

a przede wszystkim rozzłościło. Choć w ostatnich tygodniach oddaliła się od swej nauczycielki, nie znaczyło to jeszcze, że ta przestała być dla niej ważna, to zaś, że Natalia Iwanowna tak po prostu postanowiła wyjechać, bez uprzedzenia, wydało jej się niezrozumiałe, dotknęło ją.

Zesztywniała, nie wiedząc, co powiedzieć. W jej głowie kłębiło się mnóstwo myśli, lecz milczała, niezdolna wyrazić, co czuje.

– To nie-nie-sprawiedliwe – rzekła wreszcie, jękając się, i strzeliła palcami, czego Natalia Iwanowna nie znosiła.

– Wiem, czujesz do mnie żal, ale mam nadzieję, że gdy przeczytasz ten list, inaczej na mnie spojrzysz. Bardzo bym chciała, żebyś mnie zrozumiała i...

Urwała, podeszła do Nury, objęła ją, przycisnęła do siebie jej głowę, potem pocałowała w policzki i w czoło i powiedziała krótko, rzeczowo, jakby to była formalność:

– Teraz idź już, proszę. Nie lubię długich pożegnań.

W swoim dwustronicowym liście pożegnalnym napisanym wytwornym charakterem pisma i zaczynającym się od: „Najukochańsza Nuro” Natalia Iwanowna mówiła o wojnie. O wojnie i o tym, że dla niej samej nie ma wytchnienia i że ma niedobre przeczucia co do przyszłości, że tęskni za pokojem i za miejscem, do którego chce dotrzeć. Dziękowała Nurze za miesiące ich przyjaźni, za wszystko, co sobie dały, i zachęcała ją, by zawsze pamiętała o swoim „ja”, nie lekceważyła go, nie zdradziła samej siebie. „To w życiu najważniejsze” – pisała. Dodała jeszcze, że w spizarce za zielonymi drzwiami, w metalowej puszcze z napisem „cukier”, jest coś, co dla niej schowała, mała pamiątka. Ona sama nigdy Nury nie zapomni i zachowa ją w sercu na zawsze ze szczególną miłością. List był podpisany „Twoja Natalia”.

Kiedy Nura go czytała, łzy spływały jej strużkami po policzkach, a jednocześnie czuła się rozżalona, że Natalia tak po prostu odjechała, tak po prostu odeszła. Niechętnie, przełamując wewnętrzny opór, poszła do szopy.

Klucz leżał jak zwykle pod wycieraczką. W środku pozostała jeszcze garstka mebli, ale brakowało czegoś ważnego, najważniejszego. I nawet zapach już się zmienił. Pachniało opuszczeniem, pustką, przez jedną noc wszystko straciło swój czar. Nura wśliznęła się do spiżarki, cicho, jakby się bała, że powrócą dawne wspomnienia, i zobaczyła tam trzy zakurzone, lekko zardzewiałe metalowe puszki. W puszcze na cukier znalazła kolorową kostkę Rubika, czarodziejską kostkę, której zagadkę z początku próbowała rozwiązać, lecz po pewnym czasie, zniecierpliwiona i poirytowana, zwróciła zabawkę jej właścicielce. Zrobiła to, bo bała się, że rozczaruje Natalię Iwanownę, jeśli nie uda jej się rozwiązać zadania. Do prezentu taśmą klejącą była przyczepiona karteczka: „Mnie się nie udało, ale Tobie na pewno się uda”. Obracała w ręku kolorową kostkę, a do oczu napływały jej łzy. Nie, to było podłe. Natalia nie powinna tak szybko wyjechać, to tchórzostwo, niesprawiedliwość. Wrzuciła kostkę do puszki – nie, z nią nie pójdzie jej tak łatwo, ona, Nura, nie spełni jej oczekiwań. Gdyby Natalia została, to co innego, ale tak, na odległość, nic z tego nie będzie. Zatrzasnęła za sobą drzwi i wybiegła, pozostawiając kostkę Rubika w zardzewiałej puszcze.

Ogród pogrążony był w uśpieniu. Nura kilka razy głęboko odetchnęła, zanim obeszła dom i zatrzymała się przy oknie dużego pokoju, w którym przed odbiornikiem radiowym zebrały się wszystkie sąsiadki. Nie słyszała dokładnie treści podawanych wiadomości, skupiła się więc na twarzach kobiet – malowały się na nich niepokój, niedowierzanie, zaskoczenie i gorączkowy entuzjazm. Dziwiła się, że nie poszły do Gasujewów, którzy mieli kolorowy telewizor, jedyny w najbliższym sąsiedztwie. Pewnie tam siedzieli już mężczyźni, a one tutaj musiały zadowolić się słuchaniem radia. Może zresztą tak było lepiej. Pośród podnieconych kobiet dojrzała Asmę, która wyglądała jak gazela zabłąkana w stadzie jeleni, niewiedząca, gdzie jest jej właściwe miejsce. Nura zbliżyła się do okna, ale Asma i tak nie miała szans dostrzec jej w tej ciemności.

Stała pod oknem, jakby wykradła się z własnego życia i podglądała cudze. Widziała, jak matka co rusz nerwowo wyciera ręce w fartuch, jak młodsza

z sióstr Gasujewych zagryza dolną wargę, jak ciotka zaciska pięści, by odwrócić swą uwagę od gwałtownej potrzeby zapalenia (w ubikacji w jej domu zawsze śmierdziało papierosami, co starała się tuszować zapachem okropnych perfum). Widziała, jak królowa pszczelarzy, stara Rabyat, kiwa się w przód i w tył jak w transie, próbując się uspokoić.

Na krótko przed końcem wojny, w 1944 roku, Rabyat była jedną z pół miliona Czeczenów i Inguszy brutalnie deportowanych do Kazachstanu i Kirgistanu na rozkaz Stalina z powodu rzekomego nieposłuszeństwa i współpracy z nazistami. Potem jak pochodnia, której nie wolno zgasnąć, przekazywała wspomnienie niekończącej się jazdy w bydłowych wagonach swoim córkom, synom i wnukom. Opisywała udręki wygnania i wszyscy, nawet ci, którzy od dawna znali jej opowieść na pamięć i na wrywki, słuchali jak urzeczeni, jakby historie te miały w sobie jakąś okrutną magiczną siłę. Nikt nie odwracał się obojętnie, nikt nie odchodził, gdy zaczynała mówić. Opowieści Rabyat ludzie przekazywali dalej, dzieciom i dzieciom swoich dzieci, przyjaciółom, kolegom z klasy, były one wszechobecne, wpisały się w kolektywną pamięć mieszkańców wąwozu.

Istniało wiele historii – o podróży pociągiem i głodzie, o obozach pracy w Kazachstanie, o tęsknocie za górami i cicho nuconych pieśniach z rodzinnych stron, ale jedna z nich wryła się najmocniej w pamięć Nury i szła za nią przez całe dzieciństwo. Jeszcze dzisiaj, kiedy Nura patrzyła na Rabyat, gdy dostatecznie długo jej słuchała, nawet gdy ta mówiła o jakiś banalnych, błahych sprawach, w pamięci Nury pojawiały się te opowieści. Wewnętrznym okiem widziała małą Rabyat. Widziała, jak ze swoją matką i czwórką starszego rodzeństwa, wyrwana siłą z ojczyzny, ze znanego otoczenia, jedzie przez niekończące się stepy w bydłowym wagonie, w którym panuje straszliwy upał, brakuje wody i nawet nie można swobodnie stanąć. Ale rodzina zawsze trzymała się razem, a ponieważ Rabyat była najmłodsza, dbano o nią szczególnie: dostawała nawet dodatkową porcję z racji żywnościowych starszych, a matka pilnowała, żeby nie chodziła do innych wagonów, gdzie, jak szeptano, było wielu chorych, którzy pluli krwią. Pociąg

nigdzie się nie zatrzymywał na dłużej, nie było wytchnienia. Brakowało świeżego powietrza i wody do mycia. Matka robiła, co mogła: zwilżała ściereczkę odrobiną wody do picia i wycierała nią dzieci.

W wagonie oprócz matki Rabyat – ojciec walczył na wojnie – była też piękna ciotka Hawa z dwojgiem małych dzieci. Jej mąż został oskarżony o udział w powstaniu Israilowa, który w 1940 roku poderwał garść Czczenów do walki z Rosjanami, oraz o kolaborację z nazistami, skazany na śmierć i stracony. Hawa została sama z czteroletnim chłopcem i niemowlęciem przy piersi. Płakała przez całą drogę i matka Rabyat była zmuszona przywoływać ją krzykiem do porządku, czasami ją nawet policzkowała, żeby ta wzięła się w garść ze względu na dzieci i żeby swymi wybuchami rozpacz nie ściągnęła niebezpieczeństwa na siebie i całą rodzinę. „Hawa kochała swojego męża, w całym aule i daleko poza nim krążyły legendy o jej miłości – dorzucała w tym miejscu Rabyat – i kiedy go stracono, zawałił jej się świat”. Ale siostra Hawy troszczyła się o jej dzieci, jak umiała, i zmuszała Hawę, by choć czasem coś zjadła. Choroba jednak – Rabyat nigdy nie wymieniała jej nazwy, jakby samo jej wypowiedzenie mogło ściągnąć nieszczęście – zbierała wkoło żniwo i również czteroletni syn Hawy zaczął pluć krwią. Chłopiec dostał gorączki i zwracał wszystko, co zjadł. Matka Rabyat błagała strażników pilnujących transportu, by sprowadzili lekarza na jakimś postoju, ci jednak powtarzali jak automat, że rozkaz nie przewiduje dłuższych postojów. Jechali więc dalej i dalej, chłopiec był coraz bardziej chory, aż pewnego dnia umarł z gorączki w ramionach swej pięknej matki. Hawa siedziała jak skamieniała, podczas gdy matka Rabyat i inne kobiety śpiewały pieśni żałobne i przeklinały los. Upał nie pozwolił im jednak długo opłakiwać synka Hawy, należało go pochować. Strażnicy powtarzali tępo, że rozkaz nie przewiduje dodatkowego postoju. Matka Rabyat i inne kobiety zaczęły krzyczeć, że strażnicy są nieludscy, że trafią do piekła. Tylko piękna Hawa – istna gwiazda filmowa, tak wyobrażała ją sobie Nura, bo Rabyat sławiła jej urodę, jej szarozielone oczy, mleczną cerę, gęste włosy w kolorze miedzi i bezbronny smutek w twarzy – tylko Hawa ani drgnęła, nie wypuszczała dziecka z rąk i patrzyła przed siebie,

jakby widziała coś, co przed innymi było zakryte: rozwiązanie wszystkich jej problemów.

Strażnicy kazali wyrzucić ciało dziecka z pociągu. Kiedy ktoś umarł w innym wagonie, postępowano tak samo, bez wyjątku. Cóż by to było, gdyby dla każdego, kto tylko o to poprosi, robić wyjątek. Dano Hawie jeszcze godzinę, po czym przez uchylone na chwilę drzwi małe nieruchome ciało miało zostać rzucone na spaloną bezlitosnym słońcem stepową ziemię. Matka Rabyat płakała i trzymała niemowlę Hawy mocno przy piersi. Płakało rodzeństwo Rabyat i wszystkie kobiety, tylko Hawa siedziała nieporuszona ze swoim martwym synkiem w ramionach, patrząc przed siebie. I kiedy przyszedł ten moment, i otwarły się ciężkie drzwi, a do środka wagonu wtargnęło gorące, przesycone piaskiem powietrze i wszyscy z przerażeniem zasłonili twarze, ta piękna kobieta stanęła w drzwiach, spokojna, odprężona, odwróciła się jeszcze raz, uśmiechnęła się do wszystkich, spojrzała swej siostrze w oczy, jakby odbierała od niej przyrzeczenie – Rabyat zawsze w tym miejscu mówiła, że jej matka musiała czuć i rozumieć, iż nie ma sensu powstrzymywać nieszczęsnej, więc tylko skinęła głową: „Niech się stanie, co ma się stać, nie pozwolę zrobić krzywdy niemowlęciu” – i kiedy strażnik krzyknął do niej, żeby się pospieszyła, Hawa z martwym synkiem w ramionach skoczyła w oślepiające światło.

Nura posłała Asmie jeszcze jeden uśmiech, którego Asma nie mogła zobaczyć, lecz który z pewnością poczuła, i odeszła spod okna. W części podwórza, gdzie trzymano drób, panował spokój. Kury spały. Matka nienawidziła tych, jak mówiła, „odrażających zwierząt”. Nura nigdy nie mogła zrozumieć, dlaczego matka tak nie znosiła tego nieszkodliwego ptactwa. Było przecież pożyteczne, a one wszystkie, trzy siostry, od dziecka lubiły pisklęta i chętnie zabierały je do domu, ukradkiem wtulając buzie w ich mięciutki puch. Poza tym hodowla drobiu okazała się bardzo opłacalna, bo w kotlinie wszyscy mieli tylko owce i kozy. Lecz matka zapewne nienawidziłaby każde zwierzę i każde zajęcie przypominające jej o odejściu męża. Kury jej właśnie o nim przypominały i odżywał wstyd, w jakim

musiała żyć. Każdego ranka, kiedy wchodziła do zagrody, żeby ją posprzątać, przeklinała go. Za każdym razem, kiedy zbierała jajka z Nurą i Asmą, zatapiała się w głębokim i ciężkim milczeniu, a one wiedziały, że myśli teraz o ojcu. O tym, że to on powinien tu stać, to on powinien dbać o ptactwo, troszczyć się o czystość kurnika i karmę dla kur, powinien tu być, z nimi, z nią, swoją żoną, i swoimi córkami. I nie powinien był mieć chorych rojeń, powinien przykrócić pragnienia i marzenia, a historia ich małżeństwa potoczyłaby się inaczej, przyszłość rodziny byłaby inna niż ta, która teraz jest jej udziałem.

Nura okrążyła zagrodę dla kur i ruszyła ścieżką, którą znała na pamięć.

Matka Rabyat dotrzymała obietnicy, karmiła niemowlę swej siostry kozim mlekiem i wyrósł z niego zdrowy chłopak. Pod koniec lat pięćdziesiątych wrócili z wygnania do kotliny, do swych gór, do domu, do aułu, do którego, jak wszędzie, przesiedlono tymczasem wielu obcych z zachodniej części kraju – Słowian o jasnych włosach, bez bród, takich jak Pankow, zdolny weterynarz, który rozdawał dzieciom kolorowe cukierki. Synek Hawy stał się mężczyzną. Rabyat i jej rodzeństwo byli w dzieciństwie zazdrośni o tego kuzyna, o oddanie, z jakim ich matka się o niego troszczyła. Wydawało się, że przelała na niego całą miłość. Mężczyzna, na którego barkach spoczywał tak wielki ciężar rodzinnej historii, miał dokonać rzeczy nieprzeciętnych. I sprostał tym oczekiwaniom. Jako jedyny z rodziny Rabyat wyjechał z wąwozu, studiował w Moskwie, później pracował w służbie dyplomatycznej, a jeszcze później wrócił w rodzinne strony, wszedł do zarządu Grozneftgazu i w krótkim czasie stał się niezwykle zamożnym człowiekiem.

Nura jeden jedyny raz widziała tego mocnego, wysokiego mężczyznę. Było to na weselu najstarszego syna Rabyat. Rozczarował ją wtedy tak, że o mało się nie rozplakała. Wyobrażała go sobie przecież jasno i wyraźnie, najbarwniej jak można, z wieloma szczegółami, a wtedy, kiedy w pewnym oddaleniu siedział przy stole i gdy wygłaszał mowę, jej fantazja rozbiła się o rzeczywistość jak łódka o przybrzeżne rafy. Patrzyła na brodacza, który

wznosząc toasty, zbyt często jak na jej gust prosił o Boże błogosławieństwo, jakby cała jego historia i to, że przeżył, nie było cudem. Wszyscy go uwielbiali, lecz nie dlatego, że jako jedyny z całej rodziny ocalał z tamtego piekła dzięki desperackiej miłości siostry swej matki, lecz dlatego, że coś osiągnął. Lecz czym było owo coś? Czy to było to, czego pragnęła dla niego jego piękna matka, nim wyskoczyła z pociągu z jego martwym starszym bratem w ramionach? Czy w tym, co czynił i kim się stał, istniała jakaś logika? Jaki byłby, gdyby jego życie pozostało jedną prostą linią? Jakże naiwne było z jej strony oczekiwanie, że powinien się stać kimś w rodzaju Hadzi Murata^[8]! Czy życie samo w sobie nie było wystarczającym powodem, by chcieć żyć? A może jego egzystencja tylko wówczas mogła usprawiedliwić śmierć jego bliskich, kiedy on sam coś osiągnął?

Zastanawiała się nad tym cały wieczór, pomagając z matką ciotce Rabyat, jej córkom i szwagierkom w gotowaniu i podawaniu do stołu. Dlaczego widok tego człowieka tak bardzo kłuł ją w oczy? Co ją irytowało? W pewnej chwili wymknęła się niepostrzeżenie i ukryła w szklarni. Padał deszcz i szklarnię otulał welon cieplej mgły. Tu od razu poczuła się bezpiecznie. Usiadła i obserwowała deszcz, myśląc o życiu, które stawia tak wiele pytań i które jest dla niej tak wielkim wyzwaniem, a zarazem tak ją pociąga. Nagle usłyszała kroki ojca, a potem swoje imię. Była zaskoczona, bo to matka zwykle jej szukała, nie ojciec, tym bardziej że siedział za stołem z innymi mężczyznami, a po części oficjalnej, kiedy ważni goście już poszli, pił z sąsiadami samogon dolewany z dzbana do herbaty.

– Jesteś tu, Nura?

Jego głos był zawsze spokojny, rozważny, nigdy krzykliwy. Oszczędnie operował słowami, przez co każde miało szczególną wagę.

Nie zastanawiając się, odpowiedziała:

– Tak.

– Co tu robisz?

– Potrzebowałam trochę ciszy.

– Rozumiem. Ale coś sprawiło, że posmutniałaś, obserwowałem cię – rzekł po chwili.

Stanął obok niej i razem patrzyli na deszcz.

– Ten człowiek, siostrzeniec Rabyat...

– Co z nim?

– Inaczej go sobie wyobrażałam.

– To ważna figura.

– Ale jego historia, wiesz przecież, ona jest równie ważna. To, co spotkało jego rodziców i jego brata...

Nagle zaczęła płakać i choć było jej głupio, że płacze bez wyraźnego powodu, nie mogła się powstrzymać.

– Wydaje mi się...

Urwała, bo nie znajdowała słów. Nie potrafiła jasno nazwać tego, co jej przeszkadzało, co ją tak rozstroiło. Coś tu nie grało, było fałszywe, nie pasowało do siebie, lecz nie wiedziała, co to dokładnie jest, jakby w puzzlach brakowało jednej zasadniczej części, bez której nie da się rozpoznać całego obrazu.

Ojciec objął ją i przyciągnął do siebie. Położyła mu głowę na ramieniu. Poczuli się dobrze, bezpiecznie i pewnie, jakby już nigdy nic nie mogło jej zagrozić.

– Musiał się stać tym, kim jest, żeby przeżyć – odezwał się po chwili.

Wyciągnął z kieszeni marynarki paczkę papierosów. Palił te same od lat – gardził zachodnimi markami, które nagle stały się dostępne.

– Musiał się stać odporny na zranienia, inaczej jego przeszłość odcięłaby mu powietrze potrzebne do życia, zadusiłaby go – powiedział cicho. – Musiał przeżyć, nie miał wyboru. – Zaciągnął się głęboko, a papieros rozjarzył się w wilgotnym powietrzu. – Niekiedy światło bywa maską ciemności.

To dziwne, że od razu, kiedy padło słowo „wojna”, pomyślała o tym mężczyźnie i o bydlęcym wagonie. Czy to była wojna? Przerwane, okaleczone i jakby wypadłe ze swego czasu życie i nielogiczna biografia? A może życiu tak czy inaczej brakuje logiki, zarówno podczas pokoju, jak i w czasie wojny? Dlaczego znowu wraca myślami do tego brodatego mężczyzny, który kiedyś był nieświadomym niczego niemowlęciem? Na co ma się przygotować? Na co wszyscy mają się przygotować?

Czy wojna była bydlęcym wagonem pilnowanym przez mężczyzn, którzy decydowali o życiu i śmierci? Czy były to kobiety, które zastygały jak posągi, i mężczyźni, którzy zapominali o swojej przeszłości, bo wiedzieli, że muszą przeżyć z powodu danej przed laty obietnicy? Ale przeżyć za jaką cenę? A może cena nie miała w tym wypadku znaczenia?

Musi uciekać. Nie, wszyscy muszą uciekać. Nie może pozwolić, żeby jej życie, życie jej matki i Asmy zależało od czyichś rozkazów, nie może się zgodzić, by toczyło się według reguł, których nie będzie akceptować. By jej istnienie straciło logikę. Potrzebowała planu. W najbliższych dniach stworzy plan przetrwania.

W oddali zaszczekał pies. Spojrzała w niebo. Po księżycu nie było już śladu. Wszechogarniająca ciemność dawała jej bezpieczeństwo, była osłoną i pocieszeniem. Tak, ojciec miał rację: czasami światło bywa maską ciemności. Wysnuła stąd wniosek, który na moment ją pokrzepił: może ciemność jest maską światła.

[1] Społeczeństwo czeczeńskie dzieli się na wary, które są odpowiednikiem rodu, klanu, oraz na tejpy – rodzaj wspólnoty terytorialnej składającej się z jednej bądź kilku wsi. Obecnie, po włączeniu Czeczenii do Federacji Rosyjskiej, tejpy nie odgrywają już tak ważnej roli jak kiedyś (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

[2] Nohczo – Czeczen (Czeczeni nazywają siebie Nohczi).

[3] Czepałgasze – placki na słono z serem, specjalność kaukaska. Układa się je jeden na drugim, kroi, a potem polewa masłem.

[4] Auł – osada górali kaukaskich.

[5] Adat (arab. zwyczaj) – prawo zwyczajowe funkcjonujące w niektórych krajach muzułmańskich obok opartego na Koranie prawa religijnego (szariatu).

[6] Wajnachowie – narody północnego Kaukazu, takie jak Czeczeni i Ingusze.

[7] Istniejący od starożytności dwustukilometrowy szlak biegnący w poprzek Wielkiego Kaukazu, od Tbilisi w Gruzji do Władykaukazu w Osetii Północnej, w drugiej połowie XIX wieku został przebudowany według projektu i pod nadzorem Polaka, Bolesława Statkowskiego, i nazwany Gruziniąską Drogią Wojenną.

[8] Hadzi Murat – jeden z najważniejszych przywódców górali w Dagestanie i Czeczenii zbrojnie sprzeciwiających się włączeniu ich ziem do Imperium Rosyjskiego. O jego czynach krążyły legendy, a Rosjanie nazywali go Czerwonym Diabłem.

RAZ: ODŁAMEK

1995/OSESEK

„Gwałtownie bije tve serce w obliczu strasznego zamiaru”. Bezgłośnie powtórzył to zdanie. Delektował się nim, jakby ssał cukierek, kwaskowaty i przepyszny. Cienką rozsypującą się książeczkę zapakował razem z innymi, solidnie wyglądającymi książkami do zielonego plecaka, który matka przygotowała mu na wyjazd z Moskwy.

Plecak, pełen rozmaitych przysmaków i pamiątkowych drobiazgów, matka położyła przed nim bez słowa w dużym pokoju na sofie. Połowę jego zawartości po cichu wyjął w nocy w swoim pokoju, kilka godzin przed odjazdem – nie chciał się narażać na docinki, jakie mógł sprowokować widok matczynych prezentów. I bez tego często był obiektem kpin rówieśników.

Ale nie odmówił sobie zabrania kilku książek ze swojej biblioteczki.

Chciał koniecznie, żeby mu towarzyszyły, kiedy rusza w tę przerażającą niewiadomą, której na imię wojna. Nigdy by nie przypuszczał, że wojna stanie się kiedyś częścią jego życia. Książki wrzucone do starego plecaka jego nieżyjącego ojca były jedynymi wypróbowanymi towarzyszkami w czekającej go niebezpiecznej drodze. Jasne, książki w tych okolicznościach nie liczyły się zupełnie, mogły go tylko skompromitować, narazić na kpiny, jeszcze bardziej ośmieszyć, na wojnie obowiązywały przecież inne zasady, wiedział o tym z przerwane go szkolenia wojskowego. Ale bez przynajmniej kilku z nich nie mógł wyjechać z Moskwy.

Na widok plecaka nie powiedział nic i matka też milczała. Słowa w tym momencie były zbędne. Oczywiście matka dała mu tym samym znak. Niemal fizycznie czuł jej oczekiwania i to zwiększało ciężar bagażu o kilka kilogramów. Oczami wyobraźni widział, jak matka wyciąga ten plecak z najgłębszego zakamarka stojącej w sypialni ciężkiej dębowej szafy, dawno niewietrzonej, w której pachniało czymś trudnym do określenia i w której

przechowywała odznaczenia wojskowe ojca, jego medale, plik jego listów do niej z czasów Afganistanu oraz fajkę. Dla matki każdy przedmiot z przepastnej szafy był relikwią. A plecak przypuszczalnie czymś w rodzaju Świętego Graala. Towarzyszył ojcu wszędzie, w skalistych górach i na suchych jak pieprz pustyniach, w szturmach, pod gradem kul, w trakcie bombardowań i wśród ludzkich krzyków, towarzyszył w długiej, pachnącej żelazem drodze. Matka przybierała zawsze ten szczególny wyraz twarzy, gdy wspominała bohaterskie czyny ojca, jakby złożyła przysięgę, że będzie żyć tylko po to, by opowiadać innym, a zwłaszcza synowi, że jego ojciec był tytanem, że przyszedł na świat, by ratować ludzkość, która jednak w Afganistanie nie chciała być ratowana.

Początkowo lubił słuchać tych opowieści. Jako mały chłopiec dopytywał się o wszystko, chciał poznać każdy szczegół. Czy ojcu wolno było wypróbować Strielę-2^[1], czy order za odwagę wręczono mu w królewskim pałacu Tadż-bek w Kabulu? Czy był tam wówczas Gorbaczow, czy może pogratulował mu dopiero w Moskwie? Chciwie chłonał każdy szczegół tego minionego tajemniczego świata. Lecz z biegiem lat potrzebę tę zastąpiła obsesyjna niemal chęć, by trzymać ten świat na dystans, nie słuchać już ani o Afganistanie, ani o operacji Sztorm-333^[2], ani o Mohammadzie Nadżibullahu, ani o porozumieniach genewskich, ani o rozdawanych afgańskim dzieciom ohydnych amerykańskich broszurach propagandowych na temat świętej wojny, w których ilustracje przedstawiały wrogów jako istoty bez twarzy.

Na szczęście jednak sprawy te przestały z czasem budzić emocje, skończyła się też wojna ze Związkiem Radzieckim, albo też Związek Radziecki padł po prostu pewnego dnia niczym śmiertelnie chory stary słoń i przestał istnieć, tak jak otaczana chwałą radziecka armia, której jako mały chłopiec chciał kiedyś poświęcić swoje życie i dostać medal za odwagę.

Jego podziw dla zmarłego ojca-bohatera zmienił się w tłumioną agresję. Dla świata, w którym ojciec czuł się tak swojsko i który jego matka sławiła dzień w dzień, zaczął odczuwać chłodne lekceważenie, zwłaszcza gdy

zrozumiał, jaką cenę płaciła matka jako wdowa po bohaterze, po kimś, komu „sam Gorbaczow osobiście był wdzięczny”, i jak to jest być żoną ducha, przekształcić własny dom w mauzoleum, w którym zegary zdawały się odmierzać czas do tyłu, gdzie w ciężkiej dębowej szafie jak relikwie spoczywały pamiątki, gdzie pachniało stęchlizną, kulkami na mole i jeszcze czymś trudnym do określenia, a także echem dzieciństwa, które pozostało daleko jak reklamówka porwana przez wiatr i zaczepiona o gałąź, gdzie czuło się wiele niewypowiedzianych słów i nieoczekiwane zdławioną miłość. Relikwie w szafie były jak okruchy wspomnień, okruchy czegoś, co zbyt wcześnie się skończyło, śladem po nieżyjącym mężczyźnie, którego on miał czcić jako ojca i Boga, a którego widział po raz ostatni, mając dwanaście lat. Ale nawet przez tych dwanaście lat imię ojca kojarzył raczej z nieobecnością i wojną, niż z rzeczywistym człowiekiem z krwi i kości.

Czuł w sobie palącą nienawiść do świata, jakby ktoś wlał mu w trzewia gorącą lawę, której żar odżywał za każdym razem, gdy matka wracała do dawno zapomnianego, nieistniejącego czasu i nie dotrzymywała kroku rzeczywistości. Rzeczywistość to była jej praca naukowa w instytucie badawczym wirusologii, gdzie prawie nie miała przyjaciółek i gdzie od lat nie pracował żaden mężczyzna. Matka coraz bardziej zamykała się w sobie, a wcześniejszą czułość i łagodne usposobienie zaczęło wypierać zgorzknienie. Przemiany, jaka w niej zaszła, nie zahamowało nawet zacieśnienie więzów ze starszym bratem, który znów coraz więcej znaczył w jej życiu.

Z Leonidem Nikołajewiczem, nadgorliwym, ambitnym, konkurującym ze swym szwagrem, dwukrotnie rozwiedzionym i bezdzietnym mężczyzną, łączyła ją przed zamążpójściem dziwna, kuriozalna wprost więź, gdyż odgrywał wobec niej rolę ojca, matki, brata i dziecka zarazem, starając się zdjąć z niej jak najwięcej problemów, zwłaszcza wspomagać ją finansowo. Ta więź zerwała się raptownie po jej ślubie: brat z mężem – obaj samce alfa, obaj pozerzy, obaj owładnięci żądzą kariery, obaj lubiący robić wrażenie na kobietach – nie znosili się. Na pogrzebie szwagra Leonid Nikołajewicz nie

mógł się powstrzymać i szepnął siostrze niemal wesołym tonem: „Teraz wreszcie znowu będę się mógł o ciebie troszczyć, Lideńka, tak jak na to zasługujesz, tak jak mama i tata by tego ode mnie oczekiwali, gdyby żyli”.

Leonid Nikołajewicz pracował w Goskomie, miejskim Komitecie budownictwa mieszkaniowego, a od niedawna zasiadał w komisji nadzoru legalnych od 1988 roku, wyrastających wszędzie jak grzyby po deszczu kooperatyw, która to funkcja gwarantowała mu kontakty i łapówki, co w wyraźny sposób przełożyło się na poprawę sytuacji finansowej jego i jego siostry, bo od czasów pieriestrojki ani jej pensja, ani renta wojenna po ojcu nie starczały na życie. Radzenie sobie w szarej strefie, która zaczęła się rodzić w erze Breżniewa, a w latach osiemdziesiątych rozkwitła do niezwykłych rozmiarów, wymagało umiejętności, których ani Lidia Nikołajewna, ani jej syn nie posiadali.

Lecz dawna bliskość między rodzeństwem teraz była już tylko nikłą smużką dymu snującą się z letniego popiołu. Rysa na ich stosunkach wynikała nie tyle z czasu, gdy Lidia z mężem żyli własnym, niezależnym od jej brata życiem, ile z tego, że Leonid Nikołajewicz nie chciał słyszeć o opętaniu Lidii wojskiem i nie podzielał pragnienia siostry, by jej syn poszedł w ślady ojca. Tu nawet potężny Leonid Nikołajewicz nie mógł mu pomóc i Ossek czuł narastające palenie w gardle i w ustach, kiedy uprzytamniał sobie, jaką rolę ma do odegrania jako syn niezwykłego ojca. Żałował wtedy, że jego ojcem nie jest jakiś wyrzutek albo bezdomny włóczęga lub zgoła ktoś nieznany – nosiłby wówczas panięskie nazwisko matki i choć w szkole wołano by za nim „bękart”, wcale by się tym nie przejmował. Nie zmuszałby się do uprzejmego uśmiechu, tak jak teraz, kiedy ludzie zatrzymywali go, żeby się upewnić, czy naprawdę jest potomkiem słynnego Siergieja Aleksandrowicza.

Jakże chciałby mieć kogoś, z kim mógłby dzielić swoje odczucia! Przynajmniej brata albo siostrę mógł jeszcze spędzić jego bohaterski ojciec w ciągu tych niewielu miesięcy, które spędził w domu u boku uwielbianej żony. Gdyby tylko trochę się postarał, przydałby swej rodzinie więcej chluby,

niż walcząc z mudżahedinami.

A tak Osesek czuł się zamknięty w twierdzy wzniesionej z pamiętek i uwielbienia, gdzie czas biegł inaczej, skazany na to, by się przyglądać, jak jego matka dusi w zarodku terażniejsze wydarzenia, jakiegokolwiek by one były, i tonie jak kocię, któremu nie jest pisane żyć w tym świecie. Może była naprawdę biednym, nieudanym stworzeniem, zbyt słabym na czasy, w których przyszło jej żyć, za słaba bez tych wszystkich medali i bohaterskich czynów, które jak tarcza chroniły ją przed rzeczywistością, za słaba na zmiany, które od czasu śmierci jej męża przetaczały się przez kraj. Zresztą nie było to dziwne. W końcu imperium, któremu jej mąż poświęcił życie, runęło, jakież znaczenie miało więc załamanie pewnej Lidii Nikołajewny, niegdyś zamiłowanego biologa, a teraz wdowy, matki młodziana, który nigdy nie zdobył się na odwagę, by wykrzyknąć matce w twarz całą prawdę, a przez to wyzwolić siebie i ją od pewnej ułudy. By wreszcie wypowiedzieć coś, co nigdy nie zostało wypowiedziane, choć oboje od dawna wiedzieli, że jedyną prawdą, która mogłaby jej pomóc, uczynić ją zdutniejszą do życia, było to, że on nigdy nie powinien iść do wojska, wstępować w ślady zmarłego ojca. Że jego niepowodzenie – a wiedział, że matka tak właśnie oceniała wszystko, co według niej nie było podtrzymywaniem wiecznego płomienia na grobie ojca – wynika z tego, iż nie jest zdolny pójść za swymi marzeniami i nie chce widzieć, że droga, którą wyznaczyła mu matka, wiedzie ponad tą krainą cieni wprost do piekła. Powinien położyć kres kultowi ojca i zmusić matkę, by wreszcie stawiała życiu czoło, powinien odzwyczaić ją od wpatrywania się pustym wzrokiem w przestrzeń, kiedy wieczorami siedziała nieruchomo na fotelu owinięta kocem lub szalem niczym kamienna rzeźba nagrobna na zdziczałym, zapomnianym przez wszystkich cmentarzu. W bezsenne noce postanawiał, że powie jej wreszcie to wszystko, a potem wyczerpany opadał na poduszkę i gryzł dłoń zwiniętą w pięść, żeby nie krzyknąć. Bo pamiętał jej reakcję, kiedy powiedział, że nie stawiał się na egzamin wstępny na akademię wojskową, gdzie był oczekiwany z szeroko otwartymi ramionami (co zawdzięczał jej niestrudżonym zabiegom i niezliczonym telefonom do osób

najwyżej postawionych w Armii Radzieckiej – nie były to jeszcze Siły Zbrojne Federacji Rosyjskiej), by, jak chciała matka, pójść w ślady ojca, wielkiego Siergieja Aleksandrowicza, i zmierzać do zdobycia stopnia oficerskiego, co oczywiście udałoby mu się osiągnąć w sposób brawurowy.

Zobaczył przed sobą jej przerażoną twarz, straszne spojrzenie, jakim na niego patrzyła, jakby zadał jej cios nożem w pierś. Matka miesiące strawiła na tym, żeby odnaleźć dawnych kolegów męża mogących się wstawić za synem i załatwić niezbędne zaświadczenie zdrowotne wymagane przez najstarszą akademię wojskową w Moskwie. Ale on marzył o tym, by wydostać się z tego zdemoralizowanego kraju, w którym śmierdziało zgnilizną, wyjechać za granicę albo studiować, nauczyć się czegoś, co by go interesowało, co by go wzbogaciło, zaspokoilo też jego potrzebę zmian, wskazało mu kierunek. Ten jeden raz udało mu się zyskać na czasie, odsunąć na kilka miesięcy niechcianą przyszłość, bo dopuszczenie do następnego egzaminu miał uzyskać dopiero za rok. Otrzymał odroczenie – akurat kończył wówczas szkołę – i zapisał się jako wolny słuchacz na historię sztuki i literaturoznawstwo na uniwersytecie, gdzie chodził jeszcze na seminaria literackie, i po raz pierwszy zasmakował w decydowaniu o sobie, matka jednak maltretowała go niewygodnymi pytaniami: kiedy przygotuje się do egzaminu na uczelni wojskowej, kiedy wróci do formy, bo przecież zaniedbuje ciało, ona nie może znowu zawracać głowy tylu ważnym osobom, on też musi się wysilić, ona nie może go wyręczać...

W następnym roku ponownie nie podszedł do egzaminu na akademię wojskową, podając jako powód poważną chorobę, to jest zapalenie płuc. Doprowadziło to do gwałtownej kłótni, która skończyła się wezwaniem lekarza, a ten stwierdził, że Osesek jest zdrow jak ryba.

Wolnym słuchaczem na uniwersytecie był jeszcze przez rok, a kiedy zbliżał się termin następnego egzaminu wstępnego, wybrał się po prostu z kilkoma kolegami na wycieczkę do Leningradu. Potem matka nie rozmawiała z nim przez dwa tygodnie i komunikowała się tylko za pomocą karteczek przytwierdzanych do lodówki (czego nie odebrał jako kary,

przeciwnie, poczuł się wreszcie pozostawiony samemu sobie i cieszył się, że nie musi wysłuchiwać jej wyrzutów ani gróźb).

Gdy nadszedł maj, zgłosił się na egzaminy wstępne do założonej w czasach Lenina Akademii Wojskowej imienia Frunzego w Moskwie i oblał je. Lidia Nikolajewna zamknęła się wtedy na dwadzieścia cztery godziny w swoim pokoju i urządziła makabryczny seans, podczas którego rozmawiała ze zmarłym mężem, wypłakując mu się ze swego rozczarowania i pytając go o radę.

Tym razem tragiczna mina matki nie wywarła już na Osesku wrażenia. Wybiegł z ulgą w deszcz. Serce waliło mu z radości, kolana drżały, w ustach miał sucho. Przyczyną jego euforii była Sonia – po raz pierwszy w życiu czuł się zakochany do utraty tchu! Zakochany w osobliwej dziewczynie, która nie mieściła się w żadnych schematach i zdawała się nie uznawać żadnych reguł, była za to fajerwerkami bezpośredniości, spontaniczności, prostactwa oraz pogardy dla intelektu stanowiącego taką wartość dla jego matki. W swoim nienasyconym pragnieniu życia w całej jego wulgarności i pięknie Sonia nigdy nie powinna – według wszelkich praw natury i reguł społecznych – zwrócić na niego uwagi i pozwolić mu się do siebie zbliżyć. Lecz uczyniła to i za jej sprawą w jego życiu nastąpiła największa, najradośniejsza zmiana.

Sonia mieszkała na trzecim piętrze w sąsiednim bloku, lecz większość czasu spędzała na podwórzu. Znali się od przedszkola, ale tak jak dla większości dzieci z podwórka Osesek był dla niej niewidoczny, w najlepszym razie przezroczysty. Sposób, w jaki Sonia wypluwała łupiny słonecznika, można było nazwać ordynarnym, zawsze też miała na podorędziu dosadne słowa, które potrafiła za kimś rzucić. Ale jej powiedzonka nie były tak raniące, nigdy nie brzmiały tak obraźliwie jak to, co wykrzykiwali za nim inni z jego podwórka, zwłaszcza banda Inkasenta, która od lat nie przepuszczała żadnej okazji, żeby go ośmieszyć lub upokorzyć.

Język Soni, mimo dosadnego słownictwa, które zachwyciłoby niejednego szewca, był na swój sposób sympatyczny. Czasem wydawało mu się, jakby go głaskała, gdy mówiła coś w rodzaju: „Jak leci, kutasiku?” albo „O, nasz

łózkosiurek dziś bez mamy, co za odwaga!”.

Ale któregoś dnia coś się zmieniło. Z jakiegoś powodu zagadnęła go przy wejściu do klatki schodowej, minęła go, zgarbiona i szurająca nogami, jak to ona, potem stanęła przy schodach, jakby zatrzymała ją jakaś niewidzialna siła. A on odwrócił się w jej stronę. Od dzieciństwa, kiedy mijał na dworze rówieśników, wracając z kółka szachowego, literackiego czy lekcji niemieckiego, zachowywał się tak, jakby był niewidzialny. Nie zatrzymywał się, choćby nie wiem co za nim krzyczeli.

Ale tamtego dnia zatrzymał się, ten impuls poczuł fizycznie, coś pociągnęło go ku niej, chociaż miał właśnie zamiar jak najprędzej pokonać schody, uciec od kłębow papierosowego dymu, który wydmuchiwała bezczelnie i ostentacyjnie, co zresztą miała w zwyczaju, odkąd skończyła czternaście lat. I wtedy usłyszał, że ma „odjazdowe oczy” i nie powinien ich chować. Poczuł gęsią skórkę.

Od tej pory popatrywał za nią, gdy przechodził przez podwórko. Od spotkania przy schodach było tak, jakby dzielili jakąś tajemnicę. Otoczona wyrostkami z sąsiedztwa – dla wszystkich była autorytetem – rzucała mu tylko krótkie spojrzenie, dyskretne, prawie niezauważalne, które jednak czuł na sobie jak łaskotanie albo muśnięcie skrzydeł motyla, nie wygłaszała jednak żadnych uwag ani nie żartowała z niego. A kiedy potężny Pietia – samowładny car podwórka, nazywany Inkasentem, bo od małego wymuszał na dzieciach z okolicy spore sumy, którą to umiejętność zaczął później z sukcesem wykorzystywać profesjonalnie – zawołał za nim coś obraźliwego, Osesek usłyszał głośny okrzyk Soni i głucho plaśnięcie.

Sonia jeszcze przez kilka tygodni zachowała wyłączne prawo do złośliwych uwag pod jego adresem. Potem nagle wszystko się skończyło i nie słyszał już na podwórku, że jest „mimozą” czy „maminsynkiem”. W taki oto sposób położyła kres jego wieloletniej podwórkowej udręce. Ale było to już w czasie, kiedy ona, absolwentka szkoły specjalnej, i on, wolny słuchacz ze świadectwem z czerwonym paskiem, zaczęli spotykać się z sobą w tajemnicy, a także na krótko przed tym, gdy przycisnęła swe pełne usta – o smaku

tytoniu i cukierków o nazwie Miszka z Północy oraz czegoś grzesznie pociągającego – do jego ust.

Oddał się chętnie w jej ręce, które potrafiły być czułe i brutalne zarazem. Skoczył w tę namiętność, jak się skacze na główkę do wodospadu. Zagarnęła go, jakby go zaczarowała. Nie liczyło się nic oprócz cowieczornych wędrówek mrocznymi uliczkami i ukrytymi podwórkami, którymi wiodła go jak przez tajemny labirynt. Dzięki niej poznawał dzielnicę na nowo. Były ukradkowe pocałunki na klatkach schodowych i we wrakach aut, którym zawsze nadawali imiona. Nareszcie w jego życiu pojawiła się kobieta wystarczająco silna, by rozumieć jego marzenia, nie cierpiąc pod ich ciężarem. Ktoś, kto podążał za jego wyobraźnią nierespektującą granic. Ktoś na tyle zwariowany, żeby ją jeszcze bardziej w nim podsycać.

Była to Sonia, która niczego nie miała i niczego się nie bała. Jej ojciec pił wódkę jak niemowlę mleko matki i kiedy ta przezroczysta ciecz zmieniła jego mózg w breję, maltretował rodzinę. Matka, która miała dość takiego życia i nieustannej pracy, zniknęła często na wiele dni – ludzie gadali, że spotyka się z żonatym dyrektorem Gastronomu. Tylko jej starsza siostra Olga próbowała wśród tej biedy, tych gruzów stworzyć sobie i siostrze jako tako uporządkowane życie, co od czasu do czasu jej się udawało.

Osesek zostałby najpewniej na zawsze ze swoją nieokiełznaną dziewczyną, pierwszą i jedyną, w jednym z tych wraków aut, które nazywali Artjom albo Maria, z szalejącą w sobie burzą, przez Sonię z politowaniem zdiagnozowaną jako „prawdziwe zadurzenie”, dopóki by nie stworzyli wizji wspólnej przyszłości i dopóki on nie poznałby każdego skrawka jej ciała, lecz jego matce udało się go wyrwać z tego szczęścia. Pewnej nocy wrócił do domu i zobaczył ją leżącą apatycznie na podłodze i wyglądającą jak kupka nieszczęścia. Młody lekarz z pogotowia stwierdził załamanie nerwowe i na kilka dni wysłał ją do szpitala, gdzie Osesek przychodził codziennie, przynosząc świeże owoce i rosół wołowy ugotowany przez siostrę Soni.

„Każde zdenerwowanie może się teraz okazać dla niej fatalne” – ostrzegła go jedyna przyjaciółka matki Zina Matwiejewna, budząca strach dentystka

z kliniki stomatologicznej. Ze łzami w oczach tłumaczyła mu, że musi być teraz wzorowym synem, bo w obecnym stanie matki każde jego zachowanie niezgodne z jej wolą może wywołać u niej zator mózgu, a o skutkach lepiej nie myśleć.

Nie pozostało mu zatem nic innego, jak zdać egzamin wstępny na akademię wojskową dzięki protekcji zupełnie obcych mężczyzn w mundurach, którzy zapewne byli jeszcze coś winni jego ojcu. Rozpoczął więc studia, czemu towarzyszyły okrzyki radości matki, kaskady szampana na nogawkach jego spodni oraz rana w sercu. Studia te porzucił jednak półtora roku później, bez żadnego powodu – po prostu wstał z miejsca na zajęciach ze strategii wojskowej i wyszedł, uprzytomniwszy sobie z przerażającą jasnością, że zaraz padnie trupem z pogardy dla siebie, jeśli pozostanie tu choćby sekundę dłużej i nadal będzie się zachowywał, jakby nie był tym, kim jest. To, że uderzył chorążego, który za nim pobiegł, wzywając go do powrotu, i że krzyknął do wszystkich: „Pieprzcie się!”, nie ułatwiało sprawy. Opuścił akademię jako mięczak i syn, który zszargał pamięć wielkiego ojca, i wrócił do matki, zastygłej z wyrazem przerażenia na twarzy.

Teraz, kiedy pakował plecak ojca, przejęła go zgroza na myśl, co go czeka, bo tym razem groźba była realna, wiedział, na czym ona polega, jak się ją czuje, że nie sposób od niej uciec i nie można się przed nią bronić.

Wojskowy plecak, który dostał w jednostce, gdzie się zameldował, matka odebrała mu bez słowa. W trakcie trwania formalności stała za nim i patrzyła mu przez ramię. Tym razem na jej twarzy nie było dumy, tylko pustka, to bowiem, co teraz robił, było jedynie zadośćuczynieniem, logiczną kontynuacją tego, co przed paru laty tak niechlubnie przerwał, jedynym sposobem przywrócenia rodzinie dobrego imienia, które przed paru laty splamił w niewybaczalny sposób.

Teraz miał ostatnią szansę na pogodzenie się z przeszłością i wydawało się obojętne, jak wysoka będzie to cena: jako syn bohaterskiego ojca miał obowiązek ją zapłacić. Zgłoszenie się do armii – teraz już rosyjskiej – na ochotnika było jego ostatnią deską ratunku, co matka jasno dała mu do

zrozumienia, kładąc na stół wyżebrany dyplom akademii wojskowej, z którego wynikało, że ukończył studia.

„I co mam teraz z tym zrobić?” – zapytał, czując wielką ochotę, by na jej oczach podrzeć na strzępy ten świstek albo, jeszcze lepiej, włożyć go sobie do ust, pogryźć i wypluć.

Nie odpowiedziała. Gdy kilka dni później czytał o „interwencji czeczeńskiej”, krew ścięła mu się w żyłach z przerażenia. Pięć tygodni po rozpoczęciu wojny stawiał się wraz z matką na komisji wojskowej, by pójść na front na północnym Kaukazie jako prosty żołnierz, oczywiście z nadzieją na dokonanie bohaterskich czynów, które przełożą się na ordery i stopnie wojskowe.

Matka, widząca dla niego w tej wojnie wielką szansę i nierozumiejąca, że jej syn kocha ponad wszystko dziewczynę, której mimo swych wysiłków nie potrafił uratować przed nią samą, nie była świadoma jednej ważnej rzeczy: Osesek nie sprzeciwił jej się i znowu wszedł w świat cienia pachnący kulkami na mole tylko dlatego, że dziewczyna, którą kochał, znikła z jego życia, a jego ostatnia nadzieja polegała na tym, że wojna i niepokój o niego zmiękczą być może jej serce i sprawią, że do niego wróci, bo życie bez Soni wyobrażał sobie jako wieczną ciemność.

Musiał pilnie strzec plecaka, bo chował w nim bezcenny skarb. Gdy ponownie sprawdzał jego zawartość, zauważył ze zdziwieniem, że wśród zabranych książek znalazł się też Sofokles. Mała książeczka musiała się zaplątać pomiędzy inne, pospiesznie wyciągnięte z regału. Przekartkował dramat o krnąbrnej i buntowniczej córce króla i jedna z myśli od razu przykleiła się do jego ust jak resztki kakao, które chętnie pił jako dziecko i którego smak jeszcze długo potem odnajdywał w kącikach ust.

2016/KOTKA

„Gwałtownie bije twe serce w obliczu strasznego zamiaru” – powtórzyła w myślach trzykrotnie, wargi poruszały się mimowolnie, lecz bezdźwięcznie, słowa bezszelestnie wymykały się z ust. Z impetem natarła na metalowe drzwi i wypadła na podwórko, z trudem łapiąc równowagę. Zawsze pchała te ciężkie drzwi, tak jakby obalała jakieś mury, jakby wszystkie drzwi świata stawiały jej opór. Światło samotnej latarni po drugiej stronie ulicy padło na jej nie do końca umalowaną twarz.

Latarnia stała w pobliżu wejścia na podwórze i sprawiała wrażenie, jakby od kilku lat czekała na kogoś, kto nie przyszedł na spotkanie. Bezlitośnie zimnym, niebieskawym światłem oświetlała teren fabryki, który teraz wyglądał jeszcze bardziej rozpaczliwie niż za dnia.

Kotka dobrze się tu czuła. Już za pierwszym razem, kiedy znalazła się na scenie w tej fabryce przekształconej na teatr i wypowiadała to zdanie na wpuł do publiczności, na wpuł do swojej potężnej siostry, którą widziała oczami duszy, poczuła, jak zrasta się z tym miejscem. Podobała jej się anonimowość i pustka okolicy. Na ulicach nie widywało się tu prawie ludzi, tylko wieczorami, kiedy miało być przedstawienie, u wejścia tłoczyła się grupka stałych widzów.

Przede wszystkim jednak lubiła to podwórze. Przy ładnej pogodzie służyło jej za garderobę. Koledzy z teatru właściwie tu nie zagładali. Kiedy po przedstawieniu pojawiał się na podwórzu małomówny technik z butelką piwa i papierosem, bez słowa podawała mu ogień i oboje stali w milczeniu, dopóki żarzyły się ich papierosy, i patrzyli na zewnątrz przez szary betonowy świat.

„Gwałtownie bije twe serce w obliczu strasznego zamiaru” – to zdanie szło za nią także po dzisiejszym przedstawieniu. Nie potrafiła się od niego

uwolnić, jakby się zaraziła językiem Ismeny.

Na scenie szczególnie lubiła moment, kiedy wreszcie wypowiadała to zdanie, tonem skargi i wyrzutu, tak jakby niczego nie potwierdzała. Ona, która nie wierzyła w ślepe bohaterstwo i jako jedyna z tutejszej aktorskiej fraterni ogarniętej szaleństwem pozbawionym nazwy odrzucała wszelki fanatyzm, kierowała je raczej do siebie niż do publiczności czy swej siostry, która koniecznie chciała zostać bohaterką. Wypowiadała to zdanie nie w ramach roli, nie jako Ismena, siostra Antygony – na ten moment Ismena zniknęła za jej plecami, pozostawiając jej to brzemiennie w skutki zdanie.

Z wnętrza budynku dochodziły strzępy rozmów i dzwonienie szkła. Wszystko stapiało się w usypiający, łagodny szum w tle. Zapewne komentowano grę aktorów, jej kolegów otaczali krewni i przyjaciele, bo z Berlina na to odludzie nie było znowu tak daleko. Niektórzy przyjechali już trzeci czy czwarty raz, by oklaskiwać bliskich występujących na scenie, gdyż większość grających tu aktorów nie była specjalnie popularna. To dobrze jej znane ożywienie działało na nią uspokajająco. Wszystkie troski i sprawy codzienne zniknęły, kiedy przekraczała próg tego budynku. List od administratora, który znalazła dziś w skrzynce, z informacją, że w ciągu trzech miesięcy ma opuścić mieszkanie, kłótnia z siostrą, rozstanie z R., którego nie mogła już dłużej odwlekać i które było niekończącym się tępym bólem, problemy finansowe, pytanie, czy pójść na kolejny idiotyczny casting, po którym nic sobie nie obiecywała, to wszystko zniknęło, gdy zanurzała się w atmosferze teatru.

Przymknęła oczy i zaciągnęła się papierosem, drugą ręką osłaniając go przed deszczem.

Nie wiedziała, dlaczego tak lubiła podniecenie, które pojawiało się zaraz po przebudzeniu, kiedy wieczorem czekało ją przedstawienie, dlaczego w ogóle tak kochała ten dziwny, pachnący kurzem świat rodzący się z podpatrywania. Dlaczego w tym oddalonym od rzeczywistości miejscu tak bardzo czuła się sobą. Paradoksalnie, nigdy nie była bardziej odseparowana od siebie, a zarazem nie czuła się bardziej sobą, niż wtedy, gdy grała. Już jako

dziewczynka prowadzona za rękę przez babcię ulicami dzielnicy kąpielisk lubiła zaglądać na podwórka z otwartymi przejściami i kolorowymi drewnianymi balkonami, do mieszkań, w których paliły się światła, i próbowała sobie wyobrazić, kto tam mieszka, kim jest z zawodu, co go cieszy albo boli, co w życiu stracił i jakie szczęście jeszcze go czeka. Później nauczyła się naśladować głos różnych ludzi i miały z siostrą wielką frajdę, kiedy rozmawiając ze znajomymi przez telefon, wprowadzały ich w błąd. Teatr wcześniej stał się jej marzeniem. Czy dlatego, że nie potrafiła z sobą wytrzymać, czy też jej własne życie wydawało jej się niewystarczające, a może jedno i drugie? Jaka utajona siła skłaniała ją jako małą dziewczynkę do organizowania na podwórku kolorowego i głośnego domu babci przedstawień i koncertów, na których występowały wszystkie dzieci z okolicy? Dorośli dawali im potem trochę drobnych na słodycze i lemoniadę. Jej chodziło jednak o publiczność, o występowanie przed innymi, o zaskakiwanie widowni. Oczywiście nie potrafiła wtedy ująć tego w słowa, przeczuwała tylko, że pragnienie, które w niej się tliło, jest silniejsze od niej samej.

Kiedy przyszedł „czarny czas”, jak jej babcia nazywała pierwsze dziesięciolecie po pieriestrojce, gdy jej dzieciństwo zyskało nagle smak rdzy, a miasto przez długie dni było pogrążone w ciemnościach, gdy ulice pachniały naftą, a kolejki przed piekarniami coraz bardziej się wydłużały, kiedy dorośli ścisiali głos, rozmawiając o polityce, kiedy ojciec i matka przestali całować się w usta, a babcia musiała sprzedać letni domek, na który tak długo oszczędzała, kiedy wielu sąsiadów z dzielnicy żydowskiej wyemigrowało do Izraela, a barwny ruch na ulicy Srebrnej zamarł, wtedy, tak, wtedy jej przedstawienia stały się koniecznością. Czuła się odpowiedzialna za ludzi, którzy byli dla niej ważni, którzy stanowili jej świat, musiała odwrócić ich uwagę, rozweselić ich, skierować ich myśli na inne tory.

A naprawdę konieczne stały się jej przedstawienia, kiedy wojna wciągnęła w swoje tryby ojca, by później wypluć go jako bohatera. „Nie

możesz nas tak po prostu zostawić. Nie wiem, jak to przetrwam. To nie *fair!*” – skamlała matka w nocy przed jego wyjazdem.

Matka wiedziała jednak, że dyskusja z ojcem jest bezcelowa. Już dawno podjął decyzję i nie było sposobu, żeby ją zmienić. Nieco wcześniej dwóch jego kolegów wyjechało do Gagry, bo pojawiły się pogłoski, że abchascy lekarze odmawiają leczenia gruzińskich rannych. Ojciec czuł się więc w obowiązku pomóc. Nawet to, że codziennie podawano przerażające wiadomości o tym, co się działo po zajęciu Gagry, że w telewizji pokazywano ciągnące przez góry tłumy uciekinierów, a na ulicach widać było coraz więcej kobiet w czerni noszących na piersiach niczym brosze podobizny swych poległych na wojnie bliskich, nie wpłynęło na jego decyzję. Uważał, że jako lekarz powinien jechać i pomagać tam, gdzie jest potrzebny. „Jakim byłbym lekarzem, gdybym tu pozostał?” – spytał tylko.

W kamazie, którym wyjeżdżał na front, było jeszcze dwóch innych lekarzy i kilku bardzo młodych mężczyzn, poza tym dziennikarz, który niestrudzenie dowcipkował, jakby chciał zagłuszyć strach, oraz mężczyzna, o którym nie było wiadomo, czego szuka na wojnie, czy zamierza kogoś ratować czy bronić. Spotkali się w punkcie zbornym i Natalia, jej młodsza siostra, dla której słowo „wojna” brzmiało jeszcze abstrakcyjnie, siedziała na ramionach ojca i bawiła się jego uszami. Od czasu do czasu wybuchała beztróskim śmiechem, który stanowił absurdalny kontrast z panującym wokół milczeniem i przygnębieniem.

Kotka przypomniała sobie tę scenę tak wyraźnie, jakby to wszystko zdarzyło się zaledwie przed kilkoma dniami. Przypomniała sobie również, że w tej smutnej sytuacji udawała radosną i skorą do żartów. Śmiała się sztucznie, odgrywała miłą, nieskomplikowaną córkę, robiła zabawne grymasy do ojca, który ruszał się mechanicznie jak robot i unikał patrzenia im w oczy.

Lecz zanim wspiał się na skrzynię wypełnionego ładunkiem frontowym kamaza, uśmiechnął się. Uśmiechnął się – zmusiła go do tego. Była to ich ulubiona zabawa, rywalizacja, kto zrobi zabawniejszą minę i rozśmieszy to drugie. Twarz mu drgnęła, a usta rozciągnęły się w uśmiechu.

Tak, zanim kamaz odjechał, zanim ręce matki zaczęły się trząść i Natalia, nie wiedząc dlaczego – może w zastępstwie dorosłych – wybuchła głośnym płaczem, wydobyła z niego ten cenny uśmiech, który potem tak często wspominała. Tak, jej pragnienie teatru zrodziło się tamtego dnia, lecz wyraźnie doszło do głosu w chwili, kiedy ojciec wrócił do domu w glorii bohatera.

Napawała się spokojem, jaki panował na podwórzu teatru po każdym przedstawieniu. Siąpiący deszcz zmywał z niej resztki szminki, myśli zamieniał w bezbarwne krople, a potem w brązowawe kałuże na asfalcie pełnym dziur. Dobrze było o niczym nie myśleć, niczego nie pragnąć, po prostu tak stać, jeszcze nie całkiem będąc sobą, ale już nie Ismeną prowadzącą dramatyczne rozważania, zwróconą do siebie, Ismeną, której nie było dane wykrzyknąć głośno swojego nieszczęścia.

Może to właśnie był ten stan, w którym najbliżej było jej do szczęścia. Kiedy czuła się wolna. Wolna od planów na przyszłość i wspomnień, wolna od oczekiwań i konieczności. Dlatego tak dobrze było jej w tym miejscu, po spektaklu, z resztkami rysów Ismeny na twarzy, ze strzępami jej zdań w sobie.

Ból brzucha wrócił, gdy zaczęła myśleć o R. A przecież wyobrażała sobie, że on będzie jej przystanią.

Nagle usłyszała odgłos otwierania ciężkich drzwi. „To pewnie Jurij” – pomyślała i nie odwróciła się.

– Hej, Kotka, ktoś cię szuka, jakiś komiczny typ, mówi, że koniecznie musi z tobą porozmawiać, sprawa osobista czy coś w tym rodzaju. Mam go wpuścić?

To Anton, asystent inspicjenta, w ułamku sekundy zburzył jej z trudem osiągnięty spokój.

„Ciekawe, że ten dobrze zbudowany Anton jest jednocześnie typem wrażliwca” – pomyślała.

– Kto to może być? – zapytała znudzonym głosem, nie odrywając wzroku od betonowej ściany naprzeciwko.

– Nie mam pojęcia. Może to jakiś agent albo ktoś z reklamy, jest taki wymuskany – rzucił. – Wpuszczę go tu, mam ważniejsze rzeczy na głowie niż holowanie twoich odjechanych fanów.

Ostatnie zdanie miało być zapewne połączeniem komplementu i dowcipu. Anton miał niezbyt sympatyczny zwyczaj prawienia ludziom grzeczności w formie irytujących skarg. Kiedy porwała go gra któregoś z aktorów, żalił się: „Musisz mnie tak podniecać? Myślisz, że nie mam własnych dramatów?”, a gdy zrobiły na nim wrażenie umiejętności komediowe kogoś z zespołu, mówił z wyrzutem: „No, super, teraz przez ciebie brzuch mnie boli ze śmiechu”.

Anton zamknął za sobą drzwi z głośnym trzaśnięciem. Próbowwała znowu przywołać dawną ciszę, zamknęła oczy i wystawiła twarz na deszcz, który już przechodził.

Od kiedy pamiętała, instynktownie wchodziła w inne umysły, ciała, losy, i wcześniej zdecydowała, że jej życiem będzie aktorstwo. Poszła do szkoły teatralnej, która nauczyła ją rzemiosła. Z każdym reżyserem, z którym się zetknęła na swej zawodowej drodze, wcześniej czy później wchodziła w konflikt. Niektórzy uważali, że powodem tych nieporozumień jest jej fałszywa duma, w aktorstwie wręcz szkodliwa, inni znów zarzucali jej, że uważa się za mądrzejszą albo jest po prostu zbyt ekscentryczna. Tymczasem nie chodziło o to, że nie była wystarczająco dobra, ani tym bardziej o to, że własną interpretację roli uważała za lepszą od tej, którą proponował reżyser, lecz o jej chorobliwie przesadne wymagania wobec siebie i świata. Chciała zrzucić własną skórę, wyrosnąć z samej siebie i nie było w niej zgody na przeciętność, która zbyt często zdawała się zadowalać innych wokół niej. Chciała stawiać sobie najwyższe wymagania, przekraczać wszelkie granice. Chciała w tej zakurzonej, czarnej, pozbawionej okien galaktyce poznać i zbadać każdą przepaść i powstać jak Feniks z popiołów.

Od kiedy skończyło się jej dzieciństwo, od kiedy opuściła kraj, od kiedy pożegnała się z podwórkiem przy ulicy Srebrnej, czuła, że jej zadaniem jest ćwiczenie się w dopasowywaniu, a jednak nie mogła też zdradzić samej siebie. Uchwyciła się niewielu spotkań z ludźmi o podobnym nastawieniu, pokrewnymi duszami. Od czasu do czasu natykała się na takich, którzy szli przez świat, nie schylając karku, niepoprawni, beznadziejnie uwięzieni w swoich tęsknotach i utopiach. I potem, kiedy zapominała o sobie w salach prób obwieszonych czarną drapowaną bawełną albo w zadymionych knajpkach, udawało jej się wprawić w stan, który odczuwała jako szczęście.

Myśl o R. raniła jak ostrze brzytwy. Widziała go przed sobą, mężczyznę, któremu udało się doprowadzić ją na skraj wytrzymałości, gdy dał jej odczuć, że mu nie wystarcza, że nie dorasta do jego wyobrażeń, bo nie zmierza dostatecznie daleko. Mężczyznę, który jak nikt inny wprawiał ją w osłupienie. Mężczyznę o oczach, w których płonęło szaleństwo, w białej koszuli i czarnym garniturze, mężczyznę, który wydawał się źle zrośnięty z własną skórą, który zamiast słów używał ocen.

Ostatni rok studiów spędziła w Wiedniu. Nauczyła się korzystniej się sprzedawać, lepiej maskować swoje potrzeby i wymagania. Umiała udawać, że jest dopasowana, więc tam została. Tak było łatwiej. Miała piękny pokój w dzielnicy Josefstadt i dostała stypendium, które umożliwiło jej spędzenie tam roku bez materialnych trosk. Zaprzyjaźniła się z wygodą, zawarła z nią pakt.

Przed dyplomem miała trochę wolnego czasu, została więc statystką w owianym atmosferą skandalu przedstawieniu w operze wiedeńskiej. Opera jako gatunek nieszczególnie ją wprawdzie interesowała, ale dobrze płacono, a poza tym tam było jej łatwiej niż w teatrze trzymać język za zębami. Był to nowoczesny spektakl muzyczny napisany na zamówienie przez jednego z wiedeńskich kompozytorów, o którym nigdy nie słyszała i którego wszyscy nazywali R., jakby ta jedna litera ukrywała całą jego biografię.

Zdobyła kilka płyt z jego utworami. Muzykę odebrała jako dziwaczną. Kiedy pojawił się na próbie, wydał jej się arogancki i zadufany w sobie,

pomyślała więc, że nie ma powodu być dla niego uprzejma, gdyby jakimś trafem dostrzegł jej istnienie.

Premiera podzieliła publiczność na zapamiętałych przeciwników i zagorzałych zwolenników spektaklu, jednak na popremierowym bankiecie wszyscy się odprężyli i upajali sobą i alkoholem. Tańczono i śpiewano, maestro zaś przez większość czasu siedział w kącie obok reżysera, obejmował go ramieniem, uniemożliwiając biedakowi wykręcenie się od rozmowy, i z przejęciem coś mu tłumaczył.

Co jakiś czas jej wzrok biegł ku obu mężczyznom, a początkowa irytacja oraz współczucie dla reżysera ustępowały narastającemu podziwowi dla namiętności widocznej w gestach kompozytora. Bezkompromisowość i nieustępliwość, z jaką mówił do reżysera, miały w sobie coś fascynującego. Zastanawiało ją też to, że budził skrajne emocje: był albo „obrzydliwą świnia”, albo „genialnym muzykiem”, nikiem pomiędzy.

Wyszła z sali bankietowej, by zapalić, a po chwili on stanął obok niej z kieliszkiem czerwonego wina.

– Byłaś w chórze, prawda? – zapytał.

– Zgadza się – odrzekła zaskoczona, że ją zauważył.

Obrzucił ją krótkim spojrzeniem, z jego twarzy nie mogła jednak niczego wyczytać, nic wywnioskować. Ciemne oczy, ciemny zarost, w którym dostrzegła kilka srebrnych nitek, wysokie czoło, to wszystko wydawało jej się kamuflażem, który miał coś ukryć. Trudno było określić jego wiek – mógł być od niej starszy równie dobrze o dwa lata, jak o dwadzieścia.

– Rzuciałaś się w oczy – dodał, jakby odgadł jej myśli.

Nie wiedziała, czy nie żartuje, lecz nie sprawiał wrażenia kogoś, kto ma szczególną skłonność do żartów.

Zaczęli rozmawiać. Najpierw wymienili kilka błałych uwag. Potem spytał o spektakl – jako osoba stojąca z boku miała według niego obiektywne spojrzenie na „całe to szaleństwo”. Opisała swoje odczucia, zaczęli się śmiać.

Kiedy wypił wino, zaproponował, by się urwali z bankietu.

– Będą cię szukali, jesteś tu w końcu honorowym gościem – odparła.

– Tym lepiej. Od dziecka uwielbiam bawić się w chowanego. W ogóle lubię się bawić.

– Aha. A w co?

– We wszystko. Pobawisz się ze mną?

– To zależy.

Zastanawiała się, czy ją przyciąga, czy odpycha, i nie potrafiła sobie odpowiedzieć.

– Ty się chowasz. Ja szukam.

– Jak to? – spytała.

– Pójdziesz dokądś, gdzie według ciebie cię nie znajdę.

– Na przykład dokąd?

– Nie mam pojęcia. Miasto jest duże i jest w nim sporo kryjówek.

Musiała się roześmiać.

– Mówię poważnie. Dasz mi trzy wskazówki. Dokładnie trzy, nie mniej i nie więcej.

– Mam się więc ukryć. Gdzieś w mieście?

– Tak, w jakimś mieszkaniu, w budynku, w jakimś lokalu, obojętne. Potrzebuję tylko trzech wskazówek.

– A potem?

– Potem cię znajdę.

– A jeśli nie?

– Zawsze warto spróbować.

– A jeśli mnie znajdziesz?

– Wtedy będziemy się bzykać do białego rana.

Ktoś nacisnął klamkę, kilkakrotnie, bo najwidoczniej nie spodziewał się, że drzwi są takie ciężkie. Potem usłyszała odgłos ostrożnych, nieśmiałych kroków, jakby ten ktoś czuł, że wszedł na obcy teren, i nie ufał temu, co miał pod stopami.

– A więc tu pani jest. Mogę?

Wysoki mężczyzna, trochę tykowaty, o twarzy człowieka niesłuchanie pobudliwego, skierował się prosto ku niej. Miał dobrze skrojoną marynarkę i granatowe džinsy.

Widziała go pierwszy raz w życiu. Nigdy nie zapominała twarzy, nie zapominała też imion, co najwyżej niektóre imiona nie kojarzyły jej się z ich właścicielami i wtedy wymyślała inne, które w jej odczuciu pasowały o wiele lepiej. Gdy zauważała w kimś podobieństwo do jakiegoś zwierzęcia, nadawała mu nazwę tego zwierzęcia. Jej własne imię też już zbladło jak stara fotografia i było używane tylko w sytuacjach oficjalnych. Prawdziwe imię nie dawało jej żadnej ochrony, lecz imię, na które reagowała, które teraz było jej imieniem oraz nazwą miliona egzemplarzy zwierząt tego gatunku, było jak bezpieczna norka, ciepły koc, matecznik, a zarazem wspomnienie, wspomnienie, że kiedyś przeżyła i teraz też tak będzie.

Mężczyznę, który wszedł na podwórze, natychmiast nazwała Ptakiem. Był duży, chudy, sztywny i miał okrągłe, ciemne oczy bociana.

– Proszę – odpowiedziała, starając się przyjąć uprzejmy ton, który maskował jej lekką irytację, że ktoś jej przeszkodził.

– Moje uznanie. Wielkie aktorstwo, nie można inaczej powiedzieć. Zdecydowanie pozostawiła pani swoją siostrę w cieniu.

Nie znosiła takich komunałów. Nigdy nie wiedziała, czy traktować je poważnie. Za tymi wszystkimi „bajecznie”, „czarująco”, „zachwycająco”, „mocno” kryło się mnóstwo możliwości, które dało się rozszyfrować, dopiero kiedy się kogoś bliżej poznało. Ale teraz nie miała ochoty wnikać, co skłoniło

mężczyznę o ptasim wyglądzie, żeby ją komplementował.

– Dziękuję – mruknęła bez entuzjazmu, posyłając mu wymuszony uśmiech.

Patrzył na nią, jakby nie mógł oderwać wzroku od jej twarzy. Musiała wytrzymać to spojrzenie, zastygła więc z lekko uniesionymi kącikami ust, aż odwrócił od niej badawczy wzrok. Zacisnął powieki. Doszedł ją jego obcy zapach – mieszanina cierpkiej woni wody po goleniu i czegoś materialnego, jakby był przedmiotem, nie człowiekiem.

– Przepraszam, nie przedstawiłem się. Zamiast tego zamęczam panią moimi opiniami. Nie chcę przeszkadzać, lecz chodzi o nadzwyczaj pilną sprawę, która, mam nadzieję, będzie załatwiona w parę chwil. – Uśmiechnął się, odsłaniając przy tym dwa rzędy nienaturalnie równych zębów. – Szapiro, Anatol Szapiro. Moi rodzice mogli sobie darować imię, bo i tak od dzieciństwa wszyscy mówią do mnie po nazwisku.

– Brzmi jak pseudonim, a ja lubię pseudonimy.

– Nigdy tak o tym nie myślałem, ale ma pani rację.

Mówił po niemiecku z ledwie wyczuwalnym obcym akcentem. Nie potrafiła zgadnąć, skąd pochodził, lecz ten akcent to była jedyna sympatyczna rzecz w tym mężczyźnie o wyglądzie ptaka.

– Powinna pani więcej grać – powiedział nagle.

Nastawiła uszu. To zdanie świadczyło o tym, że ten człowiek wie coś na jej temat, nie jest zwykłym widzem. A ona nie lubiła być zaskakiwana.

– Zdaje się, że jest pan dobrze poinformowany. – W jej głosie pojawiła się szczypta kąśliwości.

– Cóż, zawsze solidnie wykonuję swoją pracę.

Ten człowiek o ptasim wyglądzie, wypowiadający to zdanie ze swoim pozbawionym ojczyzny akcentem, jakby w żadnym języku nie był zdomowiony, przestał nagle wydawać jej się tak niewinny.

– Mój szef nie toleruje żadnych błędów – dorzucił konspiracyjnym tonem.

Ten zwrot w rozmowie zupełnie jej się nie spodobał.

– O co właściwie chodzi? – przerwała mu ostro. – Nie pracuję w reklamach, żeby było jasne – dorzuciła nieco łagodniej. – To zresztą pan już wie, skoro solidnie wykonuje pan swoją pracę.

– Ależ nic z tych rzeczy. – Zaśmiał się nienaturalnie. – Skądże. Dobrej aktorce nigdy bym nie zaproponował czegoś tak przyziemnego. Proszę mi wierzyć, mój zwierzchnik... Wie pani, próbuję unikać słowa „szef”, którego on nie lubi... Mój zwierzchnik surowo potępia wszelkie formy zabiegania o względy.

– Więc jakaś rola?

– No tak. Można to tak nazwać, chociaż... Trudno to ująć w dwóch słowach. Przygotowałem się do rozmowy, ale po dzisiejszym przedstawieniu jestem poruszony, co zawdzięczam pani wielkiej sztuce aktorskiej. Chodzi o pewne nietypowe zlecenie, które z największą chęcią zostanie pani przydzielone i które pod względem finansowym przewyższy pani oczekiwania.

– O, Boże, że też od razu na to nie wpadłam! Nie wygląda pan jednak na kogoś z branży erotycznej – odparła i czubkiem tenisówki rozgniotła niedopałek papierosa.

– Proszę? O nie, nie, pani przypuszczenie jest zupełnie mylne. Proszę mi wybaczyć, jeśli swoją osobą wywarłem fałszywe wrażenie.

Bawił ją jego sposób wyrażania się. Pozwoliła mu jeszcze przez chwilę potrudzić się nad doborem słów.

– Chodzi o krótkie nagranie wideo. Najwyżej dziesięćminutowe. O przekazanie kilku informacji. Wszystko oczywiście możemy ująć w umowie.

– Nie bardzo rozumiem.

– Mój zwierzchnik zobaczył plakat do sztuki, w której pani teraz występuje, on ma przerażająco czujny wzrok, rozumie pani. Nawet gdy siedzi w aucie z zaciemnionymi szybami, nic, co dzieje się na zewnątrz, nie uchodzi jego uwagi. Więc zobaczył ten plakat, który na szczęście przedstawia nie tylko główną aktorkę, i kazał zatrzymać auto. Pani jest uderzająco podobna do kogoś, kto w jego życiu odegrał decydującą rolę. Ten ktoś niestety już nie żyje. Z pomocą wideo mój zwierzchnik chciałby coś naprawić, czemuś zadośćuczynić, ale on sam wyjaśni to pani o wiele lepiej.

Chciał mówić dalej, przerwała mu jednak szorstkim ruchem dłoni i starając się, by jej głos brzmiał możliwie uprzejmie, rzekła:

– Nie będę dłużej zabierać panu czasu, poza tym nie jest tu szczególnie miło, więc od razu dziękuję za propozycję. Kryje się za tym jakaś zwariowana i jak na mój gust zbyt osobista historia i chociaż jestem aktorką, a mój zawód polega na tym, żeby cudze historie opowiadać jak własne, to jednak takie historie mogę opowiadać tylko wtedy, kiedy gram. Przypadkowe podobieństwo do zmarłej osoby, chociaż szczerze współczuję straty pańskiemu zwierzchnikowi, nie daje mi tej możliwości.

– Całkowicie rozumiem pani odmowę i sceptycyzm, lecz niestety nie mogę odejść, dopóki pani nie przekonam. Mój zwierzchnik nie toleruje odmowy.

– Przykro mi, ale po tym wszystkim, co od pana usłyszałam, pański zwierzchnik nie wydaje mi się specjalnie sympatyczny. Wejdźmy do środka, zaczynam marznąć...

– Bardzo chętnie. Pozwoli pani, że zabiorę panią do restauracji, którą pani wskaże, i poinformuję o szczegółach, które pomogą zmienić pani obecne nastawienie, na przykład o kwestiach finansowych, które mój zwierzchnik... zwierzchnik brzmi niezbyt dobrze, bardzo oficjalnie, *pardon*, on oczywiście ma imię i nazwisko, Aleksander Orłow, może pani o nim słyszała.

– A powinnam?

– Nie, nie ma takiego obowiązku.

– A więc wielkie dzięki za propozycję, ale...

Zrobiła krok w kierunku ciężkich drzwi.

– Proszę przynajmniej pozwolić odwieźć się do domu, te czterdzieści pięć minut jazdy może mi pani poświęcić, czyż nie?

Czterdzieści pięć minut? Poczowała się nieswojo. Skąd wiedział, gdzie mieszka i ile czasu potrzebuje na drogę stąd do domu?

– Tam, skąd pochodzę, babcie wcześniej kładą wnuczkom do głowy, żeby nie wsiadały do samochodu z obcym mężczyzną. A ja mojej babci zawsze słuchałam – powiedziała ze śmiechem.

Człowiek o ptasim wyglądzie skrzywił się lekko, jakby nie wierzył jej słowom, i w milczeniu wszedł za nią do budynku teatru.

Zobaczyła przed sobą twarz babci Sesilii, jej piękne ręce pokryte starczymi plamami, zgarbione ramiona, pochylone wiekiem ciało i coś się w niej skurczyło. Tak, musi jeszcze raz porozmawiać ze swoją agentką, musi coś przedsięwziąć, coś zmienić. Powinna obniżyć wymagania, powinna zdobyć nowe zlecenia, powinna zachowywać się miło i bezkonfliktowo. Powinna bardziej wspierać rodzinę, pomóc babci stanąć na nogi i doprowadzić do porządku sprawę z Natalią. Pomóc matce, żeby zaczęła spłacać górę długów. Powinna się zastanowić, co będzie robić, gdzie się podzieje za trzy miesiące, jak dalece może jeszcze być bezkompromisowa w przyjmowaniu ofert, jeśli nie będzie miała dachu nad głową. Nie może przetrwać rozstania z R. małymi porcjami, powinna to z siebie wyrzucić, zmusić się, żeby zwymiotować całą historię naraz.

Powinna, powinna, powinna... Może jednak powinna pójść na casting do tej międzynarodowej produkcji, którą Vera tak się zachwycała. Mówiła o tym nowym serialu z najwyższym uznaniem: jest komercyjny, a jednak ambitny, przeznaczony dla myślących widzów, a w obsadzie jest kilka znanych w Europie nazwisk. Z jakiegoś powodu agentka przekonywała ją całymi dniami, że to jest to, czego obie szukają. Wspaniała rola nieco steranej komisarz policji mającej problem z piciem, walczącej z europejską siatką

handlarzy alkoholem. Reżyser jest wschodzącą gwiazdą na artystycznym nieboskłonie. Lecz Kotka ją zbyła, mówiąc, że przecież wie, jakie były do tej pory wyniki castingów. Ale może nie jest jeszcze za późno. Może powinna zadzwonić do Very i wziąć w nim udział.

– W pełni rozumiem pani sceptycyzm. Pani postawa świadczy o zdrowym rozsądku i o rzetelności, z jaką podchodzi pani do swego zawodu. To godne pochwały. Niestety, misja, którą wypełniam, nie pozwala mi na zaakceptowanie pani odpowiedzi. Widzę jednak, że przed naszym następnym spotkaniem propozycja musi zostać sformułowana bardziej osobiście i bardziej przekonująco.

Zdanie to rzucił za nią niemal jak monetę – potoczyło się z cichym brzękiem pod jej stopy jak pieniążek, który przypadkiem wypadł komuś z torebki.

Doszła do garderoby i już miała zadzwonić do Antona, żeby z nim wrócić do miasta, już uznała się za zwyciężczynię w tym głupim pojedynku, kiedy nagle z przerażającą jasnością uświadomiła sobie, skąd się wzięło uczucie dyskomfortu, które od kilku minut trzymało ją w swoich szponach – pytanie, które zadał jej ten człowiek, ta rzekoma propozycja, którą jej złożył, były tylko lekkim fechtunkiem, bo ktoś przydzielił jej już rolę w najbardziej makabrycznym przedstawieniu, a wahanie przed jej przyjęciem nie ma żadnego znaczenia.

Noc nie przyniosła jej spokoju. Wpisała hasło „Aleksander Orłow” do wyszukiwarki. Może ten człowiek nie istnieje, może ktoś zrobił jej głupi kawał? Ale nie, Orłow istniał i znajdował się na jakiejś abstrakcyjnej liście najbogatszych na świecie Rosjan. Majątek zbił na handlu nieruchomościami, a teraz mieszkał w Berlinie. I jak się wydawało, strzegł swej prywatności jak żrenicy oka, bo jak na człowieka z takim worem pieniędzy zaskakująco niewiele informacji znalazła o nim w sieci.

2016/KRUK

Obudziłem się na ławce w parku Wiktorii. Miałem wrażenie jakiejś próżni. Marzłem. Zdawało mi się, że jestem z lodu i betonu. Tylko mój mózg był miękki i grząski. Nie miałem pojęcia, jak się tam znalazłem. Że spędziłem noc w parku na ławce, zdałem sobie sprawę znacznie później. Całkiem zeszywniały mi plecy. Stopniowo zaczęła mi wracać pamięć. Przypomniałem sobie parę z Izraela, którą poznałem na stacji metra Yorckstrasse, w lokalu z kebabami, gdzie zaczęła się nasza wspólna wędrówka. Najpierw były bary na Mehringdamm, z mnóstwem kolorowych drinków, które zachłannie wypijaliśmy jeden za drugim, żółtawa pigułka, którą zaproponował mi Arie czy Ariel, nie pamiętam dokładnie, jak się nazywał. Zapamiętałem za to jego powabną, drobną towarzyszkę i pocałunek, który, chichocząc z podekscytowania, wycisnęła na moich wargach, kiedy jej facet znikł na chwilę w toalecie.

Było zimno. Powinienem iść do domu, choć nikt na mnie nie czekał, nawet resztki mojego ja, które z takim zapamiętaniem rozrzucałem po miastach i miasteczkach, po barach i ławkach, że teraz nie potrafiłem scalić się na nowo. Mimo to musiałem... Wieczorem powinienem stawić się w pracy.

Z trudem stanąłem na nogach, stopy pulsowały, ledwie trzymałem pion, miałem zawroty głowy. Skąd ten park? Ta ławka? Gdzie się podziała ta drobna Sara, Rachela czy może Salome? I gdzie był jej zupełnie niebiblijny towarzysz, który tak kurczowo trzymał się pigulek, bo świat bez pigulek go przerastał?

Spojrzałem na swoje ubranie – kurtka była cała, dżinsy miały na kolanach ciemne plamy. Z trudem stawiałem krok za krokiem, pozwalając się smagać nieprzyjaznemu październikowemu wiatrowi. Minęło mnie kilka

pojedynczych nerwowych postaci. Wlokłem się dalej, starając się ignorować wrażenie, że moje kości zardzewiały.

W metrze przypomniałem sobie jej imię: Towa. Czy istniała biblijna Towa? A jeśli tak, czy była posłuszna, podporządkowująca się losowi, czy przekorna i krnąbrna? Dawała mężczyznom szczęście czy ściągała na nich nieszczęście? I czy Towa, która w sposób niewinny, lecz dla niej odważny, pocałowała mnie w usta, mnie też przyniosłaby pecha, gdybym został z nią dłużej, niż trwał tamten pocałunek, dłużej, niż trwała ta noc? A może spodziewała się, że ją wybawię, że dzięki mnie zajrzy w kryształową kulę, która obiecywała więcej, niż mógł jej dać jej facet? Czy to ona przyprowadziła mnie do parku i za karę ułożyła na ławce w ofierze jej gniewnemu Bogu? Wyobrażając to sobie, uśmiechnąłem się, coś w tym przypuszczeniu wydało mi się zabawne. Elegancka Towa kogoś mi przypominała, tylko kogo?

Powoli przytomniałem. Co za ulga, że nikt nie zwracał na mnie uwagi, że wszyscy dali mi spokój. To właśnie trzymało mnie w Berlinie, ten spokój. Tu, w tym mieście, czułem niesplamioną bliskość z asfaltem, betonem, wagonami metra z ich stęchłym zapachem – jedyną niewinną bliskość.

Było jeszcze wcześniej, za wcześniej jak dla mnie, i zapowiadało się, że dzień będzie się podle ciągnął w nieskończoność. Moja zmiana rozpoczynała się dopiero o północy. Wyglądało na to, że gdzieś się zaszyję i przez cały dzień będę udawał martwego. Nie miałem ochoty nikogo spotkać ani z nikim gadać. Chciałem pozostawać rozbity, w stanie niewyraźnym i niekonkretnym. Mógłbym spać dalej albo przejść jeden poziom *World of Warcraft*, a gdyby nie szło jedno ani drugie, zażyłbym zopiklon i wpadł w delirium.

Zanim wysiadłem z metra, pomyślałem jeszcze, że powinienem zadzwonić do matki, ale poczułem, że nie mam na to siły, i zaraz porzuciłem tę myśl.

Z całą pewnością Towa usposobiła mnie sentymentalnie. Ona i jej archaiczna oczywistość, którą, jak mi się zdawało, w niej dostrzegłem, kiedy

jej usta dotknęły moich. W całym jej podporządkowaniu się wyczułem tęsknotę za czymś więcej niż to, co dawało jej życie, jej facet, jej los. To maleńkie pęknięcie w jej radosnym, posłusznym świecie, przez które mogłem zajrzeć w głąb ostatniej nocy, nastroiło mnie sentymentalnie, oszołomiło, kazało mi iść za nią w noc i chłód. To pęknięcie kazało mi otworzyć drzwi, z których od dawna nie korzystałem, drzwi, które prowadziły do niej. Nie chciałem wracać do wewnętrznej skały, do której byłem przykuty. Tęsknota Towy uwiodła mnie, dałem się jej porwać, wypatrując swojej Eurydyki... Ale tam była tylko ciemność.

W kiosku kupiłem sobie kwaskowatą kawę i skręciłem w Wiener Strasse. Zamierzałem coś zjeść i zaraz potem runąć na łóżko. Po pierwsze, w ten sposób szybciej minie dzień, po drugie, będę mieć więcej czasu na podsumowanie przeżyć ostatniej nocy.

Gdy wyjmowałem klucze z kieszeni kurtki, nagle poczułem na sobie czyjś wzrok. Ten człowiek zapewne stał tam, na brzegu chodnika, przez cały czas, lecz ja go nie widziałem, a teraz odwrócony w moją stronę mierzył mnie ciemnymi oczami. Nie miałem możliwości, żeby go ominąć. Wydatny nos, szczupła sylwetka i rzadkie blond włosy będące zapowiedzią łysiny. Już wtedy, w tym innym stuleciu, w którym ja, tak jak Towa, wierzyłem w pewien porządek i zasady, w tamtym życiu, w którym również ten mężczyzna odgrywał pewną rolę, przypominał mi kogoś, kogo zadanie polegało na tym, żeby pilnować tajemnic, zachowywać mroczne misteria. Teraz też jego postać wzbudziła we mnie te skojarzenia, przy czym tym razem myślałem raczej o Charonie, starym, posępnym przewoźniku, który łodzią z sitowia przewoził zmarłych przez Styks do wszechmocnego pana Hadesu.

Nigdy nie mogłem zrozumieć, jak ona mogła żywić tak ciepłe uczucia dla tego dziwnego, tajemniczego mężczyzny. Ale z całej armady, jak nazywała świętę ojca, wybrała, oprócz swej piastunki Azji, właśnie jego i tylko jemu pozwoliła się do siebie zbliżyć. Nie prowadziła z nim żadnej gry, nie wodziła go za nos, co było jej ulubioną taktyką wobec innych znajomych ojca.

Zawsze szukałem czegoś, co mogło ją w nim intrygować albo wzruszać, lecz niczego takiego nie znalazłem, przeciwnie: z całego tego otoczenia on właśnie wydawał mi się najbardziej nieodgadniony, budził najmniej sympatii. Nie potrzebował zresztą sympatii, nie myślał takimi kategoriami.

Podszedłem do niego. Zimny wyraz jego oczu znów wywołał we mnie niechęć, którą odczuwałem zawsze, gdy znajdował się w pobliżu.

– Cześć, Onno – powiedział swoim słodkawym niemieckim. – Czekałem na ciebie.

Próbowałem zignorować dreszcz, który poczułem na plecach na dźwięk jego głosu, uśmiechnąłem się bezsensownie i wzruszyłem ramionami, nie wiedząc dlaczego. Jego lodowata uprzejmość nie stawała ani odrobinę od czasu naszego ostatniego spotkania.

– Cześć, Szapiro – odrzekłem i zacząłem się bawić pękiem kluczy w kieszeni kurtki. – Dawno cię nie widziałem – dorzuciłem trochę sztywno.

Nie wiedziałem, jakimi słowami się do niego zwracać. Po tym wszystkim, co się stało, nagle wyłonił się z niebytu niczym przywrócony do życia człowiek z innej ery i jego istnienie w nowej sytuacji, gdy czas był liczony inaczej, wyprowadzało mnie z równowagi.

– Wejdę z tobą do domu, jeśli nie masz nic przeciwko temu, i powiem ci, o co mi chodzi.

Pomyślałem o stercie nieumytych talerzy w kuchni, o pułapce na myszy w przedpokoju, o brudnej bieliźnie zalegającej w łazience, o przykurzonym stosie książek w sypialni i stojących wszędzie pustych butelkach. Ale zanim zdążyłem odmówić, uzmysłowiłem sobie śmieszność mojej niechęci: od dawna nie miałem żadnych tajemnic, a już zwłaszcza przed tym przewoźnikiem i jego potężnym przełożonym. To doprawdy było śmieszne, chcieć ukryć coś, o czym oni wiedzieli już od dawna. Ponieważ tu był, należało przyjąć, że wiedział wszystko, co musiał wiedzieć, i skinąłem głową na znak, że się zgadzam. W odpowiedzi wykonał niemal niezauważalny gest dłonią w kierunku przeciwległej strony ulicy, gdzie przed czarnym

opancerzonym audi czekali dwaj mężczyźni ze służb specjalnych, w ciemnych garniturach, których zobaczyłem, kiedy mój wzrok powędrował za ruchem jego dłoni.

Przeszedłszy przez podwórze, weszliśmy na wysprejowaną do niemożliwości klatkę schodową, a potem na czwarte piętro, gdzie od niespełna roku wynajmowałem mieszkanie, po tym, gdy moje poprzednie stało się dla mnie nie do zniesienia. Ten szczegół prawdopodobnie również był mu znany.

Kiedy otworzyłem drzwi, uderzył mnie zapach stęchlizny, ale on zbyt dobrze znał reguły savoir-vivre'u, by pozwolić sobie na jakąś uwagę.

W kuchni znalazłem czystą filiżankę i zaproponowałem mu jedyny napój, jaki był w domu i jaki on szczęśliwym trafem pił litrami: czarną herbatę. Podziękował uprzejmie, nie próbując lustrować kątów szybkimi, ciekawskimi spojrzeniami.

– Nie zajmę ci dużo czasu. Od razu przechodzę do rzeczy i wyjaśniam powód mojej nagłej wizyty.

Czasami – przypominałem sobie w tym momencie – zaskakiwał mnie, a nawet bawił jego dziwnie zawiły sposób wyrażania się i nieoczekiwany dobór wyrazów, teraz też uśmiechnąłem się pod nosem i poczułem, że powoli opada we mnie napięcie.

– Wysyła mnie Aleksander, ale sądzę, że tego się domyślasz – zaczął, przypatrując się intensywnie mojej dłoni, gdy wkładałem do filiżanki torebkę z herbatą.

– Tak przypuszczałem – odrzekłem z lekkim uśmiechem.

Od dawna bawiło mnie, że jako jedyny nazywał swego przełożonego Aleksandrem, a nie, jak wszyscy inni, Generałem.

– Chciał, żebym ci powiedział, że jest gotów... – Urwał wyczekująco jak drapieżnik, który obserwuje swoją ofiarę.

– Gotów na co?

– Przychylić się do twego życzenia.

Byłem naprawdę zdezorientowany, ani przez sekundę nie przypuszczałem, że będzie chciał cofnąć czas, bo jeśli zgodziłby się na moją książkę, której miał być bohaterem, znaczyłoby to ni mniej, ni więcej, tylko cofnięcie wskazówek niewidzialnego zegara. A tego nie potrafił nawet on, wszechpotężny Generał. Popatrzyłem zdumiony na Szapirę, który z ustami złożonymi w dzióbek dmuchał w gorącą herbatę.

– Tak, tak – podjął, jakby odgadując moje wątpliwości. – Chodzi o książkę, o twoją książkę.

– Ale...

– Nie przerywaj! – uciął. – Najpierw musisz skłonić pewną osobę, by zechciała spełnić życzenie Aleksandra. Nie straciłeś, mam nadzieję, daru przekonywania?

– Co to za osoba i o jakie życzenie chodzi? – spytałem, próbując mówić takim samym rzeczowym tonem jak on.

W kilku suchych zdaniach, popijając herbatę, wyjaśnił, że potężny, niezłomny Aleksander Orłow, nazywany przez wszystkich Generałem, a przez prasę zachodnią także czarnym papieżem, że ten człowiek, który zrujnował moje życie, stara się teraz o „przywrócenie sprawiedliwości” w swojej prywatnej historii, nie, nie stara się, raczej oczekuje z utęsknieniem, a nawet usilnie do tego dąży, i w związku z tym ma plan, w którym dla mnie również przewidział pewną rolę. Rolę obserwatora, rolę informatora – o takich rolach zawsze marzyłem, wtedy jednak mój plan się nie powiódł, ale tym razem jest sposób na spełnienie wszystkich moich ówczesnych i – miejmy nadzieję – obecnych marzeń, lecz muszę coś zrobić, muszę wpłynąć na pewną ważną osobę, której rola w całym tym zamierzeniu jest niestety – albo na szczęście – niesłychanie istotna, bez niej plan się nie powiedzie, bez planu nie będzie żadnej historii, a bez historii moja książka nie powstanie. To, do czego mam przekonać tę osobę, to nic wielkiego. Zresztą słowo „przekonać” nie do końca jest odpowiednie, chodzi raczej o zmotywowanie

młodej aktorki, wprawdzie utalentowanej, ale pochodzącej ze Wschodu – wiadomo, co się z tym wiąże. Jest ładną podobną do kobiety, która w przeszłości Aleksandra odegrała pierwszorzędną rolę, i dlatego jest tak ważna. Ma się tylko zgodzić na wzięcie udziału w nagraniu wideo. Nagranie zostanie potem rozesłane do pozostałych uczestników tego planu, żeby ich też zmotywować, chyba rozumiem, co znaczy to słowo.

Niewiele z tego, szczerze mówiąc, zrozumiałem. Ale wiedziałem, że takie słowa, jak „plan”, „zmotywować”, „osoba”, „prywatna historia” i „książka”, w połączeniu z Orłowem nie wróżą nic dobrego, a na pewno nic prostego. Zrozumiałem, że to, co usłyszałem, jest tylko pierwszym warunkiem, który przyjdzie mi spełnić, żeby dostać rzuconą mi na odczepne jakąś półprawdę albo wieloznaczną odpowiedź, ale podniecenie już ogarnęło moje ciało, wyciskając mi pot na czole, i po raz pierwszy od wielu lat poczułem, że znowu staję się częścią czegoś sensownego. A to wyzwoliło dalekie echo czegoś innego: poczucia, że jeszcze żyję.

Szapiro okazał mniej entuzjazmu, bo nie rzuciłem mu się z wdzięczności na szyję. Wydał mi się naiwny, niemal irytujący ze swoją słabą znajomością ludzkiej natury – po tym wszystkim, co było między wczoraj a dziś, po życiu w przepaści, bez jakiegokolwiek perspektywy. Jakby właśnie ode mnie oczekiwał pokory bezdomnego kundla, któremu na krótko przed śmiercią daje się jeszcze drugą szansę i ofiarowuje ciepły kąpiel i pełną miskę. To mnie właściwie obrażało.

Dlaczego był pewien, że moje marzenia były ciągle tymi samymi marzeniami, choć już raz zaprowadziły mnie na manowce?

– Nie jestem już tym, kim byłem kiedyś – powiedziałem, dziwiąc się własnemu doborowi słów.

Postawił filiżankę na stole i wstał.

– Tak właśnie zakładałem.

– Jeśli tak, to nie możesz oczekiwać, że pochopnie spełnię twoje życzenie.

– Pochopnie? Nie, wcale tak nie myślałem. Nie ma powodu, żeby decydować się na coś pochopnie.

– Mam na myśli: w ogóle coś robić, obojętne, pochopnie czy nie. Już nie piszę, to przecież wiecie, więc nie chcę się powtarzać i zabierać twój cenny czas, opowiadając ci o moim banalnym życiu.

– Więc nie zabieraj mi czasu swoim gadaniem. Wszyscy się zmieniamy, rozpraszamy się na różne strony świata, spadamy osobno i znów razem zbijamy się w kupę, tak, tak, znam to wszystko, ale nasze marzenia idą za nami, choć są niekiedy uciążliwe, i nie dają nam spokoju.

– Presja już na mnie nie działa. Jak widzisz, niewiele mam do stracenia.

– Myślisz, że chcę na ciebie naciskać?

– Nie wiem, jakie macie wobec mnie zamiary, ale bardzo wątpię, czy jestem właściwą osobą. Są setki dobrych pisarzy, którzy z ochotą wydaliby książkę w zamian za zgodę na waszą propozycję. Kilku mogę nawet polecić.

– On chce, żebyś to był ty.

Podszedł o krok bliżej. Uważał dyskusję za skończoną i chciał mi to dać wyraźnie do zrozumienia. Czułem, że wzbiera we mnie zawzięta, lepka wściekłość. Zdziwiłem się własną reakcją, lecz podniosłem się z miejsca z postanowieniem, że po prostu zapomnę o tej wizycie. Nie miałem lepszej broni. Zapomnę, zignoruję, jakby go tu nigdy nie było, i wrócę tam, gdzie przerwałem: na ławkę w parku, ze strzępami wspomnień ubiegłej nocy. Około dwudziestej trzeciej wstanę z łóżka, w drodze do metra kupię sobie coś pożywnego, zapcham żołądek, potem pojedę na budowę, zrobię ten bezsensowny obchód, a później z papierosami i książką zaszyję się w swojej pakamerze, najmilszym, jak mi się teraz wydało, miejscu na świecie.

W ciemnym przedpokoju Szapiro odwrócił się do mnie raz jeszcze, z twarzą nieprzyjemnie blisko mojej, i powiedział cicho, niemal szeptem:

– Jeśli plan się powiedzie i wszystko pójdzie po jego myśli, dostaniesz wyjątkowe prawa. Tylko ty. Wszystkie informacje, jakie tylko zechcesz,

każdy szczegół jego życia, wszystko będzie do twojej dyspozycji. Tylko twojej. Ale w zamian musisz trzymać się tych pieprzonych reguł.

Słowo „pieprzonych” cisnął mi w twarz, aż się cofnąłem.

– On oczekuje cię jutro. W galerii sztuki, w dziale rzeźb, zaraz po zamknięciu. Bądź punktualnie.

Nie czekając na moją odpowiedź, wyszedł. Pozostałem w wilgotnej ciemności swojego przedpokoju. Kiedy drzwi się za nim zatrzasnęły, poczułem, że mam miękkie nogi, osunąłem się po ścianie, szukając oparcia na deskach podłogi. Oczami wyobraźni zobaczyłem naraz obraz, jej obraz, tak podobny do snu, w jej włoskim pałacu, dawno po tym, gdy odfrunęły jej dzieciństwo i lekkość.

Miałem ten widok przed oczami, niepewien, czy jest to czyste wspomnienie, czy zlepek różnych okruchów rzeczywistości, które w mojej świadomości skojarzyły się z surrealistycznymi obrazami podsuwanymi przez lęki i wyobrażenia.

Ale on istniał nadal, wyraźny jak scena z filmu: jej plecy na tle ściany, a może jakiegoś malowidła, czegoś o dużej powierzchni. Jej kruchość, którą zawsze emanowała, jej lekka nerwowość i niepokój, to, co od początku tak mnie w niej irytowało. Jej plecy w przytłumionym świetle, a obok on, Generał, potężny tułów, sztywna sylwetka, prosta jak świeca postawa. Podobieństwo ich sylwetek, tylko że ona nie miała w sobie tej samokontroli, która tak głęboko wpisana była w jego ciało, ich długie szyje i foremne głowy, stali jedno obok drugiego, ramię w ramię, zamieniając się powoli w obraz.

Zdumiewała mnie realność tego wspomnienia, zamknąłem oczy i ukryłem twarz w dłoniach. To nie było rozsądne, tak blisko dopuszczać do siebie przeszłość – nie tylko Orfeuszowi nie dane było szczęście, kiedy spojrzał za siebie.

W moim śnie na jawie chciałem, żeby się odwróciła, żebyśmy mogli zobaczyć jej twarz, lecz ona uniosła się na palcach i wyszeptała coś ojcu do

ucha. Ten pogłaskał ją lekko po plecach, pochylił głowę i powiedział coś, czego nie mogłem słyszeć, lecz co zdawało się zawierać w sobie jakąś budzącą lęk nieodwracalność.

Potrząsnąłem głową i podniosłem się z podłogi. Powlokłem się do łazienki. Tam pod strumieniem gorącej wody pozbyłem się chłodu minionych godzin i marzeń na jawie.

Kiedy zupełnie oprzytomniałem, upłynęło trochę czasu, zanim zdołałem odtworzyć wydarzenia ostatnich dwudziestu czterech godzin. Wizyta Szapiry z jakiegoś powodu wydała mi się tylko przywidzeniem, a Towa postacią z moich snów bez ładu i składu. Nagle zobaczyłem most i zrozumiałem, kogo sobie przypomniałem. Ivanę!

Ivana w ciągu sekundy naprowadziła mnie na Grömitz, miejsce mojego urodzenia, i na słony smak Bałtyku na języku, najbardziej ekscytujący smak z dzieciństwa, który napawał mnie przecuciem, że tam, gdzie woda przecina horyzont, czeka na mnie świat, a idylliczne pustkowie, w które wrosłem, nie ma nic, ale to nic wspólnego z prawdziwym życiem. Tak, wtedy w najmniejszym stopniu nie przeczuwałem, czym jest prawdziwe życie, a mimo to byłem pewien, że nie ma go w tamtej dawnej rybackiej wsi, w Grömitz. Tam byli moi rodzice, uczciwi, pracowici ludzie, prowadzący pensjonat z widokiem na morze, powstały dzięki ich wielkiej dyscyplinie i cierpliwości, ich wielką dumę (oczywiście oprócz mego brata i mnie, których również wychowywali w dyscyplinie i z cierpliwością). Przyjeżdżali do nas wczasowicze w wieku powyżej pięćdziesiątki, tęskniący za odrobiną jakiejś atrakcji i odmiany, lecz w końcu pozostający w swej zwykłej strasznej rutynie. Były to pary, które z sobą nie rozmawiały i pustym wzrokiem patrzyły w dal, tyle że tym razem nie z pokoju we własnym domu, lecz z tarasu restauracji przynależącej do pensjonatu albo podczas wędrówek przez Lensterstrand lub jazdy trasą rowerową wzdłuż wybrzeża.

W Grömitz była szkoła, w której niczego wielkiego od nas nie wymagano i w której zarówno ja, jak i mój brat byliśmy zupełnie znośnymi, absolutnie przeciętnymi uczniami, bo w Grömitz niczego bardziej nie znoszono i nie

wyśmiewano niż pragnienia inności. Był to pogląd, którego nie kwestionowałem przez większość mego dzieciństwa. Były nawet stowarzyszenia sportowe i lekcje muzyki, na które posyłała mnie matka, były wyjścia do kina, wieczorem gry planszowe, świętowanie urodzin ze śpiewami na całe gardło i tortem jabłkowym mojej matki, lecz prawie nie było wakacji, bo przecież jakby stale byliśmy na wakacjach, a to inni przyjeżdżali do nas na swoje urlopy; niekiedy trafiał się wyjazd na letni obóz dla mnie i dla brata. Były też książki i komiksy, lecz nie było telewizora, były bitwy na śnieżki i kiermasze przed Bożym Narodzeniem, na których sprzedawaliśmy nasz domowy poncz. Poza tym oczywiście były godziny obowiązkowej pomocy w pensjonacie, a po źle wykonanej pracy złe spojrzenia ojca i reprimenda matki. Panowała wielka monotonia i przygłuszone emocje, jakby cała nasza miejscowość była zamknięta pod szklanym kloszem, jakbyśmy żyli opakowani watą i zakopani w piasku. Najbardziej ekscytującym wydarzeniem związanym z moim dzieciństwem było kilka bójek na szkolnym podwórku, zakończonych już po kilku minutach interwencją nauczycieli, oraz pożar w piekarni obok nas, który nie miał wcale tragicznych skutków – ubezpieczenie pokryło straty i wspaniale odnowiona piekarnia wkrótce znów otwarła swe podwoje.

I był jeszcze robak we mnie, jak nazywałem palącą, dręczącą myśl, która wryła mi się w głowę, nie dając spokoju, robak, który z roku na rok mocniej o sobie przypominał i który kazał mi myśleć, że wszystko, co mnie otacza, to tylko iluzja, fasada – ten kurort, ci spacerujący goście, ten idylliczny spokój, te wypucowane domki, ci urlopowicze w wiklinowych koszach plażowych – to wszystko, myślałem, jest mydlaną bańką, wszystko, łącznie z potężnym morzem. Mój robak kradł mi czas i kazał w środku nocy z latarką w ręce studiować mapy ojca i tęsknie spoglądać na przepływające statki. Wyobrażałem sobie życie w innych miejscach, gdzie wszystko jest realne i prawdziwe, głośnie i brudne, gdzie istnieją prawdziwe problemy i gdzie mógłbym robić coś znacznie bardziej pożytecznego, niż sprzątać ze stołów po śniadaniu wczasowiczów.

Ivana, jej imię jeszcze dziś wywołuje we mnie uczucie szczęścia, bo to ona i jej brat obudzili we mnie emocję, której nie można pomylić z zadowoleniem czy dobrym samopoczuciem. Nie, szczęście, które poznałem dzięki nim, było czymś zupełnie innym, czymś niemal bolesnym, o ciemnym zabarwieniu. Miałem siedemnaście lat, kiedy do klasy przyszło rodzeństwo Končić. Bliźnięta zewnętrźnie zupełnie do siebie niepodobne, choć z każdego gestu, każdego spojrzenia i każdego słowa można było odgadnąć ich głęboki związek. Pochodzili z Chorwacji, jak nam powiedziała nauczycielka, tam właśnie toczy się wojna, może się orientujemy, więc mamy im pomagać i być wobec nich życzliwi, bo wycierpieli straszne rzeczy.

Nowi byli nieśmiali i nieufni, w każdym przyjaznym geście węszyli podstęp, trudno przychodziło im nawiązać kontakt – wstydzili się swojego chropawego niemieckiego. Stanko, mały i zręczny, o gniewnym, przenikliwym spojrzeniu i ostrych zębach upodabniających go do wampira, przejął rolę opiekuna i podejrzliwie taksował wzrokiem każdego, kto podchodził zbyt blisko do jego siostry. Ivana była sympatyczniejsza i nieco bardziej otwarta, od czasu do czasu przynajmniej pytała o coś albo sprawiała wrażenie, że interesuje się rówieśnikami. Po pewnym czasie przekonałem się, że to ona w tym duecie gra pierwsze skrzypce.

Wziąłem sobie za punkt honoru, by się z nimi zaprzyjaźnić. Droga była długa, chwilami frustrująca i męcząca, ale z czasem udało mi się zdobyć zaufanie Ivany. Fascynowała mnie ich odmienność, pachnieli nieznanym światem, i choć ten świat był brutalny i pełen cierpienia, wydawał się jednak inny, przyciągał mnie jak magnes. Chciałem dowiedzieć się o nim czegoś więcej.

Czytałem wszystko, co wpadło mi w ręce, o wojnie na Bałkanach, namówiłem mego brata, byśmy nacisnęli rodziców: chodziło o kupno telewizora i pozwolenie na codzienne oglądanie wiadomości.

Stanko i Ivana zamieszkali w domu wielorodzinnym na obrzeżach naszej miejscowości, w pobliżu supermarketów i hurtowni napojów. Rodzinę stanowili oni, rodzice i dziadek oraz jeszcze dwoje rodzeństwa. Pamiętam

swoje podekscytowanie, kiedy po raz pierwszy zaprosili mnie do siebie, co z ich strony było największym jak dotąd dowodem zaufania. Ciasne mieszkanko, nieznanne zapachy dochodzące z kuchni, dziadek ze złotym zębem i okularami na gumce. Byłem zafascynowany, a jednocześnie zawstydzony, bo w głębi ducha wiedziałem, że ci ludzie, którzy wszystko stracili, nie chcieli być inni, chcieli zostać zaakceptowani, być tacy jak wszyscy.

Ze Stankiem grałem w piłkę na boisku, z Ivaną chodziłem do kina. Próbowałem odgadnąć, co kryje się w ich oczach, co to za tajemnica, której nie chcieli z nikim dzielić, a nawet może woleliby wyrzucić ją z pamięci. Po cichu pragnąłem być tym, kogo to wszystko spotkało, cokolwiek to było, wyobrażałem sobie, jak uciekam z rodziną, jak opiekuję się siostrą... Wtedy nie przeczuwałem jeszcze, czym była ta tęsknota, jakie nosiła imię, skąd przyszła, czułem jednak, że była dziwna i że nikt nie potrafiłby jej zrozumieć, przynajmniej nikt z Grömitz. Zazdrościłem im ich historii, choć była przerażająca, bo mieli coś do opowiedzenia, mieli prawo do czegoś szczególnego, doświadczyli życia w najbardziej brutalnej formie i całej jego nagości. To Ivana uchyliła mi drzwi do tego, co skrywało się za jej spojrzeniem. Pocałowaliśmy się w kinie na *Obcym 3* i od tej chwili więź, która nas łączyła, stała się o wiele silniejsza, mieliśmy swą tajemnicę, zwłaszcza że była to pierwsza tajemnica, jaką Ivana miała przed bratem. Zaszliśmy się w swoim świecie, spacerowaliśmy po wilgotnym piasku i z tęsknotą patrzyliśmy w dal, chichotaliśmy, wymienialiśmy głupawe uwagi i całowaliśmy się na każdym rogu ulicy.

Do dziś nie wiem, kto miał rację, a kto był w błędzie, kiedy myślę o wydarzeniu, które nas rozdzieliło: czy moje zachowanie można było – jak zrobił to Stanko – uznać za zdradę, czy może jednak było ono usprawiedliwione.

Ubierając się, myślałem o wąskich ustach Ivany, jej dużych oczach patrzących zawsze surowo, a zarazem niepewnie. Pamiętam pewien rześki letni wieczór, kiedy siedząc w aucie, schowani za wydmami i przystanią,

w której cumowały łodzie, przechytrzyliśmy strach i ściągnęliśmy ubrania. Pocałowaliśmy się, a moje ręce posuwały się w kierunku jej małych piersi, które tak doskonale pasowały do moich dłoni, moje usta wędrowały w kierunku brodawek jej piersi, mój język poznawał jej pępek, a wtedy ona parsknęła śmiechem, to też pamiętam, bo na chwilę wytrąciła mnie tym z mojego zapamiętania – pomyślałem, że robię coś nie tak, jak trzeba. Nie było wygodnie na tylnym siedzeniu auta mego ojca, ale nam to nie przeszkadzało, byliśmy pomysłowi i niezmordowani. Rozpięła mi rozporek, a ja miałem uczucie, że zemdleję z podniecenia, z oczekiwania. Spojrzałem jej w oczy, kiedy się na niej kładłem, dopasowała się do mnie, była zwinna i giętka, jak z plasteliny.

Potem leżałem z głową na jej brzuchu, było ciemno, prawie nie widzieliśmy własnych ciał, ale świadomość naszej nagości sprawiała, że chwila była niezwykła. I wtedy opowiedziała mi o mężczyznach, którzy wdarli się do jej domu, o kolbach karabinów, którymi zatłukli psa, o krzykach dochodzących z sąsiednich domów, ogniu, który podłożyli, opowiedziała o swojej kuzynce, którą za włosy wyciągnęli z domu i dokądś zawlekli, bo była piękna i młoda, a potem wróciła jako stara, zgorzkniała kobieta, chociaż minęło tylko parę godzin. Opowiedziała, jak Stanko się zsiakał, jak ich matka krzyczała, że dzieci nie wolno tykać, jak babcia trzy dni po tym napadzie umarła na zawał, a oni nerwowo pakowali wszystko i opuszczając wieś, patrzyli na płonące domy, małe czerwone punkty na horyzoncie, jak ozdoby na choince, tak, z daleka, z ciężarówki, wyglądało to niemal pięknie.

Milczałem, zamarłem z przerażenia albo z innego powodu, którego nie umiałem jeszcze nazwać i może nigdy nie będę umiał, choć od tamtej pory często opisywano mi takie sytuacje i sam potem widywałem podobne. Fascynacja grozą nie pozwalała odwrócić wzroku. Właśnie to nikłe uczucie zrodziło we mnie myśl, że chciałbym być świadkiem takich historii, chciałbym je opowiadać, choć nie były moje. Przysłuchiwałem się cichemu, niepewnemu głosowi Ivany i oczami wyobraźni widziałem już, jak dumnie kroczyć przez życie z ciężkim plecakiem pełnym różnych opowieści, które

będę zbierał po całym świecie: opowieści budzących lęk, strasznych, krwawych, a przecież głęboko ludzkich i prawdziwych.

Pod koniec roku jako jedyny z klasy znalazłem się na miesięcznej praktyce w gazecie „Lübecker Nachrichten”, co z perspektywy Grömitz wyglądało, jakbym dostał się co najmniej do „New York Timesa”. Każdego dnia jeździłem pociągiem do Lubeki i przyglądałem się pracy redakcji. Parzyłem kawę i wykonywałem drobne prace archiwalne, kilka razy zabrano mnie na wywiady. Pewnego dnia redaktor poinformował mnie, że oczekują ode mnie artykułu. Czegoś osobistego, co poruszy serca czytelników. Nie namyślałem się długo. Napisałem o Končiciach. Usiadłem przy biurku jak przypięty łańcuchem do starej maszyny do pisania mojej matki i całą noc stukałem w klawisze, mając przy tym poczucie, że to ja byłem tym, który tam stał, kiedy przyszli żołnierze i podpalali domy, że to ja się zsikałem, że to w moją skórę wżerał się płonący ogień. Po raz pierwszy w życiu czułem się uczestnikiem wydarzeń. Nie stałem z boku.

Mój artykuł odniósł taki sukces, że gazeta była zmuszona założyć konto, bo czytelnicy chcieli koniecznie pomóc ofiarom. Nie pomogły zmienione w artykule imiona: dla każdego było jasne, o kogo chodzi. Cała redakcja, nauczyciele, sąsiedzi, moi rodzice, nawet mój nastoletni brat chwalili mnie i moją zdolność empatii. Tylko w oczach Ivany było czyste przerażenie, kiedy podszedłem do niej podczas pauzy w szkole. Przerażenie, że tak się mną rozczarowała. Jej oczy napełniły się łzami, wysunięty do przodu, obrażony podbródek zaczął drżeć.

– Świnia! Podła świnia! – rzuciła z wściekłością.

W tym samym momencie pojawił się Stanko, a jego twarda pięść trafiła mnie w żołądek.

Nie pomógł żaden list – a napisałem ich kilka, żadne próby rozmowy, żadne prośby. Ivana zerwała ze mną, a rok później cała rodzina wyprowadziła się do Kiel. Popularność Končiciów, jaką przyniósł im mój artykuł, i wzmożona sympatia szerokiej społeczności, jakiej doznawali, sprawiła, że

urzędnicy również poczuli się zobowiązani do podjęcia działań i w ten sposób Končiciowie szybko uzyskali zezwolenie na pobyt, a ojciec dostał w Kiel posadę mechanika samochodowego. Ja jednak już nigdy nie zobaczyłem Ivany.

Czy to, co zrobiłem, było niewłaściwe? Czy ludzie, wśród których żyli i którzy nic o nich nie wiedzieli, nie powinni byli poznać historii ich cierpienia? Sukces artykułu umocnił mnie w każdym razie w decyzji zapisania się po skończeniu szkoły na wydział nauk politycznych i slawistykę na uniwersytecie w Bremie, a polecony przez życzliwego redaktora z Lubeki trafiłem na praktykę do znanych gazet i czasopism od Hamburga po Frankfurt.

Później objechałem byłą Jugosławię, szukając szlaku ucieczki Ivany, pisałem relacje z wszechobecnej tam wojny, nadal trwającej w ludzkich głowach i ciałach, i za każdym razem, kiedy o tym pisałem, widziałem wszystko jej oczami. Ale tu byłem w środku toczących się wydarzeń, nie musiałem wymyślać niczego, co zmieniałoby moje istnienie w skomplikowaną, urozmaiconą egzystencję bohatera czarno-białego filmowego eposu z podkładem muzycznym w postaci gniewnych pasażerów z *Zimy* Vivaldiego. Byłem niezależnym dziennikarzem współpracującym z kilkoma gazetami, płacono mi za to, że jeżdżę po terenach objętych wojną i ładuję do plecaka tragedie i łzy innych ludzi. Znalazłem uzasadnienie swego istnienia: byłem opowiadaczem ludzkich historii, Szeherazadą, kimś, kto ma prawo żyć, dopóki opowiada. Miesiące, które ze względu na konieczność zaliczeń na uniwersytecie spędzałem w miłym zresztą domu studenckim w Bremie, wydawały mi się gorsze niż piekło, które zostawiałem za sobą w byłej Jugosławii.

Czułem się straszliwie obco na tych wszystkich alternatywnych studenckich imprezach z ekologicznym piwem w ręce, zmuszony do udziału w banalnych towarzyskich rozmowach. Czułem zażenowanie, słysząc, że ludzie po rozstaniu z kimś, z kim byli przez cztery miesiące, biegają do terapeuty, żeby tam jeszcze bardziej umocnić się w swoich życiowych

kłamstwach. Było mi wstyd, kiedy w pewnym lewackim klubie kultury przysłuchiwałem się dyskusji o polityce, kulturze i demonstracji przeciw lobby zbrojeniowemu, i nie mogłem pozbyć się wrażenia obrzydliwego przesłodzenia, jakie pozostawiła po sobie ta dyskusja.

Poznałem zaangażowanych mężczyzn, którzy chcieli coś zrobić, coś zmienić, coś inicjować. Poznałem kobiety, które chciały być odważne, ale koniecznie jakoś inaczej, chodziłem z nimi na piwo, słuchałem ich pomysłów naprawy świata, z kilkoma miałem przelotne miłości, lecz zawsze brakowało mi tamtego nieufnego, gniewnego, a zarazem lękliwego, przenikliwego spojrzenia. Na końcu zawsze pojawiała się rozczarowanie, dosłownie czułem na swojej skórze i we wzroku tych kobiet zgorzknienie i hamowaną złość, kiedy ustalaliśmy, że to koniec naszego związku, a ja pakowałem rzeczy, wychodziłem i szedłem dalej.

W 1998 roku po raz pierwszy przyjechałem do Rosji, krótko po tym, kiedy kraj ogłosił niewypłacalność, krótko po tym, kiedy siedmiu rycerzy^[3] pomogło ponownie zwyciężyć w wyborach coraz bardziej nieobliczalnemu prezydentowi przejawiającemu nieokiełznaną pasję do alkoholu, by do ich niewiarygodnego majątku doszło jeszcze posiadanie władzy.

Rosja to było fascynujące bezprawie: odwieczne monstrum rozciągające się w jedenastu strefach czasowych zostało podzielone przez kilku mężczyzn i sprzedane. W 1994 roku cały przemysł radziecki wyceniono na dwanaście miliardów dolarów, począwszy od gazu, poprzez przemysł metalurgiczny do ropy naftowej, podczas gdy wartość rynkowa pojedynczych przedsiębiorstw prywatnych, na przykład amerykańskiej firmy Kellog's, była znacznie wyższa.

Majątek Rosji trwoniono w toku prywatyzacji, zamieniano na obligacje i talony, sprzedawano na żalonych aukcjach każdemu, kto miał choćby kilka rubli. Ludzie, którym wcześniej nie wolno było niczego posiadać, którym zawsze wmawiano, że wszelki kapitał pochodzi od diabła, opychali te talony za flaszkę wódki na czarnym rynku. Ale ci sprytni i pomysłowi, wystarczająco młodzi, by dotrzymać kroku zasadniczym przeobrażeniom,

orientowali się, jakie skarby są do wzięcia. Nie istniało jeszcze słowo na określenie wszystkich możliwości, jakie niesły tamte czasy. Nie wiedzano jeszcze, co się kryje za wieloma drzwiami, które nagle się otwarły. Ale niektórzy byli przekonani, że to się opłaca: homo sovieticus został zastąpiony przez homo oligarchus.

Rosyjski chaos pociągał mnie jak narkotyk, odczuwałem coś w rodzaju gorączki złota, a śmiertelnie niebezpieczna chęć, by poznać nowy gatunek rosyjskiego człowieka, opanowała mnie do stopnia, jakiego nigdy bym się nie spodziewał.

Znalazłszy się na ulicy, ciągle jeszcze nie mogłem zebrać myśli. Na rogu zjadłem kebab i wsiadłem do metra. Było zimno i dziwiłem się, że po nocy spędzonej na ławce w parku nie złapałem zapalenia płuc.

Z trudem zrobiłem swój obchód. Na szczęście moim obowiązkiem było tylko przemierzenie terenu wokół powstającego kolosa, bez wchodzenia do brzucha tego dinozaura. Kiedy już oświetliłem latarką maszyny budowlane i skład materiałów, dobrze się porozglądałem i nie zauważyłem niczego szczególnego (tak zresztą jak się spodziewałem, bo na budowie zainstalowano kamery, a moje obowiązki były raczej formalnością – nocnego stróża zatrudniono po tym, jak przed rokiem na budowę włamała się grupa pijanych młodych ludzi, którzy rozrabiali i urządzali dzikie tańce), zamknąłem się w mojej ciasnej kanciapie wyposażonej w małą dmuchawę zapewniającą ciepło w razie potrzeby. Tutaj w dobre dni czułem się jak embrion w macicy.

Pracę miałem od sześciu miesięcy. Czułem się tu dobrze, byłem królem w samotnym nocnym królestwie, rządziłem dźwigami i betoniarkami, metalem i cementem, byłem panem monstrualnego szkieletu przyszłego hotelu, który miał być jednym z wielu olbrzymich miejskich dinozaurów pozbawionych własnej twarzy, brzydkich, anonimowych. Może nawet byłem trochę uzależniony od tego paskudnego monstrum, ponieważ było czymś, za co czułem się odpowiedzialny.

Zacząłem czytać głupawy kryminał – od dłuższego czasu unikałem ambitniejszych rzeczy – i popijałem wino, które wniosłem po kryjomu w butelce po coca-coli, ale nic nie pomagało: nie mogłem wrócić do terażniejszości. Ciągle miałem w uszach słowa Szapiry, przed oczami znowu widziałem jej obraz, ją i jej ojca na tle malowidła. Czy można mieć dług wobec zmarłej? Czy wino trwa dłużej niż życie? Czy podjęcie na nowo tej historii mogłoby komuś pomóc?

Starając się ustalić moją rolę w całej historii, dopasowywałem wiele wariantów i ten, który wydał mi się najuczciwszy, najmniej mi się podobał. Może powinienem go milcząco zaakceptować, zgodzić się, że znów będę tylko posłańcem, krukiem zwiastującym przyszłe zdarzenia i niczym więcej.

Pociągając z plastikowej butelki wino o kwaśnym zapachu, myślałem o historii Koronis. O tym, jak wszechpotężny Apollin zobaczył córkę królewską Koronis w kąpielni i oszalał z miłości. O tym, jak się do siebie zbliżyli i ona miała urodzić mu dziecko, a ponieważ on, jako bóg niezwykle zajęty, nie mógł nieustannie przebywać w pobliżu swej ziemskiej ukochanej, ofiarował jej przepięknego białego śpiewającego ptaka. Ptak miał jej strzec i donosić zakochanemu do szaleństwa bogu, jak Koronis spędza bez niego czas. Lecz takie życie na dłuższą metę wydało się pięknej księżniczce nudne, miłość Apollina przestała jej wystarczać, nie była więc przeciwna awansom, jakie zaczął jej czynić mieszkaniec Arkadii Ischys. Oszukała wszechmocnego Apollina, wydając na świat śmiertelne niemowlę rodzaju męskiego, bo Ischys po prostu przy niej był, prawdziwy, z krwi i kości. I w odróżnieniu od złotej klatki, w której zamknęła ją miłość Apollina, teraz, dzięki miłości do Ischysa, Koronis poczuła się wolna, lekka, beztroska. Apollin, zaślepiony gniewem i bólem, zmienił posłańca złej wieści, pięknego białego ptaka, w czarne, wstrętne ptaszysko i skazał je na to, że zamiast śpiewać, krakało, zapowiadając nadciągające nieszczęście. Od tego czasu ptak ten nosi imię *Corvus corone corone*, kruk, i jest symbolem niewiernych.

2016/GENERAL

Rzeźba, którą oglądał, była mała, nie miała nawet czterdziestu centymetrów wysokości, lecz siła jej ekspresji sprawiała, że wydawała się o wiele większa i potężniejsza.

Muzeum było już zamknięte, tylko przed wejściem stały jeszcze pojedyncze grupki zwiedzających, najczęściej turyści, niezdecydowani, jak spędzić wieczór w Berlinie. Wysłał młodą pracownicę, by przywitała i przyprowadziła do niego tego pismaka, jak go nazywał w myślach. Generał przekazywał muzeum hojne darowizny i w zamian za to mógł liczyć na uprzejme gesty, na przykład oddanie mu do dyspozycji sali wystawowej po godzinie oficjalnego zamknięcia muzeum.

Pismak został wprowadzony do sali z wyrzeźbionym w drewnie popiersiem Maryi, której po twarzy spływały szklane łzy. Na ławce przed rzeźbą siedział Generał. Był sam, bez obstawy. Pracownica muzeum dyskretnie się oddaliła. Generał czuł wzrok pismaka na plecach i na łysej głowie. „Jak fragment snu wmontowywany w rzeczywistość” – pomyślał.

– W drugiej połowie siedemnastego wieku popiersia Bolesnej były ulubionym obiektem prywatnej adoracji w Hiszpanii, zwłaszcza w Andaluzji. A to wspaniałe dzieło, którego twórcą jest Pedro Roldán, ze względu na swój wyrazisty weryzm należy do najwybitniejszych przykładów tego gatunku.

Generał mówił powoli, jakby nie kierował swoich słów do nikogo konkretnego. Nie starał się ułatwić rozmówcy podążania za nimi. Córka zarzuciła mu kiedyś, że jego skłonność do posługiwania się metaforami jest formą wywyższania się. Tymczasem brało się to z przyzwyczajenia do tego, że to ludzie zawsze mieli dotrzymywać mu kroku, nie odwrotnie.

– Mater Dolorosa niekoniecznie pokazuje rzeczywiste zdarzenie z życia Maryi czy też punkt na osi czasu w jej życiu, jest to raczej ponadczasowy stan

smutku. Maryja wydaje się fizycznie obecna, można jej dotknąć, szklane łyż są wstrząsająco prawdziwe, a jej smutek wszechogarniający.

Nagle zamilkł i odwrócił się do pismaka. Onno stał tuż za nim. Z pewnością zauważył zmianę w jego wyglądzie: postarzałą twarz, ciemniejsze koła pod oczami, bladą skórę i siwe włoski w brwiach. A może jednak nie. Tak czy inaczej to, co pismak o nim myślał, nie miało znaczenia.

– Cześć – powiedział Onno, ledwie dostrzegalnie kiwnąwszy głową.

Pochylił się nad popiersiem i dokładnie się przyjrzał zatroskanemu obliczu Maryi. Jej smutek zdawał się przenikać wszystko, twarz była wstrząsająco naturalistyczna.

– Siadaj, nie gryzę! – powiedział Generał, lekko uderzając dłonią w skórzaną ławkę.

Przez chwilę obaj mężczyźni kontemplowali przepiękne, a jednocześnie skażone smutkiem oblicze Maryi. Czy pismak się spodziewał, że połączeni tym samym smutkiem staną się współsprawcami? Ale jedyne więzy, jakie ich z sobą łączyły, to były więzy nienawiści, ani na jotę nie słabsze od więzów miłości.

– Chciałeś ze mną rozmawiać. Dlaczego teraz? I o co w ogóle chodzi? – rzucił pismak.

– Popatrz na siebie, pofolgowałeś sobie, to niedobrze, bardzo niedobrze. Nikt, kto oczekuje od świata choćby odrobiny szacunku, nie może tak postępować – powiedział Generał.

Pismakowi zrobiło się nieswojo, że został zrugany jak smarkacz.

– Pieprzę szacunek.

Świadomie prowokował, bo dobrze wiedział, że Generał nie znosi wulgarności. Ale czuł się wolny, gdyż więzy między nimi zostały nieodwołalnie przerwane. Może też litość dla siebie czyniła go odważniejszym – nie miał już niczego, co by go czyniło podatnym na zranienie czy szantaż.

– O co chodzi? Czego konkretnie oczekujesz? – Onno odwrócił się do Generała i spojrzał mu prosto w twarz. Widać było, że dużo go to kosztuje. – Kim jest dziewczyna, którą tak koniecznie mam przekonać?

– Jesteś przecież człowiekiem prawdy, zgadza się? – powiedział Generał z wyraźną ironią. – Nieustannie o tym mówiłeś, kładłeś to do głowy mojej córce, ciągle tego szukałeś. Więc teraz daję ci okazję. Szukaj tej swojej prawdy, proszę bardzo, otworzę ci wszystkie drzwi, pozwolę wejść do każdej zaplutej piwnicy. Możesz napisać o mnie tę cholerną książkę, zrobić wielką karierę. Dam ci na to zgodę na piśmie.

– Gdzie jest haczyk?

– Nie ma żadnego haczyka. Od kiedy Ada... A więc od roku nad tym myślę... – powiedział Generał i nagle się podniósł. – Myślę, jak temu wszystkiemu, co się stało, nadać jakiś sens. Dlaczego była taka wymagająca. I wobec ciebie, i wobec mnie. Taka diabelnie moralna... diabelnie moralna. Ode mnie wymagała przyznania się. Chciała, żebym coś naprawił. A teraz, powiem to tak, daję nam szansę, żebyśmy zmienili w czyn jej ostatnią wolę. Nazwijmy to próbą...

Na dźwięk imienia Ada pismak drgnął. Tak, oczywiście, wyrzucił jej imię ze swojego życia, przestało dla niego istnieć, a teraz podziałało na niego niewyobrażalnie – znieruchomiał z wrażenia.

– Co przez to rozumiesz? – zapytał po chwili cichym, łamiącym się głosem i odwrócił się do Generała, próbując się podnieść, co udało mu się dopiero za drugim razem.

– Chciała, żebym spojrzał prawdzie w twarz, tylko że jest jeden problem: ja nie wierzę w prawdę. Tak jak nie wierzę w moralność. Ale Ada, Ada okazała się twardsza i bardziej bezkompromisowa niż wszyscy, których w życiu spotkałem. Jestem jej to winien. I tego samego można by domagać się od ciebie, nieprawdaż?

– Ciągle nie rozumiem...

– Bardzo dobrze rozumiesz, nie udawaj głupka! Może po prostu nie chcesz rozumieć?! Co przez te wszystkie lata próbowałeś ustalić? Przecież z nią o tym rozmawiałeś? To ty zaraziłeś ją tym szaleństwem. I ty ją do tego doprowadziłeś...

Generał czuł, że traci nad sobą kontrolę, że ogarnia go wściekłość, ale przywołał się do porządku, przełknął ślinę, wziął głęboki oddech. Musi się opanować, nie wolno mu odstąpić od planu ani na jotę.

– Mówimy o Nurze Giełajewej. Czeczenia, dziewięćdziesiąty piąty rok.

Pismak ani drgnął. Robił wszystko, by zachować kamienną twarz.

– A co ja albo ta aktorka mamy wspólnego z Nurą Giełajewą?

– Nie wiesz tego, ty pasożycie nurzający się w litości dla samego siebie?! Ty, który wtrąciłeś w przepaść moją córkę? Chcesz mi wmawiać, że nie wiesz, co masz wspólnego z Nurą Giełajewą?!

Nie był pewien, czy to, co zobaczył w twarzy pismaka, było strachem czy pogardą. Pismak patrzył na niego z lekko otwartymi ustami.

– Nie to chciałem powiedzieć...

– Na szczęście. Bądź mężczyzną i zdobądź się na szczerłość. Szczerłość wobec samego siebie.

– Wystarczająco się nienawidzę, dzięki, nie potrzebuję, żebyś mi o tym przypominał.

– Wierz mi, nigdy nie będziesz w stanie nienawidzić się dostatecznie mocno za to, co zrobiłeś.

– Kochałem ją, do jasnej cholery! – zaprotestował pismak, a dłonie drżały mu jak u alkoholika.

– Kochałeś. Tak, naturalnie, kochałeś ją.

Głos Generała stał się zimny, jakby temperatura jego ciała w ciągu sekundy spadła poniżej zera. Przez chwilę Onno zastanawiał się, czy się odwrócić i wybiec, czy skoczyć Generałowi do gardła, czy dać spokój i po

prostu nawet nie drgnąć.

– Zniszczyłeś mi życie przez twoje pomyłone postanowienie znalezienia jakiejś przekłetej prawdy, która, jak uważałeś, należy się światu. I temu postanowieniu podporządkowałeś wszystko, co miałem najświętszego i najcenniejszego. A ja mimo to wyświadczyłem ci łaskę, zostawiając cię przy życiu! Minimum, mój drogi, jakiego teraz od ciebie oczekuję, to ślepe posłuszeństwo i szczerłość.

Oczy pismaka zaszły mgłą. Czy w ostatnich miesiącach nie wmówił sobie, że nie mógł przeszkodzić temu, co się stało, że jej decyzja nie miała z nim nic wspólnego, że sama zdecydowała się wystąpić przeciw ojcu? Ale zdarzały się jednak minuty czy sekundy, kiedy musiał przyznać, że taka prawda była przyprawiona wieloma kłamstwami.

– Więc nie mam wyboru, jeśli dobrze rozumiem – powiedział i spojrział w stronę wyjścia, na tabliczkę z napisem „EXIT” i rysunkiem białego człowieka na zielonym tle. – Po cóż więc to spotkanie, te argumenty, które miały mnie przekonać? Dlaczego od razu nie rozkaz? Oszczędziłoby to nam czasu.

– To twój wybór, że tu przyszedłeś, twój wybór, że zostałeś przy życiu, twój wybór, że wysłuchujesz mojej prośby. Chcę tylko wiedzieć, czy moja historia nadal cię interesuje, czy dalej chcesz ją napisać. Jeśli nie, możesz natychmiast opuścić ten budynek, a ja zrobię wszystko, żeby nigdy więcej cię nie zobaczyć. Nie będzie to dla mnie trudne.

Generał odwrócił się do pismaka plecami i czekał bez ruchu, dając mu chwilę na zastanowienie. Potem podniósł się i zrobił kilka kroków po sali. Pismak podszedł do niego, stanął tak blisko, że niemal dotknął go ramieniem, by podkreślić, że są prawie równego wzrostu. Dla Generała mogłoby być upokarzające, że ustępuje mu fizycznie.

– Masz zamiar wznowić tę historię? Kolejny proces sądowy, wymuszanie zeznań. Czy tak?

– Jeśli tak to chcesz nazwać, to tak. Chcę swego własnego procesu

sądowego. Znajdę mężczyzn, którzy brali w tym udział. Zbiorę ich wszystkich i wydam wyrok. Tak jak chciała moja córka. A ty mi w tym pomożesz. Potem, kiedy będzie po wszystkim, ta historia będzie twoja. Najpierw potrzebuję jednak tej dziewczyny. To nie jest przypadek, że pojawiła się na mojej drodze właśnie w tym momencie. Skłonisz ją, żeby przyjęła moją propozycję.

Zrobił lekki ruch głową w kierunku ławki.

– Na ławce leży koperta. Są w niej informacje na jej temat. Cena nie gra roli – dodał.

Zanim wyszedł z sali, wygładził marynarkę i przejechał dłonią po łysej głowie.

– Możesz zostać jeszcze chwilę przy Maryi – rzucił na odchodne z ciemnego korytarza.

Onno posłuchał i wrócił na ławkę. Nie dochodziły tu odgłosy miasta. Był tylko on i nieskończenie smutna Maryja.

Tymczasem Generał szedł po marmurowej posadzce i oczami wyobraźni widział, jak Onno rozrywa brązową kopertę i wyjmuje dwa zdjęcia. Jak na widok twarzy na fotografii doznaje szoku, podobnie jak on, kiedy jadąc autem, zobaczył na plakacie teatralnym uszminkowaną twarz Nury. Oczywiście pismak nigdy nie spotkał Nury, lecz znał jej twarz z gruboziarnistych fotografii w gazetach. Generał wyobrażał sobie, jak Onno patrzy na te fotografie: dziewczyna o szarzielonych oczach i miedzianorudych włosach, z małą białą plamą u ich nasady, przechodząca zamaszystym krokiem przez jedną z berlińskich ulic. Potem pismak przechodzi do drugiego zdjęcia: ta sama dziewczyna, wyczerpana i spocona, a mimo to z wyrazem radosnej ulgi na twarzy, kłania się przed publicznością jakiegoś prowincjonalnego teatru. Będzie szukał w jej wschodnim środowisku jakiegoś geograficznego przyporządkowania i nic nie wskóra. Zatopi się w jej subtelnych rysach twarzy i odkryje, że pod delikatną skórą wre coś, co zwiastuje nieszczęście. Inaczej niż u Nury, która zawsze sprawiała wrażenie

pewnej siebie, niemal zbyt pewnej, tamta dziewczyna z fotografii nie wydawała się wcale kimś, kto przez życie idzie prostą drogą, przeciwnie – wyglądała na kogoś, kim miotają sprzeczności.

W jego głowie pojawią się pytania, zaczną go niepokoić. A jednocześnie zdziwi go własne nagłe, ponowne ożycie, przebudzenie martwych, zdawałoby się, zmysłów: nerwowość, maniakałność, ciekawość – to wszystko wróci w mgnieniu oka.

„To raczej ten ponadczasowy stan smutku... ponadczasowy stan smutku...”

Potem wzrok pismaka znów przyciągnie Maryja Bolesna. Wyda mu się, że ogarnia go swoim smutkiem. I podczas gdy pismak chwiejnym krokiem wyjdzie na oświetloną latarniami, mokrą od listopadowego błota ulicę, on, Generał, przekroczy już próg willi w Grunewaldzie^[4], witany przez psy. A potem, mając nadzieję, że Jewgienii nie ma jeszcze w domu, zniknie w gabinecie, zapadnie się w fotelu i każe przynieść sobie drinka. I może uda mu się na chwilę odprężyć, zrzucić stalową maskę. A potem zamknie oczy i poczuje, jak ona, jego córka, dotyka jego ramienia, jak wspólnie z nim podziwia obrazy, jego córka w tym momencie opanowana już przeraźliwym smutkiem i pełna podejrzeń. Poczuje, jak ona staje na palcach, by zadać mu ostatnie, ostateczne pytanie, które jeszcze teraz wywołuje w nim drżenie, a on zapragnie, by móc jej dać inną odpowiedź.

2016/KOTKA

Świat był przeżarty smutkiem, więc ratowała się minimalistycznie brzmiącą muzyką – subtelną, kołyszącą, bezkrwistą i dyskretnie pachnącą wanilią. Zatracała się w dźwiękach, próbując ignorować obrazy pojawiające się pod przymkniętymi powiekami. Puste miejsce gdzieś między żebrami znowu zaczęło się powiększać, zatapiać całe jej wnętrze. Chciała o tym zapomnieć, dlatego poszła potańczyć, skoczyć w życie na główkę, w światła i uderzenia dźwięków. Czowała, jakby jej życie było sukienką, z której wyrosła. Tyle że innej nie miała...

Leżące na stole w kuchni wypowiedzenie najmu przypominało jej codziennie o coraz bliższej konieczności wyprowadzki. Ale dokąd? Odsunęła od siebie to pytanie. Powinna czegoś szukać, coś organizować, lecz zamiast tego poszła na tańce, żeby odlecieć, a przede wszystkim, żeby spotkać Natalię, która dziś puszczała w klubie muzykę.

Chciała poczuć siebie, chciała znowu stać się całością, rozplynać się tej nocy, jakby była spienionym mlekiem, a muzyka, ludzie i miejsce na parkiecie uwodzącą zmysły wonną, czarną jak smoła kawą. Kiedy powstało w niej to puste miejsce? Kiedy straciła z sobą kontakt? Wirowała, niemal unosząc się w powietrzu, jakby prawo grawitacji jej nie dotyczyło. Nie miała żadnych planów. Od dawna. Choć z pewnym wysiłkiem ukrywała to przed światem. Jeszcze. Jedyne, co czowała, to przenikające każde włókno jej ciała zmęczenie i przekorę, jakby znów miała piętnaście lat i nie chciała żyć według zasad, jakie narzucał jej świat.

Tylko w weekendy, kiedy grała w teatrze, gdy stała na scenie, czowała się pewnie we własnej skórze, nie miała pytań. Zrezygnowała nawet z oprowadzania turystów po mieście, czym dorabiała w czasach finansowej posuchy. Nie miała już siły pokazywać podekscytowanym ludziom resztek

murów oraz Kolumny Zwycięstwa. Zastanawiała się, co wywołało w niej ten niepokój, jakie szarpia ją lęki, jaka wajcha została przełożona w drugą stronę, a przede wszystkim – przez kogo?

Słowo „rozstanie” tu nie pasowało ani niczego nie wyjaśniało. Bo to, co ich łączyło, i po czym próbowała postawić kropkę, nie zasługiwało na to słowo. Trzeba się najpierw poznać, żeby móc się na siebie zdecydować. Czy ich rozejście było przyczyną jej obecnej bezradności? Czy naprawdę tak mało o sobie wiedziała, zanim go poznała? Nie, to niczego nie wyjaśniało. Wtedy wiedziała lepiej, była sobie o wiele pewniejsza i słono zapłaciła za swoje przekonania.

Często przerabiała w wyobraźni to cięcie, ten koniec, dobrze się na to przygotowała. Kiedy w mieście zaczęło się lato, zrobiła pierwszy krok i wymówiła niepasujące słowo zupełnie spokojnie, bez emocji. Poszła do niego, kiedy wrócił z Wiednia, tak jak to zawsze robiła, schodami na górę, minęła go bez przytulenia, bez pocałunku, właściwie też tak jak zawsze, usiadła w kuchni, on zrobił herbatę i próbował masować jej kark, ona wyswobodziła się z jego mocnego uścisku, poprosiła, by usiadł naprzeciwko i jej nie dotykał. Potem powiedziała:

– Odchodzę.

Przewrócił oczami i głucho jęknął, i to rozwścieczyło ją tak, że przez chwilę miała ochotę go uderzyć.

– Wiesz, dlaczego tak nagle podjęłam tę decyzję?

– Nie podjęłaś tej decyzji nagle, nie oszukuj się. Od dawna już boksujesz się sama z sobą. A dlaczego? Nie dlatego, że nagle uświadomiłaś sobie, że mam w Wiedniu rodzinę i że, tu cytuję twoje słowa, jestem tchórzem, a nie tylko wariatem, za jakiego ma mnie cały świat. Nie, nie jestem niewinnym barankiem.

– Widzę, że nic nie rozumiesz.

– Rozumiem wszystko doskonale. Co więcej, nigdy cię nie oszukiwałem,

ty w to weszłaś i wydawało ci się to ekscytujące.

Spojrzała na niego osłupiała. Ta rozmowa nie miała sensu. On miał swoją prawdę i swoje spojrzenie na całą sprawę i nigdy nie zobaczy tego jej oczami. Ale to nie miało już znaczenia, wyrosła z jego świata i znajdzie sposób, by sobie wybaczyć, że się oszukiwała, wmawiając sobie przez lata, że on jeden widzi ją taką, jaka jest naprawdę.

Tylko jednego nie mogła sobie wybaczyć, a jeszcze bardziej nie mogła wybaczyć jemu, mężczyźnie, który właśnie położył nogi na stole, spokojnie pił wino i gładził palcami brodę, patrząc na nią obojętnie rybimi oczami: tego, że oszukał ją i wykorzystał jako artystkę i wszystkie okoliczności, jakie stworzył, żeby wytrwała przy nim cztery lata, okazały się z perspektywy czasu konstrukcjami opartymi na fikcji, rusztowaniami wzniesionymi z kłamstw.

Poczuła łyzy w gardle. Śmieszne, ale najpierw poczuła je w ustach, zanim zaczęły płynąć jej z oczu i rozsypywać się po twarzy jak rozerwany sznurek pereł. Ale nie rozplacze się, tego sobie zabroniła, będzie mu okazywać taką samą obojętność, jaką narzucił sobie on.

– Do widzenia, Reto.

Wstała i wyminęła go szybko, nie chcąc stworzyć możliwości przypadkowych spojrzeń, nieoczekiwanych zwrotów akcji i niezaplanowanych słów. Poczuła pewną ulgę, że nie pobiegnął za nią.

Teraz uderzenia elektronicznych instrumentów atakowały jej głowę, wprawiały nerwy w wibrację, kręgosłup czyniły elastycznym. Chciała się zatracić, chciała tego dzisiejszej nocy. W jej głowie pojawiały się i znikały strzępy wspomnień, obrazów z przeszłości, a chwila obecna zdawała się krucha i delikatna jak kokon.

Nie wiadomo, dlaczego wróciły do niej obrazy z dzieciństwa. Pestki granatu w małym emaliowanym pojemniku, które babcia przynosiła jej do łóżka, gdy była chora, i wkładała jej do ust każdą z osobna, a ona krzywiła się, że kwaśne. Gryzące wełniane rajstopy, które w zimie musiały nosić

z siostrą. Lekcje gimnastyki w młodzieżowym pałacu sportu i zawody we wspinaczce po linie, które tak lubiła, lecz których nigdy nie wygrała. Koty z ulicy Srebrnej, podwórko pełne kolorowej, trzepoczącej na wietrze bielizny i drewniane balkony, które zdawały się nie mieć początku ani końca. Miękkie włochate zwierzęta, wygrzewające się w zachodzącym słońcu, podczas gdy z tyłu owłosiony mechanik, którego twarzy ani imienia już nie pamiętała, prał dywan. Zapach ciasta migdałowego wypełniający w piątki podwórko... Kto piekł to ciasto? Babcia? Któraś z sąsiadek? Sprzęt wędkarski ojca w mieszkaniu jej rodziców na Nowym Mieście, które też było jej domem, chociaż u babci i komicznego wujka na Srebrnej czuła się bardziej swojsko niż tam.

Potem znowu pomyślała o castingu. Dzień wcześniej przełamała się i dała spokój swoim zastrzeżeniom, po czym pojechała do jednego ze studiów w Babelsbergu, gdzie w pustej hali ustawiono kamery oraz stoły z ciastem i napojami. Nauczyła się na pamięć tekstu, który przysłano jej e-mailem, wyćwiczyła go przed lustrem w mieszkaniu, które wkrótce nie miało już być jej. Depresyjna, niestroniąca od alkoholu komisarz policji z mroczną przeszłością i wyjątkowym talentem do tropienia złych chłopaków i dziewczyn. Wbrew oczekiwaniom ta rola sprawiła jej przyjemność, przez cały dzień łamała sobie głowę, jak powinna się poruszać, jak ubrać, jak mówić, i z wielu pomysłów wybrała te, które wydały jej się najodpowiedniejsze. Ale nastrój w hali, mrowie ludzi, długi czas wyczekiwania na wejście, numerki, które przydzielono aktorkom (ona dostała numer czterdzieści jeden), roztargnienie i zblazowanie kierowniczkii castingu, błyski kamer i komputery – to wszystko wyprowadziło ją z równowagi i gdy przyszła jej kolej, nie potrafiła, tak jak chciała, pokazać samotności bohaterki. Mimo wszystko poproszono ją, żeby zaimprovizowała dwie dalsze sceny, raz z kolegą Francuzem, o którym nie wiedziała, czy jego udział w tym serialu jest pewny. Wzięto od niej informacje, jakie notuje się na temat towaru, co do którego nie ma się pewności, czy się go zamówi, czy raczej doda do schowka, i pożegnano ją. „Proszę przygotować się na długi czas oczekiwania na decyzję i nie wydzwaniać codziennie – uprzedziła jeszcze kapryśna

asystentka ze słuchawkami z mikrofonem. – To w końcu casting międzynarodowy”.

Tak, może Vera miała rację, może ta rola byłaby dla niej jak suknia skrojona na miarę? Gdyby ją dostała, mogłaby też finansowo wesprzeć matkę, a przede wszystkim pomóc babci wrócić do domu.

Teraz chciała świętować noc i cały świat, chciała, by życie dało jej nowy impuls, chciała stopić się z muzyką i wszystkimi wokół niej, ale czuła, że jest na zewnątrz, że nie potrafi stać się częścią całości. Potok obrazów w jej głowie nie miał końca. Kiedy pojawił się ten niepokój? Co ją więziło, co ciągnęło w przeszłość? Kiedy to się zaczęło? Przecież nie od czasu pojawienia się tego człowieka o ptasiej twarzy, dziwnego posłańca, który pozostawiał po sobie budzące grozę uczucie i którego widziała od tamtego czasu jeszcze dwa razy. Pierwszy raz, kiedy dopadł ją pod drzwiami jej mieszkania, co bardzo ją przestraszyło, i drugi, kiedy wróciła z agencji aktorskiej i właśnie wsiadała na rower. Zawsze zachowywał się uprzejmie, chociaż ona na jego widok przybierała szorstki ton głosu i nieprzychylną postawę ciała. Była o krok od tego, by donieść na niego na policję. Ale on ze stoickim spokojem powtarzał zawsze to samo: jego przełożony nie akceptuje odmowy, więc niech lepiej przemyśli kwestię ceny.

Czuła wokół siebie mur obcych ciał, pozwoliła im się otoczyć, tak bardzo chciała się zapomnieć. Uwolnić od siebie i od oczekiwań wobec siebie. Może jedyną możliwą wolnością jest właśnie nie mieć oczekiwań, pragnień. Być papierowym smokiem na cienkiej nitce w rękach dziecka, które biegnie, biegnie coraz szybciej, a w końcu wypuszcza nitkę z rąk.

W oddali dostrzegła Natalię, swoją siostrę, która niezłe się bawiła, odbierając hołdy zabiegających o jej względy dwóch Anglików. Właśnie weszła do lokalu ze srebrną walizką pełną elektronicznych skarbów. Jej mały sojusznik, jedyny muszkieter od czasów dzieciństwa, który akurat teraz nie chciał z nią rozmawiać.

Bezpośrednio po przeprowadzce do nowego życia Natalia –

w odróżnieniu od starszej siostry, która bardzo się starała, by się nie wyróżniać, być jak wszyscy – robiła wszystko, żeby wyłamać się z szeregu. Kiedy Kotka przyswajała nowy język w tempie przyprawiającym o zawrót głowy, Natalia jeszcze długo broniła się przed niemieckim. Podczas gdy Kotka przynosiła do domu dobre oceny i w teatrze szkolnym była gwiazdą, Natalia kilka razy zmieniała szkołę i z trudem osiągała średnie wyniki. Gdy Kotka przygotowywała się do egzaminów na studia, wkuwała monologi, a oprócz tego brała wszystkie możliwe prace dorywcze, by móc sobie pozwolić na wyjazdy na egzaminy wstępne w różnych miejscach w Niemczech (udało jej się jednak nieoczekiwanie szybko i niezasłużenie łatwo przekonać komisję egzaminacyjną do swojej bohaterki Pentezylei), Natalia dwa razy trafiła do aresztu – z powodu jazdy po pijanemu i z powodu zniszczeń spowodowanych na imprezie, która zamieniła się w ogólną bójkę.

Kotka rozpoczęła studia i toczyła boje z samą sobą, pola bitewne Natalii ulokowane były zawsze w świecie zewnętrznym – naukę zawodu złotnika połączoną z praktyką przerwała po dwóch miesiącach i weszła w tajemnicze środowisko młodych ludzi, które nazywało się Guerilla Parties, a specjalizowało się w tym, że zajmowało puste budynki i urządzało tam orgie podsycane alkoholem i narkotykami. Zdawało się, że Natalia miała wrodzoną skłonność do takiego stylu życia. Wkrótce w swojej grupie awansowała na atamankę, cokolwiek to znaczyło, a poza tym puszczała muzykę na imprezach. Może stałaby się szybko, ku przerażeniu matki, królową berlińskich imprez undergroundowych, gdyby na jednej z nocnych wypraw nie spotkała niebywale szarmanckiego i oszczędnie wytatuowanego didżeja, który przyjechał do Berlina z Chile, żeby podbić rynek muzyki elektrycznej.

Kotka wiedziała, że Natalii potrzebny jest rozbójca bomb – ktoś, kto z bezgranicznym spokojem i ślepym zaufaniem nauczy ją normalności – i od początku czuła, że nie będzie to Mateo, ów didżej.

Związek Natalii i Matea wybuchł głośno i elektryzująco jak raca, przeszedł w agresywne rozdrażnienie i prawdopodobnie zakończyłby się

równie głośnym, pełnym złych emocji rozstaniem i wieloma zarzutami, które przyklejaliby sobie, tak jak kleją się do lepu tłuste czarne muchy, gdyby nie nieplanowana ciąża Natalii. Choć potężna rysa na ich związku pojawiła się już przed ciążą, Natalia w czasie dziewięciu miesięcy podjęła zdecydowaną próbę sklecenia życia rodzinnego. Ale didżej nie był tym specjalnie zainteresowany. Cierpliwość Natalii wyczerpała się nieodwołalnie, kiedy ojciec jej dziecka nie zdążył na poród. Zapodział gdzieś telefon i zdołano nawiązać z nim kontakt, dopiero gdy mały Nico był już na świecie.

Dwa tygodnie później, kiedy Natalia poczuła się mocniejsza, wyrzuciła rzeczy Matea przez okno – przynajmniej odejście musiało być w jej stylu – i zmieniła zamki w drzwiach.

Nie była jednak w stanie samodzielnie utrzymać mieszkania i wróciła na Wedding, do matki, u której i tak spędzała z niemowlęciem większość czasu. Tak jak małe dziecko uczy się chodzić, tak ona powoli uczyła się być matką, chociaż ta rola często ją przerastała. Ale miłość do synka – nierozsądna, wybujała, po części też nadmiernie ją wyczerpująca – przypominała prawdziwe święto, które nigdy się nie kończy, jakby Natalia znalazła miejsce wiecznej imprezy.

Niepokój o młodszą siostrę zawsze towarzyszył Kotce. O Natalii myślała z lękiem, jakby wiedziała, że siostra, która ciągle poruszała się po śliskim gruncie, w końcu wpadnie w przeręb. Pytanie nie brzmiało, czy wpadnie, lecz kiedy.

Czasami, gdy strach o Natalię nie dawał jej spokoju, Kotka zastanawiała się, czy brak dążeń, by osiągnąć w życiu coś ambitniejszego, solidniejszego, nie narodził się w Natalii w dniu, kiedy wsiadły do łady 07. Nigdy wprawdzie o tym nie rozmawiały i Kotce wygodnie było myśleć, że Natalia była za mała, żeby móc to pamiętać, lecz z pewnością istniał związek przyczynowy między zmianą w życiu siostry a wyjazdem nad jezioro Lisi w Tbilisi.

Ojciec postanowił wtedy pojechać na wycieczkę z matką i z nimi. Rano obudził dziewczynki entuzjastycznymi pocałunkami, zapowiadając, że jadą

nad Lisi i będą się kąpać. Stała za tym niewypowiedziana obietnica, że znowu będą rodziną.

Kotka – o czym nikt nie wiedział – tego dnia miała potwierdzić nadany jej przez rówieśników z podwórka przydomek, który wziął się od zręczności, z jaką wspinała się po najwyższych drzewach i ścianach. W swym późniejszym życiu również okazała się istotą, która gdy spada z niebezpiecznej wysokości, ląduje jak kot na czterech łapach i wychodzi bez szwanku z groźnych sytuacji. Natalia zaś stała się wagabundą, która rozmienia się w życiu na drobne, którą przyciągają ciemne i brudne zakamarki i która od razu dostrzega to, na co nikt nie chce patrzeć. Zaczęła się uzależniać od przeżyć ekstremalnych, jakby tylko one dawały jej możliwość odczuwania życia. Stała się akrobatką tańczącą na wysokiej skale, wokół której otwiera się przepaść.

To tamtego dnia Natalia zrozumiała, że wszystko, po prostu wszystko – kamień węgielny, umowa między dwojgiem ludzi, zaufanie, życie prowadzone według zasad, nawet miłość rodzicielska uchodząca za prawo natury – może w jednej chwili przestać istnieć. Że w życiu na niczym nie można się oprzeć. Dlatego straciła motywację, by zrobić coś ze swym życiem. Gdyby coś zbudowała, o coś walczyła, to wszystko w następnym momencie mogłoby zamienić się w proch.

Przed kilkoma tygodniami, przestraszona psychiczną zapaścią matki, która widziała, jak żyje młodsza córka, Kotka napadła na Natalię:

- Musisz coś z sobą zrobić! Rusz w końcu tyłek!
- Mama znowu ci się wyplakiwała?
- Wyplakiwała? Co ty gadasz, Natalia. Popatrz na nią, zaharowuje się na śmierć. Myślę... A oprócz tego jeszcze twój mały...
- Przecież ciebie tu nie ma, więc powinno ci to być obojętne.
- Poważnie?! Zarzucasz mi, że nie mieszkam razem z wami?
- Niczego ci nie zarzucam. Ale ciągle tu przychodzisz, prawisz mi

morały, a sama...

– Ja? No, co jest ze mną nie tak?

– Zajmij się swoim życiem! My tutaj dajemy sobie radę...

– Ach tak, dajecie sobie radę. Jakoś nie mam takiego wrażenie, kiedy się wokół rozglądam.

– Uważasz, że masz prawo to oceniać?

– Co się z tobą dzieje? Jestem przecież twoją siostrą!

– Pieprzysz się z jakimś dupkiem, który się do ciebie nie przyznaje, robisz taki gnój, a potem przychodzisz i mówisz mi, jak powinnam żyć, jakbyś była jakąś cholerną gwiazdą z Hollywood. Wydaje mi się...

W drzwiach stała Tina, ich matka, i z osłupieniem patrzyła na córki. Kotka nie zwierzała jej się do tej pory ze swojej afery miłosnej, więc teraz matka usłyszała o niej po raz pierwszy. Coś ją ukłuło, twarz jej się ściągnęła, jakby zjadła coś gorzkiego. Próbowwała wprawdzie niczego nie dać po sobie poznać, ale obie wiedziały, że to, co usłyszała, wystarczyło, żeby martwiła się jeszcze bardziej.

– Dlaczego się kłóćcie? Dlaczego ciągle się kłóćcie? Nico właśnie zasnął, miejcie wzgląd na dziecko!

– Ona powinna wreszcie coś z sobą zrobić!

– Natalia się przecież stara! Chodzi do pracy, odprowadza Nica do przedszkola...

– To jej syn! Kiedy to wreszcie zrozumiesz? Zachowujesz się, jakby to było nie wiadomo co, że Natalia spędza trochę czasu z własnym dzieckiem.

Kotka zauważyła, że za bardzo się uniosła, głos jej drżał, miała rozpalone policzki.

– Co cię to obchodzi? Czy ty musisz się troszczyć o mojego syna? Czy ja ci coś odbieram? Dlaczego po prostu nie przestaniesz się wtrącać i pozwolisz nam żyć naszym życiem?

Natalia patrzyła jej prosto w twarz ciemnymi, dumnymi oczami, które wyrażały czystą nienawiść.

– Nie bądź dla niej taka surowa, Kotko, Natalia robi, co może, to dla niej nie był łatwy czas – zaczęła matka.

Kotka przerwała jej z krzykiem:

– Przestań jej ciągle bronić! Rozpuściłaś ją! Popatrz na nią, mój Boże, ona nie ma przecież dwunastu lat, przestań ją ciągle ochraniać, inaczej skończy tak jak ty.

To zdanie, ten końcowy akord, to było jak pchnięcie nożem. Tina odwróciła się bez słowa i wyszła z kuchni. Natalia, kompletnie zszokowana, zbliżyła się do Kotki z kuchennym nożem w ręku.

– Ty podła suko! Zostaw nas w spokoju, po prostu zostaw nas w spokoju!

Od tamtego czasu Kotka wielokrotnie przeproszała matkę. Tina, która nie umiała długo chować urazy, wybaczyła jej podczas pierwszej rozmowy telefonicznej, lecz Natalia, najbardziej dumna istota, jaką Kotka знаła, nie zamierzała z nią rozmawiać.

Teraz ich oczy się spotkały.

Miniony tydzień służył z jej czoła kroplami potu i stawał się nieważny i niebyły, zniknął, bo nie miał w sobie nic, czego warto się było uchwycić. Natalia, która wkrótce miała stanąć za pulpitem didżeja, flirtowała jeszcze z Anglikami, lecz jej wzrok co chwila biegł w kierunku starszej siostry. Kotka pomachała w jej stronę, lecz Natalia nie odpowiedziała. Kotka zrozumiała, że będzie musiała do niej podejść.

Szalała na parkiecie, jej ciało stało się z przegrzania miększe, bardziej elastyczne. Przypominała sobie wysokie mury w dzielnicy jej dzieciństwa, na które się wspinała i które zdobywała.

Muzyka coraz intensywniej zastawiała na nią pułapkę. Tańcząc, przesuwiała się dyskretnie w kierunku Natalii, chcąc ją złapać, zanim ta stanie przy pulpicie didżeja. Chwytała powietrze, tańczyła coraz szybciej,

przepędzając z głowy kolejne wspomnienie. Wspomnienie płaczącej Natalii, która weszła za ciężką sofę, bo się bała Olbrzyma, jak obie nazywały ojca, kiedy ten wrócił z wojny. Przydomek Olbrzym był trafny, bo nic, co ojciec wziął do ręki, nie ostawało się całe. U filiżanki ułamało się uszko, szklanki pękały, w krześle, które dosunął na swoje miejsce, poluzowało się oparcie. I to za sprawą jego rąk, rąk lekarza, które niegdyś po mistrzowsku robiły użytek ze skalpela. Ale to było wtedy, zanim jeszcze wsiadł do kamaza i odjechał nad morze, na pola bitew. Wrócił jako Olbrzym przywiązany do niewidzialnego słupa wysokiego napięcia i nie potrafił już panować nad swoją siłą, tylko zgniatał wszystko, co mu wpadło w ręce.

Dlaczego właśnie teraz przyszedł jej na myśl? Czy to za sprawą dźwięków, które wywołały ten łańcuch skojarzeń? Ale ona przecież nie chciała nigdzie odbiegać myślami, chciała być tutaj, być częścią tego tłumu. Poczula, że potrzebuje przerwy, świeżego powietrza, jasności myślenia. Zdobyła się na odwagę i ruszyła w stronę siostry, którą, jak zauważyła, Anglicy zaczęli nudzić.

– Proszę wybaczyć – przeprosiła ich i pociągnęła Natalię za sobą.

Przed damską toaletą znalazła spokojny kąt i zatrzymała się. Natalia na szczęście bez protestu poszła za nią. Teraz patrzyła na Kotkę lekko zdziwionym wzrokiem.

– Jak leci?

– Dobrze. Zaraz staję za pulpitem.

– Wiem. Dlatego przyszedłam.

– No to dobrej zabawy.

– Przestań, proszę, nie mogę tego znieść. Przykro mi... Mówię poważnie, straciłam wtedy panowanie nad sobą... Nie miałam racji.

– Kotka, musisz w końcu dać spokój. Chciałaś iść swoją drogą, więc idź. Zawsze ci pomożemy, jeśli będziesz nas potrzebować, ale nie możesz chcieć wszystkim kierować i dyrygować.

To, co mówiła Natalia, brzmiało zaskakująco rozważnie, jakby dogłębnie przemyślała te słowa.

– Idź, szukaj swego szczęścia. Nie jestem nieszczęśliwa, Tina też jest na swój sposób szczęśliwa, zwłaszcza teraz, z tym idiotą... I babcia też zaczyna się w Niemczech powoli odnajdywać, więc nas nie ustawiaj, okej?

Kotka wiedziała, że każde jej słowo będzie śmieszne i nie na miejscu. Czowała, jak oczy zachodzą jej łzami.

– Wpadnij do nas w tych dniach. Matka pyta o ciebie i babcia też tęskni. *Sorry*, muszę iść, zaraz zaczynam.

– Dobrze, wpadnę. Wyjdę teraz na chwilę na świeże powietrze, okej? Jak wrócę, będę podziwiał twoje umiejętności.

– W porządku. Niech ci tylko przybiją stempel, bo inaczej nie pozwolą ci znowu wejść.

Kotka poszła pośpiesznie schodami na górę, minęła ochroniarza przy drzwiach i tłum tłoczący się przy wejściu. Skręciła za róg i znalazła się na podwórzu, które było puste, nie licząc kilku parkujących tam aut. Usiadła na ziemi i ucieszyła się, gdy w kieszeni bluzki znalazła pół paczki tytoniu, w której były też bibułki. Od razu zaczęła skręcać sobie papierosa. Zimne jesienne powietrze dobrze jej robiło, ta jesień była przepięknym prologiem do białej zimy, którą chciała zebrać w swojej dłoni, aż się zupełnie rozplynie, zmieni w wodę, i kiedy to nastąpi, znajdzie dla siebie nowe życie.

Rzeńskie powietrze błyskawicznie przywróciło jej jasność myśli i to otrzeźwienie też dobrze jej zrobiło. Wsparła się na dłoniach i rozciągnęła kręgosłup. Na szarym nocnym niebie można się było domyślić kilku gwiazd podobnych do maleńkich pieprzyków.

– Kotka?

Obejrzała się przestraszona. Zbliżał się do niej postawny typ, którego na pewno nigdy w życiu nie widziała. Miał w sobie coś z wikinga, którego z powodu nieobyczajnego rozpasania wyrzucono za burtę i którego przy

życiu utrzymywała tylko nadzieja, że jakiś inny statek zechce go wziąć na pokład. Ciemna broda przydawała jego wyglądowi pewnej przytulności, a kędzierzawe włosy odstawały od głowy jak naelektryzowane.

– Tak?

Nie wyglądał specjalnie groźnie, mimo to podniosła się z ziemi. Był to instynkt, który towarzyszył jej od dzieciństwa – przygotować się natychmiast na wszystkie możliwe zaczepki i ataki, bo każdy, kto podejdzie bliżej, może być wrogiem. Jakby każdy, kto szukał jej bliskości, chciał ją zniszczyć. Stała więc niczym owczarek niemiecki, w wyczekującej postawie, gotowa na każdy rozwój wypadków.

– Jestem Onno. Onno Bender.

„Dziecinne imię, w pewien sposób jednak do niego pasuje – pomyślała. – Samotny wiking ze swoją rybacką siecią”.

– Znamy się? – spytała wyczekująco i lekko się cofnęła.

W słabym świetle podwórza nie mogła dostrzec jego oczu, ich koloru ani tego, co ukrywały.

– Nie, nie znamy się i wybaczone, że cię tak napadam, ale już w klubie szukałem okazji, żeby do ciebie podejść, no i poszedłem za tobą.

Wpatrywał się w nią nieprzerwanie. Czuła się nieswojo.

Nie wiedziała oczywiście, że ten samotny wiking miał przed oczami fotografię, którą kilka godzin wcześniej znalazł w pewnym pudle opisanym inicjałami „A.O.”. Nie wiedziała, że kiedy nad ranem wrócił do domu i nie mógł zasnąć, poszedł do piwnicy szukać pudeł, w nadziei że ostały się mimo szaleństwa niszczenia, jakie dopadło go przed rokiem. Trzy pudła rzeczywiście przetrwały, w dwóch znalazł wrzucone tam bez ładu materiały, które mogły mu się kiedyś przydać przy pisaniu reportaży czy esejów. W trzecim pudle opisanym „A.O.” natknął się na fotografię, niewiarygodny rarytas! Czarno-białe kiepskiej jakości zdjęcie, wycinek z jakiejś rosyjskiej gazety, mogło błyskawicznie potwierdzić jego przypuszczenie. Położył

zdjęcie gruzińskiej aktorki obok wycinka z fotografią dziewczyny, której imię zanotował na brzeżku: Nura. Czecheńska dziewczyna, która uśmiechała się do obiektywu, mogłaby rzeczywiście być bliźniaczką Gruzinki. Miała w sobie bystrość, niemal euforyczność, a rozmyta fototapeta w tle pozwalała domyślać się miejsca, w którym zrobiono zdjęcie.

– Śledziłeś mnie? Nie podoba mi się to.

Zapaliła papierosa i znów usiadła na ziemi. Przyjrzała mu się wystarczająco uważnie, by stwierdzić, że z jego strony nie grozi jej żadne niebezpieczeństwo. Może wyczuła, że jest zmęczony, że ma na grzbiecie dziwny ciężar, a jego gardło wyschło.

– Tak, mogę to zrozumieć, ale jeśli dasz mi sekundę, wytłumaczę się...

Spojrzała na niego z dołu, lekko przekrzywiając głowę. A on, jakby nagle uświadomił sobie, że jego czas jest ograniczony, zaczął mówić z pośpiechem:

– Oni nie dadzą ci spokoju, dopóki się nie zgodzisz. A jeśli jego propozycja nie będzie dla ciebie dość atrakcyjna, zaczniesz wywierać na ciebie presję, ale ja nie chcę czekać, aż sprawa zajdzie tak daleko. Chcę, żebyś wykorzystała ten moment na swoją korzyść.

Bez tchu wyrzucił z siebie potok słów i widział, jak jej brwi podnoszą się nieufnie. Z głębi wewnętrznego podwórza dobiegały mocne uderzenia basów.

– Super! Mówisz o tej zaszrannej rosyjskiej mafii, tak? – zapytała i z obrzydzeniem potrasnęła głową. – Co to ma znaczyć? To wszystko powoli przestaje być przyjemne... Co to w ogóle jest? Zostawcie mnie w spokoju, pomyleńcy.

Zerwała się na równe nogi i w ciągu sekundy z łagodnej dziewczyny wyszło zwierzę, które pokazuje pazury i szczyrzy kły.

– Hej, pozwól mi wyjaśnić! Ja do nich nie należę, ale znam tego człowieka i jego popleczników. Daj mi pięć minut, powiem ci wszystko, co musisz wiedzieć. Szapiro, to przecież był Szapiro, ten, który do ciebie przychodził, prawda?

– Tak, człowiek o ptasim wyglądzie. On do mnie nie tylko przychodził, on mi się naprzykrzał, ja już naprawdę nie mam ochoty...

Była rozjuszona, a jednocześnie niepewna, co robić dalej. Wzbudził w niej pewną ciekawość.

– Co on ci opowiadał?

– Coś o jakimś wideo. I że mam grać nieżyjącą dziewczynę. Przyszedł do mnie kiedyś po przedstawieniu, a potem nachodził mnie jeszcze dwa razy i opowiadał o jakimś Orłowie. Wygooglowałam tego gościa. I nie wierzyłam własnym oczom: prawdziwy oligarcha. To dla niego pracuje ten człowiek o wyglądzie ptaka?

– Można tak powiedzieć.

– To absurd, naprawdę! Nie wiem nawet... Jestem aktorką, nie pracuję przecież dla żadnej firmy detektywistycznej...

– Daj mi pięć minut, okej? Daj mi szansę, bym mógł ci wytłumaczyć, dlaczego tu jestem.

Przez chwilę się namyślała, stojąc nieruchomo, potem rzuciła papierosa na ziemię, rozgniotła go butem i skinęła głową. W spojrzeniu tego typa było coś naglącego i to przytłaczające uczucie wydało jej się przez moment znajome.

– Proszę bardzo, masz pięć minut. Potem muszę wracać. Zaczynam marznąć.

– Mogę ci zaproponować swoją marynarkę.

– Nie, dziękuję. Teraz cztery minuty i pięćdziesiąt dziewięć sekund.

Zaśmiała się swoim bezczelnym, ochrypłym śmiechem, który kończył się zabawnym sapaniem, tak że on też się roześmiał.

– O czym marzysz?

– Co takiego?

– No, o czym marzysz? Czego pragniesz? Co chciałabyś robić już teraz, gdybyś miała możliwość?

– Nie mam pojęcia. Kilka rzeczy.

– Wszystko jedno. Powiedz, co najpierw przychodzi ci na myśl.

– Pomóc rodzinie. Matce, która potrzebuje na wiele rzeczy.

– No widzisz. Dalej, co jeszcze?

– Dostać rolę. Rolę w serialu, do którego wczoraj był casting.

– Dalej.

– Chciałabym podróżować. Od zawsze chciałam pojechać na Polinezję, to brzmi tak pięknie. Ale co to za wypytywanie...

– Od razu ci powiem, że wszystko to możesz mieć, jeśli przyjmiesz jego propozycję.

– Ale...

– Nie, zaczekaj, nie przerywaj mi teraz, ja łatwo tracę wątek, potem nie wiem, od czego zacząć, chcę ci to wyjaśnić inaczej, nie chcę mówić o pieniądzach, mam wrażenie, że muszę ci to wyjaśnić. Jestem dziennikarzem. Ściśle mówiąc, byłem. Moją specjalnością zawsze była Europa Wschodnia. Pisałem o wojnie na Bałkanach i wiele czasu spędziłem w Rosji. Koncentrowałem się na milionerach, którzy się pojawili w erze pieriestrojki. Prowadziłem dochodzenie w sprawie jednego z tych oligarchów, nazywa się Biły, może słyszałaś to nazwisko, ale nie musisz mówić, może tak nawet jest lepiej. No i napisałem o nim książkę. Jurij Biły, dość porywczy typ związany z moskiewskim światem przestępczym, przez dłuższy czas zaliczał się do najbogatszych ludzi w Rosji. Zaczynał od handlu metalami ciężkimi i stopniowo skupował wszystko, co przynosiło pieniądze. Potem zamieszkał w Anglii, w pewnym momencie poróżnił się z Kremlm i musiał zniknąć. W każdym razie książka stała się bestsellerem. Wtedy zaczęto zadawać sobie w Niemczech pytania, czego właściwie chcą te bogate typy ze Wschodu, kim są, co kombinują, a przede wszystkim skąd mają tyle

szmalu, że mogliby kupić połowę Zachodu. No więc, we właściwym czasie znalazłem się we właściwym miejscu i książka odniosła sukces. Spotkania autorskie w połowie państw Europy, odczyty, na których wyjaśniałem ten fenomen. Sukces mnie uskrzydlił i zapragnąłem jeszcze więcej, lepszej historii, kolejnego ujawniania faktów. Zacząłem grzebać coraz głębiej w tym grzęzawisku, przeoczyłem przy tym zakręty i nie dostrzegłem niebezpieczeństw, uważałem się za nietykalnego, sukces był przecież moim sprzymierzeńcem, chronił mnie. No tak, ale odchodzę od tematu. W trakcie nowego śledztwa, które prowadziłem, poznałem fantastycznego faceta, odważnego rosyjskiego dziennikarza Nikitę Pasternaka, tak, tak się właśnie nazywał. Był jednym z niewielu, którzy nie dali się kupić, a wierz mi, miałyby dosyć powodów, żeby ulec, ale nie pisał o drugiej wojnie czeczeńskiej propagandowych bajek, lecz trzymał się faktów. To on poznał mnie z Orłowem. Jego zmarły brat Stanisław uczestniczył w procesie przeciw Orłowowi i trzem innym wojskowym oskarżonym o gwałty i mordy podczas pierwszej wojny czeczeńskiej. Proces o mało nie wywołał skandalu. No i jak to się ładnie mówi, poczułem zew, temat mnie opętał, chciałem wyciągnąć wszystko, co się da na temat tych dwuznacznych typów. Orłowa niełatwo było zaszufładkować, w odróżnieniu od wielu innych tego rodzaju ludzi, którzy w latach pięćdziesiątych doszli do niesłychanych pieniędzy, a teraz tworzyli własną kastę. Był to właściwie intelektualista, mówiący czterema czy pięcioma językami, czytany drań dopuszczający się najbardziej perfidnych rzeczy, tak przynajmniej mówiono, krążyły o nim najbardziej absurdalne historie. Wydawał się niezdożytą twierdzą, był niepodobny do nikogo z tego środowiska, ani pod względem sposobu, w jaki robił karierę, czy stylu zdobywania władzy, ani pod względem metod działania. Niejasne było też to, co chciał osiągnąć. Nie udzielał wywiadów, prawie nigdy nie wypowiadał się publicznie, trzymał się na tyle daleko od polityki, że bez przeszkód mógł robić interesy, a jednocześnie udawało mu się poszerzać zasięg swoich wpływów. Od dawna był właścicielem firm i nieruchomości na Zachodzie, między innymi w Niemczech, zarządzał kilkoma projektami budowlanymi i kiedy zacząłem zbierać o nim informacje, przymierzał się do

kupna pewnej stoczni. Jako młody człowiek Orłow walczył w pierwszej wojnie czeczeńskiej. Razem z tymi trzema wojskowymi został oskarżony o uprowadzenie, zgwałcenie i zamordowanie pewnej dziewczyny podczas tak zwanej operacji antyterrorystycznej w lecie dziewięćdziesiątego piątego. Oskarżenie było niecodzienne, do procesu w normalnych warunkach nigdy by nie doszło. W historii rosyjskiej armii nic podobnego nie miało dotąd miejsca: jeszcze nikt z rosyjskiej strony nie został oskarżony o zbrodnie wojenne, a zwłaszcza zbrodnie w Czeczenii. Gdyby nie brat Nikity Stanisław, Stas, fantastyczny, ambitny adwokat, który zaangażował się w obronę praw człowieka i brał udział w kilku naprawdę spektakularnych procesach... Co najdziwniejsze, to Orłow uruchomił całą machinę i dostarczał Stasowi informacji. Doniósł niejako sam na siebie. To zdumiewające. Inicjator tej spektakularnej i brutalnej historii, która wtedy się zaczęła i miała zostawić po sobie niekończące się krwawe ślady... Stas w każdym razie poszedł za otrzymanymi informacjami. Pojechał do Czeczenii, znalazł rodzinę ofiary, zaczął ją oficjalnie reprezentować i znalazł sędziego, który nie był całkowicie skorumpowany. Do dziś nie rozumiem, dlaczego w ogóle dopuszczono do tego procesu. Ale oskarżenie zostało wniesione i proces przygotowano w błyskawicznym tempie. Obawiano się, że jeśli jego początek odsunie się w czasie, wmiesza się w to kilka osób z wierchuszki i wszystko zostanie zamiecione pod dywan. Był to dość skandaliczny przypadek, wzięwszy pod uwagę, że połowa lat dziewięćdziesiątych to w Rosji była era kompletnej anarchii. To wtedy zaczęli działać islamscy terroryści, świadomość wroga była jeszcze niejasna i dlatego łatwo dało się nią manipulować. Tak, to była sensacja, niemal cud. Wprawdzie adwokaci odrzucali zarzut gwałtu na ofierze i argumentowali, że śmierć dziewczyny nastąpiła wskutek działań podjętych w obronie własnej, bo według nich była ona strzelcem wyborowym mającym bez najmniejszych wątpliwości zamiary terrorystyczne, a żołnierze, mimo że całe zdarzenie przyjęło obrót godny ubolewania, bronili interesu ojczyzny. Nim doszło do decydującego momentu w procesie, Stas został zamordowany. Jedyny człowiek, który miał w sobie jeszcze poczucie moralności i walczył o ujawnienie nieludzkich czynów, sam stał się ofiarą. Choć to słowo... Nie

używam go już, bo co to właściwie znaczy „niehumaniczny”? Czy raczej nie powinno się myśleć, że ludzkim jest czynić rzeczy niehumaniczne? Przepraszam, znowu odchodzę od tematu, a ty marzniesz... Ci mężczyźni zostali wprawdzie wydaleny z wojska, ale po pewnym czasie już mieli inne intratne stanowiska. Po tym krótkim procesie, który w sumie nie był żadnym procesem, błyskawiczną karierę zaczął robić Orłow, zwany Generałem. Wszedł jakimś cudem w brudne, lecz bardzo intratne interesy urzędu do spraw inwestycji specjalnych, co oznacza, że wzbogacił się na wszystkich konfliktach wojennych, które Rosja bratersko nadzorowała, a zwłaszcza na drugiej wojnie czeczeńskiej. Bo urząd ten, pozostający w gestii armii, prowadził, finansował i nadzorował wszystkie inwestycje w strefach frontowych: garnizony, koszary, silosy rakietowe, bazy wojskowe. Orłow opuścił ten urząd jako milioner. Dalsze pomnażanie jego bogactwa było kwestią czasu. Rozszerzał interesy w różnych branżach i regionach i w ciągu siedmiu lat udało mu się znaleźć w grupie najbogatszych i najbardziej wpływowych Rosjan. On...

– Przepraszam, ale naprawdę nie wiem, czy chcę tego dalej słuchać. Wszystko, co tu opowiadasz, wskazuje, że ten Orłow nie jest szczególnie sympatycznym typem, i jeśli twoim celem było zainteresować mnie jego propozycją, to *sorry*, ale muszę cię rozczarować, właśnie osiągnęłaś odwrotny skutek. Jeśli znasz Kaukaz, jeśli wiesz coś o tym regionie, to nie muszę ci tłumaczyć, że ja, Gruzinka, mam dosyć wojen i gnoju, który z sobą przyniosły, i w związku z tym o takich chłopcach jak Orłow, zwłaszcza rosyjskich chłopcach, nie mam najlepszego zdania. Proszę, idź już, zrobiło się zimno i chcę wejść do środka. Przekaż im, proszę, że po raz czwarty mówię „nie”. Nie chcę żadnych problemów, naprawdę... Co to jest?

Trzymał przed nią wyblakły wycinek z gazety.

– Przyjrzyj się temu. Potem zostawię cię w spokoju.

Niechętnie wzięła do ręki wycinek i zaraz chciała go zwrócić, lecz coś przykuło jej uwagę. Na jej twarzy odmalowała się irytacja, potem zdziwienie i przestraszanie.

– Kto to jest?

– To Nura Giełajewa. Czecheńska dziewczyna zgwałcona i zabita w dziewięćdziesiątym piątym roku. Miała wtedy osiemnaście lat.

Czekał, aż jego słowa wywrą odpowiednie wrażenie, aż się zagnieżdżą w jej głowie, rozrosną się niczym ciemny i gęsty mech. Potem dorzucił:

– Zauważasz coś? Może jakieś podobieństwo?

Próbowała nie dać nic po sobie poznać, ale podobieństwo było naprawdę szokujące. Tyle, że cera Kotki była nieco jaśniejsza, a w ciemnych włosach dziewczyny, po prawej stronie, nie było białej plamy, którą Kotka miała u nasady rudych włosów – krąg wielkości opuszka kciuka, tak doskonały w formie, że można by go określić jako „nadzwyczajny”. A przy tym biała plama była znakiem cezury, bo razem z jej pojawieniem się czas w jej życiu zaczął się liczyć inaczej, gdyż jej życie rozpadło się na dwie części: na przedtem i potem.

Twarz dziewczyny była też może nieco mniej subtelna, za to bardziej marzycielska, a zarazem jakby zużyta, była to twarz kogoś, kto wiele przeżył. Sylwetkę miała sprężystą i napiętą. Sprawiała wrażenie kogoś, kto mocno stąpa po ziemi, a zarazem w każdej chwili gotowy jest rozewrzeć ramiona i wzbić się do lotu.

Kotka nagle odrzuciła od siebie ten wycinek gazety jak trujący owoc. Spojrzała na Bendera rozszerzonymi oczami.

– Co to wszystko znaczy? Co miałabym teraz zrobić? Ta dziewczyna jest martwa!

– Jeszcze nie wiadomo, co Orłow zamierza. Sądzę, że chce wrócić do pewnego etapu swego życia, ponownie przeżyć tę historię. A to wideo, wydaje mi się, ma pełnić funkcję wabika. Tak czy inaczej będzie to tylko środek prowadzący do celu. Orłow chce znaleźć swoich byłych kompanów uczestniczących w tamtej sprawie. To wideo ma trafić właśnie do nich. Bo ta sprawa nigdy naprawdę nie została zakończona. Wierzę w tezę Nikity, że

Orłow chciał sprawiedliwego procesu. Po zamordowaniu Stasa zrozumiał, że nie ma szans, by wygrać z systemem, i dlatego wybrał inną drogę: zaczął ten system obsługiwać i go wyzyskiwać. Była to forma zemsty. Tak, pomalutką zaczęłam wierzyć, że tak mogło być, choć może brzmi to absurdalnie. Orłow nigdy już nie mówił o procesie i każdemu, kto próbował poruszyć ten temat, groził konsekwencjami. Chciałem napisać o Orłowie. Fascynowało mnie jego życie, sprzeczności, które w nim tkwiły, chciałem wydobyć na światło dzienne moment przełomowy w jego życiu, znaleźć prawdę o nim. W każdym razie nie posłuchałem jego żądania, żebym tego nie robił, i zrujnowałem sobie życie. Nie chcę, żeby to samo spotkało ciebie, jeśli... – urwał.

„Ciekawe, jakiego słowa w tym miejscu nie dopowiedział, jakiego sobie zabronił użyć” – pomyślała.

Nie wiedziała o jego mdłościach zapowiadających atak paniki, o miękkości w kolanach, która się wtedy pojawiała, o ciemności przed oczami wywoływanej imieniem, które składało się z trzech liter i którego bał się wymówić.

– Jeszcze możesz stawiać warunki, możesz to wszystko wykorzystać na swoją korzyść. Ile są warte wszystkie twoje marzenia, ile mogą kosztować? No, powiedz!

Głos mu ochrypl, sprawiał wrażenie zdenerwowanego.

– Nie mam pojęcia, większość z nich nie ma charakteru materialnego...

– O, tu bardzo się mylisz. Jak mówią gracze komputerowi: kiedy się dochodzi do najwyższego poziomu, wszystko ma wartość materialną. Każ mu płacić za swoje marzenia, postaw mu żądania, każ sobie dać zapewnienie na piśmie, on dotrzymuje słowa, ja go znam. Będę ci pomagał we wszystkim, w czym będę mógł.

Nagle zaczęła się śmiać. Miała się stać częścią czegoś zupełnie nierealnego. Zanosila się niemal histerycznym śmiechem, cała się trzęsła, a on nie próbował jej pytać, skąd ta reakcja, jakby to było zupełnie naturalne.

– Na odwrocie fotografii Nury jest mój numer telefonu. Będę czekał na twoją odpowiedź – dodał jeszcze i oddalił się, skłoniwszy z szacunkiem głowę.

Kotka pozostała ze strzępkiem gazety w ręku.

Nie miała pojęcia, że z każdym krokiem płuca Bendera coraz bardziej napępniały się tlenem, w którym – jak mu się wydawało – był jakiś środek odurzający. Onno czuł, że coś się zaczyna, że spada z niego ołowiany ciężar, bezwład minionych miesięcy, a on staje się lżejszy. I skąd miała wiedzieć, że od dawna nie doświadczył niczego podobnego i teraz zadawał sobie pytanie, czy to jest życie, które po długim okresie letargu znowu wpływa w jego żyły.

Kotka przyglądała się zdjęciu długo i intensywnie. Podobieństwo tamtej dziewczyny do niej budziło wręcz niepokój. Jak to możliwe? Czy w Czeczenii istnieli jacyś jej krewni, czy też był to absurdalny przypadek, kaprys natury?

Pomyślała o wikingu i znów parsknęła śmiechem. Nie był to jednak śmiech, który niósł ulgę. Wróciło do niej pytanie, które tamten natarczywie jej zadawał: „Ile są warte wszystkie twoje marzenia?”, a na które odpowiedziała, że nie wszystkie marzenia można przeliczyć na pieniądze.

Czy można ją kupić, czy jest gotowa pójść na współpracę w zamian za szansę, jakie by dostała? Jak wysoka więc jest jej cena? I czy naprawdę chodzi tylko o banalne wideo? Dlaczego nie, dlaczego nie miałyby rzeczowo temu wszystkiemu się przyjrzeć? A może to jakaś kompletna bzdura, a ona popada w szaleństwo?

Niespokojnie rozejrzała się wokół. Uczucie, że może być obserwowana, nie opuszczało jej od czasu pojawienia się człowieka o ptasim wyglądzie.

Musi z kimś porozmawiać. Ale jej przyjaciele będą kiwać głowami, jeśli zacznie im bredzić o jakimś oligarsze, który jest na podejrzanej liście najbardziej wpływowych Rosjan na świecie.

Idąc ulicą w zgiełku nocnych tłumów chciwych odurzenia, myślała

o zamordowanej dziewczynie i o człowieku o wyglądzie ptaka, o wikingu i o tym, że wszystkie marzenia można zamienić na pieniądze. Wydało jej się niemal niemożliwe, by mogły się z sobą przeciąć drogi tak różnych ludzi, jak ten miliarder i ona. Tym śmieszniejsze było, że to przypadek, jakim okazał się plakat teatralny, zdecydował, że ów miliarder ją namierzył. I jeśli wierzyć wikingowi, ten człowiek był do tego gwałcicielem i mordercą.

Nie chciała wracać do domu ani jechać na Wedding. Odwiedzi w tych dniach matkę i babcię, ale nie teraz...

Była wyczerpana, a zarazem pełna energii, jakby jej organizm nie mógł się zdecydować, co mu bardziej odpowiada. Włączyła się tą jesienną nocą pozornie bez celu, a jednak, odkąd wyszła z klubu, czuła, dokąd nogi ją niosą. Sama przed sobą nie chciała się do tego przyznać, do swojej słabości, do tego, że znowu ją tam ciągnie, nie chciała się zagubić w braku słów. Fundować sobie jeszcze jednego etapu pożegnania.

Gdyby miała się dobrze zastanowić, ten związek od pierwszego spotkania był rozstaniem rozciągniętym w czasie i w przestrzeni. Pożegnaniem podzielonym na etapy. Którym z kolei było to obecne? I jak długo będzie się jeszcze ciągnąć? A potem? Co potem? Potem po prostu zerwie, tak jak zrywa się sparciałą gumową opaskę?

Ostatni etap osiągnęła przed trzema miesiącami, ale czy się w nim odnalazła? Przed trzema miesiącami wyszła ze swego domu i ze swego życia, w którym tak czy inaczej była tylko cieniem. Od tego czasu zapanowała cisza: żadnych telefonów, żadnych e-maili. Jego niewyraźne i raczej bezradne próby nawiązania z nią kontaktu – wysłał jej dwie widokówki ze swoich „muzycznych podróży badawczych”, jak nazywał samotne wypady, które urządzał dwa, trzy razy w roku do najbardziej odległych miejsc na świecie – pozostawiły w niej mdłe odczucie.

Nie reagowała.

„Nie żałujesz? Mam na myśli ciągle obracanie tymi banalnymi sformułowaniami. Rozstanie, bla, bla, myślę, że jesteś ponad tym, jesteśmy

ponad tym, kiedy to wreszcie zrozumiesz?” Jakże nim pogardzała za te obłudne zdania! A mimo to pojawiała się myśl, czy nie miał jednak odrobiny racji. Tak, może dla niej i jej podobnych normalność nie istniała. Ona, wiecznie w biegu, obca nawet wśród bliskich, małomówna, grająca w teatrze do samozatracenia i dzieląca widzów na dwa obozy – tych, którzy ją totalnie odrzucali, i tych, którzy ją bezgranicznie podziwiali; ona, w jednej chwili ponura i cicha, a już w następnej zbyt głośna i zbyt patetyczna; ona, która tak wiele pragnęła od życia, że pod ciężarem tego pragnienia ciągle przeżywała załamania; ona, w której włosach śmierć pozostawiła znak; ona, która gdy schodziła ze sceny, nie wiedziała, gdzie przynależy; ona, zawsze głodna, lecz często zapominająca o głodzie; ona, która chciała być całowana do utraty tchu, lecz ponad wszystko kochała samotność, ona, stale otoczona ludźmi, choć najgorzej czuła się w towarzystwie ludzi promieniujących ufnością, jasnością i prostolinijnością, bo tacy porcjowali jej uczucia.

Czasami zastanawiała się, czy jej związek z R. nie był czymś logicznym. Może to nie miało znaczenia, z R. była razem poza czasem i przestrzenią. W Wiedniu czekała na niego żona z synem i dom, i szlafrok, i kapcie, i ulubiona marmolada, i płyty, i żel pod prysznic, i poduszka pod głowę. Ten mieszczański koszmar, który tak bardzo krytykował, tak bardzo wyśmiewał, okazał się całkiem wygodnym obozem przejściowym dla jego neurozy i jego póź. Może powinno być jej to obojętne, że wszędzie tam, gdzie sprawy zawodowe zatrzymywały go na dłużej, szukał sobie dziewczyny, która go podziwiała i siadała mu na kolanach, gdy tylko zaczynał wygłaszać swoje złote myśli na temat komponowania (samotność, na którą skazuje komponowanie, zagubienie, którego trzeba doświadczać, kiedy chce się pisać muzykę, i tak dalej, i tak dalej...)

Zdjęcie zamordowanej dziewczyny, która przypominała ją do złudzenia, pulsowało w jej torbie, jakby było wyciętym przed chwilą, jeszcze żywym sercem. Kotka przyspieszyła kroku. Ucieszyła się, zobaczywszy swój rower, który przed kilkoma dniami przypięła do stojaka koło stacji metra, wskoczyła na siodełko i odjechała przez światła i hałas, przecinając barwny kraterowy

krajobraz, w który miasto zamieniało się nocą.

Znalazłszy się przed pięknymi dębowymi drzwiami, nacisnęła dzwonek domofonu, myśląc, że może jednak go nie zastanie.

– Tak? – rozległ się zachrypnięty głos.

– To ja.

Kiedy biegła schodami na górę, wiedziała już, że popełnia błąd i będzie sobą pogardzać.

Wolałaby, żeby ich wspólne chwile nie miały w sobie od początku śladów rozdzielenia. Wolałaby być kimś innym, kimś, kto banalną zwyczajność wyssał z mlekiem matki, wolałaby, żeby nigdy się nie spotkali, wolałaby, żeby nie prześladowało jej zdjęcie zabitej dziewczyny, wolałaby, żeby przeszłość nie rzucała swego zniekształconego cienia na jej obecne życie, wolałaby, żeby kobiety w jej rodzinie miały więcej rozsądku, a mniej dziwactw, i żeby tutaj, w tym kraju, nie musiała ciągle wyjaśniać i tłumaczyć swego zachowania. Wolałaby nie musieć od siebie uciekać. A przede wszystkim wolałaby nigdy nie wsiąść do tamtego auta...

Stał w półmroku korytarza, z rozczochranymi włosami, bosy, ze szklanką wina w ręce i przyglądał się jej. Milczała. On nie potrzebował słów, lecz samogloryfikujące potwierdzenie, które dało mu jej pojawienie się, było mu miłe.

Miała zamiar wyciągnąć z torby zdjęcie nieżyjącej dziewczyny. Miała zamiar mu o niej opowiedzieć, potrzebowała wsparcia, rady, pocieszenia, ale to mógł jej dać tylko rękami, ciałem, językiem. A ona nie chciała dotykania, nie chciała jeszcze większego rozhuśtania emocji, bo i bez tego była rozedrgana, nie mogła się więc spodziewać, że da jej oparcie. Pocieszenie z jego strony brzmiało zawsze jak wyuczony na pamięć marny wiersz.

Wszystko, co jej dawał, bolało, a jednak nikt inny jej nie wystarczał, nikt nie umiał wyrwać jej z pustki, którą w niej pozostawiał, w żołądku, we wnętrzu dłoni, przy obojczyku, kiedy znikał z jej życia na niewiadome

godziny, dni i tygodnie w przeświadczeniu, że ona go nie potrzebuje, że jest ponad to. Ale ponad co?

Od kiedy pojawiła się zamordowana dziewczyna, światło znowu zaczęło ją oślepić. Światło reflektorów auta. Tak długo wierzyła, że raz na zawsze się z niego wydostała, lecz teraz nagle wróciło poczucie, że znowu siedzi w środku i szarpie za klamkę zamkniętych drzwi.

Była bliska płaczu. A tak chciałaby mu opowiedzieć, jak to jest, gdy człowieka prześladuje własne dzieciństwo, jak to jest, gdy każdego dnia czuje się na plecach ciężar odpowiedzialności za wszystkie zwariowane, zagubione, żądne uznania i z taką rozpaczą kochające kobiety w jej rodzinie. Chętnie opowiedziałaby mu o człowieku o wyglądzie ptaka i zapytała, czy on też uważa, że marzenia można przeliczyć na pieniądze, lecz zamiast tego poszła za nim jak lunatyczka do ciemnej pracowni, gdzie on ugrzązł między fortepianem, wieloma komputerami a pulpitem, w swym magicznym królestwie, w którym produkował muzyczne formy, formy szczęścia.

Usiadł bez słowa przy stole mikserskim połączonym z laptopem, na piersiach dyndały mu okulary na czarnym łańcuszku, niebieskawe światło monitora nadawało jego twarzy niezdrowy wygląd. Stała przy drzwiach, oparła się o ścianę i przypominała sobie, ile razy kochali się w tym pokoju, jak często opowiadał jej o sprawach, które budziły w niej tęsknotę, a które były tak różne od tego, o czym najczęściej słyszała, jak opowiadał jej o podróży na Antarktydę, o brzmieniach ciszy, które potem chciał włączyć do swego albumu, i z jaką determinacją do tego podszedł.

Zabrzmiała dziwna, atonalna melodia. Ostatni album *Darkwood* – coś pomiędzy klasyką a muzyką elektroniczną – zachwycił koneserów jako „jak zwykle bezkompromisowy”, choć oczywiście nie przebił się do szerokiego kręgu odbiorców. Jak ślepo za nim szła, jak mocna była wtedy jej wiara, wiara w jego zasady, którymi ją spętał, wykorzystując łączącą ich bliskość i żądając od niej niewolniczej uległości. A potem złamał te zasady, jedną po drugiej. Czego właściwie się spodziewała, tu, w tym mieszkaniu, w tym pokoju, w tym królestwie, w tym świecie równoległym, gdzie kochała, żyła,

miała nadzieję i tęskniła za chwilami, które nigdy nie nadeszły i nigdy nie miały nadejść?

Melodia była naprawdę dziwaczna, lecz miała w sobie coś wciągającego. Z jakiegoś powodu przyszło jej na myśl słowo „jama”.

– No i? Co powiesz? – zapytał nagle, ani na chwilę nie odrywając wzroku od monitora.

Wzruszyła ramionami. Wiedziała, że prowokuje go tym gestem, bo nie znosił uników.

– Więc nie chcesz mówić? Myślałem, że przyszłaś, bo chciałaś mi coś powiedzieć.

Nie patrzył na nią, stukał w klawiaturę, całkiem pochłonięty tą czynnością.

– Nie. Nie dlatego przyszłam.

Dobre pytanie: dlaczego tu jest? Żeby pozwolić mu zedrzeć z siebie ubranie, wbić paznokcie w jego łopatki, wessać się w jego usta, zacisnąć nogi na jego biodrach, zawisnąć na nim jak małpa, pozwolić mu się zanieść do innego pokoju, do innej krainy, zapomnieć o światłach na zewnątrz, całować się, pocić, dyszeć, mlaskać, smakować, czuć na sobie jego pocałunki, pocałunki pocieszenia, że nie potrafi dać jej więcej niż tylko tę chwilę? Zaczęła wędrować po pokoju. Niczym wałęsająca się kotka szła wzdłuż ścian, sprawdzając dłońią ich właściwości, jakby szukała czegoś, co jej umknęło w całym tym okresie ich rwanego i znów składanego w całość bycia z sobą. Pomieszczenie było duże, sufit wysoki, widok z okien zapierał dech w piersiach – przed oczami roztaczało się nocne życie pulsującego bez wytchnienia miasta. Tego właśnie potrzebował – dystansu, a jednocześnie przebywania w pobliżu, możliwości ciągłego obserwowania bez wychodzenia z domu, poczucia, że nie jest odcięty od świata. Tak, był jedynowładcą w tym królestwie, które przypominało posterunek obserwacyjny.

Stała przy regale z książkami. Zobaczyła na półce białego zajęczka

z plastiku – tani prezent, który wygrała dla niego na strzelnicy na jakimś kiermaszu. Mieli wtedy dużo uciechy, pozwolił sobie pomalować usta jej czerwoną szminką i zachowywał się, jakby był jej damą do towarzystwa, usłużną i bojaźliwą, podczas gdy ona zmienionym, głębokim głosem grała chuligana, który rzuca ukochanej świat do stóp. Teraz wzięła zajęczka o niebieskich wybałuszonych oczach i podeszła do okna, kołysząc go w dłoni. Potem szybkim ruchem otworzyła okno i wyrzuciła go. Nie wiedziała, dlaczego to robi, to był impuls.

Zachowywał się, jakby niczego nie zauważył, zgłosił tylko muzykę. Kotka dalej wędrowała po pokoju. W kącie, gdzie na oparciu krzesła wisiało kilka par dżinsów, zobaczyła T-shirt, który miał być dla niego poufną informacją. Nadruk na koszulce przedstawiał widok na nieskończoną przestrzeń, morze bez początku i końca; uczucie, jakie kiedyś z nim wiązała. Wzięła koszulkę, powąchała ją, wyczuwając jedyny w swoim rodzaju zapach dezodorantu i lasu, zapach, który zawsze w siebie wciągała na czas rozstania, wychodząc od niego. Znowu podeszła do okna i wyrzuciła ją. Koszulka miękko, lekko znikła w nocnych przestworzach. Na plecach czuła wściekle spojrzenie, czuła też jego uparte opanowanie.

Melodia stała się bardziej dynamiczna, niewygodna, przypominająca drapanie jakimś przedmiotem po gładkiej powierzchni. Teraz znalazła płytę *Surfing on Sine Waves* Polygon Window. Na jakimś promie – dokąd płynęli i skąd? – wygłosił wtedy długi wykład na temat tej płyty, a ona zachowywała się tak, jakby go z uwagą słuchała, tymczasem chłonęła tylko ruch kącików jego ust i zmarszczek wokół oczu, kiedy się uśmiechał, i drżenie skrzydełek nosa, i zaraźliwą namiętność, z jaką opowiadał jej o jakichś decyzjach związanych z komponowaniem.

– Co robisz?! Odłóż to w tej chwili!

W pancerzu jego emocji istniała więc rysa. Ale było za późno, płyta również wyfrunęła przez okno, spadała szybko, znikła w ciemnościach.

– Coś ty zrobiła?! – krzyknął.

Następne było zdjęcie. Jedyne dowód potwierdzający jej istnienie w jego świecie. Ona jako Hedda Gabler w przedstawieniu dyplomowym pewnego studenta reżyserii. Patrzyła na nim spojrzeniem wyrażającym jednocześnie wyzwolenie i upadek – tak opisał to zdjęcie, tak je zatytułował, patrząc na jej scenicznego kochanka Ejlerta stojącego tyłem do kamery. Zdecydował się na to zdjęcie ze względu na jej spojrzenie. Teraz zaczęła przypuszczać, że wybrał je, ponieważ stała na nim na tyle daleko, że nic nie zdradzało tego, co ich łączy.

– Przestań!

Teraz podniósł się ze swego tronu.

Od kiedy jej ciało straciło niewinność i nabyło cech kobiety, odkąd zaczęło wysyłać w świat sygnały, odkąd zaczęło zdradzać tęsknotę, próbowała pojąć, jak można budować bliskość z innym człowiekiem, a przede wszystkim ją utrzymać, nie zatracając się przy tym, i to zupełnie dosłownie. Nigdy nie zadowalała się tym, co jest, i nigdy nie umiała po gorącej grze miłosnej żegnać kochanka z kieliszkiem wina w ręku, najlepiej w szlafroku z jedwabiu, oczywiście stojąc boso na lakierowanych deskach pięknej podłogi, wśród artystycznego nieładu mieszkania w starym budownictwie. Nie nauczyła się kochać tak, by jej miłość nie wzmagała się, nie przybierała na sile.

A potem on. Ta jedna litera, za którą kryła się twierdza nie do zdobycia. On, który teraz patrzył na nią z twarzą wykrzywioną wściekłością, próbując opanować agresję.

Musi się od niego uwolnić. Pozbyć się go. Zniszczyć wszystkie jego ślady w swoim życiu. Przypomniało jej się, że biustonosz, który ma na sobie, czarny, prosty, lekko w szpic, też stanowi łączący ich pomost – ściśle mówiąc, ukradła go na jego polecenie.

Wtedy ją znalazł. Tamtej parnej popremierowej nocy zauważył ją w jej ulubionym barze. Dała mu trzy wskazówki, tak się umówili. „Park Liechtenstein, kościół wotywny, punkt przeróbek krawieckich”. Siedząc przy

barze, sączyła gin z tonikiem i zastanawiała się, czy lepiej, żeby ją znalazł, czy nie.

Tamtej nocy wpisał się w jej ciało. Przeżyła oszołomienie, odkrywając, jak ślepo zaufała jej ciału i jak sama jest mu niewolniczo oddana. I mimo nieufności, mimo jego dwutorowego życia pozwoliła się temu porwać. I on ją zagarnął, z całym impetem właściwym jego pragnieniom i pocałunkom. Nie pytała go o nic, bo i tak usłyszałyby kłamstwa, wiedziała o tym od początku. Ale gra, którą rozpoczął, była zbyt podniecająca, zbyt nęcąca, zbyt niezwykła, żeby ot tak mogła się z niej wycofać. On grał z prawdziwą przyjemnością, podobnie jak ona, tyle że ona miała do tego scenę, a dla niego sceną było życie.

Następne ich spotkanie też było prowokacją, ale to jej się podobało. Została sprowokowana, wreszcie.

– Na pewno nie przyjmiesz biletu, który chcę ci kupić, i nie zechcesz wsiąść do następnego samolotu do Malagi, gdzie będę na ciebie czekał w Meson Iberico? Z najlepszymi tapas na świecie?

– Przyjmę, pod warunkiem że powitasz mnie w białym hotelowym szlafroku – odrzekła.

Wzięła bilet. Czekał na nią. W białym hotelowym szlafroku z nadrukiem „Soho”. Prześcieradła pod nimi zwilgotniały od potu, a oni wbijali się w siebie, wysysali się, oddychali sobą. Potem nagi wyskoczył z łóżka i zagrał jej melodię, którą skomponował dzień wcześniej, a gdy rozwodził się o jakichś muzycznych subtelnościach, których kompletnie nie rozumiała i które zupełnie jej nie obchodziły, pojęła, że chce go zatrzymać blisko siebie, przy sercu, w swych płucach, że chce go zarazić sobą i wszystkim, czym sama jest.

„Nie dasz rady podejść do tego człowieka, tak żeby mu włożyć swoje majtki do kieszeni marynarki”. To było pierwsze zdanie, które od niego usłyszała w Berlinie, gdy wróciła po skończeniu studiów, mając dwieście euro w kieszeni i wielkie nadzieje. To, że wynajmował w Berlinie

mieszkanie, ułatwiło oczywiście podjęcie decyzji o powrocie.

Taki był początek gry. Zapłonął ogień olimpijski. Pamięta, jak siedzieli w Madame Wong, jej przyniesiono właśnie sajgonki, a on, patrząc z ukosa na parę siedzącą przy sąsiednim stoliku, pochylony nad stołem wyszeptał jej do ucha to rozwiążłe, przewrotne żądanie. W rewanżu zażyczyła sobie, żeby drogę powrotną do domu przeszedł tylko w skarpetkach i w butach. Podjął wyzwanie. Było na szczęście ciemno, tłumy ciągnące do nocnych klubów oblegały okolicę, a on przebijał się przez nie, goły jak święty turecki, jakby to było najnormalniejsze na świecie. Z chińskiej knajpki do mieszkania miał niedaleko.

Takie gry wciągały ich jak narkotyk.

„Nie dasz rady powiedzieć twemu reżyserowi, że jest ciulem”. „Nie dasz rady włączyć nagrań naszego seksu do swojej muzyki”. „Nie dasz rady wygrać w konkursie karaoke”. „Nie dasz rady napisać listu miłosnego do dawnego szkolnego wychowawcy”. „Nie dasz rady kochać się ze mną bez przerwy przez dwanaście godzin”. „Nie dasz rady przy tej pogodzie skoczyć na główkę do jeziora Schlachten”. „Nie dasz rady przemóc lęku wysokości i skoczyć ze mną na spadochronie”. „A ty na pewno nie dasz rady opowiedzieć o mnie swojej żonie”. Cisza.

Jednym z wyzwań była kradzież biustonosza z eleganckiego butiku na zuryskim lotnisku. (Co tam robili? Pojechali na sztukę teatralną, do której on napisał muzykę?)

Ściągnęła sweter. On nie zapytał, co chce zrobić, bo udaje kogoś, kogo nie zaskoczy, gdyż wszystko, co mogłoby go zaskoczyć, już w sobie ma. I nie pokaże ciężaru tego przymusu, jaki sobie narzucił, tej potrzeby bycia-koniecznym-innym-niż-wszyscy, która więzi go we własnym pozerstwie. Lecz pod tym wszystkim nosił w sobie ukryte jądro, coś, do czego się nie przyznawał ani przed sobą, ani przed światem, ani przed swoją milczącą i ciągle czekającą w tle żoną, to jądro było bezbronne, zalęknione i miało w sobie jakąś bezradność, to jądro zdawało się nie mieć szans przeżycia – do

niego chciała się przebić.

Zaczęła wirować, wymachując rękami, jakby to były dwa oddzielone od niej przedmioty, gumowe twory, zupełnie z nią niezwiązane. Przepony T-shirt wylądował na podłodze. Została w czarnym biustonoszu.

Melodia strzeliła w górę na zawrotną wysokość, a ona dostosowała się do jej rytmu.

Miała w torbie czarno-białe zdjęcie nieżyjącej, do złudzenia do niej podobnej dziewczyny, o której istnieniu on nic nie wiedział i o której ona sama usłyszała niedawno.

Czy to był początek? A może tkwiła już w środku tej obcej historii? Czy w tej niezrozumiałej wizycie człowieka o ptasim wyglądzie, w tym dziwnym spotkaniu za klubem z wikingiem o niezgrabnych ruchach była ukryta jakaś wskazówka?

Teraz jej się przyglądał. Jego wzrok palił jej policzki. Zamknęła oczy, wirowała, wirowała, aż czas zatrzymał się w miejscu, a może przesypywał się jak piasek, aż ucichły myśli, aż świat zredukował się do jego ciała i jego spojrzeń. Wtedy otworzyła zapięcie biustonosza i podeszła do okna. Melodia zabrzmiała szybciej i gwałtowniej, ale też swobodniej i bardziej bezpretensjonalnie, jakby zapraszając do zabawy.

On się podniósł. Podeszedł do niej, jakby czekał na sygnał, jakby chciał zrobić to, co jest właściwe, właściwe dla niej. Ale nie był w stanie. Nie mógł. Gra się skończyła. Wszystko przegrali, również siebie.

Czarny kawałek materiału sfruwał powoli, jak pióro.

– Co ty wyprawiasz?!

– Pamiętasz? Ukradłam go w butik. Na lotnisku. Nie wiem tylko, dlaczego się tam w ogóle znaleźliśmy...

– Może i mnie chcesz od razu wyrzucić przez okno?

– Może chcę.

– To spróbuj.

– Nie dotykaj mnie!

Cofnęła się o krok. Na pewno chętnie pocałowałyby ją w usta, a ona z ochotą oddałaby pocałunek. Ukryłaby swe zmęczone ciało w jego ramionach z ulgą, że nic więcej nie musi. Jego pocałunek stawałby się coraz bardziej ofensywny, bo wyładowywałyby w nim swoją złość, złość, że ona chce odejść. Byłoby tak pięknie przejść w odurzeniu, nie myśląc, do ciemnej sypialni, rozpinając pasek od spodni. Bardziej niż kochankiem był zawsze chirurgiem, który dokonywał na niej operacji przy jej pełnej świadomości, z miejscowym znieczuleniem, a przy tym cały czas patrzył jej w oczy, ciekaw każdej myśli, jaką w niej budzi.

Teraz nie chciała mu jednak pozwolić, by czytał w jej myślach.

Od zawsze chciała móc kochać z zapamiętaniem i pożądaniem, a następnego ranka nie chcieć o tym nic wiedzieć, jak on, i jak on wiele wymagać, a niewiele dawać.

Jak długo może trwać pożegnanie? Kilka dni, tygodni, miesięcy, czy kilka lat?

Nie chciała wyjść w noc z jego zapachem na ciele, podczas gdy on będzie spał spokojny i zadowolony. Rzadko zresztą dobrze spał. Gdy go poznała, dręczyły go już koszmary albo męczyła bezsenność, czasem zrywał się przerażony w środku nocy, zlany potem, i patrzył na nią nieprzytomnym wzrokiem, kiedy próbowała go uspokoić. Rzadko, nadzwyczaj rzadko spali w objęciach – nie lubił być dotykany we śnie. Potrzebę bliskości zaspokajał najczęściej w seksie, tak samo jak apetyt na rozmowę i dotyk.

Stała tam i myślała, że pożegnania nie mają czasem nastroju pożegnań. I że Natalia miała może rację, mówiąc, że miłość trzeba po prostu ssać jak cukierek.

Zebrała z podłogi swoje ubranie i wyszła na palcach do kuchni, a potem do przedpokoju. Nie zapalając światła, wciągnęła na siebie podkoszulek

i sweter.

Chciała dokładnie zapamiętać ten wieczór, chciała móc go sobie po latach odtworzyć: ułożenie butów w przedpokoju, brudną filiżankę w zlewie, nazwę czerwonego wina, którego butelka, do połowy pusta, stała na stole, i zapach, zapach rozstania na jej skórze. Z ulicy dobiegał gwar rozmów. Zatrzymała się w pokoju, gdzie tworzył swoją muzykę, jakby tam mogła go uchwycić, jakby stawał się na zawsze jej jeńcem.

Wyciągnęła papierową chusteczkę z kieszeni kurtki, a na komodzie w przedpokoju znalazła długopis w okropnej filiżance stojącej tam od zawsze, kupionej kiedyś jako souvenir, który ją irytował absolutnym bezguściem. Na filiżance widniał napis „Praga” i wizerunek mostu Karola. Rozłożyła chusteczkę i napisała na niej dwa zdania: „Na zawsze zostaniesz moim najukochańszym kutasem. Żegnaj”.

Tej nocy śniła jej się zamordowana czeczeńska dziewczyna. Roześmiana tańczyła w zapadającym zmierzchu w jakimś surrealistycznym miejscu. W pewnym momencie ona sama stała się tą dziewczyną, dziewczyną o ciemnych włosach, biegnącą drogą w opuszczonej potiomkinowskiej wsi^[5] i pewnie zmierzającą do nieznanego celu. Od dawna nie czuła się tak dobrze, jak w tym śnie, przebudzenie przyjęła więc jak zimny prysznic.

1995/OSESEK

Księżyc miał wygląd sierpa i wyrzynał gwiazdy na nieboskłonie. Powietrze było ciężkie, pachniało kurzem i Osesek miał wrażenie, że zatyka mu płuca. Chrapanie żołnierzy, z którymi dzielił mieszkalny kontener, prześladowało go nawet w głębokim śnie, było jak niezwykła, kakofoniczna orkiestra. Wciągnął spodnie i wymknął się na zewnątrz. Musiał się upewnić, że istnieje coś poza tymi gołymi ścianami, na których Juricz przykleił trzy zdjęcia nagich kobiet, poza metalowymi szafami, rozkładanymi stolikami, poza smrodliwym powietrzem i niekończącym się czekaniem podobnym do nieustannego tykania bomby, poza tęsknotą łaskoczącą skórę. Na przykład wawóz otaczający auł, do którego zostali przerzuceni w maju 1995 roku, i szumiąca rzeka Argun, która mimo kapryśnego charakteru działała na niego uspokajająco.

Zostawił za sobą rząd kontenerów, zaparkowane równo wojskowe ciężarówki, przeszedł obok czołgu dowództwa, który stał na wprost wjazdu do obozu i wyglądał jak nadnaturalnych rozmiarów trofeum jednostki wojskowej 6952, po czym wszedł na drogę wysypaną żwirem, prowadzącą w dół, do centrum wsi. Na skrzyżowaniu skręcił w lewo, oświetlając sobie coraz ciemniejszą drogę małą latarką, potem zaczął iść z boczem w górę, dalej, coraz dalej, aż do małego ukrytego pagórka, który od kilku dni służył mu za cudowne schronienie. Jego oczy stopniowo przyzwyczajały się do ciemności, która tu, na Kaukazie, była zupełnie inna niż w jego ojczyźnie na północy – była ciemnością pełną tajemnic. Niebo usiane gwiazdami wyglądało jak twarz z tysiącem piegów i w tym widoku było coś pocieszającego. Posuwając się coraz wyżej wąską ścieżką, słyszał trzeszczenie żwiru pod butami. Gdyby było jasno, poszedłby wzdłuż rzeki, zostawił za sobą pagórek, wspinał się na niewielką górę i wczuł do swojej pieczary, a potem podziwiałby widok na wawóz, słuchał szmeru wody,

wstrzymywał oddech przy najlżejszym uderzeniu skrzydeł nieznanego nocnego ptaka, zrzucał w dół małe kamyki żwiru i zatracał się w marzeniach, co stało się jego ulubionym zajęciem, od kiedy rozbili tu obóz.

W Groznych nie było czym oddychać, nie było czasu na marzenia, nie było snu ani myślenia. Grozny to były eksplozje i strzelanina. Wojna i czysta chęć przetrwania, pragnienie, by dostać się żywym z punktu A do punktu B. Wszechobecna nienawiść, uciekający ludzie, godzina policyjna i zimno szarpały nerwy, zabici leżący w rozmokłym śniegu nie wyglądali na martwych, jakby ta wojna stworzyła nową kategorię, nowy gatunek ludzi.

Jedynym ratunkiem człowieka otoczonego lepkiem, spoconym lękiem i ściśniętego wewnętrzną tępotą i pustką, jest nie reagować na nic i zapomnieć o wszelkich moralnych instancjach. Jeśli straci się z pola widzenia rzeczywistość, może to kosztować życie. Ale ogłuszający hałas podczas bombardowań i tak uniemożliwiał odcięcie się od strasznej rzeczywistości.

Przeniesienie jego jednostki do wąwozu w górach radykalnie zmieniło tę rzeczywistość. W tym odciętych od świata przepięknym miejscu, w którym, jak się zdawało, czas płynął inaczej, wolniej, gdzie było wielu starych mężczyzn w długich szatach i milczących piękności o chmurnych spojrzeniach, nie rządzą ani federalni, jak miejscowi nazywali Rosjan, ani jednostki specjalne czeczeńskich bojowników, lecz wyłącznie nieujarzmiona natura, jednakowo obojętna wobec żywych i wobec umarłych.

W tym oddalonym od świata aule życie toczyło się zgodnie z prawem adatu, prastarymi zasadami regulującymi życie wspólnoty. W porównaniu z Groznych to miejsce było prawdziwym rajem, choć w trakcie przemieszczania się jednostki do aulu pułkownik Szujew i jego adiutant Pietruszow ogłosili pogadankę na temat niebezpieczeństw grożących żołnierzom w kaukaskim wąwozie: „Należy zachowywać największą ostrożność, mieć na oku mieszkańców wsi, każdego z osobna, obojętne – mały czy duży, mężczyzna czy kobieta, młody czy stary, bo takie miejsca są ulubioną kryjówką czeczeńskich bojowników, a ostatnio też szerzących się jak zaraza wahabitów^[6], którzy stosują terror religijny”. Ale i tak wszystko

zdawało się lepsze niż Grozny i ten niekończący się koszmar, który, tego był pewien, będzie go prześladował przez resztę życia.

Właśnie zaczynało się lato i jak dotąd okolica była pogrążona w zadziwiającym spokoju. Ich pobyt w tym idyllicznym miejscu był jak cud wymuszony w niezrozumiały sposób na bogu wojny.

Jednostka 6952, do której trafił przypadkiem, uczestniczyła w ataku na Grozny, brała udział w najcięższych walkach, ponosząc duże straty. Pułkownik Szujew, dowódca jego oddziału, budzący strach choleryk, męczyzna naznaczony wojną i mający problem z alkoholem, w kwietniu, po zajęciu Groznego, dzięki kontaktom w Ministerstwie Obrony dostał zgodę na przeniesienie jednostki w inne miejsce. Oddział opuścił strefę walk wokół stolicy Czeczenii, zmieniając ją na ten daleki rejon wojenny, wąwóz Argun, oficjalnie na potrzeby operacji antyterrorystycznej, w gruncie rzeczy zaś, żeby żołnierze wytchnęli, dopóki znowu nie zostaną posłani do piekła.

By uzasadnić pobyt oddziału w wąwozie Argun i konieczność podejmowania akcji antyterrorystycznych, należało od czasu do czasu schwytać kilku bojowników, to jest wyciągnąć z górskich kryjówek paru kochających wolność „złych młodziaków”. Poza tym żołnierze mieli tu regularny urlop, zwłaszcza w porównaniu z ubiegłymi miesiącami w Grozным.

Wcześniej Szujew przygotował „swoim chłopcom”, jak nazywał podwładnych, kiedy po kilku kieliszkach dochodziła do głosu sentymentalna strona jego natury, luksusową niespodziankę: dzięki zaprzyjaźnionemu pilotowi, który widocznie był mu winien przysługę, do dyspozycji żołnierzy oddano dwa śmigłowce, akurat niepotrzebne na froncie, i kilku poleciało na weekend do Władykaukazu.

Również Oserek znalazł się w grupie wyróżnionych, chociaż Szujew nie zamienił z nim wcześniej ani słowa, a podczas ataków w Grozным Oserek pełnił tylko funkcję pomocnika – gońca, któremu zostały oszczędzone najcięższe akcje zbrojne.

Osesek myślał czasami, że Szujew znał jego ojca i że za wszystkim stoi matka. Co by oznaczało, że to matka nalegała, by od razu w pierwszej akcji posłano go do walki, mimo że był jednym z najmniej doświadczonych i wypróbowanych. A może rzucono go do Groznego jako mięso armatnie, przyjmując, że nie jest ważne, co tam będzie robił, bo tak czy owak zginie i – zgodnie z logiką wojny – jego matka otrzyma status podwójnej wojennej wdowy?

We Władykaukazie potrzebował kilku godzin, żeby przyzwycząić się do normalności. Wydała mu się ona pułapką, w którą w każdej chwili może wpaść, wykorzystał więc pierwszą okazję, żeby wymknąć się rozochocionym kolegom, którzy zamierzali właśnie iść do burdelu. Został w śmierdzącym tłuszczem i moczem zajeździe, gdzie nocowali, i zadzwonił do Moskwy. Automatycznie wybrał numer, który od lat znał na pamięć. Sam nie wiedział, dlaczego tyle miesięcy po swym zniknięciu utrzymywał jeszcze kontakt z Olgą, ale był on dla niego niesłychanie ważny. Rozmowa z mocującą się z życiem siostrą Soni dawała mu ciągle nową dawkę nadziei, której, będąc tutaj, potrzebował bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Przez wszystkie te miesiące po zniknięciu Soni regularnie dzwonił do Olgi albo ją odwiedzał. Nigdy nie mieli sobie zbyt wiele do powiedzenia, najczęściej pili herbatę i rozmawiali o codziennych sprawach, ale w jakimś momencie pojawiała się nieuniknione pytanie o Sonię: „I co, jest jakaś nowa wiadomość?”. Tak przeważnie zaczynał. Nawet jeśli Olga nie miała żadnych wiadomości, czuł potrzebę, żeby pytać. Dopóki pytał, miał poczucie, że ciągle trzyma się czegoś, co nie może zostać zerwane, w żadnym wypadku, absolutnie.

Wybrał numer i słuchawka o mało nie wypadła mu z ręki, kiedy zamiast cichego głosu Olgi usłyszał nagle kochany, zachrypnięty głos Soni.

- Sonia, Sonia, to ja, słyszysz mnie?
- Osesek, to ty?!
- Tak, to ja, Sonieczko! O Boże, nie mogę uwierzyć...
- Gdzie jesteś?

– We Władykaukazie.

– Żyjesz, masz się dobrze? Och, Osesek, tak mi przykro... Mam ci tyle do opowiedzenia, to było głupie z mojej strony, byłam taka...

– Jesteś w Moskwie? Wróciłaś?

– Tak, dwa miesiące temu. Nigdy nie powinnam wyjechać, nie powinnam była brać w tym udziału, ten cały wyjazd to był potworny błąd. Ale byłam na ciebie wściekła, przestałam cię rozumieć. Mimo to jeszcze raz przyznaję: nigdy nie powinnam była odejść. Kiedy wrócisz? Muszę ci wszystko wyjaśnić, wiele spraw przemyślałam. Kilka razy próbowałam do ciebie dzwonić, ale twoja matka powiedziała, że jesteś na froncie. Myślałam najpierw, że żartuje ze mnie, ale potem... O mało nie oszalałam z niepokoju! Muszę cię zobaczyć!

– Ja ciebie też. Tylko nadzieja, że wrócisz, pozwoliła mi to wszystko przetrwać. Nie spodziewałem się, ale teraz... To jest znak, znak od losu...

– Och, tak mi przykro. Byłam w szoku, kiedy usłyszałam, że ty... na wojnie... To znaczy...

– To długa historia, nie rozmawiajmy o wojnie, nie teraz. To jest znak! Chcę cię zobaczyć! Musisz tu przyjechać, Dziś, jutro...

– Ale jak?

– Idź do urzędu miasta w rejonie Pierwomajskim i zapytaj o Leonida Nikołajewicza Wołoszyna. To mój wuj. Nie pozwól się spławić, powiedz mu, że ja cię przysyłam, że jesteś moją dziewczyną albo, jeśli chcesz, narzeczoną...

Przerwał w obawie, że Sonia zaprotestuje, ale milczała, słyszał tylko jej cichy, regularny oddech, więc po chwili gorączkowo mówił dalej:

– Powiedz mu, że dostałem trzy dni urlopu i muszę się z tobą zobaczyć. On kupi ci bilet do Władykaukazu. I powiedz mu, żeby z łaski swojej nie wtajemniczał w to swojej siostry!

– Ale...

– Zrób, co ci mówię. Nie wiem, kiedy znowu będziemy mieli taką okazję. Musisz to zrobić, jeśli chcesz nam dać jeszcze jedną szansę. Wiem, że popełniłem błędy, ale naprawię je, Soniu, obiecuję. Zrób to dla mnie, dla nas.

– Więc jeszcze jestem...?

– Co masz na myśli?

– Jestem jeszcze twoją dziewczyną? – Zrobiła pauzę, a potem niepewnie uściśliła: – Twoją narzeczoną?

– Jeśli zechcesz...

Dwanaście godzin później Sonia wysiadła ze śmigłowca na małym lotnisku we Władykaukazie, które było raczej tymczasowym pasem startowym, i zastygła przed Oseskiem bez ruchu, z wielkimi oczami pełnymi słonych łez, które spływały jej wolno po policzkach. Minęły trzy lata, odkąd się widzieli, odkąd z sobą rozmawiali.

Na początku, kiedy znalazł się w tej górskiej wsi, przeniesiony tu ze swoją jednostką, nie posiadał się ze szczęścia, że przeżył. Z biegiem czasu, najpierw w snach, zaczęły wracać do niego wspomnienia: zatarasowane ulice, mozolne, powolne, centymetr za centymetrem posuwanie się naprzód, puste budynki, które wyglądały jak twarze pozbawione oczu, pełna odrazy twarz starszej kobiety, którą postrzelono w nogę, dlatego że krzyczała, bo w budynku pozostał jej wnuk i chciała do niego biec, zapłakane twarze dwóch bliźniaczek, które miały to nieszczęście, że mieszkały w dzielnicy nękaniej co noc wielogodzinnymi nalotami bombowymi, twarz chłopaka, którego Pietruszow wciągnął do kurnika, a który nie mógł uwierzyć, że wszystko, co się dzieje wokół, jest prawdą. Tamtego dnia Osesek po raz pierwszy usłyszał nazwę „kurnik”, bo wcześniej znał tylko oficjalny termin: „operacyjny punkt filtracyjny”. W rzeczywistości był to prowizoryczny areszt, gdzie torturowano i likwidowano więźniów, nie musząc się obawiać prawnych konsekwencji tych praktyk. Kurniki organizowano najczęściej *ad hoc* w pustych budynkach, czasem pod gołym niebem, a po zakończeniu operacji

szybko je opuszczano, zacierając wszelkie ślady. To właśnie Oseska często wyznaczano do usuwania tych śladów, a on, początkowo zasmarkany z płaczu, potem już tylko tępo i obojętnie wykonywał polecenia. Tamtego dnia po raz pierwszy zobaczył takie miejsce, magazyn ogołoczonego domu towarowego, i spojrzął na chłopaka, którego twarz prześladowała go w snach od czasu przybycia do wąwozu w górach. Chłopakowi krew leciała z ust, bo bito go po twarzy, a palce miażdżono ciężkimi buciorami. Miał rzekomo informacje na temat jakichś tajnych operacji. Osesek zapamiętał osłupienie tamtego, niemożność uwierzenia, że naprawdę spotyka go coś, o czym nawet nie miał odwagi pomyśleć, osłupienie, które zniknęło z każdym uderzeniem w twarz, w żołądek, z każdą zniewagą, z każdym zmiażdżonym palcem, a w końcu zobaczył twarz, która była już tylko pustym miejscem – niczego nie można było z niej wyczytać, nawet bólu.

Te twarze, twarze martwych, a czasem też żyjących, którzy woleliby, by ich życie się skończyło, sprawiały, że nocami zrywał się przerażony i potrzebował przestrzeni.

Teraz wspinał się na skały, ostrożnie stawiając jedną stopę przed drugą. Cisza była hipnotyzująca, przerywał ją tylko szum rzeki, która niezmordowanie smagała leżące wokół skały. Ze stromej i jałowej ściany skalnej trafił w bujną zieleń niewielkiego wzgórza, które osłonięte od obcych spojrzeń, położone było między dwoma skalnymi blokami. Pasły się tu owce miejscowych gospodarzy. Osesek położył się w trawie i głęboko zaczerpnął powietrza. Jego oddech uspokoił się, wyrównał. Czerwcowy upał kleił się do nocy jak owady do siatki wysmarowanej miodem. Po kilku minutach udało mu się odpędzić od siebie obrazy zmarłych i zobaczyć przed sobą jasną, wyczekującą, głodną twarz Soni, jej gęste pszeniczne włosy, duże szaroniebieskie oczy, zadarty nos, pełne usta i różowe policzki. Ta twarz była jak amulet, myśli o niej były jak niewidzialne anielskie skrzydła u jego ramion, a świadomość, że Sonia znowu z nim jest, stanowiła pancerz chroniący go przed zranieniami, i nawet ta wojna przestała być sprawą wielkiej wagi. Od chwili ich spotkania we Władykaukazie miał pewność, że

przetrwą tę wojnę i wróci. Obiecał to Soni. Ona była mostem nad wszystkimi przepaściami.

I oczywiście tym razem wszystko będzie inaczej. Nigdy nie da jej powodu, żeby oddaliła się od niego. Znajdą piękny dom, nieważne, ile załamań nerwowych zainscenizuje matka, zamieszkają w samym sercu Moskwy, ulica Bolszaja Nikitskaja będzie w sam raz, w starej trzypiętrowej kamienicy (w każdym razie nie w wieżowcu), w mieszkaniu z wysokimi sufitami, jasnymi pokojami, pewnie z nieszczelnymi oknami, ale to zupełnie nie będzie im przeszkadzało, będą się nawzajem ogrzewać i cieszyć, że odcięli się od podwórza w dzielnicy Szczukino.

Kiedyś mieszkanie w okolicy Oktiabrskiego Pola w dzielnicy Szczukino było marzeniem każdego wzorowego radzieckiego obywatela, a naukowcy, badacze i lekarze, którzy po otwarciu metra w 1975 roku otrzymali tam mieszkania, mogli się chlubić, że państwo potrafiło ich docenić. Oktiabrskoje Pole było kiedyś podmiejską osadą (w latach trzydziestych istniało tam jeszcze kilka kołchozów), którą stopniowo wchłonęła rozrastająca się Moskwa. Doprowadzono tam linię tramwajową, potem rozpoczęto budowę dwu- i trzypiętrowych domów dla pracowników kołchozów. W końcu lat trzydziestych otwarto w tym rejonie Instytut Medycyny Eksperymentalnej, a później szpital, w latach czterdziestych zaś Laboratorium nr 2, potem przemianowane na Instytut Energii Atomowej imienia Kurczatowa, które prowadziło tajne badania dotyczące rozwoju energii jądrowej i w którym w 1946 roku uruchomiono pierwszy w Europie reaktor jądrowy.

Po drugiej wojnie światowej w dzielnicy Szczukino ruszyła wielka rozbudowa instytucji naukowych i domów mieszkalnych. Powstało wiele bloków, teraz o wiele wyższych, szpital Instytutu Energii Atomowej oraz Instytut Epidemiologiczny i Wirusologiczny. W latach siedemdziesiątych doprowadzono tam metro. Kiedy matce Oseska – wówczas młodej pani biolog w Instytucie Wirusologii, szczęśliwej żonie pewnego majora (jeszcze wówczas nie bohatera) i matce sześciolatniego chłopca, który w chwili przyjęcia do pierwszej klasy otrzymał opinię „ponadprzeciętnie bystrego” –

zaproprowano mieszkanie o powierzchni sześćdziesięciu metrów kwadratowych w jednym z nowo powstałych bloków dla zasłużonych naukowców za jej osiągnięcia w pracy laboratoryjnej, a przede wszystkim dzięki protekcji jej brata, który poprzez Goskom wywierał presję na kierownictwo instytutu, Lidia Nikołajewna z wdzięcznością przyjęła tę propozycję.

Takie wyróżnienie nie spotkało nawet jej bardzo zasłużonego męża, choć gnieździli się w dwupokojowym mieszkanku przy Dworcu Kurskim. Dzielnica, która rozkwitła za sprawą naukowców i lekarzy, stanowiła pełne życia, atrakcyjne otoczenie dla ich syna. Szkoła podstawowa była niedaleko, mógł chodzić do niej pieszo, klub Komsomołu był za rogiem i chłopiec z wielkim entuzjazmem zaczął się uczyć gry w szachy.

Nowe mieszkanie mieściło się na ósmym piętrze dwunastokondygnacyjnego kompleksu mieszkaniowego, który składał się z kilku bloków mieszkalnych połączonych długim, złożonym z kilku części wewnętrznym podwórzem. Oczywiście nie tylko przedstawiciele inteligencji, tacy jak Lidia Nikołajewna, wprowadzili się tu pod koniec roku. Większość mieszkań rozdysponowano pod stołem. Trwał szczyt pozornego spokoju ery Breżniewa, a także wieloletniej stagnacji, rozpadu gospodarki i korupcji, które zakończyły się dopiero wraz z jego śmiercią. Kwitła szara strefa.

Mieszkania przydzielono tym, których stać było na prezenty lub pieniądze dla wpływowych urzędników Goskomu i Ospolkomu. Lekarze oferowali urzędnikom bezpłatne badania poza kolejnością, a jeśli zajdzie potrzeba, to również trudno dostępne metody leczenia. Nauczyciele obiecywali dobre stopnie dla ich dzieci. Pracownicy Intouristu dawali darmowe wczasy na Krymie albo w Grecji. Dyrektorzy fabryk proponowali telewizory Junost', lodówki Saratow, pralki Mińsk albo nawet samochody Łada – wszystko bez talonów i bez kolejki.

Inni, zwłaszcza nienależące do elity dzieci pracowników kołchozu, którzy od pokoleń mieszkali w Szczukino, a potem musieli się przenieść poza miasto, próbowali teraz, słysząc, że w ich dzielnicy powstają nowe

mieszkania, wrócić tam za wszelką cenę. Urzędnicy Goskomu, przestraszeni, że pokątny przydział mieszkań wyjdzie na jaw i rozpali zbyt wiele głów, zdecydowali się na kompromis i jedną piątą mieszkań przydzielono przedstawicielom proletariatu: prostym robotnikom, rzemieślnikom i niższym rangą urzędnikom.

Lidia Nikołajewna bolała nad tym, że za sąsiadów ma hołotę, chociaż ci ludzie tak samo jak ona stali godzinami w kolejkach, pierwszego maja i siódmego października szli na pochód, ramię w ramię siedzieli z nią na drewnianych ławkach kolejki elektrycznej jadącej do ogródków działkowych. I chociaż tak jak ona na urodzinach podawali łososia, tort z masą z mleka skondensowanego i wódkę, w jej przekonaniu stanowili inny gatunek ludzi. Byli prostacy i nie dość wysublimowani duchowo, do tego głośni, zalatywali stęchlizną, za dużo pili, nie mieli manier, niekiedy patrzyli zbyt wyzywająco, a ich słownictwo było wulgarnie. W efekcie podwórze, ta platforma łącząca mieszkańców, podzieliło się wkrótce na dwa światy: wykształconych i proletariuszy. Ten podział uwidaczniał się najbardziej wśród dzieci.

Podwórze miało swoje prawa. Nie było wyboru – należało się do jednej z tych dwóch grup, a przynależność wynikała wyłącznie z pochodzenia społecznego. Z tego powodu Osesek przeklinał swoją rodzinę. Wolałby, by jego matką była „podejrzana osoba”, jak Lidia Nikołajewna nazywała wszystkie kobiety, które nie pracowały na wyższych uczelniach albo nie były żonami wysokich rangą urzędników. Bo dzieci robotników trzymały się razem, natomiast dzieci inteligentów były tak pochłonięte zadaniami domowymi, kółkami zainteresowań i zajęciami pozaszkolnymi, że na przyjaźnie podwórkowe nie zostawało im wiele czasu.

Osesek był klasowym prymusem, miał żywy umysł i był zręczny, co budziło zazdrość kolegów. Interesowało go wszystko. Nauczycielka zapisała go na popołudniowe zajęcia w sąsiedniej szkole, gdzie oprócz szlifowania angielskiego, który był obowiązkowy, bardzo szybko opanował też niemiecki. Jego prawdziwą namiętnością stały się książki: czytał je w każdej wolnej chwili. Książki okazały się najlepszą ucieczką przed samotnością. Jako mały

chłopiec nie był świadom konsekwencji swej izolacji. Przed każdym sylwestrem prosił Dziadka Mroza o siostrzyczkę albo braciszka. Nie wiedział, jak jest w innych rodzinach, nie znał innego życia niż dom z często nieobecnym ojcem i nadopiekuńczą matką. Dzieci wzorowych obywateli, takich jak Lidia Nikołajewna i Siergiej Aleksandrowicz, szkoła faworyzowała. Ale na podwórzu nie było nauczycieli i gdy zmarł ojciec, każdy powrót ze szkoły do domu stawał się udręką. Osesek nie mógł przejść przez podwórko, by nie usłyszeć wyzwisk.

W takich chwilach starał się być niewidzialny, nie patrzeć w stronę dręczycieli, przechodzić jak najszybciej. Tylko raz stracił panowanie nad sobą, kiedy jeden z tych obrzydliwych chłopaków należących do złodziejskiej szajki, w której królowały takie ksywy, jak Kauczuk, Ślimak, Pasożyt, Wielki Łeb, Łajka i Inkasent, wyrwał mu plecak, wyciągnął z niego książki i rzucił je w błoto. Wtedy po raz pierwszy złość okazała się silniejsza od strachu, tej podstawowej emocji w jego życiu – strachu, by kogoś nie rozczarować, strachu, by nie powiedzieć czegoś niewłaściwego, strachu, że nie jest dość dobry, strachu przed błędną decyzją, strachu, że sprawi komuś przykrość, że jego spotka coś przykrego, strachu przed konfliktami, strachu, że się w czymś zagalopuje, strachu, że nie zostanie tym, kim chciałby zostać. Była to nieskończona ilość wariantów strachu, które uniemożliwiały mu spontaniczne zachowywanie się w codziennych sytuacjach, tak jakby umiejętność życia nie była jego cechą wrodzoną.

Lecz w tym momencie strach znikł. Osesek rzucił się w pogoń za łobuzem, dogonił go i z całej siły popchnął na ziemię. Tamten stracił równowagę i runął jak długi na twardy asfalt. Na jego twarzy odmalowało się przerażenie, Osesek za to czuł satysfakcję: tamten leżał na ziemi, skomląc z bólu, a on spokojnie pozbierał ubłocone książki i poszedł do domu.

Na odwet nie musiał długo czekać. Nastąpił za trzy dni. Osesek wprawdzie się z tym liczył, lecz nie sądził, że zemsta będzie tak brutalna. Pięciu z bandy czekało na niego w ciemnościach, kiedy wracał z młodzieżowego klubu szachowego. Chwycili go i poganiając szturchańcami

i groźbami, powlekli za sobą przez podwórze, potem przez dziurę w siatce do opustoszałego baraku o wilgotnych ścianach z obscenicznymi napisami, gdzie na podłodze wałały się niedopałki papierosów i butelki po wódce.

Inkasent, przywódca bandy, ogolony na zero wysoki, kościsty wyrostek z zepsutymi zębami i odstającymi uszami, wyglądający jak chuligan z poprawczaka, zażądał, żeby Osesek przeprosił. Osesek odmówił. Został więc popchnięty, upadł, a oni zaczęli go kopać, skandując chórem: „Mały kutas u Oseska, ale w niebie będzie dziś. Jego ojciec mięśnie ma, matka dużo rubli da”.

Dziwne, ale przestał się bać, chociaż otaczały go ryczące radośnie wyrostki, i prawie się roześmiał, słysząc ich rymy. Zastanawiał się, kto był ich autorem. Przyszło mu na myśl, że odwagę od strachu dzieli tylko decyzja, na którą potrzeba ułamka sekundy, impulsu, od którego wszystko się zacznie, i w tym momencie zapragnął takiego impulsu. Ale Inkasent dał właśnie znak ręką i zapanowała cisza. Nachylił się nad Osesekiem i utkwiał w nim pozbawiony wyrazu wzrok.

– Te, przegapiłeś szansę, nie chciałeś przeprosić. Teraz już wiesz, że mamusia i tatuś nie zawsze ci pomogą. Poza tym jesteś nam winny dwadzieścia rubli. Jako rekompensatę za to, że mojego przyjaciela przez ciebie bolało.

– Rzucił moje książki w błoto – mruknął Osesek.

– Co? Chłopcy, czy on coś powiedział? Maminsynek nie zgadza się z nami?

Nagle coś twardego trafiło go w twarz. Uderzenie było tak szybkie, że nie dostrzegł wcześniej żadnego ruchu. Zaczęło dzwonić mu w uszach. Zorientował się, że to Inkasent i że na twarzy poczuł siłę jego pięści. Zaczęło mu się zbierać na wymioty. Inne uderzenia trafiały go po całym ciele.

– Zrobisz, co ci mówię! Załatwisz forszę! Słyszysz, gnido?! – wrzeszczał Inkasent, a Osesek zdziwił się, jak szybko jego nieruchoma twarz zmieniła się w wykrzywioną wściekłością gębę. – To jest moje podwórze i na tym

podwórzu każdy będzie się stosował do moich praw! – ryczał, aż się zapluł.

Osesek wiedział, że Inkasent nie ma ojca, a matka, krawcowa w fabryce w Ostankino, ciągle jest w pracy. Inkasent od dziecka żył na ulicy i rządził na podwórzu. Ostatni cios, w żołądek, był tak silny, że Osesek nie mógł złapać tchu i tylko łapał ustami powietrze jak ryba wyrzucona na ląd.

Inkasent cofnął się o krok i z ciekawością go obserwował, jakby przeprowadzał jakiś eksperyment.

– Myślę, że nas zrozumiał, jak uważacie, chłopaki? – powiedział.

Ból, jaki czuł, był tak wszechobecny, że Osesek nie myślał o niczym, tylko o tym punkcie, który oddziela odwagę od strachu i do którego, do cholery, musi być jakiś klucz...

– Rozmyśliłem się, poprawka: dwadzieścia pięć rubli. Czekać do soboty. Rozumiemy się, mięczaku? – dodał Inkasent.

Odwrócił się, pozostali też się cofnęli, gdy nagle Inkasent się zatrzymał, zawrócił, zacisnął mocno powieki, rozpiął rozporek, wyjął cienki, biały penis i puścił strumień moczu.

Osesek poczuł ciepło na tułowiu, odruchowo zwinął się w kłębek i podkulił nogi, zakrywając twarz rękami. Usłyszał głośny rechot bandy, a potem cichnące kroki.

Pomału się rozprostował, rozejrzał się wokół, popatrzył na pomazane ściany, zobaczył krew na swoich dłoniach i mokre plamy na spodniach. Coś w nim pękło, rozpłakał się. Płakał z czystej rozpacz, z bezsilności, z poczucia poniżenia, z obrzydzenia. Cały dygotał i gdyby w tym momencie miał pod ręką broń ojca, byłby gotów nacisnąć spust. Jak mogli mu zrobić coś takiego i dlaczego on nie zrobił nic, żeby się obronić?! Czy powód tkwił w tym jednym punkcie dzielącym strach od odwagi, w krótkiej jak mgnienie oka decyzji, która w konsekwencji tyle znaczy? Czy całe życie będzie musiał odgrywać rolę, w którą wpychają go te obrzydliwe, bezużyteczne pasożyty? Czy jest skazany na to, żeby być bity, poniżany, upokarzany i szantażowany,

bo nie potrafi przekroczyć granicy, tej śmiesznie cienkiej granicy?

Przez następne lata, nie widząc wyjścia, Osesek trzymał Inkasenta i jego kumpli z dala od siebie rublami zdobytymi od matki albo wuja. Nadal znosił obelgi, ale przynajmniej nikt go już nie bił.

A potem z dnia na dzień jego udręka się skończyła. Było to wtedy, gdy Sonia udzieliła mu łaski, kiedy zaczekawszy na niego przy schodach, powiedziała mu, że ma piękne oczy. Wcześniej go nie dostrzegała. Sonia była odludkiem, lecz cieszyła się szacunkiem, bano się jej nawet, i dlatego miała status nietykalnej. Poza nią na podwórzu nie było wiele dziewczyn, a te, które mieszkały na osiedlu, rzadko wychodziły na dwór. Widywało się je tylko w brązowych mundurkach i białych fartuszkach, gdy szły do szkoły lub wracały po szkole do domu. Sonia nie należała do dziewcząt z opaską na włosach, nie patrzyła spłoszonym wzrokiem, nie nosiła w tornistrze kanapek i herbatników owiniętych w folię aluminiową, nie miała białych pończoch i lakierów, nie chichotała ani nie szeptała z innymi dziewczynami. Chodziła do szkoły specjalnej, popołudniami przesiadywała na podwórzu przy zardzewiałym metalowym stoliku w towarzystwie kilku bezpańskich kotów i ogryzała paznokcie. Jej autorytet był naturalny, nigdy nie stała się obiektem zaczepki bandy. Świat Soni wydawał się Oseskowi smutny i szorstki, pozbawiony czułości i wsparcia wpływowych krewnych, nie istniały w nim *swiazi* – niezbędna do przeżycia sieć kontaktów, zapewniająca w radzieckiej codzienności grunt pod nogami. W świecie Soni był ojciec, brutalny alkoholik, przemęczona matka, siostry uwięzione pomiędzy dorosłym życiem a wydłużonym dzieciństwem oraz śmierdzące dwupokojowe mieszkanie z nadjedzonym przez mole gobelinem na ścianie przedstawiającym jelenie na rykowisku. Lecz w jej świecie były wszystkie możliwości, choć nie było żadnych biografii, które później ryje się w kamieniu, żadnych składanych w ołowianych skrzyniach testamentów do wykonania – była szansa, że pozostanie się sobą.

Osesek odważył się odsłonić przed Sonią fragment swojego świata. Sprawiało mu przyjemność pokazywanie jego najlepszych stron jak

przysmaków na porcelanowym talerzu: zabierał ją do drogich kawiarni, chodził z nią na lody i do kina, na czarnym rynku kupił jej solidne trzewiki i pokazał, jak dostać się do Specchranu, tajnego magazynu zakazanych książek należącego do Biblioteki Leninowskiej. Zabierał ją też na zebrania kółek dyskusyjnych, gdzie zrobił na niej wrażenie swoją wiedzą i umiejętnością przekonywania. Potem przyszła kolej na półoficjalne koncerty zespołów, takich jak Leningradzki Band Punkowy Avia albo Telewizor – ich odjazdowe show i prowokujące, polityczne teksty songów wprawiały Sonię w szal radości.

Sonia zrozumiała, że jej wychowanie ma mnóstwo luk, a wykształcenie jest mizerne, i jak gąbka chłoneła wszystko, co pokazywał jej Osesek. On lubił jej zaciekawienie, lubił występować w roli przewodnika, który objaśnia jej świat. Czuł się potrzebny, kiedy Sonia patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami i w skupieniu potakiwała, gdy opowiadał jej o planetach Układu Słonecznego albo robił wykład na temat rosyjskiej awangardy.

Miał pewność, że z Sonią uda mu się uciec z mauzoleum, które stworzyła w domu matka, i kiedy siedział z nią we wraku jakiegoś auta w ciemnym zaułku, gdzie nikt ich nie niepokoił i gdzie bez przeszkód mogli celebrować swą miłość, ujmował jej rękę i okrywał ją pocałunkami. Potem jego usta wędrowały wzdłuż ręki i szyi i przez wysokie kości policzkowe docierały do jej pełnych ust.

Taka była młodzieńcza miłość Soni. Wtajemniczała w nią Oseska jak w pradawne misterium, do którego miała dostęp jako jedyna kapłanka świątyni. A on z chęcią jej ulegał. Lecz z czasem w ten odizolowany świat wraków aut, ławek w parku i zamków na lodzie wkroczyła rzeczywistość ze swymi drapieżnymi łapskami. Sonia ani przed nim, ani przed samą sobą nie potrafiła ukryć narastającego rozczarowania, bo mijały miesiące, a Osesek nie zaprosił jej do domu, nie przedstawił matce ani wujowi. On tymczasem nie umiał zbudować pomostu między nimi dwojgiem a matką i swoim oficjalnym życiem.

Kiedy dla Soni stało się jasne, że po lekcjach musi zarabiać, by pomóc

rodzinie – ojciec był niezdolny do pracy, matki przeważnie nie było w domu, a pensja siostry, która właśnie skończyła pielęgniarstwo, nie wystarczała na utrzymanie – zatrudniła się w kantynie pewnej drukarni. Rozwiała się jej marzenie o wieczorówce, o zrobieniu matury, o lepszej przyszłości. Nużąca, monotonna praca w beznadziejnym miejscu cuchnącym marnym jedzeniem, bo szef kuchni najlepsze produkty sprzedawał spod lady, była frustrująca.

Sonia spodziewała się, że Osesek jej pomoże, że ją wesprze, lecz on był uwięziony w swoim sposobie myślenia, gotów wprowadzić stwarzać w wyobraźni całe światy, pięknymi słowami budzić Sonię do życia, lecz niezdolny, by przełożyć słowa na rzeczywistość.

Do tego doszła ogólna sytuacja: płyty tektoniczne w głębi naszej planety zaczęły się przemieszczać, ziemia się trzęsła, umysły były rozpalone i wzburzone. Pieriestrojka objęła cały kraj, wryła się też głęboko w psychikę ludzi. Decentralizacja gospodarki otworzyła nieprzeczuwane możliwości dla tych, którzy w tym bezkresnym kraju wyczuli atmosferę sprzyjającą zbiciu fortuny, atmosferę mroczną, gorączkową, nieprzewidywalną. Oseska wszystko to odrzucało, Sonia za to widziała w nowej sytuacji zapowiedź szansy.

Kuzyn Soni Wadim natychmiast, gdy tylko wyszła ustawa, założył kooperatywę. Zaczął od sprzedawania cementu, potem doszły inne materiały budowlane. Po trzech latach tak się wzbogacił, że otworzył bank, bo się bał, że jego pieniądze w państwowym Gosbanku nie są bezpieczne, a chłopcy z Łubianki^[7] zwrócą na niego uwagę i skonfiskują mu majątek. Sonia była nim zachwycona, Osesek natomiast zde gustowany.

– Takie typy jak ten twój kuzyn niekoniecznie są wzorem moralności i etosu pracy, nie uważasz? Sama opowiadałaś, że już jako młody chłopak kradł różne rzeczy i opychał na czarnym rynku.

– No i co z tego? To, co teraz robi, nie jest przecież nielegalne! – oburzyła się Sonia. – Wykorzystuje sprzyjającą chwilę, cóż w tym złego? Uważasz, że tak jak ja powinien siedzieć z założonymi rękami i pozwolić sobie dyktować,

gdzie ma pracować i jak żyć?

Osesek zrozumiał przytyk pod swoim adresem, zarzut, że choć sam korzysta z pozycji człowieka uprzywilejowanego, to pozwolił, by z nią los obszedł się inaczej – by państwo narzuciło jej swoją wolę, przydzielając pracę w miejscu, o którym nie dość, że nigdy nie marzyła, to wręcz go nienawidziła.

– Jak uważasz, jacy chcemy być? Zniewoleni, bierni, posłuszni? Dlaczego czytasz mi te swoje mądre książki, dlaczego wygłaszasz światłe wykłady, dlaczego zabierasz mnie na koncerty, jeśli chcesz tylko siedzieć i patrzeć, jak inni żyją dla ciebie? Tyle się wkoło dzieje, Osesku, tyle się dzieje, rozejrzyj się tylko!

Patrzyła na niego okrągłymi, szeroko otwartymi oczami, które przywodziły na myśl morze, miejsce, gdzie piękny błękit przechodzi w groźną barwę nieskończonej głębi, nęcącej, jakby dochodził z niej śpiew syren i kusił, by rzucić się w tę głębinę.

– Uspokój się. Ci u góry wkrótce ściągną lejce. Tylko na chwilę połóżnią przepisy, potem znów będzie po staremu, bo inaczej wszystko wymknie im się z rąk. Nie mogą całego kapitału państwa oddać w ręce prywatne, wtedy przecież wszystko runie, i to nie będzie szansa, tylko katastrofa, Soniu!

Nie odpowiedziała, lecz zrozumiała, że na ich bliskości pojawiło się pęknięcie, i przestraszyła się.

W czasie gdy na Oseska zwała się w domu najmocniejsza jak dotąd krytyka (matka zażądała, żeby „jak należy” przygotował się do egzaminu wstępnego na akademię, i codziennie gdzieś w jego sprawie chodziła albo dzwoniła), Soni w pracy puściły nerwy. Wdała się w ostrą sprzeczkę z szefem, wulgarnym, skorumpowanym mężczyzną, który nie tylko kradł, co się dało, lecz również udzielał pewnych przywilejów pracownikom, które pozwalały się obmacywać. Doszło też do rękoczynów i Sonia została zwolniona. Żeby nie trafić na listę uchylających się od obowiązku pracy, co

mogło mieć fatalne skutki, musiała natychmiast coś przedsięwziąć. Dzięki poręczeniu siostry, osoby konformistycznej i uchodzącej za najmilszą pielęgniarkę na oddziale, dano Soni jeszcze jedną szansę i skierowano do pracy w Kisłowodzku na północnym Kaukazie, znanym kurorcie balneologicznym w Kraju Stawropolskim, w stołówce jednego z sanatoriów, w charakterze pomocy kuchennej.

Sonia przyjęła tę decyzję bez skargi, jakby się z nią pogodziła, ze spokojem, który Oseskowi wydawał się podejrzany. Próbował z nią rozmawiać, pocieszać, zapewniać, że jej praca tam to sprawa przejściowa. Jeśli przypadnie na egzaminie na akademię, będzie ją odwiedzał przy każdej okazji. „W Kisłowodzku jest pięknie, mają tam bajeczny klimat, świetny na cerę” – żartował. Sonia słuchała go zimno, nieobecna, małomówna, i nie pozwoliła mu się dotknąć. Kiedy odprowadzał ją z Olgą na dworzec, skąd ruszała w podróż z dwoma walizkami, patrzyła na niego wzrokiem tak chłodnym, tak rozczarowanym, że przejął go dreszcz.

Wyłudził kolejny rok wolności, oblewając egzamin wstępny. Słał więc teraz niemal codziennie gorące listy do Kisłowodzka, lecz odpowiedzi przychodziły z dużym opóźnieniem, powściągliwe, zdystansowane, chłodne. Ta jej reakcja podsyciła niesłuchanie jego nienawiść do samego siebie i sparaliżowała wszystkie inne doznania i odczucia.

Tymczasem kraj zmniejszał się o kolejne terytoria, pachniało gnijącymi owocami i naftaliną. Pierwszy w rosyjskiej historii prezydent wybrany przez naród ogłosił, że w ciągu roku gospodarka (z wyjątkiem produkcji energii, mleka i wódki) zostanie uwolniona. Była to zapowiedź terapii szokowej. Według dziennika „Izwestia” wszystko miało zdrożeć o dwieście procent. Oferta w sklepach i w gastronomii, wcześniej także dosyć skromna, w krótkim czasie spadła do poziomu zupełnie katastrofalnego, a jeśli czasem można było coś dostać, to tylko przez chwilę, bo ludzie w panice kupowali wszystko na zapas. Cena chleba wzrosła sześciokrotnie.

Moskwianie otrzymali kartki żywnościowe do zrealizowania w niecałych pięciu tysiącach małych sklepów detalicznych, które zdążyły już przejść

w ręce prywatne. W innych miastach głodujący ludzie zaczęli plądrować sklepy spożywcze i wagony towarowe.

Osesek wykorzystał pierwszą nadarzącą się sposobność, by odwiedzić Sonię. Przywitała go wprawdzie uprzejmie i wpuściła do swego małego mieszkanka komunalnego w pobliżu domu kultury, postawiła przed nim na stole herbatę i ciastka, unikała go jednak jak mogła, pod pozorem że ma dużo pracy i nie może dostać wolnego. A wieczorami kazała mu czekać do następnego dnia, tłumacząc, że jest zbyt zmęczona na poważne rozmowy. Kiedy ostrożnie wspomniał o swych zajęciach na uniwersytecie, nie wytrzymała i rzuciła mu w twarz:

– Cieszy mnie to, co tam robisz. Wybacz, ale mnie nie dana była możliwość, żeby wybierać między literaturą a sztukami pięknymi i teraz nie mogę dotrzymać ci kroku. Przykro mi.

Jego nieśmiała próba przywrócenia dawnej fizycznej bliskości okazała się fiaskiem. Między sobą a nią czuł dystans jak ziejącą przepaść. Dawna namiętność Soni znikła bez śladu, przyjmowała jego dotknięcia, patrząc pustym wzrokiem w dal, a kiedy się w nią wdzierał, spinała się tak mocno, że ból zmieniał jej rysy.

Przewidywano, że zimą zapanuje głód i wybuchną pogromy. Po cichu szeptano, że kredyty z Zachodu umożliwiające poczynienie niezbędnych zapasów zostały wstrzymane, Moskwa musi najpierw wykazać swoją wypłacalność. Nikt nie znał rzeczywistej wysokości długów Związku Radzieckiego. Gorbaczow ostrzegał, że wisi nad nimi realne niebezpieczeństwo rozwiązania państwa i że nieodwołalnie zniszczy to stosunki międzyludzkie. Nikt nie miał jednak czasu ani ochoty go słuchać, każdy myślał tylko o tym, by utrzymać się na powierzchni i przetrwać zimę. Wszystko wyglądałoby może inaczej, gdyby sam prezydent nie przestraszył się tego, co uruchomił. „Jeśli do lata reformy się nie powiodą, będziemy skazani na nędzę, a państwo o tysiącletniej historii upadnie” – powiedział. I gwoli wyjaśnienia dodał, że jego reformy „mają służyć demokracji, a nie stworzeniu nowego imperium”.

Minęła jesień, potem zima. Osesek zadręczał się swoją bezradnością. Największa przepaść ziała tam, gdzie zawsze: dopuścił do tego, by Sonię wysłano daleko, i każdego dnia pozwalał, by jego samego spotykało to, co go spotyka.

Liczył dni wygnania Soni, jak ona sama nazywała swój pobyt w Kisłowodzku. Ten czas zbliżał się ku końcowi i Sonia miała wrócić do Moskwy. A on już planował, co zrobi, żeby odzyskać jej uczucia.

Niestety, zdobycie twierdzy okazało się o wiele trudniejsze, niż się spodziewał. Rozczarowanie Soni było głębokie i pulsowało w niej jak świeża rana. Czas, rozstanie i odległość nie sprzyjały temu, by nastawić ją do niego łaskawiej czy łagodniej, przeciwnie – samotność uczyniła ją twardszą i bardziej bezlitosną.

Po jej przyjeździe Osesek robił wszystko, żeby wyrzeć na niej wrażenie: wyzebrał pieniądze od wuja i zabrał ją do jednej z prywatnych restauracji, gdzie wysokie ceny były doskonałym odbiciem ogólnych braków w zaopatrzeniu, a potem zaprosił Sonię do domu – jego matka wyjechała na weekend na daczę do swej przyjaciółki Ziny – i ugościł szampanem krymskim i czekoladą, którą zdobył za horrendalną sumę.

Ale Sonia była już inna. Osesek zaczął się zastanawiać, czy w ogóle jeszcze czegoś po nim się spodziewa. Przez następne dni próbował rozmawiać z nią otwarcie. Posunął się nawet do tego, że wyjawiał jej swoje lęki i problemy z matką, mówił o ciąży, jaki czuje na swoich barkach, do czego ze wstydu nigdy się nie przyznawał. Sonia pozostała jednak niewzruszona, niewrażliwa na jego kłopoty, patrzyła gdzieś przez niego, jakby go nie widziała, i wszystkie słowa, które do niej kierował, nawet najbardziej poruszające, odbijały się od niej jak kamienie od litej skały.

Jeśli chodzi o prezydenta, to wydawało się, że próba powstrzymania rozkładu państwa po rozpadzie Związku Radzieckiego coraz bardziej przerasta jego siły. W szalejącym morzu problemów i biedy nikt nie interesował się nagłówkami w gazetach, pojawiającymi się coraz częściej,

a dotyczącymi małego muzułmańskiego narodu górali czeczeńskich. Podporządkowani niegdyś carom, a przez Stalina niemal w całości deportowani wagonami towarowymi do Kazachstanu, byli ponoć tak waleczni, że rosyjski prezydent, formując gwardię przyboczną, wybrał do niej niemal wyłącznie Czeczenów. Tymczasem Czeczenia po puczu przeciw lokalnemu rządowi wiernemu partii i KGB wybrała własnego prezydenta, który obejmując urząd, z entuzjazmem fetowany przez delegacje z Syrii i Iranu, proklamował powstanie niepodległej Czeczeńskiej Republiki Iczkerii. A więc ten mały kawałek ziemi odwrócił się od Rosji. W odpowiedzi rosyjski prezydent ogłosił wprowadzenie w Czeczenii stanu wyjątkowego i wysłał do Groznego elitarne oddziały. Czeczeni uzbroili się i zamordowali majora KGB.

W Moskwie zaczęła się dyskusja o polityce wielkomocarstwowej i sprawdzanie, jak to jest z prawami mniejszości narodowych. Nie było zgody, gdzie przebiega granica: jeśli mniejszości miały prawo wystąpienia z ZSRR, dlaczego miały go nie mieć w wypadku wystąpienia z nowo proklamowanej Federacji Rosyjskiej? A może ogłoszenie reform było jednak przedwczesnym eksperymentem, który mógł pociągnąć za sobą fatalne skutki?

Osesek nie interesował się ani prawami mniejszości, ani żywotnymi interesami narodu czeczeńskiego. Lata świetlne dzieliły go jeszcze od tego, by mogło mu przyjść na myśl, że pewnego dnia sam znajdzie się w środku krwawych wydarzeń. Sonia odeszła. Odeszła nagle, nie wymawiając słowa „rozstanie”, jakby taka formalność nie była wcale potrzebna, bo ten krok uczyniła już dawno. Może stało się to w dniu, kiedy wsiadała do pociągu do Kisłowodzka, a on machał do niej, stojąc na peronie. Może.

Jego kula ziemską przestała się kręcić. Nieodwołalnie. W tym samym czasie posypały mu się na głowę problemy: kłopoty finansowe (nawet Leonid Nikołajewcz nie miał już, mimo wysokiej emerytury, łatwego dojścia do pieniędzy), katastrofalne rozczarowanie matki, które wyczuwało się już, wchodząc do mieszkania, brak perspektyw, lęk przed wzięciem się za bary

z własną bezwolnością, z własnym życiem, nienawiść do siebie z powodu własnych wad.

Zaczęły prześladować go koszmary – zdawało się, że wypełzają z poduszki i oplatają czaszkę cienkimi, trującymi nićmi, które co noc stają się ciaśniejsze i głębiej wrzynają się w ciało.

Rozpaczliwie szukał Soni, ale znikła bez śladu. Zostawiła siostrze kartkę w kratkę wyrwaną z zeszytu, na której napisała, że wyjeżdża do Tadżykistanu. Lecz tysiąc razy gorsze od tego, że odeszła, było to, co Olga wyjawiała mu dopiero po długich błaganiach: Sonia uciekła z Inkasentem. Inkasent miał dostać w Tadżykistanie „dobrą posadę”.

Osesek był zdruzgotany. Jego obawy o Sonię w jednej chwili zmieniły się we wściekłą furję. Nie mógł uwierzyć, że Sonia wróciła do odrażającego świata Inkasentów i Kauczuków, do świata kryminalistów, z którego przecież kiedyś tak się chciała wyrwać. Zdawało mu się, że odsunął ją od tego środowiska, i w głębi duszy był z siebie dumny, uważał to za swoją zasługę. Wszystkie tamte wieczorne dyskusje, bez mała wykłady, wszystkie wyjścia do kina i teatru, wszystkie rozmowy we wrakach aut – to wszystko miało pójść na marne?!

Jak mogło do tego dojść?! Dlaczego to zrobiła? Przecież często skarżyła się na tych oprychów z podwórka, którzy żyli tak, że pakowali się prosto do radzieckich poprawczaków i więzień. Często kręciła tylko głową, mijając Inkasenta, od którego śmierdziało alkoholem, choć zawsze mówiła do niego po imieniu, Pietia, jakby nie chciała, by określało go to, co robił, a on rzucał jej lekceważące, obleśne spojrzenie.

Inkasent stał się mężczyzną szczególnie niezdolnego rodzaju. Niezbyt wysoki, ale wysportowany, umięśniony (mięśnie wyrobił sobie na treningach w towarzystwie sportowym mieszczącym się na terenie szpitala), ogolony na łyso, z kilkoma tatuażami na przedramionach i lekceważącym spojrzeniem pozbawionych wyrazu okrągłych, małych oczek kreta, już w okresie dorastania stracił wszystko, co mogło w nim tkwić z resztek humanizmu.

Oficjalnie uczył się na ślusarza, lecz w gruncie rzeczy od dłuższego czasu kontrolował wszystkie małe kioski, sklepiki i nielegalnych handlarzy, którzy w Szczukino prowadzili interesy. Krążyły plotki, że Inkasent pracuje dla naprawdę twardych gości, dla „złodziei działających w ramach prawa”, którzy zrobili karierę w rosyjskim systemie więziennictwa, obejmującym też łagry, i za kratkami wybili się na autorytety kryminalnego świata. Państwo ich tolerowało i czasem nawet wykorzystywało do swoich celów, oni zaś, dostrzegając w tych czasach zamęt zagrożenie dla swej dotychczas nienaruszalnej pozycji w podziemnym świecie, tym bardziej bezwzględnie i brutalnie wykorzystywali przewracanie się podczas pieriestrojki kolejnych kostek domina.

Gnijące od środka państwo stopniowo traciło nad wszystkim kontrolę, a Inkasent bogacił się, wymuszając haracze. Co Sonia mogła mieć z nim wspólnego? Widywała go na podwórku, pozdrawiała bez słowa skinieniem głowy, a kiedy szła z Oseskiem za rękę, zносиła jego aroganckie spojrzenia i rechot jego fagasów, nic więcej. A może jednak? Tak, Osesek wiedział, że sam tu zawinił. Nawet małomówna, zawsze miła i dyskretna Olga, zupełnie inna niż jej młodsza siostra, dała mu do zrozumienia, że Inkasent co wieczór szukał jej towarzystwa, łudząc się, że w ten sposób zbliży się do Soni.

„Ach, Sasza, Sonia czekała wystarczająco długo, ale ty ją przecież znasz, ona musi działać, musi coś robić, nie potrafi po prostu siedzieć i czekać. Nie mogła ci wybaczyć, że pozwoliłeś jej wtedy pojechać... A w Kisłowodzku zupełnie, ale to zupełnie jej się nie poszczęściło”.

Te słowa go zaboląły. Nigdy nie czuł się tak podle, tak przegrany, jak w tym momencie.

Przegrał, ale z kim? Kto był jego przeciwnikiem? Ten prymitywny, brutalny typ, za którym Sonia, pozbawiona wszelkiego rozumu, poszła na koniec świata (jeśli istotnie pojechali do Tadżykistanu, jeśli nie było to kłamstwo mające zamaskować coś o wiele gorszego)? Czy może sama Sonia, która nie wybaczyła mu jego braku zdecydowania? A może matka, która nie mogła pogodzić się z tym, że jej styl życia i cały ten socjalistyczny świat, że

to wszystko ginie, i która od lat zmuszała Oseska, by szedł w ślady ojca? A jeśli przyczyna tkwiła w nim samym i w jego niewidocznym wrogu, tym potwornym, bezlitosnym, krwiożerczym zwierzęciu zwanym strachem?

Wykłady, na które chodził jako wolny słuchacz, książki, które czytał, turnieje szachowe, które wygrywał, pomysły, które przychodziły mu do głowy, a nawet słowa, które wymawiał, służyły teraz jednemu: zapomnieć o tym, co w odejściu Soni ubodło go najbardziej, co było najbardziej niewygodne. Chociaż jego lęki bardzo się nasiliły, chociaż w końcu udało mu się ustalić zleceniodawców Inkasenta, którymi okazali się osławieni bracia Primakowowie, dwaj przywódcy świata przestępczego, znani szeroko poza lokalnym środowiskiem kryminalnym, przejmujący teraz kontrolę nad nowo rozkwitającym rynkiem, to ciągle od siebie uciekał.

Pragnienie, żeby żyć tak, jak się żyje na Zachodzie, by korzystać z wolności, a z drugiej strony brak perspektyw w tych niepewnych czasach pchały ludzi, zwłaszcza młodzież, w narkotyki, szczególnie że władze popuściły tu cugli. Absolutny chaos fazy popieriestrojkowej, otwarcie na Zachód, przesunięcia granic i korupcja ułatwiały import i transport narkotyków. Primakowowie, jak niosła wieść, zajmowali się szmuglowaniem heroiny. Resztę Osesek z łatwością sobie dopowiedział: heroina, która trafiała do dawnych republik radzieckich i do Rosji, pochodziła z Afganistanu, a służą dla szmuglerów były kraje środkowoazjatyckie, zwłaszcza Tadżykistan, gdzie granicy z Afganistanem pilnowały oddziały rosyjskie. „Intratna posada” Inkasenta polegała zatem na szmuglowaniu heroiny.

Przeszedł mu dreszcz po plecach, gdy pomyślał, co to może oznaczać dla Soni. Lecz kiedy Sonia krótko i rzeczowo napisała do Olgi, że dobrze jej się powodzi, że prowadzi „ciekawe życie”, i żeby Olga poszła pod pewien adres w Moskwie, gdzie odbierze kopertę z okrągłą sumą, Osesek ugryzł się w język, żeby Oldze nie popsuć radości.

Następnego dnia poddał się i poprosił matkę, żeby raz jeszcze uruchomiła swoje kontakty, bo chce zdawać na akademię wojskową. Teraz nie było już odwrotu, sam – ku wielkiej radości matki – zdecydował się iść w ślady ojca.

Zniósł więc to, że zaraz na powitanie ostrzem golarki wycięto mu krzyż na skórze, nazywając go szczeniakiem, napluto mu w twarz i jako podarunek urodzinowy wręczono skórzaną obrożę z jego inicjałami.

Znosił to wszystko, aż pewnego dnia na zajęciach ze strategii po prostu wstał i wyszedł. Śmierdzącego nikotyną postawnego chorążego, który go dogonił i chwycił za ramię, z całej siły uderzył w twarz. „Pieprzcie się! Pieprzcie się, świnię!” – krzyczał jeszcze na ulicy. Gdyby ktoś go kiedyś zapytał o najszcześniejsze chwile w jego życiu, odpowiedziałby, że jedną z nich była ta, gdy zobaczył ogłupiałą twarz chorążego.

Oczywiście usunięto go z akademii, co raz na zawsze położyło kres marzeniom matki o karierze wojskowej jedynaka, jego zaś uczyniło panem swego losu.

Regularnie odwiedzał Olgę, pomagał jej w domu oraz przy jej wymagającej opiece, leżącej już matce, a gdy rozmawiali na odrapanym balkonie, sondował ostrożnie, czy Sonia o niego nie pytała. Zrezygnował z zajęć na uniwersytecie, czytał jakieś książki, które wpadły mu w ręce, i bezmyślnie przełączał kanały telewizyjne, siedząc w swoim pokoju. Z czasem coraz rzadziej pojawiał się u Olgi, coraz rzadziej w ogóle wychodził z domu. Wszystkie próby Lidii Nikołajewny, żeby przemówić mu do rozsądku, spełzły na niczym, nie wzruszał go nawet płacz dochodzący nocą z jej pokoju.

Wszystko to skończyło się jak nożem uciął, kiedy pewnego dnia matka położyła przed nim na stole wyżebrane świadectwo ukończenia akademii wojskowej. Wtedy zrozumiał, że tym razem zdecydowało za niego życie. A życie zdecydowało, że zostanie wysłany na front. Matka tak długo wydeptywała dla niego tę ścieżkę w niebiosach, tak długo ryła ją w gwiazdach, aż ta ścieżka stała się jego losem.

I potem we Władykaukazie, w skrzypiącym metalowym łóżku, w zajeździe pachnącym baranim tłuszczem, z Sonią w ramionach, czuł niemal wdzięczność, że jest wojna.

Ich ponowne spotkanie było ostrożne, nieśmiałe, traktował ją, jakby była z porcelany. Dawna bliskość nie wracała spontanicznie, bez trudu. Trzeba było czasu, by się do siebie zbliżyć, dbać o zachowanie równowagi, jakby oboje byli akrobatami, dla których każdy błąd mógł oznaczać śmierć po upadku z dużej wysokości. Trzeba było ważyć każde słowo i badać możliwość każdego dotknięcia.

Sonia schudła, stała się bardziej koścista, żylasta, a jej zapach był teraz bardziej metaliczny, ostrzejszy, co jednak nie czyniło jej mniej atrakcyjną. Nie chciał niczego wiedzieć. O nic nie pytał. Jeszcze nie. Ta możliwość spotkania, ta chwila została mu подарowana przez boga przypadku, więc nie da jej sobie zepsuć smętnymi myślami, zatrutymi wspomnieniami i spoconą wściekłością. Ważny był cud, na który już nie ośmielał się mieć nadziei, ale którego zawsze pragnął. To, co liczyło się teraz, to niepodważalne punkty oparcia, konkretne wyobrażenia, plany, które mieli oboje i których musieli się uchwycić, chcąc przetrwać to tutaj.

Pocałował jej goły zapadnięty brzuch i położył na nim głowę. Potem zaczął mówić, jak będzie wyglądało ich życie, kiedy skończy się ta przeklęta wojna. Zapisze się wreszcie do Instytutu Języków Obcych, nie jako wolny słuchacz, ale prawdziwy student, i zajmie się przekładami naukowymi, są całkiem nieźle płatne, przecież doskonale zna języki obce, przyznała to przed wojną pewna pani docent, poza niemieckim i angielskim może mógłby wziąć też francuski i wyspecjalizować się w tłumaczeniach symultanicznych, one zapewnią im utrzymanie. A oprócz tego w wolnej chwili mógłby oddać się swej namiętności do literatury i sztuki, pochodzić na kursy, wgłębić w Homera, Szekspira, Dantego i Wergiliusza, studiować sagę o Nibelungach, ale przede wszystkim epos o Gilgameszu, który go tak fascynuje. A ona, ona mogłaby robić, na co będzie miała ochotę, przecież musi być coś, co lubi najbardziej.

– Złotnik. Być złotnikiem to byłoby coś – mruknęła cicho i ukryła twarz w poduszce, jakby to wyznanie ją zawstydziło.

Zdziwił się, skąd taki pomysł, nigdy nie kojarzyła mu się z tym zawodem.

– Dziadek miał mały warsztat, naprawiał biżuterię i zegarki. Ten miniaturowy świat, widoczny tylko przez szkło powiększające w świetle żarzewiałej lampy, od zawsze mnie fascynował. Ten zapach, te narzędzia i nawet to maleńkie pomieszczenie, te ściany obwieszane zdjęciami zachodnich aktorek wyciętymi z tanich gazet wprawiały mnie, małą dziewczynkę, w nieopisaną ekscytację. Godziny spędzone tam z dziadkiem były chyba najszczęśliwszymi godzinami mojego dzieciństwa. Był tylko dziadek i ja, żadnych przeklętych problemów rodziców. On wyjaśniał mi niestrudzenie działanie małych śrubek i opowiadał o naturze kamieni. Któregoś dnia po prostu spadł z krzesła. Po prostu, w jednej sekundzie, z zegarmistrzowską lupą na głowie i złotym pierścieniem w dłoni. Uważam, że to piękna śmierć – zakończyła i zamilkła.

– Więc musisz to zrobić, Soniu! Wyuczysz się tego, masz zdolności manualne, a nie tak jak ja dwie lewe ręce, jesteś zręczna i dokładna, musisz iść na praktykę, dowiemy się gdzie, i potem założysz może własną firmę, kto wie... – mówił z zapalem i pocałował ją w dumnie wyciągniętą szyję.

Sonia zaśmiała się, jakby ją połaskotał, i próbowała zaprzeczać.

– Ach, coś ty, kto by mnie przyjął? Mam zaledwie dziewięć klas, i to tylko na papierze, od ósmej pokazałam się w szkole może z dziesięć razy. Miałam wtedy głupoty w głowie, wiesz przecież.

– Nie było nikogo, kto by cię poprowadził. Masz w sobie za to wielką ciekawość świata, Soniu, i to jest najważniejsze. Porozmawiam z matką i z wujem, oni mają znajomości, dostaniesz tę praktykę i wszystko, co się z nią łączy, a to, co będziesz musiała uzupełnić, zrobimy we dwoje.

Sonia, podniecona, jakby nowe życie miało się zacząć nazajutrz, objęła go i obsypała jego twarz wilgotnymi pocałunkami.

Jakże kochał w niej tę dziecinność, którą zachowała mimo nieokrzesianego otoczenia, w jakim się wychowywała, mimo brutalności, jaka ją otaczała, mimo rozczarowań, jakich starczyłoby na całe ludzkie życie, i mimo czasu spędzonego z dala od niego, Oseska, który z pewnością ją

zmienił i którego ona tak radykalnie zmieniała. Jakże był jej za to wdzięczny!

A teraz, w tym momencie wymuszonym na rzeczywistości, był po prostu szczęśliwy, że rozciągający się pomiędzy początkiem ich wspólnej drogi a chwilą obecną czas, który uczynił go ostrożnym, a Sonię z pewnością twardszą i bardziej cyniczną, nie odebrał jej radości życia, potrzebnej mu do istnienia jak powietrze. Przetrwa wszystko, zacznie z nią nowe życie, które jest winien jej, sobie i marzeniom nagromadzonym przez te wszystkie lata.

„Tak właśnie będzie” – postanowił i spojrzał na skały nad sobą, które osłaniały go przed światem zewnętrznym i które właśnie zaczynały zabarwiać się na czerwono – nad górami wschodziło słońce i wąwóz zaczął napełniać się światłem w kolorze jasnego różu, a potem pudrowego złota. Zaraz musi wracać, musi nastawić wodę na herbatę w kontenerowej kuchni, przygotować pułkownikowi śniadanie, sprawdzić zapasy żywności, wytrzeć podłogę, wypucować oficerki, wyjąć z pułapek myszy, które się w nie złapały... Wstawał dzień. Osesek wstrzymał oddech.

2016/KRUK

Dała sobie czas. Ale przyszła. Wiedziałem od początku, że ona też znajdzie powody i że nie ma żadnego wyboru. W ostatnich dniach żyłem jednak w napięciu. Poza nocnymi dyżurami na budowie nie wychodziłem właściwie z mieszkania. Obłożyłem się książkami, psułem sobie oczy, siedząc godzinami przed komputerem, palce rozboleły mnie od pisania na klawiaturze. O śnie nie było mowy. Chociaż oczy zamykały mi się ze zmęczenia, choć nie rozbierając się, kładłem się na łóżko, od mojej głowy, niczym natrętne moskity, nie chciały się odkleić domysły i przypuszczenia na temat jego planu.

Szukałem punktów zaczepienia, nie mogłem dopuścić, żeby i tym razem wyprzedził mnie o kilka zasadniczych kroków. Nie mogłem niestety pominąć naturalnej przewagi, jaką miał nade mną, ale wszystko, co nierozważne, nieoczekiwane, zaskakujące – a takie rzeczy lubił wprowadzać, żeby mnie zdezorientować i mieć przy tym więcej przyjemności – musiałem przemyśleć, wziąć pod uwagę przynajmniej jako możliwość. Jednocześnie jak refren towarzyszyła mi myśl o tej dziewczynie, która stała się nowym kluczem do dawnej historii, a która zmagala się z sobą i ze wszystkim, co ją czekało, bo ta historia ją przerosła, zanim zdecydowała się w nią w ogóle włączyć.

Ona, w odróżnieniu ode mnie tamtego, zaślepionego poczuciem własnej wartości i powodowanego wielkim zapalem, od razu zrozumiała, że zgoda oznacza wypuszczenie cugli z rąk... A to oczywiście rodziło strach.

Wieczorem, nim zadzwoniła, targał mną niepokój, nie wiedziałem, czy mogę ufać swemu przeświadczeniu, że się odezwie. Był to niepokój pomieszany z paniką: co się stanie, jeśli ona jednak odmówi, jak wtedy zareaguje Generał? Siedziałem na parapecie, popijałem piwo i wpatrywałem się w noc za oknem, serce dziko waliło, z napięcia łapał mnie skurcz mięśni.

Znowu poczułem rosnący cień winy na swoich barkach, czarny i coraz cięższy, czułem, jak moje żebra pękają pod ciężarem, który nosił jej imię – trzy lekkie litery dzielące moje życie na „przedtem” i „potem”. Gdybym mógł wrócić do tego przedtem, do mojej próżni, i nie mieszał się w te sprawy, nawet wiedząc, że się nigdy nie spotkamy, gdybym się trzymał z daleka, szerokim kołem omijał tę historię i jej bohaterów... Tak, to obecne pragnienie było tylko słabym echem mojej litości nad sobą, zupełnie pozbawionym sensu.

I kiedy zapadałem się w sobie pod ciężarem czarnego skrzydła winy, dziwiła mnie zarazem dziwna euforia, jaką czułem od czasu pojawienia się Szapiry – zapewne wywoływała ją świadomość, że będę mógł kontynuować tę przeklętą niedokończoną historię. Ten mechanizm czynił mnie podejrzliwym, mimo to zadawałem sobie pytanie, dlaczego ujawnienie się Szapiry, ponowna perspektywa wplątania się w coś, co nie podlegało kontroli, co żądało ode mnie ofiary i raz już zniszczyło moje życie, nie wywołuje u mnie odruchu ucieczki, dlaczego ja, w odróżnieniu od tej przestraszonej aktorki, nie kieruję się rozumem i kategorycznie nie powiem „nie”, nie zasunę rygla w drzwiach i nie przestanę dopuszczać kogokolwiek w swoje pobliże, by nikt nie mógł mnie wciągnąć z powrotem w ciemną przeszłość.

Przed rokiem byłem pewien, że już nigdy, przenigdy nie dostanę się w szpony Orłowa i że będę unikał wszystkiego, co może mnie do niego zbliżyć. Ale w głębi duszy zawsze chyba czułem, że ucieczka przed nim jest niemożliwa. Od tak dawna odgrywał rolę boga, że ludzie naprawdę zaczęli bić przed nim pokłony, podążać za nim i uważać, że jego złość jest dla nich słuszną karą. Może stałem się po prostu jednym z jego uczniów? Może już w momencie, kiedy zdecydowałem się wejść w jego życie, zrozumiałem, że moją historię mogę opowiedzieć tylko w kontekście jego historii?

Przez całą noc zastanawiałem się gorączkowo, co zrobię, jeśli ona nie zadzwoni. Lecz jednocześnie nie miałem wątpliwości, że niemożliwe jest powstrzymanie czegoś, co już rozpoczęło swój bieg.

Tej nocy miałem sen. Od kiedy ona odeszła, od kiedy jej życie,

nieopowiedziane, nieprzeżyte, niespełnione, załamało się jak zmurszały stopień, śniłem o niej po raz pierwszy. Widziałem ją jak żywą. Miała na sobie szmaragdowozieloną sukienkę, która łagodnie opływała jej wysoką, męską figurę, zawsze tak mnie zachwycającą, bo wyglądała, jakby jej ciało nie znało żadnych praw – ani prawa ciężkości, ani reguł przypisanych płci – jakby istniała tylko po to, by unosić się w powietrzu, fruwać i co kilka tygodni przeobrażać się jak motyl. Jej młodość dała jej ku temu wszystkie potrzebne środki.

Ze snu wyrwał mnie dzwonek telefonu. Kiedy usłyszałem głos aktorki, ogarnął mnie dziwny spokój, jakiego nie odczuwałem już dawno, jakby była to logiczna konsekwencja zdarzeń, jakby wszystko szło ustalonym od dawna trybem. zaproponowałem spotkanie w którejś z pobliskich kawiarni. Wybrała Görlitzer Park. Niedługo potem szliśmy już przez pusty park, osłaniając się przed wiatrem i deszczem jej dużym czerwonym parasolem.

Wydawała się zdenerwowana. Próbowwała się tłumaczyć, jakby chciała usprawiedliwić swoją zgodę na przyjęcie propozycji.

– Ja... ja jestem po prostu... Ach, no dobrze, potrzebuję pieniędzy, moja rodzina potrzebuje pieniędzy... To skomplikowane, w ogóle moje życie to akurat jeden niezły chaos... Nie daję sobie rady z różnymi sprawami... Znasz go i ludzi, którymi się otacza... To nie jest przecież niegroźny człowiek.

Zatrzymała się, patrząc na mnie pytająco. Ręce trzymała w kieszeniach kurtki w kolorze mchu, czarną wełnianą czapkę nasunęła głęboko na czoło. Wyglądała jak małe dziecko, była w niej jakaś nagość i bezbronność, nie przypominała teraz wcale świadomej sobie młodej kobiety, z której biła wyniosłość, siedzącej na ziemi przed klubem z papierosem w ustach.

Spróbowałem ją pocieszyć:

– Ej, Kotka! Mogę cię tak nazywać, prawda? Przecież nie musisz się tłumaczyć. Powiedziałem ci, że z tej sytuacji możesz wyciągnąć korzyść. Zawrzyj z nim umowę na piśmie, zażądaj góry szmalu!

– W ostatnich dniach przeczesywałam internet. Próbowalam dowiedzieć

się czegoś więcej o tej historii. Nie znalazłam prawie nic... Nie wiem, czy mogę w to wejść. W każdym razie ani moja matka, ani moja rodzina za nic w świecie nie mogą się dowiedzieć. Nie wiem, z kim mogę o tym porozmawiać, kogo zapytać o radę. Jasne, moi znajomi powiedzą: wejdź w to, jeśli ten typ, to znaczy ty, ma rację, zarobisz mnóstwo forsy, ułatwisz sobie życie. Ale... dlaczego? Dlaczego on chce wyłożyć tyle pieniędzy, jeśli to wszystko jest takie niewinne? Boję się, że to się nie skończy na tym wideo, a twoja rola w tym wszystkim, *sorry*, wydaje mi się zagadkowa...

Stałam przed nią. Nie mogłam jej powiedzieć, że moja obsesja jest potężniejsza, niż tego chcę, że jest dla mnie ważniejsza niż własne szczęście, ważniejsza niż jej szczęście, że jestem jak nałogowy hazardzista, który wszystko stracił, lecz mimo to nie potrafi się oprzeć ponownej pokusie.

– Możliwe, że żądania przyśle ci nagrane na wideo – powiedziałem nieco speszony i mocniej chwyciłem rączkę parasola. – Ale niekoniecznie. Nie jest człowiekiem, który nie dotrzymuje warunków umowy, wierz mi. Mam swoją teorię, nie wiem, czy słuszną, ale jeśli jest tak, jak myślę, nie będzie wymagał od ciebie wielkich rzeczy. Będziesz musiała poświęcić na to tylko trochę czasu i być dyspozycyjna. Oczywiście, twoje obawy są uzasadnione. Orłow to nie jest miły wujek, który daje coś za darmo. Ale to on potrzebuje czegoś od ciebie, więc zgodzi się na twoje warunki, jeśli sytuacja będzie tego wymagać. Nie jest taki głupi, żeby ryzykować w tak ważnej dla niego sprawie. To prawda, ja sam chcę wykorzystać szansę, którą nagle dostałem. Ale tym razem jestem przygotowany, wiem, na co się decyduję, wiem, jak daleko mogę się posunąć. I mogę cię chronić.

– Przeprowadziłam też śledztwo na twój temat i wiem, że tak nie jest – powiedziała, ruszając przed siebie.

Deszcz przestał padać. Wyszła spod parasola i zdecydowanym krokiem szła naprzód. Teraz znowu panowała nad sobą, jakby jej wcześniejsze wątpliwości zostały splukane przez deszcz.

– Tak? To znaczy jak?

Nie wiedziałem, do czego zmierza.

– Nie wspomniałeś, że byłeś w osobistej relacji z jego rodziną – powiedziała ironicznym tonem i zaczęła skręcać sobie papierosa.

Zdziwiłem się, skąd to wie.

– Tak, masz rację.

– Więc dla ciebie to prywatna sprawa?

Jej głos stał się naraz twardy i podejrzliwy, zmieniać nastrój potrafiła nie tylko na scenie, szybkie wahania jej emocji robiły na mnie wrażenie.

– Pod pewnym względem tak. Ale od lat deptę mu po piętach, od lat zajmuję się jego historią.

– A ona? Czy ona była nieoczekiwanym zwrotem w pisaniu tej historii?

Pytanie było sarkastyczne, zimne. Czułem, że wzbiera we mnie niepoohamowana złość. Kim ona jest, żeby mnie oceniać? Co może o mnie wiedzieć?!

– Zdaje mi się, że rościsz sobie prawo do oceny czegoś, o czym nie masz pojęcia – mruknąłem i dogoniłem ją.

Musiałem się opanować, żeby nie powiedzieć dobitnie, co myślę. Nasze więzy nie były jeszcze na tyle silne, w każdej chwili mogła się obrazić, odwrócić na pięcie i odejść. Muszę się zgodzić na to, że w najbliższych tygodniach, a może miesiącach będę od niej zależny. Muszę wziąć się w garść i sprawić na niej wrażenie kogoś, kto jest w porządku.

– Okej, to mnie nie interesuje. Ale jak byś się zachował na moim miejscu? Szukam w internecie i czytam: jego córka nie żyje, a ta dziewczyna, ta Czeczenka, której zdjęcie wcisnąłeś mi do ręki, została brutalnie zgwałcona i zamordowana. No to co mogę myśleć? Wycofam się z tego, jeśli kryje się za tym jakaś śmierdząca sprawa, wszystko jedno jak, wszystko jedno gdzie, zrozumiałeś?

Głos jej drżał, była wzburzona.

– Chcę, żebyś mu to jasno powiedział – ciągnęła. – Tobie mogę ufać, nie tylko dlatego że wydajesz mi się bardziej sympatyczny niż on i że twoja droga nie jest usłana trupami... W każdym razie w internecie nic o tym nie ma...

Umilkła nagle, jakby zabrakło jej powietrza, jakby nie warto było niczego dalej tłumaczyć. Wyjęła papierosa, spojrzała w niebo i spokojnie spytała:

– Więc jaka jest ta twoja teoria?

Nie kazałem jej długo czekać na odpowiedź, w końcu ostatnio myślałem o tym dniami i nocami, biorąc pod uwagę różne ewentualności i składając w całość rozmaite puzzle.

– Wydaje mi się, że on chce postawić kropkę nad i po tym, co wtedy zdarzyło się w Czeczenii. Często dawał do zrozumienia, że to był punkt zwrotny w jego życiu, taki punkt Archimedes, od którego wzięły początek wszystkie dalsze wydarzenia, działania, decyzje. Nigdy nie wspominał o procesie, który spalił na panewce, wszystkie próby naprowadzenia go na ten temat spęły na niczym, nie, to za mało powiedziane: wszystkie niefortunnie się kończyły, a ja jestem tego najlepszym przykładem. Lecz Orłow nie był w stanie sam zamknąć tej sprawy. Kiedy Ada, jego córka, usłyszała o tym, co się stało w Czeczenii, wprost maniakalnie próbowała wydobyć z niego informacje na temat morderstwa i procesu, chciała poznać prawdę, zmusić go, żeby jej o tym opowiedział. On oczywiście się wzbraniał. I oczywiście jego córka niczego nie pragnęła bardziej niż tego, żeby jej ojciec okazał się niewinny. Przecież sam siebie oskarżył, a ktoś taki nie może być potworem, za którego od tego czasu niemało osób go uważało. Ada chciała, żeby ojciec dowiódł przed nią i przed światem swojej niewinności. W końcu był jej ojcem, a ona go uwielbiała.

Dziwiłem się, że potrafiłem odtworzyć przeszłość z pominięciem ważnych detali, lecz byłem zbyt wielkim tchórzem, by przyznać, że to ja byłem tym, który naprowadził Adę na tę historię, wzbudził w niej tę obsesję, zaraził chorobą, która u niej przybrała tak tragiczny obrót. Że wciągnąłem ją

w tę niebezpieczną grę, bo była mi potrzebna nowa postać.

Zobaczyłem ją przed sobą. Z przerażającą jasnością. Widziałem jej włosy w kolorze pudrowego różu i moją flanelową koszulę w kratę, która była na nią za duża i którą narzuciła na gołe ciało. Wtedy pierwszy raz została na noc w moim nędznym mieszkanku zawalonym zakurzonymi książkami, w tej norze pełnej walających się wszędzie notatek, zupełnie innej od jej stylowego penthouse'u, od luksusu, do jakiego była przyzwyczajona. Byłem niespokojny, bałem się, że to otoczenie zdegraduje mnie w jej oczach. Ale wydawała się zachwycona, czuła się wolna, jej małe stopy niepewnie dotykały zimnej podłogi w przedpokoju, bez przerwy chichotała, jakby wróciła w czasy dzieciństwa.

Nasza bliskość była jeszcze beztroska, nie miała w sobie nic z późniejszego ciężaru i powagi. Teraz najważniejsze było utrzymanie tego związku w tajemnicy, bo oboje wiedzieliśmy, co nam grozi, jeśli jej ojciec odkryje nasze machinacje.

Ja, na przemian śmiejąc się i płacząc, byłem taki szczęśliwy, a mimo to nieustannie łamałem sobie głowę, jak to naprawić, jak jej to wszystko wytłumaczyć, żeby mnie z miejsca nie przepędziła. Szukając sposobu, by się do niej zbliżyć, ani przez sekundę nie pomyślałem, że stanie się moim szczęściem.

Z każdym upływającym dniem coraz mniej możliwe wydawało mi się przyznanie przed nią, że nasze spotkanie nie było kwestią przypadku, lecz wyłącznie skutkiem mojego zawodowego interesu. Nie mogłem odkryć kart i szczerze jej powiedzieć, że najpierw była tylko środkiem do celu, kluczem do pilnie strzeżonego świata jej ojca, zamkniętego przede mną na kilkutonowy rygiel. Niemożliwe było, żebym jej wyznał, iż poruszyłem niebo i ziemię, by się dowiedzieć, że miała bilet do Filharmonii Berlińskiej na koncert, podczas którego miano wykonać *Nocturn op. 60* Benjamin Brittena oraz *III Symfonię Es-dur* Schumanna, bilet nie do łoży, którą zwykle rezerwował jej ojciec, lecz na parterze. Po wielu dalszych zabiegach i telefonach zdobyłem za horrendalną sumę miejsce obok niej, po prawej

stronie. Po prawej, bo krzesło po lewej było już zajęte przez kogoś, kto jej towarzyszył – młodego człowieka, jej krajana, tylko tyle udało mi się dowiedzieć.

Nie wiedziałem, jak mam jej powiedzieć, że dopiero dzień wcześniej przeczytałem coś na temat Brittena, którego żadnego utworu do tej pory nie słyszałem, i że o Schumannie też musiałem sprawdzić kilka informacji, żeby być przygotowany do rozmowy z nią, wiedziałem bowiem, że tak jak jej ojciec jest świetnie obeznana we wszystkich dziedzinach sztuki. Jak miałem się jej przyznać, że naszą rozmowę zaplanowałem i przemyślałem co do minuty i że tygodniami nie robiłem nic innego, tylko zbierałem i studiowałem wszelkie informacje na jej temat, jakie wpadły mi w ręce?! Tym bardziej nie mogłem jej powiedzieć, że wtedy w filharmonii uznałem ją za bogatą, powierzchowną dziewczynę, która miała to szczęście czy nieszczęście, że była spadkobierczynią Aleksandra Orłowa, księżniczką z lodu w jego królestwie, jego porcelanową laleczką, hołubioną, żeby zachwycać, być podziwianą, figlarnie przechylać głowę, mówić szeptem, z wilgotniejącymi oczami słuchać koncertów muzyki klasycznej, w drogich restauracjach wywierać wrażenie świetnymi manierami, być obwieszoną brylantami, spać na płatkach róż i pachnieć wanilią, być przez wszystkich subtelnie uwodzoną, czyli wieść życie, jakie zaplanował dla niej ojciec.

Nie mogłem jej powiedzieć, że zrozumiałem, jaka jest naprawdę, że zburzyła moje wyobrażenia i sądy, że zmusiła mnie, bym porzucił wszystko, co – jak mi się zdawało – wiedziałem o niej do tej pory. I nie mogłem jej powiedzieć, że przestraszyłem się, bo zrozumiałem, że jest pierwszą naprawdę wielką przygodą mego życia. Że patrzyłem w osłupieniu, jak bez żadnych komplikacji i cienia podejrzliwości odsyła jednym spojrzeniem dwóch zwalistych ochroniarzy i zaprasza mnie do swego świata.

Jej towarzysz, przystojny Rosjanin *à la* Lermontow, zapewne doskonale spełniał wyobrażenia Orłowa na temat mężczyzny godnego zająć miejsce u boku jego córki. Wyglądał na wykształconego, uprzejmego, dobrze wychowanego. Miał na sobie świetnie skrojony, potwornie drogi garnitur

i pilnował go, chyba raczej dla wzbudzenia respektu, tylko jeden ochroniarz. Jego twarz wydała mi się znajoma, lecz choć się starałem, nie przypomniałem sobie jego nazwiska. Nie wiedziałem, czyim był synem, lecz byłem pewien, że jego ojciec nie ustępuje w niczym jej ojcu i że to spotkanie zostało zaaranżowane – było spotkaniem dziedziców, potem zaś, jeśli wszystko dobrze pójdzie, nastąpi fuzja obu imperiów, na świat przyjdzie wspaniałe potomstwo i rozkwitnie świetlana przyszłość.

Starał się zrobić na niej wrażenie, był uważny, szeptał jej miłe słowa, ona się uśmiechała i miło odpowiadała na jego komplementy, ale można było dostrzec, że jej zainteresowanie nim ma swoje granice.

W czasie całego koncertu wypatrywałem okazji, by zamienić z nią parę słów i zwrócić na siebie uwagę, lecz na razie nie było to możliwe. Mój rywal o bladej cerze, gęstych ciemnych włosach, delikatnych długich palcach i wyglądzie dandysa – naprawdę mógłby grać Pieczorina w hollywoodzkiej ekranizacji *Bohatera naszych czasów* Lermontowa – był zbyt blisko. Narzucanie się z mojej strony mogłoby przynieść opłakane skutki. Lecz tego wieczoru szczęście się do mnie uśmiechnęło: ona sama zaczęła ze mną rozmawiać. Najwyraźniej znudzona swoim towarzyszem zwróciła się do mnie w środku koncertu z pytaniem, ile jest jeszcze do przerwy. Wykorzystałem okazję i rzuciłem kilkoma powiedzonkami, jednym po drugim, tak że zaczęła się krztusić ze śmiechu.

Kiedy w czasie przerwy Pieczorin znikł w toalecie, puściła do mnie oko i spytała, czy mogę ją wyrwać ze szponów jej strażnika. Znalazła już pretekst, by się z nim pożegnać, mam jej tylko obiecać, że będę na nią czekał na parkingu za filharmonią.

– A więc jesteśmy umówieni? Ale ostrzegam pana: umieram tu z nudów, musi mnie pan rozweselić!

Poczułem, jak pocą mi się dłonie i miękną kolana. Byłem gotów stosować wszelkie triki, nie ominąłbym niczego, by kontynuować z nią rozmowę, lecz że ona sama, bez żadnych zabiegów z mojej strony, tak ochoczo się do mnie

zwróci – na to nie liczyłem. Bo w moim wyobrażeniu miałem do czynienia z rozpieszczoną nastolatką, od niedawna dopiero pełnoletnią, która ukończyła właśnie – zdaje się, z dobrym wynikiem – potwornie drogi Instytut Le Rosey nad Jeziorem Genewskim, gdzie mieszkała w luksusowym internacie. Osiągnięcie pełnoletności zostało sownie nagrodzone: przede wszystkim zdobytą na nowo wolnością i prawem do decydowania o sobie, następnie prawem do posiadania własnych czterech ścian, w tym wypadku niemal trzystumetrowego loftu w Berlinie, z łazienkami z marmuru karraryjskiego, ręcznie kutymi królewskimi żyrandolami z Petersburga i starymi, pięknie odrestaurowanymi kasetonowymi oknami.

Spodziewałem się, że ze zblazowaną miną obrzuci mnie lekceważącym wzrokiem i ukarze brakiem zainteresowania, a po chwili z wyższością odprawi. Zamiast tego podsunęła mi tę niemal lekkomyślną perspektywę ulotnienia się ze mną w środku nocy – z nią, cudownie promienną dziewczyną o różowych włosach, przed którą musiałem udawać, że nie wiem, czyją jest córką.

Tak, jeszcze wiele tygodni później zachwyciłem się jej otwartością, zmuszony porzucić własne lęki i widząc, że podaje mi swoje uczucia jak na srebrnej tacy. Jak, na Boga, miałem powiedzieć jej prawdę? Nie mogłem tego zrobić. Ryzykowałbym utratę najcenniejszego dobra, które zdobyłem – jej zaufania. Wolty, na jakie byłem skazany, by moje kłamstwa nie wyszły na jaw, z każdym tygodniem i miesiącem stawały się bardziej karkołomne, moje argumenty były mniej przekonujące, wątpliwe, niepewne, lecz może po prostu ona chciała mi wierzyć, chciała się ślepo ich trzymać, nie być tylko skutkiem ubocznym mego opętania jej potężnym ojcem, chciała wierzyć, że możliwe jest jakieś „my”.

Prawie godzinę czekałem na coraz bardziej pustoszejącym parkingu, przechadzając się nerwowo i paląc jednego papierosa za drugim. I kiedy już właściwie straciłem nadzieję i zamierzałem wrócić do domu, usłyszałem stukot szpilek na asfalcie i zobaczyłem jej wysoką, kruchą sylwetkę elfa zbliżającą się w moją stronę. Bez Pieczorina i bodyguarda.

Nadeszła moja chwila. Musiałem wykorzystać okazję. Lecz jednocześnie zauważyłem, że czy chcę, czy nie, udziela mi się jej lekkość i podekscytowanie i że nie mogę (a może nie chcę) się temu opierać.

Wzięliśmy taksówkę, która zawiozła nas do baru w piwnicy przy Leipziger Strasse, a potem inną taksówką pojechaliśmy do knajpy z muzyką elektroniczną, gdzie Ada ściągnęła buty i boso szalała na parkiecie i gdzie wypróbowywaliśmy koktajle o dowcipnych i zwariowanych nazwach. Muzyka była głośna, a basy mocne, czułem się młody i swobodny. Nie pamiętałem, kiedy ostatnio tańczyłem, ale gdy pociągnęła mnie na parkiet, rozluźniłem się i dałem się ponieść muzyce. Nie zauważyłem tego od razu, lecz Generał i moja nieopowiedziana historia odsuwały się coraz dalej, rozplływały się w powietrzu, zapomniałem o planie obmyślonym na tę noc na parkingu, planie, który miał służyć przede wszystkim temu, żeby zdobyć jej zaufanie, a potem znaleźć dojdzie do jej ojca. Lecz jej śmiech w moim uchu, jej dzikie ruchy przede mną, jej błyszczące oczy, jej młodzieńcza spontaniczność sprawiły, że poczułem, iż żaden plan nie przeprowadzi mnie pewnie przez tę noc.

Odplłynęliśmy tej nocy, grawitowaliśmy i śmialiśmy się bez powodu, padaliśmy sobie w objęcia, robiliśmy miny i flamastrem malowaliśmy sobie nawzajem fantazyjne wzory na rękach. W pewnym momencie znaleźliśmy się na ławce, zajadając falafele i gapiąc się w światła miasta, które przyćmiły gwiazdy. Dziwiłem się, jak to jest możliwe, że my – dwoje ludzi z różnych epok, jak mi się zdawało, z dwóch różnych światów – siedzimy obok siebie na jednej ławce, ramię w ramię, i zupełnie nie dostrzegamy przepaści, która rozciąga się między nami, jakbyśmy byli parą dobrych znajomych, przyjaciół od przedszkola.

Zaczęło dzień, ona marzła, nie chciała jednak uznać, że noc się skończyła, jeszcze z nią walczyła.

Poszliśmy dalej, podskakując jak dzieci, a moje serce biło coraz szybciej. Musiałem nad sobą zapanować, inaczej groziło mi, że wszystko, nad czym pracowałem, wymknie mi się z rąk. Przecież spędziłem godziny, dni

i tygodnie nad tym, by dotrzeć do jej ojca jakimś podziemnym przejściem, bo bezpośrednia droga została odcięta, a teraz idiotycznym zachowaniem ryzykowałem, że to wszystko stracę. A jeśli Orłow się dowie, jak niebezpiecznie zbliżyłem się do jego córki?

W końcu zdołałem się wywinąć obietnicą ponownego spotkania w niedługim czasie. Zanotowała sobie mój numer telefonu komórkowego. Jeszcze przez chwilę staliśmy w jaskrawym świetle, które sprawiało, że jej włosy nabrały odcienia purpury, i uśmiechaliśmy się do siebie. Nie chciała, żebym odwiózł ją do domu, zgodziła się tylko, żebym zatrzymał dla niej taksówkę. Zanim wsiadła, wspięła się na palce i pocałowała mnie w usta. Potem znikła w szarzejącej nocy.

Po powrocie do domu nie mogłem zmrużyć oka. Dostałem wspaniałą szansę, nie mogłem jej zmarnować.

Przez lata śledziłem Orłowa albo raczej on śledził mnie – tego nie byłem pewien, może zresztą nie miało to znaczenia. Te wszystkie nieudane próby, przygnębiająca bezsilność wobec niemal nadludzkiej mocy mojego przeciwnika, brak perspektyw na pozytywny dla mnie rozwój sytuacji i niezdolność oderwania się od Orłowa, to wszystko mnie ukształtowało, uczyniło innym człowiekiem. Właściwie nie potrafiłem już żyć w normalnych strukturach społecznych – niczym pitbull wgryzłem się mocno w moją historię i nie byłem zdolny się od niej oderwać. „Choćby dziewczyna była nie wiadomo jak miła, nie wolno mi stracić z oczu mojego ambitnego celu” – myślałem tej nocy.

Kilka godzin później zadzwoniła do mnie, proponując spacer. Był to najbardziej nieprawdopodobny spacer w moim życiu. Szliśmy wzdłuż Maybachufer i zachowywaliśmy się, jakby nie obchodziło nas dwóch goryli w ciemnych okularach idących zaledwie kilka metrów za nami ze słuchawkami w uszach i mikroportami przy ustach. W pewnej chwili ona zatrzymała się i powiedziała:

– No co ty, spytaj mnie wreszcie, kim jestem i czemu ci faceci chodzą za

mną jak cienie. Przecież widzę, że chciałbyś to wiedzieć... Mimo wszystko, to wznuszające, że próbujesz nie dać tego po sobie poznać.

– Muszę ci się do czegoś przyznać: wczoraj po powrocie do domu wdrożyłem prywatne śledztwo. Ciekawość wzięła górę. To moja choroba zawodowa, wybaczone, jestem jak myśliwski pies, to część mojego zawodu. Więc wiem, dlaczego ci faceci cię pilnują.

– Dobrze, że to mówisz. Ja zrobiłam to samo. Też wiem, kim jesteś.

Nagle znikła jej żywa ekspresja, pojawiła się powaga i napięcie. Spiałem się, oczekując lawiny, która za chwilę na mnie spadnie i zmiecie moje nadzieje. To przecież inteligentna dziewczyna, wszystko sobie szybko dośpiewa: ja – dziennikarz specjalizujący się w tematyce Europy Wschodniej, ze szczególną słabością do nieformalnych carów przełomu stuleci, ich podejrzanych machinacji i możliwości nieuznających żadnych granic ani zasad moralnych – przypadkowo spotykam właśnie ją.

Może ten spacer był po to, bym usłyszał, że wybiła moja ostatnia godzina i że tym razem zemsta pana ojca będzie miażdżąca.

Ale nie, potrząsnęła chmurą różowych włosów, jakby chciała odpędzić od siebie wątpliwości i przygnębiające myśli, i powiedziała:

– Już dobrze, możesz mi to powiedzieć, nie wezmę ci tego za złe. Wiem, dlaczego wczoraj w filharmonii usiadłeś obok nas.

Wstrzymałem oddech, stężałem.

– To z powodu Arkadija. W porządku, nie zdradzę cię. Mam wyrzuty sumienia, że ci przeszkodziłam i pokrzyżowałam twoje plany. W trakcie koncertu ciągle zerkałeś w naszą stronę, miałam wrażenie, że chcesz go zagadnąć.

Jego? Nic z tego nie rozumiałem. Czy to jakaś gra? Ale nie wyglądało na to. Jej twarz rozjaśniła się znowu i energicznie zaczęła iść naprzód.

– Wymyślę coś, obiecuję, żebyś mógł spotkać się z nim sam na sam – dorzuciła. – Jego rodzice, cała rodzina Bielych, często u nas bywają, to

przyjaciele domu, a Arkadija znam od małego, ale on jest tak nudny, że zasypiam, zanim zdąży otworzyć usta. – Ziewnęła ostentacyjnie, wydając przy tym niski pomruk. – Chcesz z nim zrobić wywiad, i to najlepiej tak, żeby jego ojciec o niczym się nie dowiedział, prawda?

Taki fart! Niemożliwe! To dlatego ten Pieczorin wydał mi się znajomy, z tą niewinną, nieruchomą twarzą, ciemnymi rzęsami i bladą cerą, oczywiście! Był synem Jurija Biełego, króla niklu i miedzi, który pomógł mi w zdobyciu pisarskiego rozgłosu, co wzmogło mój zapał i pociąg do historii Dzikiego Zachodu na wschodzie Europy w latach dziewięćdziesiątych.

Wtedy gdy pisałem książkę, Arkadij był małym chłopcem i nie zasługiwał jeszcze, tak to oceniałem, na moje zainteresowanie. Oczywiście nie miał nic wspólnego z machinacjami swego ojca i jego istnienie w mojej książce ograniczyło się do jednej wzmianki. Gdybym wtedy wiedział, że pewnego dnia to on właśnie otworzy przede mną tę kompletnie nieprzeczuwalną perspektywę, poświęciłbym mu od razu całą książkę.

A jednak, ciesząc się z tego nieprawdopodobnego przypadku, czułem też narastający dyskomfort. Pocieszyłem się myślą, że ona była młodziutką kobietą, a ja człowiekiem dwukrotnie od niej starszym, co wykluczało perspektywę poważnej przyjaźni. Poza tym może byłem tylko chwilową odmianą i niedługo mnie porzuci? Była po prostu dziewczyną o różowych włosach i oderwanych od życia poglądach, miała olbrzymi majątek, za którego powstanie nie była odpowiedzialna, a który na pewno pomnażali adwokaci i administratorzy aktywów jej ojca, była księżniczką z lekką skłonnością do rebelii, lecz na końcu wyjdzie zapewne za swego Pieczorina i wraz z nim stworzy podstawy ekspansji zdemoralizowanego imperium.

Upominałem sam siebie, że muszę pozbyć się tego obcego mi sentymentalizmu i wrócić do dawnego upartego dążenia do celu, ale gdy przyszedłem do domu, jeszcze nie całkiem przytomny po ostatniej nocy i pod wrażeniem najdziwniejszego spaceru na świecie, poczułem się nagle tak młody, jaki nie byłem, mając szesnaście lat, a w piersi zrodziła się potrzeba chronienia wstrząsającej i niebezpiecznej tajemnicy, która od razu nadała

memu życiu zupełnie inny blask.

– Chciała go więc zrehabilitować?

Przecieliśmy park i skręciliśmy w Skalitzer Strasse. Deszcz przestał padać, więc oddałem jej czerwony parasol, który teraz niosła jak aktówkę pod pachą. Kiedy powiedziałem, że córka chciała dowieść niewinności ojca, zachnęła się. Kilka razy pytała, czy uważam, że Orłow jest niewinny. Nie potrafiłem jasno odpowiedzieć, nigdy nie miałem na to zdecydowanej odpowiedzi. Ale zauważyłem, jaki tor myślowy wydaje jej się najbardziej obiecujący, i spróbowałem nim pójść.

– Jej śmierć zmieniła wszystko. Orłow jest przekonany, że ona domaga się jakiegoś zadośćuczynienia, jeśli w ogóle w tych sprawach zadośćuczynienie istnieje. Wprawdzie nie mam pojęcia, jak on je rozumie, lecz wydaje mi się pewne, że coś takiego planuje.

Niezmordowanie mówiłem dalej, przekonywałem, że stąpa po pewnym gruncie, że będę jej pilnował jak buldog i nie pozwolę, by zostały przekroczone jakiegokolwiek granice. Próbowałem dać jej jasny pogląd na sprawę, nie zanedbując przy tym podkreślenia wagi aspektu finansowego, możliwości Orłowa w tym względzie i korzyści, jakie mogłaby z tego wynieść.

Zatrzymaliśmy się przy jakimś kiosku, kupiłem jej i sobie kawę, która okazała się kwaśnawa. Żułem baton müsli, a ona zamilkła.

Opadły mnie wątpliwości. „Jakie mam prawo zapewniać ją, że w tej całej sytuacji będzie bezpieczna?” Gdziekolwiek spojrzałem, widziałem luki, niewiadome, brakujące szczegóły. W ciągu ostatniego roku we wszystkim, co robiłem, dominował smutek, który wyprowadził w pole czas: „jutro” się nie liczyło, było nieważne, bo „teraz” nie miało żadnej wartości. Ale w tej chwili stałem przy kiosku i z zapalem przekonywałem dziewczynę, która dziewczyną już nie była, ale dorosłą kobietą też nie całkiem, przekonywałem w nadziei, że razem popchniemy do przodu coś, o czym myślałem, że już się skończyło. Ona też była zawieszona między przeszłością a przyszłością,

jakby nigdy w gruncie rzeczy nie wyszła stamtąd, gdzie była wcześniej, albo nigdy naprawdę nie doszła tam, dokąd zamierzała. Teraźniejszość nas obojga była dziurawa, blada i kompletnie niepewna.

Spojrzałem na nią. Na tę obcą mi dotąd osobę, która miała się stać kluczem do mojej przeszłości i przyszłości, i nagle wydało mi się, że oboje stoimy w drzwiach jako więźniowie siebie samych, niezdolni, by zrobić krok do przodu lub do tyłu.

– A potem on zobaczył ciebie czy twoją twarz na plakacie i pewnie nagle wszystko jasno przed sobą ujrzał. To był dla niego znak: nadszedł czas, by spełnić wolę córki. Teraz zamierza odnaleźć mężczyzn, którzy byli razem z nim wtedy, podczas tej operacji, chce wyrównać rachunki i z jakiegoś powodu jest przekonany, że bez ciebie to mu się nie uda.

Poczułem, że jeszcze chwila, a ona da za wygraną, ustąpi, podda się – z ciekawości albo z przekonania, że nagle weszła w coś kompletnie odjazdowego, z czego nie zrezygnuje, jakkolwiek miałyby się to okazać niebezpieczne, podejrzane i brudne, bo to nowe wyzwanie może zmienić jej życie, które teraz niesie ją bez celu. Oczywiście pieniądze też były magnesem. Usiadłem na mokrej od deszczu ławce koło kiosku i czekałem na odpowiedź, która miała rozstrzygnąć o moim losie. Ponieważ, jeśli mam być szczery, nigdy, nawet po śmierci Ady, w głębi duszy nie przestałem wierzyć, że ta historia, której więźniem się stałem, jest też moją historią i że muszę opowiedzieć ją do końca.

[1] Strieła-2 (Strzała-2) – radziecki ręczny przeciwlotniczy pocisk raketowy klasy ziemia–powietrze i woda–powietrze.

[2] Sztorm-333 – atak na pałac Tadż-bek, siedzibę prezydenta Afganistanu Hafizullaha Amina, przeprowadzony 27 grudnia 1979 roku przez radzieckich komandosów, którzy dostali rozkaz zabicia głowy państwa. Amin zginął podczas szturm.

[3] W 1995 roku siedmiu rosyjskich biznesmenów – Borys Bierzowski, Michaił Chodorkowski, Michaił Fridman, Władimir Gusinski, Władimir Potanin, Aleksandr Smolenski i Władimir Winogradow – zawarło sojusz polityczny z Borysem Jelcynem. Gazety nazwały ich siemibankirszczyzną, radą siedmiu bankierów, na wzór siemibojarszczyny, rady siedmiu bojarów, która rządziła na Kremlu w okresie smuty (na początku XVII wieku).

[4] Grunewald – luksusowa willowa dzielnica Berlina.

[5] W 1783 roku Katarzyna II wydała manifest włączający Krym do Rosji. Jego zarządcą został książę Grigorij Potiomkin. Gdy kilka lat później caryca wizytowała Krym, Potiomkin, aby zrobić na niej wrażenie, kazał podobno odpowiednio przygotować wsie przy drogach, którymi miała przejeżdżać. Bielono domy, naprawiano płoty, budowano nawet makiety budynków, sadzono kwitnące kwiaty. Chłopi przebrani w porządne ubrania, umyci i trzeźwi wiwatowali na cześć władczyni.

[6] Wahabici – wyznawcy wahabizmu, kierunku teologicznego w islamie stworzonego w XVIII wieku w celu odnowy religijnej. Wahabici wyruszyli na świętą wojnę o ustanowienie państwa muzułmańskiego opartego na prawie islamu i w 1932 roku utworzyli Arabię Saudyjską, w której wahabizm jest obowiązującą doktryną. W latach dziewięćdziesiątych rozszerzyli ją na nowe tereny, głównie na Kaukazie, by wzmocnić tam wpływy polityczne fundamentalistycznych islamistów.

[7] Łubianka – budynek towarzystwa ubezpieczeniowego przy placu Łubiańskim w Moskwie, po rewolucji październikowej przejęty przez służbę bezpieczeństwa, siedziba NKWD i KGB, obecnie zaś Federalnej Służby Bezpieczeństwa.

2016/KOTKA

Śniło jej się podwórko dzieciństwa na Srebrnej w Tbilisi. Podwórko jej babci. W pewnej chwili przebudziła się, usiadła na łóżku, włączyła nocną lampkę. Czowała, że już nie zaśnie. Zaczynało dzień, niebo nabierało barw, jakby ktoś powoli dolewał kolorów. Wypełzła spod kołdry, oczy ją piekły, każdym włóknem ciała czuła gonitwę ostatnich dni.

Jej głowę otaczał dziwny kokon mgły. Przypomniała sobie sen. Była w nim tamta dziewczyna, martwa, lecz sprawiała wrażenie znacznie bardziej żywej od wielu, którzy otaczali Kotkę na co dzień. Niektóre szczegóły snu już się zatarły. O czym marzyła tamta czeczeńska dziewczyna? Jakie było jej życie? Czy była szczęśliwa?

„To nie my jesteśmy nieszczęśliwi” – usłyszała kiedyś Kotka od swojej siostry. Oczywiście Natalia chciała przez to powiedzieć, że to Kotka powinna szukać swego szczęścia. Ale czy chodziło o szczęście? Zanim zacznie się go szukać, trzeba wiedzieć, co się przez nie rozumie i kim się jest. Przez wszystkie te lata Kotka myślała, że wie... Może powinna najpierw, warstwa za warstwą, zdjąć z siebie to, co fałszywe, zrzucić maskę, wiele razy przebyć we własnej głowie tę samą drogę, żeby znaleźć w sobie nieszczelność, która powstała przed kilkoma tygodniami i przez którą coś ważnego uleciało.

Imię dostała po babci, tyle że jej nie miało jednej litery. „Zgubiła się po drodze” – mówiła babcia. Na myśl o babci Kotka się uśmiechnęła, choć jeszcze bladym z niewyspania uśmiechem.

Matka podała jej imię, gdy wystawiano świadectwo urodzenia, ale urzędnik chwiejącego się już radzieckiego imperium miał ważniejszą sprawę na głowie i nie słuchał uważnie albo imię wydało mu się dziwne, w każdym razie opuścił jedną literę i zamiast „Sesilia” napisał „Sesili”. Tina zauważyła pomyłkę dopiero po kilku tygodniach i natychmiast chciała ją skorygować,

lecz babcia powiedziała, żeby dała spokój: widocznie tak miało być, może mała chce mieć własne imię.

Babcia Sesilia była dla niej całym światem – Sesili przybiegała do niej, ilekroć miała kłopoty.

Surowość babci łączyła się z gorącą miłością i oddaniem, a prostolinijność i pragmatyzm zabarwione były szczyptą poezji i sentymentalizmu. Do tego dochodziły rozsądek i sprawiedliwość – jej dwie zasadnicze cechy. Tak bardzo różniła się od swoich dzieci, że aż trudno uwierzyć, że była ich matką.

Sesilia przez całe życie była nauczycielką fizyki i chemii, a do tego przez wiele lat zastępcą dyrektora w jednej ze szkół w Tbilisi, gdzie jeszcze długo po jej odejściu na emeryturę ciepło ją wspomniano.

Była skrupulatna i wystawiając uczniom noty, nigdy nie przymykała oczu na ich niedociągnięcia. Próby przekupienia jej drogimi czekoladkami albo francuskimi perfumami były skazane na niepowodzenie.

Do tego, co niosło życie, podchodziła spokojnie. Może brało się to stąd, że jako miłośniczka nauki na niemal wszystko miała wyjaśnienie. Jej ojciec, znany archeolog, padł w latach trzydziestych ofiarą stalinowskich czystek, dlatego przed nią, córką „wroga ludu”, kariera uniwersytecka była zamknięta. Na wydziale, na którym studiowała, dano jej do zrozumienia, że jej praca doktorska nie zostanie dobrze przyjęta, a bez stopnia akademickiego praca naukowa była niemożliwa. Ale nawet wtedy Sesilia nie opłakiwała zbyt długo straconych możliwości. Swoim życiowym zadaniem uczyniła budzenie w dzieciach zainteresowania jej ukochanymi przedmiotami.

Wyszła za mąż za mężczyznę o piętnaście lat starszego, ilustratora i karykaturzystę, marzyciela i wagabundę, który – gdy wypił parę kieliszków wina, a czynił to regularnie i z entuzjazmem – z wilgotnymi ze wzruszenia oczami recytował wiersze, gwałtownie przy tym gestykulując. Kochała go, chociaż nikt nie potrafił zrozumieć, co łączyło tych dwoje z gruntu różnych ludzi. Nodar był we wszystkim jej przeciwieństwem. Nie umiał obchodzić się

z pieniędzmi, kochał radosną stronę życia i niekoniecznie podzielał poglądy wzorowego radzieckiego obywatela. Za to wspaniale gotował, świetnie opowiadał dowcipy i wygłaszał piękne toasty, a jako mistrz wielodniowego świętowania oraz znany w mieście *tamada*^[1] często był zapraszany na wesela i urodziny.

Sesilia brała swojego Nodara takim, jaki był, nie próbując go zmienić, tylko czasami, kiedy spoczywające na jej barkach wychowywanie dzieci, praca zawodowa i prowadzenie domu nagle przerastały jej siły, żądała od niego bez ogródek, żeby przypomniiał sobie o obowiązkach męża i ojca. I Nodar to robił, przykładowo i z zapalem. Chodził z dziećmi do zoo, żonie kupował kwiaty, zasypywał ją komplementami i pieszczotami, gotował i sprzątał tak, że każda wzorowa gospodyni pozieleniałaby z zazdrości, nawet przywoził żonę z pracy do domu. Wszystko to trwało jednak tylko do najbliższej uroczystości, na którą był zaproszony, potem znów następował czas jałowy, jak Sesilia nazywała tę fazę, gdy Nodar wracał do domu dopiero nad ranem, nierzadko ze śpiewem, któremu towarzyszyły głośne narzekania i przekleństwa sąsiadów, bełkotliwie wyznawał żonie miłość i przeproszał, że niestety, ale wydał pensję co do kopiejki, lecz w następnym miesiącu będzie inaczej. Kolejny miesiąc był jednak podobny... Mimo wszystko Sesilia kochała męża i po jego śmierci też była mu wierna, jakby już dawno pogodziła się z tym, że jej rolą w ich związku jest być motorem, który cały mechanizm nieustannie utrzymuje w ruchu, a rolą jej nieodpowiedzialnego męża jest dostarczanie paliwa. Podobnie jak on jej, tak ona potrzebowała jego i chaosu, który z sobą wnosił – pod tym względem się uzupełniali. Nawet gdy była na niego naprawdę wściekła, potrafił wywołać uśmiech na jej twarzy, tak wzruszająco zapewniał ją o miłości albo strugał wariata i zarażał ją dobrym humorem.

Również kiedy po raz kolejny z powodu braku dyscypliny tracił pracę, a ona była zmuszona pisać błagalne pisma, by dano jej mężowi ostatnią, najostatniejszą szansę, ich małżeństwo było szczęśliwe. Sesilia nigdy, nawet w chwilach największych rozczarowań nie pomyślała o rozwodzie, jakby

naukowo było udowodnione, że oboje mogą być szczęśliwi tylko razem.

Cieszyli się więc szczęściem, które było zapisane w gwiazdach, dopóki los im sprzyjał. Wesoły tryb życia odbił się jednak na organizmie Nodara: krótko przed emeryturą doznał zawału serca, ku zdumieniu lekarzy przeżył go jednak. Zalecono mu pobyt w sanatorium. Ile telefonów, pism z prośbami i prezentów kosztowało jego żonę skierowanie do Gagry na wybrzeżu abchaskim, nigdy się nie dowiedział. Ponieważ Sesilia nie mogła sobie pozwolić na urlop, z ciężkim sercem wyprawiła męża samego, wymusiwszy na nim przyrzeczenie, że będzie się trzymał z daleka od alkoholu i papierosów, nie będzie jadł smażonego mięsa, tylko kaszkę na mleku. Po czułym pożegnaniu i pocałunkach posyłanych już z auta Nodar pojechał do Gagry. Nie wrócił żywy.

W przepisany przez lekarzy reżimie sanatoryjnym wytrzymał dokładnie cztery dni, potem skrzyknął kolegów, którzy śmiertelnie się nudząc, spędzali ze swymi rodzinami urlop w sąsiednim sanatorium. W restauracji słynącej z ryb Nodar kazał nakryć nieskończenie długi stół, przynieść gitarę i urządził biesiadę, którą pamiętano w Gagrze jeszcze długo po wojnie. Zapłacił za nią jednak życiem. Wymusił na losie pożegnalne święto i delectował się nim do ostatniej sekundy.

Wdowa nieraz później mówiła, że patrząc z perspektywy czasu, chwila jego śmierci została dobrze wybrana, jakby Nodar, przewidując, co czeka jego kraj, pożegnał się i odszedł we właściwym momencie.

Nodar odszedł, przyszła wolność, lecz była to wolność krwawa, pachnąca żelazem i dla wielu zbyt trudna, wolność drogo kupiona, bo większość oddała za nią wszystko, co miała, niektórzy – a było ich niemało – także życie.

Po ulicach Tbilisi jeździły rosyjskie czołgi, a nocą czekały głodne bezpańskie psy. Na każdym rogu trwała strzelanina. Wszystko rozsypywało się jak zamki z piasku uderzone nagłą falą, a istniejące wcześniej struktury rozpadały się wskutek anarchii, trwających wiele dni ciemności oraz zimna. Było amerykańskie mleko w proszku, demonstracje i strajki głodowe przed

parlamentem. Niezliczeni politycy kłócili się z sobą, każdy przeświadczony, że to właśnie on jest w tym kraju najlepszy, najsprytniejszy i najbardziej kompetentny w sprawach wywalczonej z trudem niepodległości.

Sesilia nie była już młoda i zdawała sobie sprawę, że jej najlepszy czas minął i że takich jak ona i jej podobnych będzie się odsuwać na boczny tor, ponieważ panowało przekonanie, że należy zapomnieć o przeszłości, by móc zobaczyć przyszłość. Wszyscy mówili, że teraz musi być inaczej, lecz nikt nie wiedział, jak to osiągnąć.

Nadszedł czas jej dzieci i dla Sesilii było nie do zniesienia, że nie może im pomagać, tak jak uważała, że tego potrzebują. Z dwojga jej dzieci waleczna była Ina, zwana też Tiną, natomiast Ilo, starszy od Iny, był jak słaby, chorowity szczeniak, jakby już w brzuchu matki został pozbawiony woli i siły.

Tina od dziecka była pełna pomysłów, co upodabniało ją do ojca, choć na myśl o tym jej matkę ogarniał pewien niepokój, ale zarazem przepełniała ją duma. Tina kochała wolność, była głodna życia, z łatwością nawiązywała kontakty, wchodziła w życie, jakby to była scena, na której chciała lśnić i zbierać oklaski, co mogło – jak w wypadku jej ojca – stać się dla niej pułapką. Pod koniec lat osiemdziesiątych zaczęła brać udział w happeningach coraz częściej organizowanych w Tbilisi i szybko zakochała się w młodym, zwariowanym na punkcie muzyki lekarzu, który bardziej wyglądał na dziwnego artystę niż na poważnego doktora. On się nią zachwycił, a ona straciła głowę – była jak gąbka, która wsysa wszystko, co mówi i co sądzi jej ukochany. A on był aktywny politycznie, często uczestniczył w demonstracjach, kierował różnymi klubami dyskusyjnymi, organizował imprezy związane ze sztuką i marzył o wolnej, demokratycznej Gruzji, gdzie wolno będzie pić colę, nosić lewisy, czytać Bukowskiego, oglądać nieocenzurowane filmy Pasoliniego i cytować Brodskiego. Właśnie taki kraj chciało stworzyć jego pokolenie. Oboje z młodą, naiwną Tiną stale chodzili na demonstracje w sprawie niepodległości, jakby takie miejsca były najbardziej romantycznym miejscem dla świeżo zakochanej pary.

Pewnego dnia Tina zakomunikowała matce, że chce być malarką, i kilka miesięcy później rzeczywiście zdała egzamin wstępny do akademii sztuki. Zawsze chętnie rysowała (gdy była mała, ojciec nauczył ją kilku technik malarskich) i choć brakowało jej dyscypliny, drzemał w niej talent, który – miała nadzieję Sesilia – przyniesie jej szczęście albo – czego Sesilia się obawiała – będzie jej zgubą.

Podczas gdy Tina i jej ukochany chodzili na demonstracje, wierząc w nowy początek, w zachodnią muzykę i moc sztuki, Ilo zaszywał się w domu i na zdobytym na czarnym rynku drogim magnetowidzie godzinami oglądał hollywoodzką szmirę. Świat zewnętrzny powoli przestawał go interesować. Studiował już wtedy inżynierię w instytucie technicznym, lecz Sesilia nie mogła pozbyć się wrażenia, że Ilo robi to tylko dla przyzwoitości, by pokazać rodzinie, że jego zamiarem jest zdobycie poważnego zawodu. I kiedy z powodu strajków głodowych, czołgów na ulicach, braku prądu, krwawo zwalczających się partii, niedziałającej komunikacji, ogólnego paraliżu i wszechobecnej przemocy coraz częściej odwoływano wykłady, Ilo zdawał się z ulgą przyjmować tę sytuację, bo wreszcie nie musiał już niczego nikomu udowadniać.

Tina i jej idealistycznie nastawiony lekarz Rezo wzięli ślub i doczekali się dziewczynki, której ku wielkiej radości Sesilii nadano – abstrahując od jednej zgubionej litery – jej imię.

Nastąpiła inflacja, kartki żywnościowe i niekończące się kolejki po racjonowany chleb. Tłumaczono, że wprowadzony stan wyjątkowy to konieczność nie tylko ze względu na Rosjan, ale i toczące się bratobójcze walki. Płonęły hotele, szkoły, teatry, w biały dzień strzelano do siebie na ulicach.

Dacza w Kojori, kupiona za pieniądze z trudem uskładane z pensji Sesilii, została sprzedana, żeby mogli przeżyć. Srebrne sztuce, adapter, dwa aparaty fotograficzne i kamera filmowa 16 milimetrów, para skórzanych trzewików oraz waza z czeskiego kryształu powędrowały na czarny rynek.

Twarze Tiny i Rezy wyrażały coraz mniej nadziei na nowy początek, na narodziny kraju, który będzie można wspólnie budować i formować jak z gliny. Coraz częściej Tina siedziała w kuchni zalana łzami, przytulona do matki i powtarzała, że jest zmęczona tym całym szaleństwem.

Sesilia zaczęła dawać korepetycje, lecz ponieważ w tych trudnych czasach nikogo nie było stać na porządne opłacanie lekcji, dostawała marne grosze, było to jednak lepsze niż poczucie nieprzydatności, które działało jak powolna trucizna.

Ilo nie robił nic, by wyrwać się z odrętwiałej bierności, i na tym tle ciągle wybuchały kłótnie między matką i synem, między bratem i siostrą. Kiedy obie zażądały, by znalazł wreszcie jakieś zajęcie – w końcu sytuacja dla nikogo nie jest łatwa, powinien wziąć się w garść, powinien pomóc matce, jest młody, ma jeszcze energię – wyszedł ze swego zaciemnionego pokoju, ogolił się i porzucił stan, w którym od miesięcy się znajdował. Nie przyszło mu do głowy nic poza tym, że wyprowadził się z domu i wpadł w objęcia dziewczyny, która kilka tygodni później zgodziła się zostać jego żoną. Ilo wrócił więc do matki w towarzystwie tej młodej, przestraszonej osóбки, studentki filologii, niemającej nie tylko żadnych dochodów, ale i żadnych konkretnych planów życiowych. Lecz w krótkim czasie zdołał ją przekonać, by podjęła pracę jako kasjerka w jednej w wielu powstających jak grzyby po deszczu kooperatyw. On sam siedział w domu ze swoimi kasetami wideo.

Pensja Rezy nie starczała na przeżycie do pierwszego, a na malowanie w takich okolicznościach nie było czasu. Trzeba było myśleć, jak przetrwać, tym bardziej że Tina urodziła drugą dziewczynkę – „kiedy w szpitalu nie było prądu, należy dodać”, jak lubiła powtarzać. Trzeba było iść naprzód, nie wolno było stać w miejscu, oglądać się, zadawać pytań, zastanawiać się, należało po prostu iść do przodu, coraz dalej, słuchać woli przetrwania – w ten sposób można było do wszystkiego się przyzwyczaić, ze wszystkim się pogodzić. Przestały więc być problemem powroty do domu po omacku, gdy miasto bez prądu pogrążało się w ponurych ciemnościach, przestało być problemem wymyślanie codziennie innej potrawy z grochu i mąki, można się

było nawet śmiać, zostawszy obrabowanym przez grasujące bandy, choinkę dało się ustroić strzępkami papieru i przy lampie naftowej czytać najgrubsze książki. Kiedy Sesilia wspominała później tamten okres, dziwiła się, jak jej i jej podobnym udało się go przetrwać.

A potem, kiedy zdawało się, że wszystko minęło, kiedy zdobyto już niepodległość, wtedy to, co narodowe, oficjalnie i uroczyście wyniesiono na ołtarz i uznano za święte. Po siedemdziesięciu latach nie chciano śpiewać *Międzynarodówki*, lecz chciano bronić „interesów narodowych”.

Kiedy wszyscy myśleli, że złe czasy już minęły, przyszły jeszcze gorsze – wojna położyła się na kraju czarnym jak smok cieniem, w powietrzu pachniało siarką, ludzi ogarnął strach przed żywiołem ognia, który zagrażał bydłu, lecz nie znano jeszcze wszystkich konsekwencji nowej sytuacji.

Wojna wtargnęła w końcu do ich rodziny. Pewnego dnia Rezo najspokojniej w świecie oświadczył, że jego obowiązkiem jako lekarza jest jechać na front. Nic nie było w stanie zmienić jego decyzji – ani łzy Tiny, ani prośby rodziców, ani ostrzeżenia przyjaciół. Śmigłowiec, którym miał lecieć, a którym jednak nie poleciał, bo żona uprosiła go na kolanach o odłożenie wyjazdu choć o kilka dni, został zestrzelony, zanim dotarł na linię frontu.

Rezo pojechał więc ciężarówką. Nad morze, na plaże i na pola bitew. Jego osobista wojna trwała pięć miesięcy. To wystarczyło, żeby stał się innym człowiekiem. Chodziły za nim widma, a do rąk kleiła się krew tych, których nie mógł uratować. Siebie też nie mógł uratować, marniał.

Wrócił nie jako człowiek, lecz jako Olbrzym. Mała Natalia nie rozpoznała w tym obcym mężczyźnie swego ojca, zaczęła się go bać. Rezo tracił nad sobą kontrolę, blaszane miski stawały się w jego rękach blaszanym złomem, zamiast przewracać kartki w książkach, wrywał je, krzesło, na którym siadał ciężko i bezwładnie, załamało się pod nim, jakby jego ciało kryło w sobie ciężar, który wchłonął w siebie, ciężar o wadze wielu ton i wobec którego wszystko okazywało się wątłe. Potem ten Olbrzym, który wszystko niszczył, przestał używać mowy. Siedział niemo w kącie i wyglądał przez okno. Kotka

z przerażającą jasnością wspominała popołudnia, kiedy siedział bez ruchu jak posąg i patrzył tak, jakby niczego nie dostrzegał, jakby widział coś, co było poza rzeczami.

Tina pożyczyła pieniądze i założyła małą hodowlę jagniąt na mięso (Kotka zapamiętała ten zapach na zawsze i znenawidziła jagnięcinę). Gotowała czakapuli, jagnięcinę w estragonie, ulubione danie Rezy, z miłością mierzwiła mu włosy, malowała się dla niego, nosiła sukienkę w kropki, w której było jej do twarzy, używała perfum, a kiedy znowu włączyli prąd, nastawiała w radiu stację muzyczną. Chciała, by zapomniał o wojnie. Szeptala mu miłosne wyznania i powtarzała, jakie to szczęście, że wrócił, że znowu jest z nią i z dziewczynkami, wkładała mu do ust cukierki o smaku nugatu (Bóg jeden wie, gdzie je zdobywała), starała się być pogodna (to kosztowało ją najwięcej wysiłku), chroniła go od codziennych trosk: czym palić w piecu tej zimy, za co kupić dziewczynkom buty, skąd dostać mąkę i cukier, kto będzie przez osiem godzin stał w kolejce po chleb... Nie, jej mąż cudem uniknął śmierci i nie miała prawa absorbować go tak przyziemnymi problemami.

Dorośli odgrywali kiepskie przedstawienie, zachowywali się, jakby nie zauważali, że Rezo się zmienił, śmiali się sztucznie i opowiadali marne kawały, kiedy siedział obok, tak jakby miał z nimi coś wspólnego. Tina kupowała córeczkom zabawki i mówiła, że to od taty. Za każdym razem, gdy zniknął na jakiś czas, tłumaczyła, że jest u przyjaciół i pozdrawia swoje dziewczynki. Babcia też brała udział w tej grze, mówiąc na przykład: „Ach, wasz ojciec potrzebuje czasu, by odreagować”. Albo: „Takie przeżycia trzeba przetrwać, to trwa”. Albo: „Bądźcie cierpliwe, tata znowu wróci do formy”. Musiała się troszczyć o dziewczynki Tiny i o syna Ila, spłodzonego w dziwnym małżeństwie i dorastającego w atmosferze wojny między rodzicami. Studentka filologii rzuciła bowiem studia, gdy poznała w kooperatywie solidnych ludzi interesu. Chciała pojechać z synem do Rostowa, gdzie owi ludzie interesu – mężczyźni idący z duchem czasu, aktywni, wietrzący nowe szanse, nie takie niedołągi jak jej mąż, który

całymi dniami oglądał filmy, palił haszysz z podobnie przegranymi kumplami i był na garnuszkach u żony i matki – mieli dla niej lukratywną posadę. Oczywiście te plany były nie po myśli Ila, więc jego żona wystąpiła o rozwód.

Tina próbowała wszystkiego, by uchronić dziewczynki przed demonami, które jej mąż przywlokł z plaż usłanych zwłokami, ale oczywiście jej usiłowania spełzły na niczym. Była tak samo niedoświadczona w obchodzeniu się z kimś, kto zachorował od widoku zabitych, jak wszyscy wokół niej. Morze i martwi trzymali Rezę na uwięzi. Nie pomagały ani zalotne ruchy bioder Tiny, ani jej miękkie pocałunki, Rezo nie wracał do siebie dawnego, nie stawał się na powrót tym, kim był, zanim wsiadł do kamaza wiozącego go w stronę palm i zwłok, których nie mógł przywrócić do życia.

Aż przyszedł dzień, w którym oswobodził swoje auto, ładę 07, nieużywane z powodu braku benzyny, z szarej plandeki i oznajmił rodzinie, że zabiera ją na wycieczkę „jak w starych, dobrych czasach”.

Katastrofa, której udało się uniknąć w ostatniej sekundzie („Czy naprawdę się udało?” – zastanawiała się Kotka, kiedy czasem pozwalała sobie na luksus wspomnienia) i która pozostawiła białą plamę we włosach Kotki, otworzyła oczy Tinie. Uświadomiła jej, że tamta ciężarówka zabrała jej męża na zawsze, a mężczyzna, z którym dzieliła łóżko i mieszkała pod jednym dachem, był kimś obcym, rozbitym wewnątrz na tysiąc odłamków i niebezpiecznym dla niej i dla dzieci.

Zaraz następnego dnia spakowała rzeczy i wyprowadziła się z dziewczynkami na Srebrną, do matki i brata opuszczonego niedawno przez żonę. Od tego momentu istniał dla niej tylko jeden cel: pchać życie naprzód. Tylko w ten sposób ujdzie przed Olbrzymem, który nie na długo zostawi ją w spokoju, bo z pewnością będzie chciał ściągnąć do siebie rodzinę, jedyne oparcie dla swego roztrzaskanego życia.

I wtedy zdarzył się uśmiech losu – nieoczekiwane szczęście, o którym ani

Sesilia, ani Tina nie odważyłyby się marzyć: były profesor Tiny z akademii sztuki zaproponował jej udział w wystawie zbiorowej finansowanej przez Niemcy, połączonej z wyjazdem do Niemiec.

Tina pojechała – i została. Granice niedawno się otwały, Zachód był ciekaw krajów leżących za żelazną kurtyną i łatwiej było zostać przyjętym, a przynajmniej cierpliwie tolerowanym. Tina zapisała się w Berlinie na slawistykę (te studia wydawały jej się najłatwiejsze, wymagano znajomości rosyjskiego i podstaw niemieckiego), dzięki czemu w krótkim czasie otrzymała wizę i zaczęła dorabiać – sprzątanie, praca w Burger Kingu – eksploatując organizm do granic możliwości. Chciała jak najszybciej zdobyć pieniądze i sprowadzić do siebie córki, z którymi rozmawiała co piątek o siódmej wieczór z budki telefonicznej, na co szła połowa dniówki. Rozmowę kończyła zalana łzami. Jechała wtedy do swojej pierwszej i jedynej przyjaciółki, rezolutnej Katii z Moskwy, jednej z niewielu słuchaczek slawistyki, która studiowała, by zdobyć dyplom, a nie jak większość, z powodu wizy.

Sesilia, rozmawiając z Tiną, nie wspominała jej o swym nieustannym strachu i nadludzkim wysiłku, by chronić wnuczki przed zięciem, który często zjawiał się pod drzwiami nocą, pijany w sztok, i żądał oddania mu dzieci. Twierdził, że zostawił je ich matce dziwce jak dwa uliczne kundle. Nawet Ilo, obojętny zazwyczaj na sprawy innych, groził mu, że go zabije, jeśli natychmiast nie odejdzie. Dochodziło wręcz do bijatyk z sąsiadami, bo ci tracili już cierpliwość. Kiedy Sesilia wzywała policję, by usunęła awanturującego się zięcia, policjanci zwykle mówili, że nic nie mogą zrobić – to w końcu ojciec i tęskni za córkami. Sesilia, widząc, że nie może liczyć na pomoc policji, kupiła sprej pieprzowy i postanowiła sama bronić wnuczek.

Upłynął dobry rok, zanim Tina sprowadziła dziewczynki do Berlina. Wynajmowała wtedy jednopokojowe mieszkanie w dzielnicy Neukölln, z podwójnym łóżkiem, które podarował jej niemiecki chłopak Katii, a trzy śpiwory przedstawiła córkom jako „superpościel”. Na poduszkach położyła jajka niespodzianki, lecz dziewczynki nie wiedziały, co z nimi począć. Także

pod innymi względami wielkie powitanie, które Tina przygotowywała tak długo, z drżeniem serca, wypadło inaczej, niż sobie wyobrażała. Dziewczynki przerażał ten nowy świat, odzwyczały się już też od matki i jej żywiołowego temperamentu oraz niezmordowanych prób okazywania wesołości. Perspektywa zamiany ich dotychczasowego domu, przyjaciół, podwórka i babci na obce miejsce, gdzie nikogo nie znały, tylko z tego powodu, że miejsce to oferowało jakies „perspektywy”, nie wydawała im się szczególnie pociągająca.

Do dzisiaj Kotka nie przyznała się matce, że słyszała jej płacz nocą, w pierwszych dniach po ich przyjeździe, kiedy Tina myślała, że córki śpią.

A Sesilia, stawiając czoło życiu, chaosowi, politykom, upływowi czasu, żyła dalej. Żyła i troszczyła się, jak długo miała siły, o swego niezdolnego do życia syna, który tymczasem znalazł sobie nową kobietę, tym razem zaradną, pracowitą właścicielkę kawiarni. Z początku go utrzymywała, w końcu jednak się wściekła i wystawiła jego rzeczy za drzwi.

Sesilia tylko pokiwała głową i przyjęła dwóch kolejnych uczniów. Wiedziała, że nie ma sensu starać się zmienić człowieka według własnych wyobrażeń. Wiedziała, i bardzo ją to bolało, że jej syn od dawna już chowa się przed życiem i że ani ona, ani nikt inny nie wyzwoli go od strachu, strachu przed opuszczeniem kryjówki i wyjściem na światło dzienne, chyba że on sam podejmie taką decyzję.

Starość, którą tak długo starała się ignorować, zażądała jednak swego trybutu i Sesilia zaczęła go spłacać – wprowadzie w ratach, lecz odczuwalnie. Chociaż życie stało się łatwiejsze i stopniowo ustępował mrok ponurych czasów, chociaż miasto migotało różnobarwnymi światłami, choć fasady domów stały się kolorowe, a młodzież znów uwierzyła w nowy początek, czas Sesilii nieodwołalnie mijał. Przez tyle lat nie mogła sobie pozwolić, jak inni emeryci, na spokojne popijanie herbaty, spotkania z przyjaciółkami i układanie pasjansów, plotkowanie o dzieciach i o rosnących cenach żywności, czyszczenie starej biżuterii i pieczenie szarlotki. Musiała żyć co najmniej za troje. Musiała dbać o mieszkanie, choć dom, w którym żyła,

podupadł. Musiała uważać, żeby nie rozluźnić gorsetu, który zmuszał ją, by trwać i być silną. Nadeszły inne czasy, w których nie odgrywała już żadnej roli, ale nie to spędzało jej sen z powiek. Jej największą troską był syn, który marnował życie i w tych nowych czasach też nic nie znaczył. Bardzo ją to bolało, nigdy jednak nie dała mu odczuć, że od dawna rozumie, iż nie jest taki jak większość, która stara się brać z życiem za bary, i zabroniła tego również Tinie, która, dzwoniąc do niej z Berlina, często pomstowała i besztowała ją, błagając, by wystawiła go wreszcie za drzwi, bo tylko wtedy Ilo zrobi coś z sobą. Ale w końcu i ona miękła i po raz kolejny pomagała mu wyjść z tarapatów, w jakie się pakował, kiedy tylko wychodził z domu. „On nie jest temu winien, to są geny ojca, on tak lekkomyślnie obchodził się z pieniędzmi!” – mówiła Sesilia do córki, wstydząc się jednocześnie, że jednemu dziecku zabiera coś, co wciska do ręki drugiemu.

Ale nawet Sesilia, mimo niezłomnej woli, nie potrafiła przechytryć czasu. W pewnym momencie wysokie ciśnienie, bóle stawów i kłopoty ze słuchem nie dały jej wyboru – musiała zredukować liczbę uczniów do dwóch piątoklasistów. A i mieszkanie zaczęło przy każdym kroku skrzypieć i jęczeć. Widząc, że zagraża im ogólna ruina, Ilo zażądał, żeby coś zrobiła, mieszkanie nie może przecież się rozpaść, a jej życie dryfować bez celu. Potem zaś zdecydował, że przejmuje stery.

I naprawdę zbudził się z trwającego tyle lat zimowego snu, chociaż może nie w sposób, jakiego spodziewałyby się matka i siostra. Wykazał się pomysłowością i przedstawił rodzinie plan: jego pierwsza żona, studentka filologii, dorobiła się w Rosji solidnego majątku, potem wyszła za mąż za Greka, który prowadził hotel i restaurację na Półwyspie Chalcydyckim, rozwiodła się z nim, ale przejęła jego interes i wychowała ich, jej i Ila, wspólnego syna, którego on jako ojciec odnalazł przez media społecznościowe. Syn wprawdzie słabo mówi po gruzińsku, ale to wspomniały chłopak i bardzo się ucieszył, że odnalazł go prawdziwy ojciec, z którym matka przed laty tak zdecydowanie zerwała kontakt. W ostatnich miesiącach nawiązała się pomiędzy nimi prawdziwa ojcowsko-synowska więź – tak to

przynajmniej widział Ilo – i teraz będą do siebie regularnie pisać, nawet dzwonić, to przecież wspaniałe.

– Zawsze mi mówiłaś, że powinienem go znaleźć. „Byłych żon masz wystarczająco dużo, ale dziecko tylko jedno”, powtarzałaś stale. Nie cieszysz się?

Ilo spodziewał się euforii, tymczasem Sesilia, siedząc na starej kanapie, patrzyła na niego sceptycznie i badawczo.

– Cieszę, tylko co to ma wspólnego z tym, że chcesz w końcu zrobić coś ze swoim życiem?

– Pojadę do niego.

– Dokąd?

– Do Grecji.

– Po co?

– No przecież właśnie ci powiedziałem! Tam jest Gigi, mój syn, a twój wnuk!

– Skąd weźmiesz pieniądze na wyjazd?

– No właśnie. Wyjazd sfinansuje się sam. Gigi mi napisał, że w sezonie zawsze brakuje im rąk do pracy i że mógłbym się zatrudnić w ich rodzinnej restauracji, jego matka na pewno nie odmówi, gdy ją o to poprosi.

– Ale...

– Nie zaczynaj znowu ze swoim „ale”. Plan jest murowany, wszystko omówione. Zaoszczędzę pieniądze. Będę mieszkał u syna i nie będę musiał płacić za wynajmowanie pokoju. Gigi ma własny apartament i jest menedżerem w hotelu – oznajmił Ilo tak dumnie, jakby to była jego zasługa, że syn ma się tak dobrze. – A najlepsze w tym wszystkim jest to, że w czasie, kiedy będę w Grecji, ty będziesz mogła pojechać do Berlina odwiedzić Tinę.

Pomysł wizyty u córki wcale się Sesilii nie spodobał. Ilo jednak pojechał do Grecji. Chciał zostać tam pół roku i pracując w restauracji, odłożyć

pieniądze na doprowadzenie do porządku przestronnego, lecz dawno nieodnawianego mieszkania z kolorowymi balkonami wychodzącymi na zapuszczone podwórze na Srebrnej. Tbilisi przeżywało prawdziwy boom turystyczny, rynek mieszkaniowy rozkwitł i mieszkanie własnościowe na Starym Mieście było czymś niezmiernie cennym: można je było wynajmować turystom, a samemu przeprowadzić się do tańszego mieszkania czynszowego w innej części miasta, o uboższym „kolorycie lokalnym”. Oczywiście odciażyłoby to jego biedną młodszą siostrę, tę bohaterkę, no i – zdaniem Ila – stanowiło bajeczny pomysł na biznes.

Plan telefonicznie skonsultowano z Berlinem. Tam również pomysł został przyjęty z umiarkowanym zachwytem. Rodzeństwo szybko jednak zgodziło się co do jednego: matka nie może zostać w Tbilisi sama. Kotka pamiętała niekończące się rozmowy telefoniczne, podczas których jej matka tłumaczyła babci Sesilii, że samotne pozostanie w mieszkaniu w Tbilisi w ogóle nie wchodzi w grę.

W końcu Sesilię przekonał argument, że jej pobyt w Berlinie będzie sytuacją przejściową i nie potrwa dłużej niż ważność wizy, a kiedy wiza się skończy, wróci do domu. Tak więc Tina kupiła bratu bilet do Salonik, a matce bilet do Berlina, Sesilia przyjechała z wizytą i... została.

Sesilia nie ruszała się poza Tbilisi od niepamiętnych czasów. Córka odwiedzała ją z wnuczkami, kiedy to było możliwe, ale ona sama nigdy nie była na Zachodzie. W samolocie zaczęła się zastanawiać, jak to jest z tą różnicą między Wschodem i Zachodem, czy istnieje jeszcze między nimi jasno wyznaczona granica, a jeśli tak, to gdzie przebiega.

Od czasów młodości Sesilii państwa powstawały i upadały, wytyczano granice, a potem je przesuwano kosztem wielu ludzkich istnień, ludzie milionami wywędrowywali ze swoich ojczyzn, świat był wstrząsany jak kubek z kostkami do gry, którymi się potem rzuca i nikt nie wie, jak się ułożą i kto okaże się zwycięzcą, a kto przegranym.

W minionych czasach, kiedy władza nie podzielała przekonania, że

podróże poszerzają horyzonty, i zmuszała obywateli do życia w miejscach, które sama im wyznaczyła, udało się Sesilii pojechać do Taszkientu, Samarkandy, Erywania, Baku, Leningradu i oczywiście do Moskwy, była też prawie na Zachodzie, bo raz trafiła jej się z mężem wycieczka do Krakowa. Lecz „prawie” nie całkiem się liczyło. A teraz, w innym systemie, w innym świecie, unosząc się w górę samolotem, widziała swoje rodzinne miasto, które błyskało tysiącem świateł i lśniło jak choinka ubrana w środku lata. Siedemdziesięciokilkuletnia Sesilia zadawała sobie pytanie, jak wyglądałoby jej życie, gdyby nie urodziła się w krwawym imperium, w kraju żarłocznego Behemota, który nigdy niesyty pożerał wszystko, co stanęło mu na drodze, i który jeszcze teraz, wiele lat po rozpadzie imperium, nie chce się przyznać do tego, co robił. Zastanawiała się, czy byłoby inaczej, gdyby się urodziła w demokratycznym kraju, może w królestwie lub republice, albo gdyby wybuchła jakaś rewolucja, która zakończyłaby się zwycięstwem uciskanych. Ale czy coś takiego mogło się wydarzyć? A jeśli tak, to jak ułożyłoby się jej życie? Byłaby szczęśliwsza, bardziej spełniona, miała mniej trosk i nie musiała walczyć z okropnymi wyrzutami sumienia, że staje się ciężarem dla swoich również niespecjalnie spełnionych dzieci? Może zrobiłaby karierę naukową i jej odkrycia przyniosłyby ludzkości jakąś korzyść... Czy wyszłaby jeszcze raz za męża? Jeśli tak, to miałyby wtedy jeszcze inne dzieci. Ale to wydało jej się niemożliwe.

Jak smakuje szczęście w innych miejscach? Jaki jest smak szczęścia na Zachodzie?

Kiedy leciała nad Kaukazem, którego szczyty dotykały chmur, pomyślała o Prometeuszu, o którym opowiadał jej ojciec, gdy była dzieckiem. Było to jedno z niewielu wspomnień o ojcu, jakie miała. Inne dotyczyło dnia, gdy wczesnym rankiem zabrali go z domu, jak miliony jemu podobnych, mężczyźni ubrani na czarno. Nieszczęściem tych milionów było to, że miały pośród siebie potwora, który w pewnym momencie, nie mogąc nasycić głodu, zaczął zjadać własne dzieci.

Pomyślała o promecie, późno wyodrębnionym pierwiastku chemicznym,

który powstał z rozszczepienia jąder uranu. Jego łacińska nazwa *promethium* pochodzi od Prometeusza, którego imię znaczy „przewidujący”. Chciała napisać o promecie pracę doktorską, bo zawsze ją fascynował i przypominał jej postać ojca.

Może wszystko, co się zdarzyło, było logiczne? Może był to po prostu los człowieka, który nie może ująć przed nieuniknionym? I pozostać bez kary, obojętne, czy jest winny, czy nie. Może było to nieuniknione, że na końcu jest się do czegoś przykutym, jak Prometeusz do skały Kaukazu, z orłem, który wyjada wątrobę, z tą różnicą, że ta nie odrasta.

A może był to tylko los ludzi po tej stronie majestatycznego łańcucha gór? Czy ludzie po zachodniej stronie byli niekarani i wolni, mieli prawo do życia według własnych wyobrażeń i nie ściągali na siebie zemsty bogów ani perfidnego drapieżnego ptaka wyjadającego im wątrobę? Nie wiedziała. Wpatrywała się w miękkie chmury, aż ponure myśli zaczęły ustępować.

Zachód (dawny wschodni Berlin też był dla Sesilii w jakiejś mierze Zachodem, jakby Niemcy i socjalizm były pojęciami, które w żaden sposób się z sobą nie łączą) przyjął Sesilię nadzwyczaj dobrze. „Miasto stworzone dla ludzi”, jak je nazywała, urzekło ją natychmiast – ścieżki rowerowe, windy dla niepełnosprawnych, sygnalizacja dla niewidomych na przejściach i strefy pieszych sprawiły, że tylko kręciła głową, dochodząc do wniosku, że los ludzi nie wszędzie jest jednakowy. Im dłużej trwał jej pobyt u córki i dorastających już wnuczek, tym bardziej pragmatyczna i trzeźwo myśląca Sesilia stawała się sentymentalna, melancholijna i refleksyjna. Tamte pracowały albo studiowały, ona chodziła na spacer i zaczynała patrzeć na świat innymi oczami.

Zwiedzała zabytki i robiła wycieczki. Próbowwała się wczuwać w tutejszych równolatków, zgadywać, o czym myśli starsza pani o włosach koloru lila, z pudlem na smyczy, albo inna, na rowerze, w rybaczkach. Ale nie do końca to się udawało. Zbyt mocno tkwił w niej Kaukaz, na którym spędziła większość swego życia, i prawdy tamtego świata – nie mogła tego z siebie wyrzucić, choćby chciała. Miasto było dobre do życia, komfort

niewiarygodny, ludzie okazywali się mili i pomocni, kiedy zdarzyło jej się zgubić w gąszczu ulic, lecz większość tutejszych przywilejów była dla niej nieosiągalna, jakby były one po to, by mogła je zobaczyć, upewnić się, że istnieją, lecz nie dla niej, nie dla ludzi jej pokroju.

Postanowiła, że zwiedzając zabytki, zawsze będzie chodzić schodami, nie wsiądzie do windy, bo ten luksus jej się nie należy. Zawsze będzie ustępować pierwszeństwa autu, nigdy nie uzna, że jako piesza ma jakieś prawa. Nie skorzysta z „aktywności dla emerytów”, jakie podsuwa jej Natalia, bo nie jest do nich przyzwyczajona, przerasta ją, gdyż nigdy nie zdoła odciąć się od Kaukazu, łańcuchów, jakimi była tam spętana, i od orła. Ta świadomość przygniatała ją, nie dawała jej spokoju, odbierała sen, lecz jeszcze bardziej przytłaczające było przeświadczenie, że nie tylko ona była wykluczona z tego komfortu, z tych niezliczonych możliwości, ale i całe jej potomstwo. Zarówno jej energiczna córka, z uśmiechem radząca sobie z trudnościami, jak i zamknięte w sobie wnuczki, wojownicza Sesili i uparta Natalia, też w pewien sposób były tu tylko gośćmi, one również z jakiegoś niepojętego dla niej powodu pozostawały na zewnątrz, jakby stały przy wystawie z nosami przyciśniętymi do szyby i nie potrafiły znaleźć wejścia do środka.

Ani starania Tiny, ani jej apele do córek, by rozweselały babcię, nie dały rezultatu. Było dla nich zagadką, co nagle się stało z zazwyczaj tak rzeczową, niesentymalną Sesilią; jej smutek tłumaczyły sobie tęsknotą za rodzinnym krajem. Tina stwierdziła, że starym ludziom szczególnie trudno zmienić otoczenie i przyzwyczajenia.

Po pewnym czasie Sesilia każdy dzień zaczynała od pytań o Ila. Chciała wiedzieć, czy są od niego jakieś wiadomości. Uchwyciła się nadziei, że syn zaoszczędził już dość pieniędzy, by wyremontować mieszkanie w domu przy Srebrnej, tak podziwianej przez turystów dla jej egzotyki, i przekształci je na hostel, a ona będzie mogła wrócić do ojczyzny.

Ale Ilo nie dzwonił, a jeśli już, to unikał pytań, nie mówił nic konkretnego, a mgliste aluzje i półsłówka nie zwiastowały nic dobrego.

Trzymiesięczna wiza Sesilii miała się wkrótce skończyć, a od Ila nie było żadnych dobrych wiadomości. Sesilia, by wrócić do domu, potrzebowała pieniędzy, i przeżywała męki wyrzutów sumienia, że dała się namówić na ten bezsensowny wyjazd i do tego jeszcze była na garnuszku u córki.

Zapewnienia córki i wnuczek, że nie jest dla nich ciężarem, przeciwnie, jest dla nich najważniejsza na świecie, nie tylko dlatego, że świetnie gotuje, przynosiły skutek odwrotny do zamierzonego.

Dopiero dziesięć dni po upływie ważności wizy matka Tina wyciągnęła z Ila parę informacji. Nie udało mu się stać wzorowym ojcem ani zamożnym człowiekiem. Początkowo mieszkał u syna, ale po miesiącu ich stosunki się ochłodziły. Ilo wolał popijać ouzo, palić haszysz, dyskutować o życiu, niż pracować w restauracji byłej żony, która po długich naleganiach zgodziła się go w niej zatrudnić. Po jakimś więc czasie wylądował tam, gdzie lądował zawsze, dopóki nie nadeszło gorzkie otrzeźwienie: w ramionach jakiejś Greczynki, która zdawała się zachwycona drzemiącym w nim duchem poezji i chętnie rozprawiała z nim o filmach Angelopoulosa. Jeszcze miała do niego cierpliwość, bo działały motyle w brzuchu, jeszcze nie wystawiła go na ulicę, ale ich romans zmierzał ku końcowi. Ila czekał powrót do kraju, tymczasem nie miał na bilet.

Chociaż Tina przekazywała matce te informacje oszczędnie, chcąc ją chronić, Sesilia była wystarczająco mądra, by domyślić się reszty. Cztery dni przed planowanym powrotem – pieniądze na bilet Tina zdobyła, prosząc o wcześniejszą wypłatę w restauracji, w której pracowała – Sesilia dostała wylewu. Tina opłaciła matce pobytowe ubezpieczenie zdrowotne, jednak tylko w podstawowym zakresie, bo wydatki w ostatnich miesiącach zdecydowanie przekraczały domowy budżet, i gdy Sesilia, początkowo prawostronnie zupełnie sparaliżowana, opuszczała szpital, długi Tiny wobec niego wynosiły czterdzieści dwa tysiące euro.

Kotka objęła dłońmi głowę i zastygła w bezruchu. W jej twarzy widoczne było podobieństwo do Sesilii.

Zaczynało się ściemniać, ale szara jesień nie przepuszczała promieni słońca przez warstwę chmur. Światło było rozproszone, niemiłe dla oczu.

Trzeba myśleć o czymś innym, o kimś innym, byle nie spoglądać na to gruboziarniste gazetowe zdjęcie leżące na podłodze koło jej łóżka. Ta twarz... Kotka potarła oczy. Znowu przyjrzała się fotografii, ten przymus zaczynał ją męczyć. Przyjrzała się i w tym momencie zrozumiała, co ją w niej irytowało: nie była to zaskakująca krzepkość, kontrastująca z subtelną postacią dziewczyny przywodzącą na myśl elegijne postacie kobiet z dziewiętnastowiecznych rosyjskich lub francuskich powieści obyczajowych, lecz jakieś nieokiełznanie, coś nieoswojonego, co stało w sprzeczności z całą resztą. (A może było odwrotnie i owo nieokiełznanie stanowiło jądro charakteru dziewczyny, a pozostałe cechy tylko je maskowały?)

„Powinnam zacząć pakować rzeczy i przygotować się do stanu, kiedy człowiek nie ma swojego kąta” – pomyślała Kotka. Uznała to za sensowne zajęcie, które odwróci jej uwagę od wycinka z gazety i wszystkich związanych z nim myśli. Uzmysłowała sobie, że potrzebuje pudeł do przeprowadzki.

Myślami ciągle jednak była przy tamtej dziewczynie. Co z nią robiono? Dlaczego? I dlaczego ta historia piekła ją pod powiekami? Dlaczego akurat teraz pomyślała o babci? Jaki jest związek między jej w połowie sparaliżowaną babcią a tą czeczeńską dziewczyną?

Nie chciała odpowiedzieć, ale odpowiedź nasuwała się sama. Czterdzieści dwa tysiące euro – tyle zażąda. Tak, kwota jest absurdalna, ale ten typ jest obrzydliwie bogaty. Wiking mówił, że Kotka może zażądać wszystkiego i że każde marzenie da się przeliczyć na pieniądze. To chyba była prawda. Czterdzieści dwa tysiące euro za nagranie filmu na wideo. Dlaczego nie? Na świecie żąda się o wiele bardziej absurdalnych kwot za znacznie głupsze usługi.

Dzień, który wstawał nad Berlinem, niósł z sobą szarość. Jesienna wilgoć wciskała się pod ubranie. Kotka zmusiła się, żeby pójść do łazienki, odkręciła

wodę, opryskała twarz, umyła zęby.

Nastawiania klepsydry przy myciu zębów nauczył ją Jonathan, jej pierwsza zachodnia zdobycz. Była tak idiotycznie dumna z tego śmiesznego bubka!

Jonathan był sprężystym blondynem i miał ciało inne niż te, które otaczały ją w dzieciństwie: było to ciało neutralne, gładkie i zdrowe. Sprawiał wrażenie mężczyzny, który jeszcze w wieku sześćdziesięciu lat będzie miał wysportowaną, młodzieńczą sylwetkę, jakby nie podlegał niszczeniu, ranieniu, złym doświadczeniom, jakby życie nie odciskało w nim żadnych śladów. Ona, mając lat sześćdziesiąt, będzie zniszczoną kobietą, jak większość kobiet w jej kraju – życie wyrzeźbi na jej ciele swe historie i zmieni je w swą mapę plastyczną.

Miała wtedy szesnaście lat i wierzyła, że dzięki Jonathanowi zapomni o swym kaukaskim dziedzictwie. Tak, wtedy naprawdę wydawało jej się, że to wspaniałe, mieć u swego boku mężczyznę o imieniu Jonathan, mieszkać z nim w mieszkaniu albo jeszcze lepiej w domu, w którym nie będzie śladu kurzu, będą za to kominek elektryczny i najnowszy model miksera, urlopy w Szwarewaldzie albo w Danii, z labradorem, którego nazwą Lilly, i oczywiście z dziećmi o włosach blond, łagodnymi i chętnie przytulającymi się córeczkami o imionach Marie i Charlotte, tak pięknie międzynarodowych, tak pięknie zachodnich, i wszyscy razem będą chodzić na terapię rodzinną, uważnie siebie słuchać, a w konfliktowych sytuacjach rozpoczynać zdania od: „Kiedy cię słucham, mam poczucie, że...”.

Tak, miała nadzieję, że Jonathan nauczy ją, jak być kimś z Niemiec albo jeszcze lepiej: kimś z Zachodu. Nauczy ją logicznego myślenia, samodyscypliny, prowadzenia wykwintnych rozmów o polityce, w których oczywiście nikt nigdy nikogo nie obraża, nauczy kategorycznego sprzeciwu wobec wszelkiej przemocy, także tej, którą kieruje się przeciwko sobie, nauczy rozwiązywania każdego konfliktu dzięki mądrze wyważonym słowom, nauczy robienia szarlotki z bitą śmietaną, pływania w stałym rytmie i z prawidłowym oddechem, nauczy organizowania atrakcyjnych spotkań

przy grillu oraz weekendowych wypadów nad jezioro, nauczy robienia pysznych kanapek i pakowania ich w *Tupperdosen*, nowoczesne pojemniki do przechowywania żywności, nauczy kastrowania własnych namiętności, jeśli nie pasują do salonów, nauczy być szczerą, pracowitą, prostolinijną, bez żadnych odstępstw, bez wybryków, nauczy innego życia w weekendy, bez zasad obowiązujących w tygodniu, nauczy zapominania się, a potem tym bardziej zacieklego uprawiania sportu, nauczy życia z ciągłymi wyrzutami sumienia, jeśli tylko przypuści się życie trochę za blisko do siebie, nie zabezpieczywszy się jakoś wcześniej, nauczy zdrowego, umiarkowanego odżywiania się, wpoi przekonanie, że jabłko uszczęśliwia tak samo jak porcja tortu bezowego, nauczy spać z mężczyzną bez obiecywania mu wcześniej całego swego życia.

Pocałunki Jonathana były łagodne, wykazywał wiele zrozumienia i pobłażliwości, poza tym lubił wszystko analizować i ciągle jej tłumaczył jej własne zachowanie: „Jesteś taka szybka, bo u was nikt nie zwraca uwagi na dokładność”.

Bardzo się starała do niego dostosować. Chciała, żeby się udało. Ale nie dała rady. Kiedy po raz pierwszy zdarzyła im się sprzeczka i podniosła głos, zauważył, że nie ma powodu do takich reakcji, i poprosił, żeby lepiej panowała nad swymi negatywnymi emocjami. W odpowiedzi warknęła, że nie potrafi, ponieważ to on jest jej negatywną emocją. Spojrzał na nią przerażony, mówiąc, że Kotka potrzebuje terapii. Na co ona, głośniejsze, że nienawidzi tego, jak on z nią rozmawia, nienawidzi jego opanowania, mlaskania przez sen i jego śmiesznych napiwków, a poza tym ma wrażenie, że zawsze musi być głupsza, niż jest, żeby on mógł się dobrze czuć. W końcu wykrzyczała, że jeśli on czegoś nie zrobi, nie odwrzasknie, nie opluje jej, nie potrząśnie nią, nie strzeli drzwiami czy coś podobnego, tylko dalej będzie tak stał i się na nią gapił, to odejdzie. Nie odpowiedział, patrzył na nią bez słowa. Wyszła. Oczywiście nie pobiegnął za nią.

Co to wszystko znaczy? Skąd ta fala wspomnień? Może coś straciła, lecz gdzie miałyby to znaleźć, wytropić, w którym miejscu się potknęła? Miejsce

jej własnej twarzy znowu zajęła inna twarz, twarz zabitej dziewczyny, rysy jej własnej twarzy się zatarły.

Czy mężczyzna o ptasim wyglądzie czatował jeszcze na dole w swoim eleganckim audi, ze wstrętną pewnością siebie czekając, aż ona się zgodzi? A ona? Czy to zrobi? Zgodzi się? Wiedziała, że nie potrafi sobie wyobrazić, jakie konsekwencje mogą wyniknąć z jej „tak”. Wydało jej się oczywiste, że wideo będzie tylko początkiem. I że to nie strach będzie najgorszy, nie presja tego bogatego Rosjanina, którą tak czy inaczej odczuje, tylko to, że się czymś zarazi, tak jak ten samotny wiking o śmiesznym imieniu.

Ubierała się w pośpiechu. Włożyła džinsy, te same co wczoraj, czarny podkoszulek, czarny sweter, odrzuciła włosy z twarzy i wybiegła z domu. Pojechała rowerem do najbliższego marketu budowlanego i do koszyka na zakupy przytwierdzonego do roweru włożyła tyle złożonych kartonów, ile dało się przewieźć. Ruszyła w drogę powrotną do domu, ale nagle zatrzymała się przed drogerią. Zsiadła z roweru, zostawiła kartony w koszyku i jak zdalnie sterowana weszła do środka. Sama nie mogła uwierzyć w to, co robi, ale idąc wśród regałów, wiedziała, że nie zawróci. Długo stała przed rzędem z opakowaniami, z których patrzyły uśmiechające się pseudoseksownie lub też bardziej swojsko, jak dziewczyny z sąsiedztwa, modelki, a napis głosił „kasztanowy brąz” albo „jesienny blond”. Nigdy dotąd nie miała innego koloru włosów niż jej własny, rdzaworudy, do którego pasowały niezliczone piegi na twarzy i plecach. I biała plama u nasady włosów, najtrwalsza pamiątka z jej dotychczasowych przeżyć.

Sięgnęła po ciemny brąz, bo wydał jej się najprawdziwszy i najbardziej odpowiedni. A ponieważ nie miała przy sobie żadnej reklamówki, trzymała potem tę farbę przez cały czas w jednej ręce jak trofeum, drugą ręką prowadząc rower.

Szybko wróciła do domu, zostawiła kartony w przedpokoju i usiadłszy na brzegu wanny, w skupieniu przeczytała instrukcję farbowania włosów.

Przez jakiś czas siedziała z białą, tłustą pianą we włosach przy stole

w kuchni, paliła papierosy i patrzyła w niebo. Znowu poczuła tęsknotę za R., czuła ją w brzuchu, ale powiedziała sobie, że wykarczuje ją z siebie. Teraz tylko chętnie by go spytała, co sądzi o jej obecnym zamiarze, o kroku, jaki chciała uczynić, lecz odpowiedź właściwie знаła. On, który uwielbiał nieproste drogi i kręte ścieżki, oczywiście namawiałby ją, by podjęła wyzwanie.

Skóra na głowie piekła i szczypała od farby. Co z tego wyjdzie? Od kiedy praktykowała *method acting*^[2]? Przez moment była już zdecydowana splukać farbę, lecz powstrzymało ją wspomnienia Maxa, o którym dawno już nie myślała. Max to była jej druga, po Jonathanie, próba wtopienia się w Zachód. Tak, dobry stary Max, który na wszystko patrzył ze spokojem, słuchał reggae, czasem robił sobie skręta z haszyszu i zachwycał się socjalizmem. Całował śmieiej niż Jonathan i nie mówił jej wprawdzie, że powinna iść na terapię, kiedy się denerwowała, ale też nie rozumiał, dlaczego ona w ogóle się irytuje, świat, twierdził, to przecież jedna kupa gówna. Ambicja, tłumaczył jej, jest produktem kapitalizmu i wielka szkoda, że ona nie zachowała w sobie socjalizmu swego dzieciństwa. Słuchała go i myślała, że powinien pożyć sobie kilka miesięcy w ruinach pozbawionego światła i ogrzewania Związku Radzieckiego, bez festiwali, wodnej fajki i jego ulubionych burgerów. Jak by to było, gdyby zamiast zachodnich gum do żucia, dostępnych w wielkim wyborze w każdym kiosku, musiał żuć żywicę, tak jak to robią Gruzini. Jak by to było, gdyby chcąc odwiedzić przyjaciół, musiał przejść przez trzy wojskowe posterunki z czołgami i kałasznikowami. Nic jednak nie powiedziała, lecz następnego dnia wyciągnęła swoje rzeczy z zapakowanej już na drogę sportowej torby – tego dnia mieli wyruszyć autostopem do Hiszpanii.

Potem właściwie nie zdarzyło się nic więcej. A może jednak. Była to decyzja, żeby przenieść zawód na życie i przez jedną noc, jeden tydzień, może przez kilka miesięcy wchodzić w rolę, by w końcu czuć się w niej tak jak w ubraniu, które się lubi. Grać rolę nieskomplikowanej, dynamicznej, współczesnej mieszkanki wielkiego miasta. Kamuflaż był dobry, a rola

sprawiła jej przyjemność, pozwoliła być radosną, lekką, pozbawioną trosk i pozwalała oszukiwać się przez pewien czas, zapomnieć o swoich problemach, wyzwolić się z nich.

Chodziła teraz po domu z tłustą pastą na włosach i przygotowywała się do wyprowadzki, zdejmując książki z regałów i układając je w stosy na podłodze.

Po pewnym czasie poszła do łazienki.

Woda zafarbowała się na brązowo. Skóra na głowie swędziała. Nie miała odwagi spojrzeć w lustro, zamiast tego chwyciła suszarkę, której rzadko używała i która, zakurzona, leżała na półce. Dopiero kiedy wysuszyła włosy – po suszarce wyglądały zawsze jak lwia grzywa – rzuciła okiem do lustra. A w nim była tamta martwa czeczeńska dziewczyna, która chciała opowiedzieć swoją historię aż do końca.

2016/GENERAL

Willa położona była nad jeziorem, ukryta przed ludzkim wzrokiem, za wytwornym wjazdem, pośrodku prywatnego parku, teraz w jesiennych barwach. Przed skromnym domkiem przy wjeździe na posesję siedziało dwóch ludzi z ochrony. Szklana fasada willi stwarzała wrażenie przejrzystości i lekkości. Przejrzystości kontrastującej z systemem najdoskonalszych zabezpieczeń obejmującym dom i całe otoczenie. Nieco dalej, w dół, było prywatne dojsście do jeziora i wąskie drewniane moło zdające się leciutko kołysać nad taflą wody, jakby nic nie ważyło.

Zaraz przy wejściu przywitał ich Szapiro i poprowadził do obszernego, za dnia skąpanego w słońcu salonu połączonego z jadalnią, z którego rozciągał się niezrównany widok na jezioro.

Styl i wyposażenie willi zdradzały wyrafinowany gust właścicieli. Parter otaczał rozległy taras wyłożony szlachetnym drewnem. W głębi skąpanego w kolorach jesieni parku było widać oszklony pawilon, w którym turkusowy basen rzucał na ściany przepiękne refleksy.

Meble były proste, wykonane wyłącznie z materiałów najlepszej jakości. Dom mógłby być własnością jakiegoś światowej sławy dyrygenta albo małżeństwa kolekcjonerów sztuki. Przy urządzaniu willi Jewgienija, żona Generała, miała wolną rękę. Nieomylnie wyczucie stylu i doskonały gust Jewgienii podziwiała nawet jej buntownicza pasierbica. Generał często się zastanawiał, czy ten dom spodobałby się Adzie, lecz odpowiedzią była tylko cisza i w pewnym momencie uznał, że to i tak wszystko jedno. Nowe miejsce zamieszkania miało w ich dotkniętym tragedią życiu rodzinnym znaczenie głównie symboliczne, było znakiem nowego początku. Zarówno Jewgienija, jak i Generał wiedzieli, że chodzi o iluzję wzniesioną z marmuru i żałoby oraz z twardej jak stal szklanej fasady, która miała tuszować niewidoczne

rysy.

Kotka próbowała opanować zdenerwowanie. Szapiro najwyraźniej budził w niej strach: kiedy do niej podszedł, od razu zmieniła się jej postawa – spięła się, schowała głowę w ramionach, jakby chciała wydać się mniejsza, i lekko przekrzywiła ją w lewo, by przez cały czas mieć Szapirę w polu widzenia.

Przywitała się krótko, od razu słysząc było jej rosyjski akcent. Usadzono ich przed kominkiem, na kremowym narożnym komplecie wypoczynkowym. Wkrótce Azja, wierna służąca, podała kawę i rozmaite smakowite ciasta, które Kotce wydały się podejrzane. (Wszystko, co nie łączyło się z przeszłością, to znaczy nie pochodziło z Rosji, budziło jej podejrzania).

Azja, starsza, korpulentna kobieta, pracowała w domu Generała od czasu dzieciństwa Ady i miała niemały wpływ na jej wychowanie, a teraz zarządzała domem i dowodziła całą armią służby. Było oczywiste, że znała wszystkie tajemnice tego otoczonego mrokiem królestwa oraz że dowiodła już swej lojalności we wszystkich możliwych okolicznościach, przez co zapewniła sobie status osoby dla Generała bezcennej, cieszącej się jego bezwarunkowym zaufaniem. Nawet Szapiro w jej obecności okazywał niezwykajne u niego onieśmienie.

Przez chwilę panowało milczenie, słysząc było tylko dyskretne popijanie kawy. Obok Kotki, skupionej i napiętej, siedział Onno. Nagle dał się słyszeć szum radiotelefonu, a po nim stuk psich pazurów na marmurowej posadzce przed wejściem do salonu i po chwili do środka wszedł Generał w asyście barczystego ochroniarza i psów o imionach Szalamow i Bucharin. Generał miał na sobie długi szary płaszcz, mocną szyję owinał ciemnoniebieskim szalem. Oba eleganckie, krótkowłose psy – jeden biały, drugi szaro nakrapiany – z euforią podbiegły ku gościom, by, machając ogonami, ich obwąchać.

Onno poczuł, że zaczyna mu się kręcić w głowie, co oznaczało zbliżający się atak paniki. Psy wywołały w nim nagłe wspomnienia: czuł, że zatapia go fala obrazów i przenosi w inny czas.

Ada i oba psy bawiące się na jakiejś słonecznej łące, gdzieś, nie mógł przypomnieć sobie gdzie. Ada opowiadająca mu o rzadkiej rasie i on, łamiący sobie język i próbujący poprawnie wymówić nazwę: braque d’Auvergne, jej śmiech przy tym. Oni oboje, gdzieś w lesie, dyskutujący o czymś, w towarzystwie obydwu psów, z których jeden nosił imię pewnego pisarza i dysydenta, drugi marksistowskiego polityka i filozofa, droga życiowa żadnego z nich nie była szczególnie szczęśliwa. Pierwszy większość życia spędził w więzieniach, w gułagu i na wygnaniu, a umarł w zakładzie dla umysłowo chorych, drugi padł ofiarą stalinowskich czystek. Na szczęście żadne z tych wesołych zwierząt nie miało o tym pojęcia.

Generał wyrwał go ze wspomnień. Właśnie uścisnął dłoń zaproszonej aktorki i o sekundę dłużej, niż to przyjęte, zatrzymał ją w swojej. Uważnie mierzył ją wzrokiem, jej twarz zdawała się przyciągać jego spojrzenie jak magnes. Onno zauważył drgające leciutko, prawie niezauważalnie, kąciki ust Orłowa.

Dla niej z pewnością nie było to przyjemne, ale nie dała tego po sobie poznać, jakby zaakceptowała już swoją rolę w tym dziwnym, niezrozumiałym spektaklu, nie wiedząc jeszcze, na czym ma ona polegać.

– Wybaczcie mi, przepraszam, to nieuprzejme z mojej strony, że dopiero teraz was witam! – Generał pokręcił głową, jakby chciał zrzucić z siebie jakiś ciężar. – Niczego wam nie brakuje? Może macie jakieś życzenia? Wina, pani Sesili?

Onno powstrzymał mimowolny uśmiech. Zupełnie zapomniał, jak szarmancki i opiekuńczy potrafi być Generał wobec kobiet i jakie na nich wywiera wrażenie.

Kotka odmówiła uprzejmie, nie chciała dać zajrzeć sobie w karty, ciało i skupienie malujące się na twarzy wykorzystywała jak maskę, ale mimo to można było odgadnąć pewne odprężenie, jakby pojawienie się Orłowa coś w niej rozluźniło, może nawet odjęło jej nieco strachu.

– To frapujące, naprawdę... – Generał spojrzał na Szapirę, który milcząco

potaknął. Potem znów przeniósł wzrok na Kotkę. – Proszę wybaczyć, sam nie znoszę, gdy ktoś natarczywie mi się przygląda, a teraz to robię, ale musi pani... Szapiro, przynieś nam, proszę, wino z piwnicy. Lubi pani czerwone, prawda?

Nie czekając na odpowiedź, ciągnął dalej:

– Dobrze, weź sassicaia, to wino będzie odpowiednie na dzisiejszy wieczór.

Szapiro nie odpowiedział, dał jednak znak ochroniarzowi, żeby z nim poszedł, i pozostawił gości pod opieką pana domu, który zaczął rozpalać w kominku.

– Pogodę mamy już prawdziwie zimową, nieprawdaż?

Nagle ten wielki mężczyzna, który zdawał się wykuty z żelaza, zaczął sprawiać wrażenie bardzo opiekuńczego. Przypominał zatroskanego ojca, który bardzo się stara, żeby dzieci nie zmarzły.

Nad kanapą wisiał abstrakcyjny, barwny obraz, w którym trudno było dostrzec coś specjalnego, lecz na pewno kosztował fortunę. Onno szukał oczami innych śladów – fotografii, które mogły zaprowadzić go do Ady, córki Generała, ale mógł się domyślić, że Orłow nigdy nie manifestuje żałoby.

– Doceniam, że odpowiedziała pani na moje niezwykle zwykłe zaproszenie – powiedział Generał, kiedy już rozpałił ogień w kominku.

Po raz pierwszy od momentu swego pojawienia się spojrzął w stronę drugiego gościa i Onno zobaczył w jego oczach wyraźne uznanie i wdzięczność za to, że przyprowadził tu tę młodą kobietę.

– Proszę się nie martwić! Spełnimy wszystkie pani życzenia.

Generał nie chciał mówić o kwestiach finansowych, jeszcze nie. Chciał użyć całego swego uroku, zyskać jej zaufanie, żeby poczuła się dobrze i bezpiecznie, żeby jej strach i obawy zniknęły z każdą minutą, tak że kiedy on zacznie rozmowę na właściwy temat, Sesili nie będzie mieć żadnych

zastrzeżeń.

Szapiro wrócił ze wskazanym winem, a Generał własnoręcznie napełnił trzy kieliszki (nikt nigdy nie widział, by Szapiro pił coś mocniejszego).

Szklaną fasadę willi oświetliły naraz jaskrawe światła dwóch reflektorów, chwilę później rozległ się odgłos zajeżdżającego auta, następnie dał się słyszeć cichy kobiecy głos i na progu salonu stanęła Jewgienija.

Psy rzuciły się do niej z radosnym szczekaniem, ona głaskała je z roztargnieniem, jednocześnie wodząc wzrokiem po gościach. Onno podniósł się i niepewnie zrobił krok w jej stronę. Zatrzymała się przed nim wyraźnie zaskoczona, potem przeniosła swój nieprzenikniony wzrok na męża, jakby oczekiwała od niego bezsłownego, lecz natychmiastowego wyjaśnienia, czego ten człowiek, którego ona kiedyś wyrwała z jego szponów, być może ratując mu życie, tutaj szuka.

Jewgienija wniosła z sobą słodkawy zapach – nie wiadomo, czy był to zapach jej ciała, czy też rzadkich perfum. Miał w sobie coś niezwykle przyciągającego i erotycznego. Lecz o przyciąganiu stanowiła nie sama nuta zapachowa. Onno przypomniał sobie słowa Ady, że jej macocha w każdym, niezależnie od płci, wywołuje lubieżne myśli. Na pierwszy rzut oka żona Generała wyglądała na osobę miękką, przepraszącą, że żyje, delikatną i tak kobiecą, że w jej towarzystwie każdy miał ochotę zamienić się w małe dziecko, które ona weźmie na kolana i przytuli do piersi. Ale było to wrażenie mylące. Jej słowa wypowiedane niemal szeptem (czy w ogóle była zdolna do mówienia innym tonem?), jej leciutki zez, mający w sobie coś hipnotyzującego, jak spojrzenie pytona Kaa z *Księgi dżungli*, oczy, w których aż za dobrze można było przeczuć śmiertelne zagrożenie, a mimo to albo właśnie dlatego chciało się w nich utonąć, jej gibkie ruchy, bezszelestne kroki, niezależnie od wysokości obcasów, dumny dekolt prezentowany niezależnie od pogody, delikatny, empatyczny sposób bycia – to wszystko przyciągało ludzi, jakby Jewgienija miała w sobie magnes. Lecz błędem byłoby się spodziewać, że jest to osóbką niegroźna, zmysłowa, uwodząca i podporządkowana mężowi. Uważny obserwator mógł dostrzec, że pod jej

miękką, uwodzącą maską drzemie drugie oblicze – coś, co niemal się w niej gotowało, co stanowiło przeciwieństwo uległości i łagodności. Jej zewnątrz było miękkie jak kaszmir i moher, a wewnątrz przypominało ostrze noża.

Jak inaczej mogłaby pokochać takiego mężczyznę, jak inaczej mogłaby podążać za nim na jego burzliwej drodze życia, gorąco pragnąc z nim dziecka, którego mimo starań nie mogli się doczekać. (Jewgienija miała za sobą kilka nieudanych prób sztucznego zapłodnienia, których nie chciała więcej ponawiać, bo nie chciała podsycać w sobie daremnej nadziei). Nie była to kobieta, która związałaby się z mężczyzną dla pieniędzy, ponieważ pochodziła z zamożnej rodziny.

To, że kochała męża w sposób głęboki, dla postronnych ukryty, jakby chodziło o uchronienie jej uczucia przed spojrzeniami obcych, czuło się w każdym jej ruchu, w każdym zwróconym do niego słowie. Jego miłość do niej miała w sobie coś opiekuńczego, a jednocześnie naturalnego, niewymagającego żadnych deklaracji czy dowodów. Łączące ich uczucie uwidoczniało się w gestach, w drobiazgach, które odkrywało się dopiero wtedy, kiedy przez dłuższą chwilę mogło się ich obserwować bez przeszkód, co – ponieważ żyli w odosobnieniu – właściwie było niemożliwe.

„Ona jest jak drapieżny ptak, który zanim zaatakuje ofiarę, oczaruje ją, usidli i odurzy. Ale brudną robotę zawsze zostawia jemu”. Onno uważał, że ta charakterystyka macochy, pochodząca z ust Ady, była przesadzona. Przypisał tę bezwzględną ocenę niekontrolowanej zazdrości Ady o żonę ojca. Lecz im uważniej przyglądał się Jewgienii, tym bardziej przyznawał Adzie rację. Jewgienija wydawała się wprawdzie łagodna i zrównoważona, można było odnieść wrażenie, że kocha spokój i rozmyślanie w ciszy, ale czuło się, że coś w niej buzuje, coś ją trawi, tak, było w niej coś z drapieżnego ptaka, co skrywało się w aksamitnych warstwach jej maski i czekało tylko na odpowiednią chwilę, by wybuchnąć.

Jewgienija nie była piękna w klasycznym sensie i nie takiej kobiety można by się spodziewać u boku kogoś takiego jak Orłow. Przeciwnie: była daleka od typu długonogiej blondynki, stale zaabsorbowanej poprawianiem

swego wyglądu. O kilka lat młodsza od męża, niezbyt wysoka, miała figurę zaokrągloną w elegancki, staromodny sposób, przepiękną śródziemnomorską karnację, której zawdzięczała, niezależnie od pory roku, świeży, opalony wygląd, długie kasztanowate włosy, które upinała w mistrzowskie koki albo misternie splatała, jasnobrązowe oczy, długawy, wyrazisty nos i piękne, jakby namalowane usta, których mogłaby jej pozazdrościć każda gejsza.

Jewgienija była kosmopolitką w czasie, w którym to pojęcie piętnowało. Uwidaczniało się to w całym stylu jej życia. A mimo to niekiedy czuło się w niej wielką tęsknotę, a zdarzało się to właśnie wtedy, kiedy sądziła, że jest sama i nikt jej nie obserwuje, jakby brakowało jej miejsca, z którym czułaby się związana w pełni, bez zastrzeżeń. Bo ten jej brak przywiązania do ludzi i miejsca, ta wolność, która z niej emanowała niby złoty pył, zdawały się mieć wysoką cenę.

Była córką niemieckiego dyplomaty i Amerykanki greckiego pochodzenia, urodziła się w Atenach, wychowała w Stambule, a młodość spędziła w Moskwie, gdzie na swej ostatniej placówce pracował jej ojciec – stąd jej płynny rosyjski. Mieszkała w Bonn i w Paryżu, studiowała w Stanach Zjednoczonych, potem trafiła do luksusowej firmy w Monachium zajmującej się wystrojem wnętrz. Tam poznała swego przyszłego męża, wówczas wdowca i ojca nastoletniej córki, planującego właśnie przeniesienie się na stałe na Zachód. Orłow zamówił w jej firmie wyposażenie swego pierwszego niemieckiego domu.

Nieoczekiwane pojawienie się Jewgienii w tym momencie spotkania przyszło w sukurs staraniom Generała, by rozluźnić zaproszonych gości. Atmosfera rzeczywiście momentalnie stała się lżejsza. Jewgienija opanowała irytację, którą wywołał w niej Onno i jego nieznana towarzyszka.

Onno przywołał wspomnienie ich ostatniego spotkania – było już tylko jak zdeformowany, niewyraźny obraz na ekranie migającego telewizora. Nie podziękował jej wtedy, ale też nie miał pojęcia, co mogłoby być właściwą odpłatą za uratowanie mu życia. Bo jednego był pewien: zawdzięczał Jewgienii życie albo raczej to, co z niego zostało.

Jewgienija przyjęła od męża kieliszek wina i spokojnie zaczęła opowiadać, jak minął jej dzień, i o dziwnym kliencie, którego dziś miała. Onno pomyślał, że ta kobieta nie dała sobie w małżeństwie odebrać własnych pasji, co na pewno było zaletą w oczach Ady, która poza tym nie była specjalnie przychylna zaufanym osobom jej ojca, zwłaszcza kobietom.

Jewgienija prowadziła znaną firmę aukcyjną specjalizującą się w starej biżuterii oraz niesłychanie drogich designerskich meblach i zyskała imponujące grono międzynarodowej klienteli, korzystającej również z kontaktów, jakie posiadał jej mąż. Teraz, poruszając się z wdziękiem wśród gości, Jewgienija weszła w rolę perfekcyjnej gospodyni.

– Twoi goście na pewno są głodni, Aleksandrze, ja w każdym razie umieram z głodu, może zjemy wspólnie kolację? – zaproponowała i nie czekając na odpowiedź, wyszła spieszenie z salonu.

Po chwili wróciła w towarzystwie Azji, która wyrecytowała propozycje kolacyjnego menu, zresztą głosem tak monotonnym i rzeczowym, jakby chodziło nie o potrawy, tylko liczby totolotka.

Goście zostali usadzeni przy ogromnie długim stole, a dwóch chłopców w białych koszulach w roli kelnerów serwowało danie za daniem.

– Dzisiaj mamy dzień rybny, mam nadzieję, że lubicie ryby, ale na szczęście jest też coś innego – zapowiedziała Jewgienija i ze swobodą zrzuciła z nóg szpilki.

Siedzieli więc przy wielkim stole, pili znakomite wino i oddawali się przyjemności degustowania wybornych potraw. Na chwilę zapomnieli, kim są, z jakich powodów się tu znaleźli, zapomnieli, że ich obecna wspólnota niezupełnie opiera się na dobrowolności, zapomnieli o lęku, który tkwił w każdym z nich, zapomnieli, że nie wiadomo, jakie słowa mogą paść później, słowa przesądzające o krokach, które zostaną poczynione, zapomnieli o antypatiach, o tęsknotach i zachowywali się tak, jakby uczestniczyli w zupełnie normalnej kolacji, jak ludzie, którzy spontanicznie zdecydowali się spędzić z sobą wieczór. Tylko od czasu do czasu Kotka czuła

lekkie swędzenie skóry i wiedziała, że to z powodu tego obcego człowieka, który raz po raz spoglądał w jej stronę, jakby nie mógł oderwać od niej wzroku.

– Najpierw dokument, który zobowiązuje was do zachowania tajemnicy. Dopóki nie powiem, że sprawa jest załatwiona, żadnemu z was nie wolno pisać ani słowa osobom niewtajemniczonym, nie mówiąc o prasie. Onno, ciebie również poproszę o podpisanie tego dokumentu – oznajmił Generał, nie zaszczycając Onna choćby przelotnym spojrzeniem. – Jeśli ten warunek nie zostanie dotrzymany, umowa, którą z tobą zawrę, Onno, zostanie natychmiast unieważniona. Poza tym niedotrzymanie jej, oprócz obowiązku zwrotu wszystkich poniesionych przeze mnie kosztów, będzie mieć jeszcze inne nieprzyjemne konsekwencje. Dlatego proszę o dokładne przeczytanie tych dokumentów i w razie wątpliwości skontaktowanie się z panem Altmannem.

Ani Onno, ani Kotka nie odważyli się zapytać, co kryje się za określeniem „nieprzyjemne konsekwencje”. Po kolacji i kolejnej butelce czerwonego wina wszyscy przenieśli się do piwnicy, gdzie mieścił się rodzaj męskiego klubu. Stały tam ciemnobrązowe skórzane fotele ze złotymi guzikami dla ozdoby, stary, piękny stół bilardowy oraz szlachetny bar z drewna z olśniewającym wyborem spirytualiów.

Generał palił papierosa i raczył się whisky, Kotka z zaróżowionymi od wina policzkami, z rozpuszczonymi, zmierzwionymi ciemnobrązowymi lokami ogryzała paznokcie.

Starszy, przysadzisty, poważnie wyglądający mężczyzna w okularach, który niedawno przyłączył się do nich i przedstawił się jako Altmann, jeden z prawników pana Orłowa, rozłożył na stole bilardowym stos dokumentów.

– Tutaj jest umowa, w której deklarują państwo gotowość do bycia dyspozycyjnymi do końca tego roku w związku z projektem – powiedział Generał, zaciągając się papierosem.

– Czyli że nieustannie muszą państwo być gotowi do pracy – dodał

adwokat, mierząc Kotkę i Onna przymrużonymi oczami.

– Co to dokładnie oznacza? – zapytała Kotka, niezdecydowanie patrząc na Onna.

– Oznacza to zasadniczo, że nie wiemy dokładnie, jak potoczą się wydarzenia. Może będą potrzebne dokrętki, a może pojawi się konieczność wystąpienia, że tak powiem, na żywo – wyjaśnił Altmann.

– Ale co w tym wypadku znaczy „wystąpienie na żywo”? – dociekała Kotka.

– Sądzę, szanowna pani Sesili – wtrącił Generał – że niepotrzebnie zrobiono pani zamęt w głowie, a mój zamiar, generalnie biorąc, przedstawiono nie dość jasno.

Rzucił zadowolone, cyniczne spojrzenie na Onna. Wstał, podszedł do niej i stanął tuż obok niej, ramię w ramię, opierając się o stół bilardowy.

– Proszę mówić do mnie... nie, proszę nazywać mnie Kotką – powiedziała półgłosem.

– Kotka? Serio? Tak do pani mówią? Dlaczego? Czyżby miała pani, jak kot, dziewięć żyć?

Generał wypuścił kłęb dymu i kąciki jego ust uniosły się lekko. Nie czekając na odpowiedź, mówił dalej:

– Przykro mi, jeśli Szapiro niepotrzebnie skomplikował sprawę, przedstawiając moje zamiary. W gruncie rzeczy to bardzo proste: chcę znaleźć trzech mężczyzn. Łączy mnie z nimi niezbyt radosny epizod z przeszłości. Można powiedzieć, że mamy niezłatwione z sobą rachunki.

Nagle jego głos stał się miękki i aksamitny, łagodny akcent czynił go jeszcze bardziej kojącym i znowu można było się przekonać, jak szarmancki i czarujący bywał Generał i jak szybko potrafił owinać sobie rozmówcę wokół palca. Bębnił teraz paznokciami w szklaneczkę. Szkło lekko dźwięczało.

– Zakładam, że poinformowano panią w ogólnych zarysach, co to był za epizod. Onno na pewno tego nie zaniedbał, nieprawdaż? Zatem, wracając do rzeczy: ci panowie nie będą chcieli się ze mną zobaczyć, dla nich ten rozdział od dawna jest zamknięty. Lecz ja, dzięki pani pomocy, Kotko, wyślę im pewną informację. Przekáže im pani pozdrowienia ode mnie, tak to nazwijmy. Chcę się z nimi zobaczyć. Chcę, by pod koniec roku wszyscy stawili się w określonym miejscu. Chciałbym z nimi porozmawiać. Dlaczego to robię? Dlaczego nie sprowadzę ich po prostu do siebie? To też mogę pani wyjaśnić. Chcę zobaczyć, jak zareagują na moje pozdrowienia. Jeśli nie zareagują odpowiednio albo zgoła wcale, to... ja... przepraszam, podobieństwo, podobieństwo jest naprawdę nieprawdopodobne. Ja... tak, nie jest mi łatwo... Na czym skończyliśmy? A więc, jeśli nie będzie innego wyjścia, trochę im pomogę w podjęciu decyzji o przyjeździe. Ale najbardziej zależy mi na ich reakcji na moje pozdrowienia. Chcę się przekonać, czy po latach przemyśleli swoje nastawienie do przeszłości. Podczas spotkania, które zaproponuję tym trzem, pani obecność również może być pomocna, ale tę opcję zostawiamy jeszcze otwartą. I proszę mi wierzyć, nie będzie pani musiała robić niczego, co będzie pani niemiłe. Daję słowo honoru. To wszystko ujmiemy w umowie. Muszę tylko mieć pewność, że będę mógł rozporządzać pani czasem. Do końca roku pozostało zaledwie kilka tygodni.

– Co się wydarzy podczas tego spotkania? – drążyła Kotka.

– To już nie pani kłopot. Pani zobaczy tych mężczyzn twarzą w twarz, a potem moi ludzie odstawią panią bezpiecznie do domu.

– Gdzie odbędzie się to spotkanie?

– W Czeczenii.

– Słucham?

– Polecimy tam moim prywatnym odrzutowcem. Moi ludzie z ochrony bezpiecznie panią odwiozą z powrotem wraz z Onnem. – Generał rzucił w stronę Onna lekceważące, chmurne spojrzenie. – To także zapiszemy w umowie. Za pani bezpieczeństwo, Kotko, ręczę osobiście.

Kotka zakaszlała kilka razy. Przez chwilę w piwnicy panowała grobowa cisza, a wzrok Kotki wędrował za chmurę dymu, którą wydmuchiwał Generał.

– Gdzie mieszkają ci ludzie? – spytała Kotka.

– Dwóch w Rosji, jeden zupełnie gdzie indziej. Onno złoży im wszystkim wizytę, prawda, Onno?

Wzrok Kotki ciągle był ponury. Generał czuł jej obiekcje, a ponieważ jej twarz mimo jego ciepłego tonu i danych jej wyjaśnień nie rozchmurzyła się, podkreślił raz jeszcze:

– Jeśli tylko będzie pani miała poczucie, że musi zrobić coś, co jest niezgodne z pani zasadami, w każdej chwili będzie się pani mogła wycofać.

– Oczywiście dokumenty mogą państwo wziąć z sobą, zapoznać się z nimi spokojnie i ewentualnie poradzić się jeszcze prawnika – dorzucił Altmann.

– Nalegam na to! – dodał Generał.

Onno przypomniał sobie, że Ada zawsze śmiała się z pedantyczności ojca, mówiąc, że pod tym względem jest zupełnie nierosyjski. Onno też pozwolił sobie na whisky. Po chwili poczuł, jak ogarnia go odurzające ciepło. Naraz usłyszał zadziwiająco zdecydowany głos Kotki:

– Czterdzieści dwa tysiące to jest moja cena!

Mężczyźni milczeli. Słyszać było tylko tykanie zegara. Psy zostały na górze z Jewgieniją i od czasu do czasu słyszało się któregoś z nich, najczęściej jednak czekały w duecie. Odgłosy z zewnątrz docierały tu stłumione i dziwnie zniekształcone, jakby ściany piwnicy odsuwały rzeczywistość poza tym pomieszczeniem w jakąś niepojętą dal.

– Czterdzieści dwa tysiące, dziwna kwota. Dlaczego akurat tyle? – zapytał Generał z ledwie zauważalnym uśmiechem i spojrzał Kotce prosto w oczy, czego wyraźnie unikał w trakcie całego wieczoru, bo jak się zdawało, nie potrafił jeszcze traktować Kotki jako kogoś, kto istnieje oddzielnie

i niezależnie od jego wspomnień i koszmarnych snów.

– Taka właśnie kwota jest mi potrzebna, by uporządkować pewne sprawy – wyjaśniła zwięźle i oparła się o stół bilardowy, stukając palcami w zielone sukno, co było wzruszającą próbą ukrycia drżenia będącego skutkiem jej śmiałości.

– Podobieństwo jest doprawdy frapujące – zamruczał znowu Generał i nagle się podniósł.

– Czy to oznacza, że się porozumieliśmy? – spytała Kotka.

Teraz, kiedy wyjawiała swoje warunki finansowe, nie było już odwrotu.

– A więc jest pani z Gruzji. Piękny kraj. Najbardziej, powiedziałbym, żądny życia na całym Kaukazie – dodał z lekką melancholią. – Byłem w Gruzji bardzo dawno temu. Słyszałem jednak, że tam znowu jest pięknie.

– Zależy dla kogo – wyrwało jej się.

– No tak... Wszystko ostatecznie jest kwestią perspektywy, prawda? Czy nasz pisarz podziela to zdanie?

Spojrzał na Onna z sarkastycznym uśmiechem i stuknął się z nim opróżnioną do połowy szklaneczką.

– Panie Altmann – Generał zwrócił się do prawnika. – Jak pan myśli, czy możemy wypłacić pani Sesili taką kwotę?

Altmann usiadł w fotelu i szperał w swoich papierach.

– Z pewnością, z pewnością – powiedział obojętnie, próbując zmusić się do uśmiechu.

Twarz Kotki rozjaśniła się, jakby sama nie mogła uwierzyć, że udało jej się zrobić taki dobry interes. „Niemożliwe, że poszło to tak łatwo” – mówiły jej oczy.

Onno znał to uczucie, zbyt dobrze pamiętał wrażenie, jakie go ogarnęło, gdy wszedł w ten świat, który większość ludzi zna tylko ze słyszenia, gdy wszedł w ten trudny do wyobrażenia surrealistyczny wymiar, który dla ludzi

zadomowionych w tym świecie był codziennością.

– I oczywiście otrzyma pani pieniądze na wszystko, co jest przewidziane i co nieprzewidziane – dorzucił Generał z zadowoleniem.

Potem wszyscy stali kilka minut na tarasie, patrząc na jezioro w oczekiwaniu na samochód, który miał podjechać, żeby odwiedzić Kotkę i Onna.

Kotka sprawiała wrażenie odprężonej i ożywionej, jakby spadł jej z ramion stutonowy ciężar, i skręcała sobie papierosa. Oddaliła się kilka kroków od grupy, do której teraz dołączył Szapiro, i bacznie lustrowała słabo oświetlony teren. Generał obserwował ją kątem oka. Onno prowadził banalną pogawędkę z Altmannem. Generał ciągle jeszcze był zafascynowany tym, że taka dziewczyna jak Kotka, budząca przerażenie kopia tamtej kobiety z przeszłości, symbol, znak, za którym chciał pójść, naprawdę istnieje. Stale na nią zerkał, upewniając się, że nie znikła i że ten niewiarygodny przypadek nie jest tylko wytworem jego fantazji, że to nie fatamorgana w kobiecej postaci.

Zerwał się lekki wiatr, wprawiając w drżenie żółtobrunatne listowie. Generał podszedł do Kotki.

– Czy słyszała pani, że w krajach, gdzie występują pustynie, wiatry mają swe nazwy i przypisuje im się określone cechy? – zapytał.

Zwracał się do niej z dystansem i uprzejmie, jak było w jego naturze, kiedy czuł do kogoś sympatię albo czegoś od kogoś oczekiwał. Nie odpowiedziała, dała mu tylko do zrozumienia, że słucha uważnie.

– Na przykład chamsin, jak nazywa się go w krajach arabskojęzycznych, co oznacza „pięćdziesiąt”, bo przez tyle dni wieje tam w ciągu roku. Jego głos jest głosem bazarza opowiadającego różne historie: usypia, uwodzi, chce się przy nim zamknąć oczy i słuchać go przez całą noc. Albo samum, jak nazywają chamsin w Izraelu, gorący wiatr pustynny z Afryki, który przynosi drobny piasek z Sahary aż na wschodnią część Morza Śródziemnego. Jest niemożliwie gorący i ludzie dostają duszności. Tak, chamsin jest wiatrem kapryśnym, tłumaczył mi raz pewien Beduin, wiatrem, który głaszcze skronie

i uwodzi, jest nieprzewidywalny jak kapryśna dziewczica. W czerwcu, kiedy szaleje chamsin, zaleca się zachowywać łagodność i opanowanie, inaczej można go rozsierdzić, a wtedy sprowadza długotrwałą suszę i klęskę nieurodzaju.

Nagle zamilkł. Kotka nie wiedziała, do czego zmierza, ale nie miało to znaczenia. Za fasadą z kamieni i złota, z potęgi i nieprzystępności, z pogardy i opanowania kryło się coś chorego i spragnionego. Poczwała budzące się w niej współczucie. Ten mężczyzna był bardzo wysoki i trzymał się prosto, niemal nienaturalnie prosto, jakby nigdy w życiu przed nikim się nie schylał. Znieruchomiała pod jego spojrzeniem. Było to nieoczekiwane miłe uczucie, które jednak na ułamek sekundy przejęło ją lękiem.

Odgłosy dochodzące z domu, inni wokół – wszystko rozplynęło się w grzaskie tło. Był tylko ten mężczyzna i tamta dziewczyna, którą on w niej widział. I jezioro. Czwała, że coraz łatwiej jest jej wejść w tę rolę. Nawet jeśli byłoby w tym coś więcej niż tylko proste jej odegranie. Nawet jeśli przekraczało to jej wyobraźnię, chciała zobaczyć wszystko, co widział w niej on. Chciała zanurzyć się w tę głębię, dowiedzieć się, co kryło się na dnie.

Pójdzie za tym obrazem. Za ciemnymi włosami tamtej. Za jej czarno-białą fotografią.

Choć sama przed sobą nie chciała się do tego przyznać, poczuła ulgę, odkąd przefarbowwała włosy. Nagle się ucieszyła, że nie musi być sobą. Most, który prowadził w ciemność, okazał się krótki i prosty. I był wdzięczną alternatywą dla wszystkiego, co właśnie ją otaczało, a zwłaszcza dla tego, co jej już nie otaczało. Czekwała, że Generał doda coś jeszcze, chciała go słuchać, bo kiedy mówił, nie dawało jej spokoju pytanie, czy ktoś tak obyty jak on, typ intelektualisty, był w stanie zgwałcić i zabić. Lecz w tym momencie Onno, mężczyzna o wyglądzie robota, o nienaturalnie szerokich plecach, dał jej znak, że samochód już czeka i że muszą wracać do domu. W jej sfatygowanym skórzanym plecaku tkwiła przezroczysta teczka z dokumentami – podpisała je, tym samym rozpoczynając grę. Grę, której reguł nie znała.

2016/KOTKA

Stół ugiął się od potraw. Tina jak zwykle przygotowała wszystkiego za dużo, a zmęczenie zamaskowała grubą warstwą makijażu: usta pociągnęła jaskrawoczerwoną szminką, orzechowe oczy obrysowała czarną kredką kajal. Kiedy brała w ramiona swoją starszą córkę, uśmiechała się szeroko. Przyszli wszyscy – uchodźcy i wypędzeni, i ci, którzy szukali tu szczęścia, ostatnie egzemplarze jej gatunku, ludzie tak jak ona tkwiący między epokami i światami.

Odmłodziła się o dwa lata i Kotce wydało się to tak głupie, że o mało nie parsknęła śmiechem, kiedy matka w kuchni szepnęła jej do ucha, żeby, gdy będzie liczyć świece na torcie, nie stroiła min, bo „tak trzeba”.

Oczywiście zrobiła to wszystko dla tego bezrobotnego wałkonia o głupim imieniu Pako, który, jakby zawsze był gospodarzem tego domu, zajął miejsce u szczytu stołu.

Kotka wręczyła matce kryminał zawinięty w błyszczący czerwony papier – Tina lubiła kryminały – i złożyła jej życzenia po gruzińsku.

– Coś ty zrobiła ze swoimi włosami?! – wykrzyknęła, kiedy przyjrzała się wreszcie córce.

– To do roli. Odrosną.

– Nie pasują do ciebie. Jesteś ruda z natury i to jest twoja cecha charakterystyczna, w tym twoim teatrze powinni to rozumieć.

Kotka chciała coś odpowiedzieć, ale matka oddaliła się już do gości, więc poszła do kuchni, gdzie Natalia ze zniecierpliwionym wyrazem twarzy, żując gumę, męczyła się z jakimś ciastem. Paznokcie miała pomalowane na zielono. Kotka pocałowała ją lekko w policzek i stanęła obok niej. Nie boczyły się już na siebie po ostatniej kłótni. Usiadły razem przy stoliku

i zaczęły, jak kazała Tina, wyrabiać ciasto na placek z serem na ostro.

– To Gruzin. Nie mogę tego pojąć! – westchnęła Natalia i wydmuchała ogromny różowy balon z gumy. – Przyjrzałaś mu się dokładnie? Nie wiem, gdzie matka takich wynajduje: obleśny dziad, na kilometr czuć go nieudacznikiem, każdy idiota to widzi, tylko nie ona. Pako! Co to w ogóle za imię?! Piłkarz czy co?

Wyrzucała z siebie słowa, jakby strzelała z kałasznikowa. Inaczej niż jej gruziński, w którym z biegiem lat pojawiły się obce brzmienia i który od razu porzucała, gdy matka wychodziła z pokoju, jej niemiecki był o wiele pewniejszy i przede wszystkim tempo, w jakim mówiła, było tempem turboodrzutowym. Siostry dzieliła różnica trzech lat, ale czasami Kotce się zdawało, że jest starsza o dekadę. Mimo że życiowe decyzje Natalii irytowały ją i oburzały, mimo gwałtownych kłótni, jakie im się zdarzały, obelg, którymi się obrzucały, wiązała je ślepa siostrzana miłość, która nie pozwalała im się od siebie oddalić i dawała najsilniejsze oparcie, jakie miały w życiu.

Kotka słuchała, jak Natalia wyzłośliwia się nad nowym gachem matki, i po raz pierwszy od tygodni poczuła się nieco pewniej, jakby dopiero tutaj, w tej kuchni, dotarło do niej, gdzie jest jej miejsce. Ale nie mogła tkwić tu wiecznie, grożąc światu palcem jak Natalia.

Mimo że były tak różne w swoich decyzjach, w sposobie postępowania i myślenia, istniała między nimi głęboka łączność, silniejsza od dzielących je różnic. Były dla siebie najprawdziwszym lustrem, w którym mogły się przejrzeć i rozpoznać, bez zastrzeżeń, bez upiększeń, odsłonięte, jednoznaczne, niczego nieudające. Jak dwa dzikie zwierzęta z dżungli, które nauczyły się sztuki przetrwania w cyrku i grały na arenie istoty poskromione, podążając posłusznie za poleceniami tresera i wykonując przed rozbawioną publiką wyuczone numery, stały naprzeciw siebie i obie jednocześnie zdawały sobie sprawę ze swojego kamuflażu. Jak dwa dzikie zwierzęta, które w głębi serca stale się boją, że któregoś dnia stracą nad sobą panowanie i przegryzą treserowi tętnice szyjne, by uciec z kolorowej klatki i z jaskrawej areny i wrócić do ciemnej, tajemniczej dżungli, za którą nigdy nie przestały

tęsknić.

Lecz w odróżnieniu od matki i babci, w odróżnieniu od zaproszonej na urodziny całej tej czeredy wiecznie szukających i nigdy nie znajdujących, obie siostry wiedziały aż za dobrze, że oglądając się za siebie, trudno iść naprzód, choć i im nie był obcy sentyment za przeszłością.

Mimo niemal fizycznie odczuwalnej więzi z Natalią Kotka nie mogła zdobyć się na to, by opowiedzieć jej o zabitej dziewczynie, o swoich snach, w których granica między nią a jej nową bliźniaczką była tak płynna, nie potrafiła opowiedzieć jej o swoim życiu, o dopiero co spakowanych pudłach, o dziwnym spotkaniu z rosyjskim miliarderem i o górze forsy, którą miała dostać za pewne wideo. Nie mogła jej opowiedzieć, że od czasu rozstania, które nie okazało się rozstaniem, nie wie, gdzie jest jej miejsce. Że błąka się po świecie, z każdym dniem tracąc własny ciężar. Nie potrafiła jej opowiedzieć, że poprosiła dziennikarza-wikinga, żeby przysłał jej materiały na temat zamordowanej dziewczyny i procesu jej zabójców, że z tych wszystkich wycinków stworzyła wokół swego łóżka mur, za który coraz częściej ucieka. Że coraz rzadziej wychodzi na ulicę, a świat zewnętrzny coraz bardziej się od niej oddala. Nie była w stanie opowiedzieć, że nie może pozbyć się wrażenia, że w jej własnym świecie zegary też zaczynają chodzić do tyłu, jak w świecie gości z urodzinowego przyjęcia matki, żyjących w stworzonej przez siebie równoległej rzeczywistości mającej niewiele wspólnego z realiami. Nie mogła jej opowiedzieć, że zaczęła odgadywać marzenia zabitej dziewczyny, że intuicja podpowiada jej, jaki był ulubiony kolor tamtej, jakie lubiła książki i filmy, jakich potraw nie znosiła, o czym marzyła, jaka była w swoim krótkim życiu. Nie mogła zdradzić Natalii, że od kiedy oddała swą przestrzeń tamtej dziewczynie i sama znikła w jej cieniu, lżej i łatwiej przychodzi jej znosić własne życie. Ma przecież naturę kota, a koty mają dziewięć żyć. Jedno już straciła, a kolejne chętnie oddałyby innemu duchowi.

– Co to za rola, że ufarbowałaś sobie włosy?

Głos Natalii wyrwał Kotkę z zamyślenia.

– Casting, duża sprawa, ale nie sądzę, że mi się uda...

– Aha. Telewizja?

– Tak. Wielki rozmach, duże środki.

Mimo wszystko nie było to zupełne kłamstwo, raczej półprawda, której powiedzenie przyniosło jej ulgę.

Z dużego pokoju dochodził rozgwar w różnych językach. Prawie wszyscy tam obecni wyjechali ze swej ojczyzny w poszukiwaniu lepszego świata, z poczuciem, że nienawidzą tego, w którym tkwili dotąd. Przeklinali go, nie chcieli mieć z nim więcej do czynienia, byli na mur-beton przekonani, że opuszczają go na zawsze. A jednak, przybiwszy do nowego brzegu, pracowicie budując nowe życie, z trudem dokładając jedną cegielkę do drugiej, zauważyli, że tęsknią do piekła, które zostawili za sobą, wyjeżdżając. Bo to piekło wprawdzie nadal śmierdziało smołą, ale było ich piekłem – znali w nim każdy kąt, a otoczeni czującymi tak jak oni towarzyszami niedoli byli królami w swym upadłym królestwie. Za to w nowym życiu, daleko od dawnego domu, byli tylko obcymi, uchodźcami, emigrantami, dziećmi znienawidzonego socjalizmu. W młodości handlowali na czarnym rynku zachodnimi płytami i tęsknili za kapitalizmem jak ratunkiem, którego upatrywali w magnetowidzie i w nielegalnych projekcjach filmów z kaset wideo, organizowanych wieczorami niczym rewolucyjne, konspiracyjne dyskusje filozoficzne odbywane po domach w latach dwudziestych, z tą różnicą, że teraz nie sprzeczały się na temat Marksa ani Hegła, lecz oglądali *Rambo* oraz *Tango i Cash*, identyfikując się przy tym z amerykańskimi mitami typu „jeden przeciwko wszystkim”.

A potem, kiedy ich marzenia się spełniły, kiedy im się poszczęściło – byli jeszcze młodzi, pełni entuzjazmu, wierzyli w kapitalistyczne szczęście i tłumnie ciągnęli na Zachód, bo w ojczyźnie nie było nawet pozorów normalności i chaos stawał się śmiertelnym zagrożeniem – wtedy się przekonali, jak bardzo się mylili. Otrzeźwienie przyszło szybciej, niż się spodziewali, i wywróciło do góry nogami ich marzycielskie, zaczerpnięte

z książek wyobrażenia o świecie.

Tak, czuli się bezpiecznie, kiedy wykazali się pomysłowością, spełniwszy wymogi biurokracji i dostarczywszy niewyobrażalne masy dokumentów. (Niektórzy szczęśliwcy mieli żydowską babkę, inni znaleźli niemieckich przodków, jeszcze inni wiązali się z uchodźcami mającymi już status Europejczyka albo powoływali się na pochodzenie z rodzin dysydentów lub z bogatych rodzin sprzed rewolucji, ale tylko nieliczni, ci najbardziej przedsiębiorczy, potrafili zapuścić na Zachodzie korzenie). Przyjeżdżali do swej ziemi obiecanej i znajdowali prace dorywcze. Rzucano im okruchy, lecz nie zapewniano żadnych realnych szans, kierowano ich na kursy językowe i praktyki zawodowe, radzono, by myśleli o konkretnych zawodach, bo ich dotychczasowe, wymyślne i dziwaczne – filolog klasyczny, specjalista od sztuki i historii kultury włoskiego renesansu, ilustratorka książek dla dzieci albo nauczycielka solfeżu – nie były przydatne. Posłusznie zaliczali więc kursy dla menedżerów administracji, zdobywali licencję taksówkarza, kobiety zostawały pielęgniarkami albo położnymi (położne ze słowiańskim akcentem z jakiegoś powodu były bardzo lubiane przez młode, dynamiczne, otwarte na inne kultury niemieckie kobiety), albo pracowali jako ogrodnicy. Z drugiej strony, mogli korzystać z niewiarygodnej oferty supermarketów, legalnie kupować džinsy, a nawet wyjeżdżać na wycieczki autokarowe do nieosiągalnych wcześniej miast, takich jak Florencja czy San Sebastian. Podczas tych wycieczek nie skarżyli się na noclegi w marnych hotelikach na przedmieściach ani na spędzanie mnóstwa czasu w autobusie, bo byli przyzwyczajeni do rzeczy o wiele gorszych. Ale i w tych podróżach byli obcy, pstrykali za wiele zdjęć, za głośno rozmawiali i za dużo wiedzieli o zabytkach (więcej niż przewodnicy, których irytowały ich podchwytliwe pytania).

Stali zawsze odrobinę z boku, wybiegali trochę naprzód albo zostawali krok w tyle, nigdy nie udawało im się tak wmieszać w tłum, żeby nie rzucać się w oczy, nigdy.

Niezależnie od tego, jak dawno przebywali już na Zachodzie, nadal

dziwnie się ubierali i mieli śmieszny akcent. A ich nieżyciowe nastawienie i przekonania rozbijały się, jedno za drugim, o kapitalistyczne prawa, zderzały się z sobą jak drewniane łódki podczas biblijnego potopu, a jednak wzbraniali się porzucić dryfujące na powierzchni wody resztki łupin.

Stopniowo odnajdywali się w jakichś oficynach, w głębi podwórek, z przyjaciółmi pochodzącymi oczywiście ze Wschodu, przy mocnej, czarnej herbacie albo mokce, a potem przy wódce i koniaku, przy smażeniu marmolady albo gotowaniu kompotu – na stole często leżał otwarty tomik poezji w radzieckim wydaniu z 1964 roku (czasem były to bajki dla dzieci Puszkina albo Czukowskiego) – by dyskutować o życiu i świecie. I potem wśród różnych tematów coraz wyraźniej rysował się motyw przewodni tych spotkań – przeszłość.

Coraz mniej opowiadali sobie o bieżących, codziennych sprawach, które odczuwali tak, jakby od lat stali na Times Square, w świecie pełnym tandety i neonowych reklam, w którym świętuje się kapitalistyczne życie, ale samemu nie robi się kroku naprzód ani kroku w tył, po prostu się stoi, w zadziwieniu, zagubieniu, z przytłaczającym poczuciem, że nie jest się na swoim miejscu.

Coraz mniej rozmawiało się o nie lubianych pracach dorywczych, coraz mniej opowiadało o kłopotach z dziećmi, które na pierwszy rzut oka sprawiały wrażenie bardziej dopasowanych, bardziej zachodnich, bardziej pracowitych, tak, bardziej kapitalistycznych niż starsi, bo większość z nich wychowała się już tutaj, nie miała śmiesznego akcentu i nie nosiła dziwnie wyglądających ubrań, ale nie funkcjonowała w tym społeczeństwie tak, jak marzyli o tym rodzice – jakby ciążyło na nich przekleństwo starszego pokolenia, przekleństwo niemożności dojścia do czegoś. Te ich dzieci już jako młodzież często traciły miejsca na praktykach zawodowych albo na studiach, bo okazywały się „niewyuczalne” albo „nieprzystosowane społecznie”, wplątywały się w pijackie bójki, a czasami w przestępstwa.

Oczywiście były wyjątki – ambitni muzycy, którzy znajdowali stałą pracę w orkiestrze teatru w Heilbronn, lekarze, którzy z trzema krajanami otwierali prywatną praktykę pediatryczną, specjaliści w branży IT zatrudniani

w wielkich europejskich korporacjach albo ludzie mający innowacyjne pomysły, którzy na przykład potrafili stworzyć aplikację dla blogera zajmującego się modą albo specjalną technikę spawania, a potem ją opatentowywali. Ale ci wyjątkowi ludzie często stawali się tak bardzo europejscy, że rodziców odwiedzali tylko w święta (nie do pomyślenia dla ludzi ze Wschodu) i nie odpowiadali im w języku ojczystym, a w ich kuchni nie było już potraw matek i babć i nie myśleli zupełnie o tym, by dać rodzicom słodkie wnuki.

Ci, którzy do niczego nie doszli, coraz rzadziej skarżyli się na rdzennych mieszkańców Zachodu, na ich stosunek do pieniędzy, ich uporządkowanie, ograniczoność, coraz rzadziej żartowali z ich kompleksów, coraz mniej dziwiło ich zbyt ubogie menu na uroczystych spotkaniach z ważnych okazji i na urodzinach, na które odważyli się pójść.

Coraz bardziej entuzjastycznie wspominali za to swoje dzieciństwo i młodość, miejsca, które wtedy poznali, ówczesnych przyjaciół, miłości, podróże, zaczęli gloryfikować przeszłość, malować ją w piękniejszych barwach i ukazywać w lepszym świetle. Nagle wszystko wydawało im się zupełnie inne i coraz częściej słyszało się zdania w rodzaju: „Jak się dobrze zastanowię, radziecki system kształcenia był wspaniały” albo: „Nie jeździliśmy wtedy może na Majorcę czy Ibizę, ale z tych niewielu rzeczy, które się miało, umieliśmy wydobyć to, co najlepsze, szanowaliśmy rzeczy, zupełnie inaczej niż dzisiejsze pokolenie, któremu wszystko podstawia się pod nos, a ono nawet nie umie powiedzieć dziękuję”. I coraz częściej takie dyskusje toczyły się na tle muzyki z dawnej ojczyzny. Wymieniali się starymi płytami, wspólnie śpiewali – ze szczególną żarliwością – piosenki pionierów, głośno się śmiali, nie stroniąc przy tym od kilku kieliszeczków wódki czy koniaku. I coraz bardziej zapominali, że w czasach młodości za jedną oryginalną płytę The Supremes byli gotowi oddać wszystko, zapominali, że zazdrościli każdemu, komu choć raz udało się opuścić ich więzienie rozciągające się przez jedenaście stref czasowych i zobaczyć ten błyszczący świat, że niczego nie pragnęli tak, jak być wolni, decydować o swoim życiu,

mieć auto, zwiedzać świat. Zapominali, jak roili, że są Rambo, i że chcieli posłać do diabła całą półkulę wschodnią.

Tak samo Tina, która właśnie chciała wydrzeć czasowi dwa lata, by teraz, gdy znalazła nowego wielbiciela, zwiększyć swoje szanse na wieczną miłość. Ona też wyjechała z kraju, choć wytrzymała najgorsze lata głodu, uchwyciwszy się resztek nadziei i pozostając patriotką, w odróżnieniu od wielu jej znajomych, a po krwawym zdobyciu niezależności przez jej ojczyznę zawsze zapewniała, że już niedługo na pewno wszystko wróci do normy i że to jej pokolenie odpowiada za to, by zbudować kraj „zupełnie inaczej i całkiem na nowo”. Lecz jej nadzieje posypały się jak stary tynk, który odpada od ścian, kiedy spostrzegła, że nikt nie interesuje się ani nią, ani jej pokoleniem i że prawo kierowania krajem według własnego uznania (a czasem pchania go w katastrofę) zostało zarezerwowane dla nowej elity, kiedy kraj zamienił się w jeden pchli targ. Straciła nadzieję ostatecznie, gdy przegrała najtrudniejszą i najgorszą walkę swojego życia, walkę przeciw psychopacie, którym po powrocie z wojny stał się jej ukochany niegdyś mąż i ojciec jej córek. Dopiero kiedy brak perspektyw nie pozostawił jej wyboru i kiedy została sama z córkami, po raz pierwszy w życiu zrozumiała, że jest zmuszona działać jak człowiek dorosły; wtedy znikła jej lekkomyślność, a jej denerwująco bezsensowna i naiwna radość życia ustąpiła pola odpowiedzialności.

Do dzisiaj jednak ona także chwytiała się, jak rozbitek, resztek roztrzaskanego przez sztorm statku, broniła się przed tym, by emigracja nie odebrała jej najważniejszych cech, z całych sił sprzeciwiała się zachodnim regułom życia, chciała za to zachować irracjonalną niefrasobliwość, łatwowierność, optymizm, skłonność do działania wbrew rozsądkowi, nie chciała pozwolić odebrać sobie skłonności do wschodniego patosu, długich rozmów i niemal infantylnej, idiotycznej nadziei na nierealną formę miłości.

Wykazała się przy tym nieustępliwością, wytrwałością i bogactwem pomysłów, kiedy jako młoda, obiecująca i przede wszystkim egzotyczna malarka wykorzystała wystawę zbiorową w Berlinie, żeby nie wrócić już do

ojczyzny i pracować odtąd w restauracji Kaukaz należącej do pewnego Azerbejdżanina mającego słabość do Gruzinek.

I kiedy teraz któraś z córek wyrzucała jej, że zaniedbała malarstwo, że nie robi nic, by odzyskać wewnętrzny spokój, protestowała głośno, że to one są egoistycznymi, pozbawionymi empatii, rozpieszczonymi istotami, bo inaczej nie odważyłyby się mówić do niej w ten sposób. Jak mogłaby myśleć o malarstwie, niech się rozejrzą wokół. Ale takie wymówki miała na podorędziu od zawsze, w złych i w dobrych czasach. Najczęściej dorzucała jeszcze z ostentacyjną dumą w głosie, wydymając dolną wargę jak obrażone dziecko: „Na ten temat nie powiem nic więcej, koniec kropka!”, i wychodziła z pokoju.

Ale Tina, na przekór wszystkim ciosom losu, pozostała kochającą życie kobietą, czasami zbyt je nawet kochającą i zbyt lekkomyślną jak na gust jej córek. Chciała być kochana i kiedy nikt jej nie podziwiał, nikt z nią nie flirtował ani nie prawił jej komplementów, przypominała nikoną w oczach prymulkę. W zamian za ludzką sympatię gotowa była sama się oszukiwać, dawać się wykorzystywać, najważniejsze dla niej było to, żeby trwała iluzja, najważniejsze, żeby nie odczuwać pustki, która natychmiast ją ogarniała, kiedy brakowało jej ciepła i miłości. Wiązała się z każdym idiotą, jaki się nadarzył – mężczyźni w jej życiu zdawali się wymienni – byle dostać swoją porcję podziwu i uznania. Płaciła za to jednak bardzo wysoką cenę.

Dlaczego ciągle trafiali jej się nieudacznicy, w tej kwestii córki miały swoją teorię. Doszły do wniosku, że matka od początku podświadomie wybiera taki typ mężczyzn, bo wtedy może decydować o początku i końcu związku, a boi się wiązać na trwale. Tak jakby za sprawą ich ojca wszystko, co poważne i zdecydowane, co ustalone, co związane z odpowiedzialnością, stało się dla Tiny równoznaczne z cierpieniem i lękiem, więc teraz szukała związków niezobowiązujących, zawieranych lekko, choć sama nigdy by się do tego nie przyznała, może nawet nie była świadoma tego mechanizmu, i po każdym rozstaniu z kolejnym mężczyzną rozpaczała.

Córki nauczyły się z czasem gryźć się w język, kiedy matka kolejny raz

napomykała o „rozpoczynającej się interesującej historii”, tak samo jak nauczyły się siedzieć cicho, kiedy okazywało się, że ktoś z kraju (kuzyn kuzyna ojca, chrześniaczka babki, syn przyjaciela z dzieciństwa i tak dalej) jest właśnie przejazdem w Berlinie i na kilka dni potrzebuje lokum, i gdy do ich dwupokojowego mieszkania wprowadzał się nagle ktoś obcy. Niekiedy taka wizyta trwała kilka tygodni i dziewczyny przyzwyczyły się też do tego, że ich matka opuszczała pokój, który w ciągu dnia służył za pokój dzienny, a nocą zamieniał się w sypialnię, i przenosiła się do nich. Do gwałtownych protestów, a nawet grózb z ich strony doszło, kiedy pewnego dnia przed ich drzwiami stanął Misza, przyjaciel jakiejś przyjaciółki czy ktoś w tym rodzaju (od dawna przestały już się dopytywać, kim są ci różni ludzie), i kiedy Tina pewnego wieczoru została w pokoju dziennym na noc i nie przyszła do córek. Następnego ranka zastały ją w kuchni przyrządzającą z uśmiechem naleśniki dla Miszy, paradującego tylko w bokserkach, i dla swoich „złotych dziewczynek”.

Misza pozostał – nie, to za słabe słowo na określenie jego postępowania – Misza zagnieździł się u nich i wysysał krew z Tiny jak kleszcz. Wszyscy to widzieli i rozszyfrowali go, oprócz Tiny. Ta do końca się upierała, że Misza jest wspaniałym mężczyzną, któremu niesprawiedliwe życie nie dało dotąd szansy wykazania się zdolnościami. Misza był kombinatorem prowadzącym podejrzanе interesy, handlował używanymi autami, które wysyłał z Niemiec do Gruzji i – jak się potem okazało – nieraz przy tym oszukiwał. Tina jednak dopatrywała się w jego małomówności – która wynikała po prostu z tego, że niewiele miał do powiedzenia – „większej wrażliwości”, w jego skłonnościach do wykorzystywania innych – „wielkoduszności”, w nieokrzesaniu – „niepohamowanej namiętności”.

Chciała koniecznie być kochana, i to najlepiej przez Gruzina, przypominającego jej o Tinie, którą była kiedyś – nierozsądnej i dzikiej, dziecinnej, głupiej i nieprzytomnie kochającej życie. Była tak uzależniona od tej potrzeby, że stawała się ślepa na wszystko, co każdy wokół niej mógł zobaczyć i rozpoznać. Nie pomagały ostrzeżenia przyjaciół, na nic się zdało,

że Kotka któregoś dnia wystawiła rzeczy Miszy za drzwi, kiedy nie zareagował na jej prośbę, by zechciał wreszcie dokładać się do wspólnych wydatków. Było mnóstwo łez i wielkie litowanie się Tiny nad sobą; tego konfliktu z matką córki nie umiały rozwiązać jak równy z równym. Ostatecznie, choć były przekonane, że mają słuszość, czuły się zmuszone przeproszać matkę, która zachowywała się jak dziecko, obrażona i skrzywdzona, ciągle powtarzająca, że jej nie rozumieją, bo są egoistyczne i myślą tylko o sobie, nie dając jej prawa do odrobiny szczęścia.

Koniec końców całe otoczenie zmuszone było pojąć, że odbieranie Tinie złudzeń nie jest najlepszą metodą, bo bez złudzeń nie potrafi żyć. I nawet gdy katastrofa była z góry do przewidzenia i do uniknięcia, nie pozostawało nic innego, jak stać i patrzeć na nieuchronnie nadciągające nieszczęście. Mimo wszystko tym razem Tinie udało się przetrwać w złudzeniach prawie dwa lata, z czego cały ostatni rok był jednym wielkim dowodem na to, że Misza bezczelnie ją wykorzystuje. Jego oczekiwania stawały się coraz bardziej wygórowane, żądania coraz bardziej zuchwałe i o mały włos zaślepiona Tina nie zostałaby wciągnięta, nie będąc tego świadoma, w jego kryminalne machinacje. Na szczęście zdążył się wcześniej ulotnić, nie bez tego jednak, by nie wyczyścić jej konta ze wszystkich oszczędności, z których chciała sobie zafundować trzymiesięczny wyjazd do ojczyzny i odpoczynek od pracy w restauracji. Oczywiście Tina była niepokieszona, oczywiście jej porażka w miłości przybrała rozmiar nieludzki, oczywiście jej tragedia była tragedią niemal antyczną, oczywiście na każdego, kto odważył się jej powiedzieć, że to wszystko było do przewidzenia, patrzyła wzrokiem złym i oburzonym. Jedynym plusem tej sytuacji, łudziły się jej córki, było to, że po takim rozczarowaniu nie będzie już tak lekkomyślna i nie wpuści już tak szybko i naiwnie obcego mężczyzny do mieszkania, do swego życia, do łóżka. Niestety, były w błędzie.

Lekkomyślność i wesołość Tiny wróciły bardzo szybko, jakby smutek jako stan trwały był jej w takim stopniu obcy, że burzyło się przeciw niemu jej ciało: kiedy postanawiała trwać w smutku, dostawała napadów mdłości

albo zawrotów głowy. Z ojczyzny przyjmowała teraz tylko gości rodzaju żeńskiego, i to rzadko na dłużej niż tydzień, a miłostki, najczęściej z mężczyznami o pustych kieszeniach pochodzącymi z Europy Wschodniej, których poznawała w restauracji Kaukaz, też nie trwały dłużej.

Natalia rozwałkowała ciasto, a Kotka posypywała je żółtym serem. Co dziesięć minut ktoś dzwonił do drzwi. Do kuchni wdzierała się barwna mieszanka języków – niemieckiego, gruzińskiego i rosyjskiego.

– Widziałaś tego nowego narzeczonego? No, słowo daję... – Natalia nie mogła się powstrzymać od ironii, nowy obiekt westchnień matki bulwersował ją.

– Skąd ona go wytrzasnęła? – zapytała Kotka, zwijając ciasto, by położyć na blachę pierwszą porcję placka z serem.

– Pewnie poznała go w restauracji, gdzie by indziej.

Kiedy Natalia była nabuzowana, szybkość, z jaką mówiła, równała się szybkości komety. Kotce trudno było koncentrować się jednocześnie na jej obawach i na strzępach rozmów dochodzących z pokoju.

Co rusz wracała myślami do dokumentów, które podpisała poprzedniego wieczoru. Paraliżowało ją wspomnienie koperty, którą dziś rano znalazła w skrzynce na listy. Koperta była opatrzona napisem: „Na wydatki” i zawierała pięć tysięcy euro. Rozsądnie byłoby natychmiast rozpocząć poszukiwanie nowego mieszkania, ale nie mogła się do tego zabrać. Pieniądze ją swędziały, jakby chciały być wydane, wykorzystane, ale nie na kaucję za nowe lokum.

Nie mogła się skupić na tu i teraz, choć chwila obecna działała na nią łagodnie, usypiająco. Ciągle widziała przed sobą willę z marmurowymi płytami przy wejściu, nieskończenie długi stół, dziwaczne barwne malowidło w salonie, pomieszczenie klubowe w piwnicy, stół bilardowy i światła migoczące na jeziorze. Lecz przede wszystkim czuła łaskoczące spojrzenia na skórze. Nie potrafiła ująć tego w słowa, tamtego wieczoru było to niemożliwe, dopiero kiedy leżała już w łóżku, zrozumiała, jak nazwać to

poczucie towarzyszące jej przez cały czas, kiedy on był w pobliżu – było to poczucie władzy, jej władzy nad nim, onieśmielające tego mężczyznę, którego wszyscy się bali. Myśl o tym budziła w niej pewną satysfakcję.

Tymczasem u drzwi znowu zabrzmiał dzwonek. Po chwili rozległ się od razu rozpoznawalny głos Rusiko.

Kilka sekund później Rusiko była już w kuchni. Zaciekawionym wzrokiem obrzuciła wszystkie kąty, zamasyście ucałowała siostry w oba policzki i chwyciła Nica, syna Natalii, przytulając go do siebie, na co ten głośno zaprotestował.

Pachniała niezdolnie słodkimi perfumami, a śmiesznie utapirowane włosy wywoływały skojarzenie z bocianim gniazdem.

Mały Nico wyrwał Kotkę z zamyślenia, wskakując jej nagle na kolana. Kotka pocałowała go w czoło. Bardzo urósł w ciągu ostatnich kilku tygodni, kiedy go nie widziała.

Właśnie skończył cztery latka i swymi czarnymi lokami, wielkimi oczami, różowymi policzkami i zaraźliwym śmiechem potrafił wywołać uśmiech na najbardziej rozszereżonej twarzy. A przy tym zapowiadał się na istotę żywą jak skra, podobną do matki. Energicznie szedł przez świat, rósł prędko, jakby miał mało czasu, nie zatrzymywał długo uwagi ani na zabawie, ani na kontakcie z ludźmi, jakby sobie postanowił, że musi wszystko zobaczyć i wszystkiego dotknąć.

– Kotko, zrób coś ze swoimi włosami, to nie jest żadna fryzura i w tym kolorze nie jest ci wcale do twarzy!

Akurat to musiała powiedzieć Rusiko, wkładając palec z polakierowanym na perłowobiało paznokciem w starty ser.

– Dobry! Dałyście do środka dosyć mozzarelli? Ja dodaję jeszcze trochę jogurtu, koniecznie greckiego, smakuje jak nasz, mówiłam już kilka razy waszej matce, ale z jej uporem... I nie zapomnijcie, że trzeba długo, długo wyrabiać! Co słyhać, mały, znasz już jakiś wierszyk na pamięć?

Rozmawiasz z nim po gruzińsku, Nataliko? Byłoby niewybaczalne, gdyby twój mały nie znał języka ojczystego matki!

Zanim wyszła z kuchni, pomlaskała, chrząknęła, zakaszła, napiła się wody, dała Natalii klapsa w pupę, a Kotkę pogłaskała po plecach.

– Idź już do nich, ja ich ciągle widzę, a oni ciebie rzadko. Ja tu ze wszystkim sobie poradzę – powiedziała Natalia do siostry.

Kotka jednak nie miała ochoty iść do pokoju, który babcia nazywała „salonem nieszczęśliwych nostalgików”. Trafiła w sedno, wyraz „salon” też był tu na miejscu. Tina prowadziła go przez lata, a spotkania odbywały się co najmniej dwa razy w miesiącu w jej mieszkaniu. Brali w nich udział wszyscy możliwi poszukiwacze szczęścia, przy czym istniało grono stałych bywalców, które dzisiaj siedziało wokół zastawionego stołu, przyglądając się nowemu mężczyźnie Tiny.

Kotka wyszła do przedpokoju, przycisnęła czoło do chłodnej ściany, zamknęła oczy i wyobraziła sobie salon. U szczytu stołu, dla wszystkich dobrze widoczna, na pewno siedzi Rusiko, egzotyczny eksponat muzealny, do tego pełen paradoksów: skrajnie konserwatywna nacjonalistka prowadząca rosyjskojęzyczne prywatne przedszkole w Charlottenburgu. Jej stałym tematem rozmów były afery i związki miłosne, seks i mężczyźni, choć, jak przypuszczała Kotka, od czasu narodzin syna, co miało miejsce przed dwudziestoma czterema laty, żadnego mężczyzny do siebie nie dopuszczała. Ta sfrustrowana pięćdziesięciolatka kochała syna miłością ubezwłasnowolniającą i kastrującą, tak że nie mógł się skryć przed bezdyskusyjną władzą matki nawet w najodleglejszych zakątkach świata, gdzie działał w organizacji pomocowej. Miał też zakaz zakochiwania się w kobietach innej narodowości niż gruzińska. Rusiko była chorobliwie ciekawska i Kotka zawsze myślała, że przyjaźni się z jej matką głównie dlatego, że w życiu Tiny nieustannie istniały jakieś problemy i zamęt, czego Rusiko brakowało.

Na prawo od Rusiko siedzi pewnie Witalij, poeta z Odessy, mający

wielkie problemy ze swym żydowskim pochodzeniem i z homoseksualnością. Witalij stale wymyślał na gejów i religijnych Żydów, lecz natychmiast atakował każdego, kto odważył się zrobić krytyczną uwagę na temat homoseksualizmu czy ortodoksyjnego żydostwa. Do Berlina przyjechał wkrótce po upadku muru. Uważał się za kogoś w rodzaju berlińskiego eksperta, intelektualnego guru tego miasta. Od swych przyjaciół wymagał, by do niego dzwonili, kiedy się dokądś wybierali – do restauracji, kawiarni, teatru czy na spotkanie w jakimś stowarzyszeniu – bo uważał, że jest najlepszym informatorem, sto razy lepszym od wszystkich przewodników po mieście, a nawet od internetu. Jego prostackie wiersze tworzone po rosyjsku i publikowane w skromnych rosyjskojęzycznych pisemkach wydawanych przez poszczególne dzielnice miasta nie zapewniały mu oczywiście finansowej niezależności, dlatego jego głównym (sam utrzymywał, że pobocznym) zajęciem była praca w fundacji na rzecz praw homoseksualistów. Godzinami monologował na temat „głupoty ludzi Zachodu nieodróżniających prawdziwej cioty od brutalnego kryminalisty, który się wyszkolił w pieprzeniu w różnych pierdlach”. Uważał, że wielu mężczyzn z byłego ZSRR, którzy zgłaszali się do fundacji, podawało się za homoseksualistów dla zapewnienia sobie określonych korzyści i zyskania „zachodniego współczucia”.

Witalij nie znosił Rusiko, z wzajemnością, lecz oboje robili dobrą minę do złej gry i tolerowali się ze względu na wspólną przyjaciółkę.

Na lewo od Tiny na pewno siedzi Katia, najbardziej wyróżniająca się z tego całego grona energiczna intelektualistka z Moskwy, docent na Uniwersytecie Humboldtów, a do tego jeszcze niezwykle atrakcyjna kobieta. Katia zawsze była w dobrym humorze, paliła jednego papierosa za drugim i opuściła kolejno trzech mężów, co w oczach Tiny i Witalija czyniło z niej prawdziwą kobietę wyzwoloną. Umiała pięknie mówić o literaturze rosyjskiej i na zawołanie znaleźć cytaty pasujące do sytuacji, tak że kiedy zdarzała się napięta atmosfera, taki zgrabnie podrzucony cytat rozładowywał napięcie. Czułym punktem Katii była jej córka, dwudziestokilkulatka, w dzieciństwie

aniołek, teraz dogmatyczna, populistyczna kretynka, która wyszła za mąż za nowobogackiego Rosjanina i ku przerażeniu swej matki w zeszłym roku przeniosła się z nim do Moskwy, gdzie żyła w neokapitalistycznym koszmarze, obracając się w elitarnym środowisku reakcjonistów. Katia nie mogła pojąć postępowania córki, krwi z jej krwi, wychowywanej w duchu ideałów liberalizmu, wolności i emancypacji kobiet.

Do towarzystwa na pewno wkrótce dołączy spóźniona jak zawsze Maja, do której wszyscy mówili po nazwisku Gwalia. Była rasową Gruzinką z południa, miała mocno kręcone włosy, brwi jak Frida Kahlo, wydatne kości policzkowe i biodra, którymi nęcąco kołysała, chętnie nosiła błyskotki i nieustannie narzekała – na pogodę, na politykę, na Gruzję, na Europę, na ceny w supermarketach, na lekarzy, na podopiecznych, na ruch uliczny, na brak manier, lecz przede wszystkim na swego męża Mirka, którego przez lata małżeństwa udało jej się zmienić w załęczony kłębek nerwów pozbawiony własnej woli. Od kiedy dwójka ich dzieci wyprowadziła się z domu, a Mirko przeszedł na wcześniejszą emeryturę, tkwił w domu jak niewolnik, przeglądał ciągle swój zbiór znaczków i oglądał telewizję. Nosił starą szarą kamizelkę i w panice biegł do kuchni, słysząc na korytarzu kroki żony, żeby od razu podać jej gorący obiad, bo Gwalia pracowała jako opiekunka osób starszych, co niekoniecznie poprawiało jej i bez tego ciężkie usposobienie.

Kotka i Natalia nie rozumiały, jak taka kobieta jak Gwalia mogła poślubić takiego mężczyznę jak Mirko i być z nim przez tyle lat. Może było zresztą odwrotnie, bo Gwalia wstydziała się swego męża i otwarcie dawała to do zrozumienia. Można było nawet odnieść wrażenie, że znajduje przyjemność w ośmieszaniu go w towarzystwie. Mówiła o nim „mięczak”, „sknera”, „kołtun” albo „niedorajda”. Zachwycała się innymi mężczyznami w jego obecności, najczęściej takimi o temperamencie południowca, którzy umieją zachowywać się jak „prawdziwi mężczyźni”. Co dokładnie łączyło Gwalię z Tiną, tego siostry też nie potrafiły odgadnąć. Być może tylko Tina umiała łagodzić rozczarowania przyjaciółki, hamować jej złość na cały świat

i sprawiać, że Gwalia przynajmniej na krótko o nich zapominała.

I oczywiście przy stole siedział także Pako, n-ta już z rzędu szansa Tiny na wielką miłość. Ten żigolak, jak go od razu nazwała Natalia, choć nie był młody, nosił białe džinsy i jedwabny szal wokół szyi. Miał poza tym znowu modne okulary z lat osiemdziesiątych i włosy pociągnięte żelem. Buchał od niego zapach wody kolońskiej. Był rzeźbiarzem i mieszkał w Darmstadt, cały czas jednak powtarzał, że z powodów zawodowych przenosi się do Berlina. Kotka szczerze wątpiła, by Pako – i tu bezsprzecznie tkwiło podobieństwo łączące go z matką – stworzył choć jedną rzeźbę w ostatnich dziesięciu latach, nie mówiąc o jej sprzedaniu.

Kotka stała w przedpokoju, przysłuchując się gwarowi rozmów. Najczęściej wszyscy mówili naraz, nikt nie kończył tego, co zaczął, wpadano sobie w słowo, przechodzono z gruzińskiego na niemiecki, a z niemieckiego na rosyjski. Ten zamęt był Kotce dobrze znany, kakofonia głosów towarzyszyła jej w domu od dzieciństwa. Teraz jednak, stojąc na zewnątrz, w przedpokoju, nagle poczuła się obco, to gadanie o niczym zaczęło ją irytować. Chciałaby usiąść obok matki i kosztując różnych przysmaków, przysłuchiwać się tym banalnym, a czasem niedorzecznym rozmowom, zapomnieć na chwilę o własnych problemach i wszystkich problemach tego świata, ale nie potrafiła, nie mogła ruszyć się z miejsca. Postanowiła pójść do Sesilii.

Pokój babci był pogrążony w półmroku. Sesilia siedziała na wózku inwalidzkim, spoglądając przez balkonowe okno na latarnie, które właśnie zapaliły się na zewnątrz.

– Kotka?

Sesilia rozpoznała ją po krokach.

– Tak, babciu, to ja.

– Dawno cię nie było...

Kotka podeszła do Sesilii i przytuliła ją obiema rękami.

– Ach, wiesz, jak to jest... Miałam mnóstwo zajęć, grałam, brałam udział w castingu.

– Tak, tak, nasza bardzo zajęta dziewczynka. A tam, w pokoju, dużo jest gości? Kto przyszedł?

– Te same podejrzone typy co zawsze. Czemu do nich niepójdiesz?

– Chciałam chwilę odpocząć. Wcześniej był tu przez cały czas Nico i musiałam mu śpiewać.

– Śpiewać! Aha, jeszcze i to...

– Co u ciebie? Ale tak naprawdę?

– Nie wiem... Chyba w porządku.

Przez cały czas stała za babcią, wpatrując się tak jak ona w zapadający za oknem wieczór.

– Wiesz, że mama odmłodziła się na torcie o dwa lata?

– Pytałam o ciebie.

– Dostałam propozycję. Chodzi o mnóstwo pieniędzy. Zgodziłam się, ale teraz nie wiem, co o tym myśleć.

– Co to za propozycja?

– Dziwna. Mam zagrać rolę nieżyjącej dziewczyny.

– Ty lubisz przecież skomplikowane rzeczy, to nie będzie dla ciebie trudne.

– Może wyjdziemy na chwilę na balkon?

Kotka otworzyła szklane drzwi i lekko popchnęła wózek. Do pokoju wpłynęło zimne powietrze. Potem usiadła na stołeczku i zapaliła papierosa.

– Powinnaś to rzucić – mruknęła Sesilia.

– Powinnam wiele rzeczy.

– Wszystko ma swój czas.

– Pewnie masz rację.

Obie Sesilie, jedna z „a” na końcu imienia, druga bez, z maleńkiego balkonu mieszkania na Weddingu patrzyły na puste podwórko, na którym dwaj chłopcy grali w piłkę, a trzeci jeździł na deskorolce. Pozostawiły za sobą gwar mieszkania, hałas słów, melodie śpiewanych od czasu do czasu piosenek. Tina wyjęła gitarę, a jej nowy obiekt miłości razem z innymi śpiewał gruzińską pieśń o tłumionych tęsknotach, daremnych oczekiwaniach, zmiennych nadziejach i goryczy o smaku syropu na kaszel.

Babcia i wnuczka chłoneły nastrojowe światło zmierzchu, milczenie i widok, choć nie był on szczególnie ciekawy. Kotka zaciągała się papierosem i stukała stopą w posadzkę balkonu. Sesilia, dzięki swej żelaznej woli, wielomiesięcznym staraniom córki, dobrym fizjoterapeutom i rosnącym długom, mogła się trzymać usprawnioną ręką poręczy balkonu.

Kotka w takich momentach czuła się tak związana z babcią, jakby była drzewem, a Sesilia jego korzeniami. Ale tym razem to uczucie było słabsze, jakby ktoś je zakwestionował.

Kotka wiedziała, że Sesilia ciągle sobie wyrzuca, że jest dla córki ciężarem. Nie mogła sobie wybaczyć, że miała wylew, a przede wszystkim że go przeżyła, choć Tina ciągle podkreślała, jaka jest szczęśliwa, że mama jest u niej, i nie dawała jej odczuć, jakim zmartwieniem są dla niej długi, w które wpadła wskutek jej choroby. Sesilia uważała, że powinna była zostać w Tbilisi i nigdy nie wyjeżdżać na Zachód. Niby Prometeusz ściągnęła na siebie gniew bogów, tylko że nie przyniosła ognia na ziemię, lecz wyzwoliła się ze swego kaukaskiego paszportu i wyfrunęła na Zachód.

Sesilia przez cały czas łamała sobie głowę, skąd zdobyć pieniądze, żeby opłacić pielęgniarkę i odciążyć córkę. I choć nie chciała robić sobie wielkich nadziei, bo zbyt wiele nadziei może ściągnąć na człowieka gniew bogów, nie potrafiła przestać sobie wyobrażać, że pewnego dnia wróci do swego zakurzonego, zamkniętego, dogładanego przez sąsiadkę mieszkania na ulicy Srebrnej, którego oczywiście nie mogłaby wyremontować według

europijskich standardów i wynajmować zachodnim turystom. Sesilia szukała sposobu, by pomóc córce finansowo i chyba go znalazła. Chociaż Kotka, ilekroć była tego świadkiem, nie mogła pojąć, że Sesilia naprawdę to robi.

Kiedyś, niedługo po jej wyjściu ze szpitala, Sesilię odwiedziła Rusiko z jogurtem, pomarańczami i paczką tureckiej kawy. Tina była jeszcze w pracy, Rusiko zrobiła więc kawę, a w każdym jej ruchu widoczna była tęsknota wywołana wieloma słodkimi wspomnieniami związanymi z ojczyzną, które łączyły się właśnie z kawą. Sesilia nie lubiła kawy i nic jej się z kawą nie kojarzyło, ale piła ją razem z Rusiko, a ta zwierzyła się, że jako młoda kobieta bardzo lubiła chodzić w Tbilisi do kobiet wróżących z fusów. W pamięci pozostała jej zwłaszcza pewna Kurdyjka, stara kobieta o zielonych oczach, nosząca barwne chustki, która jeszcze w latach siedemdziesiątych wywróżyła jej, że wyjedzie z kraju, z synem, i że jej syn będzie kimś wyjątkowym – uratuje świat.

Sesilia słuchała paplaniny Rusiko, z trudem opanowując śmiech. Cisnęło jej się na usta, że to przecież kompletna bzdura, to tylko fusy, przypadkowe linie na ściankach filiżanki – każdy widzi w nich coś innego i przy odrobinie fantazji każdemu można przepowiedzieć dowolną przyszłość. Ale zamiast tego powiedziała, że chciałaby dla żartu spróbować, czy potrafi wróżyć.

Rusiko zapaliła się do tego pomysłu i podała jej swoją filiżankę, z której przed chwilą wypila kawę, z grubą czarną warstwą fusów na dnie. Sesilia z poważną miną włożyła okulary i patrząc w fusy, powiedziała, że widzi złe spojrzenia wysokiej, chudej kobiety, która źle jej życzy. Rusiko od razu się domyśliła, że chodzi o koleżankę, z którą pracowała w przedszkolu, i wykrzyknęła: „Wiedziałam!”. Potem Sesilia oznajmiła, że syn Rusiko stracił głowę dla kogoś, kto jest daleko. „To niby tylko koleżanka, ale przeczuwałam, że się w niej podkochuje!” – histerycznym tonem zawołała Rusiko. Na koniec Sesilia, z trudem opanowując śmiech, powiedziała, że Rusiko spotka niedługo pewnego mężczyznę z przeszłości, który będzie nosił kapelusz.

Sesilia była pewna, że Rusiko zbudzi się z irracjonalnego transu

i potraktuje wróżenie z fusów jak zabawę – była wprawdzie typową Gruzinką wierzącą w przesady, lecz również kobietą wykształconą, samodzielną, a przede wszystkim od lat mieszkała na Zachodzie i zdawało się, że przystosowała się do reguł zachodniego społeczeństwa. Ale tu ogromnie się myliła.

Kilka dni później Rusiko stała pod drzwiami jej mieszkania z koleżanką, w porze, kiedy Tina była jeszcze w pracy. Błagała Sesilię, żeby dała nadzieję koleżance, która przeżywa głęboki kryzys, i powróżyła jej. Sesilia najpierw się wzbraniała, szepcząc Rusiko, że wróżenie z fusów to tylko zabawa i tak naprawdę w to nie wierzy, lecz do Rusiko żadne argumenty nie trafiały. „Ty może nie wierzysz, ale my tak! – oburzyła się i szepnęła Sesilii: – Ona zapłaci, ile chcesz, ma bogatego męża”.

I tak Sesilia zdobyła nowy zawód, i dla oświeconych, wyemancypowanych, niezależnych kobiet Zachodu stała się wróżką. Rusiko podsyłała jej coraz to nowe klientki, często matki jej dzieci z przedszkola albo znajome z zajęć pilatesu i kursu zakładania upraw w miastach. Były dni, że wróżka wносиła więcej pieniędzy do rodzinnego budżetu niż jej ciągle harująca córka.

- Czy mogę cię o coś zapytać? – Kotka przerwała miłą ciszę.
- Oczywiście, kochanie.
- Chciałabyś wrócić... To znaczy, ciągle myślisz o powrocie do Tbilisi?
- Pewnie, że bym chciała. Ale to przecież niemożliwe.
- A jeśli okazałoby się możliwe? Gdyby mama nie miała długów?
- Ja już zawsze będę przykuta do tego wózka i... No, nie mówmy o tym, to nie ma sensu.
- Proszę, odpowiedz.
- Chciałabym wrócić. Ale...
- Ale. Jest wiele „ale”.

Przez cały ten czas Sesilia niczego nie pragnęła tak jak powrotu do Tbilisi, lecz teraz coś stanęło między nią a tym pragnieniem. Kotka nie odważyła się jednak spytać, co to jest, wołała trwać w przeświadczeniu, że przyjęła propozycję Generała tylko ze względu na babcię i jej marzenie o powrocie do domu.

2016/GENERAL

Zaczerpnął głęboko powietrza i zanurkował. Temperatura wody była idealna. Ciemny las kołysał się za szklanymi ścianami basenu w zapadającej tajemniczej ciemności. Świat zewnętrzny ucichł na kilka chwil. Odpłynęły wszystkie myśli.

Lecz gdy wypływał na powierzchnię, myśli znowu wracały, poddał się więc i przestał je od siebie odpędzać. Dzisiaj był taki dzień, że się ich łatwo nie pozbędzie, znał ten stan aż nadto dobrze. Od kiedy nie było już Ady, od kiedy w jego życiu istniała ta wyrwa, w jego głowie trwała ciągła gonitwa myśli. Czuł bezsilność wobec ich nieustannego strumienia. Lecz może tak musiało być, może był to spadek po Adzie, więc powinien na to się godzić.

Jej śmierć była jak cięcie przez cały wszechświat. Coś, co nie mogło się zdarzyć, a co jednak się stało, coś co podważało wszelkie prawa. Tak myślał na początku, w pierwszych dniach po pogrzebie, w dniu, w którym zaczął się kruszyć jak skalna ściana. Ale po kilku tygodniach, a może kilku miesiącach, przyszła chwila, w której zrozumiał, że odejście Ady było jakimś znakiem, zadaniem.

Pojał, że nie ma sensu pytać dłużej „dlaczego”, bo od dawna znał odpowiedź. I że zamiast tego powinien skonfrontować się z tym, co uczyniła jego chroniona ze wszystkich sił przed światem, chowana przez niego jak w kokonie z waty, a jednak zupełnie bezbronna córka. I choć to, co się stało, było przerażające, wiedział, że jej śmierć była jej apelem do niego. Powody, dla których Ada się na nią ważyła, były przytłaczające i ciężkie, miały posmak dawnej, zardzewiałej winy i czarno-białej moralności, beznadziei klejącej się ciągle do człowieka i młodzieńczego bólu istnienia. Dla niego jednak najważniejsze stawało się to, co zobaczył w jej śmierci: wskazówkę do działania, potrzebę domknięcia tego, co się wydarzyło, coś, co ma sprawić, że

wszystko wróci na swoje miejsce. Bo właśnie o to Adzie chodziło. Nie mogła dłużej znieść świata, odkąd odkryła, że jest to miejsce, gdzie ludziom, którzy stali się potworami, wszystko uchodzi płazem, że udaje im się ująć przed odpowiedzialnością.

Jej „dlaczego” stało się dla niego kompasem. Tylko ten moment przeoczenia, w którym jego uwaga zwrócona była na coś innego, skupiona na kimś innym i w którym nie spostrzegł, że w Adzie coś pękło, że jego córka straciła orientację, ona, która zawsze szła prostą drogą, nigdy nie patrzyła w lewo czy w prawo, bo wierzyła, że przez życie można przejść bez błądzenia – ten moment był ciągle jego wyrzutem sumienia.

Ból po jej śmierci obudził w nim odpowiedzialność moralną, chociaż przez całe dorosłe życie lekceważył to pojęcie i związane z nim kłamliwe, jego zdaniem, wyobrażenia, ponieważ dla niego były to puste słowa, politycznie poprawna fasada dla upiększenia prawdziwej natury człowieka, która – był o tym głęboko przekonany – była kompletnie amoralna i nie nadawała się do tego, by rozpatrywać ją w kategoriach dobra i zła. Choć często dyskutował o tym z Adą, pozwalając jej zajrzeć w najciemniejsze przepaście ludzkiej psychiki, przytaczał przykłady, ona nigdy się z nim nie zgadzała, zawsze miała pod ręką przykłady przeciwne, chciała wierzyć, że ojciec się myli. To był jego błąd, największy błąd jego życia: przekonanie, że wszyscy ludzie są zdolni do tego, by przekroczyć nieprzekraczalne granice dzielące to, co wyobrażalne, od tego, co niewyobrażalne, i nawet jego ukochana córka byłaby do tego zdolna, gdyby zmusiły ją okoliczności.

Ale pomylił się i przeoczył najważniejsze. Bo żeby znaleźć przykład przeczący jego teorii, który mógł uratować Adę, wystarczyło, by wskazał kogoś szczególnego – Aloszę, jego jedynego przyjaciela i towarzysza w najgorszych chwilach życia. Ten chłopak, zwany Kundlem, nie ugiął się przed wojną i do końca trzymał się tego, co uważał za słuszne, a kiedy zobaczył, jak jego światu wyrywa się trzewia, podjął jedyną możliwą dla siebie decyzję...

Powinien był o nim pamiętać. Powinien był zawsze wskrzeszać go

w myślach jako ostrzeżenie, gdy rozmawiał z Adą.

Zamiast tego uważał, że musi czynić wszystko, co w jego mocy, by ochronić Adę przed poznaniem prawdy. Było to kłamstwo, za które się chował, a które sprawiło, że ziemia usunęła jej się spod nóg. Powinien dostrzec, że Ada, tak jak Alosza, należała do wyjątków – była dobra, ponieważ chciała być dobra i na nic innego się nie zgadzała. Tacy ludzie byli dobrzy nie dlatego, że bycie dobrym jest wrodzoną cechą człowieka, lecz że zasadą swego życia uczynili dobro: walczyli o dobro i płacili za to wysoką cenę, byli w tym nieugięci. Tak bardzo chciał Adę chronić – przed sobą, przed tym, jaki był, przed tym, co zrobił. Nie docenił jednak determinacji córki, która od niego i od siebie wymagała uczciwości.

Kiedy żyła, uważał, że jego przeszłość jest jak infekcja, której wielu uległo. Powinien był, zamiast szukać dla Ady szczepionki, zarazić ją, mając nadzieję, że przetrwa chorobę, że okaże się dość mocna.

Znowu zanurkował. Woda splukiwała z niego ciężar minionych dni. Poczł się lekki, jakby grawitował. Pływał wyznaczonym torem, co chwila zanurzając i wynurzając głowę, trzymał tempo. Lubił odgłosy swego ciała w zmaganiach z wodą, lubił spoglądać na las za szklaną ścianą basenu, na dyskretne światła w hali basenowej. Jewgienija widziała ją inaczej, pokazała mu nawet projekt, ale uparł się – basen to było jego jedyne prywatne miejsce oprócz gabinetu, jego królestwo, i musiał urządzić go po swojemu. „Żadnych ozdób, żadnych kolorowych świateł, to w końcu basen, a nie nocny klub” – kiedy to powiedział, uświadomił sobie, że jego córka nigdy już nie przekroczy progu żadnego klubu...

Jewgienija zrozumiała i tylko pokiwała głową – zawsze mu ustępowała w kluczowych sprawach. Nie było mu przyjemnie widzieć, że jest jej przykro, doskwierało mu to bardziej, niż się spodziewał. Po końcowym akordzie Ady nie sądził, że w jego życiu znajdzie się jeszcze miejsce na inne bóle, poza tą jedną, wiecznie kłującą, wiecznie palącą, wiecznie krwawiącą raną.

Myślał o swej pięknej żonie, towarzysze życia, współniku i kotwicy

w tym nowym świecie, i czuł ukłucie między żebrami. Chciał ją widzieć śmiejącą się tym jej uwodzicielskim uśmiechem, z głową odrzuconą w tył, z przymkniętymi oczami. Kiedy ostatnio śmiała się swobodnie i tak zaraźliwie, jak tylko ona potrafi? Czy było to przed śmiercią Ady? A może podczas ostatniej podróży do Wenecji? Leżeli wtedy w siedemnastowiecznym królewskim łożu – wypatrzyła je gdzieś w północnej Francji, przetransportowała statkiem do Włoch i była z niego taka dumna! – owinięci w białe prześcieradła, ciasno do siebie przytuleni i słyszeli głos Ady, która remontującym pałac fachowcom wydawała dokładne instrukcje, jakby nic innego w życiu nie robiła, a oni chichotali jak małe dzieci.

Zaczerpnął powietrza, zamknął oczy, zanurzył się i pływał dalej. To, czego szukał w wodzie, co kochał, to stan nieważkości. I gdyby choć przez chwilę odważył się być z sobą szczery, gdyby potrafił sam przed sobą przyznawać się do tego, co myśli, to musiałby uznać, że owa nieważkość była stanem, który w tym momencie mógł nazwać brakiem winy.

Wtedy w Wenecji zamówili kucharza z pięciogwiazdkowej restauracji w San Francisco. Ktoś polecił go Jewgienii i sprowadziła go samolotem za niebotyczną kwotę na „prywatną sesję kucharską”.

Myśli Ady zaatakowała już choroba i czas w Wenecji miał być czasem rekonwalescencji: chcieli rozjaśnić jej twarz, odpędzić czarne chmury i z początku sądzili, że to się udaje. Wydawała się wniebowzięta, kiedy kupił jej w Wenecji pałac i pozwolił, by go urządziła według własnego gustu. Zdawało się, że jej stan się polepsza. Zdawało się, że zapomniała już nawet o toksycznym związku z tym pasożytniczym dziennikarzem. Nie mówiła już o nim, nie dzwoniła do niego, nie pisała. A on, ojciec, chciał wierzyć, że uda jej się odnaleźć drogę do samej siebie.

Czasem gdy patrzył wstecz na lata jej przeobrażania się z dziecka w dziewczynę, a potem w młodą kobietę (przebiegało mu wtedy przez głowę, że Ada nigdy nie będzie dorosłą kobietą, nie mówiąc o tym, że nie będzie nigdy starszą damą, ale szybko odpędzał tę myśl), wtedy z rosnącą wyrazistością uświadamiał sobie, że pragnienie bycia w porządku stało się jej

zgubą i zmieniło ją w obiekt ataków. To właśnie sprawiło, że zdobywszy wreszcie od dawna upragnioną wolność, wylądowała – jak najcenniejsza zdobycz – w mackach człowieka amoralnego, o chorobliwych ambicjach. Szukała poszlak, które utwierdzałyby ją w tym, w co tak bardzo chciała wierzyć: że świat jest dobry i że ma smak bułeczek maślanych z marmoladą, że obietnice są po to, by ich dotrzymywać, że miłość jest elastyczna i potrafi się dostosować do każdej okoliczności, że sztuka jest magicznym lekarstwem dla chwiejnego świata, a rozsądek najlepszym środkiem na zwątpienia i troski, że lekkomyślność jest odtrutką na dzielenie włosa na czworo, a odwaga obraca w proch każdą nieufność.

Ada szła przez życie jak myśliwski pies, szukając potwierdzenia swej wizji świata. Szukała zwłaszcza potwierdzenia najważniejszego: że jej ojciec, jej kompas, kotwica, najmądrzejszy doradca i skarbnik, jest dobrym człowiekiem. Że nie każdy, kto zdobył fortunę, musi być od razu wyzyskiwaczem, podłym szcurem, egoistycznym szarlatanem i kłamcą. Chciała w to wierzyć. Tak usilnie namawiała ojca, by zrobił coś dobrego, że przyłączył się do kilku akcji charytatywnych i hojnie je zasilął. Bolało go, że prawie nigdy się z nią nie może zgodzić, że musi rozwiać jej złudzenia i uświadomić jej, że ludzie na galach sponsorów czy na dobroczynnych aukcjach sztuki to zachłanne hieny i że wcale ich nie interesuje cel tych akcji, tylko kreowanie własnego wizerunku albo zdobycie ulg podatkowych.

Raz uległ Adzie i pojechał z nią na galę sponsorską do Londynu. Była to obrzydliwa impreza – nieszczerze przemówienia, sztuczne uśmiechy i miny, wystudiowane słowa i absolutna pustka, która zostawia po sobie niesmak. Mimo to Ada wyglądała na szczęśliwą, uścisnęła go, kiedy ofiarował najwyższą kwotę na jakąś afrykańską wioskę, punkt medyczny i szkołę dla dziewcząt w regionie, w którym poziom ubóstwa był przerażający. Sprawiała wrażenie bardzo przekonanej do tego zamierzenia – zdawała się brać w nawias wszystkie fałszywe spojrzenia, nieszczerze słowa i sztuczne uśmiechy, bo to miejsce i ci ludzie byli dla niej tylko kulisami całej sprawy. To, o co szło, było widać na ekranie, na którym wyświetlano film

o afrykańskiej nędzy. Z kieszeni wszystkich obecnych tam zombie płynęły miliony i tylko to się liczyło. Ada mogłaby znieść wiele takich wieczorów, rozmów bez znaczenia, taksujących spojrzeń, całą tę sztuczną atmosferę – najważniejsze, że wszyscy obecni dawali pieniądze, a przez to czynili coś dobrego.

Bolało go, że Ada tak bardzo chciała udowodniać, że w ich rodzinie nie ma nic, czego świat powinien się obawiać, że ludzie nie muszą ich unikać. Nie rozumiał, dlaczego nie przywiązywała wagi do luksusów wynikających z ich sytuacji życiowej, dlaczego nie wykorzystywała jej pozytywnych stron, za to przez cały czas myślała o zadośćuczynieniu.

Patrząc wstecz na tamtą noc, kiedy Ada połknęła tabletki, by uwolnić się od świata, którym się brzydziła, musiał przyznać, że była mądrzejsza od niego. Przeczuwała coś, domyślała się czegoś i to coś zmuszało ją, by być w dwójnasób dobrą, w dwójnasób uczciwie postępować, tak by odpokutować jego niejasną przeszłość. Teraz, po jej śmierci, postanowił, że wypełni jej testament do końca. Tamtej nocy szeroko otworzył drzwi, przyjął z pokorą swą przeszłość, więcej, przywołał ją, choć od lat wmawiał sobie, że ona już nie istnieje.

Błyskawicznie zrozumiał, że doprowadzające go do białej gorączki próby podejmowane przez Adę służyły zadośćuczynieniu i że on nie powinien był się od nich odcinać. I że nienawidził ich nie dlatego, że je podejmowała, tylko że wszystkie atrakcje świata, jakie jej proponował, nie były w stanie odwrócić jej uwagi od niego, a raczej od tego najczarniejszego miejsca, które w sobie miał. Ada postępowała intuicyjnie, po omacku, przeczuwała coś, jakby co noc duchy szeptały jej do ucha w języku, którego nie rozumiała, ale którego słowa przypominała sobie po obudzeniu, a one potem chodziły za nią przez cały dzień. Nie przyznał się przed sobą, że chciał być ślepy, bo przecież tak wiele robił, tak wiele dawał, w pocie czoła i wśród ciągłych obaw starając się zapewnić jej bezpieczeństwo i dobrobyt. Cena za to, by nic nie zniszczyło jej miłości do niego, była wysoka. Wówczas w więzieniu, kiedy pokazano mu jej czarno-białe zdjęcie, przyrzekł sobie, że córka będzie jedyną świętością

w jego życiu. Stanowili nierozzerwalny zaprzęg, nieustępliwie się z sobą ścierali, dlatego że ona przypominała mu jego takiego, jaki był wtedy – nieuformowanego człowieka, jak jego późniejsze projekty budowlane.

Ada była jedynym dowodem na to, że istniał tamten mężczyzna, kompletnie różny od tego, który później kupił córce pałac w Wenecji i kazał wybudować tę willę, mężczyzna inny od obecnego władcy imperium. Jego córka chciała zobaczyć w nim tamtego mężczyznę, którego on pogrzebał przed prawie dwudziestu laty za sprawą własnej decyzji. Tak jakby jej tożsamość była zależna od tego, z jakiej perspektywy zobaczy swego ojca. Jakby od kąta widzenia zależał jej własny wizerunek. I może to się nawet zgadzało. Może ten sposób myślenia był konsekwentny.

Gdyby wiedział, że Ada jest silna, o wiele silniejsza, niż przypuszczał, okiełznałby swój lęk i spróbował stawić córce czoło, wytrzymać jej spojrzenie, nie uciekać od pytań. Od dwudziestu lat w jego życiu nie istniał lęk, ale nie mógł przezwyciężyć największej obawy – obawy, że rozczaruje Adę, że ją straci.

– Więc to dlatego tam dziś ze mną poszedłeś? Żeby zmyć swoją winę?

Wiedział, że na twarz Ady wystąpiły rumieńce, choć w samochodzie było ciemno, a on patrzył na bożonarodzeniowe dekoracje londyńskiej dzielnicy Mayfair. Lecz zmienione rysy jej twarzy, które dostrzegł kątem oka, świadczyły o tym, że ze wszystkich sił walczy z rozczarowaniem.

– To, co powiedziałem, dotyczyło tych ludzi, nie mnie.

– Ale przecież do nich należysz. Zaliczasz się do ich grona. Przyznajesz, że czujesz się winny i musisz czasem zrobić coś dobrego, żeby poprawić sobie samopoczucie.

– Nie, tego nie powiedziałem. Bycia dobrym, o czym ciągle mówisz, nie można się nauczyć ani tego kupić. To naiwne zakładać, że przez te śmieszne darowizny można w jakiś sposób stać się dobrym.

– Więc nie uważasz, że ty albo ludzie twojego pokroju możecie zrobić coś

dobrego?

– To dobro, o którym w kółko mówisz, Ado, jest czymś, na co człowiek musi najpierw móc sobie pozwolić. Myślisz, że byłabyś tak dobra i wspaniałomyślna, gdybyś sama nie miała nic do jedzenia? Gdybyś musiała walczyć o przeżycie? Nie wydaje mi się, że ludzie obecni na tej gali są w jakiś sposób lepsi albo gorsi od tych, do których trafią te datki. Nie gorsi od tych dzieci, dla których za twoją namową ufundowałem szkołę. Ja po prostu nie myślę w takich kategoriach. Każdy jest tak samo dobry jak zły, to są tylko pojęcia wymyślone po to, żeby lepiej ludźmi kierować i lepiej ich kontrolować na płaszczyźnie społecznej, religijnej czy politycznej. Dzięki tym pojęciom można manipulować ludźmi, a one same zmieniają się w zależności od czasu i okoliczności.

– Dobrze, w porządku, nie wierzysz w te pojęcia, a jednak wcześniej mówiłeś o potrzebie oczyszczenia się. Oczyszczenia z winy?

Przyglądała się kolorowym światłom, z głową opartą nieruchomo o szybę. Ale czuł jej wzburzenie, które niemal wydzielało ostro-słodki zapach, jakby do lemoniady dosypać pieprzu. W głębi duszy zachwycała go jej umiejętność ekspresji, ale powstrzymał się i nie powiedział jej, że w tym, co w niej tak buzuje, w skłonności do wielkich pragnień, odzywają się cechy jej matki i że jej też przysparzały one cierpienia i utrudniały życie.

Przypomniawszy sobie dzień, kiedy doszedł do tego wniosku. Obserwował wtedy córkę, małą dziewczynkę stworzoną do kochania i przyjemności, już wtedy ciekawą, jak elastyczne są granice świata. Dziewczynkę, którą interesowało, dlaczego trzeba przestrzegać pewnego porządku i określonych reguł, dziewczynkę, dla której każdy otwór w kontakcie był po to, żeby włożyć w niego palec, każda drabina, żeby się na nią wspiąć, każdy ostry szpic, żeby się o niego skaleczyć, każda głębia czy wysokość, żeby ją pokonać. A jego ogarniał nagi zwierzęcy strach, że Ada będzie stawiać życiu zbyt wielkie wymagania, tak jak jej matka, aż w końcu życie nie udzieli jej już kredytu.

Obserwował córkę na placu zabaw, gdzie spędzał z nią popołudnia – rzadkie beztroskie chwile, kiedy jeszcze nie przyzwyczał się do roli samotnego ojca – i wtedy poczuł panikę. Jak mógł ją zostawić samej sobie? Od tego śnieżnego popołudnia w Moskwie, gdzieś w pobliżu Starego Arbatu, próbował chronić swą córkę przed nią samą.

I teraz, jadąc z nią autem przez Londyn, obserwował ją kątem oka. Była jeszcze młodziutka, a tak bardzo starała się być dorosła. O wiele za wcześnie starała się rozmawiać z nim jak równy z równym, nie być dzieckiem, które sprawia kłopot, lecz partnerem. Udawało jej się to przez lata – tak przekonująco grała przed nim nieskomplikowaną, idealną córkę, że zapomniał, jaka jest naprawdę.

W końcu mała dziewczynka nieodwołalnie pozostawiła za sobą dzieciństwo i zaczęła się przeobrażać w młodą kobietę, wypróbowującą niczym kameleon coraz to nowe kolory farb do włosów, i wówczas stała się bezkompromisowa, i zawzięcie zaczęła grzebać w jego przeszłości, ryc w niej jak opętana, jakby każdy ślad jego dawnych czynów prowadził wprost do niej. Wtedy zaczął się przy niej czuć niepewnie, zaczął bać się jej nieustępliwości i jej wymagań. Jego decyzja o wysłaniu Ady do Genewy, gdzie miała dokończyć naukę, była podyktowana tym, że czuł się nią zmęczony, miał dosyć jej bezkompromisowości. Poddał się, tak jak kiedyś skapitulował przed głodem życia jej matki.

Ale tego wieczoru, kiedy jechali limuzyną przez Londyn, Ada była nastawiona przyjaźnie, w takim stopniu, na jaki było ją stać. Przyjechała na ferie zimowe do domu, a on wziął dwa tygodnie wolnego, tylko dla niej. Wyjazd do Londynu też był częścią programu ratowania ich zagrożonej bliskości. Jewgienija sprzyjała temu zamiarowi, jej łagodność i delikatny sposób bycia zawsze zresztą godziły go z Adą, odbierały im chęć kłótni. Lecz tym razem chciał, by do niej doszło.

Wspólne dni w Londynie były piękne, spokojne, czuł się z Adą bezpiecznie i blisko. Posiłki były cudowne, obejrzeli wystawę w Tate Gallery. Cieszyło go, że Ada nie odrzuca jego pasji, przeciwnie – z upływem lat

rozwinęła swój własny, wyraźny gust w dziedzinie sztuki, zwłaszcza sztuki użytkowej. Snuli plany na wakacje, dyskutowali o polityce, co było nowością, a potem, kiedy spacerowali po Kensington Gardens, Ada powiedziała nagle, że w tym semestrze ma na studiach dwa główne przedmioty – sztukę i politykę i właśnie pisze referat o obu wojnach czeczeńskich. A on zamarł wewnątrz, choć nie dał tego po sobie poznać, szedł dalej, noga za nogą, z rękami w kieszeniach płaszcz, jakby te ręce mogły go zdradzić. Najwyraźniej chciała, żeby ją spytał, dlaczego wybrała ten temat, by mogła odpowiedzieć: „No, z twojego powodu, przecież tam walczyłeś, zawsze chciałam cię o to zapytać”. A wtedy musiałby kłamać i fatalnie by się z tym czuł.

Z pomocą fachowców zredukował do minimum informacje o sobie kursujące w publicznym obiegu i tam, gdzie to było możliwe, usunął swoje nazwisko. Lecz krwawy ślad dawało się wytropić, bo przeszłość nie była łatwa do zatarcia.

Więc zmienił temat, powiedział, że jutro polecą do Wenecji, odbędzie się tam ciekawa licytacja, interesuje go obraz, który jej też się spodoba... Wenecja i obrazy to były dwie namiętności w jego i jej życiu.

Ada zakochała się w Wenecji już jako dziewczynka. Poddała się urokowi tego miasta pełnego labiryntów, którego świetność nieubłaganie niszczył upływający czas, i zawsze chciała tam z nim jeździć, zaczęła też uczyć się włoskiego, który opanowała zupełnie dobrze. Wspólnie obejrzel mnóstwo obrazów i wystaw, brali udział w wielu licytacjach, aż w końcu kupił dla niej pałac w pobliżu Volta di Canal, z olbrzymim ogrodem na tyłach i z loggią sklepioną potrójnym łukiem, w której podczas prac restauracyjnych odkryto polichromię pokrywającą ściany, tak zachwycającą, że potrafił wstawać nocą, by w świetle latarki przyglądać się malowidłom.

– Nie pytasz, dlaczego piszę o Czeczenii? – zaatakowała Ada, zmuszając go do podjęcia tematu.

– Znam odpowiedź.

– Jak ona brzmi?

– Bo tam byłem. Bo wmawiasz sobie, że w ten sposób dowiesz się czegoś o mnie i o sobie.

– A tak nie jest?

– Nie, bo to, co było wtedy, dziś nie ma znaczenia. A to, co przetrwało, znasz, możesz tego dotknąć, poczuć, reszta się nie liczy.

Ada chciała coś odpowiedzieć, poczuł, że się zjeżyła, że zaczęły drżeć skrzydełka jej nosa, lecz spojrzał na nią i dał jej jednoznacznie do zrozumienia, że dla niego temat jest zamknięty. Nie dałaby mu spokoju, ciągle wracałaby do tej sprawy, więc chociaż od dawna się spodziewał, że kiedyś zacznie zadawać pytania o czas przed jej urodzeniem, o tamtą kaukaską wioskę i martwą dziewczynę, to teraz był zdenerwowany, nawet wściekły, jakby nie miała prawa o to pytać, jakby wracanie do przeszłości było zakazane, jakby to była zdrada. Postanowił bardziej się pilnować, żeby nie wymknęło mu się nic, co mogłoby naprowadzić ją na trop.

Tego wieczoru w Londynie miała na sobie granatowy płaszczyk narzucony na złotą sukienkę, którą Jewgienija ofiarowała jej na tę niezwykłą galę i którą, wyjątkowo bez żadnych fochów, od razu na siebie włożyła. Tylko krótka fryzurka, którą nosiła od niedawna i która czyniła ją dziwnie bezbroną, nie pasowała do całości.

Mimo wszystko błyszczała tego wieczoru jak niedostępna gwiazda i przyciągała spojrzenia, a on odczuwał dumę, choć była to duma, z którą sam nie czuł się najlepiej. Młody Biely też był na gali i nie wiedział, co z sobą począć. Rozumiał go, bo dobrze pamiętał, jak to jest, gdy ma się szesnaście lat i nic nie wprawia w taki popłoch, jak spojrzenia o wiele dojrzalszych dziewcząt w tym samym wieku, dziewcząt bardziej świadomych siebie i lepiej radzących sobie ze światem.

– Jak mam to rozumieć? Chcesz się z tego oczyścić? – spytała cicho, nie patrząc w jego stronę.

– Powiedziałem przecież: to była raczej ogólna metafora. Nie chwytaj mnie za słowa. I zapuść sobie znowu włosy. Ta okropna chłopięca fryzura do ciebie nie pasuje.

– Nie zmieniaj tematu. A długie włosy przeszkadzały mi w nauce i myśleniu, musiałam je obciąć, żeby nie opadały mi na twarz. Więc co się stało w Czeczenii, że nie chcesz o tym rozmawiać?

Nie spodziewał się, że zapyta wprost. Chociaż przez wszystkie te lata wiedział, że kiedyś padnie to pytanie, teraz był zbulwersowany. Jakby pytanie do niej nie pasowało. Jakby było zbyt trujące dla jej ust, jakby musiało kaleczyć jej język. Lecz zadała je właśnie teraz, na krótko przed maturą, w jego limuzynie, którą jechali przez udekorowane bożonarodzeniowo Mayfair, po wyjściu z przepelnionej sali klasycystycznej willi na Charles Street.

Chociaż wiedział, że rozsądnie byłoby kazać kierowcy się zatrzymać, wysiąść z Adą z auta, pójść na spacer i opowiedzieć jej o tym, co zasypał w sobie dwadzieścia lat temu, nie potrafił się na to zdobyć.

– Nie powinnaś wtykać nosa w nie swoje sprawy, w rzeczy, do których nie dorostaś. Co możesz wiedzieć o wojnie?! Co możesz wiedzieć o śmierci?! Powinnaś się cieszyć, że dorastałaś, tak jak dorastałaś, cieszyć się ogromem przywilejów, którymi dysponujesz z racji pochodzenia.

Jego głos, z początku stłumiony, przybierał na sile. Ada oddychała szybko, starając się nad sobą panować. Siedziała wyprostowana i nieruchoma jak rzeźba, ze wzrokiem utkwionym w kolorowych światłach za szybą.

– Ile razy mówiłem, że nie powinnaś wierzyć w to, co inni o mnie opowiadają! Ile razy upominałem, że powinnaś być ponad tym całym brudem, w który chcą nas wciągnąć! Chcesz być dobra? Chcesz pomagać? Rób to. Bądź dobrym człowiekiem. Daję ci wszystko, otwieram przed tobą wszystkie drzwi, a ty? Co ty robisz? Zwracasz się przeciwko mnie i tarzasz się w błocie. Upokarzasz mnie i swoją matkę... Twoja matka...

Przerwał. Rzadko o niej rozmawiali. Gdy Ada była dzieckiem, słowo

„mama” padało w co drugim zdaniu, potem zamknęła w sobie tę ranę, nauczyła się sama radzić sobie z bólem i tęsknotą, unikała wspomnienia o matce.

Zdawało się, że na moment zabrakło mu powietrza. Zatrzymać samochód, wysiąść, opowiedzieć jej wszystko – tak, ale był jak skamieniały, wściekłość ścisnęła mu gardło. Tamta noc w tej zapomnianej przez Boga górskiej wsi zrujnowała mu życie, odebrała możliwość stania się tym, kim chciał być. Nie było tu nic do wyjaśniania, nic do powiedzenia, nie istniała prawda, która mogła cokolwiek wyprostować, uleczyć. Prawda była brudna, bolała jeszcze bardziej niż niepewność. Nienawidził jej.

– Była wojna. Powinnaś się cieszyć, że nie przeżyłaś wojny! Zostawisz w spokoju ten nieszczęsny rozdział mego życia?! Nie napiszesz na ten temat żadnego referatu, rozumiemy się?!

– Powiedz mi po prostu, co się wtedy stało...

Była bliska łez, ale nie robiło to na nim wrażenia, czuł tylko wściekłość, że jest tak uparta. Zastukał w szybę i kazał zatrzymać auto na najbliższym skrzyżowaniu. Potem wysiadł, mówiąc kierowcy, by odwiózł Adę do hotelu Savoy, w którym się zatrzymali.

Zatrzasnął za sobą drzwi samochodu i oddalił się szybkim krokiem. Musiał uspokoić myśli, zyskać dystans, nie mógł stracić nad sobą kontroli. Nie ze względu na nią, nie.

W towarzystwie ochroniarza, który siedział obok kierowcy i wyskoczył z auta zaraz za nim, szedł mieniącą się świątecznymi dekoracjami ulicą, przy której stały niskie domy, i przeczuł, a raczej zrozumiał, że pytanie, które zadała Ada, zrobiło niebezpieczną rysę na ich relacji i nie pozostanie bez konsekwencji.

Rok później w życiu Ady pojawił się ten nieszczęsny pismak. Wraz z nim powróciła też sprawa przeszłości ojca, wciągając Adę w śmiertelny splot wątpliwości, niepewności i lęku.

Jewgienija w czarnym kostiumie kąpielowym stała oparta o ścianę i przyglądała mu się. Zauważył ją dopiero teraz, zwolnił tempo, a potem podpłynął do brzegu basenu i spojrzał na nią w górę. Ciągle ją uwielbiał, nawet teraz, kiedy czuł w sobie nienawiść, nienawiść do tego człowieka, który przywiódł Adę do zguby i stał się heroldem ogłaszającym najstraszniejszą wieść w jego życiu. Uśmiechnął się do Jewgienii. Jej twarz była nieprzenikniona, nie mógł z niej nic wyczytać. Była jedną z niewielu osób, której nie potrafił zgłębić, dlatego nigdy się nią nie znudził. Może to dlatego się w niej zakochał.

– Wracaj – powiedziała i wyciągnęła rękę w jego stronę.

Zbyt dobrze go znała, żeby robić sobie nadzieje. Wiedziała, że go nie zatrzyma ani nie zwiąże – z sobą ani z życiem. A on wiedział, że ona była owładnięta miłością do niego. Zastanawiał się, co by było, gdyby udało jej się zajść w ciążę, gdyby urodziło im się dziecko. Czy to dziecko związałoby go z terażniejszością, z Jewgieniją? Nie znał odpowiedzi i odepchnął od siebie wspomnienia długich lat prób i cierpień, niezliczonych klinik na całym świecie, zabiegów, jakim poddawała się Jewgienija, terapii hormonalnych rujnujących jej psychikę oraz bolesnych rozczarowań. Chciał, choć uważał to za niemożliwe, jeszcze jednego dziecka oprócz Ady, z kobietą, która nie była matką Ady. Lecz czuł niemal fizycznie, kiedy poznał Jewgienię, że powinien z nią zostać. Ada odgadła od razu, że Jewgienija nie jest jego kolejną przelotną miłostką, z rodzaju tych, które trzymał z dala od swej córki, co Ada milcząco akceptowała, domyślając się, że żadna z nich nie jest dla niego na tyle ważna, żeby ją jej przedstawiać.

Jewgienija usiadła na brzegu basenu i machała stopami zanurzonymi w wodzie. Objął jej kostki, czując pod palcami ich gładkość i delikatność.

Ona też, tak jak matka Ady, chciała czerpać z życia pełnymi garściami. Lecz robiła to po trochu, małymi porcjami, nie tak jak matka Ady, która wyszukiwała najbardziej toksyczne ingrediencje, jakby w życiu chodziło o to, by wylapywać to, co najbardziej niszczące.

– Chyba nie ma sensu odwozić cię od tego wszystkiego? – powiedziała.

Uwolniła kostki z jego dłoni i podwinęła nogi. Poczł naraz, że ogarnia go ciężkie jak ołów zmęczenie. Najchętniej zasnęby w jej ramionach i spał, spał.

– Tego wszystkiego?

– Proszę cię, nie jestem głupia.

– Nie wiem, do czego zmierzasz.

– Zaangażowałeś tę aktorkę. Znów wpuściłeś do naszego domu Onna Bendera. I wysyłasz Szapirę do Moskwy. Nie robisz tego bez celu.

– Tak myślisz?

– Nie jestem ślepa. Chcesz coś wznowić, tylko nie wiem, co sobie po tym obiecujesz. Adzie życia nie przywrócisz.

Pociągnął ją za nogę. Machnęła ręką, chcąc się czegoś chwycić albo może go odepchnąć, lecz daremnie – wpadła w niebieską nieważkość.

– Co to ma znaczyć?! – krzyknęła, wynurzając się na powierzchnię.

Widać było, że czymś się gryzie. To był początek końca, wiedzieli o tym od dawna. Nie robiła sobie nadziei. Zaraz po pogrzebie, kiedy nie wychodził ze swego pokoju, leżał tylko bez ruchu ze wzrokiem utkwionym w ścianie, zapytała go wprost, czy ma od niego odejść. Pokręcił głową, więc została.

– Słyszałam twoją rozmowę przez telefon. Zmieniłeś testament? Co zamierzasz, Aleks?

Nie odpowiedział. Odplynął. Nie mógł znieść zawodu malującego się na jej twarzy. Tak, jego przeszłość była toksyczna, Jewgienija nie powinna mieć z nią żadnej styczności. Tak, byli szczęśliwi. I chociaż nie udało mu się uczynić jej matką – choć zdaniem lekarzy był zdolny do poczęcia potomstwa, a ona do urodzenia dziecka – czyli spełnić jej najgłębszego pragnienia, wiedział przecież, że byli szczęśliwi.

Przez wszystkie te lata u jego boku postępowała wzorowo. W jego relację

z Adą – w tę „jedność dwojga”, jak ją w głębi duszy nazywał – weszła ostrożnie, łagodnie.

Niewiele jego kobiet Ada poznała osobiście. Jego przelotne związki przyjmowała ze stoickim spokojem, nie zadając pytań i nie przejawiając dziecięcej zazdrości. Lecz kiedy na horyzoncie pojawiła się ta drobna kobieta emanująca wewnętrznym spokojem, w życiu Ady zmieniło się wiele. W tym czasie zresztą zaszło więcej zmian: wyjechała do Szwajcarii, zmieniła język, przyjaciół, zostawiając wszystko, co znała. Była wprawdzie przyzwyczajona do towarzyszenia ojcu podczas podróży w interesach, ale przeprowadzka do innego kraju to co innego. Interesy zmuszały go już wcześniej do wyjazdów na Zachód i Ada jeździła razem z nim. Zachowywała się jak partnerka biznesowa – nie mieszała się do rozmów, a zapytana odpowiadała uprzejmie. Opanowała reguły obowiązujące w wielkim biznesie.

Aż pewnego dnia – byli wtedy w Rostoku, gdzie chciał kupić stocznię, i w drodze powrotnej zahaczyli o Berlin – znenacka oświadczyła: „Wydaje mi się, że mogłabym mieszkać w tym mieście”.

Nie powiedziała tego wcześniej ani o Nowym Jorku, ani o Londynie, ani o Tokio, ani nawet o ukochanej przez oboje Wenecji. A teraz nagle – Berlin i chęć, żeby tu zostać.

Była wtedy jeszcze taka młoda, a jednocześnie tak dorosła w swoich decyzjach. Kiedy zapytał, dlaczego musi to być właśnie szary Berlin, odparła, że to miasto jest takie, jakby fragment Wschodu przenieść na Zachód, i że nie miałyby tu poczucia, że „całkiem wyjechała”. Wiedział, co miała na myśli, rozumiał ją, choć sam dotąd nie rozważał przeniesienia się na stałe do Niemiec. Ale kończył już ze swoją ojczyzną, dostatecznie się w niej obłowił i na wiele więcej nie miał perspektyw, nie ryzykując dostania się między dwa wrogie fronty. Więc jej pragnienie uznał za dobre również dla siebie.

– Porozmawiaj ze mną, do diabła! – krzyknęła Jewgienija po rosyjsku, niezupełnie poprawnie akcentując słowa, i popłynęła za nim.

– Wiem, że wiele od ciebie żądam, ale kiedyś wszystko zrozumiesz,

Jewgienijo, obiecuję, a teraz musisz mi po prostu zaufać – odpowiedział uspokajającym tonem.

Nie patrzył na nią, by nie zobaczyć wyrazu jej twarzy, takiego samego jak wtedy, gdy wyrwała mu z rąk pismaka, tego kruka zapowiadającego nieszczęście, który wśliznął się w życie jego córki i udając miłość, zamglił jej umysł. Chciał mu skrócić kark, gdy rzucił się na niego w holu swej willi. Tak, tej twardo kochającej kobiecie, która sprawiała wrażenie tak delikatnej, pismak zawdzięczał ocalenie.

– Co zamierzasz? Chcę po prostu wiedzieć – nalegała, a jej głos brzmiał teraz głucho i matowo.

Tak, naprawdę umiała żyć u jego boku, być jego żoną, choć zdawało się, że było to zadanie niemal niewykonalne. I to przez sześć lat – okres przerastający możliwości zwykłej kobiety. Nie zawiódł się na niej. I pragnął, żeby też chciała w to wierzyć, żeby nie żałowała, nie żałowała jego, nieprzystępnego człowieka, któremu trudno było dać dowód miłości. Imponowało mu, że jest kobietą pozbawioną iluzji, że jest dumna i że – w odróżnieniu od wszystkich innych kobiet – nie jest potulną myszką, którą onieśmiela jego status. Życie, jakie wiodła do chwili, gdy przypadek, los lub po prostu splot wydarzeń zaprowadził ją do świeżo kupionej przez niego willi, można było uznać za w pełni udane, spełnione, godne pozazdroszczenia. Wiele kobiet pragnęłoby takiego życia. Lecz jej brakowało czegoś istotnego, decydującego, czegoś, co dla wielu było tak oczywiste, że nie przyszłoby im do głowy za tym tęsknić, ona natomiast tęskniła i żeby tę tęsknotę zatuszować, poradzić z nią sobie, sprawiła sobie coś w rodzaju kamizelki ochronnej.

Była twarda, żeby nie być miękka. Przestrzegała zasad, żeby nie wyjść na głupią. Była surowa, żeby nie wpaść w pułapkę naiwności. Była rozsądna, żeby nie zagroził jej brak rozumu. Mimo to on dostrzegł w niej tę skrytą tęsknotę i zaczął ją w niej rozbudzać. Inaczej nigdy by jej nie zmiękczył, nigdy jej nie zdobył, nie dlatego, że nie była go ciekawa, dostatecznie szalona, żeby mu zaufać, lecz dlatego, że sobie postanowiła, iż nigdy nie da

się usidlić.

Była świetnie wykształcona, szła prostą drogą, świadoma swych obowiązków, nie popełniała błędów, a jednak w złotej klatce jej dzieciństwa brakowało czegoś zasadniczego: jakiejś dysfunkcji, zagrożenia jakąś porażką, czegoś, co wymykało się logice, kontroli i planowaniu, czegoś nieprzewidywalnego, a przez to ludzkiego.

Jej kariera była książkowa, miłość do rodziców sterylna jak w prywatnej klinice. Tęskniła za tym, żeby choć raz stracić nad sobą kontrolę, doświadczyć chaosu, czegoś, co wyrwie ją z rutyny.

I kiedy to zrozumiał, zmienił technikę podboju. Przestał zapraszać ją do ekskluzywnych restauracji i na wycieczki jachtem, przestał jej przysyłać oszałamiające bukiety. W zamian zaskoczył ją w środku nocy, dzwoniąc lekko zawiany do jej drzwi, sam, bez Szapiry czekającego na dole. Przycisnął ją do ściany, chwycił w pasie i całował z zapamiętaniem, tak jak nie całował nikogo, odkąd... Szybko przestała protestować, walczyć z sobą, a kiedy się poddała, ujawniła się jej niesamowita siła, która przerosła jego oczekiwania i wprawiła go w szal radości.

Całowała go z niespodziewaną namiętnością, wbijała paznokcie w jego głowę, stała się zręczna i brała to, co chciała. Mruczała przy tym jak czarna, leniwa kotka i wtulała się w niego jeszcze mocniej. Objęła nogami jego biodra, ostrożnie zniżali się po ścianie, wczepieni w siebie i było to upojne, wyzwalające uczucie. Kładł ją na twardym parkiecie, ona brała go w objęcia, pozwalała ściągnąć sobie bieliznę i patrzyła na niego. Żadnego uciekania wzrokiem na bok, żadnego niepewnego pochrząkiwania – patrzyła mu prosto w oczy, on czuł jej siłę i wiedział, że jej warunkiem, stawianym mu bez słów, jest to, żeby przestał nad sobą panować, choć to mogło być dla niego niebezpieczne. Odpowiedział jednak na jej pragnienie i zanurzył się w nią. W niej było wirowanie, potem burza, a on, dopasowując się do jej ciała i oddając się mu do dyspozycji, pomyślał, że może to ona właśnie stanie się jego portem.

– Aleksandrze, tak łatwo mi się nie wymkniesz! – krzyknęła.

Słyszał za sobą jej oddech, doganiała go. Nie było sensu uciekać, więc podpłynął do brzegu basenu.

– Obiecałeś mi coś i będziesz musiał tego dotrzymać – powiedziała i pogłaskała go po nagim torsie.

Poczuł gęsią skórkę. Nie znosiła, kiedy się przed nią bronił. Rzadko pozwalał jej się dotykać, bo miała nad nim czarodziejską moc – uzależniła go od swego ciała, dotyku, bliskości – i teraz też próbował zignorować swe pragnienia, jakby hartując się przed walką, która go czekała. Do walki potrzebował chłodnego umysłu, musiał uruchomić wszystkie swoje zdolności, musiał być mocny, nie mógł okazać słabości. A ona była jego słabością.

– Jakiej to obietnicy muszę dotrzymać? – zapytał sarkastycznym tonem i zaraz zrobiło mu się żal, że tak z nią rozmawia.

– Że we wszystkim będziemy razem – powiedziała cicho. – Ja już nie mogę, Aleksandrze. Czuję się samotna. Musisz ze mną rozmawiać. Musimy z sobą rozmawiać i musimy znowu być blisko. Chcę, żebyś mnie dotykał. Tutaj, spójrz na mnie, tu, tu, tu jestem!

Dwoma zręcznymi ruchami pozbyła się kostiumu, nie wychodząc z wody, i rzuciła go na wykafelkowaną podłogę.

– Przestań! – zawołał.

Znowu poczuł wzbierającą wściekłość. Nagłą wściekłość, która nie opuszczała go od tamtej nocy, buzowała w nim dzień w dzień.

Nie dała jednak za wygraną, zbliżyła się do niego, objęła go za szyję, przywarła do niego.

– Pocałuj mnie.

Próbował się uwolnić, uważając, żeby nie zrobić jej krzywdy.

– Musisz pozwolić, żebym tam pojechał, nie ma innego wyjścia, muszę zakończyć tę sprawę... Nie możesz mi w tym pomóc.

– Ale to jakiś idiotyzm! – Nagle przeszła na niemiecki.

Czasem sprawiała wrażenie osoby pozbawionej ojczyzny. Może było tak rzeczywiście. Jej dzieciństwo i młodość upływały w tak wielu miejscach, że trudno było powiedzieć, które z nich było jej domem i który język był jej językiem ojczystym.

– Co chcesz przez to osiągnąć? Co ci to da? Wracanie do przeszłości do niczego przecież nie prowadzi... – ściszyła głos i znów próbowała się do niego zbliżyć.

Pozwolił jej objąć się za szyję, pozwolił, żeby pocałowała go zimnym, wilgotnym pocałunkiem w okolicy ust, ale sam ani drgnął, stał nieporuszony jak posąg, walcząc z trudnym do powstrzymania pragnieniem jej ciała.

– Gdybym wcześniej, jak to nazwałaś, wrócił do przeszłości, ona nadal by żyła!

Mimowolnie podniósł głos, a Jewgienija patrzyła na niego w osłupieniu.

– Czego więc ode mnie oczekujesz? Tak, straciłeś... straciliśmy ją, ale jestem jeszcze ja i ja cię potrzebuję!

W jej oczach pojawiły się łzy, lecz nie pozwoliła sobie na płacz, opanowała się i spróbowała po raz ostatni doprowadzić do zbliżenia, które choć przez chwilę dałoby jej złudzenie, że wszystko jest w porządku.

Przycisnęła się do jego piersi i pogłaskała jego krocze. Był napięty, każda pieśczoć mogła doprowadzić do eksplozji... Pozwolił jej się całować, jego język wcisnął się między jej wargi, ręce objęły jej piersi. Jęknęła, osłabła, obejmowała go za szyję, z twarzą przy jego twarzy. Gdy ją do siebie przyciągnął, zdjęła mu spodenki kąpielowe, lekkie, nic nieważące. Na ułamek sekundy odrzucił wszystko poza swym pożądaniem, wbił się w nią i zapomniał o całym świecie. Ona wessała się w niego, podczas gdy on z głośnym krzykiem zaczął zdobywać jej ciało. Krzyczał, przyciskając ją do zimnych, mokrych kafelków, i oboje wiedzieli, że niczego to między nimi nie naprawia, odsuwa tylko koniec, którego oboje nie chcieli, lecz do którego on

ją zmuszał. Kochał ją egoistycznie, wykorzystując jej ciało, by na krótko się pocieszyć, ale to jej nie przeszkadzało, była gotowa w ten sposób go przy sobie zatrzymać, wytrzymywać z nim. Często kochali się tylko dlatego, że był to dzień umożliwiający poczęcie dziecka. Oboje czuli, że nienawidzą tego rodzaju zbliżeń. Kończyły się zresztą rozczarowaniem – nie prowadziły do ciąży, jakby ich miłości nie było dane przynieść innego owocu niż czysta ekstaza, przyjemność, upojenie.

Opadł z sił i przytrzymując się brzegu basenu, trafił stopą w ścianę, odbił się i oddalił od niej, niszcząc wszystko, co go z nią łączyło.

Jewgienija stała oparta o ścianę basenu, woda odbijała jej tęskniącą, odrzuconą nagość. Otworzyła usta, próbując coś powiedzieć, lecz jej się nie udało, zabrakło jej słów, a może nagle straciły sens. Gwałtownie rzuciła się na wodę, podpłynęła do drabinki i wyszła z basenu.

Nie patrzył na nią. Wolał nie widzieć jej zranionego, lecz dumnie wyprostowanego ciała. Nie odwróciła się, podniosła tylko z podłogi strój kąpielowy i znikła w drzwiach. Wiedział, że wkrótce załamie się pod ciężarem niewypowiedzianego i odejdzie. Jej uraza zacznie zatruwać wszystko, co ich łączyło. Ale nie mógł jej pomóc. Nie mógł dopuścić, żeby znowu narazić kolejną osobę na niebezpieczeństwo. I kiedy przymknął oczy, jego twarz rozjaśnił jakby cień uśmiechu.

– Dlaczego właściwie daliście mi to śmieszne imię?

Widział Adę oczami wyobraźni – mogła mieć osiem albo dziewięć lat – z głową opartą na jego ramieniu. Jechali pociągiem, dokąd, już nie pamiętał, ale na zewnątrz padał deszcz, to zapamiętał wyraźnie, a w przedziale było ciepło. Byli sami, pachniało herbatą i ciastem, które zabrali z sobą na drogę. Może Ada miała taką zachciankę, może koniecznie chciała pojechać pociągiem, dokądkolwiek, a on spełniał jej życzenie.

– To był mój pomysł – powiedział i wtulił twarz we włosy córki, pachnące szamponem i orzechami. – Nosisz imię pewnej postaci z powieści. Ze zwariowanej książki.

- Co to za książka?
- *Ada albo Żar* Nabokowa. Jesteś jeszcze za młoda, ale pewnego dnia dostaniesz ją ode mnie i zobaczysz, że wciągnie cię tak jak wtedy mnie.
- Czy mama lubiła tę książkę?
- Nie, nie chciała jej czytać, mówiła, że w zupełności jej wystarcza jej własna Ada. Ale imię polubiła od razu.
- To dobrze – odpowiedziała Ada w zamyśleniu i podniosła głowę z jego ramienia. – A kiedy ją czytałeś, tę książkę?
- Gdy było mi źle.
- I dodała ci sił?
- Nawet więcej.
- Co to znaczy?
- Pozwoliła mi przetrwać najgorszy czas w moim życiu.
- Czy to było, zanim się urodziłam?
- Oczywiście. Gdybyś wówczas była już na świecie, nie potrzebowałbym tej książki.
- No tak. Teraz przecież masz mnie.
- Właśnie, teraz mam ciebie.

DWA: KOSTKA RUBIKA

2016/KRUK

Otworzyłem oczy. Ustami chwyciłem powietrze. Duchota kabiny nie zapowiadała żadnej ulgi, ale przynajmniej odpędziłem sen, a raczej koszmar, a może wspomnienia, które – rozerwane na strzępy – nie chciały się odkleić od mojej pamięci. Byłem spocony i bolała mnie głowa. Obrazy, które widziałem we śnie, ciągle były żywe, realistyczne, jakbym oglądał film, i teraz, kiedy otworzyłem oczy, istniały nadal, znieruchomiałe, zastygłe.

Prześladowała mnie zwłaszcza ta jedna scena. Od dnia, kiedy Szapiro zaczął się na mnie pod moim mieszkaniem, ciągle pojawiała się przed moimi oczami, czasem w śnie, a niekiedy nawet na jawie. Jakby w mojej głowie igła adapteru przeskakiwała ciągle w ten sam rowek. Czasami zmieniały się szczegóły, lecz sytuacja ciągle była ta sama: Ada ze swoim ojcem stoi przed malowidłem olbrzymich rozmiarów. W ostatnim śnie była to płaskorzeźba biegnąca przez całą ścianę. Ada szepcze coś ojcu do ucha. Chciałem, żeby odwróciła się w moją stronę, spojrzała na mnie, zauważyła moją obecność, lecz między nami była niewidoczna dźwiękoszczelna ściana. Zastanawiałem się, dlaczego po prostu do niej nie podszedłem, zamiast stać i czekać, że mnie zauważy. Z jakiegoś powodu było to chyba niemożliwe. Generał wiedział, że tam jestem, lecz nie powiedział jej, nie chciał jej powiedzieć, zależało mu na tym, żeby się o tym nie dowiedziała. Głaskał ją po ramieniu, nachylił ku niej głowę i powiedział coś, czego nie mogłem zrozumieć, a w końcu rzucił mi lekceważące spojrzenie.

W samolocie nie było kompletu pasażerów, miejsce obok mnie pozostało wolne. Leżały na nim jakieś foldery i mój notes. W drugim rzędzie foteli starsza pani spała spokojnie, z lekko otwartymi ustami.

Za niecałą godzinę wylądujemy w Moskwie. Niewiele czasu upłynęło od chwili, gdy byłem tam ostatni raz. Wyjeżdżając z Moskwy rok temu, byłem

innym człowiekiem. Lecz to miasto, które codziennie wsysało w siebie miliony ludzi, żeby wypluwać ich po tygodniach, miesiącach czy latach, było mi obojętne.

W Moskwie odbierze mnie Szapiro i da mi dalsze wskazówki. Moim zadaniem było odnalezienie „trzech króli”, jak – sam nie wiem czemu – nazwałem tych trzech facetów w swoich notatkach. Zebrałem informacje o każdym z nich i przeglądałem je ciągle podczas ostatnich, prawie bezsennych nocy.

Czułem, że z każdym kilometrem przebytym przez samolot zbliżam się do czegoś, czego nie potrafię ująć w słowa. Ze zdenerwowania nie tknąłem posiłku podanego przez stewardesy, choć od rana nic nie jadłem. Niebo pod nami było ciemne, upstrzone pojedynczymi chmurkami o różnych kształtach.

Dni przed wyjazdem upłynęły jak w gorączce. Z kamerzystą Walerijem, który sprawiał wrażenie kogoś, kto nie potrafi mówić całymi zdaniami, umie tylko wydawać krótkie jak szczeknięcie polecenia: „W lewo!”, „W prawo!”, „Głowa prosto!”, „Nie w kamerę!”, omawiałem sposób nakręcenia wiadomej sceny, a Walerij kazał ją Kotce powtarzać bez końca. Szapiro uświadomił mi niemal brutalnie, że Generałowi nie chodzi o „wideo na wysokim poziomie artystycznym”, bo takie wzbudziłoby podejrzenia, lecz o scenę zarejestrowaną jakby ręką amatora. Szapiro przypominał wiernego, czujnego psa: trzymał się z boku, lecz pilnował, żebym robił swoje. Wydawało mi się jednak, że Kotka wie najlepiej, o jaki efekt nam chodzi. W podejściu do swego zadania przejawiała dużą aktywność i niemal dziecięcy zapał.

Ponieważ jej rosyjski brzmiał trochę twardo – nie mówiła nim od czasu, gdy ukończyła szkołę podstawową w Gruzji – i miała fatalny akcent, zdecydowaliśmy się na rozwiązanie w postaci tablic, na których umieściliśmy pojedyncze zdania napisane drukowanymi literami. Kotka trzymała je skierowane do kamery. Wiadomość, którą miała przekazać, podyktował nam Szapiro.

Cześć! Co słyhać? Mam nadzieję, że wszystko w porządku. Pamiętajcie

mnie? Ja pamiętam Was bardzo dobrze i wyraźnie, jakby to było wczoraj. Przekazuję wam wiadomość od żołnierza Orłowa. Chciałby znów Was zobaczyć i zaprasza na spotkanie 31 grudnia 2016 roku w hotelu Kezenoj w Czeczenii. Jedzenie i picie, jako że jest to sylwester, będzie oczywiście zapewnione. Ponieważ chodzi o spotkanie starych znajomych, nie przewiduje się na nim obecności osób towarzyszących. Na życzenie organizuje się dowóz na miejsce. Cieszymy się perspektywą wspaniałego świętowania i oczekujemy potwierdzenia udziału w spotkaniu do następnej soboty.

Nakręciliśmy pięć wariantów tego pozornie błahego wideo. Wyboru spośród nich miał dokonać Generał. Tylko on wiedział, który wariant wiozłem teraz z sobą. Ze swymi dawnymi kompanami z wojska Generał rozpoczął grę, której zakończenie już ułożył. Moje wizyty u byłych żołnierzy miały być rodzajem rybki rzuconej na przynętę i kiedy o tym myślałem, z każdą minutą stawało się dla mnie bardziej oczywiste, że za tym planem krył się inny plan. Bo na cóż Generał potrzebowałby całego tego przedstawienia? Dlaczego sam nie odwiedził każdego z dawnych kolegów? Nie potrafiłem przejrzeć jego planu. Generał przewidział dla mnie pewną rolę, tylko jaką? Ale było mi wszystko jedno – powiedziałem sobie, że tym razem doprowadzę do końca tę historię, którą zacząłem pisać przed laty i nie skończyłem. Napiszę ją, bo tego chciałyby Ada.

Przeglądałem swoje notatki – teczkę pełną pożółkłych wycinków z gazet na temat procesu z 1996 roku. O Stanisławie Pasternaku, który za ujawnienie prawdy o śmierci czeczeńskiej dziewczyny zapłacił własnym życiem, czytałem i słyszałem tyle, że czasami wydawało mi się, iż go znałem.

Kilka razy chciałem się skontaktować z Nikitą, jego młodszym bratem, chwytałem za słuchawkę albo zaczynałem pisać e-mail, ale na tym się kończyło. I choć sam przed sobą się do tego nie przyznawałem, dobrze wiedziałem, skąd ta niemoc: wstydiłem się, że nie dorastałem mu do pięt, nie dopiąłem wtedy swego celu, bo na drodze stanęło mi życie, przeszkodziły wątpliwości, obawy i – miłość. Nikita, którego życie śmierć brata wywróciła

do góry nogami, od zawsze był dla mnie wzorem, punktem odniesienia i oparciem w każdym kryzysie. Śmierć Stasa zrobiła z niego fantastycznego dziennikarza, który swoje zadanie widział w tym, by odsłaniać przed światem historie, zwłaszcza te mające pozostać w ukryciu.

Poznaliśmy się i zaprzyjaźniliśmy w trakcie mojej pracy nad książką o Białym. Opowiadał mi wiele o Stanisławie i o procesie, przez co zwróciłem uwagę na Orłowa. Odradzał mi pisanie o historii Generała, przestrzegał, że jeszcze nie jestem do tego gotowy, że on rozgniecie mnie jak muchę. Czułem się urażony, zarzucałem mu tchórzostwo, bo w swojej pysze i manii wielkości, które oładnęły mną po publikacji mojej pierwszej książki, uważałem, że nikt nie jest w stanie mnie tknąć i że zdołam pokonać Goliata.

A potem, kiedy dramatycznie zostałem skonfrontowany z realiami, duma nie pozwoliła mi skontaktować się z Nikitą, przeprosić go i przyznać, że miał rację, powiedzieć, jak bardzo się myliłem i jak się cieszę, że nie przypląciłem tego życiem, ja, człowiek o wiele bardziej tchórzliwy niż on i jego brat.

Może byłoby uczciwie, gdybym przed rokiem usiadł i wszystko mu opisał, może przedstawienie mu tego sprawiłoby, że by mnie zrozumiał i mi przebaczył, a potem sam doszedłbym do punktu, w którym życie staje się po części obcą historią i wymyka się spod kontroli.

Poprosiłem o piwo, wyłączyłem mdłą lampkę nad fotelem, oparłem głowę o okrągłe okienko samolotu i zacząłem sobie przypominać swoje pierwsze moskiewskie lata – małe mieszkanko przesiąknięte zapachem kapuśniaku. Moskwa była wtedy eldoradem dla ludzi ogarniętych gorączką robienia pieniędzy, lubiących ryzyko, świat ciemnych interesów, a także dla chcących mieć poczucie, że uczestniczą w czymś wyjątkowym, naprawdę ważnym, że trzymają rękę na pulsie.

W dole zaczął się rozwijać dywan światła i po chwili dostrzegłem molocho – miasto w całej jego ambiwalentnej krasie.

Nieuprzejmość celników przypomniła mi natychmiast, że znów jestem w Rosji. Uśmiechnąłem się pod nosem. Kiedy wychodziłem z budynku

lotniska, w twarz uderzyło mnie mroźne, ostre jak brzytwa powietrze. Było jeszcze bezśnieżnie, ale mysia szarość nieba zapowiadała lada moment opady.

Podjechało jakieś auto. Na tylnym siedzeniu siedział Szapiro. A więc Charon został wysłany, by sprawdzić, czy pewnie wchodzę do łodzi. Korek na drodze przypominał obżartego węża, który posuwa się naprzód tylko milimetr po milimetrze.

– Zawiozę cię teraz do hotelu. W pokoju będą dwie koperty, każdemu z nich przekażesz jedną, dam ci też ich adresy.

Był to luksusowy hotel na Nikolskiej. Zirykowało mnie, że Szapiro wybrał mi takie wytworne otoczenie, ale wyjaśnienie było proste: on też mieszkał w tym hotelu, by mieć mnie na oku.

Zupełnie zapomniałem, ile twarzy ma to miasto i jak niewielu ludziom dane jest poznać je wszystkie. St. Regis ze swoją wyrafinowaną dekadencją oddalone było o lata świetlne od mojego świata, ale nie skomentowałem tego i przycisnąłem twarz do szyby samochodu. Oczywiście umieszczenie mnie w tym hotelu nie było żadnym gestem przyjaźni – miało mi to raczej uzmysłwić, że jestem tylko marionetką i że to Generał pociąga za sznurki. Miałem dokładnie wykonać wyznaczone zadanie i myśleć o wszystkim tak, jak on chciał, żebym myślał. Bo chodziło tylko o to, co na końcu tej podróży zrobię z jego historią, jaką historię powinienem napisać.

Drzemałem, podczas gdy Szapiro pilnie coś wystukiwał na swoim smartfonie. W mojej głowie zaczęły się pojawiać obrazy bez związku, ale wszystkie łączyły się z Moskwą.

Ja, zadufany w sobie dziennikarz, wieczory przy wódce z Nikitą i jego przyjaciółmi dziennikarzami prasowymi i radiowymi, którzy kłócili się o politykę, chodzili w wyciągniętych swetrach, często grali na gitarze, bez przerwy zajadali się kiszonymi ogórkami i tworzyli diabelnie niebezpieczne reportaże.

Były to wspomnienia z mojego jednopokojowego mieszkania na szóstym piętrze, w trochę zaniedbanym wieżowcu w pobliżu stacji metra Sportiwnaja.

Przypomniałem sobie stary komputer ze sfatygowaną klawiaturą i rozrzucone po całym mieszkaniu karteluszki. Bary w dzielnicy Kitaj-gorod, gdzie najczęściej umawiałem się z Nikitą i z przyjaciółmi, których dzięki niemu poznałem. Przypomniałem sobie dziewczyny, które zaczepialiśmy uśmiechami. Poszukiwania informacji o Biełym, lęk pojawiający się głównie nocami, który konsekwentnie próbowałem ignorować. Alkoholika z pierwszego piętra, Wołodię albo Walerija, już nie pamiętam, jego delirium po bezustannym picciu, gdy tracił nad wszystkim kontrolę – nad swoim życiem, nad jelitami i nad swoją psychiką.

Przypomniałem sobie, że miałem wtedy poczucie, iż jestem na właściwym miejscu we właściwym czasie. Widok na morze świateł z mojego okna, przerwy na papierosa, które robiłem, patrząc z góry na miasto z poczuciem, że niczego mi nie brak. Tak, dopóki ignorowałem lęk, najwierniejszego towarzysza mego życia, wszystko było w porządku.

Mój lęk w mniejszym stopniu dotyczył poważnych niebezpieczeństw, w jakie świadomie się wtedy pakowałem powodowany naiwnym, a zarazem dekadentckim pragnieniem konfrontacji z własnymi emocjami, bardziej zaś – braku materiału na opowieść. Tak, często udawałem ślepego i głuchego, co Nikita i jego przyjaciele ostro krytykowali. Zachowywałem się tak, kiedy grozili mi ludzie Biełego, kiedy podczas jednej z moich podróży stanąłem przy kraterze, w miejscu, które kiedyś było miastem, otoczony watażkami z przewieszonymi przez plecy kałasznikowami, robiłem tak, kiedy siedziałem naprzeciw ludzi, którzy rozmawiali o tym, jak wyrwać trzewia z brzucha wroga, bo tylko to mogło przywrócić im spokój. Zachowywałem się jak dziecko, które nakrywa głowę kocem, czekając, aż to, czego się boi, zniknie. Ten trik najczęściej działał. Działał, dopóki nie spotkałem Orłowa.

Ostatnim wspomnieniem, które pojawiło się w mojej głowie, był płaszcz Ady ze sztucznego futerka o zmierzwionym włosie. Nosiła go po powrocie z Moskwy. Był to rok, gdy Orłow świętował swoje urodziny w Moskwie, a ja byłem jak roślina, którą zapomniano podlewać i zmarniała pod nieobecność ogrodniczki. Nasze spotkanie z Adą w Berlinie, kiedy odłączyła się od świty

otaczającej jej ojca i biegła do mnie w tym płaszczu, który wydawał mi się uroczystą szatą królowej. Rzuciliśmy się na jakieś jedzenie w barze, nucąc przy tym fałszywie *I Want to Know What Love Is*, a potem daliśmy upust tęsknocie naszych ciał, wycalowując ją z siebie i wysysając.

– Znajdziesz tych dwóch i każdemu wręczysz kopertę z listem i pendrive'em z nagraniem wideo. Mów jak najmniej, niczego im nie wyjaśniaj. Mają osobiście odebrać kopertę, to wszystko. Nie zapominaj, że jesteś tylko posłańcem – pouczył mnie Szapiro, gdy zostałem już zameldowany w hotelu St. Regis. – Każdego wieczoru będziesz mi zdawał jak najdokładniejszą relację z całego dnia. Będziemy się spotykać w barze hotelowym o dziesiątej. Zrozumiałeś? Za trzy dni lecimy do Marrakeszu.

– Myślałem, że Pietruszow będzie tutaj.

– Nie, Pietruszow mieszka w Marrakeszu i według moich informacji w najbliższym czasie nie wybiera się do Moskwy. O co chodzi? Boisz się latać? – zaśmiał się Szapiro.

Zabrzmiało to jak śmiech robota z pewną trudnością imitujący prawdziwy ludzki śmiech.

– Zastanawiam się, co oni sobie pomyślą. Przecież będą wiedzieli, że ta dziewczyna na nagraniu to nie jest prawdziwa Nura. Na co liczy twój pan?

– Zadajesz zbyt wiele niepotrzebnych pytań.

– No, chyba jednak potrzebnych, mam w końcu to wszystko kiedyś opisać.

Puściłem do niego oko, zdając sobie oczywiście sprawę, że nic nie wskóram.

– Dostaniesz wszystkie potrzebne informacje.

– Wierzysz, że oni tak po prostu przyjmą to zaproszenie?

Szapiro spojrzał na mnie takim wzrokiem, że poczułem na plecach zimny pot, po czym odwrócił się i odszedł, znikając w złożonych dekadentckich

wnętrzach, które dopiero teraz naprawdę spostrzegłem.

„Oni nigdy tak po prostu nie przyjmą tego zaproszenia”. To zdanie, wypowiedziane przez Generała na końcu naszego spotkania, uzupełniło w mej głowie całą sprawę.

Windziarz, który przez cały czas czekał w holu przy windzie, skinął uprzejmie głową, gotów w każdej chwili zawieźć mnie na górę.

Znalazłszy się w pokoju, rzuciłem się na podwójne łoże i nie ściągając kurtki, zacząłem wertować materiały w teczce. Potem zrobiłem sobie whisky z lodem i wodą sodową, stanąłem na chwilę przy oknie i patrzyłem na nocne życie ulicy pode mną.

„Jesteś tylko posłańcem” – powiedział Szapiro. Jaki skutek miało odnieść wideo? Przecież Generał mógł po prostu zmusić tych dwóch, żeby stawili się w wyznaczonym miejscu. Miał na to dość ludzi, odpowiednią siłę. Było oczywiste, że żaden z nich nie chce kontaktów z dawnymi towarzyszami po tym, co się stało. Co w tym wszystkim mogło zmienić wideo?

Grzebałem w teczce, szukając dwóch czarno-białych zdjęć z twarzami tych mężczyzn. Oba zostały zrobione mniej więcej w tym samym czasie, może na początku 1996 roku, nie byłem pewien. Dwie postacie o gniewnym wyglądzie zmierzające do budynku sądu we Władykaukazie, gdzie miał się odbyć proces. Pułkownik Szujew, choleryk i postrach żołnierzy, oraz naiwny szeregowy Juricz, który dawał sobą manipulować.

Szujew

Droga życiowa Andrieja Szujewa była z góry ustalona.

Pochodził z prostej rodziny z Bokino – jednej z wielu podobnych do siebie wsi w obwodzie tambowskim, gdzie miejscowości nazywano od ich funkcji: Stroitiel, gdy był tam zakład budowlany, Pieczatnoje^[3], gdy była drukarnia, czy Wieczny Płomień, nawet jeśli od dawna nie działał tam żaden

piec hutniczy.

Jego matka pracowała w kołchozie, a ojciec był mechanikiem, specjalistą od budowy statków, najczęściej w domu nieobecny, bo w Bokino nie było ani portu, ani stoczni.

Rodzice dawno przestali spodziewać się od życia czegoś innego niż to, co dla ludzi takich jak oni przewidywała partia. Dzieci miały się więc kształcić na mechanika – ten zawód zawsze cieszył się w Bokino popularnością – albo na ślusarza – w okolicy było w końcu dość fabryk, a potem, kalkulowano, może uda się dostać w Tambowie mieszkanie komunalne, założyć rodzinę, ożenić się z dziewczyną pracującą w kołchozie i spłodzić dzieci.

Andriej nie chciał takiego życia. W dzieciństwie marzył o lotach w kosmos. Podczas gdy jego najstarszy brat już jako dziewiętnastolatek był uzależniony od alkoholu, drugi brat organizował nielegalne turnieje bokserskie w halach, gdzie przechowywano warzywa i owoce, a młodsza siostra, mając siedemnaście lat, zaszła w ciążę, on postanowił wykorzystać pierwszą nadarżającą się okazję i uciec przed losem, jaki go tu czekał: wstąpił do armii.

Nieoczekiwanie jego decyzja okazała się najlepsza z możliwych. Był typem sportowca, a brak wykształcenia nadrabiał wytrzymałością fizyczną i talentem w posługiwaniu się bronią. I w końcu zdobył coś, czego mu dotąd bardzo brakowało: szacunek. Również szacunek ludzi o wyższym statusie społecznym. Niewidzialna bariera, jaką zawsze czuł mimo głośzonych wszędzie haseł o równości i braterstwie, nagle przestała istnieć. Jego głęboka niechęć do intelektualistów i uczonych najpewniej tutaj miała swą przyczynę. Ale armia, tak, to było zupełnie co innego. Tam liczyła się tężyzna, dyscyplina, silna wola i – co szczególnie ważne – lojalność. W wojsku można było zacząć od najniższego szczebla i dojść do samej góry. O tym, że w zdobyciu awansu nierzadko pomagał sobie stosowaniem przemocy fizycznej, wolał nie pamiętać albo wypierał ten fakt. W wojsku przecież liczyły się głównie własne umiejętności! On, obdarty syn mechanika z Bokino, osiągnął swą pozycję żelazną dyscypliną, niezłomną wolą,

wiernością ojczyźnie i bohaterską lojalnością: od prostego żołnierza przez sierżanta do pułkownika. Była to długa, kamienista droga, którą Szujew brawurowo pokonywał i na której zachłannie gromadził dystynkcje i odznaczenia wojskowe, jego trofea.

Zawsze starał się służyć w okręgach, które należały do najtrudniejszych. Na początku był na Uralu, potem na Syberii, gdzie zdobył żołnierską sławę, kiedy w końcu lat sześćdziesiątych radzieckie wojska toczyły tam zacięte walki z armią chińską. Czymś, co Szujew w miarę upływu lat coraz częściej z sobą mylił, aż pomylił zupełnie, były szacunek i siła. Wmawiał sobie wprawdzie, że w życiu chodzi mu jedynie o szacunek (jego ulubione słowo), ale każdy jego podwładny po jakimś czasie widział, że Szujew nie ma pojęcia, co to słowo znaczy. Każda kampania wojenna, w której brał udział, każdy krok, każda decyzja, którą podejmował, służyły zaspokojeniu żądzy rosnącej w miarę trwania jego kariery – żądzy władzy. Nic nie uszczęśliwiała go bardziej niż to podniosłe uczucie, że decyduje o czyimś losie, że komenderuje ludźmi, że narzuca komuś swoją wolę.

Swoją pozycję zaczął wykorzystywać w życiu prywatnym. Zdobył pewne przywileje, na przykład zezwolenie na posiadanie prywatnego pojazdu, czy orzeczenie lekarskie, które umożliwiała awans.

Ożenił się na krótko przed kampanią w Afganistanie, w wieku niemal czterdziestu lat. Żonie, przedszkolance, łagodnej, uległej kobiecie, udawało się uśmierzyć jego porywczosć w ten sposób, że we wszystkim mu potakiwała. Kiedy odważyła się oponować w drobnej nawet kwestii, wybuchał i obrzucał ją takim gradem gróźb i przekleństw, że żyła w nieustannym strachu. Mieszkali w Niżnym Nowogrodzie, gdzie dostał mieszkanie w wieżowcu.

Kiedy żona pojechała do Moskwy na otwarcie olimpiady, Szujew ze swoim pułkiem został odkomenderowany do Afganistanu. Po trwającej dziesięć lat i ostatecznie nieudanej próbie zbliżenia tego kraju do bloku wschodniego, za którą zapłaciły życiem prawie dwa miliony afgańskich cywili, po kilku bombardowaniach, po piętnastu tysiącach zabitych żołnierzy

Armii Czerwonej, po jego dwóch ranach, medalu za odwagę i awansie na pułkownika, lecz zwłaszcza po wielu rozczarowaniach, zgorzknieniu i przygnębiającemu poczuciu braku zwycięstwa, Szujew, teraz już ojciec dwojga dzieci, wrócił do domu. Lecz dom nie był tym domem, który znał. Cały potężny niegdyś kraj upadał, kierowany przez żadnego reform sekretarza generalnego Komunistycznej Partii ZSRR. Wprowadzane reformy nie zapowiadały nic dobrego. Szujew wierzył tylko w autorytety, a nie w wolną wolę narodu, bo ona – tego był pewien – do niczego nie prowadzi.

Psioczył nieustannie na „poważny błąd”, jakim jego zdaniem było przedwczesne wycofanie wojsk z Afganistanu. Powtarzał stale, że ważne jest, by Związek Radziecki pokazał siłę i swą mocarstwowość, choć może wkrótce przestanie istnieć. Ostatecznie nieważne, jak kraj będzie się nazywał – zmiana opakowania nie zmienia jeszcze treści. Nawet najbardziej zażarte walki w Hindukuszu ani samochody pułapki w Kabulu, gdzie na jego oczach wykrwawiali się koledzy, nie dopiekły mu tak, jak lata spędzone w Niżnym Nowogrodzie, kiedy zajmował się tylko ćwiczeniem żołnierzy, a poza tym siedział w domu. Żona mu dogadzała, codziennie gotowała co innego i do obiadu zawsze podawała mu dwa kieliszki dobrej wódki, bo bez nich nie był w stanie wysłuchać spokojnie wiadomości i przyglądać się tym strasznym jego zdaniem rzeczom dziejącym się w kraju. Wiadomości denerwowały go tak, że potrzebował jeszcze kilku kieliszków, a potem, siedząc na wersalce i pijąc dalej, zaczynał wymyślać i złorzeczyć.

– Co za bękart! Słyszałaś, Galina, co ten bękart gada?! Ten kastrat, ten kapitalistyczny wieprz pozbawiony jaj wszystko sprzedał! Te świnię sprzedadzą cały kraj! Nic już nie zostanie! Nasz honor, wszystko, za co oddawaliśmy życie, jest teraz niczym, no posłuchaj tylko, psiakrew! Nie obchodzi cię, co w tym pieprzonym kraju się dzieje, co? Chodź tu i popatrz na to! Oczywiście, unia republik, jasne, dlaczego nie dać wszystkim gorąco upragnionej niezależności, proszę bardzo, czemu nie? I pewnego dnia stracimy wszystko, o co walczyli nasi ojcowie i ojcowie naszych ojców. A dlaczego?!

Galina coraz częściej czuła się zmuszona przeproszać sąsiadów za wrzaski męża, nosząc im przyrządzone przez siebie pierogi i bliny.

Imperium rozpadało się na oczach Szujewa, a próby „wspierania mniejszości narodowych”, na przykład w Górskim Karabachu albo w Gruzji, podejmowane tak naprawdę po to, by umocnić tam rosyjskie wpływy, były w jego oczach żenujące, niegodne Armii Czerwonej, która wcześniej wszędzie wzbudzała strach. Wojny te, nazywane dla niepoznaki „misjami pokojowymi”, były według niego hańbą dla jego kraju, który pod rządami „mięczaków bez jaj” i za sprawą zachodnich szpiegów stracił honor, a co gorsza – dotychczasową potęgę.

Wzbraniał się przed uczestnictwem w takiej misji, w końcu był wojskowym mającym swój honor, mężczyzną z pozycją i nazwiskiem. „Nie pojedę tam, gdzie postępuje się tak, jakby wprowadzało się pokój, podczas gdy prowadzi się wojnę, bo teraz w modzie jest poprawność polityczna. Wojna to wojna, tu nie ma nic do mędrkowania, do tego trzeba otwarcie się przyznać, być z tego dumnym i basta!” – tłumaczył żonie niechęć do wyjazdu na Kaukaz. A Galina pragnęła już nowej wojny, byle tylko on wreszcie wyjechał z domu.

Gdyby jej pragnienie szybko się nie spełniło, Szujew niechybnie trafiłby do szpitala na odwyk. Lecz na jej szczęście „niedołęgę od reform” zastąpił na Kremlu „krzepki mężczyzna”, który nie potrzebował wiele czasu do namysłu i pod koniec 1994 roku podpisał rozkaz interwencji zbrojnej w Czeczenii, małej, krnąbrnej republice, która nagle, za przykładem innych („A mówiłem, przestrzegałem: dasz im palec, chwycą całą rękę!”), wyraziła niewdzięczne pragnienie niezależności i odważyła się stawiać Rosji żądania.

– I to wszystko w podzięce za to, że Chruszczow zostawił ich przy życiu i pozwolił im wrócić na ich ziemie! Stalin w bydłych wagonach deportował tych bandytów do Azji Środkowej, wyobraź sobie, Galina, i ty, słuchaj, Andriusza, gdzie patrzysz, gdy do ciebie mówię, aha, wolisz nosić na szyi pusty łeb, niż się czegoś dowiedzieć, co?

Andriusza, milczący, refleksyjny nastolatek, patrzył na ojca z mieszaniną wstrętu i strachu. Im był starszy, tym bardziej ojciec stawał mu się obcy. Najczęściej, zamknięty w swoim pokoju, czytał albo słuchał muzyki. Nie bił się z chłopakami, nie pił wódki, nie przyprawdzał do domu dziewcząt i zdaniem ojca miał dziwacznych przyjaciół, którzy wyglądali jak cioty. Pułkownik Szujew dostawał białej gorączki, widząc, że nic nie jest w stanie wyprowadzić Andriusza z równowagi, że nie interesuje się jego dokonaniem, że nie porusza go nic, co ma związek z armią – ani wojskowa kariera ojca, ani jego bohaterskie czyny, które każdego normalnego syna napawałyby dumą.

– Więc chcesz być takim głupkiem jak większość, tak? Nie interesuje cię na przykład, dlaczego Stalin zrobił to, co zrobił? Był mądry czy nie był? Więc? Stalin znał ich naturę. Wiedział, co to za ludzie: dzicz, barbarzyńcy, bandyci, którzy w odróżnieniu od innych narodów naszego wielkiego kraju nie mają za grosz szacunku wobec autorytetu. Od stuleci z nami walczą, tępią nas, zabierają to, co do nas należy. Nawet w gułagach byli znani ze swojej zaciętości, tworzyli swoje bandy... Nam zawdzięczają nawet swoją stolicę! Wiesz, jak powstała, skąd jej nazwa? Została zbudowana w dziewiętnastym wieku jako rosyjska twierdza, miała odstraszać wrogów, więc nazwano ją Grozny.

– Przepraszam, tato, ale co znaczy, że oni zabierają to, co do nas należy?
– Andriusza nagle obudził się z odrętwienia, przestał maniakalnie gryźć kciuk i spokojnie dodał: – To Rosja kolonizuje cały Kaukaz od osiemnastego wieku. Może powinieneś poczytać Lermontowa albo Tołstoja. Tam wszystko jest opisane.

Szujew zdębiał. Jak zepsuta, spaczona inteligencka piana mogła się wytoczyć z ust jego syna?! Toż to cała przemowa! W dodatku nie miał pojęcia, co na to odpowiedzieć.

Andriusza wykorzystał okazję, przyniósł ze swego pokoju sfatygowaną książkę, otworzył ją i zaczął czytać, jakby zamienili się rolami:

„Już w 1785 roku Rosja wybudowała na całym Kaukazie zamknięty

system umocnień granicznych i zaczęła zawłaszczać poszczególne krainy oraz pobierać cło od towarów sprowadzanych w celach handlowych. W tej sytuacji czeczeński imam Szejk Mansur ogłosił świętą wojnę przeciwko Rosjanom okupującym kraj. W wojnie tej, trwającej siedem lat, Mansur dowodził armią złożoną z członków sprzymierzonych narodów północnokaukaskich. Schwyty w 1791 roku i zesłany na Wyspy Sołowieckie zakończył tam życie. Kolejnym bohaterem narodowym, który uczynił swoim zadaniem kontynuowanie walki podjętej przez Mansura przeciwko niewiernym, był imam Szamil”.

Szujew patrzył na skupioną twarz Andriuszy, słuchał go i nie wierzył własnym uszom. Co na to odrzec? Czy to jakiś żart? A może, wychowując go, coś zaniedbał? Co Galina zrobiła z ich synem?!

Andriusza, nieświadomy gonitwy wzburzonych ojcowskich myśli, najspokojniej w świecie czytał dalej:

„Na początku XIX wieku Rosja rękami osobiście wyznaczonego przez cara namiestnika kaukaskiego zaczęła prowadzić bezwzględna i szeroko zakrojoną politykę kolonizowania tego regionu i rozciągnęła swe imperium aż do północnego Kaukazu. W trakcie podbojów rosyjskich zniszczone zostały auly i struktury czeczeńskiego społeczeństwa; wielu mieszkańców uciekało w góry i organizowało się do walki z rosyjskim okupantem. Rozpoczęta w 1818 roku pierwsza wojna kaukaska trwała z niewielkimi przerwami ponad czterdzieści lat”.

Andriusza zrobił znaczącą pauzę i spojrzał na ojca.

– Czterdzieści lat, tato, wyobraź to sobie!

I czytał dalej:

„Wojna partyzancka zaczęła się pod wodzą Szamila i w 1840 roku przeszła w ogólne powstanie. W tym czasie zostały też podjęte pierwsze próby założenia państwa czeczeńskiego, jednak represje Rosji oraz metody walk stawały się coraz bardziej brutalne i w końcu partyzanci ulegli, a Szamil trafił do więzienia. W wojnie tej wyniszczono jedną trzecią Czeczenów.

W drugiej połowie XIX wieku Rosja zaczęła przesiedlać tu Kozaków i chłopów z centralnej Rosji”.

– A teraz słuchaj, to jest naprawdę najlepsze! – Andriusza dostał rumieńców z emocji.

„Każdemu Czeczenowi, który zobowiązał się do wyjazdu, rząd rosyjski płacił odszkodowanie oraz pokrywał koszty transportu. Tym sposobem, jak się dziś ocenia, kraj opuściło wówczas 25 000 Czeczenów, z których większość osiedliła się na terenie dzisiejszej Turcji. Pod koniec XIX wieku rozpoczęto wydobywanie ropy naftowej w Groznm. Ściągnęło to do Czeczenii wielu zagranicznych inwestorów, rozkwitł handel. Podczas wojny domowej Czeczeni walczyli po stronie czerwonych, w przekonaniu, że walczą przeciw carskiemu imperium. W 1936 roku utworzono Czeczeńsko-Inguską Autonomiczną Socjalistyczną Republikę Radziecką. Tylko przez dekadę dane było Czeczenom żyć w pokoju; w latach czterdziestych XX wieku zalała ich ponownie fala terroru, tym razem stalinowskiego. Oblicza się, że ofiarą stalinowskich czystek padło około 250 000 Czeczenów. I jakby tego było mało, tylko jednego lutowego dnia 1944 roku deportowano do Azji w wagonach bydłowych ponad 300 000 Czeczenów i 93 000 Ingusów”.

– Właśnie do tego zmierzałem, bo od tego przecież zacząłeś, prawda, ojcze? – zakończył Andriusza.

Szujew zrobił krok w jego stronę, otworzył usta, chciał coś powiedzieć, zaczął się jąkać i poczuł dziwny dyskomfort, który w ciągu sekundy przeobraził się w ślepa wściekłość. Ten smarkacz go prowokuje! Ojcu, który całe życie służy ojczyźnie, ma czelność śmiać się w twarz i dawać do zrozumienia, że to wszystko nie miało sensu! Szujew każdym włókmem ciała czuł, że dla syna ten kraj, o którym właśnie mówił, którego dotyczyła ta beużyteczna, martwa książkowa wiedza, że ten kraj był symbolem szerszej sprawy. Kiedy jego syn mówił o Czeczenii, miał na myśli wszystkie przeklęte kraje, które chórem domagają się teraz tej diabelskiej niezależności, jakby nie pojmowały, że bez wsparcia i ochrony Związku nic nie znaczą i pozostawione same sobie zginą marnie albo skoczą sobie do gardeł.

Broda zaczęła mu drżeć, otworzył i zamknął usta jak karp, oburzenie i wściekłość odebrały mu mowę, podniósł rękę, zamachnął się i z całej siły uderzył Andriuszę w twarz. Chłopak, zupełnie zaskoczony, spojrział na ojca szeroko otwartymi oczami i zatoczył się do tyłu. Uderzenie było mocne, przez chwilę zdawało się, że upadnie, ale złapał równowagę. Kiedy był dzieckiem, dostał kilka klapsów w siedzenie, kilka niezbyt silnych policzków, za uszy ojciec też go kiedyś wytargał, ale to było dawno temu. Teraz nie był już dzieckiem, ten policzek miał zupełnie inne znaczenie i Szujew mógł wyczytać z twarzy syna bunt. Kto wie, czym by się to skończyło, gdyby nie Galina, która przybiegła z histerycznym krzykiem i stanęła między nimi.

W tej chwili Szujew poprzysiągł sobie, że uczyni wszystko, co w jego mocy, żeby kraj zasklepił ryse, która powstała wskutek pieriestrojki, i zaleczył rany zadane społeczeństwu przez reformy, tak by usunąć słabość, do jakiej doprowadziły go te kapitalistyczne szczury, od których wszędzie się roi i do których najwyraźniej chciał dołączyć jego syn. Uczyni wszystko, żeby zmyć z wizerunku Rosji całe to poniżenie i poświęcić się walce o odzyskanie jej dawnego autorytetu.

Sposobność wprowadzenia tego postanowienia w czyn szybko się nadarzyła. Kilka tygodni później mianowano go dowódcą 56. Dywizji Piechoty Zmotoryzowanej i skierowano do Groznego, gdzie spodziewane były ciężkie walki.

W pierwszych tygodniach pobytu na froncie Szujew z przerażeniem stwierdził, że brutalizacja i demoralizacja życia, odczuwalne w całym kraju, nie ominęły też rosyjskiej armii.

Od elitarnych jednostek policji przez OMON aż do poszczególnych brygad wszyscy byli nastawieni na własny interes i bogacenie się. Istnieli niezliczeni żołnierze kontraktowi, ochotnicy, żołnierze zawodowi, którzy uczestnicząc w działaniach zbrojnych, chcieli jedynie zarobić. Grabieże były więc na porządku dziennym, tym bardziej że brakowało jasnych instrukcji, jak należy postępować podczas przeprowadzania akcji. Konwencje i porozumienia podpisane kiedyś przez polityków tu były abstrakcją. Tu

panowała samowola i „prawo bezgraniczności”, jak nazywano to wewnątrz armii – terminem zaczerpniętym z języka świata przestępczego oznaczającym niczym nieskrępowaną bezkarność działania.

Dowódca taki jak Szujew, który miał ogromną władzę, mógł wydawać rozkazy, jakie mu się podobały. I każdego dnia z tych najcięższych dwóch miesięcy swego życia, kiedy centymetr po centymetrze zdobywali Grozny, podczas śmiertelnie niebezpiecznych patroli, podczas zaminowywania budynków, podczas aresztowań i „zabaw” z czeczeńskimi jeńcami na „posterunkach policji” (które w istocie były egzekucjami, ponieważ żadnych posterunków policji nie było), podczas czystek, które on i jego ludzie przeprowadzali wspólnie z jednostkami specjalnymi, podczas nieustannego ostrzału artyleryjskiego i bombardowań z powietrza, w których życie straciło około dwudziestu pięciu tysięcy ludzi, nie przestawał myśleć o Andriuszy. Kiedy dopadały go wątpliwości, kiedy marzył o tym, żeby zostać odkomenderowany, kiedy zadawał sobie pytanie, co robi w tym przeklętym kraju pełnym ruin, których zawalone fasady i wybebeszone wnętrza sprawiały wrażenie, jakby wszystkie te budynki naraz chciały zwymiotować, a szkielety ich okien ostro cięły mięso nieba, wtedy myślał o swoim synu i jego zdradzieckich słowach, a męczące „dlaczego” niknęło unoszone przez wiatr.

Juricz/Zajac

Iwan Juricz, zwany przez wszystkich Zajacem – po pierwsze, z powodu jąkania się, po drugie, ze względu na tchórzliwość – pochodził z małej miejscowości na obrzeżach Moskwy, z bardzo biednej rodziny. Ojciec zostawił jego matkę, gdy Wania nie miał jeszcze trzech lat, matka wkrótce wyszła za innego mężczyznę, z którym przeniosła się do Jekaterynburga, a w końcu wyjechała do Ameryki.

Zajac wychowywał się u dziadków, prostych chłopów, uczciwych i serdecznych. Nie interesował ich wielki świat ani wielka polityka – pracowali cicho na roli i nic nie cieszyło ich tak, jak filmy o ojczyźnie

oglądane w telewizji (telewizor kupili dzięki mozolnej pracy, za ciułane przez kilka lat pieniądze). Kochali swego wnuka i dawali mu wszystko, czego według nich najbardziej potrzebował: ciepłą stawę, co rano świeże mleko, czyste łóżko, a nawet kupili mu parę pięknych kaloszy. Zając, do dziadków bardzo przywiązany, nie znosił jednak kraju, w którym żył, nie znosił błocka i mrozu, które dawały mu się we znaki, kiedy każdego ranka maszerował do szkoły, nie znosił smętku wsi, drewnianego domu dziadków, nienawidził ziemniaków na polu i kurzych jajek w stajni, nienawidził psa uwiązanego przy budzie, który na jego widok wściekle ujadał, a słuchał tylko dziadka, nie cierpiał głupich filmów, które tak lubili dziadkowie, i wczesnego zmroku, w którym od października do kwietnia pogrążała się cała wieś, a wtedy odpadały jedyne przyjemności – kąpiel w pobliskim jeziorze i picie piwa słodowego na pomoście przy brzegu jeziora.

Nienawidził chłopaków z sąsiedztwa, którzy go wyśmiewali za to, że się jąka, i nienawidził dziewcząt, które traktowały go jak powietrze. Nie wiedział, co z sobą zrobić, nie wiedział, do kogo należy, nie miał pojęcia o świecie i przeklinał na zmianę ojca i matkę, że go sprowadzili na ten pozbawiony perspektyw świat.

Gnębiło go również to, że nauka nie szła mu najlepiej. Żeby móc przerwać ten okropny łańcuch szkoła-lęk-wstyd-bycie wyśmiewanym, potrzebował czegoś zupełnie innego niż radziecki system szkolnictwa, tymczasem musiał tkwić w tej jedynej dostępnej mu rzeczywistości.

Jako dorastający chłopak zaczął mieć dziwne fantazje. On, który nie zabiłby muchy i którego przygnębiał widok martwego gołębia na podwórku, marzył, żeby tym, którzy go wyśmiewali i mu dokuczali, rozwalić głowy, wyrwać wnętrzności i paznokcie. Zaczął też pisać do matki do Jekaterynburga listy (których nie wysyłał, bo dziadkowie i on sam utrzymywali się z przysyłanych przez nią pieniędzy), nazywając ją w nich tanią dziwką i świnią, która z powodu jakiegoś kutasa porzuciła swego jedyne syna i wyjechała.

Marzył o dziewczynach z klasy, by ze strachu przed nim padały na kolana

i na jego rozkaz posłusznie dotykały go w kroku, i robiły wszystko, co każe.

Jak pięknie by było, myślał niekiedy, leżąc w łóżku, gdyby miał magiczną moc i wiódł całkiem inne życie: stał się silny, muskularny, uwolnił się od przeklętego jąkania i umiał sprawić, by dziewczyny płaszczyły się przed nim (z jakiegoś powodu zawsze wyobrażał sobie kobiety klęczące przed nim z otwartymi ustami albo pochylone do przodu, z wypiętymi nagimi pośladkami).

W ostatniej klasie Zając często myślał o czekoladowym jajku niespodziance, które jakieś dziesięć lat wcześniej jego dziadek dostał w prezencie od kogoś wracającego z dalekiego świata. Kiedy dziadek przyniósł do domu ten jedyny zachodni rarytas, jaki kiedykolwiek widział, Zając miał sześć czy siedem lat.

I chociaż ofiarodawca objaśnił, że jajko należy rozpakować i zjeść, dziadkowie nie mogli się zdobyć na tak zuchwały czyn – umieścili je na honorowym miejscu w witrynce w pokoju, obok czeskiego serwisu do herbaty, jako najcenniejszy przedmiot pochodzący z Zachodu, jakby to było jajo Fabergé^[4]. Niewielki ten przedmiot miał dziwną moc: przyciągał wzrok każdego, kto przychodził do dziadków, tak że wszyscy bez wyjątku stawali przed witrynką i podziwiali go. W nikim jednak jajko nie wywoływało takich mąk jak w Zającu. Wania zatrzymywał się ciągle przed witrynką miotany splotem emocji – łakomstwem, obawą, ciekawością i wstrętem wobec tego niemego intruza. Był zazdrosny, bo podejrzewał, że dziadkowie bardziej kochają ten pozaziemski obiekt niż jego. Bo niby czemu nie pozwolili mu otworzyć szklanych drzwiczek, wziąć jajka do ręki, rozpakować i zjeść?

Z biegiem lat jajko za szybko stało się dla Zająca symbolem jego życia: jajko sobie leżało, mógł je oglądać, było oddalone tylko o kilka centymetrów, wystarczyło wyciągnąć rękę, żeby je wziąć, a jednak Zając nie wiedział, co właściwie kryje się w opakowaniu. To małe coś drwiło sobie z niego i gardziło nim.

Pewnego mglistego listopadowego popołudnia wrócił ze szkoły, gdy

dziadkowie byli jeszcze zajęci w gospodarstwie, i usiadł w pokoju, naprzeciw witryny. Tego dnia rano zaatakowali go przed szkołą dwaj łobuzi z sąsiedztwa i opluli go, a grupka chichoczących dziewcząt przyglądała się temu z manifestacyjną obojętnością, gryząc pestki dyni. A teraz Zając siedział przy stole w pokoju dziadków i patrzył na jajko niespodziankę. Wpatrywał się w nie bez ruchu i nagle w jego głowie zrodziła się myśl, że to jajko jest przyczyną wszystkich jego klęsk, poniżenia i drwin. Właśnie ono czyni go ciągle przegranym. Rzadko w swoim życiu dał się ponieść takiej nienawiści do kogoś lub czegoś, jak wtedy do czekoladowego cacka. Nawet jego nienawiść do rodziców, których przeklinał każdego wieczoru, bladła przy tym, co owładnęło nim w tym momencie. Był pewien, że jego życie wyglądałoby zupełnie inaczej, gdyby wtedy, gdy miał sześć czy siedem lat, od razu otworzył i zjadł to przeklęte jajko, szybko i zachłannie, nie licząc się z dziadkami traktującymi czekoladowe cudo z nabożnym podziwem.

I nagle, choć z dziesięcioletnim opóźnieniem, Zając zerwał się, otworzył szklane drzwiczki witryny i wziął do ręki czekoladową relikwię. Po chwili poczuł, że zaczyna się ona topić w jego ciepłej dłoni. Dziwnie delikatna i mała była ta nietykalna delicja! Kiedy ściągnął z niej folię, jajko zmieniło się w kleistą czekoladową breję. Czekolada nie była jednak apetycznie brązowa, lecz dziwnie szara. Ale Zającowi to było obojętne, nie wahał się długo, nie zastanawiał, tylko włożył ją do ust. Poczul na języku nieciekawym, gorzkim smakiem, a potem jakąś twardą plastikową skorupkę i wyciągnął z ust mały żółty przedmiot. Położył go przed sobą i zaczął z całej siły w niego uderzać, raz po raz, aż skorupka się rozpadła i wysypały się z niej maleńkie elementy. Smak w ustach był wstrętny. Zającowi zrobiło się niedobrze, ale nie zwracał na to uwagi. Rozłożył przed sobą wszystkie elementy, zauważył maleńką karteczkę z instrukcją i z zapalem zaczął składać małą zabawkę: była to głupia żaba z szufelką w ręce i w hełmie ochronnym na głowie, takim jakiego używają robotnicy budowlani.

Zając siedział i przez dziesięć minut, długie jak wieczność, gapił się na figurkę, potem spokojnie przyniósł z kuchni tłuczek i moździerz i zmiażdżył

żabkę na proch. A później poszedł do łazienki i zwymiotował.

Tydzień później, kiedy babcia, ścierając kurze, zauważyła, że z witryny znikł cenny prezent, symbol światowości, spytała, czy wie, co się z nim stało. Zajac wzruszył ramionami: „Może to sprawka któregoś z dzieci sąsiadów, które tu wpadają?”. Babcia wyczuła, że kłamie, ale nie miała dowodu. Nie wiedziała też, co odpowiedzieć na argument wnuka: „Dlaczego miałbym teraz nagle, po tylu latach, je zjeść? Gdybym chciał się przekonać, jak smakuje, zrobiłbym to już dawno”.

Wspomnienie tamtego zdarzenia do dziś wywoływało w nim dreszcz. Zrobił wtedy coś, o co sam siebie nie podejrzewał. Na krótko przed skończeniem szkoły postanowił zrobić jeszcze coś – odnaleźć matkę. Wcześniej nie miał na to odwagi. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni ją widział.

W notesie babci znalazł adres matki w Jekaterynburgu. Ze skrytki dziadków, którą była książka na temat ziół stojąca na regale w przedpokoju, ukraść pieniądze na bilet i ruszył w drogę.

Los mu sprzyjał i trafił szczęśliwie, choć nie w ręce matki, jak się spodziewał. W czteroosobowym przedziale wagonu sypialnego – na samolot pieniędzy mu nie starczyło – Zajac poznał Pietruszowa, sympatycznego oficera, który wydał mu się ideałem mężczyzny. Pietruszow był postawny, przystojny, zadbany, uprzejmy, dobrze wychowany i potrafił doskonale się wysławiać. Reprezentował całkiem inny świat niż ten, z którego pochodził Zajac. Mundur leżał na nim jak ulał i cały jego wygląd sprawiał, że Zajac czuł się nieswojo – wstydził się kontrastu, jaki tworzył w zestawieniu z tamtym.

W przedziale było jeszcze dwóch młodych mężczyzn, prostackich moskwian, których zawodu trudno się było domyślić. Może byli to dwaj artyści, którzy próbowali się przebić w dżungli postpieriestrojki.

Wywiązała się rozmowa, rozlewano przepalankę domowej roboty, Pietruszow częstował chlebem i serem, jednym słowem, był to miły, udany wieczór. Zajac marzył, żeby ta podróż nigdy się nie skończyła. Sam fakt, że

wszyscy zwracali się do niego Wania, a nie Zając, wprawiał go w zachwyty.

Położyli się spać koło drugiej w nocy. Zając zajmował miejsce na dole, nad nim leżał Pietruszow, a po drugiej stronie chrapali dwaj moskwianie. Zając z emocji nie mógł zasnąć, wrażenia kotłowały mu się w głowie – ekscytująca podróż, dworzec w Moskwie, ludzkie mrowie, gorączkowy pośpiech. Teraz nie był już oddzielony szkłem, nie stał po drugiej stronie szyby, lecz uczestniczył w tym, co robili inni, i to wprawiało go w euforię.

Nagle usłyszał szelest, potem szept. To rozmawiali dwaj moskwianie. Zając zamarł. Jeden zeskoczył nagle ze składanego łóżka i podszedł do rzeczy Pietruszowa. Zając się domyślił, że przeszukuje kieszenie płaszcza, wyciąga portfel. Drugi w tym czasie czuwał. Lecz zostawić Pietruszowa na łasce złodziei i nie zareagować, wydało się Zającowi niegodne i podłe – Pietruszow traktował go przecież z szacunkiem. „Trzeba działać – myślał gorączkowo – żeby potem nie mieć poczucia, że jest się znowu po drugiej stronie szyby”.

Ukradkiem trącił ręką łóżko, na którym spał Pietruszow. Lecz sygnał był za słaby, a sen Pietruszowa mocny. Nie pozostało nic innego, jak zaryzykować. Jednym ruchem usiadł na pościeli i walnął w górne łóżko, wydając przy tym głośny okrzyk. W tej samej sekundzie poczuł na ustach zimną, wilgotną dłoń. Druga ręka pchnęła go na pościel, a potem kolano dotknęło gardła. Nie mógł się ruszyć, a przy próbie wydania z siebie głosu tylko zacharczał. Trudno to może pojąć, lecz mimo strachu czuł się dziwnie dobrze, jakby jego istnienie zyskało głębszy sens, bo zdecydował się coś przedsięwziąć. Jego odwaga nie okazała się daremna – wyrwany ze snu Pietruszow momentalnie zeskoczył z łóżka. Zając usłyszał odgłos uderzenia i wyższy ze złodziejasków poleciał na drzwi.

Wszystko potoczyło się tak szybko, że Zając nie widział nawet dokładnie, jak Pietruszow usadził tamtych. Zręczność, z jaką elegancki oficer sobie poczynał, wprawiała go w podziw. Wydawało się, że działa bez wysiłku, rutynowo. Co jednak Zająca zdumiało najbardziej, to brutalność Pietruszowa. Oficer otworzył drzwi, wypchnął obu mężczyzn na wąski korytarz i zaczął okładać bez pardonu, tak że Zając oniemiał. Stał zszokowany w drzwiach

przedziału, pragnąc, żeby pojawił się konduktor, który uratuje złodziei od niechybnej śmierci. Lecz kiedy plując krwią i pełzając po podłodze, nieszczęśnicy zaczęli skamleć o litość, Pietruszow nagle się odwrócił, jakby stracił zainteresowanie. Najspokojniej w świecie wrócił do przedziału, jednym ruchem zebrał rzeczy tamtych i wyrzucił na korytarz. Potem zamknął za sobą drzwi przedziału i z sapnięciem opadł na puste łóżko naprzeciwko Zająca.

– A to bękarty! Człowiek dzieli się z nimi wódką i chlebem, a potem coś takiego... Ludzie w tym kraju nie mają już poczucia przyzwoitości. Odkąd przestali czuć respekt przed władzą, stracili rozum. Motłoch podnosi brudne łby i robi, co mu się żywnie podoba. Ale tak czy inaczej, mam nadzieję, że kolegom przeszła na razie chęć okradania innych. Tobie, bracie, dziękuję z całego serca. Ryzykowałeś dla mnie skórę, doceniam to, wierz mi.

Kiedy Zająca usłyszał słowa Pietruszowa, poczuł, że napęnia go nieznana wcześniej błogość. Jakie uznanie, i to jeszcze z ust tak wytwornego oficera! Wydało mu się, że rośnie, przebija głową sufit, jego szyja wyciąga się, a on czuje zimne powietrze nocy i ciągle potężnieje, sięgając ku gwiazdom i galaktykom.

O śnie nie było już mowy. Przesiedzieli całą noc na łózkach, pijąc resztę wódki, jedząc czarny chleb i rozmawiając o wszystkim, przy czym mówił głównie Pietruszow, a Zająca z uwagą słuchał. W pewnym momencie oficer zapytał go, skąd pochodzi, dokąd jedzie i w ogóle, co w życiu zamierza. Zająca próbował się wykręcić, bo możliwe odpowiedzi wydały mu się nędzne. Powiedział, że nie zastanawiał się jeszcze zbyt nad przyszłością, bo planowanie to luksus, na który go nie stać, myśli najwyżej tydzień albo miesiąc naprzód. Ale Pietruszow nie popuszczał.

– Ja... ja po prostu nie chcę, żeby ktoś się mnie ciągle bezkarnie czepiał – wysnęło mu się i mówiąc to, zaczął się jękać.

Pietruszow się roześmiał.

Przez chwilę Zająca nie był pewien, czy przypadkiem nie wydał mu się

śmieszny, ale oficer położył mu rękę na ramieniu. W jednej chwili umiał radykalnie zmienić nastrój, jakby miał wmontowany niewidoczny guzik, którego przyciśnięcie sprawiało, że szalejąc z gniewu, nagle potrafił roześmiać się na całe gardło, albo tłukąc kogoś z całej siły, przerwać i jakby nigdy nie wznieść toast za pomyślność niezmiernie ojczyzny.

– Nic łatwiejszego, bracie – powiedział Pietruszow poważnym tonem. – Musisz tylko nauczyć się bronić. Właśnie ci to pokazałem. Mam nadzieję, że nie zapomnisz lekcji, którą ci dałem.

Zajac wysiadł z pociągu jako inny człowiek. Nagle miał znajomości i plany, coś, o czym nie odważyłby się pomyśleć, gdy wsiadał do kolejki elektrycznej do Moskwy.

Pietruszow dał mu swój numer telefonu i wymusił na nim przyrzeczenie, że gdy następnym razem będzie w Moskwie, Zajac się u niego zamelduje. Powiedział mu, że teraz jest dowódcą obozu szkoleniowego wojsk rosyjskich, gdzie z rekrutów zamierza zrobić prawdziwych mężczyzn. zaproponował Zajacowi, żeby zgłosił się do wojska i zdobył przynajmniej podstawowe żołnierskie umiejętności, to nigdy nie zaszkodzi, a on, Pietruszow, o wszystko się zatroszczy i weźmie go pod swoje skrzydła.

W Jekaterynburgu Zajac został sprowadzony na ziemię. Po trwającej całą dobę podróży i dwóch godzinach poszukiwań domu, w którym miała mieszkać jego matka (wśród szalejącej w mieście śnieżycy), jakaś stara kobieta powiedziała mu, że były sąsiadkami i że matka przed dwoma miesiącami sprzedała mieszkanie i wyemigrowała z rodziną do Stanów Zjednoczonych. „Mąż twojej matki to szczęśliwiec, jest Żydem i ma w Ameryce kontakty. Żydzi mogą sobie wyjeżdżać, cały świat ma nagle wobec nich wyrzuty sumienia, a nami nikt się nie przejmuje... My możemy sobie spokojnie zdychać!”

Zajac dłuższą chwilę siedział na klatce schodowej, ćmił jeden za drugim tanie, lekko zawilgłe papierosy i nie wiedział, co z sobą począć. Wreszcie zaczął szukać w torbie numeru telefonu Pietruszowa, poszedł na pocztę

i stamtąd zadzwonił.

Na myśl o tym, że miałby iść do wojska, ogarniała go panika, ale i tak ciążył na nim obowiązek powszechnej służby wojskowej, a nie miał pieniędzy, by sobie załatwić zwalniające od niego zaświadczenie lekarskie. Może – pod opieką Pietruszowa – pobyt w wojsku okaże się dobrym rozwiązaniem?

Poprzedniej nocy, ryzykując, tylko zyskał. Wszystko inne nie było żadnym rozwiązaniem. Wszystko inne było koszmarem. Słowo „rodzina”, którego użyła sąsiadka matki i które ciągle wracało do niego jak echo, sprawiało, że swoją sytuację oceniał z większą niż dotąd goryczą. Rodzina? Czyja rodzina? Tak, jego matka miała rodzinę, miała męża i jakieś inne dziecko i to dziecko było kochane, przez nią chowane, a teraz zabrali je z sobą do Ameryki.

Pietruszow i tym razem go nie rozczarował. Zaprosił go do siebie do Moskwy na kilka dni.

Zajęc przeżywał te dni w oszołomieniu. Poznał rodzinę i przyjaciół Pietruszowa, zwiedzał miasto, atrakcja goniła atrakcję. Ludzie, którym Pietruszow go przedstawiał, byli pogodni i pewni siebie, wykształceni i kulturalni, potrafili pięknie prowadzić rozmowy, flirtować z kobietami i każdego owinąć sobie wokół palca. I nikt – choć w ocenie Zajęca każdy z nich po stokroć miałby do tego prawo – nie naśmiewał się z niego ani nie dał mu odczuć, że nie jest godny ich towarzystwa. Zajęc oddałby wszystko, by choć w małym stopniu być tak dowcipny, pewny siebie i tak obyty jak oni.

Zajęc chodził za Pietruszowem krok w krok, jadł to, co jadał Pietruszow, zgadzał się na wszystko, co Pietruszow proponował, i podziwiał to, co jego mentor uznał za godne podziwu. Tak jak ciężko chory, który przybywa do uzdrowiciela, tak Zajęc wierzył, że Pietruszow wie lepiej, co jemu, Zajęcowi, jest potrzebne, żeby mógł się uratować.

Nie przeszkadzało mu, że po kilku dniach Pietruszow zlecił mu pewne

zadania, które początkowo wydawały mu się trochę dziwne. Na przykład wieczorem musiał przemierzać całe miasto i na opuszczonych placach fabrycznych spotykać się z jakimiś mężczyznami, którzy przekazywali mu kolorowe pigułki, albo po jakiejś bibce u przyjaciela Pietruszowa kazano mu odwiedzić do domu dwie lekko ubrane, posiniaczone i zapłakane dziewczyny i doprowadzić je pod drzwi mieszkania. Ale Zając nie zadawał pytań i nie widział nic godnego potępienia w odwdzięczaniu się Pietruszowowi tymi drobnymi przysługami.

Po najbardziej niezwykłym w całym jego życiu miesiącu spędzonym w stolicy – Pietruszow postarał się między innymi, by Zając stracił niewinność z pewną apetyczną i niespecjalnie wymagającą blondyną imieniem Lola – został wpisany na listę rekrutów służby zasadniczej w rosyjskiej armii. Pietruszow, tak jak obiecał, zabrał go z sobą do Niżnego Nowogrodu, żeby tam, na obozie szkoleniowym, zrobić z niego prawdziwego mężczyznę.

Lecz chociaż Zając starał się, jak umiał, nie udało mu się stać kimś, kim nie był. Dzięki parasolowi ochronnemu, który roztoczył nad nim Pietruszow, nie doświadczył bezpośrednich ataków ze strony innych rekrutów, widział jednak, jak na niego patrzyli, słyszał szepty za plecami i czuł wyraźnie, wprost fizycznie, że jest tylko kwestią czasu i okoliczności, kiedy rzucą się na niego jak wygłodzona sfora żądna krwi. Choć bardzo się starał, i tak był najpowolniejszy i najslabszy ze wszystkich, a większość zadań przerastała jego siły.

W niecały tydzień od jego przyjazdu do obozu znowu wróciło jego dawne przezwisko, jak gdyby był to jakiś niewidzialny cień postępujący wszędzie w ślad za nim. Zabolało go, że kilka tygodni później sam Pietruszow zaczął go tak nazywać. Zając chciał coś odpowiedzieć, zrobił kwaśną minę, dając do zrozumienia, że to go dotyka, szybko jednak zrozumiał, że protesty nie na wiele się zdadzą. Nie chodziło przecież o to, że Pietruszow lekceważy jego odczucia albo chce z niego szydzić, lecz o to, że przezwisko oddawało rzeczywistość: był jąkałą i tchórzem, zdolnym tylko chować się za plecami

Pietruszowa. Walka z przewiskiem nie miała sensu, dopóki był tym, kim był. W tym świecie respekt nie pojawia się za darmo.

Nocą leżał w pokoju, który dzielił z trzema innymi rekrutami – sypialnie urządzono w dawnej sali gimnastycznej – i w pół śnie, pół jawie nawiedzały go czarne, lepkie marzenia. Był w nich dowódcą, panem wszystkich mężczyzn, nawet Pietruszow mu podlegał, i trzymał ich żelazną ręką, a oni drżeli przed nim, gdy tylko go widzieli. A kiedy swym fantazjom nie stawiał żadnych granic, pojawiały się też piękne, posłuszne kobiety. Leżały u jego stóp i wabiły go, mrużąc jak miękkie kotki. Szeptały mu do ucha miłosne zaklęcia i obdarzały głośnymi pocałunkami. Łaskotały go miękkimi piórami, chcąc przyciągnąć jego uwagę, i w końcu zapominał o swoich obowiązkach dowódcy i zwracał się do nich: rozkazywał im ustawić się w szeregu, rozebrać się i pochylić do przodu.

Po niecałym roku obowiązkowej służby wojskowej wezwał go do siebie Pietruszow.

Siedział w swoim gabinecie, którym było największe, najlepiej wyposażone pomieszczenie szkoły sportowej, ze skórzaną sofą i piecykiem elektrycznym w kącie, palił papierosa i szukał czegoś w papierach.

– Czołem, Zając. Kawy? Nalej sobie gorącej wody z termosu. Szklanki i łyżeczki znajdziesz w szafce, na górze po prawej.

Zając wsypał łyżeczkę kawy rozpuszczalnej do szklanki i dodał cztery łyżeczki cukru, starając się zrobić to tak, by Pietruszow nie widział, ponieważ kiedyś został przez niego upomniany, że używanie takiej ilości cukru świadczy o fatalnym smaku.

– Mam złe wiadomości – zaczął Pietruszow, nie podnosząc wzroku znad akt, gdy Zając usiadł naprzeciw niego. – Opuszczam garnizon.

Zając zakrztusił się i kilkakrotnie zakaszłał.

Pietruszow spojrział na niego z litością, nie ruszył się jednak z miejsca, by poklepać go po plecach.

– Dokąd się przenosisz?... Dokąd pana przenoszą?

Odkąd Zajac był tutaj, miał kłopoty z właściwym zwracaniem się do dowódcy. Wcześniej Pietruszow był jego przyjacielem, do którego mówił po imieniu, a teraz w Niżnym Nowogrodzie nie mógł jako jego podwładny zdradzać łączącej ich zażyłości.

– Zostałem powołany. Na front.

– Na jaki front?!

Zajac był zdruzgotany. Pietruszow zaciągnął się papierosem i spojrzał na niego przenikliwie. Zajac poczuł strach, bo nie mógł odgadnąć, co tamtemu chodzi po głowie.

– Powiedz mi, młody, na jakim świecie ty żyjesz? Jaki front? Nasz kraj jest w stanie wojny. Czeczenia. Mówi ci to coś?

– O, Boże, tak, ale...

– Dostałem rozkaz. To mój obowiązek i oczywiście go spełnię.

– Nie możesz mnie tu zostawić samego! – wyrwało się Zajacowi. Brzmiało to jak skomlenie.

Pietruszow spojrzał na niego lekko zirytowany.

– Co to ma znaczyć? Czego się boisz? Za rok skończysz służbę i będziesz prawdziwym żołnierzem...

– Nie będę żadnym żołnierzem. Obaj o tym wiemy. Ja nie nadaję się do wojska, ale... mógłbym dalej być ci pomocny. Mógłbym załatwiać za ciebie rzeczy, na które będziesz miał mniej czasu...

Zajac wiedział, że Pietruszow go zrozumiał. Zdarzało się nierzadko, że dyskretnie wykonywał polecenia Pietruszowa poza koszarami. Na przykład jechał trzy godziny autem, żeby mu przywieźć kolorowe pigułki. Milczał jak grób, dowodząc swojej lojalności.

– Wiem, wiem, Zajac, i bardzo to doceniam, ale nie zapominaj, że tam, dokąd jadę, trwa wojna, i nawet jeśli nie potrafisz sobie wyobrazić, co to

oznacza, musisz mi wierzyć, że tam trzeba mieć cholernie mocne nerwy, żelazne pięści i pewną rękę. Nie będę cię mógł chronić, jeśli sam...

– Ja już sobie dam radę. Lepiej poradzę sobie tam, niż tutaj bez ciebie. Wiesz dobrze, co mam na myśli. No bo co się stanie, jak stąd odejdziesz?!

– Tutaj dalej będziesz pod moją ochroną, nikt cię nie skrzywdzi, obiecuję, zażadam od Gałopowa, żeby miał na ciebie oko.

– To na nic. Weź mnie z sobą. Już ja tam sobie poradzę, a jeśli nie, no cóż, to będzie mój pech. Wiele już dla mnie zrobiłeś.

– Zając, nadal jesteś żołnierskim nowicjuszem, jak przeżyjesz na polu bitwy?

– Tak jak wszyscy. Albo i nie. Ci, co teraz jadą do Czeczenii, też nie są jeden w drugiego najlepszymi żołnierzami.

– Ale to czysty obłąd! Kto dobrowolnie idzie na wojnę?!

– Ja! Ja chcę iść! Jestem pewien, że tam będę bardziej przydatny niż tutaj – odrzekł, błagalnie patrząc na Pietruszowa małymi wodnistymi oczami.

Wiedział, co myśli Pietruszow: że Zając mógłby mu się bardzo przydać, niezależnie od tego, gdzie wypadnie mu służyć – w górach Kaukazu czy w czeczeńskich stepach – by załatwić za niego brudną robotę.

– Zobaczą, co się da zrobić – powiedział Pietruszow cicho, niemal czule, nerwowym ruchem gasząc w popielniczce na wpół wypalonego papierosa.

Zając wstał.

– Dzięki, Boria – wymamrotał i wyszedł z gabinetu.

Na korytarzu oparł się o wilgotną ścianę i głęboko nabrał powietrza w płuca. Wojna na pewno była lepsza niż przemoc i upokorzenie, które go tu czekały, lepsza niż powrót do rodzinnej wsi. Wojna to szansa, że jeśli się przeżyje, wróci się innym człowiekiem.

Pietruszow

Borys Pietruszow pochodził z jednej z najbardziej szanowanych i wpływowych rodzin moskiewskich intelektualistów. Jego dziadkowie, zrehabilitowane ofiary represji stalinowskich, byli słynnymi geologami, matka pracowała naukowo jako literaturoznawca na Uniwersytecie imienia Łomonosowa, a ojciec, muzyk, pracował w radiu. Obydwu siostrom Pietruszowa także wrócono karierę akademicką. Uczyły się nawet w wakacje, a na posiłek musiały zapracować treningiem umysłowym. Rodzice urządzali dzieciom zgaduj-zgadule i ciągle dawali im do rozwiązania jakieś zadania.

Podczas jazdy samochodem mieli konkursy, a czas wolny oznaczał intensywną lekturę oraz uczenie się wierszy na pamięć. Muzyka klasyczna, którą kochali rodzice, w domu była otoczona niemal kultem. Boria, najmłodsze dziecko i jedyny syn, rósł zatem w atmosferze koncertów domowych, regularnego uczęszczania do teatru i konkurowania w liczbie przeczytanych książek.

W tym domu nie było miejsca na potrzeby niższego rzędu, ten dom żył i oddychał jedynie sprawami wzniosłymi. Borii wydawało się, że rodzice spędzili go, słuchając maniakalnie Bacha, bo wyobrażenie ich sobie uprawiających coś tak zwierzęcego jak seks przekraczało jego możliwości. Nie istniało nic oprócz kreowanego przez nich świata, nie interesowali się tak trywialnymi sprawami, jak codzienność czy polityka. Udawali umiarkowanych socjalistów, żeby nie narazić się władzy, ale w głębi duszy byli burżujami, znacznie bardziej interesującymi się literaturą i poezją niż proletariatem. Socjalizm był dla nich nie do przyjęcia, szczególnie pod względem estetycznym. Im starszy był Boria, tym bardziej pogardzał tym staroświeckim stosunkiem rodziców do rzeczywistości i tym bardziej buntował się przeciw wszystkiemu, co dla nich było ważne. Przestał brać udział w konkursach czytelniczych, wieczorach poezji i koncertach domowych. Znajdował wymówki, by nie chodzić z nimi do teatru, aż wreszcie zupełnie odmówił wspólnych wyjść. Rodzice złożyli to na karb trudnego wieku. Mieli jeszcze dwie córki, z którymi wiąźali wielkie nadzieje.

Tymczasem chłopak zaczął się po lekcjach wałęsać po mieście. Czuł, jak bardzo odcisnęło się na nim wychowanie i atmosfera domu. Zdradzał go zapach książek i zadbane wygląd. Nie nosił podartego mundurka, nie dostawał nagan ani nie zdarzało mu się popalać papierosów, był jednak wystarczająco bystry, by rozumieć, że musi znaleźć jakiś sposób na odnalezienie się w tym obcym świecie. Borys Pietruszow był skazany na sukces. W jego rodzinie nie mogło być inaczej, w pojęciu ojca i matki największą porażką było niczym się nie wyróżniać. Bez wahania chłonał więc każdą nikczemność i każdy brud, przed którymi tak bronili się rodzice. Chciał poznać brutalność, którą oni gardzili, i łamać ich zakazy.

Wkrótce Boria stwierdził, że wprawdzie szkolni prowadyrzy ignorują jego istnienie, ale za to zauważają go dziewczęta. To właśnie te cechy, którymi gardził – umiejętność pięknego wysławiania się, orientacja w różnych dziedzinach i dobre manieri sprawiały, że im się podobał, a w połączeniu z urodą przymioty te zaczęły być jego ukrytą bronią.

Pozycja szkolnych kolegów była oparta na sile fizycznej, lecz czuł, że może ich pokonać. On też nie był słabeuszem, ale przede wszystkim miał niezbędną siłę psychiczną, żeby przewodzić.

W krótkim czasie stał się obiektem westchnień wielu dziewcząt. Wszystkim okazywał zainteresowanie, podtrzymywał ich sympatię, żadnej nie odrzucał. Umawiał się z nimi do kina i niby mimochodem robił głębokie uwagi na temat filmu lub aktorów. To oczywiście musiało wywierać wrażenie. Dziewcząt podkochujących się w Borii, chłopcu wyróżniającym się na tle rówieśników, przybywało lawinowo, bycie zakochaną w nim stało się w szkole rodzajem mody. Szkolnym gierojom pozostawała tylko zazdrość i zawiść. Poza tym nagle zapragnęli się dowiedzieć, kim jest ten Pietruszow i co dziewczyny w nim widzą. Nie mogli go już ignorować, jego imię było na ustach wszystkich.

Kiedy największy szkolny zawiadziak muskularny Antoszka ze swoją paczką osaczył Borię w szkolnej ubikacji i sytuacja zrobiła się groźna, Boria umiał rozładować napięcie.

– Chcesz się umówić z Katią czy nie? – spokojnie spytał Antoszkę. – Jeśli mnie tkniesz, to ona nawet na ciebie nie spojrzy.

Teraz musiał przekonać Katię, żeby zechciała się spotkać z tym bezmózgowcem Antoszką. Katia kochała się w Borii, przysłała mu nawet list pachnący wodą różaną.

Boria czekał na nią po szkole i zapytał, czy może ją odprowadzić do domu. Katia o mało się nie rozplakała ze szczęścia. Po drodze Boria robił wszystko, żeby ją oczarować. Mówił jej komplementy, rzucał ckliwe spojrzenia, niby przypadkiem muskał ją ramieniem. Katia z każdym krokiem miękła, a Boria rósł we własnych oczach. Na klatce schodowej pocałował Katię, a potem zdarzyło się coś, o czym Boria, dziecko Związku Radzieckiego, nie śnił w najśmielszych snach – Katia zaprosiła go, by wszedł z nią do mieszkania. Dziewczyny bez żenady zapraszały chłopaka do domu tylko na filmach, w dodatku zachodnich, w socjalizmie takie rzeczy się nie zdarzały, tu należało odczekać kilka tygodni albo miesięcy, zanim sięgnęło się do dekoltu wybranki, co działo się najczęściej na ciemnej klatce schodowej, w opuszczonym budynku albo na tylnym siedzeniu samochodu. Potem... potem najczęściej dochodziło do ślubu albo... nie dochodziło do niczego. Katia stanowiła wyjątek od reguły lub jej uczucie do Borysa Pietruszowa było tak ogromne, że zlekceważyła normy.

Boria, milcząc, wszedł za Katią do zalatującej moczem windy i pojechał z nią na siódme piętro wieżowca. Katia otworzyła drzwi mieszkania i zaprosiła go do największego pokoju. Stawiając na niskim stoliku patere z owocami, powiedziała, że nie ma rodzeństwa, mieszka tylko z rodzicami, którzy teraz są w pracy. Przez chwilę siedzieli koło siebie na sofie, nie wiedząc, co dalej. Wtedy Boria zrobił pierwszy krok i ujął jej dłoń w swoją, a potem wszystko stało się proste i potoczyło w naturalny sposób. Katia drżała, zdawało się, że ciężko oddycha, ale nie opierała się, przeciwnie, pozwoliła mu się objąć, a Boria wdzierał się w obszary, których nigdy dotąd nie zdobywał. Na ziemię zsuwały się kolejne części garderoby. Katia zupełnie ścichła, jakby zwrócona w głąb siebie, Boria natomiast stawał się coraz

głośniejszy, jego ruchy były coraz szybsze i coraz bardziej gwałtowne, lecz nie przejmował się tym, najważniejsze, że ona nie protestowała. Zdał się ślepo na swoje ciało, pewien, że ono będzie wiedziało, co robić.

Dyszając, sturlał się na bok i wziął do ręki jabłko. Poczul nagle wilczy głód i ugryzł wielki kęs.

Katia przykryła się jakąś częścią garderoby, jakby poczuła wstyd, i usiadła.

– Jestem teraz twoją dziewczyną – powiedziała bardzo cicho.

– No... ma się rozumieć, ale musisz coś dla mnie zrobić, Katieńka – odpowiedział z pełnymi ustami.

– Co?

– Musisz umówić się z Antoszką.

– Z jakim Antoszką?

– No, przecież wiesz.

– Ale dlaczego?!

– Bo on cię uwielbia.

– Ale ja chcę być z tobą!

– Przecież jesteś. Ale coś mu jestem winien, a chciałbym być zupełnie wolny, żeby być z tobą...

– Co mam zrobić?

– Nie mam pojęcia. Pójść z nim do kina, na lody...

Katia poczuła się dotknięta i nie chciała o niczym słyszeć.

Następnego dnia w szkole Boria podjął kolejną próbę namówienia Katii na randkę z Antoszką. Nie zważając na jej zdumioną minę, szepnął jej do ucha, że jeśli nie umówi się z Antoszką, to rozpowie wszystkim, że jest puszczalska i już na pierwszej randce szeroko rozłożyła nogi. Sam był zdumiony, że potrafił powiedzieć jej coś takiego, bo nie ułożył sobie tego

wcześniej – widocznie miał do tego talent. Ale co to za talent? Czy ma jakąś nazwę? Nie wiedział, było mu zresztą wszystko jedno. Chociaż w oczach Katii pojawiły się łzy i dziewczyna instynktownie odsunęła się od niego, poczuł się zwycięzcą.

Katia umówiła się z Antoszką i już z nim została, bo Antoszka był zaborczy i miał skłonność do szaleńczych wybuchów zazdrości.

Tylko spojrzenia, jakie Katia słała Borii podczas przerw, dokuczały mu, ale nauczył się je ignorować. To, że skojarzył z sobą tych dwoje, dało mu w szkole wśród chłopaków dziwny, lecz wielki autorytet. Sam nadal trzymał się z boku, ale teraz było jasne, że wszystkie drogi – w każdym razie w pewnych sytuacjach – wiodą przez niego.

Raz po raz, gdy chodziło o dziewczyny, zgłaszali się do niego szkolni chuligani, prosząc go o taką czy inną przysługę i prawie zawsze udawało mu się ją wyświadczyć.

Koniecznieniusiłował się do niego zbliżyć Danił Lebediew. Danił miał prawdziwe dzinsy i ojca, który był grubą rybą w partii. Nie był specjalnie bystry, a jego niewiarygodna naiwność sprawiała, że Pietruszow znosił go niekiedy z najwyższym trudem. Ale był usłużny i Boria pojął, że znajomość z Daniłą może – ze względu na stanowisko ojca – okazać się bardzo przydatna. Kiedy pewnego dnia podczas dużej przerwy usiadł obok Borii także Antoszka, Boria zrozumiał, że jego pozycja ustaliła się raz na zawsze.

Zaczął trenować. Dotąd nie był specjalnie wysportowany – to psychika dawała mu przewagę nad innymi – lecz jeśli chciał być przywódcą, musiał odpowiednio wyglądać. Zaczął chodzić z Antoszką na treningi boksu i zapisał się do drużyny hokeja. Po roku z wysokiego, niezgrabnego wyrostka zmienił się w młodego, atletycznego mężczyznę o szerokich barach i imponujących bicepsach, które sprawiały, że serca dziewcząt były jeszcze mocniej. Teraz był upragnionym gościem na wszystkich uroczystościach, stworzył się jakby na nowo, nadał sobie nową formę, a zadowolenie, jakie w związku z tym odczuwał, przeszło w czystej wody narcyzm.

Jego stosunki z rodzicami stawały się coraz bardziej napięte. Konflikt był nieunikniony. Ich pretensje i uwagi odbijały się od niego jak od ściany, puszczał mimo uszu ich tyrady, a któregoś dnia po prostu nie wrócił na noc do domu.

Przyjął go do siebie zawsze podziwiający go Daniło. Wprawdzie po kilku telefonach rodziców do państwa Lebediewów Boria musiał wrócić do domu – było to na krótko przed końcowymi egzaminami w szkole – lecz niedługo zagrzeł tam miejsca.

Na ulicach w tym czasie zapanował chaos, socjalizm był już swoją własną karykaturą, a młodzi mężczyźni, którzy nauczyli się patrzeć w przyszłość i zgromadzili trochę kapitału, zaczęli nagle dobrze zarabiać. Boria nie miał pieniędzy, bo ani Puszkina, ani Berlioz nie pomogli jego rodzicom przetrwać pieriestrojki bez strat. Ale on, Borys Pietruszow, potrafił skłonić ludzi, żeby robili to, co zechce.

Nakłonił na przykład Daniłę, by zainwestował w jedną z kooperatyw pojawiających się teraz jak grzyby po deszczu. On sam, ku wielkiemu zaskoczeniu przyjaciół, którzy przepowiadali mu karierę uniwersytecką, i ku przerażeniu rodziców, zapisał się na akademię wojskową w Moskwie, lecz większość czasu spędzał na półlegalnych imprezach. Daniło, który był właścicielem kooperatywy tylko na papierze, udzielił pełnomocnictw swemu przyjacielowi i mentorowi, a Pietruszow szybko dowiódł swej handlowej żyłki i obaj z Daniłą już zawsze byli przy forsie.

Na imprezach można było spróbować kolorowych pigułek, które pojawiły się w kraju dzięki otwartym granicom. Pietruszow bardzo w nich zasmakował. Właściwie nigdy nie tracił nad sobą kontroli, nie pamiętał już, jak to jest, pozwolić sobie na pełny luz, aż tu nagle pojawiły się te małe pigułki i można było odpłynąć. Czuł się dobrze ze świadomością, że już nie musi czuć się odpowiedzialny za wszystko (odpowiedzialność była ciemną stroną jego sukcesu), teraz potrafił sobie wybaczyć słabości i błędy, bo po narkotykach nie był już dawnym Pietruszowem. Szybko uzależnił się od stanu, w którym mógł wodzić za nos wszystkich, nawet samego siebie. Od

niedawna był przywódcą, który stale odnosił sukcesy, był królem bez tronu, młodym eleganckim mężczyzną, którego uwielbiały kobiety, i utalentowanym manipulatorem. Czasem tęsknił jednak za tym, by wypuścić cugle z rąk, nie musieć mieć gotowej odpowiedzi na każde pytanie, być głupim i dziecinnym, i to wszystko było możliwe dzięki kolorowym pigułkom. Daniło chodził za nim wszędzie jak wierny pies. Rodzice Daniły dzięki łapówce uzyskali dla niego miejsce na słynnej uczelni, o której marzyło wtedy wielu młodych ludzi – w MGIMO, Moskiewskim Państwowym Instytucie Stosunków Międzynarodowych, ale Daniło wyleciał stamtąd po roku, bo nie przychodził na zajęcia. Potem zapisali go na prawo na Uniwersytecie imienia Łomonosowa. Lecz wiadomo było, że i tam nie zagrzeje miejsca.

Bycie na lekkim haju, czego Pietruszow i Daniło potrzebowali jak codziennej porcji pożywienia, już nie wystarczało. Rozrywki musiały być coraz bardziej wyrafinowane, narkotyki coraz silniejsze. Biały proszek, powszechny teraz wśród bywalców klubów, był im potrzebny w coraz większych ilościach. Pieniądze umożliwiały wynajmowanie całego klubu, organizowanie prywatnych imprez, a przede wszystkim opłacanie dziewcząt, które w lot odgadywały ich najbardziej perwersyjne życzenia.

Nagle stało się coś, co zmusiło Pietruszowa do zmiany stylu życia i ukróciło ekscesy w klubach: na jednej z hucznych imprez Danile puściły wszystkie hamulce.

Wąły i drobny Daniło, przygarbiony, o rzadkich blond włosach, nie miał szczególnego powodzenia u kobiet. Zamawiał więc eleganckie prostytutki, które zaspokajały jego fantazje. Te fantazje z czasem stały się coraz bardziej dziwaczne, wręcz drastyczne. Panienki nie chciały ich spełniać nawet za dopłatą.

Ten wieczór Pietruszow spędzał w klubie Szangri-la, w pokoiku przeznaczonym na intymne spotkania. Nagle usłyszał przeraźliwy krzyk, głośniejszy niż wibrujące basy muzyki techno. Kiedy wpadł do pomieszczenia, z którego dochodził krzyk, zobaczył Daniłę. Daniło przypominał zwierzę: jego oczy wyglądały jak dwie szpary zasnutę czerwoną

mgłą, trzymał za szyjkę rozbitą butelkę od szampana i uderzał nią leżącego na podłodze w kałuży krwi mężczyznę w kraciastej koszuli. Obok stała prostytutka, która była częstym gościem na imprezach, i przeraźliwie krzyczała. Z jej uda ciekła krew.

Pietruszow pojął od razu, że jakieś seksualne życzenie Daniły wzbudziło opór prostytutki i poskarżyła się sutenerowi, a ten wtargnął do klubu i stanął oko w oko z Daniłą. Do czego Daniło chciał zmusić panienkę, Pietruszow wolał nie pytać. Teraz liczyły się skutki: Daniło w narkotykowym szale chwycił butelkę szampana, rozbił ją o brzeg stołu i zadał nią cios sutenerowi, trafiając w tętnicę szyjną. Kilka sekund przesądziło o jego losie.

Pietruszow sam się potem dziwił, że w takiej sytuacji działał z zimną krwią. Na szczęście nie był na haju i w mgnieniu oka zrozumiał, co musi zrobić: zmusić prostytutkę do milczenia i nie dopuścić do powstania paniki w klubie, tak by nie przerwać gościom zabawy.

Zamknął drzwi na klucz. Krzyczącej histerycznie dziewczynie podał taką dawkę środka uspokajającego, że po chwili oklapła, patrząc przed siebie w jeden punkt. Daniło usiadł na czerwonej sofie i wypił resztkę szampana z kieliszka. Wtedy Pietruszow zauważył leżący na ziemi polaroid. Wiedziony intuicją sfotografował zwłoki sutenera, nagą, pokrwawioną dziewczynę i półnagiego, odurzonego Daniłę. Zdjęcia schował do kieszeni. Wiedział, że ojciec Daniły ma niezbędne kontakty, żeby wyciągnąć syna z opałów. Poszedł do telefonu i wybrał jego numer.

Znaleziono jakiegoś biednego Kazacha, który za kilka tysięcy dolarów zgodził się wziąć całą winę na siebie. Pietruszow wolał nie pytać, jak uciszono prostytutkę – wręczono jej gruby zwitek pieniędzy czy też załatwiono to w inny sposób. Daniłę usunięto z kooperatywy i wysłano na Zachód. Na pewien czas musiał zniknąć również Pietruszow. Zgłosił się jako rekrut do Niżnego Nowogrodu. Dzięki ambicji i potrzebie odnoszenia sukcesów, która od zawsze cechowała wszystkich w jego rodzinie, służbę wojskową zakończył w stopniu oficera, mimo kolorowych pigułek i nieskończenie długich kresek usypywanych z białego proszku.

Kiedy sprawa z sutenerem i prostytutką poszła w zapomnienie i Pietruszow uznał, że jest już bezpieczny, złożył wizytę ojcu Daniły, choć ten niespecjalnie go lubił, uważał bowiem, że miał zły wpływ na jego syna. Lebediew był już wtedy dyrektorem GUSS-u, instytucji nadzorującej budowę garnizonów i baz wojskowych, na czym, jak przebąkiwano, można było zbić niezły majątek, zwłaszcza w okresie poprzedzającym wybuch wojny z Czeczenią.

Lebediew przyjął go niechętnie i od razu na wstępie zaznaczył, że nie będzie mógł mu poświęcić dużo czasu. Zamilkł jednak, kiedy Pietruszow położył przed nim fotografie, na których zobaczył Daniłę na czerwonej sofie, popijającego szampana, a obok narzędzie zbrodni i zwłoki sutenera. Zaciągnął się papierosem, obejrzał zdjęcia jeszcze raz i spojrzał na Pietruszowa wzrokiem pełnym nienawiści i obrzydzenia.

- Czego chcesz?
- Dobrej posady.
- Tutaj, w GUSS-ie?
- Tak. Mógłbym zostać na przykład pańskim zastępcą.
- Wiesz, że GUSS podlega armii?
- Jestem wojskowym.
- Skontaktuję się z tobą w przyszłym tygodniu. A teraz żegnam.
- Do zobaczenia zatem.

Pietruszow spokojnie zebrał zdjęcia ze stołu, włożył je do kieszeni i wyszedł.

Trzy dni później dostał pisemny rozkaz wyjazdu na front. Miał się udać z 56. Dywizją Piechoty Zmotoryzowanej do Groznego. Wiedział, że ukartował to Lebediew i że jeśli nie stawi się w wyznaczonym czasie w jednostce numer 6952, zostanie usunięty z armii, straci stopień oficerski i perspektywę na to, by kiedykolwiek pracować w GUSS-ie.

Czuł jednak, że przetrwa tę wojnę, wróci i weźmie wszystko, co zamierzał zagarnąć, nawet to, co początkowo dla przyzwoitości chciał pozostawić ojcu Daniły.

1995/OSESEK

W trakcie minionych dwóch tygodni nastrój w bazie wojskowej dziwnie się zmienił. Czekanie na rozwój wypadków, w miarę jak wzrastał upał, ciążyło wszystkim coraz bardziej. Wydawało się, że powietrze w wąwozie znieruchomiało w oczekiwaniu na coś wielkiego, a zarazem strasznego.

Panowała ołowiana cisza, niebo wisiało nisko i miało się poczucie, że napiera na ludzkie czaszki. Napięcie i większa niż zazwyczaj nieufność panowały też wśród mieszkańców aułu. Oddalenie wąwozu od świata sprzyjało dotychczas tej okolicy – wojna nie zdążyła tu jeszcze odcisnąć swych niszczących śladów, była tylko echem i objawiała się głównie nieobecnością tutejszych mężczyzn. Góry stanowiły mur obronny. Od kiedy jednostka, w której służył Osesek, rozbiła tu obóz, we wsi zmieniła się atmosfera – ludzie stali się ostrożni, niechętni wobec obcych i zarazem niepewni, przemykali chyłkiem po zakurzonych drogach, unikając kontaktu i wszelkich okazji do rozmów z przybyszami.

Codzienne życie jednak toczyło się nadal, choć czas zdawał się płynąć w tym miejscu wolniej niż gdzie indziej. Tejpy rządziły tu niezależnie od partii i uchwał Komitetu Centralnego, obowiązywały swoje zasady, takie jak *czir* – prawo krwawej zemsty, nie tak jak w czeczeńskich miastach i innych wsiach, gdzie wpływ systemu socjalistycznego wyrugował tradycyjne zwyczaje i gdzie rola klanów i adatu osłabła. Tu, w górach, tak jak przed wiekami rządziły wary i tejpy. Życie wspólnoty regulowały postanowienia podejmowane na zebraniach, które gromadziły reprezentantów klanów. Dotyczyły one konkretnych spraw, na przykład sposobu wykorzystania pól należących do wspólnoty czy rozstrzygania sporów.

Wojna powoli, lecz nieubłaganie wdzieriała się w życie mieszkańców wąwozu. Coraz dotkliwiej dawały się we znaki braki i niedostatki. Coraz

więcej ludzi maczało palce w nielegalnym handlu, zwłaszcza gdy szło o czarne złoto: wiercono szyby, a aparatczycy, ludzie ze służb specjalnych i członkowie rządu, nazywani tu „rosyjskimi prostytutkami”, wykupywali źródła ropy naftowej.

Jak dotąd czołgi ani bomby nie dotarły do wąwozu, mimo to mieszkańcy aułu żyli, wstrzymując oddech, w oczekiwaniu na coś, czego jeszcze nie umieli nazwać.

We wsi pozostali głównie starcy, kobiety i dzieci. Żyli w napięciu, a mimo to byli opanowani. Także najmłodszy chowani byli tak, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Z Groznego i innych miast dochodziły przerażające wiadomości, które po cichu przekazywano sobie z ust do ust.

Znikło wielu synów, ojców i braci. Coraz częściej mówiło się o rodzinach, które rozpaczliwie szukały pieniędzy, by wykupić swych mężczyzn, choć niekiedy zbierały okup na darmo i z kolejnych domów dawały się słyszeć czeczeńskie pieśni żałobne.

Wojna wpełzała do wąwozu niczym wąż, wzdłuż rzeki, coraz głębiej, wnikała do domów, w ludzkie ciała i umysły.

W ostatnich dwóch tygodniach nastroje wyraźnie się zaostrzyły. Osesek czuł napięcie każdym włókmem swego ciała, choć jeszcze nie wiedział, co było jego przyczyną. Spokój po ataku na Grozny sprawił, że czekanie na dalszy rozwój wypadków zmieniło się w torturę, w niekończące się, trudne do zniesienia trwanie.

Pułkownik Szujew na każde pytanie podwładnych wybuchał wrzaskiem. Od kiedy tu byli, nieustannie pił. Ktoś zdobył gruzińską czaczę, więc pułkownik przesiadywał u siebie z Pietruszowem i kilkoma zaufanymi oficerami, pił i perorował. Niemal każdego wieczoru słyszeć było ordynarne wyzwiska wykrzykiwane, jak się zdawało, przez Szujewa, bo pasowały do niego tak jak jego napięte z wściekłości mięśnie i łysawa czaszka. Swoim chłopcom powtarzał, że powinni być mu wdzięczni i trzymać gębę na kłódkę, bo to przywilej służyć w jednostce 6952 – podzięką za operację

przeprowadzoną z sukcesem w stolicy, za zniszczone, zrównane z ziemią domy i pogrzebane ludzkie losy.

„Może rzeczywiście powinno się korzystać z tego szczęścia, dopóki los jest łaskawy” – pomyślał Osesek. Uciekał w swoje książki, bo były dla niego najlepszą odskocznią oprócz wspomnień godzin spędzonych z Sonią we Władykaukazie, wspomnień jej skóry i przyrzeczenia, które sobie wtedy złożyli.

Żołnierze jakby odwykli od normalnego życia, tak jak zapomina się języka obcego, który nieużywany pozostaje gdzieś w pamięci przysypany kurzem czasu. Byli niespokojni jak konie w stajni, które wietrzą w pobliżu drapieznika, a ich chrapanie i sapania przedostawały się podczas rozgwieżdżonych nocy przez blaszane ściany postawionych specjalnie dla nich tanich kontenerów, obcego ciała wśród tej dzikiej natury, w miejscu nietkniętym przez cywilizację. Wczesnie rano, kiedy Osesek szedł do kuchni, mógł jeszcze zobaczyć resztki ich snów przyklejone do blaszanych ścian: ciemne plamy o złym zapachu.

Mimo to najbardziej lubił poranki. Szedł do położonego nieco na uboczu kontenera służącego za kuchnię i z Aloszą, zwanym przez wszystkich Kundlem, przygotowywał śniadanie. Czuł wdzięczność do Pietruszowa, że przydzielił go do pracy w kuchni. Było to niemal przyjemne zadanie, bo nie musiał stykać się z innymi poza porą posiłków, a to, co robił, miało przynajmniej sens.

Kiedyś Alosza zaproponował, żeby trochę urozmaicić posiłki. To, co mieli w jadłospisie – pozbawiona smaku breja z prosa lub z ziemniaków, suchy chleb, wodniste masło, a w niedzielę wieprzowina z puszki, najpopularniejsza od czasów radzieckich konserwa mięsna – na dłuższą metę było nieznośne.

„Jeśli jedzenie będzie lepsze, poprawi się też nastrój wśród żołnierzy” – powiedział Alosza. Oseskowi z początku ten pomysł wydał się nierealny – skąd niby mieliby wytrzasnąć to lepsze jedzenie – ale potem dość sprytny.

Smaczniejsze posiłki wzmocniłyby ich pozycję, a bardzo by się to im przydało.

Bo choć Osesek sprawdził się w Groznych, choć dzielnie się bił, a przede wszystkim udało mu się ująć cało i nie oszaleć, nie poprawiło to jego notowań w jednostce. W opinii kolegów był nadal maminsynkiem, którego tolerowali tylko dlatego, że przejął wszystkie zadania, które dla szanujących się żołnierzy są poniżej godności. Dzięki pomysłowi Aloszy mogliby obaj zyskać nieco szacunku. Męczące zabiegi, by wymienić na czarnym rynku konserwy rybne i kaszę gryczaną na baraninę i koźlęcinę, by wejść w dobre układy z gospodarzami z aułu i zdobyć trochę mleka i jaj, mogłyby przysporzyć im uznania i uczynić znośniejszym ich życie w tym miejscu.

Alosza był synem nauczycielki z Nowosybirsk. Ojca nie znał. Zaciągnął się do wojska, choć od dziecka marzył, by zostać słynnym kucharzem i zdobyć kiedyś gwiazdkę Michelin. On i jego matka należeli do tych reprezentantów społeczeństwa postradzieckiego, których sytuacja społeczna i gospodarcza była tak beznadziejna, że wojna dawała im złudzenie światła w tunelu.

Osesek myślał, że jest ostatnim człowiekiem, który nadaje się do armii. Lecz gdy poznał Aloszę, zrozumiał, że się mylił. Ten wąły dziewiętnastolatek o małym nosie, czerwonych policzkach i sterczących na wszystkie strony kręconych włosach, z o wiele za cienkimi nogami, wyglądał raczej na studenta matematyki niż na żołnierza i był wdzięcznym obiektem ataków złośliwców i kpiarzy.

Obu złączył wspólny los. Alosza, który niedawno przeszedł do jednostki z innej dywizji piechoty, uczestniczącej w jednej z najzagorzalszych walk w okolicach wsi Szatoj, położonej na górskiej przełęczy, od pierwszej chwili wydał się Oseskowi sympatyczny. Alosza przeżył raczej dzięki szczęściu niż sprytowi: wpełził do rozwalonego domu, by tam po prostu przeczekać, szybko jednak został odkryty przez rosyjskiego podoficera. W zamian za milczenie musiał mu odtąd odstępować część swojej racji żywnościowej i pucować buty. Sprawa się jednak rozniosła i pułkownik przesunął go do kategorii

„niezdolnych do służby”, zapowiadając, że złoży na niego skargę w komisariacie wojskowym. Ponieważ jednak wojsko potrzebowało ludzi do różnych zajęć pomocniczych, posłano Aloszę do Szujewa.

Najpierw był magazynierem w składzie broni, potem przesunięto go do prac kuchennych. Może była to sprawa jego pokornej postawy i spuszczonego oczu, w każdym razie Osesek rzucił Aloszy kilka przyjaznych spojrzeń i to wystarczyło, by od tej chwili Alosza szukał jego towarzystwa, a kiedy Osesek dobrowolnie zgłosił się do kuchni, zobaczył w oczach Aloszy radość i ulgę.

To od Aloszy Osesek dowiedział się o istnieniu czerwonego przewodnika Michelina po restauracjach i hotelach, a także o takich ekskluzywnych potrawach, jak bouillabaisse, farce duxelles, ragoût fin, boeuf Bourguignon, gratin dauphinois, pot-au-feu aux légumes czy crème brûlée. Alosza okropnie kaleczył te nazwy, bo nigdy nie uczył się francuskiego, mimo to w jego ustach brzmiały one dziwnie pociągająco. Nawet wiele lat później, na zupełnie innym etapie życia, kiedy Osesek kosztował tych potraw w najdroższych restauracjach na świecie, zawsze przychodził mu na myśl przyjaciel z młodości wymawiający ich nazwy z błyskiem w oku.

Chociaż Osesek z początku traktował Aloszę – drobnego chłopaka z Syberii, niezbyt wykształconego, lecz żadnego wiedzy, przy którym mógł się poczuć trochę ważniejszy niż zwykle – tylko jako miłą odmianę w smutnym obozowym życiu, to po pierwszych trzech tygodniach, które spędzili razem w kuchennym kontenerze, zaskoczony zauważył, jak miło było mu w jego towarzystwie, jak bez wysiłku się z nim zgadzał, jaką ulgą było przebywać z kimś, kogo interesowały inne rzeczy niż magazyny porno i wojna.

Osesek nauczył się od Aloszy, że produkty żywnościowe mają swoje własne życie i w różnych kombinacjach mogą zupełnie inaczej smakować, nauczył się odpoczywać po pracy z uniesionymi w górę nogami, nauczył się, że piękno leży nie tylko w oku patrzącego, lecz zależy również od relacji między patrzącym a obiektem, na który się patrzy, nauczył się pić wódkę bez krzywienia się i znajdować w jej gorzkim smaku rodzaj przyjemności,

nauczył się wyczarowywać z jajek potrawy będące rozkoszą dla podniebienia i tego, że marzenia można formować jak ciasto, nauczył się chłonać naturę, nauczył się chodzić boszo po deszczu i gotować galnusz, fantastycznie pachnący czeczeński makaron, który łagodził najbardziej brutalne charaktery. Osesek z kolei opowiadał Aloszy o książkach, pokazywał mu gładkość języka Puszkina oraz urok dzieciennych wygłupów.

W końcu nieugięty zwykle Szujew zaakceptował pomysł swych kucharzy, bo sam chciałby czasem zjeść coś smacznego, i w przypływie dobrego humoru wydzielił im pewien budżet na zaopatrzenie kuchni w nowe produkty.

Osesek i Alosza musieli się zdecydować na pójście do aułu. Zaczęli od młyna. Sprzedawano tam teraz tylko jeden rodzaj chleba, ruszyli więc dalej, na rynek, gdzie można było czasem dostać warzywa i owoce. Nabrawszy odwagi, poszli do starego Ingusza, który miał stado kóz i sprzedawał mleko i ser. I chociaż nikt nie patrzył im w oczy, nikt ich nie pozdrawiał, najczęściej otrzymywali to, co chcieli. Alosza zdobył nawet trochę nasion ziół i postanowił założyć w bazie ogródek. Na wyprawach po żywność spędzali coraz więcej czasu i coraz łatwiej udawało im się odsuwać od siebie ogólne szaleństwo, nie myśleć o przyszłości, stwarzać iluzję normalności, którą tylko czasami zakłócał niespokojny szum radiotelefonów.

Osesek zabierał Aloszę do jaskini. Przechowywał tam książki i ukradzioną w bazie latarkę. Często siedzieli na skałach, dyndając nogami i słuchając szumu rzeki, grali w karty albo rozmawiali o kolejnej potrawie, którą zamierzali przyrządzić ze zdobytych produktów.

– Coq au vin! To byłoby coś! – wykrzyknął Alosza, ocknąwszy się z zamyślenia.

Właśnie starli podłogę, umyli naczynia i usiedli na chwilę, by odsapnąć.

– Co to znowu za potrawa? – spytał Osesek, patrząc z uśmiechem na przyjaciela.

– To coś bardzo wyszukanego, przepis oczywiście francuski: kura,

a jeszcze lepiej kogut, bo tłustszy i bardziej sycący, w marynacie z wina i ziół. Mięso drobiowe szczególnie dobrze chłonie zioła i przyprawy. Pamiętaj, że kiedy wymyślono ten przepis, nie było wielu możliwości konserwowania pożywienia. Jeśli chce się naprawdę dobrze przygotować to danie, trzeba trzymać mięso w marynacie przynajmniej przez dobę.

Alosza pocałował trzy palce ręki, żeby zademonstrować, jak smakowita jest potrawa, o której mówił.

– To absurd. Nie mamy ani wina, ani koguta.

– Ach, nie mów tak... Ostatnio ten stary Ingusz powiedział, że w aule mieszka rodzina, która hoduje i sprzedaje kury.

– Mimo wszystko! Nie stać nas na kupno tylu kur...

– Tak, wiem, ale pomarzyć wolno. Pewnego dnia przygotuję najlepsze na świecie coq au vin!

– Jak właściwie wpadłeś na te francuskie specjały?

– Mieliliśmy w domu książkę o kuchni francuskiej. Ktoś podarował ją matce. Były w niej nie tylko przepisy, ale i apetyczne zdjęcia. Nie mogłem się od nich oderwać, na widok tych potraw ślinka ciekła mi z ust. Jeszcze teraz, kiedy o tym mówię, dostaję gęziej skórki. Potem zacząłem czytać wszystko, co mi wpadło w ręce, i dowiedziałem się też o istnieniu przewodnika Michelina. Kiedy to tutaj się skończy i zbiorę dosyć pieniędzy, pojedę do Francji i zacznę pracować w restauracjach z gwiazdką Michelina. Będę się uczył od najlepszych, a pewnego dnia otworzę własną restaurację...

Alosza przerwał i spojrzał w dal, jakby sięgał wzrokiem poza ściany blaszanego kontenera, poza długi wąwóz, aż do Francji. Myślami był już w Paryżu, chodził po szerokich ulicach i bulwarach.

Osesek skulił się w sobie, bo w tęsknocie Aloszy było coś niesłychanie gorzkiego. Ale przecież cuda się zdarzają, może Aloszy naprawdę uda się kiedyś pojechać do Paryża.

– Właściwie dlaczego nie? – Alosza znowu podjął wątek jedzenia

i zdmuchnął lok opadający mu na policzek.

– Co masz na myśli?

Osesek trzymał już w ręku wilgotną, śmierdzącą ścierkę, którą chciał zetrzeć stoły przed śniadaniem.

– Skoro nie coq au vin, to może pilaw z mięsem drobiowym? Znam świetny przepis z Taszkientu.

Alosza zaczął wyliczać potrzebne składniki.

– Tyle kur?! Zapomnij o tym. To nierealne. Wydalibyśmy na to cały nasz miesięczny budżet.

– Tak wiele znowu tych kur nie potrzebujemy. Będziemy improwizować, a poza tym lepiej raz zjeść jak król, niż codziennie jeść jak żebrak...

– A jeśli nie dostaniemy tych kur?

– Daj spokój, kiedy tutejsi się przekonają, że nie jesteśmy żadne śwynie, to przecież nam sprzedadzą, oni też chcą żyć, potrzebują pieniędzy.

– No, nie wiem...

– Ech, przestań.

Osesek myślał niekiedy, że Aloszy udało się trwać właśnie dzięki tej umiejętności: potrafił się zachwycać. Wokół mogło być nie wiadomo jak ponuro, a jednak zawsze znalazło się coś, do czego Alosza się zapalał: wczoraj liście pokrzywy, z których można zaparzyć świetną herbatkę, dzisiaj kury, jutro może kozi ser od Ingusza. Marzenia Aloszy były szczudłami, które od dzieciństwa wynosiły go ponad szarą codzienność, a do tego Alosza – zupełnie inaczej niż Osesek – nie miał żadnych lęków. Nie musiał zbierać wszystkich sił, żeby przeciwstawiać się czemuś, w starciu z czym nie miał większych szans. I choć Osesek niechętnie się do tego przyznawał, zazdrościł Aloszy tej cechy. Często sam musiał walczyć ze swoim lękiem, za co się w duchu przeklinał. I w końcu zawsze się poddawał.

Następnego dnia Alosza zbudził Oseska o świcie i zaproponował, żeby po

śniadaniu zeszli w dolinę kupić kury.

Osesek się wahał – długa droga i znaczne oddalenie się od obozu budziły jego niepokój. Ale nie chciał wyjść na tchórza, więc się zgodził i teraz, wydawszy śniadanie dla jednostki, włókł się za Aloszą.

Alosza szedł zdecydowanym krokiem, jakby dobrze znał drogę, lecz Osesek był pewien, że to nieprawda. Nie wolno im było oddalać się tak bardzo od obozu, ale od kiedy Szujew wyznaczył im budżet na dodatkowe zakupy, przymykano oczy na te wyjścia.

Za każdym razem, kiedy Osesek schodził do wąwozu i zbliżał się do rzeki, w pewnej chwili wstrzymywał oddech, bo widok zapierał dech w piersiach. Zdarzało się to zwłaszcza wczesnym rankiem, kiedy słońce nie prażyło jeszcze bezlitośnie i wszystko było otulone miękkim, jakby przypudrowanym światłem. Czasami wyobrażał sobie, że jest z nim Sonia. I choć był świadom nierealności swego pragnienia, nie mógł przestać o tym myśleć – było to takie pocieszające, tak piękne. Z dala od jego matki, od moskiewskiego smutku, z dala od rodziny Soni, z dala od podwórza, od całej dzielnicy Szczukino, z dala od wszystkiego i wszystkich mogliby chłonąć to piękno.

Minęli młyn, ignorując nieprzyjazne spojrzenia młynarza, jednego z niewielu młodych mężczyzn, jakich spotkali w aule, przecięli pusty rynek, znosząc jadowity wzrok kilku starców. Dzieci bawiące się przy źródelku rozpierzchnęły się na ich widok.

Osesek cieszył się, że Alosza nie wpadł na pomysł, by właśnie tu zapytać kogoś o drogę. Ze spuszczonej głowami szli pustymi drózkami, które zakurzone i kręte wiły się wśród wysokich skał. Zatrzymali się. Alosza wyżebrał w obozie papieros bez filtra, który teraz zapalił. Uniósł głowę i popatrzył na zaśnieżone szczyty.

– Gdzieś tutaj powinna odchodzić ścieżka i nią musimy iść dalej... A na jej końcu stoi ten dom.

– Kto ci to powiedział? Ten stary Ingusz? Może to zasadzka. Jesteśmy

daleko, na uboczu.

– Nie przedstawiamy dla nich żadnej wartości. Nie wezmą nas do niewoli, bo wiedzą, że nasi poświęciliby nas bez mrugnięcia okiem.

Suchy ton, jakim Alosza wypowiedział te słowa, miał w sobie coś nieprzyjemnego. Oserek skurczył się wewnętrznie. Nigdy by nie przypuszczał, że Kundla (którego nigdy tak nie nazywał) stać na taki zimny osąd sytuacji. Skonsternowany musiał jednak przyznać, że przyjaciel ma rację. Nie byli nic warci. Nie pytał o nic więcej, szedł za Aloszą w milczeniu.

Na drodze pojawił się starszy człowiek jadący lichym konnym zaprzęgiem. Alosza uśmiechnął się do niego przyjaźnie i skierował się w jego stronę. Woźnica, zatrzymawszy konie, tłumaczył coś Aloszy za pomocą rąk.

– Miałem rację, dalej prosto tą drogą! – wykrzyknął zadowolony Alosza i ruszył pewnie przed siebie, jakby znał okolicę jak własną kieszeń.

Doszli do wąskiej ścieżki, która odbijała w prawo. Na końcu stało kilka domów. Przed ostatnim ciemnowłosa dziewczynka opierała się o bramę, patrząc na nich nieufnie.

– Dzień dobry, mała – zaczął Alosza niezbyt pewnym tonem. – Szukamy domu Giełajewów, tych, którzy hodują kury. To musi być gdzieś tu.

Dziewczynka patrzyła na nich oczami czarnymi jak węgle i skubała długi warkocz, jakby się zastanawiała, jak powinna się zachować.

– To my jesteśmy Giełajewowie – powiedziała po chwili poważnie, niepewna, co ma sądzić o tych dwóch żołnierzach.

W tym samym momencie na podwórzu pojawiła się kobieta w średnim wieku w ciemnoniebieskim fartuchu i długiej spódnicy.

Zawołała coś po czeczeńsku do dziewczynki i szybko podeszła do bramy. Stała przed małą i odsunęła ją ruchem ręki.

– Czego chcecie? Zostawcie moją córkę w spokoju, ona nic nie wie!

– Chcemy kupić kury, kilka kur.

- Nie sprzedajemy żadnych kur!
- Dobrze zapłacimy.
- Nie, niczego teraz nie sprzedajemy.
- Ale my naprawdę chcemy tylko kupić kilka kur, nic więcej, pracujemy w kuchni w bazie wojskowej, tam na górze...

Alosza wyglądał na zrozpaczonego. Nie mógł uwierzyć, że wojna oddziela go od smakowitego pilawu.

- Przykro mi – powiedziała kobieta po rosyjsku, z ciężkim akcentem, odwróciła się i poszła w stronę domu, mocno chwyciwszy córkę za rękę.

Osesek też próbował wtrącić swoje trzy grosze, by zmienić nastawienie kobiety, czuł jednak, że to na nic.

Kobieta zamknęła za sobą drzwi.

- Widzisz... Mówiłem ci.

Osesek kucnął, żeby dać odpocząć zmęczonym nogom.

- Ja tego nie rozumiem!
- Alosza, jesteśmy ich wrogami. Zawsze byliśmy. Jesteśmy tymi, którzy chcą zabić ich mężów i synów!
- Ale od innych jednak kupujemy.
- Bo się nas boją. Nie udawaj głupiego!

Osesek był zdenerwowany i chciał od razu wracać. Czuł ciarki na grzbiecie na myśl o długim powrotnym marszu do bazy, na myśl o śmierdzących ścierach w obozowej kuchni, na myśl o zapachu spoconych męskich ciał, o alkoholowych ekscesach pułkownika, o służalczych lizusach takich jak Zajac, czuł ciarki na myśl o czekaniu bez końca na rozkazy, czekaniu, które sprawiało, że każdy kolejny dzień był o tonę cięższy od poprzedniego, czuł ciarki na myśl o sadyzmie Pietruszowa, najmądrzejszego i dlatego najbardziej perfidnego oficera w całej jednostce, rozkoszującego się

szykanowaniem i poniżaniem żołnierzy. Pietruszow udawał, że wykonuje rozkazy Szujewa, ale on jedyny niczego się nie bał i tylko on zachowywał się jak prawdziwy dowódca.

Osesek poczuł nagle trudną do określenia narastającą złość, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę z bezsensowności ich zamiaru. W tej beznadziejnej sytuacji gotować pilaw! Po co, jeśli jutro mogą być martwi? Czy ma to być ostatni posiłek skazańców?!

Odwrócił się i zaczął iść, nie czekając na przyjaciela. Chciał jak najszybciej się stąd oddalić, zaszyć się w swojej pieczarze, siedzieć w cieniu na skale i patrzeć na wodę, wsłuchiwać się w szmer rzeki i nie myśleć o niczym.

– Ej, Osesek, zaczekaj, dokąd tak pędzisz?! Co się dzieje? Zaczekaj!

– Daj mi spokój! To jest bez sensu. – Osesek był bliski łez.

– Co w ciebie wstąpiło? – z niepokojem spytał Alosza, patrząc na przyjaciela szeroko otwartymi oczami.

– Co my robimy?! Zdajesz sobie sprawę, jak porąbane jest wszystko, co my tu wyprawiamy?! – rzucił Osesek, szybko idąc dróżką w kurzu i upale.

Słysząc było cykanie świerszczy, a wielkie ptaki przecinały rozpalone, bezchmurne niebo.

– Ale co mamy robić? Siedzieć i czekać, aż nas odstrzelą? Tak będzie lepiej? Mniej absurdalnie? – Głos Aloszy drżał.

Osesek, nie oglądając się za siebie, szedł naprzód.

– Nie, tak wcale nie będzie lepiej – mówił dalej Alosza. – Nie chcę siedzieć i czekać na śmierć. Chcę przeżyć, a jeśli pilaw może mi w tym pomóc, zrobię wszystko, żeby go ugotować, do diaska! Serio: wolę umrzeć, mając brzuch pełny świeżego kurzego mięsa niż taniego żarcia z konserwy!

Przez resztę drogi milczeli. Alosza od czasu do czasu pogwizdywał jakąś melodię.

Zbliżali się już do aułu, kiedy usłyszeli psyknięcie i momentalnie się zatrzymali, jakby wrosli w ziemię. Rozejrzeli się ostrożnie i za dużą jodłą zobaczyli dziewczynę. Trzymała się lękliwie pnia i niepewnie im się przyglądała.

– Hej, wy tam, wy dwaj!

Mówiła po rosyjsku bez akcentu. Była niska i starannie ubrana, miała piękną figurę o symetrycznych krągłościach. Jej jasna skóra jaśniała w słońcu. Teraz szybko owinęła głowę ciemnoniebieskim szalem, jakby chciała coś ukryć. Kolor szala podkreślał nieskazitelną cerę. Jej oczy były czarne jak dwa węgle, nos zgrabny i mały, a usta ładnie wykrojone, jak namalowane.

– Podejdźcie, ja nie gryzę.

Sposób, w jaki się do nich zwróciła, miał w sobie wyzywającą nonszalancję. Alosza rozdziawił usta. Od dawna nie widział takiej piękności. Ociągając się, podeszli bliżej.

– Stop, nie tak blisko, nie jesteście w Rosji. Tu zachowuje się dystans. Chcecie kupić kury, prawda?

Osesek zauważył, że oczy dziewczyny są podobne do oczu dziewczynki przy bramie domu, przed którym właśnie byli. Czy tamta była jej siostrą? Czy to ona jej o nich powiedziała?

– Tak, chcemy kupić kury – potwierdził, jękając się, Alosza.

– Ile płacicie?

– A ile byś chciała?

Dziewczyna wymieniła zuchwale wygórowaną cenę. Ale tu działało prawo wojny, każdy troszczył się o siebie i żądał kwot, jakie spodziewał się otrzymać, niezależnie od wartości towaru.

– Za jedną kurę?

– A jak myślisz?

– Na to nas nie stać.

Alosza rozmawiał z dziewczyną jak lunatyk, oszołomiony jej urodą. Wymienił kwotę, którą mieli do dyspozycji.

– Potrzebujemy piętnaście kur.

– Nie, nic z tego – powiedziała surowo.

Znowu rozejrzała się trwożliwie, jakby się chciała upewnić, że nikt ich nie widzi.

– Zaczekaj, może dojdziemy do porozumienia. Może opuścisz trochę cenę? A my dołożymy coś, czego potrzebujesz. – Osesek mówił cicho, ważąc słowa, jakby były gorące i trzeba było je wypowiadać powoli, z namysłem, żeby się nie poparzyć.

Odwróciła się ku niemu, jakby czekała na taką właśnie propozycję, i skinęła głową.

Alosza odetchnął z wyraźną ulgą.

– Dobrze, zastanowię się, na pewno coś wymyślę – powiedziała.

– Wszystko, co zechcesz! – wykrzyknął Alosza uradowany jak uczeń.

– Tam u was, na waszym terenie, jest coś, co chciałabym mieć...

– U nas?

– Tak. Za waszym obozem stoi stara szopa. W niej za małymi zielonymi drzwiami jest spiżarnia, jak się wejdzie, to zaraz na lewo, a w niej... w niej powinno być kilka metalowych pojemników, takich na sól i cukier, stare radzieckie pojemniki, na pewno nieraz takie widzieliście, i tam, w pojemniku z cukrem jest... – Urwała i spojrzała na żołnierzy, którzy uważnie jej słuchali.

– W środku jest kostka Rubika, wiecie na pewno, co to.

– Jasne, kostka Rubika. Wymyślił ją Węgier.

Alosza starał się przypodobać dziewczynie. Ona jednak patrzyła na niego z lekkim politowaniem.

– To moja kostka. Chciałabym, żeby do mnie wróciła, ale niestety, nie mogę po nią pójść, bo wy tam teraz jesteście.

– Nie ma problemu, zdobędziemy ją – obwieścił Alosza takim tonem, jakby musiał wdrzeć się w tym celu na teren wroga i ukraść tajną broń.

– Dobrze. Sprzedam wam wtedy kury za tę małą kwotę, którą proponujecie. Ale tylko dziesięć.

– Nie, nie, to za mało! Musimy nakarmić całą jednostkę. U nas wszyscy mają wilcze apetyty!

– Dobrze, dwanaście, ale ani jednej więcej, naprawdę więcej nie mogę. Matka mnie zabije, jeśli się dowie, że je wam sprzedałam.

Alosza chciał coś powiedzieć, lecz do rozmowy włączył się Osesek.

– Umowa stoi, bierzemy dwanaście. Gdzie się spotkamy, żeby wręczyć ci kostkę i odebrać kury?

– Przy wyjeździe ze wsi, na pagórku, stoi wieża obronna. Jutro o siódmej rano!

– W porządku – powiedział z dumą Alosza i wyciągnął rękę do dziewczyny.

Spojrzała zdegustowana i nie reagując na jego gest, odwróciła się i spieszenie odeszła.

Alosza z Oseskiem umówili się na wieczór i po wydaniu kolacji wybrali się do szopy. Tak jak opisywała dziewczyna, kostkę Rubika znaleźli w zakurzonej, zardzewiałym pojemniku na cukier. Podekscytowany Alosza zaczął od razu obracać ją w dłoni i przesuwając jej elementy, ale Osesek wypchnął go z szopy na zewnątrz. Tego wieczoru pożegnali się w dziwnej euforii. Osesek wziął kostkę, schował ją do kurtki, którą powiesił na noc na haku nad pryczą. Następnego ranka Alosza miał dyżur przy zmywaniu w kuchni, a na spotkanie z dziewczyną poszedł sam Osesek. Rozpierała go euforia. Już poprzedniego wieczoru nie mógł zasnąć, jakby ta nowo poznana dziewczyna o smolście czarnych oczach miała wnieść w ich smutną historię

jakąś cudowną odmianę.

Trochę się spóźniła. Osesek zaczął się już zastanawiać, czy dziewczyna mówiła poważnie, a potem niepokoić, czy to nie pułapka. Ulgę przyniosła mu myśl, którą dobitnie wyartykułował Alosza poprzedniego dnia – że są zbyt mało warci, żeby ktoś chciał wciągnąć ich w zasadzkę. Dziewczyna zjawiała się niepostrzeżenie i zwróciła na siebie jego uwagę, psykając jak poprzednio. Tym razem miała na głowie czarną chustę, co jakoś do niej nie pasowało.

Osesek cicho ją pozdrowił, wyjął z torby kostkę Rubika, położył na dłoni i zbliżył się do niej jak do drapieznika, którego próbuje się obłaskawić soczystym kawałkiem mięsa. A ona, jakby przyciągana niewidzialną nitką, zbliżyła się do niego, chwyciła kostkę, poruszyła nią w tę i w tę i przyglądała jej się przez chwilę w świetle poranka.

Nagle jakby zbudziła się ze snu, ściągnęła gęste brwi w gniewną linię i spojrzała na niego podejrzliwie.

– A gdzie pieniądze?

– Tutaj – powiedział i wyciągnął związany gumką plik banknotów.

Wyrwała mu je z ręki, zdjęła gumkę i przeliczyła.

– Dobrze, wywiązaliście się z umowy.

Zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów, jakby widziała go po raz pierwszy.

Osesek spuścił głowę. Była zbyt piękna, żeby mógł patrzeć jej prosto w twarz.

– A co z dopełnieniem warunków z twojej strony? – spytał i nagle się przestraszył, bo zdał sobie sprawę, że dziewczyna nie ma żadnej torby.

Jeśli pieniądze przepadną, skrupi się na nich wściekłość Szujewa, co będzie katastrofą o trudnych do przewidzenia skutkach.

– My zawsze dotrzymujemy umów – odrzekła bardzo poważnie. – Przestań się tak na mnie gapić! – syknęła i poprawiła chustkę na głowie.

– Przepraszam...

– Przyjdźcie, jak zrobi się ciemno. Worek z kurami znajdziecie z tyłu, za ruinami wieży. Mamy najlepsze kury w całej okolicy – dorzuciła z wyraźną dumą.

Potem odwróciła się i odeszła w kierunku ruin wieży.

– Ej, czekaj, jak można cię znaleźć? Potrzebowalibyśmy też jaj. Możemy przecież stać się partnerami handlowymi?

– Partnerami handlowymi? – Zaśmiała się głośno, gardłowo.

Nie spodziewał się po niej takiego śmiechu. Brzmiał niemal wulgarnie.

– No, przecież rozumiesz.

– Nie, nie rozumiem. Ale pomyślę o tym.

Z każdego jej słowa biło lekceważenie. Tak, to właśnie było to – lekceważenie, które zamieniała w śmiech. Była w niej jakaś krnąbrność, upór, jakby chciała posunąć się dalej niż inni mieszkańcy aułu, jakby była jeszcze jakaś inna siła, która nią powodowała, drżąca ciekawość, rodzaj myślenia o korzyściach, sam nie wiedział, ale czuł, że czegoś chciała. Zaskoczyły go jej palce, kiedy wzięła do ręki kostkę Rubika – paznokcie ogryzione do żywego mięsa zdradzały jej wewnętrzny niepokój.

Na worku, który znaleźli wieczorem w umówionym miejscu, wisiała karteczka z informacją, że za godziwą cenę może dostarczyć im również jajka.

Od tej pory spotykali się w tym miejscu, kupowali jajka, umawiali się co do następnego zakupu i rozchodzili każde w swoją stronę. Przychodziła zawsze spóźniona, psykając na znak, że już jest.

Za każdym razem, kiedy Osesek i Alosza ruszali na spotkanie ze swoją „partnerką handlową”, ogarniało ich podniecenie. Samopoczucie Oseska można by określić jako przedsmak radości: cieszył się, że zobaczy znaną, zaufaną osobę. Ekscytacja Aloszy była zbliżona do zakochania,

bezwartunkowej potrzeby zachwytu. Przed wyjściem oczyścił buty, uczesał się, wypolerował paznokcie specjalną pastą, którą trzymał w kuchni za butlami z gazem.

– Czy możesz zdradzić swoje imię? – ledwie dosłyszalnie zapytał Alosza przy następnym spotkaniu.

Dziewczyna zaśmiała się i zrobiła krok w jego stronę.

– Dlaczego chcesz je znać?

– W końcu jesteśmy partnerami w interesach. My też możemy ci wyjawić nasze imiona.

– Szczerze mówiąc, nie jest mi to do niczego potrzebne.

W odróżnieniu od Aloszy Osesek nie zastanawiał się, czy kiedyś się jej przedstawili. Byli po prostu Rosjanami, a ona Czeczenką. To wystarczało. Anonimowość ich chroniła. Alosza był innego zdania. Nie zastanawiając się długo, podał imię, nazwisko i stopień wojskowy. Czarnooka księżniczka z gór przyjęła to obojętnie.

– Powiedziałam przecież, że do niczego nie jest mi to potrzebne – rzekła obojętnym tonem.

Osesek najchętniej by nią potrząsnął, zerwał z niej tę maskę nonszalancji, by wyrzała spod niej istota, która nie potrzebuje przybierać fałszywych póz. Lecz w gruncie rzeczy to wszystko tutaj i tak z nawiązką przekraczało ich oczekiwania. Młoda Czeczenka, która spotyka się z dwoma rosyjskimi żołnierzami za zrujnowaną wieżą obronną, z pewnością czyni to wbrew woli matki, wbrew woli aułu, wbrew woli tejpu. Wiele ryzykuje.

Raz, nie mogąc się powstrzymać, zapytał ją, dlaczego to robi. Słońce zachodziło, upał popołudnia miał zaraz ustąpić chłodnemu górskiemu wieczorowi i przynieść ulgę.

– Potrzebuję pieniędzy.

– Pieniądzy?

– Tak, pieniędzy.

– Na co?

– Nie wasza sprawa. A więc dwadzieścia pięć jajek na jutro?

Osesek wiedział, że nie ma sensu nalegać. Pierwsza transakcja między nimi odbyła się w końcu czerwca. Siedziała wtedy na kamieniu wpatrzona w kostkę Rubika, gorączkowo, lecz daremnie próbując ją ułożyć. „Co za cholerstwo! Tego nie da się ułożyć!” – krzyknęła wtedy, wyprowadzona z równowagi. Osesek stanął obok niej. „Pomóc ci?” – spytał niepewnie. „Nie! – odparła szorstko. – Muszę sama do tego dojść”.

Tak, wyznaczyła sobie cel, i to cel większy niż handlowanie jajkami i kurami. Wypełniała misję, czego nikt wcześniej jej nie uczył, i trudno było jej nie podziwiać.

A Alosza przepadł. Biedak usychał z tęsknoty, zakochany po uszy. Przy tej bezwarunkowej pierwszej miłości nawet gwiazdki Michelina i francuskie potrawy przestały mieć znaczenie. Liczyła się tylko jego ukochana. Zdawało się, że przy życiu trzyma go tylko perspektywa kolejnego spotkania.

Osesek próbował przywołać go do porządku, lecz Alosza stracił czujność, zaczął niedbale wykonywać swoje obowiązki. Potrawy, które przygotowywał dla żołnierzy, nie miały już tego smaku, co wcześniej, jakby Aloszy nie wystarczało energii, by oprócz pielęgnowania płomienia, który w nim rozgorzał, dbać też o płomień pod kuchnią. Odpowiadając na pytania przełożonych, okazywał roztargnienie, na poranny apel stawał się półprzytomny. Osesek przeczuwał, że zachowanie Aloszy może ściągnąć na nich kłopoty. Kiedy pułkownik Szujew znowu wpadł w *zapotj*, ciąg picia, w głowie Oseska odezwał się alarm: od tej chwili trzeba wzmóc czujność. Kundel stał się jednak ślepy na wszelkie niebezpieczeństwa. Osesek spytał kiedyś, czy nie denerwuje go to przezwisko. Alosza odparł, że nie, bo od dziecka był zdany na siebie, a poza tym kundle są najbardziej wytrwałe i najmądrzejsze ze wszystkich psów.

Bezczynne czekanie w wąwozie na rozwój wojennych wypadków ciążyło

Szujewowi, olbrzymiemu, zahartowanemu mężczyźnie, jak granitowy blok. Tracił kontrolę nad sobą i nad bazą, której był dowódcą. Niewiadoma, przed jaką stali, była jak kwas, który – choć pozbawiony zapachu i barwy – wżera się w skórę, niszcząc komórki, opanowując mózg i wywołując urojenia.

Wczesnym rankiem wpadł do kuchni – niezdrowo obrzmiały, z czerwonymi policzkami, popękanymi żyłkami na kalafiorowatym nosie – i kazał Oseskowi i Aloszy podać sobie śniadanie. Zawsze miał u boku swego niewolnika, żołnierza Juricza, zwanego Zającem, służalca pozbawionego własnej woli. Pietruszow też należał do jego zaufanych, choć ten perwersyjny, przebiegły sadysta tylko udawał przyjaźń i lojalność, a przy pierwszej okazji gotów był wbić pułkownikowi nóż w plecy. Jako oddany przyjaciel pułkownika cierpliwie i ze zrozumieniem rozwiązywał problemy żołnierzy w jednostce, lecz wszystko to były pozory.

Szujew, jeden z ostatnich reprezentantów tego stulecia, zmiażdżony przez system jak mielone mięso, chory dinozaur, który szalał i przeklinał, bo nie znajdował miejsca, gdzie ze spokojem mógłby się położyć i umrzeć, wojownik alkoholik, któremu łatwiej przychodziło zabijać niż żyć, był człowiekiem uformowanym przez wojnę i lata życia w Związku Radzieckim. Tak jak jego ojciec, nie potrafił egzystować w normalnych warunkach i wyśnił sobie nową wojnę. Był przy tym przewidywalny, w jego twarzy czytało się jak w książce i Osesek to właśnie usiłował robić, żeby zapewnić sobie bezpieczeństwo.

Pietruszow natomiast przypominał bezdenne bagno i nie dało się go przejrzeć na wylot. Dlaczego Pietruszow znalazł się tutaj, na tej wojnie, było dla Oseska zagadką. Czuł, że to mężczyzna z połataną duszą, niemy obserwator życia. Zachowywał się tak, jakby amputowano mu emocje, jakby inni mieli tańczyć, tak jak im zagra, śmiać się, walczyć, nawet zabijać, a on tylko stał i patrzył. Mówiono po cichu, że uzależnił się od maku.

Oseska odrzucało od Pietruszowa od czasów Groznego, kiedy zobaczył, jak ten w trakcie wymiany ognia namówił nie całkiem psychicznie zrównoważonego młodego żołnierza, żeby pobiegł do sąsiedniego budynku

i zbadał tam sytuację. Osesek, ukryty za czołgiem BMP-3, z przerażenia o mało nie krzyknął. Chciał zatrzymać tamtego, ale bał się, że sam dostanie kulę. Żołnierz padł niecałe trzydzieści metrów od wyznaczonego celu. Gdy Pietruszow zobaczył, że tamten nie dobiegł, zaczął się rozglądać za kolejnym królikiem doświadczalnym, wystarczająco głupim, by go posłuchał.

Kiedy pijaństwo Szujewa zdawało się nie mieć końca, Osesek zaczął myśleć, że umieszczenie tutaj tej jednostki miało służyć jedynie znalezieniu spokojnego miejsca dla pułkownika i jego świty, miejsca na tyle odludnego, by pułkownik nie mógł zbyt szkodzić.

Smród alkoholu, jaki wydzielало ciało Szujewa, wysiłek Zająca, by nie rozdrażnić nikogo z dowództwa, i wytrwała przebiegłość widoczna w dyskretnych ruchach Pietruszowa, stanowiły taką mieszankę, że Oseskowi ciarki chodziły po plecach.

W milczeniu nakryli stół, w milczeniu podali śniadanie złożone z jajecznicy i słodkiej herbaty. Jak cienie przesuwali się w jadalni wśród przekleństw Szujewa, bezradnych żartów Zająca i milczenia Pietruszowa. Później wszyscy trzej ruszali zwykle na objazd. Mały konwój składał się zwykle z terenowego UAZ-a i dwóch aut, z których jedno jechało na czele, a drugie za UAZ-em. Nikt nie wiedział, co było celem tych objazdów. Według oficjalnej wersji chodziło o operację antyterrorystyczną – zdobywanie ważnych dla wojska informacji oraz wyłapywanie separatystów i rebeliantów.

W czerwcu w wąwozie rozeszła się pogłoska, że Rosjanie ponad wszelkie wyobrażenie szykanują ludność cywilną. Nawet najbiedniejsi zaczęli odmawiać sprzedawania wojsku czegokolwiek. Ludzie po cichu wymieniali się towarami, a rynek, nie licząc kilkorga dzieci i starców, opustoszał. Aloszę dziwiła ta nagła zmiana postawy, lecz Osesek odgadł jej powód: był to efekt wypadów w teren Szujewa i jego kompanii. Dużą rolę odgrywały też przerażające wiadomości dochodzące z miast.

Ludzie barykadowali się w swoich domostwach. Czekanie na to, co może

nastąpić, osiągnęło w nieznośnych lipcowych upałach szczyt napięcia. Trudno było znieść beczynne siedzenie wśród tubylców, których niechęć i nienawiść czuło się niemal namacalnie. Pewnego ranka – była jeszcze szarówka, zimna letnia noc zmagająca się dopiero ze wstającym upalnym dniem – Oseska wyrwały ze snu brutalne krzyki na zewnątrz i trąbienie aut. Zerwał się z pryczy, włożył mundur i wyskoczył na zewnątrz. Na podwórzu kilku żołnierzy z jego oddziału wlokło dwóch młodych, ubranych na czarno chłopców. Ciągnęli ich po ziemi, bili, a Szujew grzmiał tak, że ślina przyskała mu z ust.

Mimo brutalności, bicia i wrzasków ofiary zachowywały się, jakby były nieme. Osesek stał i patrzył. Nie mógł się ruszyć, nie wiedział, co ma robić, nie odważył się protestować. Po chwili podszedł do niego Kuzniecowa, który zawsze pierwszy wiedział, co się dzieje, i szepnął:

– Separatyści z doliny. Widocznie planowali napad.

„Jakie są na to dowody?” – pomyślał Osesek. Tych dwóch chłopców nie wyglądało na desperatów, którzy zaatakują strzeżony obóz wojskowy pełen ciężkiej artylerii. Osesek czuł jednak, że nie ma sensu pytać. Kiedy wywleczono tych nieszczęśników z placu apelowego i tumult ucichł, Osesek zabronił sobie dalszego myślenia o tym, czego stał się świadkiem.

Trzy dni później schwytano i przyprowadzono młodego mężczyznę, którego Osesek rozpoznał po dużym znamieniu nad górną wargą. Widywał go czasami na rynku w aule grającego w tryktraka. Teraz ten mężczyzna siedział przywiązany do krzesła w jednym z mieszkalnych kontenerów. W odróżnieniu od swoich dwóch poprzedników ciągle coś wykrzykiwał, przeklinał, przemawiał do strażników, póki nie uciszyli go kolbami karabinów. Krew trysnęła aż na szybę, za którą stał Osesek. Tego człowieka oskarżono o to, że brał pieniądze od wahabitów i planował atak na rosyjską bazę wojskową Chankała koło Groznego.

Ostatniego czerwca schwytano znowu trzech starszych mężczyzn, na których od jakiegoś czasu polował Szujew. Zarzucono im, że przyszli do

doliny, by rekrutować młodych ludzi i szkolić ich na terrorystów. Tego samego wieczoru Pietruszow ogłosił oficjalnie konieczność stworzenia w ich bazie punktu filtracyjnego, w którym będzie się prowadzić metodyczne przesłuchania schwytanych.

Do tego celu wybrano na wpół rozwaloną szopę, z której przed trzema tygodniami Osesek z Aloszą zabrali kostkę Rubika dla czeczeńskiej dziewczyny.

W kaukaskim wąwozie lipiec zaczął się upałem, od którego drżało powietrze, gorąco parowało w dolinach, promienie słońca błyszczały na szczytach gór, jakby nałożono na nie korony.

Tę książkę Osesek odkrył przypadkiem. Musiała wypaść na podłogę ze skrytki pod materacem, bo znalazł ją pod pryczą. W ostatnich dniach czytał ją jak w amoku, wykorzystując każdą wolną minutę, by odseparować się w swojej skalnej kryjówce i zagłębić w lekturze. Na szczęście Juricz, który węszył niczym myśliwski pies, nie wpadł na pomysł, by sprawdzać przestrzeń między materacem a stelażem pryczy, choć na rozkaz Pietruszowa przetrząsał wszystko, szukając Bóg wie czego. W trakcie „czystek” Juricza, jak chłopcy nazywali jego kontrole, czasami wychodziła na jaw jakaś tajemnica.

W kuchni roboty było coraz mniej, bo nie można już było dostać dodatkowych produktów.

Choć Osesek wiedział aż za dobrze, co oznaczają „objazdy” pułkownika, cieszył się z nieobecności dowódcy i jego świty w bazie przez znaczną część dnia. Mógł chodzić do swojej kryjówki i czytać, mógł uciekać w marzenia, patrzeć na zdjęcie Soni, jedyne, jakie przy sobie miał, nie dowierzając swemu szczęściu, że wróciła.

Czasem przychodził z nim coraz bardziej milczący Alosza i siedział obok bez słowa albo zapalał papierosa i patrzył przed siebie.

Tego ranka Szujew został w bazie. Nazywało się, że niedobrze się czuje. Alosza dwa razy podawał mu kapuśniak i gorącą herbatę. Dały o sobie znać skutki nieustannego pijaństwa.

Osesek wykorzystał okazję i zmył się. Usiadł przy wejściu do swej skalnej kryjówki, spuścił w dół nogi i machając nimi beztrudnie, zagłębił się w lekturze. Był taki szczęśliwy, że ma tę książkę, i już zaczął się obawiać, że za szybko ją skończy. *Ada Nabokowa* – co za feeria pomysłów, szaleństwo fantazji, jaka odwaga! Pochłaniał zdania, zanurzał się w nie, wojna odpływała, a *Ada* porywała go coraz silniej i głębiej.

– Osesek, ej, słyszysz mnie?!

Osesek drgnął przestraszony. U stóp skały stał Alosza i machał do niego. Jak wyrwany ze snu, Osesek przetarł oczy i poderwał się.

– Co jest?

– Dostałeś list.

– List?

– Tak. Helikopter przywiózł pocztę.

– Pewnie od matki.

– Poza tym zaraz musimy wyjść, zapomniałeś?

– Wyjść?

– Dziś będą świeże jajka.

– Ach, zapomniałem.

Ostatni raz byli za ruinami wieży przed tygodniem. Właściwie to cud, że ta dziewczyna jeszcze w ogóle przychodziła. Widocznie naprawdę potrzebowała pieniędzy – musiała to być dla niej sprawa życia i śmierci.

– Zaraz do ciebie zejdem, doczytam tylko stronę do końca.

Nie patrząc, wiedział, że Alosza kręci teraz głową, ale wiedział też, że cierpliwie na niego zaczeka.

„Patos nadgarstka, wdzięk paliczków domagających się bezradnych ukłęknięć, mgły napływających do oczu łez, mąk beznadziejnego uwielbienia. Dotknął przegubu jej dłoni jak konający lekarz”^[5]. Jego usta wypowiadały

bezglóśnie te słowa, rozkoszował się każdym z osobna, potem zamknął książkę i położył na chłodnej ziemi. Zręcznie zszedł w dół po skałach do Aloszy.

W milczeniu wracali w rozżarzoną do białości słońcu do obozu. W kontenerze numer cztery siedział znudzony żołnierz i sortował listy alfabetycznie, według nazwisk adresatów. Ossek rzucił okiem na swój list i po piśmie poznał od razu, że to nie od matki. Sonia! Przepęłniło go radosne podniecenie dodające lekkości i energii. Śpiesznie odszedł na bok, chciał być sam ze swoim szczęściem. Pierwszy list od Soni! Od Soni, jego dziewczyny, wkrótce narzeczonej, a kiedyś żony.

Za kuchnią znalazł ocienione miejsce, gdzie nikt nie przeszkadzał, i drżącymi rękami wyciągnął list, trochę na siebie zły, że byle jak rozerwał kopertę tak starannie zaklejoną przez Sonię.

Mój najukochańszy Osesku jak tam żyjesz, gdzie stacjonujesz? Jesteś cały i zdrowy? Mam tyle pytań! Z przerażeniem słucham wiadomości i za każdym razem zamieram ze strachu. Szczęście że przynajmniej nie jesteś już w Groznych! Ciągle dzwonię do twojej mamy która przekazuje mi najnowsze wieści.

„Przekazuje” było napisane z błędem, brakowało też kilku przecinków, które, czytając, Ossek dodawał sobie sam.

Śmieszne co? Rozmawiam z twoją mamą przez telefon! Ale uważam że tak powinnam robić, prawda? Ciągle myślę o tobie, o nas i o naszym spotkaniu we Władykaukazie. Było cudownie! I jeszcze będzie cudownie, jak myślisz? Bo mam Ci do przekazania radosną wiadomość, która mam nadzieję uszczęśliwi Cię tak samo jak mnie i sprawi że szybko wrócisz do mnie do domu! Jestem w ciąży, Saszeńka! Tak, będziemy mieli dziecko! Według moich obliczeń urodzi się w styczniu. Czy możesz to sobie wyobrazić? Będziemy rodzicami, będziemy mieć małe słodkie stworzenie, które raczkuje i gaworzy, pachnie mlekiem i miłością. Przyjedź do nas szybko, czekamy na Ciebie niecierpliwie i myślimy o Tobie.

Osesek czytał te zdania raz po raz, ciągle od nowa. Słyszał odgłosy dochodzące z kuchni – Alosza mył gary, kilku żołnierzy grało w karty. Z szopy dobiegł naraz głośny krzyk. Osesek wolał nie myśleć, co się tam dzieje. Brutalne wrzaski, które też stamtąd dochodziły, nie wróżyły nic dobrego.

Osesek poczuł miękkość w kolanach, pot ciekący z czoła, drżenie rąk i suchość w ustach. Nie wiedział, czy to radość, czy przerażenie. Ale czego miałby się bać? To musiało się stać wtedy, we Władykaukazie. Dziecko! To słowo było na razie obietnicą, ale wkrótce stanie się konkretem. Coraz większy brzuch Soni, a potem mały człowieczek, który ma ręce i nogi, i zaciśnięte mocno powieki, jakby świat był za duży, by chcieć zobaczyć go od razu. Najchętniej zakrzyknęłyby z radości, wyściskał kogoś, ale siedział jak zamurowany i patrzył na list, na nieregularne pismo Soni.

Radość mieszała się w nim z obawą, wątpliwości z pewnością, zdecydowanie z wahaniem. Zdał sobie sprawę z jednego: musi się stąd wydostać. Nie ma tu czego szukać, to nie jest jego wojna, to nie jest jego kraj. Nie ma najmniejszego sensu tkwić tutaj, narażać życia i z każdym dniem stawać się bardziej otępiałym, coraz bardziej nasiąkać atmosferą tego koszmaru. Jak najszybciej trzeba obmyślić jakiś plan i wrócić do domu.

Z kuchni wyszedł Alosza, wycierając brudne ręce o jeszcze brudniejszy fartuch. Osesek kiwnął na niego.

– Zraz musimy wychodzić – powiedział Alosza, wyciągając z kieszeni spodni paczkę papierosów.

Chyba po raz pierwszy miał pełną paczkę.

– Tak, musimy się stąd zmyć – mruknął Osesek i wstał, starannie składając list.

Alosza zdjął fartuch i obaj skierowali się w stronę bramy obozu. Żołnierz

pełniący wartę siedział z wysoko uniesionymi nogami i spoglądał na nich lekceważąco. Potem skinął głową, brama się otworzyła. Osesek szybko ruszył przodem, a Alosza starał się dotrzymać mu kroku. Osesek czuł przez skórę buzującą radość Aloszy, który myślał już tylko o zobaczeniu się ze swoją boginką.

– Jeśli będzie dziewczynka, to nazwiemy ją Ada – wypalił Osesek i jeszcze przyspieszył kroku.

– Co? O czym ty mówisz?

– Będziemy mieli dziecko!

Kiedy wypowiedział to zdanie, wszystko odpadło od niego jak niepotrzebny balast, który od zawsze mu ciążył. Naciski matki, niepewność jutra, krępujący gorset nazwiska, życie w cieniu ojca, lęk z powodu własnych lęków, strach z powodu tchórzostwa – to wszystko naraz znikło, jakby się roztopiło, rozplynęło w promieniach rozżarzonego do białości słońca. Wszystko wydało mu się nagle proste: przy pierwszej okazji zdezerteruje, wróci do miasta, znajdzie jakieś mieszkanie dla siebie i Soni, pracę, w końcu zacznie studiować. To było jak puzzle, w których wszystkie elementy musiały do siebie pasować. Wszystko było logiczne. Trzeba się tylko postarać wyjść stąd cało i zdrowo.

Zaskoczony Alosza klepnął go niezgrabnie w plecy i zaczął wypytywać o szczegóły, na szczęście nie trwało to długo, bo już doszli do wieży, a za nią dostrzegli znajomą dziewczynę siedzącą na kamieniu. Dziś uśmiechała się do nich szeroko. W ręce trzymała kostkę Rubika.

– Udało mi się! – zawołała rozradowana i wstała.

W pierwszej chwili Osesek nie zrozumiał, o co jej chodzi.

– Wreszcie mi się udało!

Teraz Osesek spostrzegł, że kostka była ułożona: każdą jej ścianę stanowił inny kolor.

Alosza zaczął entuzjastycznie klaskać. To jakby sprowadziło dziewczynę

na ziemię, bo raptem spoważniała i powiedziała:

– Jeszcze w ten poniedziałek przyniosę wam kilka kur, ale potem muszę wyjechać... I będę potrzebować podwójnej kwoty za te dziesięć kur. Brakuje mi jeszcze trochę pieniędzy...

– Wyjechać? Jak to?! Dokąd?! – wyjąkał Alosza.

– Co ci do tego! – ofuknęła go. Zaraz jednak zrobiło jej się go żal i dodała pojednawczym tonem: – Rozejrzyj się wkoło, nie możemy tu przecież zostać.

Umilkła.

– Gratuluję! – powiedział Osesek, wskazując na kostkę Rubika.

– Dziękuję.

Uśmiechnęła się raz jeszcze, znów rozpromieniona. Oseska dziwiły szybkie zmiany jej nastroju. Jej humor był zmienny jak pogoda w górach.

– Jeśli zechcesz, wyprowadzę cię stąd w bezpieczne miejsce. Zatroszczę się o ciebie i twoją rodzinę – oświadczył nagle Alosza i wyciągnął z kieszeni papierosy.

Dziewczyna spojrzała na niego sceptycznie i potrząsnęła głową.

– Wykluczone.

– Nie możesz tak po prostu gdzieś uciekać, to teraz zbyt niebezpieczne.

– Z tobą nie będę ani trochę bezpieczniejsza, wierz mi.

– Większość uciekinierów z miast trafia do obozów przejściowych w Inguszetii. To najpewniejsza droga. Zajmę się tym.

Zdecydowanie Aloszy wprowadziło Oseska w podziw. Ogarnęła go duma z odwagi przyjaciela, choć wiedział, że jego pragnienia raczej nie mają szans na spełnienie.

– Zapomnij o tym. – Dziewczyna cofnęła się i dodała oschle: – Zabierajcie jajka i zmywajcie się. Ja tu jeszcze chwilę zostanę.

– Dobra. To do następnego poniedziałku – powiedział Osesek i położył

rękę na ramieniu Aloszy na znak, że jej posłuchają i zaraz odejdą.

– Do poniedziałku. To będzie nasze pożegnanie.

Odwróciła się do nich plecami. Nigdy się z nimi nie witała ani nie żegnała.

– Pomogę ci... – zaczął Alosza, ale Osesek dał mu sójkę w bok, położył na ziemi pieniądze, chwycił koszyk z jajkami, który jak zwykle stał obok kamienia, i pociągnął przyjaciela za sobą.

– Co ty wyprawiasz! – zbeształ Aloszę, kiedy odeszli sporykawałek.

– Sam mówiłeś, że musimy stąd zwiewać...

– Ale przecież nie z nią! Jak to sobie wyobrażasz?! Ocknijże się!

Już miał zamiar wygłosić dłuższą mowę, żeby wybić Aloszy z głowy te pomysły, gdy rozległ się pisk opon. Obejrzeli się. Za nimi jechał UAZ. Zobaczyli błyszczącą ogoloną głowę Pietruszowa. Sam prowadził, nie miał obstawy, co było rzadkością.

Samochód zrównał się z nimi i zwolnił. Oseska przeszedł dreszcz. Czyżby Pietruszow ich śledził?

– No i co, pierdoły? Zabrać was do auta? Zakładam, że chcecie wracać do domu? – zapytał oficer, kładąc nacisk na słowach „do domu”, i zarżał jak idiota.

Osesek i Alosza spuścili głowy, ale szli dalej.

– My chętnie chodzimy pieszo – powiedział Alosza.

– Jasne, wszystkie kundle chodzą pieszo... Oczywiście.

– Kupiliśmy jajka.

Oficjalna wersja brzmiała: na rynku, od starych kobiet, ale te od dawna nic nie sprzedawały, bo już ich tam nie było. Szujew na szczęście nie interesował się zbytnio, jak zdobywali produkty, które trafiały potem na żołnierski stół.

– Aha, kupowaliście jajka. Ale rynek jest przecież całkiem gdzie indziej. Czego szukaliście w tej okolicy?

– Poszliśmy okrężną drogą, żeby się trochę przejść – wypalił Osesek.

– Uhm. Więc się nudzicie. Nie macie nic do roboty poza pieczeniem ciasta, co? Ciągłe myślicie, że jesteśmy tu dla przyjemności?!

Jego głos stał się lodowaty. Czy to możliwe, że ich śledził? A jeśli tak, to co widział? I dlaczego to robił? Podejrzewał ich o coś?

Maszerowali w milczeniu, Pietruszow jechał obok. Osesek był spięty, bał się, że Aloszy mogą puścić nerwy, w końcu szło o dziewczynę, która od tygodni była dla niego wszystkim.

– A więc, gdzie byliście? – zapytał Pietruszow prawie z niepokojem, jakby naprawdę się o nich martwił.

– Jak zwykle poszliśmy kupić jedzenie. Byliśmy po jajka.

– Przecież tu nikt już niczego nie sprzedaje. I to od dłuższego czasu. Macie mnie za idiotę? Szujewa możecie wodzić za nos, ale ze mną to nie przejdzie. Ja wszystko widzę i słyszę.

– Ludzie dalej handlują, po cichu, bo potrzebują pieniędzy, a my mamy kontakty. – Osesek starał się mówić przyjaznym, pojednawczym tonem.

Pietruszow zgasił motor. Oni też się zatrzymali. Przewiercał ich spojrzeniem swych stalowych oczu, z których nic nie dało się wyczytać.

– No, no, nasz poczciwy Osesek ma zatem kontakty. I transakcje przeprowadzacie za pomocą pieniędzy wojska?

– Kupujemy żywność, którą zużywamy na potrzeby naszej jednostki, a pan pułkownik był z nas dotąd bardzo zadowolony – pisnął Alosza.

Pietruszow wysiadł z auta i obrzucił ich pustym spojrzeniem. Potem ruchem głowy pokazał, że mają podnieść pokrywkę koszyka.

– A więc jajka, małe, słodkie jajeczka na pyszne omleciki i jajecznikę. Szkoda ich. Ale niestety, nie mogę dopuścić, żebyście wnieśli je do obozu.

Ryzyko jest zbyt duże.

I zanim skończył mówić, wyrwał im kosz i jednym ruchem wysypał jego zawartość na ziemię. Stało się to tak szybko, że ani Osesek, ani Alosza nie zdążyli zareagować. Gapili się skonsternowani na żółto-białą maź rozlewającą się po ziemi.

Pietruszow bez słowa wrócił do samochodu i odjechał.

– Śledził nas – powiedział przestraszony Alosza. – I ją też musiał widzieć!

– Tego nie wiemy. Uspokój się! Zauważylibyśmy go przecież. Nic już od niej nie kupimy, nie pójdziemy tam więcej i wszystko będzie dobrze.

Przez resztę drogi do bazy Osesek starał się uspokoić Aloszę, ale czuł, że słowa były mało przekonujące, a jego głos brzmiał niepewnie.

Szujew obudził się około ósmej wieczorem, kazał Aloszy podać sobie kolację, a potem wyjechał z obozu z Pietruszowem i Zającem. Jak zwykle nikt nie wiedział dokąd.

Alosza uspokoił się już, wyglądał, jakby wyrzucił z pamięci przedpołudniowy incydent z Pietruszowem. Tylko raz przy wycieraniu podłogi mruknął do Oseska, że nie zostawi jej w biedzie i że coś wymyśli.

Osesek próbował skupić się na liście, który miał w kieszeni. Odsuwał każdą niespokojną myśl. Potrzebował planu – ucieczka to nie był dobry pomysł. Nie uciekłby daleko, poza tym samotne przejście przez góry było śmiertelnie niebezpieczne: tam ukrywali się bojownicy, a gdyby wpadł w ręce swoich, jako dezerterski nie mógłby liczyć na łaskę.

Tylko choroba, obrażenia fizyczne lub odniesione rany stwarzały podstawę do tego, by zostać uznanym za niezdolnego do służby. Wtedy umieszczono by go w szpitalu wojskowym we Władykaukazie albo w Rostowie. Ogarnęła go nagła radość. Tak, gdyby był ranny, przewieziono by go helikopterem. Ale kiedy leżał na pryczy z listem od Soni włożonym pod poduszkę, starając się nie słuchać sprośnych opowieści kolegów, czuł, że wszystkich ogarnia dziwna nerwowość. Jakby istniało coś, co przeoczył.

Próbował zignorować niepokój, myśleć o Soni i dziecku, które ma się urodzić. O śnie nie było mowy, od razu więc usłyszał hałas, który niby odgłos roju os dał się słyszeć w obozie: pisk opon, kaszel Szujewa, szybkie kroki Zająca, szorstkie komendy Pietruszowa. Osesek usiadł na pryczy i w tym momencie usłyszał, że ktoś woła go po nazwisku. Poznał wysoki głos Zająca. Szybko wciągnął spodnie od munduru, narzucił na siebie kurtkę, wskoczył w ciężkie trzewiki i wybiegł na zewnątrz.

Było ciemno. Plac apelowy oświetlały tylko reflektory aut. Zając mówił coś cicho do wartownika stojącego przy bramie. Dwaj żołnierze, którzy zwykle prowadzili samochody w konwoju, właśnie znikali w swych kontenerach.

Szujew był w swoim biurze, w którym wszędzie walały się butelki po wódce i koniaku. Nigdzie natomiast nie było widać Pietruszowa. Osesek rozglądał się poirytowany, sądząc, że się przesłyszał i że nikt go nie wzywał. Właściwie poczuł ulgę i już chciał wracać do siebie, kiedy znowu usłyszał piskliwy głos Zająca. Zając stał na środku placu apelowego i kiwał na niego ręką. W smudze światła pojawił się nagle zdezorientowany i zaspany Alosza, który też szedł w stronę Zająca.

– Przygotujcie się, to będzie długa noc – powiedział Zając, jękając się i spoglądając na nich z góry.

– Co się stało? – spytał Alosza.

Zając mruknął coś o zadaniach specjalnych i o Szujewie. Potem kazał im iść za sobą do szopy.

– W środku nocy? Po co? – zdziwił się Alosza.

– Na pierwsze przesłuchanie. No, ruszajcie się, co się tak na mnie gapicie?

Jego arogancja w połączeniu z jękaniem była tak żałosna, że Osesek o mało nie parsknął śmiechem.

Szli wolno w kierunku szopy. Alosza tarł zaspane oczy, Osesek próbował

opanować strach. Wolał sobie nie wyobrażać, co tam zastaną, ale nie mógł przestać myśleć o tym, co stało się przed południem – o rozbitych jajkach, Pietruszowie i jego nieprzeniknionym wzroku.

– Dlaczego my? – mamrotał Alosza. – Widziałeś, kogo tym razem złapali? I dlaczego nagle zrobiło się tak cicho? Gdzie oni wszyscy są?

Osesek nie odpowiedział. Myśli, które chodziły mu po głowie, były zbyt straszne, żeby je wypowiedzieć głośno.

W szopie byli tylko raz, gdy przyszli po kostkę Rubika dla dumnej i odważnej dziewczyny, która wbrew woli matki sprzedawała kury i jajka i zbierała pieniądze, by kiedyś dzięki nim uratować siebie i swych bliskich.

Zając otworzył drzwi ciemnej szopy. Uderzył ich smród potu i moczu. Mężczyźni, których w niej przesłuchiowano, zostawiali tu ślady swego strachu i nienawiści.

Nagle oślepiło ich światło reflektora. Znieruchomieli, jakby wrośli w ziemię.

– Dalej, śmiało!

Był to głos Pietruszowa. Alosza stał bez ruchu, jakby zapomniał oddychać. Coś zmieniło się w jego twarzy, ściągnęła się, spochmurniała jak niebo przed nadchodzącą burzą. Osesek nie chciał dłużej czekać, chciał wiedzieć, po co ich tu wezwano, i zrobił kilka kroków do przodu.

– Czekaj, nie, nie! – krzyknął Alosza.

Ale było już za późno. Osesek wszedł do dusznego wnętrza.

Na krześle nieruchomo siedziała ich znajoma. Miała zaklejone usta, zapuchnięte oczy. Płakała. Górna warga Pietruszowa nosiła ślady jej paznokci. Ręce miała wykręcone do tyłu i przywiązane do krzesła. Była bez chusty na głowie i jej włosy błyszczały w świetle reflektora, jakiego używa się do oświetlania placów budowy, a gruby kabel wił się wokół jej stóp. Kiedy zobaczyła Oseska, nie zrobiło to na niej żadnego wrażenia, tak jakby się go spodziewała. Co w tym momencie wyrażała jego własna twarz, nie

wiedział.

Dla Oseska sytuacja ta była rzeczą absurdalną. Jedyna jasna i wyraźna myśl dotyczyła Aloszy, który miał to zaraz zobaczyć.

A więc Pietruszow ją śledził. Obserwował. To on namówił wiecznie pijanego Szujewa na polowanie z nagonką. Ale po co? Nikt przy zdrowych zmysłach nawet przez sekundę nie pomyślałby, że ta dziewczyna może komuś zagrażać. Urządzono sobie zabawę z nimi w roli głównej. A może to prywatna zemsta? Tylko za co? Nie byli na tyle ważni, by warto było organizować to ponure przedstawienie. Może chodziło o dziewczynę, może to ona poruszyła w Pietruszowie jakąś strunę, może jej twarz nie dawała mu spokoju, może sprowokowała go swoją dumą? Lecz zanim te wszystkie gorączkowe pytania przemknęły Oseskowi przez głowę, usłyszał za sobą skomlenie, przejmujący jęk, jakby ktoś dostał właśnie śmiertelny cios.

„Tak zapowiadają się sprawy nieodwracalne, ostateczne” – pomyślał Osesek i odwrócił się. Za nim stał Alosza, obiema rękami zakrywając sobie usta, z oczami rozszerzonymi przerażeniem.

Dziewczyna spojrzała na nich. W jej wzroku było oskarżenie, ale i pocieszenie.

– Jak widzę, cieszycie się, żeście ją znowu zobaczyli! – powiedział Pietruszow, siadając okrakiem na krześle.

– Nie! Proszę, nie! Ona niczego nie zrobiła, proszę! Ona nie... ona... – Alosza błagalnie powtarzał te słowa jak mantrę, a z oczu płynęły mu łzy.

Osesek, który wstrzymując oddech, stał na środku pomieszczenia, ruszył w kierunku przyjaciela, ten jednak zgarbił się i wyciągnął rękę, jakby go odpychał. Zrzucał na niego winę za to, co się stało, czy po prostu był w szoku? Osesek pojął, że musi się opanować, być silny, silniejszy od Aloszy, musi próbować rozegrać jakoś tę sytuację. Alosza z każdą minutą będzie coraz bardziej tracił grunt pod nogami.

– Co ona tu robi? Nie złamała przecież żadnego zakazu... – Jego głos ze

zdenerwowania przeszedł w falset.

„Weź się w garść, weź się w garść!” – upominał się gorączkowo.

– Od jak dawna macie z nią kontakt? – spytał Pietruszow i spokojnie wyjął paczkę czerwonych marlboro z kieszeni kurtki. – Jak długo spotykacie się z tą szują?

– To nie jest żadna szuja! – rozległ się nagle zimny, stanowczy głos Aloszy.

– Och, wy, słabowite durnie! Z powodu tej jednej pindy byliście gotowi narazić na niebezpieczeństwo całą naszą jednostkę! Sprowadzacie wroga prosto do nas, przekazujecie mu informacje, dajecie mu nasze pieniądze i kupujecie u niego żywność, coś, co jemy codziennie! Każdy z nas mógł to przyplacić życiem! Nie pojmuję, naprawdę nie pojmuję, że nasi żołnierze mogą być takimi pasożytami, takimi słabeuszami, takimi... Chcę wiedzieć wszystko ze szczegółami! Zaczynaj, Kundel, opowiadaj, kiedy i gdzie się spotykaliście.

– Ona nic nie zrobiła! – Głos Aloszy brzmiał chłodno i mocno jak stal.

Pietruszow podniósł się z miejsca. Dym z jego marlboro uniósł się w górę, układając się w dziwną postać.

– Nic nie zrobiła?! Rozumiem. Więc nic nie zrobiła... – powtórzył spokojnie, spokojnie podszedł do Aloszy i wymierzył mu taki cios, że Alosza się zatoczył i odbił od ściany. – Według naszych informacji ojciec towarzyszki Giełajewej jest separatystą i walczy w partyzantce. Od dwóch lat nie ma go w domu.

Związana dziewczyna chrząknęła nerwowo. Jej oczy się śmiały, pierś falowała – szydziła z Pietruszowa mimo zaklejonych ust. Na moment wszyscy znieruchomieli, patrząc na nią z niedowierzaniem. Osesek zastanawiał się, co w tej chwili czuje Alosza – strach czy podziw. Jej opanowanie, jej duma mimo zakneblowanych ust i skrępowanego ciała były przerażające.

„Jak doszło do tego wszystkiego?” – myślał Osesek. Wdarli się do jej domu stojącego na końcu wsi, wyrwali ze snu jej młodszą siostrę, jej matkę, grozili im bronią? Czy krzyczały? Czy matka próbowała osłonić córkę swoim ciałem? Czy z domów wybiegli sąsiedzi, czy błagali o litość tę władczą trójkę: choleryka alkoholika, zimnego sadystę i zwichrowanego psychicznie służalca?

– Chcę się dowiedzieć, jak weszliście w kontakt z Nurą Giełajewą. Szczegóły!

Alosza, blady, stał oparty o ścianę, jakby do niej przyrósł. Osesek zrobił krok naprzód. „Nura, piękne imię” – pomyślał. Jaka ironia losu, że usłyszał je dopiero tutaj, w dodatku z ust Pietruszowa.

W kilku krótkich, spokojnych zdaniach Osesek zawarł to, co uważał, że musi powiedzieć. Nie wspomniał, że matka Nury nie chciała sprzedać im kur i że Nura zaczepiła ich, gdy wracali do obozu. Ten szczegół stałby się na pewno kolejnym tropem badanym podczas przesłuchania.

– Jak mogliście tak ryzykować?! Wystawiać na niebezpieczeństwo cały nasz obóz?! Jak?! Co specjalnego wam oferowała, że daliście się przekonać?

Pietruszow podszedł do okna i patrzył w ciemność. Zapadła cisza. Słychać było tylko głośny oddech bladego jak ściana Aloszy. Cały czas wpatrywał się w dziewczynę, której imię dopiero teraz poznał.

Osesek zaczął gadać jak najęty, choć wiedział, że wyjaśnienia nie na wiele się zdadzą. Nie było argumentu, który by przemawiał za Nurą, poza tym, że Szujew przyznał im budżet na kupowanie żywności.

– Pułkownik nie stawiał nam przy tym żadnych ograniczeń, żadnych warunków. A co do bezpieczeństwa, to zawsze o nie dbaliśmy – zaznaczył z naciskiem Osesek i zerknął na Aloszę, który nadal stał bez ruchu, nie spuszczając wzroku z dziewczyny, jakby tkwił nad czarną przepaścią i widział tylko przerażającą czeluść.

Do szopy wszedł Zając. Jechało od niego wódką. Najwyraźniej

dotrzymywał towarzystwa Szujewowi. Pietruszow pił rzadko (mówiło się, że woli substancje chemiczne) i usłużny Juricz, choć w odróżnieniu od pułkownika miał słabą głowę, musiał być kompanem od kieliszka. Nie miał wyboru, taka była jego rola, którą wyznaczył mu los do spółki z wojną, więc pił, często do utraty przytomności. Dbanie o dobry nastrój przełożonych zapewniało mu bezpieczeństwo.

– To wyście nawarzyli tego piwa, psie syny! – zawołał, ledwie przekroczył próg, tak jakby wchodził na scenę, a wcześniej ćwiczył swój występ. – Gdyby dowództwo w porę nie wkroczyło, wszyscy byśmy przepadli! Sprowadziliście wroga wprost do jednostki, podli zdrajcy! Powinno się was żywcem obłupić ze skóry. To byłaby dla was odpowiednia kara. Teraz musicie...

– Stul pysk, Zając! – rzucił Pietruszow nadal odwrócony plecami.

Zając natychmiast ucichł.

– Gdyby chciała nas otruć, dawno by to zrobiła! Sprzedawała nam kury i jajka, żebyście mogli napęlić wasze leniwe brzuchy czymś innym niż śmiecie.

Osesek zamarł. Głos Aloszy brzmiał tak, jakby nie należał do niego, jakby przemawiał przez niego ktoś inny. Pietruszow i Zając jak na komendę odwrócili się w jego stronę. Myśleli, że się przesłyszeli.

– Czemu tak na mnie patrzycie? Nie jest tak, jak mówię? Chcieliście jeść jak ludzie, nie jak psy! Dawaliście nam pieniądze, a my organizowaliśmy dla was jedzenie. Czego teraz chcecie? Co nam zarzucacie? Dlaczego ona tu jest? Co macie przeciwko niej? Że sprzedawała nam kury i jajka, na które rzucaliście się jak sępy? Wypuście ją! Wyjaśnijcie z nami, co macie do wyjaśnienia. Jeśli ktoś tu jest winny, to tylko my.

Alosza stał na środku szopy i zwracał się do Pietruszowa, jakby deklamował, z wypiętą piersią i wysoko podniesioną głową. Osesek nie wiedział, czy to miłość, czy skrajne przerażenie sprawiły, że przyjaciel przemawiał tak, jakby niczego się nie bał.

– Co bredzi ten gnój? Czego chce ten szerszeń?! – spytał Zając, teatralnym gestem unosząc ręce w geście świętego oburzenia.

Pietruszow musiał zareagować choćby po to, żeby nie stracić twarzy.

W tym momencie Oserek zauważył, że lewe ramię dziewczyny lekko drży. Ta reakcja – przy wręcz nieludzkim opanowaniu, jakie z niej emanowało – nadawała jej kobiecy rys, lecz jednocześnie go przestraszyła. Czy był to znak, że Nura jest na skraju załamania? Czuł, że jego nerwy są napięte jak struny.

Do Aloszy powoli, ze spuszczoną głową zbliżył się Pietruszow.

– A więc mamy pozwolić jej odejść, tak?

Nagle drzwi się otwały, coś uderzyło w ścianę, ktoś ordynarnie zaklął i zanim do szopy wtoczył się Szujew, wszyscy poczuli odór alkoholu.

– No i co? Przyznała się? – Szujew zataczał się, sapiąc jak schwymane w pułpkę zwierzę.

Całym ciężarem przesyconego alkoholem ciała opadł na krzesło zajmowane wcześniej przez Pietruszowa, kiwnął głową do Zająca, a ten od razu znikł i po chwili wrócił z aluminiową manierką i dwoma metalowymi kubkami. Krzesło trzeszczało pod ciężarem Szujewa.

– Nie, ale Kundel zaczął opowiadać coś ciekawego.

– On nie mówił w tym sensie... – Głos Oseska zabrzmiał błagalnie.

Zawstydziała go własna bezsilność. Ten wstyd potęgował list schowany pod poduszką. Niedługo urodzi mu się dziecko i co mu przekaże jako ojciec? Hańbę i poniżenie?

– Zamknij mordę, Oserek, powiedziałem dokładnie to, co myślę.

Oserek skulił się i z niedowierzaniem spojrzał na Aloszę. Nie przypuszczał, że przyjaciel jest tak odważny. Chciał go powstrzymać, chronić, tymczasem wszystko przyjmowało inny obrót i sytuacja zmierzała w innym kierunku.

– Nas pociągnijcie do odpowiedzialności, a ją puśćcie wolno. Przecież to śmieszne...

– Śmieszne?! – Głos Szujewa zadrżał z oburzenia. – Narażanie naszego życia z powodu jakiejś czeczeńskiej dziwki jest śmieszne? Kumanie się z wrogiem, który nam życzy śmierci, jest śmieszne? Jej ojciec trzyma z separatystami. A z moich informacji wynika, że towarzyszka Giełajewa jest członkiem nielegalnej zbrojnej organizacji i wysoce prawdopodobne, że przechodzi szkolenie na strzelca wyborowego.

Znowu rozległo się jakby kasłanie i znów w oczach zakneblowanej dziewczyny pojawiły się żywe ogniki. Wszyscy spojrzeli na nią. Tak, śmiała się, znowu się śmiała. Alosza też zaczął się uśmiechać, a jego blada jak kreda twarz nagle dostała kolorów. Uśmiechnął się do niej. To ona dodawała mu odwagi. Jej obecność, jej duma wydobywały z niego to, co najlepsze.

Dlaczego list, który Osesek trzymał pod poduszką, nie ułatwił postawienia się tym draniom? „Ktoś musi przecież zachować rozsądek” – tłumaczył sobie. Trzeba panować nad sytuacją, tymczasem Alosza zmierza do czegoś, co trudno sobie nawet wyobrazić. Trzeba go uspokoić, bo inaczej w najlepszym razie obaj dostaną baty, a w najgorszym... Lepiej nie myśleć.

Pietruszow polecił Zającowi uchylić okna. Do środka wpadło świeże zimne powietrze i wszyscy na ułamek sekundy poczuli ulgę.

– To przecież czysta głupota! Jaka organizacja, jakie szkolenie na strzelca wyborowego?! To jakieś bzdury! – wykrzyknął Alosza.

Szujew napił się wódki, podniósł się, zatoczył, a potem stanął przed nim jak góra. Alosza opierał się o ścianę. Kolana miał miękkie, ale nie drgnął, nie spuścił wzroku, jak zwykle gdy stał przed przełożonym. Nura spoglądała na niego coraz częściej. Po raz pierwszy zdawała się pochwalać jego zachowanie, po raz pierwszy zasługiwał na jej uwagę.

„Co za paradoks i niesprawiedliwość” – myślał Osesek, a z czoła spływał mu zimny pot.

– Ty mały nędzny kombinatorze! I po co tak się staram? Żebyście zdradzali? Wydałem wam specjalne pozwolenie, powierzyłem wam pieniądze, całe nasze dobro... Wy chytre szczury!

Alkohol spowolnił jego ciężką pięść, ale uderzył celnie. Alosza zatoczył się i upadł. Z nosa ciekła mu krew. Szujew kopnął go w żołądek. Alosza zwinął się w kłębek i zaskamlał.

Osesek chciał rzucić się na pomoc, osłonić przyjaciela przed wściekłością pułkownika, lecz Zając powstrzymał go ruchem ręki.

– Chcę znać wszystkie detale! Potrzebuję szczegółów! Przede wszystkim chcę znać miejsce pobytu jej ojca – spokojnie powiedział Pietruszow.

Ten spokój zmroził Oseska. Tymczasem Pietruszow podszedł do dziewczyny i błyskawicznym ruchem zerwał jej z ust plaster.

– Ty pieprzona dziwko!

Wymierzył jej cios. Głowa Nury odskoczyła w lewo. Alosza rzucił się jej na pomoc, ale drogę zagroził mu Szujew.

Noc była bezgwiezdna, parna. Wilgoć osiadająca w każdym zagłębieniu skóry, na każdym włóknie ciała sprawiała, że wszystko stawało się przygniatające. Osesek tarł oczy – musiał się skupić, znaleźć jakieś rozwiązanie, jakąś propozycję, jakieś wyjście. Lecz nic nie przychodziło mu do głowy. Był to labirynt bez wyjścia.

Nagle dał się słyszeć szum radiotelefonu Szujewa – przypomniało im to o istnieniu świata na zewnątrz i uczyniło sytuację jeszcze bardziej absurdalną i rozpaczliwą. Szum radiotelefonu przypominał, że jest świat bez kajdanek, bez bicia w twarz, bez pięści, bez karabinka AK-74S, bez paranoi, krwawiących nosów i ust, bez nienawiści. Świat, w którym istnieje majestatyczny wąwóz, dzika górská rzeka, zieleń jodeł sięgająca chmur, wieczne góry, jaskinia i latarka, książki, deszcz i list z wiadomością o nowym życiu.

Pietruszow rozpoczął przesłuchanie. Ciągłe powtarzał te same pytania:

kto jeszcze należy do nielegalnej organizacji, jakie mają plany, co chcieli zaatakować, gdzie przebywa jej ojciec. Dziewczyna milczała. Patrzyła przed siebie z apatycznym wyrazem twarzy. Co pewien czas opuszczała głowę, zmieniała nieco pozycję na krześle, próbując ulżyć skrępowanemu ciału.

Szujew wyszedł, potem znowu wrócił. Dolał sobie wódki. Zajac pił razem z nim.

„Dlaczego na zewnątrz jest tak cicho?” – myślał Osesek. Gdzie są wszyscy? Śpią? Więc ten spektakl jest jedynie dla Aloszy i dla niego? A może to tylko jego nerwy, które odmawiają mu posłuszeństwa?

Około trzeciej nad ranem zaczęło się bicie. Pietruszow uderzał dziewczynę najpierw płaską dłonią w twarz, potem pięścią. Aloszę, który zaczął krzyczeć, uciszał Zajac, okładając go kolbą karabinu. Alosza upadł, lecz próbował się podnieść.

Osesek płaczliwym głosem błagał Pietruszowa:

– Przestańcie, proszę! Ona jest niewinna, nic nie zrobiła. Puśćcie ją. Nie, nie kolbą, proszę!

Trząśł się cały, było mu niedobrze.

– Jaki był wasz cel?! Jaki był wasz cel, ty dziwko! – ryczał Pietruszow.

Na zewnątrz nocny ptak odpowiedział jak echo. Jakiś olbrzymi nocny ptak dawał światu sygnał, którego nikt z ludzi nie rozumiał.

– Zostaw ją! Zostaw ją, ty sadysto, albo ja cię załatwię! Załatwię cię! – wrzeszczał Alosza.

Zajac przystawił mu do czoła lufę karabinu.

– Zamknij mordę, zamknij wreszcie mordę! – krzyknął.

Łzy płynęły Nurze po policzkach, ale milczała, nie powiedziała ani słowa. Była mądra, wiedziała, że jej sytuacja jest beznadziejna. Pochyliła się do przodu i zwymiotowała. W tym momencie coś upadło na podłogę. Coś kolorowego. Osesek spojrział – kostka Rubika. Poprzedniego dnia Nura była

taka szczęśliwa, że udało jej się ją ułożyć!

Pietruszow stał zdezorientowany. Zobaczył przedmiot, który nie pasował do tego miejsca, do tej nocy. Już chciał podnieść kostkę, gdy do szopy znów wtoczył się pułkownik, podszedł do okna i mamrotał coś do radiotelefonu.

Szujew nie mógł już znieść bezczynności. Czekanie na jakieś działania wojenne, których ciągle nie było, wpędzało go w szaleństwo, w bezsenność, w picie, zatruwało jego myśli i wykańczało psychicznie. Nie wystarczył mu już jeden czy drugi separatysta, jego pragnienie odwetu i klęski wroga było nienasycone. Przywłókł z sobą do wąwozu nieszczęście. Wyhodował w sobie paranoję i było mu obojętne, czy ta Czeczenka coś powie, czy nie powie, co zrobi Alosza albo Osesek. Był to koszmar bez przebudzenia spowodowany jego pragnieniem wojny. Szujew przywoływał zagładę, wabił śmierć, a teraz miał wokół siebie swoich rycerzy i mógł zacząć rytuał miażdżenia wroga. Nic go nie powstrzyma, każdego wieczoru jego żądzę krwi zaspokoją nowe ofiary... Ku górom uniesie się z doliny prehistoryczna pogańska woń ognia palącego się podczas rozlewu krwi...

Do czego posuną się jego ludzie?

Alosza podniósł głowę. Po raz pierwszy tej straszliwej nocy jego spojrzenie spotkało się ze spojrzeniem Oseska. Wzrok Aloszy wyrażał pogardę. Pogardę wobec kluczenia Oseska, prób, by pozostać bezstronnym obserwatorem. Osesek nie miał mu tego za złe. Alosza znalazł siłę, żeby otwarcie okazać sprzeciw i broniąc dziewczyny, pokazać, że ją kocha. Osesek nie czuł takiej siły, bo pojął, że każda próba bohaterstwa, znalezienia wyjścia z tej strasznej sytuacji jest skazana na klęskę.

W oddali słyhać było strzały. Skrępowane ciało dziewczyny drgnęło.

– Jaki był wasz cel?!

Pietruszow zaczął znowu od miejsca, w którym przerwał, i kopnął z całej siły krzesło, na którym siedział Nura. Dziewczyna poleciała z krzesłem do tyłu. Jej głowa znalazła się na podłodze tuż obok kostki Rubika. Dojrzała ją i wyszeptała:

– Udało mi się...

– Udało ci się? Co?! – ryknął Pietruszow. – Co ci się udało?!

– Udało mi się – powtórzyła tępo i zamknęła oczy, lecz po chwili znowu je otworzyła, jakby nagle przypomniało jej się coś ważnego. – Gdzie jest moja Asma?! Gdzie jest moja siostra?

Nagle jakby dostała nowych sił, spróbowała się podnieść i zaczęła krzyczeć:

– Gdzie jest moja siostra?! Gdzie jest moja matka?! Coście z nimi zrobili?!

Jej apatia i duma w ciągu sekundy zmieniły się w drżącą trwozę o najbliższych połączoną z nienawiścią do dręczycieli.

Z oddali, z doliny zaczęły dobiegać głucho, niewyraźne odgłosy. Oserek nie wiedział, co to jest – kolejna obława, kolejna operacja antyterrorystyczna? Pisk opon samochodowych, strzały i krzyki na tle nieustannego, zawsze takiego samego szumu górskiej rzeki.

Ktoś stale meldował się przez radiotelefon, nerwowość w szopie rosła z każdą minutą, Szujew wychylał kolejne kubki wódki i coraz częściej ocierał pot z czoła. Zajac trzymał w szachu Aloszę, który tylko patrzył, by zdobyć pole manewru. Oserek stał w kącie szopy. Zdawało się, że o nim zapomnieli, więc tkwił tam, nie odzywając się. Może tak było lepiej, może był to jedyny sposób, żeby przetrwać tę noc.

„Czy Szujew naprawdę uważa, że Nura należy do jakiejś nielegalnej organizacji zbrojnej?” – zastanawiał się Oserek. Może wodziła ich obu za nos? A może Szujewa ogarnął amok i przeznaczał ludzi na odstrzał tylko dlatego, że miał taką władzę? Od natłoku myśli rozboleła go głowa.

Nura nie przestawała rozpaczliwie krzyczeć. Przechodziła przy tym z rosyjskiego na czeczeński i z powrotem, biła nogami o podłogę, próbowała wstać, rzucała głową na wszystkie strony, a jej ciało przywiązane do leżącego na podłodze krzesła drgało jak w napadzie padaczki.

Cierpliwość Pietruszowa wyczerpała się. Nachylił się nad dziewczyną, chwycił ją za włosy, zmuszając, żeby na niego spojrzała. Potem przeciął więzy na jej rękach. Nura momentalnie skuliła się jak kot szykujący się do ataku. Jej ciało było napięte, przesycone nienawiścią i pogardą. Gdyby miała broń, na pewno od razu pociągnęłaby za spust.

– No dobrze, sama tego chciałaś – mruknął Pietruszow i strzelił palcami.

Aloszy udało wyrwać się Zającowi. Przypadł do dziewczyny, stanął przed nią i wyciągnął ręce do góry w geście obrony. Wydawało się, że cały promienieje. Był piękny, bo postanowił okazać, co czuje, wszem wobec. Postanowił być taki, jaki zawsze chciał być.

Szujew przemierzał szopę jak tygrys, potrącił coś nogą, kopnął na bok, zaklął. Gotowało się w nim, był o krok od eksplozji. Pewnie zaczął niejasno zdawać sobie sprawę, że to, do czego tu doprowadził, to wielka kompromitacja i że może za to odpowiedzieć przed przełożonymi.

– Chodź no tu, ty czeczeńska gnido! To przez ciebie mamy cały ten syf!

Brutalnie odepchnął Pietruszowa, chwycił Aloszę za kołnierz i rzucił na bok jak kocię. Alosza nie poddał się jednak. Wydawszy z siebie bojowy okrzyk, skoczył z pięściami na pułkownika. Zając podniósł broń, lecz pułkownik jednym machnięciem unieszkodliwił Aloszę jak natrętą muchę i jego wzrok spoczął na najważniejszej zdobyczy – młodym mięsie, dziewczynie o czarnych oczach, w których ciągle tliła się nienawiść.

Chwycił ją za ramię i podniósł do góry. Nura drapała, pluła, próbowała wcisnąć mu palce do oczu, ale pułkownik był wielki, silny, przyzwyczajony do tego, że budzi nienawiść, podczas gdy ją nienawiść osłabiała i męczyła, paliła w gardle, wywoływała świąd skóry, niszczyła.

Alosza odepchnął Zajaca, ten się potknął, nie wypuścił jednak z rąk broni, Alosza skoczył na niego, zaczął go okładać, kopać w żebra, w twarz, gdzie tylko mógł. Krzyczał przy tym tak, jakby tym krzykiem wzywał pogańskiego boga wojny.

Czy rzeka zniesie ten sądny dzień na swoim brzegu? I czy wielkie nieznanne ptaki spadną jednocześnie z nieba, widząc kroczącą między sobą śmierć? Czy zrozpaczone góry zapadną się, jedna po drugiej, z ogłuszającym hukiem? Co zostawi po sobie ta noc? Rozpadlinę w ziemi, którą na mapie będzie się znaczyć czarną plamą?

Coś ciepłego wyrwało Oseska z odrętwienia. Była to krew, która trysnęła mu na rękę. W zwolnionym tempie spojrział w dół, potem się rozejrzał. Widział Aloszę, którego Pietruszow trzymał przygiętego do ziemi, Zająca, który się podnosił, wypływając krew, Szujewa, który ciągnął za sobą Nurę, jakby chciał rozerwać ją na części. Więzy na jej nogach poluźniły się, próbowała sięgnąć do twarzy Szujewa, który włókł ją do kąta, a jego wściekłość tryskała z niego śliną.

Radiotelefon spadł na podłogę, wydając z siebie sierocy szum w półmroku szopy. W kącie – Osesek zauważył to dopiero teraz – stała prycza. Szujew rzucił na nią Nurę.

– Ty jesteś wszystkiemu winna, szmato! – grzmiał, przyciskając ją do materaca.

Osesek, który już nie wiedział, czy to, co widzi, dzieje się naprawdę, czy może jest to jakiś przedłużający się koszmarny sen, chciał tyłem wycofać się ku drzwiom, lecz Pietruszow, który to zauważył, nie pozwolił mu ruszyć się z miejsca.

– Orłow, stój, ty tchórzliwa świnio! Wystąp!

– Wystąpić?

– Durny jesteś, nie rozumiesz?

– Ale gdzie wystąpić?

– Podejdź do pułkownika.

– Ale...

– Ruszaj się, pieprzony gnoju!

Osesek po raz pierwszy słyszał w głosie Pietruszowa coś jakby strach. Z ociąganiem zbliżył się do pryczy. Potem podszedł też do swego szefa krwawiący Zając.

– Szybciej, dawaj go tu, dawaj go! – wrzasnął do niego Szujew.

Zając stał przez chwilę zdezorientowany, dziwiąc się, że jego pan i władca każe mu znowu brudzić sobie ręce tym gadem Aloszą.

Osesek łapał powietrze szybko i gwałtownie, czując, że za chwilę straci przytomność, właśnie tu i teraz, jakby było to czymś najbardziej niewybaczalnym, co mogło mu się przytrafić. Nagle stanął obok niego Alosza z rozbitą wargą i zapuchniętym okiem. Wszystko w nim drżało, czuło się w nim ogromne napięcie. Nie, ta noc chyba nigdy się nie skończy... Wszystko, tylko nie patrzeć na Nurę, nie widzieć jej oczu. Za Aloszą stał Zając z wycelowanym w niego karabinem.

– Do roboty! Przytrzymać ją – komenderował Szujew i jedną ręką chwycił aluminiową manierkę, która leżała pod jego nogami na podłodze, jakby specjalnie tam przygotowana. Drugą ręką przyciskał do pryczy wyrywającą się Nurę.

– Nie, nie, nie!

Alosza, który szybciej niż Osesek pojął, w co zamierza go wciągnąć Szujew i do czego potrafi doprowadzić jego furia, rzucił się do drzwi, ale Zając chwycił go za włosy i pchnął z powrotem na środek szopy.

– Ty będziesz trzymał jej ręce, a ty nogi. – Głos pułkownika był znowu pewny i opanowany, jakby podawał prognozę pogody. – No – zwrócił się szyderczo do Nury – dalej uparcie milczysz? Nie zdradzisz, z synami jakich dziwek siedzisz pod jedną kołdrą? Jakie mieliście cele? Gdzie jest twój przeklęty ojciec?! – Zbliżył głowę do jej twarzy.

Nura raptownie ucichła. Jakby wyciekły z niej wszystkie siły. Oseska zawsze fascynowały jej błyskawiczne zmiany nastroju następujące bez żadnego ostrzeżenia, jakby między różnymi jej stanami psychicznymi istniała

niewidoczna, bezszelestna huśtawka. Teraz jednak zaczął się tego bać. Znowu budowała wokół siebie mur nieobecności, obojętności – jedyną ochronę, jaka jej została.

– Daj nam coś, od czego moglibyśmy zacząć! Wtedy pozwolimy ci odejść – odezwał się Pietruszow, a Osesek wiedział od razu, że Pietruszow łąze i że Nura nigdy stąd nie wyjdzie.

– Trzymajcie mocno jej nogi! – rozkazał Szujew.

Zając popchnął Aloszę kolbą karabinu w kierunku końca pryczy. Alosza skulił się, jakby złapał go skręt kiszek. Potem się wyprostował i zaczął przemawiać do Nury:

– Wyciągnę cię stąd, obiecuję, nic ci się nie stanie, ja będę pilnował, nie bój się... Przebacz mi, przebacz mi... Twojej siostrze też się nic nie stanie... Przysięgam... Tak mi przykro... Dasz radę, jesteś mocna!

– Co on gada? – spytał Szujew.

– Zamknij gębę! – zapiszczał Zając do Aloszy.

Nura jednak na nikogo już nie patrzyła, leżała, jakby była pustym opakowaniem, pustym ciałem, a jej myśli były zupełnie gdzie indziej, gdzie nikt nie może jej skrępować, nikt do niczego nie zmusi. Wydawała się nieobecna, obojętna, odwróciła głowę na bok. Oseska postawili przy jej głowie. Miał trzymać jej ręce. Ale to nie było potrzebne, wcale się nie broniła. Nie drgnęła, kiedy Szujew, wrzeszcząc, plunął jej w twarz, nie drgnęła, kiedy Pietruszow kopnął ją w łydkę, nie drgnęła, kiedy Osesek powtarzał w kółko: „Proszę nie, proszę nie!”. Nie drgnęła, kiedy ściany zaczęły na nią napierać, gdy szopa malała, a powietrze stało się rzadsze, gdy półmrok rzednął i przepaść coraz bardziej rozwierała gębę, z której wydobywał się nieludzki smród.

– Zabijacie moich ludzi, podstępne świnie, chcecie nas wytępić, karaluchy! Pieprzyć, żreć, srać, zabijać, nas zabijać, tylko to potraficie, ale ja na to nie pozwolę! – grzmiał Szujew.

Zaczął ją szarpać. Nura leżała jak lalka. Osesek cofnął się odruchowo, Zając stał bez ruchu. Zdawało się, że to wszystko, co było do tej pory, czas zbrylił z sobą w jednym momencie. Osesek miał wrażenie, że głos Szujewa dochodzi do niego z oddali, a wszystko dzieje się w zwolnionym tempie, wszystko się rozdyma, przybiera monstrualne formy. Zaraz zgniotą ich ściany.

Szujew zaczął ją bić. Uderzał pięścią w żołądek. Potem w twarz. Nie ruszała się. Pietruszow stał przy Aloszy i rzucał ostrzeżenia. Jego głos brzmiał jak syczenie. Zaraz wszystko się zapadnie, ziemia się otworzy, a tę szopę i cały obóz pochłonie piekło.

Jeszcze jedno uderzenie w twarz. Nagle pułkownik siedzący okrakiem na Nurze wyprostował się i w ciszy, która zapadła, słysząc było tylko jego dyszenie. A potem rozległ się metaliczny odgłos. Osesek zorientował się, skąd pochodzi, zobaczywszy ruch ręki Szujewa – pułkownik odpinał pasek, potem zamek błyskawiczny w spodniach. Wtedy Nura otworzyła oczy i spojrzała na Oseska. Osesek zamarł. Tego spojrzenia nie zapomni już nigdy. Było w nim coś, czego dotąd nie znał – groza. Lecz grozą napawała ją nie tylko ta trójka – Szujew, Pietruszow, Zając, jak mogło się wydawać, ale też on i Alosza. Nura patrzyła na Oseska, a Szujew ściągał spodnie i stękając, opadł na nią.

– Trzymać jej nogi! – rzucił Pietruszow, przyciskając Aloszę do pryczy.

Nura zaczęła kopać nogami, próbowała się wyrwać. Robiła to wszystko w milczeniu, co było jeszcze gorsze. Biały jak prześcieradło Alosza, który od pewnego czasu już nie protestował, przyciskał do pryczy jej nogi. Osesek, czując za sobą oddech Zająca, trzymał kurczowo jej ręce, odwróciwszy głowę.

Nura miała zaciśnięte usta. Słowa, jakie znała, jakie kiedykolwiek wypowiedziała lub jakie przeszły jej kiedyś przez głowę, zatonęły w przepastnym milczeniu, jakby przywalone kilkutonowym odłamkiem skalnym, który swoim ciężarem wszystko pod sobą pogrzebał. Wraz z tymi

słowa umierała też jej wiara w świat inny niż ślina, inny niż pasek od spodni i inny niż strach, umierała nadzieja na pomoc i ocalenie, umacniała się czysta nienawiść. Nura jak wąż skręcała tułów w jedną stronę, a nogi w drugą, drapała i gryzła, aż Szujew odepchnął Oseska, sam chwycił jej rękę i z impetem je wykręcił.

Osesek stał i patrzył, jak rozpada się świat, jak pęka niczym bańka mydlana, a jego własna głowa staje się wydrążoną łupiną. Tylko jedna myśl kołatała się w nim gdzieś na dnie – pamięć o liście, który leżał pod poduszką i który jakby miał serce, bo jego rytmiczne uderzenia dochodziły do niego nawet tutaj.

Nagi zad Szujewa zaczął rytmicznie się poruszać, pułkownik coraz głośniej sapał. Nura zaczęła skomleć. Posiadanie obojętnego ciała dziewczyny nie zaspokajało Szujewa, przeciwnie – wprawiało go w jeszcze większą furję. Przyspieszył, pocił się, ziajał i stękał, jakby Nura zaraziła go chorobą, która zwiastuje nieszczęście.

Pietruszow i Zajac patrzyli na to zafascynowani, zapomnieli nawet o Aloszy i Osesku.

Czas zwolnił, jakby niewidzialna ręka przytrzymała wskazówki zegara. Wzrok Oseska, który rozpaczliwie wędrował gdzieś w bok, byle nie widzieć tego, co się właśnie rozgrywało, a co miało na zawsze wryć się w jego pamięć, padł na Aloszę dokładnie w chwili, gdy ten z kabury Pietruszowa pochłoniętego zwierzęcą sceną z Szujewem wyciągnął makarowa, pistolet, który Pietruszow zawsze nosił przy sobie, i przyłożył lufę do swej skroni. Osesek otworzył usta, chciał krzyknąć „nie!”, ale był jak sparaliżowany. Widział tylko puste oczy Aloszy i czuł, że z przyjaciela uciekło już życie. Mimo to chciał coś zrobić, chciał go powstrzymać. Pietruszow coś krzyknął, Zajac odbezpieczył broń. Zaraz ściany zamieniają się w sito, a przedtem strzały trafią bez wyboru w niektóre ciała. Alosza jednak wcześniej niż Osesek pojął, że z tej szopy nie ma wyjścia, że ta noc nie będzie miała zakończenia, z jakim potem dałoby się żyć, i nacisnął spust.

Strzał był ogłuszający, szopa zadrżała w posadach, Szujew zamarł w nienaturalnej pozycji, wsparty jedną ręką na Nurze, coś ciężkiego upadło na podłogę. Wszystko to wydarzyło się błyskawicznie.

Pierwszy odezwał się Szujew.

– To niemożliwe! Teraz musimy... Tego nie da się tak po prostu... Pieprzony gnój! Jak mógł dorwać się do twojej pukawki, ty idioto!

Widok rozprysniętej czaszki Aloszy i wylewającego się z niej mózgu podniósł temperaturę krwawej orgii. Nurze udało się wykorzystać moment chaosu. Drapiąc i plując, zepchnęła z siebie Szujewa. Lecz śmierć Aloszy sprawiła, że ten wpadł w szal.

– To ty go zabiłaś, ty go zabiłaś! – wrzeszczał, podejmując znowu, niemal z wdzięcznością i satysfakcją, nierówną walkę z dziewczyną.

Po kilku jego uderzeniach z twarzy Nury trysnęła krew, Szujew miał ją nawet na ustach. Rozerwał jej koszulę, obnażył piersi, znowu się w nią wdarł, ona skowyczała, przeklinała. Osesek nie odrywał oczu od martwego ciała przyjaciela, ruszył ku niemu lunatycznym krokiem, odchodząc od przycy. Kiedy Zając chwycił go za kołnierz, Osesek odwrócił się i z całej siły uderzył go w twarz.

Dać w mordę Zającowi okazało się tak proste, że Osesek się zdziwił, że wcześniej tego nie zrobił. Tymczasem Szujew zsunął się z Nury na podłogę, przetoczył się w kąt szopy i chwycił manierkę z wódką, ustępując miejsca swym podwładnym. To, że teraz przyszła ich kolej, było oczywiste, nie wymagało słów. Orgia z ofiarami była w pełnym toku, nie było odwrotu, w końcu nie można kogoś zabić tylko częściowo. Pietruszow rozpiął zamek błyskawiczny u swoich spodni.

„Jeśli będzie dziewczynka, to nazwiemy ją Ada”. To zdanie zaczęło tłuc się natrętnie w głowie Oseska. Osesek słyszał je głośniejsze niż strzał, którym Alosza odebrał sobie życie.

Spodnie Pietruszowa opadły na podłogę.

– No, a ty w ogóle dasz radę? – ironicznie zabełkotał w kącie Szujew.

Po tym nastąpił odgłos dziwnego kłąśnięcia. Pietruszow chrząknął, Szujew się zaśmiał.

– No, no...

– Zamknij mordę! – warknął Pietruszow, zapominając, że nigdy otwarcie nie atakował Szujewa.

A Nura? Straciła przytomność? Dlaczego nie wydawała z siebie żadnego dźwięku? Osesek wolał nie patrzeć w jej kierunku. Nie mógł oderwać wzroku od krwawej miazgi, w którą zmieniła się głowa Aloszy. Kiedy Zając znowu chwycił go za kołnierz, Osesek wyrwał mu się, przewrócił go na podłogę, rzucił się na niego i walił w niego z całych sił, aż tamten, zalany krwią, przestał się ruszać. Nikt nie próbował ich rozdzielać, wszystko, co Osesek zrobił z Zającem, wydawało się nagle w porządku.

Tymczasem Pietruszow męczył się ze swoim wiotkim członkiem, radiotelefon Szujewa brzęczał, Szujew z twarzą poharataną do krwi paznokciami Nury coś do siebie bełkotał.

Zaczynał się nowy dzień, wkrótce miało wstać słońce i oświetlić każdy kąt pola bitwy. Nagle Osesek usłyszał głos Nury. To niesamowite, ale jej głos brzmiał teraz niemal pogodnie.

– Maria Victoria Eugenia Guadalupe Martínez del Río Moreno-Ruffo – powtarzała.

Osesek nie miał pojęcia, co to znaczy.

– Zamknij się, dziwko! – stęknął Pietruszow. – Ty kurwo, ty pieprzona kurwo! – powtarzał zawzięcie, wdzierając się w nią z coraz większym uporem.

Zapamiętywał się w tej okrutnej przyjemności, nie zważając na to, jaki jest przy tym żaloszny.

Nikt nie interesował się nieprzytomnym Zającem leżącym na ziemi.

Bogowie mordy domagali się kolejnych ofiar. Osesek pomyślał, że nie wyjdzie stąd cało, jeśli i on się nie ubrudzi. Zaraz przyjdzie jego kolej. Zaraz będzie musiał ją zgwałcić, jeśli chce ocalić własną skórę. Teraz też zrozumiał, dlaczego Nura już się nie broni: Pietruszow ją gwałcił, przystawiwszy jej lufę pistoletu do czoła, a może nawet do ust, Osesek nie chciał widzieć dokładnie. Być może w ten chory sposób Pietruszow się pobudzał, być może w ten sposób spełniał swoje fantazje o wszechmocy.

Osesek widział z całą jasnością, że on też nie wyjdzie stąd niewinny. Istniała tylko jedna możliwość: przestać być tym, kim się było, i stać się kimś innym.

... A kiedy wszystko się skończyło, kiedy z pierwszymi promieniami słońca w szopie zapadła cisza, straszliwa cisza chwytająca za gardło, Osesek podniósł się i powiedział do trzęsącego się, zakrwawionego Zająca, któremu z nosa ciekły smarki:

– Wstawaj, mięczaku!

– Ona nie żyje, nie żyje, mój Boże, ona nie żyje – mamrotał Zając, zacinając się.

Osesek otrzeźwił go kilkoma policzkami.

Szujew znikł, nikt nie zauważył kiedy. Pietruszow stał przy oknie i palił. Od dłuższego czasu nie powiedział słowa. Słońce świeciło nieznośnie oślepiająco. Osesek chwycił Zająca za ramiona i potrząsnął nim.

– Pójdiesz teraz i przyprowadzisz pułkownika. Jeśli trzeba będzie, siłą. Słyszysz, co mówię, łamago?! Spójrz na mnie, rozumiesz?! Muszę mieć pewność, że pojąłeś, co powiedziałem! Potem pójdziesz do Kuzniecowa i zameldujesz dwoje zabitych, rozumiano?

– Tak jest, panie generale! – odpowiedział Zając.

Nie wiadomo, dlaczego nagle Zając przyznał mu tę rangę. Osesek schylił się, podniósł z podłogi kolorową kostkę i wetknął ją do kieszeni. Kiedy podchodził do okna, przez które wpadały jasne promienie słońca, zrozumiał,

że coś ostatecznie i nieodwołalnie się w nim przełamało – na zawsze pozbył się lęku i poczuł, że nikt ani nic nie stanie mu już na drodze.

[1] *Tamada* – mistrz ceremonii podczas gruzińskiej uczyty, której najważniejszymi elementami są uginający się od jedzenia stół, dobre wino oraz właśnie *tamada*, dbający o atmosferę i regulujący kolejność wygłaszania kwiecistych toastów.

[2] *Method acting* – metoda gry aktorskiej polegająca na wyrażaniu przez aktora jego autentycznych emocji w kontrolowanej formie.

[3] *Stroitiel* to po rosyjsku „budowniczy”, *pieczatat’* to „drukować”.

[4] Jaja Fabergé – dzieła Carla Fabergé wykonywane dla rodziny carskiej, która obdarowywała się nimi z okazji Wielkanocy, ze złota, srebra, drogich kamieni, masy perłowej i kości słoniowej, otwierane i zawierające wewnątrz niespodziankę. Od 1884 roku do czasów rewolucji powstały pięćdziesiąt cztery takie jaja.

[5] Władimir Nabokov, *Ada albo Żar. Kronika rodzinna*, przeł. Leszek Engelking, Warszawa 2009, s. 132.

TRZY: PERO

2016/GENERAL

Śniła mu się Ada. Tak realistycznie, że gdy się obudził, poczuł żal. Odruchowo wyciągnął rękę, szukając Jewgienii, ale uświadomił sobie, że tej nocy spał sam. Przypomniał sobie zdarzenia z zeszłego popołudnia, kiedy tak bezwzględnie potraktował żonę na basenie. Jewgienija spakowała rzeczy i wyjechała. Zabrała z sobą psy i w domu panowała martwa cisza.

Sam wywołał to trzęsienie ziemi, sam tego chciał i chociaż było to bolesne, zdawał sobie sprawę, że nie miał wyjścia, musiał sprowokować Jewgieniję, by od niego odeszła.

Zasługiwała na nowy rozdział w życiu. Miał pewność, że da sobie radę: kocha życie, jest mocna. Myślał o tym bez uczucia skruchy wobec niej i bez litowania się nad sobą.

„Nie wiem już, kim jesteś” – rzuciła Jewgienija z żalem, a on odparł: „Musisz być silna, dopóki to wszystko nie minie. Silna za nas dwoje”.

Wszystko przemyślał. Był świadom każdego kroku, nie chciał zdać się na łaskę przypadku. Zdawało mu się, że czyta nienapisaną jeszcze książkę, w której zna każde zdanie, każdy akapit. Była to dla niego jedyna satysfakcja i namiastka szczęścia.

Wstał i zszedł na dół, nasłuchując odgłosów z głębi domu.

Moment, w którym Osesek przeistoczył się w Generała, był krótki, a jednocześnie miał wagę ołowiu i ostrość karabinowego wystrzału. W chwili, kiedy Zając tak właśnie go nazwał, Aleksander zdał sobie sprawę, że już nic nie będzie takie jak wcześniej i że jego dotychczasowe „ja” właśnie przestało istnieć.

Tamtej nocy w szopie, kiedy wraz ze śmiercią dwojga niewinnych ludzi stali się mordercami, wojna przestała się dla niego liczyć, była tylko tłem ich

czynu, niczym więcej. Wojna doprowadziła do przekreślenia życia, życia, które tak bardzo chciało trwać. Za kilka miesięcy miał zostać ojcem. Już choćby dlatego musiał poświęcić wszystko inne.

Mimo wyczerpania, bezsenności i ciężaru śmierci tamtych dwojga miał wyjątkowo jasny umysł, gdy rano wychodził z szopy. Góry powitały go ciszą i stoickim spokojem, czuł ciepło porannych promieni słońca. Zatrzymał się i uświadomił sobie, że kurczowo zaciska dłoń. Rozprostował ją – miał w niej kolorową kostkę Rubika, którą Nurze udało się w końcu ułożyć, tak jak zapewne udałoby jej się ułożyć wszystkie inne sprawy, gdyby jej życie nie zostało przerwane. Włożył kostkę do kieszeni i skierował się do obozu. Wiedział, że to, co teraz zamierza, nie ma sensu, absolutnie żadnego sensu, ale czuł, że musi to zrobić. Poszedł prosto do kontenera, w którym było biuro Szujewa, wszedł do środka, pogrzebał w zakurzonej teczce i znalazł numer telefonu dowódcy, któremu podlegał Szujew i ich jednostka.

Głos dowódcy okręgu był zaspany i rozdrażniony.

– Co się, u diabła, dzieje?! Nie wiecie, która godzina?

– Mówi żołnierz Orłow. Dzwonię z osobistego połączenia telefonicznego pułkownika.

– Kto wam dał pozwolenie na skorzystanie z tego połączenia?! O co chodzi?

– Zabiliśmy człowieka. Zgwałciliśmy i zabiliśmy kobietę. I jest też samobójstwo. Musimy za to odpowiedzieć przed sądem.

W słuchawce zapadła cisza. Po długiej chwili Aleksander usłyszał chrząknięcie.

– Natychmiast dajcie mi do telefonu pułkownika.

– Pułkownik nie nadaje się do rozmowy. Odsypia kaca.

– Jeszcze raz wasze nazwisko!

– Orłow. Aleksander Orłow.

– Zdajecie sobie sprawę, z jakim oskarżeniem występujecie?

– Tak jest!

– Natychmiast odłóżcie słuchawkę. Tej rozmowy nigdy nie było! Szujew powinien dać wam nauczkę. A ty już nie jesteś w wojsku, mały szcurze.

Połączenie zostało przerwane. Aleksander nie wyobrażał sobie, że po wydarzeniach ostatniej nocy coś jeszcze może go zdziwić, ale po tej rozmowie formalnie zgłupiał. Wracając do siebie, spotkał żołnierza, który roznosił śniadanie i był zaskoczony, że nikogo nie zastał w ich kontenerze.

– Alosza nie żyje – powiedział Aleksander.

– Jak to nie żyje?!

– Strzelił sobie w głowę.

– Co ty opowiadasz? Kundel?! On by się nie odważył!

I wtedy ciało Aleksandra przypomniało mu to somnambuliczne doznanie, kiedy wyszedł z szopy i każdym jego włókmem czuł, że lęk, który wcześniej stale mu towarzyszył, opadł z niego, przestał istnieć, jakby go nigdy nie było. Przez moment zastanawiał się, czy w jego miejsce nie pojawi się coś innego, ale nie, lęk po prostu znikł. Kiedy to zrozumiał, rąbnął tamtego pięścią w twarz. Nie wiedział, skąd ma tyle siły, lecz uderzenie było tak mocne, że żołnierz się przewrócił. Aleksander postawił but na jego szyi.

– Jeszcze jedno takie słowo o Aloszy i jesteś martwy – zagroził, dziwiąc się własnemu opanowaniu i chłodowi swego głosu.

Potem przeskoczył leżącego na ziemi i wszedł do swego kontenera.

Pozbierał szybko swój skromny dobytek – z książek wziął *Antygonę* i *Adę* – i wyszedł na zewnątrz. Słyszał odgłos nadjeżdżających aut i gwar głosów, wśród nich Pietruszowa wydającego jakieś polecenia. Szujew był najwyraźniej w dalszym ciągu wyłączony z życia.

Wyszedł z bazy i szedł, nie wiedząc, jak długo i dokąd idzie, ale nogi niosły go dalej i dalej. Orientował się tylko po górach i szumie rzeki.

W pierwszej napotkanej wsi znalazł pocztę. Zadzwoił z niej do Moskwy, do matki, prosząc, żeby uruchomiła znajomych i przyjaciół ojca, zwłaszcza bohatera z Afganistanu generała Makarowa, który miał opinię człowieka nieprzekupnego, a teraz, na emeryturze, mieszkał gdzieś na dacy koło Petersburga. On mógł najwięcej. Aleksander poprosił, by Makarow do niego oddzwonił. Rzeczywiście, po godzinie poplamiony, odrapany aparat telefoniczny w brudnej, śmierdzącej budce na wiejskiej poczcie zadzwonił. Po raz pierwszy w życiu Aleksander cieszył się, że jest synem bohaterskiego żołnierza zaprzyjaźnionego z Makarowem. Opisał mu sytuację, prosząc o pomoc w zgłoszeniu tego, co się wydarzyło.

– Jesteś pewien, że tego chcesz? – zapytał stary generał.

– Jestem pewien.

– W takim razie zostań tam, gdzie jesteś. Przyślę kogoś po ciebie. Pojutrze spotkamy się w Mozdoku. Przyjadę tam osobiście. Tylko z nikim o tym nie rozmawiaj, rozumiesz? Od teraz jesteś dezertorem, musisz być ostrożny.

Aleksander czuł wdzięczność, że Makarow o nic więcej go nie zapytał.

Po trzech godzinach pod pocztę podjechał pułkownik dywizji pancernej. Nie zadawał pytań. Prowadząc auto, ćmił jednego papierosa za drugim.

– Zaczekamy, aż się ściemni, a później, przed kontrolą graniczną, przekażę cię moim ludziom, którzy przewożą metale kolorowe do Mozdoku. Masz milczeć, kiedy będą rozmawiać z pogranicznikami, rozumiesz?

Aleksander skinął głową i zapadł w ciężki sen, z którego pułkownik wyrwał go przed granicą. Czekala na niego załadowana po sufit ciężarówka, na której zrobiono dla niego miejsce. Było rzeczą powszechnie wiadomą, że nocą odbywa się tutaj nielegalny handel. Widział ciężarówki jadące z Groznego w kierunku Dagestanu albo Mozdoku, miasta garnizonowego i głównej kwatery wojsk rosyjskich na Kaukazie, transportujące tony benzyny. Inne, takie jak ta, na którą wsiadł, przewoziły metale kolorowe. Nie wiedział jakie, było mu to zresztą obojętne. Dostosował się do poleceń trzech

żołnierzy, którzy w ciężarówce zajmowali miejsca na siedzeniach z przodu, i nie odzywał się. Podczas kontroli granicznej wywiązała się krótka rozmowa, lecz pogranicznicy obrzucili go tylko krótkim spojrzeniem.

Zakrawało to na cud. Kiedy się zatrzymali na noc w jakimś przydrożnym hoteliku, zdumiał się, że tak łatwo wydostał się z tej wojny, jakby była tylko dziecinną igraszką. Udało mu się, bo się nie zastanawiał, bo nie miał innego wyjścia ani żadnego planu awaryjnego. Jego decyzja była niewzruszona, mógłby zastrzelić każdego, kto by próbował go od niej odwieść. Wyobrażenie, że strzela do człowieka, już go nie przerażało.

W ubraniu rzucił się na łóżko i zapadł w głęboki sen. W środku nocy obudził go głód, więc wyszedł, żeby kupić coś do jedzenia. Znalazł otwarty mały kiosk. Kiedy już najadł się ciastek, czekolady, chipsów i cukierków, przypomniał sobie o Soni i mającym się urodzić dziecku. Nagle zrobiło mu się niedobrze, wrócił do hoteliku, pobiegł do toalety, lecz nie zdążył i zwymiotował na podłogę w progu łazienki.

Następnego dnia odnalazł go Makarow. Usiedli w jakimś barze i przy kapuśniaku Aleksander opisał mu szczegółowo wydarzenia tamtej nocy. Zrelacjonował mu też rozmowę telefoniczną z dowódcą okręgu.

Makarow, przysadzisty mężczyzna z gęstą białą brodą, potakiwał bez słowa, a potem powiedział:

– Być może wiesz, że żołnierz Federacji Rosyjskiej może być aresztowany tylko za pozwoleniem przełożonych albo na ich żądanie. To znaczy, że trzeba wpłynąć na głównego dowódcę, żeby wydał Szujewa, trzeba wywrzeć na niego nacisk. Oni wszyscy będą tworzyć w tej sprawie wspólny front i będą cię zadręczać, szykanować. Jesteś na to gotowy?

Aleksander skinął głową, nie podnosząc wzroku wbitego w talerz z zupą.

– Dobrze. Musisz być tego świadom. Potrzebujemy odważnego sędziego i jeszcze lepszego adwokata, który będzie reprezentował rodzinę zabitej. Poszukam takich.

Aleksander znów kiwnął głową, patrząc mu prosto w oczy.

Makarow przeprosił, mówiąc, że musi go na godzinę zostawić, by odbyć kilka rozmów.

Stary generał dotrzymał słowa. Znalazł w Rostowie nieprzekupnego prawnika, a w Moskwie nawiązał kontakt ze Stanisławem Pasternakiem, który w tym czasie był u szczytu swojej kariery adwokackiej.

Przede wszystkim jednak udało mu się przekonać naczelnego dowódcę do wydania Szujewa. Jak to zrobił, pozostało jego tajemnicą.

Wymiar sprawiedliwości wykazał gotowość zbadania zgłoszonych faktów. Na Kaukaz, do bazy wojskowej, posłano komisję śledczą składającą się z wojskowych prawników i nakazano jej odnaleźć zwłoki Nury, które, jak się domyślał Aleksander, zostały zakopane w pobliżu szopy. Miał rację: znaleziono je niedaleko szopy, niezbyt głęboko w ziemi, okręcone w pośpiechu plandeką. Grób musiał wykopać Zajac. (Zwłoki Aloszy zostały wywiezione wcześniej w cynkowej trumnie ciężarówką do przewozu różnych ładunków).

Oskarżeni Szujew i Pietruszow podczas pierwszego przesłuchania utrzymywali, że są niewinni i o niczym nie wiedzą. Jeszcze nigdy żaden dowódca wojskowy nie został w tej wojnie pociągnięty za cokolwiek do odpowiedzialności. Szujew w dodatku pozostawał w dobrych stosunkach ze zwierzchnikami. Był przekonany, że nigdy nie zostanie wydany, bo dla Ministerstwa Obrony taki przypadek byłby hańbą.

Ale przysłana na miejsce komisja nie rezygnowała. Makarow ze swoją staromodną akuratnością i twardymi zasadami, sędzia gotów przeciwstawić się wojskowej kaście oraz adwokat, który miał już wyrobione nazwisko i był znany nawet poza granicami kraju z angażowania się w obronę praw człowieka, nie mieli zamiaru zamieść sprawy pod dywan.

Makarow poradził Aleksandrowi, żeby wrócił do domu, póki jeszcze jest wolny. Aleksander posłuchał.

Kiedy przyjechał do Moskwy, stanął na progu mieszkania i zobaczył przestraszoną twarz matki, która otworzyła mu drzwi, w pierwszym odruchu pomyślał, że przyjazd nie był jednak najlepszym pomysłem.

– Dostałeś urlop? – spytała go zaskoczona matka. – Co to za historia, z powodu której dzwoniłeś?

– Nie, nie dostałem urlopu.

Pozwolił się matce objąć, ale czuł się nieswojo w miejscu, które kiedyś było jego domem...

– Uciekłem. I niedługo... trafię za kratki...

Nie miał sił na dalsze tłumaczenie.

Chodziła za nim z pokoju do pokoju pokornie jak pies, przerażona tym, co usłyszała, i niewiele z tego rozumiejąca. (Czuł, że za chwilę matka zacznie wydzwaniać do różnych osób, żeby się dowiedzieć, co dokładnie zaszło). Nakrywała stół, nie wiedząc, czy się cieszyć, czy martwić, że przyjechał. I co ma sądzić o zmianie, którą w nim zobaczyła, bo wydał jej się dziwny – inaczej chodził, inaczej mówił, nawet inaczej pachniał. Pocałowała go w czoło i postawiła przed nim zupę. Jadł łapczywie, a ona ciągle mu dolewała.

To ona, matka, sprawiła, że stał się taki, jaki jest. To ona go zmusiła, by szedł w ślady ojca, by tkwił w przeszłości pachnącej kulkami na mole, w iluzjach, w świecie umarłych. Ukradła mu jego marzenia i przeszczepiła własne – zatrute, skażone śmiercią.

– Sonia często do mnie zagląda, prosiłam ją o to, chciałam w czasie twojej nieobecności mieć na nią oko, wiesz, jaka jest nieokiełznana. Nic dziwnego: z takiej rodziny!...

Kiedy to usłyszał, zrozumiał, że władza matki pod żadnym pozorem nie może się rozciągnąć na Sonię i ich dziecko. Jeszcze tego brakowało, żeby i ich zatrwała swoimi chorymi rojeniami. Zrobi wszystko, żeby trzymać ją na dystans. „Każdy alkoholik, każdy menel będzie lepszy niż ona” – myślał,

podnosząc do ust następny kawałek kotleta mielonego.

Matka patrzyła na niego zażwawionymi oczami. Widział, że jej radość jest zabarwiona niepokojem – znowu coś zmarnował, znów nie zachował się jak syn godny wielkiego ojca – i czuł, że ma tego dosyć.

– Nigdy jej nie zobaczysz – powiedział beznamiętnie, jakby dyktował listę zakupów.

– Saszeńka, co z tobą?! Nie poznaję cię... O czym ty mówisz?!

– Nieważne. Zostawisz Sonię i nasze dziecko w spokoju.

Potrzebował świeżego powietrza. Na zewnątrz panowała szarówka, dom był pogrążony w błogiej ciszy, jezioro spało i zdawało się, że nawet ptaki jeszcze się nie obudziły.

– Podać ci coś, Aleksandrze? – W drzwiach pojawiła się zaspana Azja.

– Jeśli już pytasz, to zrób mi kawy. Pójdę na taras, nakryj tam stół.

– Na zewnątrz jest przecież zimno.

– Azjo!

Chciała jeszcze o coś zapytać, lecz dobrze go znała i wiedziała, że nie pora na pytania.

Stała się częścią jego życia do tego stopnia, że nie potrafił sobie wyobrazić domu bez niej i choć kiedyś była tu głównie dla Ady, po jej śmierci została i nikt nie rozważał jej odejścia. Aleksander podziwiał ciche cierpienie Azji po śmierci Ady. Wyglądało to tak, jakby przyrzekła sobie, że nie będzie konkurować z jego bólem, ale on czuł pustkę, którą w tej krzepkiej kobiecie pozostawiło odejście Ady. I to ich łączyło.

Stał z Sonią na podwórzu między blokami i obejmując ją, czuł, że coś w nim słabnie i topnieje, i że to niebezpieczne, że nie powinien temu ulec. Sonia na przemian całowała go i podskakiwała wokół niego jak dzika małpka. Jej brzuch dopiero nieznacznie zaczynał się rysować pod dopasowaną bluzką, jakby dziecko nie chciało jeszcze zdradzać zamiaru pojawienia się na świecie.

Wyzwolił się z jej objęć, chwycił ją za rękę, mocno przytrzymał i spojrzał jej prosto w oczy.

– Soniu, musimy porozmawiać.

– Ale przecież rozmawiamy, Osesku, rozmawiamy przecież!

– Nie nazywaj mnie tak.

– Co z tobą?! Co się stało?!

– Dokąd możemy pójść, żeby nikt nam nie przeszkadzał?

Sonia wzięła go za rękę i poprowadziła przez klatki schodowe, przez anonimowe podwórza i wilgotne przejścia dzielnicy Szczukino, które znała lepiej od niego. Zadekowali się w opuszczonej pakamerze, zaśmieconej niedopałkami papierosów i butelkami po wódce. Była tam ławka upstrzona napisami zrobionymi farbą w spreju i imionami wyrytymi scyzorykiem. Przemknęło mu przez głowę, że może jest na niej także imię Soni.

Opowiedział jej wszystko rzeczowym tonem, nie wchodząc zbytnio w szczegóły, ale też nie opuszczając niczego istotnego. Sonia stała oparta o wilgotną ścianę, szybko oddychając, on siedział na ławce ze spuszczoneym wzrokiem. Nie potrafił spojrzeć jej w oczy.

– Nie wiem, kiedy po mnie przyjdą, ale kiedyś przyjdą – powiedział na koniec i splunął, jakby chciał sobie oczyścić usta po wszystkim, co powiedział. – Zanim to się stanie, postaram się zapewnić wam środki do życia. Może znajdę dla was jakieś lokum. Postaram się, żeby niczego wam nie brakowało.

– Ale mnie będzie brakować mężczyzny, a dziecku ojca! – wybuchnęła Sonia.

– Kiedyś to wszystko się skończy, wtedy wrócę. Nie łudź się, że będziesz na mnie czekała, ale...

– To była wojna, Sasza – przerwała mu.

Spojrzał na nią skonsternowany.

– Co z tego?!

– Na wojnie takie rzeczy się zdarzają.

Nie chciał tego słuchać, ale nie miał siły wdawać się z nią w dyskusję. Poczucie, że ma niewiele czasu, wyostrzało jego myślenie. Chciał załatwić wszystko, co wydawało mu się ważne, zanim po niego przyjdą.

– Saszeńka, teraz powinieneś myśleć tylko o nas! Wiem, przeszedłeś przykre rzeczy, ale to była wojna. To, co się stało, to nie twoja wina!

– Moja, do jasnej cholery!

Zerwał się z ławki i spojrzał na nią z wściekłością. Odsunęła się, w jej oczach pojawił się strach. Zawstydział się, nie chciał, żeby się go bała, ale nie mógł znieść jej słów, chciał innych słów, innego zrozumienia. Jej reakcję przypisał ciąży, instynktowi obrony interesów mającego się urodzić dziecka.

– To nie w porządku, to wszystko nie jest w porządku, Oses... Sasza! Ja cały czas na ciebie czekałam, bałam się o ciebie, nie wiedziałam, czy wrócisz żywy... A teraz... To nie może być prawda! Teraz powinien przyjść w końcu mój czas, w końcu powinnam móc być szczęśliwa! Nie zniosę tego dłużej, przecież niedługo będziemy mieli dziecko! Jak mogłeś złożyć donos na samego siebie! Dlaczego ani przez sekundę nie pomyślałeś o mnie, o nas?! Czy tamta dziewczyna odzyska życie? Mój Boże, to było jej ryzyko, czy ja wiem...

– Zamilcz, Soniu! Po prostu zamilcz, bo nie wiesz, o czym mówisz!

– Ja tylko chcę, żeby mój mężczyzna był przy mnie, żebyśmy zaczęli normalnie żyć... Każdy zasługuje na to, żeby kiedyś w życiu był szczęśliwy, ja też! Przykro mi, że nie potrafię sobie wyobrazić, jak okropne musi być to wszystko, ale...

Cała się trzęsała. Najzwyczajniej w świecie nie potrafiła połączyć jego tonu, chłodu, opanowania z człowiekiem, którego pamiętała i kochała. Aleksander zrozumiał, że to dla Soni szok i że on nie jest mężczyzną, jakiego ona teraz potrzebuje.

Nie mógł dłużej znieść smrodu pakamery i wyszedł na zewnątrz. Ich rozmowa była skończona, czas ucieka, musi działać.

Kiedy byli już blisko domu, przed ich blok zajechał srebrny mercedes. Boczna szyba bezszelestnie się opuściła i ktoś zawołał Sonię po imieniu. Podeszła do auta.

Aleksander nie mógł się zorientować, z kim rozmawia. Po dwóch minutach szyba znowu się podniosła i Sonia wróciła.

– Kto to był? – zapytał.

– Inkasent. Jest teraz grubą rybą, kosi ciężką forszę.

Zwłoki Nury ekshumowano. Obdukcja wykazała punktowe krwawienia i otarcia skóry, krwawe wylewy w obrębie opłucnej, wybroczyny w okolicy lewego oczodołu i wokół ust, zasinienie i opuchnięcie twarzy, krwiaki na wewnętrznej części uda, obrażenia spowodowane zbyt gwałtownym rozciąganiem mięśni, zakrwawione krocze, otwór w błonie dziewiczej o średnicy około sześciu milimetrów i rozchodzące się od niego promieniście pęknięcia, ślady mocnego ściskania na wewnętrznych stronach ramion. Przyczyna śmierci: uduszenie przez ucisk szyi. Zwłoki były nagie.

Szujewa aresztowano i przewieziono do Mozdoku. Podczas pierwszego przesłuchania – jeszcze w charakterze świadka – Szujew wyjaśnił, że zaufany informator przekazał mu zdjęcie Nury Giełajewej oraz wiadomość, że dziewczyna należy do zbrojnej formacji i odbyła szkolenie strzeleckie. Z tej samej informacji wynikało, że ojciec Nury jest członkiem grupy terrorystycznej i niedawno, w kwietniu, zastrzelił trzynastu rosyjskich żołnierzy. Szujew powiedział też, że Giełajewej udało się podstępem zdobyć zaufanie dwóch młodych żołnierzy z jego jednostki i że wyciągała od nich informacje na temat bazy wojskowej, której był dowódcą.

Następnego dnia, kiedy Szujew został przesłuchany już jako oskarżony, zasadniczo podtrzymał swoje zeznania z poprzedniego dnia, zdecydowanie jednak zaprzeczył, że jest winien umyślnego mordu na Nurze Giełajewej, ponieważ, jak twierdził, nie miał zamiaru doprowadzić do śmierci

dziewczyny. „Badanie wymknęło się spod kontroli” – oświadczył. To się czasem zdarza, jego ludzie stracili panowanie nad sobą, a on właściwie nie wie, jak to się stało, że została uduszona.

Tego samego dnia aresztowano też Pietruszowa i Juricza.

Pietruszowa wypuszczono jednak za kaucją. Od razu pojechał do Moskwy i zaczął się na Aleksandra przed jego blokiem.

– Musimy porozmawiać, Generale.

Ostatnie słowo wymówił z ostentacyjną ironią.

Zanim Aleksander się odwrócił, wiedział, czyj to głos. Nie dało się go zapomnieć.

– O co chodzi?

– To, co robisz, to wielki błąd.

– Poważnie?!

– Zdradzasz swoich przyjaciół.

– Przyjaciół? Więc jesteśmy przyjaciółmi? Nie wiedziałem!

– Poza tym to do niczego nie doprowadzi. To, co się stało, nie powinno się było zdarzyć, ale stało się. Wierz mi, to nie była niewinna dziewczyna. Taką tylko zgrywała. Gdybyśmy nie przeszkodzili waszym kontaktom, konsekwencje mogłyby być o wiele gorsze.

– O wiele gorsze... Rozumiem...

Aleksander dopiero teraz zwrócił uwagę na szklane oczy Pietruszowa. Pietruszow sprawiał wrażenie, jakby nie całkiem był sobą, jakby wygłaszał wyuczony tekst.

– Tak, o wiele gorsze.

– Nie mamy o czym mówić. Spotkamy się na sali sądowej. Teraz się spieszę.

– A ty leżałbyś już w cynkowej trumnie.

– Możliwe. Ale pozostałbym człowiekiem.

– Bredzisz! Nie mogę tego słuchać. Przestań się nad sobą uzalać. Nie naprawisz tego, co się stało.

Pietruszow pachniał chemią, jakby go wykąpano w myjni samochodowej.

– Nie mam ci nic więcej do powiedzenia, idź w swoją stronę, spieszy mi się.

– Rozum ci odjęło czy jak! – ryknął Pietruszow na całe gardło.

Przechodzący obok mężczyzna przeląkł się i z wrażenia upuścił na ziemię siatkę z zakupami. Wypadło z niej kilka jabłek, które potoczyły się po ziemi.

– Nie wrzeszcz na mnie, rozumiesz?! Nigdy już na mnie nie wrzeszcz!

Aleksander stanął przed Pietruszowem twarzą w twarz, zdziwiony, że to takie proste. Wcześniej by się nie odważył, teraz nic nie było w stanie go powstrzymać. Jeśli Pietruszow powie tym tonem jeszcze jedno słowo, dostanie w pysk. Ta myśl sprawiła mu pewną satysfakcję i właściwie chciał, żeby do tego doszło.

Ale Pietruszow opanował się i ściszył głos.

– Wiesz, co to jest GUSS? – spytał. – Słyszałeś o Zarządzie Głównym Obiektów Specjalnego Przeznaczenia? Podlega Centralnemu Zarządowi Mieszkalnictwa, musiałeś coś o tym słyszeć.

– Do czego zmierzasz?

– Można tam zrobić niezłe pieniądze. Kosmodrom, podziemne silosy raketowe, tajne obiekty wojskowe, bazy. To wszystko jest w rękach GUSS-u. Mam tam zapewnione wysokie stanowisko. Jeśli będziesz milczał, zrobię cię swoim zastępcą.

Aleksander przez chwilę się zastanawiał, co Pietruszow próbuje mu powiedzieć, bo nie rozumiał jego słów. Potem się roześmiał.

Pietruszow zmieszał się, cofnął i zmarszczył czoło. Jego twarz wyrażała jednak pogardę wobec idiotycznej moralności, słabości właściwej

mięczakom, dziecinnego sentymentalizmu i śmiesznej próby wymuszenia sprawiedliwości tam, gdzie tego pojęcia nie było w użyciu.

– To ma być dowcip? – prychnął Aleksander.

– Czy wyglądam na kogoś, kto sobie żartuje, maminsynku?

Aleksander wolno zrobił półobrót i rąbnął Pietruszowa w nos z taką siłą, że od uderzenia zdrętwiała mu ręka. Pietruszow ryknął z bólu i potykając się, wylądował na kolanach na zafajdanej posadzce klatki schodowej, obiema rękami trzymając się za nos. Aleksander odwrócił się i odszedł.

Kiedy zatrzymał się przed skrzyżowaniem i czekając na zielone światło, masował zdrętwiałą dłoń, nagle zobaczył przy sobie Sonię. Zawsze wyrastała jak spod ziemi, a potem znikwała, jakby rozpułyła się w powietrzu. Nigdy nie mógł pojąć, w jaki sposób to robi. Pocałowała go w czubek nosa i chwyciła pod rękę.

– Skąd się tu wzięłaś? Umówiliśmy się przecież pod restauracją.

– Pomyślałam, że po ciebie przyjdę.

– Szłaś za mną? Dlaczego?

Nagle zamilkł. Zrozumiał, że była na klatce schodowej, kiedy rozmawiał z Pietruszowem.

– Słyszałaś naszą rozmowę?

Przytaknęła z wyrazem zawstydzienia na twarzy, mierząc go jednocześnie badawczym spojrzeniem.

– Soniu, ty udajesz głupszą, niż jesteś. Czego chcesz? Przecież ty czegoś ode mnie chcesz! Widzę to po tobie.

– Zgódź się, Sasza, proszę, zgódź się. Ten proces nie przyniesie nic dobrego ani tobie, ani nam. A my... my moglibyśmy zacząć od nowa. Ty zaczniesz pracować i zarabiać, będziemy w końcu razem, my i dziecko. To prawdziwa szansa w momencie, kiedy w tym kraju wszystko rozkłada się i psuje. Myślisz, że to będzie głośny proces? Ci mężczyźni mają władzę

i pieniądze, mają po swojej stronie wojsko. Przy nich jesteś nikim i jeśli sądzisz, że dzięki procesowi zyskasz jakąś sprawiedliwość, to jesteś ślepy, głupi albo bardziej naiwny, niż myślałam. Napraw to jakoś inaczej. Zrób coś dobrego dla nas. Żal mi samej siebie, że ciągle czekam na to prawdziwe życie. Żal mi siebie, bo siedzę tu beczynnie i wiem, że ja i podobni do mnie może nigdy nie dostaniemy swojej szansy. Czego ode mnie oczekujesz? Trafisz do więzienia na wiele lat, a ja będę tu na ciebie czekać, modlić się, żeby nic ci się nie stało, marzyć o wspólnej przyszłości? A przecież trafia się właśnie coś jaśniejszego, szczęśliwego w tym moim przeklętym życiu! Nie chcę tego zepsuć, chcę być dobrą matką, chcę, by nasze dziecko miało lepiej niż ja! A ty przychodzisz i mówisz coś o sprawiedliwości! Ona wszystko zrujnuje! Rozejrzyj się wkoło! Chce mi się rzygać! Stoisz tu przede mną i bredzisz o winie i pokucie! Wybacz mi, ale ja nie jestem aż tak dobrym człowiekiem, żeby bardziej zależało mi na umarłych niż na sobie samej i moim dziecku. Wiem, że to musiał być dla ciebie koszmar, wiem, że nigdy nie powinienes tam pojechać. Ale nasze dziecko nie jest niczemu winne. Ono powinno dostać szansę, więc skończ wreszcie z tym moralizatorstwem! Każdy mężczyzna w tym kraju ma wiele na sumieniu, a najwięcej ci, po których najmniej widać. Nic nie wskórasz, jeśli pójdziesz i powiesz, że oni są źli i zepsuci. Ostatecznie to ty będziesz stratny, a twoje dziecko, nasze dziecko – Sonia objęła brzuch rękami – nie będzie miało szansy na dobre życie.

Aleksandra ogarnęło przerażenie, a może smutek. Sam już nie wiedział. Poczul się jak sparaliżowany, głęboko zaczerpnął powietrza.

– Soniu, zaczynam się ciebie bać – powiedział cicho i o mały włos, a rozplakałby się, krzyknął „nie!”, wyrzucił z siebie to, co było dotąd niewypowiedziane, nieprzetrawione, ale odwrócił od niej wzrok i milczał.

– Co ty opowiadasz, kochany?! Dlaczego miałbyś się mnie bać?

Chciała jeszcze coś powiedzieć, coś mu wytłumaczyć, lecz on ruszył przed siebie, zostawiając ją tam, gdzie stała. Szedł szybko, prawie biegł. Nie mógł znieść jej obecności.

Pożyczył pieniądze od wuja, by coś Soni wynająć. Obejrzeliby sporo różnych mieszkań, ale nie zdecydowali się na żadne – Sonia, licząc się z jego nieobecnością, nie chciała mieszkać sama. A on czuł, że traci siły, że nie potrafi z nią dłużej walczyć. Teraz, dopóki był jeszcze w Moskwie, Sonia spędzała całe dni u jego matki. Przez większość tego czasu, z rękami na brzuchu, wyglądała przez okno albo patrzyła na niego wzrokiem pełnym pretensji. Aleksander nie zwracał uwagi na matkę, która reagowała coraz bardziej nerwowo, nie mogąc pojąć, czemu syn zabrania jej rozmawiać z Sonią. Załatwiał szybko, co uznał za ważne do załatwienia, nie znajdował wytchnienia, spokoju, nie spał. Inicjowane przez Sonię próby intymnych zbliżeń kończyły się żałością. Aleksander czuł, jakby amputowano mu ciało, nie mógł jej dotknąć, wspomnienie Nury raziło go jak uderzenie prądem.

Dzień przed tym, gdy po niego przyjechali i zabrali go do Rostowa, postanowił wybrać się do adwokata, o którym wspomniał mu Makarow. Czekał prawie dwie godziny, zanim zobaczył go wychodzącego wczesnym wieczorem z pięknej kamienicy naprzeciw Starego Arbatu. Gdy tamten wmieszał się już w tłum ulicznych muzyków i handlarzy staroci, podszedł do niego.

– Przepraszam, że przeszkadzam. Nie zajmę panu wiele czasu. Nazywam się Aleksander Orłow.

Czuł się okropnie, stojąc przed człowiekiem, który w jego oczach uosabiał to, co on sam nieodwracalnie stracił: prawość i poczucie sprawiedliwości. Tamten sprawiał wrażenie szczerego, wewnętrznie zrównoważonego. Jakże mu tego zazdrościł!

– Orłow? Znamy się? – Mężczyzna podał mu rękę z przyjaznym uśmiechem. – Wyszedłem, żeby coś zjeść... Jeśli zechce mi pan towarzyszyć do baru z blinami, będziemy mogli porozmawiać.

– Generał Makarow zapewne panu o mnie wspominał. Chodzi o sprawę Nury Giełajewej.

Szczupły mężczyzna zatrzymał się i przyjrzał mu się rozszerzonymi

oczami.

– Mój Boże, oczywiście, znam pana nazwisko. Nikt nie powinien zobaczyć, że z panem rozmawiam. Pan przecież wie, że reprezentuję stronę przeciwną.

– Tak, wiem, i cieszę się z tego. Ale muszę złożyć pewne zeznanie i mogę zaufać tylko panu. Niedługo zostanę aresztowany i nie wiem, czy jeszcze nadarzy się okazja...

Adwokat myślał chwilę, potem skinął głową i powiedział:

– Chodźmy więc raczej do mojego biura, zjem później. Nikt nam nie będzie przeszkadzał, moi pracownicy już poszli do domu.

Weszli do starej kamienicy o wysokich sufitach i błyszczących parkietach. Na drzwiach biura wisiała tabliczka z napisem: „KANCELARIA ADWOKACKA PASTERNAK I PARTNERZY”. Na końcu korytarza znajdował się obszerny gabinet pełen segregatorów z aktami. Na szerokim biurku piętrzyły się stosy teczek i papierów.

Aleksander zajął miejsce w fotelu naprzeciw adwokata.

– Dziękuję, że poświęca mi pan czas...

– Rozmawiam z panem tylko dlatego, że jest pan człowiekiem, który z morderstwa Nury Giełajewej zrobił sprawę, a to znaczy, że... nazwę to tak: ma pan sumienie. W armii niewielu jest dziś takich. To było odważne.

– Proszę tak nie mówić. Pan nie ma o tym pojęcia... Czy skontaktował się pan już z rodziną zamordowanej?

– Oczywiście.

– Jak się czują?

– A jak mogą się czuć?! Cała wieś jest w ciężkim szoku. Nie wiem, czy zna pan czeczeńskie tradycje. Tam gwałt okrywa hańbą całą rodzinę, społeczność całej wsi. Matka straciła mowę. Rodzina dostała zwłoki z zakładu medycyny sądowej. W środę polecę do Mozdoku, obiecano mi, że

stamtąd zostanie zawieszony do Czeczenii, jak pan wie, nie jest to takie proste. Ale teraz wróćmy do pana.

– Widziała nas jej młodsza siostra. Ona mnie rozpozna. Jest wprawdzie małaletnia, ale pan powinien o niej wiedzieć.

– Powiedział pan: widziała nas. Nas, to znaczy kogo?

– Aloszę i mnie. Ale Alosza...

– Wiem.

– Czy mamy jakąś szansę?

– My?

– Pan. Czy pan ma jakąś szansę?

– Szansa istnieje. Niewielka, ale jest. Mamy szczęście, przydzielono nam dobrego sędziego. To jest przypadek precedensowy, musimy mieć tego świadomość.

– Czy mogę prosić o kartkę i ołówek?

– Po co?

– Zapiszę panu nazwiska moich kolegów z jednostki, od których będzie pan mógł się czegoś dowiedzieć. Wszystko dokładnie sobie odtworzyłem, przypomniałem sobie, gdzie kto był tamtego dnia, kto kogo widział. To się może przydać. Wszyscy musimy zostać pociągnięci do odpowiedzialności. Żaden z nas nie może ująć przed karą.

Kiedy wszystko skrupulatnie spisał, odetchnął głęboko i po raz pierwszy opowiedział o tym, o czym poza Szujewem, Pietruszowem i Juriczem nie wiedział nikt i czego dotąd sam nie odważył się sformułować we własnych myślach. Opadł z ulgą na fotel.

– Chciałbym, żeby powołał mnie pan na świadka. W sądzie powtórzę wszystko, co teraz powiedziałem. Złożę zeznania.

Prawnik milczał, obracając w dłoni długopis. Zdawało się, że trudno mu

spojrzeć na rozmówcę. Wreszcie odłożył długopis i podniósł wzrok.

– Dlaczego pan to robi?

– Bo to jedyny sposób, żeby nie dostać kulki w łeb. Ja muszę żyć.

W styczniu zostanę ojcem – powiedział Aleksander rzeczowo i podniósł się.

– Nie wiem, czy sąd wyrazi zgodę, żeby powołać pana na świadka.

– Proszę zrobić wszystko, co w pana mocy. I proszę doprowadzić do tego, żebyśmy ponieśli karę, na jaką zasługujemy.

Zanim doszedł do końca ulicy, usiadł na ławce, ukrył twarz w dłoniach i wydał z siebie odgłos, który zaskoczył jego samego. Był to odgłos, który zdawał się pochodzić z czasów pogańskich, z czasów, kiedy rządziło prawo „oko za oko, ząb za ząb”.

Generał pił mocną kawę i obejmując filiżankę obiema dłońmi, wdychał wonną parę. Czuł palącą tęsknotę za wszystkim, co kiedyś odrzucił, z góry skazał na niebyt. Widział przed sobą twarz aktorki, sobowtóra Nury. Ta twarz niepokoiła go i uspokajała zarazem, i ten spokój był czymś, czego dawno już nie zaznał. Chciał wnikać w tę twarz, znaleźć w niej coś, co – odkryte – dałoby mu być może siłę do dalszego życia. Był to winien córce, swej najwierniejszej towarzyszce, sojuszniczce, jedynej istocie, która potrafiła czytać w nim jak w książce.

Miał teraz taką pozycję, że nie potrzebował wsparcia ustaw, prokuratorów, adwokatów, sędziów ani świadków. Sam mógł ustanawiać sprawiedliwość. Wszystko, co wtedy stracił, miał teraz w ręku. Patrząc dziś na życie, widział, jaki był naiwny ze swoją wiarą w sprawiedliwość. Życie albo to, co z niego pozostało, kiedy tamtego ranka wyszedł z szopy w oślepiające słońce i krystaliczne górskie powietrze, stało się dla niego o wiele łatwiejsze do zniesienia, kiedy uznał, że moralność jest tylko wytworem cywilizacji, a zasady przyjmowane przez społeczeństwa to jedynie przejaw ludzkiej natury. To założenie pozwoliło mu przeobrazić się z Oseska w Generała, pozwoliło przeprowadzić swoją wolę. Stał się słońcem własnej galaktyki.

W areszcie znalazł coś na kształt spokoju. Świat zewnętrzny nagle ucichł, stracił głos. Dziwne, ale mu to nie doskwierało. Tylko myśli o dziecku, które rosło pod pełnym żalu i rozczarowania sercem Soni, zakłócały monotonię więziennego życia. Próby podporządkowania go sobie przez towarzyszy z celi szybko ukrócił, i znowu się dziwił, jak łatwo, kiedy strach nie pęta ciała, wzbudzić w sobie większą wściekłość i zwierzęcość niż ta, którą objawia przeciwnik, i zająć czołową pozycję w szeregu. Juricz siedział w sąsiedniej celi. Kiedy spotykali się w stołówce, widział jego przerażoną twarz i drżenie rąk. Nie rozmawiali z sobą. Szujewa i Pietruszowa umieszczono w innej części więzienia.

Czasami kiedy leżał w nocy z otwartymi oczami, wyobrażał sobie dzień, w którym wszystko znajdzie swój właściwy koniec i nastąpi coś w rodzaju pokoju. Niekiedy ogarniały go wątpliwości i targał nim chorobliwy niepokój odbierający mu sen. Próbował wtedy opanować wewnętrzne drżenie.

W Rostowie poza więzieniem wojskowym był też lazaret, mieszkało tu wiele wojskowych rodzin, to miasto żyło z armii. Za każdym razem, kiedy jeszcze przed procesem przewożono go do sądu na przesłuchanie, widział po drodze grupy ludzi z transparentami, na których widniało hasło: „Wolność dla bohaterów Rosji!”. Nie nastrojało go to zbyt optymistycznie i zaczynał wątpić, czy w sądzie będzie miał szansę powiedzieć wszystko, co powinien.

A jednak wolał myśleć, że moskiewskiemu prawnikowi uda się powołać go na świadka, bo jego zeznanie byłoby ostateczne i miałyby moc wyroku.

Sonia z coraz bardziej widocznym brzuchem siedziała po drugiej stronie szyby i patrzyła na niego chłodno, bez wyrazu. Nie mogła mu wybaczyć, że on jest w więzieniu, a nie razem z nią w Moskwie, nie mogła pojąć jego walki z wiatrakami, i choć wytrzymywała to wszystko, stawała się coraz bardziej milcząca. Czuło się, że nosi w sobie złość, która ją pęta. Gdyby nie powiększający się brzuch, może uciekłaby tak jak kiedyś, żeby mu udowodnić, że ma rację, że jego walka o jakąś nieistniejącą sprawiedliwość jest pozbawiona sensu. Ale miała tylko siebie i ten brzuch, musiała czekać, aż dziecko przyjdzie na świat, była od niego zależna, była zależna od pieniędzy,

które co miesiąc dawała jej na życie jego matka, i czekała, aż Lidia Nikołajewna wbrew woli syna weźmie ją któregoś dnia do siebie, do świeżo pomalowanego pokoju, w którym będą kolorowe zasłony i dziecięce łóżeczko.

I kiedy Sonia przyciskała brzuch do szklanej przegrody, żeby być bliżej Aleksandra, on walczył z ochotą, by odwołać zeznania, wycofać obciążające wypowiedzi i wyuczone na pamięć kwestie, które zarezerwował dla sędziego i adwokata, jednym słowem – unieważnić swoje zamiary i zgodzić się na to, czego oczekiwała od niego matka jego dziecka.

Lidia Nikołajewna, dzięki hojnemu wsparciu finansowemu brata, wynajęła dla syna adwokata wojskowego, Sasza odmówił jednak korzystania z jego usług. Nie chciał z nim rozmawiać, nie dał mu do ręki żadnych materiałów, które mogłyby świadczyć na korzyść oskarżonych.

Proces zaczął się z początkiem grudnia, miesiąc przed przyjściem na świat dziecka, o czym Aleksander miał się dowiedzieć za kratkami, dziecka, którego nie mógł dotknąć i którego pierwszego krzyku miał nie usłyszeć. Sprawa toczyła się lepiej, niż mógł się spodziewać, co było głównie zasługą owego adwokata wojskowego. Człowiek ten niedługo miał przejść na emeryturę i nie miał nic do stracenia – mógł używać wszelkich sposobów, by bronić swego klienta.

Choć płynące z góry instrukcje były jednoznaczne i mówiły, że proces ma oczyścić z podejrzeń Szujewa i jego podwładnych, i mimo że prokurator, który z definicji powinien stać na straży praw zapisanych w konstytucji, posunął się tak daleko, że odwrócił swoją rolę i nie występował jako przedstawiciel strony oskarżającej, w interesie strony poszkodowanej, lecz w interesie oskarżonych, udało się Pasternakowi powołać na świadków kilka osób, które mogły spowodować niebezpieczny dla oskarżonych zwrot w procesie. W pierwszych tygodniach procesu przedłożono dwie różne ekspertyzy psychologiczno-psychiatryczne dotyczące pułkownika Szujewa i oficera Pietruszowa. Według drugiej z nich, wystawionej w lazarecie północnokaukaskiego okręgu wojskowego, pułkownik Szujew miał cierpieć

na „organiczne zaburzenia osobowości i zachowania”. Pietruszow, którego w pierwszej ekspertyzie uznano za „poczytalnego, posiadającego orientację w różnych sprawach i zdolnego do nawiązywania kontaktów”, w drugiej został oceniony jako człowiek mający problem z uzależnieniem i w chwili popełnienia czynu przestępczego działający w „traumatycznym afekcie”. Juriczem i Aleksandrem w tym momencie procesu nikt się specjalnie nie interesował, na razie byli traktowani jako postacie drugorzędne, wykonawcy poleceń przełożonych.

W sali sądowej Aleksander, który siedział za kratą między dwoma strażnikami, szukał wzroku adwokata Pasternaka, ale ten wyraźnie unikał patrzenia w jego stronę, nie zamierzał dać zajrzeć sobie w karty. Aleksandrowi pozostawała jedynie nadzieja, że Pasternakowi uda się podczas rozprawy przejąć stery.

Wkrótce rozeszła się wieść, że wezwanie do stawienia się przed sądem dowódcy okręgu, tego, który podczas rozmowy telefonicznej z Aleksandrem potraktował go z nieukrywana niechęcią, zostało cofnięte bez uzasadnienia.

Sąd zażądał trzeciej ekspertyzy. Dwie dotychczasowe nie stawiały Szujewa ani Pietruszowa w szczególnie dobrym świetle, co najwyższym czynnikiem nie mogło się podobać, ponieważ znaczyło, że w armii rosyjskiej służą osobnicy z wrodzonymi zaburzeniami psychicznymi, uzależnieni od narkotyków i że tacy ludzie dowodzą setkami żołnierzy oraz odpowiadają za broń i ciężką artylerię. Trzecia ekspertyza miała przyjść z Moskwy, z osławionego Instytutu Psychiatrii Społecznej i Sądowej, w którym w czasach komunistycznych wydawano opinie na temat politycznie aktywnych dysydentów uznające ich za osoby chore psychicznie, dające podstawę do zamykania ich w szpitalach psychiatrycznych. Tym razem instytut wydał opinię, według której obaj główni oskarżeni w chwili popełniania czynu mieli ograniczoną poczytalność, a sam czyn był bezpośrednią reakcją na postawę Nury Giełajewej, jej obraźliwe słowa pod ich adresem, agresję oraz odmowę udzielania odpowiedzi. Według lekarzy specjalistów z moskiewskiego instytutu zachowanie Nury Giełajewej miało

wywołać w oskarżonych przejściowe zaburzenia psychiczne i w tamtym momencie nie mogli oni kierować swoim postępowaniem.

Podczas odczytywania treści tej ekspertyzy Aleksander poczuł się słabo, został wyprowadzony przez strażników z sali sądowej i zwymiotował.

Najbardziej brutalny aspekt sprawy – gwałt – został przez sąd pominięty. Chociaż przedłożone dwie opinie lekarzy sądowych badających obrażenia denatki nie pozostawiały żadnych wątpliwości co do charakteru popełnionego przestępstwa, prokurator zażądał w tej sprawie trzeciego orzeczenia. W trzeciej ekspertyzie zmieniono „krwawe wylewy świadczące jednoznacznie o zmuszaniu do czynności seksualnych” na „obecność śladów krwi w obrębie zewnętrznych genitaliów”, co wskazywało na zbezczeszczenie zwłok dokonane pośmiertnie. Znamienne, że specjalista wydający to orzeczenie nie pobrał do zbadania tkanek, a bez tego gwałt był nie do udowodnienia. Sąd podał do protokołu: „Nie ma podstaw do przypuszczenia, że pośmiertne uszkodzenia ciała pochodzą od jednego lub kilku mężczyzn. Wyniki badań zwłok przeprowadzonych przez lekarzy specjalistów sądowych nie dostarczają dowodów na to, że Nura Giełajewa została jednokrotnie lub kilkakrotnie zgwałcona”.

Sąd oddalił sprawę gwałtu. W chwili odczytywania przez sędziego tej decyzji obecny na sali adwokat Stanisław Pasternak, ocierając z czoła kroplisty pot, rzucił głośne przekleństwo.

Następnego dnia na widzenie przyjechała matka Aleksandra. Przyjął ją z apatią, za to ona była w euforii i promieniała radością.

– We wtorek zostałeś ojcem. Masz córkę! – oznajmiła.

Aleksander poczuł ciepło, które rozlało się w jego wnętrzu, rozkleiło go. Zaczął drzeć mu podbródek.

– Jak ona się ma? Jak się czuje Sonia?

– Obie czują się dobrze. To był normalny poród, bez komplikacji. Byłyśmy u niej, ja i siostra Soni. Mała jest zdrowa jak rydz i prześliczna.

Poślę ci jej fotografię, jak tylko wrócę do Moskwy i wywołam zdjęcia.

– Jak się będzie nazywać?

– Tak jak podobno chciałeś: Ada.

Milczał, tylko łyzy zaczęły spływać mu po policzkach. Nie próbował ich ocierać. W głosie matki wyczuł lekki wyrzut, że wnuczka nie będzie nosić jej imienia, ale nie zamierzał się tłumaczyć. Nauczył się tworzyć mur między sobą a matką.

Podczas wieczornego spaceru zatrzymał się w rogu podwórza i przeczytał karteczkę, którą wetknął mu w dłoń jeden ze strażników.

Wszelkimi sposobami próbują pana nie dopuścić do głosu w procesie, ale ja dotrzymam obietnicy. Wystąpi pan przed sądem i opowie, co musi opowiedzieć.

Zmiał karteczkę i włożył ją do ust.

Dwa dni później, podczas wydawania śniadania, podszedł do niego wysoki, szczupły mężczyzna o ptasiej głowie, z rozwichrzonymi włosami, sprawiający wrażenie oryginała. Aleksander nigdy wcześniej go nie widział. Właśnie nakładał sobie na talerz kaszę gryczaną, kiedy nieznajomy nachylił się nad nim i szybko wyszeptał:

– Dziś w nocy naślą kogoś na ciebie. Chcą się ciebie pozbyć. Niektóre typy mają ochotę na niezły szmal za twoją głowę. Miej się na baczności. Później na podwórzu dam ci nóż. A potem musisz radzić sobie sam.

Nie czekając na jego reakcję, mężczyzna oddalił się z pełnym talerzem i usiadł sam przy najbardziej oddalonym stole.

W pierwszym momencie Aleksandra zmroziło. Nie wiedział, co ma myśleć. Ta otrzymana w przelocie informacja wstrząsnęła nim. Przemknęło mu przez głowę, że nie powinien brać tego noża, tylko poddać się losowi, poddać się Pietruszowom i Szujewom tego świata, lecz po chwili jego myśli powędrowały do maleńkiej istoty o imieniu Ada, jego córki, która teraz tysiąc kilometrów stąd leży pewnie przy piersi matki. I wtedy zrozumiał, że nigdy

nikomu ani niczemu się nie podda.

Kto wystawił go na odstrzał? Kto płacił za jego głowę? Szujew i Pietruszow? A może ktoś jeszcze ważniejszy, komu jego zeznania mogły pokrzyżować plany? Odpowiedź na pytanie „kto” nie była tu ważna, oni wszyscy na pewno trzymali sztamę. Ale dlaczego pomógł mu ten obcy? Kim w ogóle był i dlaczego siedział w więzieniu?

Zaczął wsłuchiwać się w siebie, czy nie ogarnia go strach, ale w ogóle go nie czuł. Jakby jego ciało odoczyło się bać. Spokojnie oczekiwał nadejścia nocy.

Na spacerunku dostrzegł człowieka o ptasim wyglądzie w kącie dla palaczy. Podszedł do niego, zaczęli razem okrążyć podwórze.

– Czemu mi pomagasz? – spytał go szeptem Aleksander w trakcie trzeciego okrążenia.

– Zdaje mi się, że nie jest z ciebie zły facet.

– Dlaczego tu trafiłeś?

– Z powodu pieniędzy w czasie wojny. Pochodzę z Ukrainy, zadarłem z kilkoma niespecjalnie miłymi ważniakami i musiałem zniknąć. Zostałem żołnierzem kontraktowym, ale zdarzyło się kilka nieczystych, bardzo nieczystych spraw i to mi nie pasowało. Sprąłem wtedy kilku z naszej jednostki, tak że trafili do szpitala.

Zamilkł, ale to, co mógł mieć na myśli, mówiąc o „nieczystych sprawach”, Aleksander potrafił sobie wyobrazić jasno i plastycznie.

– Jak się nazywasz?

– Szapiro.

– A imię?

– Po prostu Szapiro.

– Jak mogę ci się odwdzięczyć, Szapiro?

– Nie musisz mi się odwdzięczać. Podczas ostatniego okrążenia weźmiesz ten nóż i schowasz do majtek. Najlepiej ukryj go między pośladkami. A kiedy już go użyjesz, wyrzucisz do sedesu. Nie mogą go znaleźć.

Był to niewielki fiński nóż, taki jaki Alosza trzymał zawsze pod poduszką. Aloszy lepiej się zasypiało z nożem, choć jego sny, jak przyznawał ze śmiechem, stały się przez to bardziej agresywne. Śmiech Aloszy wrócił teraz do Aleksandra – słyszał swego martwego przyjaciela tak wyraźnie, jakby tamten obok niego stał.

Aleksander wsunął nóż pod poduszkę i czekał. Około czwartej nad ranem doszedł go szmer. Drzwi celi się otwały, ktoś wszedł do środka, usłyszał szept. Nie otwierał jeszcze oczu, nadal udawał, że śpi. A więc strażnicy też musieli być w to wciągnięci. Spodziewał się, że zaatakuje go któryś z towarzyszy z celi, ale żaden nie był widocznie na tyle odważny. Uchylił powieki i zobaczył, że ten, który wszedł, to wytatuowany bandzior oskarżony o cztery morderstwa. Królował zawsze w więziennej stołówce.

Aleksander szybko włożył rękę pod poduszkę. Kiedy poczuł na swojej twarzy gorący oddech tamtego, błyskawicznie wy dobył nóż i z całej siły wbił w jego udo. Bandzior wrzasnął z bólu, lecz mimo wszystko chciał dopaść Aleksandra, lecz ten skoczył na równe nogi, zrobił unik i znowu dźgnął napastnika nożem, tym razem w okolicę pachwiny. Bandzior ryknął, zaklął głośno i osunął się na kolana. W tej samej chwili Aleksander poczuł, że kompan z górnej pryczy wyciągnął ręce, żeby zacisnąć mu je na szyi, więc zamierzył się nożem po raz trzeci i trafił. Ciepła krew trysnęła mu na twarz i usłyszał nad sobą histeryczny krzyk dwudziestotrzylatka, w typie służalca, który trafił za kratki za kontrabandę, a w więzieniu ciągle był zajęty zapewnianiem sobie bezpieczeństwa. Na korytarzu zapaliło się światło. Wytatuowany bandzior czmychnął.

Tak jak radził Szapiro, Aleksander wrzucił nóż do klozetu i czekał, aż zniknie w brunatnej czeluści.

Następnego dnia trafił za karę do izolatki.

Odcięty od światła i odgłosów życia zaczął mieć halucynacje. Chwilami widział przed sobą Sonię, która ufnie niczym kotka przytula się do jego kolan. Potem Sonia zamieniała się w roześmianą Nurę przynoszącą mu pozbawione głów martwe kury. Bywało, że widział koło siebie Aloszę, który opowiadał mu coś o coq au vin albo tylko stał bez słowa, obracając w rękę kostkę Rubika. A niekiedy zdawało mu się, że trzyma na ręku niemowlę, nachyla się nad nim i nie widzi jego twarzy, bo albo jest zasłonięta, albo zwrócona w inną stronę, i w końcu zaczynał krzyczeć, przerażony widokiem dziecka bez twarzy.

Kiedy już kompletnie stracił poczucie czasu, wypuszczono go z izolatki. Na spacerunku spotkał Szapiro.

– Dobrze, że cię nie zakatrupili – powiedział Szapiro na jego widok, krzywiąc twarz w grymasie życzliwości. – Szybko tego nie powtórzą. Ale na twoim miejscu wolałbym nie zostawać tu dłużej, niż to konieczne. Na pewno spróbują po raz drugi i lepiej się do tego przygotowują. Wierz mi. Komuś tam na zewnątrz bardzo zależy, żebyś nie wyszedł stąd żywy. A właściwie dlaczego tak komuś zawadzasz?

- Nie chcę, żebym złożył zeznania.
- A masz taki zamiar?
- Tak.
- Powinieneś postarać się o przeniesienie.
- Nie sądzę, żebym gdzie indziej był bezpieczniejszy.

Szapiro rzucił mu krzywy uśmiech i przyspieszył kroku. Aleksander go dogonił.

- Hej, dzięki, uratowałeś mi życie.
- Nie dziękuj... Zostaw mnie samego.
- Mam nadzieję, że kiedyś się zrewanżuję...
- Dobra już, kończmy tę rozmowę.

Szapiro stał się w tamtym czasie jego jedynym oparciem – to dzięki jego wskazówkom i informacjom Aleksander przetrwał.

Historię Szapiry udało mu się odtworzyć o wiele później. Jeśli istniało coś, czego Szapiro nie znosił, było to mówienie o sobie – w jego odczuciu uciążliwość i zupełnie zbyteczna umiejętność. Historia Szapiry była taka: chcąc wyciągnąć brata z kryminalnego bagna w rodzinnej Odessie, sam w nie wpadł, lecz podczas gdy jego brata zniszczyły narkotyki i alkohol, Szapiro wykazał nadzwyczajny talent do robienia przekrętów. W czasach pieriestrojki, sprzyjających rozkwitowi świata kryminalnego, kontrolował nielegalne walki bokserskie oraz otwierane masowo salony gier, czerpiąc z tego wielkie zyski. Po jakimś czasie został zaufanym człowiekiem i prawą ręką tamtejszego króla gangsterów i byłby długo pełnił tę funkcję, gdyby pewnego dnia nie stwierdził, że jego pan i jego świta „posunęli się za daleko”. Po kilku nieprzyjemnych konfrontacjach nie pozostało mu nic innego, jak opuścić miasto i kraj.

Aleksander był nim zafascynowany. Szapiro pomógł mu przetrwać czas więzienia i nie łamać jego niepisanych praw. Choć nie rozmawiali z sobą zbyt często, ich widoczna dla innych wzajemna sympatia sprawiła, że więźniowie omijali obydwu szerokim łukiem.

W końcu lutego w jadalni do Aleksandra przysiadł się Zając. Przestraszony jak zawsze, powłóczył nogami jak stary człowiek i jękał się bardziej niż zwykle.

– Muszę cię o coś prosić. Przemysł jeszcze raz sprawę składania zeznań – wydukał, nie patrząc na Aleksandra, lecz w swój talerz.

– Tu nie ma nic do przemyślenia.

– Ale...

– Przekaż im, że będę zeznawał i każda próba powstrzymania mnie od tego jeszcze bardziej mnie utwierdzi w tej decyzji.

Aleksander podniósł się, poklepał Zająca po ramieniu i odniósł swój talerz

na wózek z brudnymi naczyniami.

Dwa tygodnie później adwokat doniósł Aleksandrowi, że Stanisław Pasternak został zastrzelony na parkingu przed barem. Morderca wpakował w niego trzy kule. Pasternak zamierzał się tam spotkać z pewnym mężczyzną, który miał być informatorem Szujewa i który zdecydował się wystąpić w procesie jako świadek. Z tego, co ów mężczyzna mówił prywatnie, wynikało, że nigdy nie przekazywał Szujewowi żadnych informacji na temat Nury Giełajewej i nigdy nie posądzał dziewczyny o przynależność do jakiejś zbrojnej formacji. Zeznania takiej treści miał złożyć za kilka dni.

Aleksander zrozumiał, że jest na straconej pozycji. Nie żył jedyny sprzymierzeniec, z którym mógłby osiągnąć w tym procesie swój cel.

Nazajutrz na widzenie przyjechała Sonia z córeczką. Siedziała za brudną szybą naprzeciw niego i unosiła w górę małe zawiniątko. Aleksander z wrażenia przestał oddychać. Poprzedniej nocy nie zmrużył oka i teraz wszystko go bolało, powieki miał ciężkie jak ołów, ale ta drobinka w ramionach Soni po drugiej stronie szyby sprawiła, że nagle urosły mu skrzydła. Poczł się lekki, jakby pozbył się wszystkich zagrożeń, i zrozumiał, że niczego nie pragnie tak, jak być ze swoją córką.

– Muszę poszukać pracy – powiedziała Sonia.

– Co się stało?!

– Twój wuj wyleciał ze stanowiska. Już nam nie może pomagać.

– Jak to?!

– Nie mógł się porozumieć z nowym szefem.

– Ale to niemożliwe, żebyś teraz zaczęła pracować. Ona – wskazał na niemowlę – jest przecież taka małańka, potrzebuje cię.

– Powinieneś o tym wszystkim pomyśleć, zanim wdepnąłeś w to bagno – syknęła Sonia.

– Soniu, dlaczego tak mówisz? To nie jesteś ty. Ty nie jesteś taka...

– Właśnie, że jestem! Wszystko jedno, nie będę z tobą dyskutować. Chciałam tylko, żebyś zobaczył swoje dziecko. Nie wiem, kiedy znowu przyjadę, przyjazd tutaj to też są przecież koszty.

– Soniu, obiecuję ci, że coś wymyślę!

– Ty? Siedząc tutaj?

– Opowiedz mi, jaka ona jest...

– Płacze i chce być ciągle przy piersi, noce mnie wykańczają. Szczerze mówiąc, nie wiem, jak sama temu podołam.

Sonia drżała, była kłębkim nerwów. Aleksander widział, że niewiele brakuje, by się załamała.

Kiedy widzenie się skończyło, poprosił, by przyszedł do niego jego adwokat.

– Proszę przekazać Pietruszowowi, że przyjmuję jego propozycję. Jest jednak pewien warunek, który niezbyt go ucieszy: ma mi oddać swoje stanowisko, nie mam zamiaru mu podlegać. Proszę mu to przekazać słowo w słowo, on zrozumie. Żeby było jasne: zrezygnuję ze złożenia zeznań tylko wtedy, gdy Pietruszow zgodzi się na moje warunki.

– Rozsądny chłopak. Wreszcie się opamiętałeś! – powiedział adwokat z wyraźną ulgą i wyciągnął do Aleksandra rękę.

Ten jednak zignorował jego gest.

Tego dnia postanowił odciąć się od wszystkiego, co go łączyło z przeszłością, odrzucić to, co kiedyś było dla niego święte. I pójść dalej niż inni.

Jeśli było możliwe, że tamci zrobili to, co zrobili, jeśli było możliwe, że on zrobił to, co zrobił, i nikt im w tym nie przeszkodził, jeśli było możliwe, że Alosza tak po prostu nacisnął spust i że ściskano gardło Nury tak długo, aż uszedł z niej ostatni dech, jeśli było możliwe, że oni byli panami życia i śmierci i nie ponieśli za to żadnej kary, jeśli było można w jednej sekundzie

przestać być człowiekiem, zrzucić z siebie człowieczeństwo jak stary płaszcz, to człowieczeństwo nie jest nic warte. Człowiek, który dążył do prawdy, został podstępnie zastrzelony na parkingu trzema kulami z pistoletu, więc w obliczu tego faktu każda próba przestrzegania w życiu zasad moralnych jest śmieszna. Wszystkie działania, jakie podejmował dotąd w swoim życiu przekonany, że tak trzeba, były stratą czasu. W świecie, w którym stoi się przed wyborem, czy stać się mordercą, czy wpakować sobie kulę w łeb, w świecie, w którym się gwałci, bo nadarza się okazja, słowa „tak trzeba” nie mają racji bytu. Pozostaje tylko jedno: dążenie do władzy. Władzy, która nie zna ani litości, ani współczucia, jest celem samym w sobie.

Teraz istniała już tylko jedna droga, która prowadziła w jednym kierunku, w fałszywym kierunku, ale w tym świecie tylko ten kierunek wydawał się możliwy.

2016/KOTKA

Wszystko, co miała, było spakowane, mieszkanie uprzątnięte i puste. Pościel i kilka sztuk mebli, które jeszcze pozostały, zsunęła na środek pokoju i teraz malowała ściany na biało. Od kilku dni nie opuszczała mieszkania, wychodziła tylko do chińskiego baru za rogiem, żeby coś przekąsić i kupić papierosy. Ale poza tym nie brakowało jej niczego. Miała też wrażenie, że nie jest sama. Zamordowana dziewczyna towarzyszyła jej w myślach dniem, nocą i w snach, które układały się niemal w odcinki filmu. W ostatnim tygodniu zadzwoniła do niej Vera, usilnie namawiając ją do udziału w drugiej rundzie castingu. Na placu boju pozostało jeszcze trzydzieści kandydatek i ruchliwa, zadziorna agentka zagroziła, że ją zabije, jeśli Kotka nie posłucha i nie stawi się na przesłuchaniu.

Kotka wytłumaczyła jury castingu, że jej ciemny kolor włosów wynika z potrzeb nowej roli, jaką gra w teatrze. I kiedy prezentowała przed kamerą przygotowany tekst, myślała o Nurze, mówiła i poruszała się tak, jakby grała Nurę. Dało jej to nieoczekiwaną radość i z łatwością otwarła się w tym nieinspirującym otoczeniu, pokazując swoje możliwości bez tremy i strachu, że przekracza granicę śmieszności. Wcielając się w wyobraźni w Nurę, czuła się chroniona i pewna siebie.

Vera wydawała się zadowolona i wreszcie dała jej spokój. „Najpóźniej za trzy tygodnie podadzą obsadę do wiadomości” – poinformowała przez telefon ze swoją charakterystyczną chrypką w głosie.

Noce mijały jak przelatujące stada ptaków. Tęsknota Kotki za R. była tak ogromna, że wymagała osobnej nazwy, osobnego słowa. Dziesięć razy trzymała już telefon w ręce, walcząc z pokusą wybrania jego numeru, co byłoby wołaniem o pomoc. Najchętniej krzyknęłaby do słuchawki, że za chwilę wysiadzie z własnego życia jak z pociągu, który zmierza w złym

kierunku. Niewiele brakowało, a zwierzyłaby mu się, że wplątała się w pewną historię i teraz zmarła dziewczyna kieruje jej życiem. Ale jednak nie zadzwoniła. Telefon do niego niczego by nie zmienił.

Kuchnię też pomalowała na biało, zamalowała wszystkie swoje ślady. Jakby nigdy jej tu nie było. To uczucie nie było wcale przygnębiające, przeciwnie, miało w sobie coś wyzwalającego. Dobijała ją tylko myśl, że wkrótce znajdzie się na ulicy ze swymi kartonami. Ale nie potrafiła się przemóc, by poszukać nowego lokum. Wyobrażenie, że idzie do wydziału spraw lokalowych i prowadzi jakieś idiotyczne rozmowy albo że czeka w kolejce z innymi, którzy też starają się o mieszkanie, napełniało ją wstrętem.

Siedziała na podłodze w kuchni oświetlonej świeczkami do podgrzewacza. Rozejrzała się po niej, poczuła zadowolenie.

– Dobrze to zrobiliśmy – powiedziała głośno i aż się przestraszyła. Powiedziała „my”. Czy tak się zaczyna szaleństwo? Ale miała, jak rzadko w swym życiu, wewnętrzną jasność i rzeczową ocenę sytuacji. Widziała wszystko wokół siebie z niemal przesadną wyrazistością.

Czego chciała od niej zmarła dziewczyna? Dlaczego zadomowiła się w jej głowie? Czy wiedziała, że Kotka musi odgrywać losy innych postaci i może podarować jej życie, skoro tak wcześnie została obrabowana z własnego?

Kotka przebrała się i poszła w nocne miasto. Musiała wyjść z domu. Oślepiająca biel ścian pozbawiała ją resztek rozsądku. Znalazła bar na pobliskiej ulicy, do którego wcześniej nigdy nie zaglądała, bo zawsze było w nim pełno turystów, wypila kieliszek wódki, porozmawiała chwilę z jakimś Hiszpanem na temat komunikacji w Berlinie i znowu wyszła w noc. Wypiła na ławce letnie piwo z puszki kupione w kiosku. Potem wsiadła na rower i pojechała przed siebie.

Przyszedł jej na myśl Orłow. Sprawiał wrażenie kogoś, kto chce coś uporządkować. Nagle pomyślała o swoich kartonach. Czy ona nie robi tego samego? On chciał spalić za sobą wszystkie mosty, ona chciała zacząć od

nowa. Czy rzeczywiście to robiła? Czy nie wycofywała się ze swego życia?

Czy to Orłow był mordercą? Może zgwałcił tę dziewczynę, a potem ją zabił? A może przyglądał się, jak robili to inni? Próbował jej bronić, mocował się z innymi czy stał bezczynnie, założywszy, że dziewczyna i tak nie przetrwa nocy?

Ciągle nie wiedziała, czy może wierzyć Onnowi. Trudno go było rozgryźć. Był wprawdzie uważny i gotów do pomocy, ale interesował go własny cel, jasno to widziała. Jego ambicje zawodowe uważała za nieprzyjemne, trudne do zniesienia. Miała też wątpliwości, czy ta rzekomo sensacyjna historia, którą tropił, rzeczywiście zaowocuje godnym uwagi artykułem albo książką obnażającą jakieś tajemnice. Co zamierzał?

Z drugiej strony był jedynym człowiekiem, z którym od wielu tygodni utrzymywała kontakt. Był jej kompasem. Dostarczał wielu informacji, regularnie do niej pisał.

Zdawało jej się, że pieniądze w białej kopercie drżą w jej torebce. Do tej pory ich nie tknęła, ale od kilku tygodni nie dorabiała już jako przewodniczka po mieście, a *Antygonę* jej teatr przestał na razie grać, więc niedługo będzie musiała po nie sięgnąć. Nie wiedziała, kiedy opuścił ją strach, który do tej pory był jej nieustannym towarzyszem, strach, jak finansowo poradzi sobie w życiu.

A te pieniądze, tę masę pieniędzy, której tak bezczelnie zażądała i które bez długich ceregieli jej obiecano, wręczy matce, by ją wybawić z długów. Babci Sesilii kupi bilet na samolot. A może nawet sama z nią polecą. Jednak babcia powiedziała „ale” – najwyraźniej pragnienie powrotu do Tbilisi przestało być dla niej oczywiste. Czy więc Kotka w ogóle polecą i zaczną żyć dalej, od miejsca, w którym przerwała, gdy wysiadła z lady 07? Czy będzie żyć w domu na ulicy Srebrnej, z suszącą się na podwórzu na sznurkach bielizną i bawiącymi się dziećmi, z cichą biedą mieszkańców na zmurszałych balkonach, z wodą kapiącą nieustannie z zepsutego podwórkowego kranu, gdzie czuć spaliny samochodów, wśród pobliskich kolorowych kafejek

z turystami?

Ogarnęła ją pokusa, by podjechać pod elegancki dom z wielką drewnianą bramą, zadzwonić i nie musieć nawet mówić „to ja” przez domofon, bo R. poznałby ją po oddechu, popędzić schodami na górę i dać mu się porwać w noc bez wspomnień i bez jutra, w teraz, które przesłoni wszystko, co było do tej pory. Na kilka godzin zapomniaby może o zamordowanej dziewczynie. Ale czy tego chce?

Zatrzymała się, zeszła z roweru i prowadziła go.

Czy zostawiła u R. część samej siebie? I czy to rozstanie na raty było rozstaniem bez daty ważności?

Rozejrzała się i zobaczyła, że jest w pobliżu restauracji, w której pracowała matka. Spojrzała na zegarek. Właśnie minęła jedenasta. Matka niedługo skończy. Wsiadła na rower i pojechała w tamtą stronę.

W Kaukazie było pełno. Kelnerki nosiły tu białe bluzki i czarne spódniczki. Ten strój zawsze Kotkę irytował. Matka miała szczególne względy u właściciela, Azerbejdżanina, mogła ustalać dość dowolnie godziny swej pracy, mogła później przychodzić albo wcześniej wychodzić, a jeśli jakiś klient z Ukrainy robił się po kilku wódkach zbyt nachalny, mogła bez konsekwencji chlusnąć na niego szklanką zimnej wody.

Teraz Tina stała przy stoliku, przy którym siedziały kobiety w minispódniczkach i mężczyźni w dresach. Trwała ożywiona rozmowa, co chwila sobie przerywano, wpadano w słowo, rozlegały się idiotyczne chichoty, towarzystwo było najwyraźniej po alkoholu.

Kotka usiadła przy dwuosobowym stoliku w kącie. Tina zauważyła ją dopiero po kilku minutach. Na jej twarzy pojawiło się najpierw zaniepokojenie, potem rozjaśniła ją radość. Pomachała córce z przesadnym entuzjazmem, dając znak, że zaraz do niej podejdzie.

– Co tu robisz?! – Ucałowała ją głośno w policzek i zmierzwiła jej włosy nad czołem. – Co za niespodzianka! Jesteś głodna?

- Nie. Ale wypiłabym małą wódkę.
 - Wódkę? Coś się stało?
 - Nie, nic. Napijesz się ze mną?
 - Jestem jeszcze w pracy.
 - Powiedz, że na dzisiaj już kończysz. Dawno z tobą nie rozmawiałam. Byłoby miło, gdybyś ze mną usiadła.
 - W domu czeka na mnie góra roboty...
 - Mamo!
 - Dobrze, zobaczę, czy na chwilę będę mogła się do ciebie przysiąść. Może pójdziesz potem ze mną do nas? Babcia się ucieszy. I Natalia.
 - Chciałam posiedzieć z tobą.
 - Jakoś mi się nie podobasz. Co jest? No, mówże!
 - Co porabia twój nowy wybranek? Dobrze się sprawuje?
 - Szuka zajęcia. Za miesiąc się tu sprowadzi, większość czasu i tak spędza w Berlinie. Nie chcemy związku na odległość. Jest kochany, dla mnie i dla wszystkich. O Nika też się czule troszczy.
 - Coś w końcu musi robić.
 - Zdaje mi się, że nie skarżyłam ci się na niego, prawda? Poza tym przychodzi tu po mnie co wieczór, żebym nie wracała sama. Prawdziwy dżentelmen, nie uważasz? – Uśmiechnęła się jak szesnastolatka.
 - Przepraszam. Nie wiem, co się ze mną dzieje.
 - Poczekaj chwilę. Poproszę Nastię, żeby wzięła moje stoliki. Wypijemy po jednym.
- Tina oddaliła się tanecznym krokiem i znikła w głębi lokalu. Była szybka, pracowała dobrze, zawsze miała świetny humor i z jej twarzy nigdy nie znikał miły uśmiech.

Po kwadransie wróciła z małą karafką wódki i dwoma kieliszkami. Z westchnieniem opadła na krzesło, rozprostowując kości.

– Sprowadziliśmy tę wódkę z Polski, podobno jest znakomita. Chętnie się napiję – powiedziała i znowu się uśmiechnęła.

Kotka naląła wódki do kieliszków i uniosła swój.

– Za ciebie! Tyle dla nas wszystkich robisz. Na zdrowie!

Powiedziała to po gruzińsku i uśmiechnęła się półgębkiem. Tinę to zaskoczyło.

– Dzięki, Kotko, dzięki. Cieszę się, że przyszedłaś! Tak rzadko się widzimy! Nawet Rusiko widzę częściej niż ciebie.

– Rusiko najchętniej by się do ciebie wprowadziła i od rana do wieczora analizowała twoje życie.

– Nie bądź tak uszczypliwa.

– Nie jestem. Chciałabym ci coś powiedzieć.

– No, zaczynasz mnie zaciekawiać. Masz nowego przyjaciela?

– Nie.

– Nie jesteś chyba w ciąży?!

– Mamo!

– Uff, odetchnęłam. Myślę, że powinnaś wreszcie... a potem od razu troje dzieci, ale tylko wtedy, kiedy wszystko będzie się zgadzać, nie tak jak z twoją siostrą... Zawsze chciałam mieć troje dzieci, no, ale czasy wtedy...

– Pod koniec roku Sesilia będzie mogła pojechać do domu.

– Jak to?

– Właśnie dostałam fantastyczny angaż. Będziemy mogły spłacić długi.

– Co to za angaż?

– Taki film, reklama w szerokim sensie. I fajnie byłoby, gdybyśmy

wszystkie pojechały z babcią do Tbilisi. Żeby ją odwiedzić.

– Ale to cholernie dużo forsy!

– Wiem. To, w czym mam zagrać, to rodzaj takiej komercyjnej bzdury.

– Czy ty wiesz, co robisz?!

– Pojechałybyśmy wszystkie razem. I zostałybyśmy na trochę. Już dawno tam nie byliśmy.

– Czekaj, czekaj, czekaj...

– Twoje zdrowie!

– Kotko, martwię się o ciebie. Dziwne jest to wszystko, co mówisz. Tak nagle się pojawiłaś... Coś mi się w tym nie podoba!

– Nie zamartwiaj się. Spłacimy ten cholerny dług i zaczniemy od początku, okej? Musisz mi obiecać, że też się postarasz. Że będziesz robiła to, co zawsze chciałaś robić. Natalia się wyprowadzi. Mały pójdzie do przedszkola i... – Zabrakło jej tchu, jakby biegła z daleka, żeby to wszystko powiedzieć.

– Ale przecież nie dostaniesz czterdziestu dwóch tysięcy euro za udział w jakimś filmiku!

– Powiedziałam ci, że to coś specjalnego.

– Sesili!

– Proszę, powiedz po prostu „tak”.

– Babcia nie wróci już do domu.

– Jak to?!

– Nie da tam sobie rady sama. Poza tym zżyłyśmy się, dobrze nam tu razem, to jej wrócenie z fusów też idzie nieźle, a długi... Wiesz, ja po trochu wszystko spłacę. Ej, wolniej, wolniej, za szybko pijesz!

– Pojedziemy tam!

– Już dobrze, Kotko. Za bardzo się o nas martwisz, a nam układa się nieźle. W każdym razie lepiej niż dawniej.

– Ale ty mogłabyś w końcu wynająć atelier, a babcia przez cały czas, przez wszystkie te miesiące chciała przecież...

– Sytuacja się zmieniła. I Pako też mi pomaga, gdy trzeba.

– Ale...

– Nie, naprawdę się nie kłopotz. A Natalia... Przecież nas znasz. Cieszę się, że Natalia jest u nas z małym. A co babcia robiłaby sama w Tbilisi? Ilo jest przecież w Grecji.

– Nie wierzysz chyba, że długo tam jeszcze zostanie.

– Kotko, należysz do ludzi, którzy ze wszystkim mają jakiś problem. My nie mamy problemów. Zatrósz się o siebie, skup się na swojej pracy, na swoim prywatnym życiu. Jesteś sama i za dużo o wszystkim myślisz. A Natalia... Rozumiem, że to wszystko robisz z miłości, ale nacisk, nacisk nie jest tu dobry... Natalia potrzebuje czasu. Kiedyś przestanie chować się przed światem i zacznie robić, co będzie uważała za słuszne. Pozwól jej żyć własnym życiem, nawet jeśli tobie takie życie się nie podoba. Bo teraz jest tak, że stoisz pośrodku tego wszystkiego i pałaszujesz się niezdecydowanie w tę i we w tę.

– Myślałam, że się ucieszysz.

– Z czego?

– Że nie będziesz miała długów.

– Kiedyś przestanę je mieć. Jakoś zawsze potrafiłam sobie radzić z problemami na swój własny sposób, znasz mnie, i nie chcę, żebyś robiła to za mnie. Lepiej zrób coś dla siebie. Tylko dla siebie i dla nikogo więcej. Ludzie są różni. Nie wszyscy są tacy jak ty. Nie mogę ze wszystkiego zrezygnować i...

– Ale potrafisz pierwszemu lepszemu idiocie oddać swoją pensję!

– Jeśli nawet, to to jest moja pensja, prawda?

– Przepraszam.

– Nie rozumiem cię. Czego ty naprawdę chcesz? Co chcesz ode mnie usłyszeć?

– Chciałabym po prostu wiedzieć, na co było to wszystko?

– Co wszystko? Wszystko na co?

„Po cośmy przeżyli? Po co wbrew ojcu wykręciłam kierownicę w drugą stronę? Po co mu przeszkodziłam? Dla tego, co zdarzyło się później? Żebyśmy miały dwupokojowe mieszkanie w Berlinie, na Weddingu? Żebyś wpłytywała się w kolejne nieudane związki? Dla jakiegoś podstarzałego żigolaka, którego nazywasz dżentelmenem, bo odprowadza cię po pracy do domu? Żeby Natalia miała dziecko bez ojca? Żeby babcia zarabiała wrózeniem z fusów? Żebym trafiła na historię zamordowanej dziewczyny i stała się jej sobowtórem? Żebyśmy czekały i nazywały to życiem?”

Ale nie powiedziała tego głośno. Patrzyła tępo w kieliszek i niewypowiedziane słowa splukiwała wódką.

– Chciałabym odwiedzić jego grób – oznajmiła naraz cicho, niemal niedosłyszalnie.

– Czyj grób?

– Ojca.

Matka zakaszła nerwowo i opróżniła swój kieliszek.

We wspomnieniach Kotki był to dzień prześwietlony słońcem. Jak na naiwnych rysunkach w pisemkach świadków Jehowy, przedstawiających raj z uśmiechniętymi rodzinami żyjącymi na wielkiej łące, w przyjaźni z lwami i małpami. Ojciec obudził ją i Natalię wczesnym rankiem entuzjastycznymi pocałunkami. Biła od niego euforyczna radość.

– Jedziemy na wycieczkę! Wezmę auto. Pojedziemy nad jezioro Lisi, będziemy się kąpać, urządzimy piknik. Wstawajcie, dziewczynki, pomóżcie

mamie.

Radość ojca była zaraźliwa, wyskoczyły z łóżek i zaczęły w piżamach, pachnąc jeszcze słodkimi snami, pomagać w pakowaniu. Wiklinowy kosz jak z filmów o szczęśliwych rodzinach został napełniony owocami i kanapkami, do tego doszła woda, a dla dorosłych wino, które matka dostała od swego brata i przechowywała na szczególną okazję. W osobnym tłumoczku były związane dawno nieużywane kostiumy kąpielowe dziewczynek, ręczniki i koc w kratkę do rozścielenia na ziemi i do radosnych harców.

Auto stało przed domem przygotowane do wyjazdu – cóż za radość! Tak dawno nim nie jeździli. Najczęściej z braku benzyny, a częściowo też z obawy, że pozostawione na obcym terenie zostanie skradzione, bo w czasach zamętu, jaki nastał, normalni ludzie zamieniali się w złodziei. A ojciec, ojciec przestał być Olbrzymem i znowu był taki jak kiedyś, przed wojną – miał dobry nastrój, szeroko się uśmiechał, mierzwił dziewczynkom włosy, poklepywał je po plecach i pozwalał wierzyć, że dzisiejsza wyprawa nad jezioro będzie czymś niezwykłym.

Podczas zajmowania miejsc w samochodzie między siostrami wybuchła sprzeczka o to, która ma siedzieć z przodu. Popłynęły łzy. Kłótnię zakończyła matka, mówiąc, że najpierw Kotka, a w drodze powrotnej nastąpi zmiana i z przodu usiądzie Natalia. Natalia poszła więc do tyłu, a jej starsza siostra triumfalnie zajęła miejsce obok kierowcy. Szyby zostały opuszczone. Było ciepło, w powietrzu czuło się zapach kurzu. Kiedy zostawili za sobą wieżowce dzielnicy Nutsubidze, powietrze wyraźnie się oczyściło, zapowiadając spotkanie z nieskażoną naturą.

Auto pełzło do góry krętą szosą. Ojciec od czasu do czasu głaskał Kotkę po kolanie i ten gest, dawniej tak naturalny, a potem przez niego zarzucony, był niczym sygnał uzdrowienia albo obietnica, że ciemne chmury się rozproszą, a przed nimi są jasne i szczęśliwe dni. Matka paplała radośnie o rowerze wodnym, który wynajmą, a Natalia dopytywała się ciągle, kiedy będą na miejscu. Kotka, dumna z tego, że siedzi z przodu, marzyła, by ta podróż nie miała końca.

Wkrótce skręcili z głównej szosy na boczną bitą drogę, zakurzoną, wysadzaną po obu stronach intensywnie zielonymi platanami. Mijali tę zieloność, a Kotka próbowała z początku liczyć drzewa, szybko jednak zrezygnowała i skupiła się na zręcznych rękach ojca na kierownicy. Ojciec prowadził auto jakby od niechcienia, z wielką wprawą, zapewne tak, jak kiedyś kroił i zszywał pacjentów. Pomyślała, że gdy dorośnie, chciałaby tak jeździć, z taką gracją i pewnością. Nie rozumiejąc dokładnie, co to znaczy, poczuła, że aby osiąść taką umiejętność, trzeba lubić to, co się robi. W tym momencie kochała to auto, tę kierownicę i ich wszystkich jadących samochodem nad jezioro. Nie wiedziała jeszcze, że miłość w ciągu sekundy może się rozpaść jak zmurszała lina.

Na skrzyżowaniu ojciec skręcił w lewo, w węższą drogę, która prowadziła prosto do jeziora. Kotka czuła już bliskość celu, ogarniała ją radość, że zaraz wskoczą do wody. Droga była wysypana żwirem, który pryskał spod kół. Brzegiem drogi biegł wąski rów.

Nagle Kotka poczuła, że obok niej coś się przewraca. Było to tak, jakby ktoś rozlał szklankę octu i w aucie rozszedł się kwaśny zapach. Nie wiedziała, co to jest, ale kątem oka spojrzała na ojca i pojęła, że coś się stało: ojciec znikł, a wrócił Olbrzym, który ma dwie lewe ręce i nie potrafi zgrabnie prowadzić auta ani kontrolować swojej siły. Matka ani Natalia niczego nie zauważyły, paplały nadal radośnie, ale ona już się spięła, jej ciało było jak stalowa lina. Coś się tu nie zgadzało. Olbrzym dodawał gazu i trzymał kierownicę z taką siłą, jakby ją chciał rozerwać. Kotka spojrzała w lusterko wsteczne, szukając wzroku matki, lecz Tina śmiała się rozbawiona i łaskotała Natalię. Nikt oprócz niej nie dostrzegł jego zamglonego wzroku, jego dłoni i palców ściskających kierownicę jak szpony, jego nieposkromionej siły, jego nieobecności i tego, że miał w głowie zupełnie inne sprawy niż rzeczywistość.

Wstrzymała oddech, a on wcisnął gaz do dechy i skierował samochód prosto na platany rosnące na skraju drogi. Teraz wreszcie zauważyła to również matka i zamarła. Otworzyła usta, ale nie mogła wydobyć z siebie

głosu, siedziała z wytrzeszczonymi z przerażenia oczami, nie mogąc uwierzyć, że to, co widzi, dzieje się naprawdę. Koniec tej historii wydawał się już wiadomy i Kotka czuła, że będzie taki, jakiego Olbrzym w tej chwili pragnął. (W tym momencie dałaby wszystko, żeby się dowiedzieć, czy po prostu zapomniał, że poza nim w aucie jest jeszcze jego rodzina, i czy zdawał sobie sprawę z tego, co robi).

Kotka z jasnością dorosłego pojęła, co się dzieje, poderwała się z siedzenia, obiema rękami chwyciła kierownicę i całą siłą swego drobnego ciała skręciła ją w swoją stronę.

Jak wyrwany ze złego snu ojciec spojrzał na córkę, nie rozumiejąc, co się dzieje, ale nie mocował się z nią, zdjął nogę z gazu i samochód wpadł do rowu, ryjąc w błocie.

Ojciec uderzył twarzą w przednią szybę, bo jako jedyny nie był przypięty pasami, ją wyrzuciło do przodu, ale pozostała na swoim miejscu. Co stało się z mamą i siostrą, jeszcze nie wiedziała.

Ojciec trafił do szpitala z kilkoma ranami ciętymi twarzy, Natalia z dwoma złamaniami – uda i prawej ręki, matka z kilkoma stłuczeniami. Ona poza nielicznymi siniakami i pamiątką na czole – białą plamą u nasady rudych włosów – wyszła z tego bez szwanku.

Kiedy dzieci na podwórku zaczęły nazywać ją Kotką z powodu zręczności, z jaką wdrapywała się na drzewa i mury, nie wiedziały, jak trafny to przydomek. Zrozumiała to tamtego dnia.

Wtedy też po raz ostatni rozmawiała z ojcem.

Dwa lata później, krótko po ich przyjeździe do Niemiec, nocą zadzwonił telefon. Kotka się obudziła. Zobaczyła matkę siedzącą na łóżku, zakrywającą sobie usta ręką i zwijającą się z rozpacz.

Kotka wiedziała, że coś się musiało stać z Olbrzymem, który kiedyś był jej ojcem. Wydawało jej się nawet logiczne, że zakończył życie w wypadku. Tym razem był pijany, siadając za kierownicę, więc założono, że na krętej

szosie z Tskneti do Tbilisi stracił kontrolę nad pojazdem i spadł z autem w przepaść. Ale ona знаła prawdę. Oczami wyobraźni widziała, jak jego wzrok nagle mętnieje, jak cały tężeje, jakby wypadł z czasu, widziała, jak dodaje gazu, jakby przyciągało go coś pięknego, kojącego, coś, co chciało go w siebie przyjąć, widziała, jak z całej siły, bez strachu naciska pedał gazu i jak auto wylatuje z drogi w przepaść, kilkakrotnie koziołkując po zboczu, a w końcu nieruchomieje na samym dole w zaroślach.

– Skąd ten pomysł?

– Nie wiem.

– W porządku. Jeśli tego pragniesz...

Tina chciała jeszcze coś dodać, ale do lokalu wszedł Pako i od razu skierował się w ich stronę. Tina padła mu w objęcia, po czym Pako dosiadł się do nich. Miał na sobie pretensjonalną skórzaną kurtkę i łańcuch indiański na szyi, do niczego niepasujący.

– Kotka! Ty tutaj! A to niespodzianka! – powiedział i uśmiechnął się głupawo.

Kotka automatycznie odpowiedziała uśmiechem i podała mu kieliszek.

– Pijcie, ja muszę lecieć.

– Ależ Kotko, zostań jeszcze trochę. Wracając do domu, kupimy coś do jedzenia – powiedziała matka.

– Nie, już późno, naprawdę muszę iść.

Podniosła się, czując, że jej ciało pod wpływem alkoholu stało się jakby bardziej rozproszone i plastyczne. Było to uczucie dobrze pasujące do jej stanu „zawieruszenia się”.

– Może to ja cię przestraszyłem? – zapytał Pako.

Nienawidziła tych idiotycznych powiedzeń. Jej siostra była wprawiona w odgrywaniu roli miłej córeczki wobec kolejnych partnerów matki, ale ona już nie potrafiła, nie widziała sensu w udawaniu czegoś, co jest dalekie od

prawdy.

Poprzedni kochanek wykorzystywał matkę finansowo i na koniec okradł, lecz po kilku miesiącach Tina znowu była zakochana, znów wierzyła w obietnice bez pokrycia, we wspaniałe plany, które nigdy nie miały się ziścić, i w wyświechtane komplementy.

Kotka uświadomiła sobie, że ważne sprawy w jej życiu nie zmieniły się wcale, gdy zgodziła się podpisać umowę w zamian za masę pieniędzy. Jej poczucie kontroli nad życiem nadal było iluzją, nie mniej zwodniczą niż rozpaczliwa chęć matki, by wierzyć w szczęście, choć świat, który kiedyś uważała za swój, rozpadł się na tysiąc części. Te czterdzieści dwa tysiące euro nie były rozwiązaniem ani odpowiedzią. Były pozorem. Przez cały czas trzymała się kurczowo myśli o tej sumie. Wmówiła sobie, że te pieniądze wyprostują wiele spraw i że wszystko wróci na swoje miejsce. Było to jednak złudzenie. Raz udało jej się zapobiec katastrofie i odtąd tkwił w niej paraliżujący lęk, że kiedy po raz drugi zdarzy się coś podobnego, nie będzie jej wtedy na właściwym miejscu, nie chwyci za kierownicę i nie obróci jej w przeciwnym kierunku.

Musi wracać. Gdy wkładała kurtkę, obserwując przy tym matkę i jej kochankę, dotarło do niej wreszcie, że nie chodzi o to, że powinna zerwać z mężczyzną, od którego dotąd wewnętrznie nie zdołała się odciąć, lecz że powinna oderwać się od tamtej siebie – siedzącej bez ruchu obok ojca na przednim siedzeniu dziewczynki, która się boi, że nie zdoła zapobiec czemuś fatalnemu. Musi wreszcie wysiąść z tamtego auta. Pójść przed siebie. Stawiać krok za krokiem, aż poczuje, że jej stopy stają się lekkie, szybkie i wolne, że niosą ją coraz dalej i że przestaje się kręcić w zaklętym kole.

Gdy teraz patrzyła na matkę, widziała, że ta cieszy się życiem, takim, jakie jest. Siedzi sobie przy stoliku w białej bluzce i czarnej spódnicy, ma piękne nogi, obok siebie mężczyznę, który kupił jej kwiaty i odbiera ją z pracy. Natalia jeszcze nieraz będzie biła głową w mur, zanim odnajdzie spokój. A babcia... Matka ma rację – Sesilia wrosła już w berlińskie życie.

Kotka pocałowała matkę w policzek, klepnęła Paka w ramię i wyszła na zewnątrz. Noc była mroźna. Zapaliła papierosa i wsiadła na rower. Jechała wśród nocnych świateł, pomiędzy grupkami ludzi, którzy ciągnęli od baru do baru, od klubu do klubu.

Najchętniej by się do nich przyłączyła, na jedną noc stałaby się inna, nie taka niesforna, jak zawsze mówił o niej R.

Nagle się zatrzymała. Przecież dlatego i tylko dlatego ufarbowała włosy, dlatego weszła w historię tej zamordowanej dziewczyny, dlatego przez cały czas myślała o Rosjanie i jego patetycznych słowach, żeby móc uciec od siebie. Wsiąść z tamtego auta i odejść. Jedno ze swoich dziewięciu kocich istnień może ofiarować nieżyjącej dziewczynie i może, choćby na krótką chwilę, obudzić się do życia. Może, idąc śladami tamtej, sama poczuć wolność...

Chwyciła za komórkę. Była druga po północy.

„Myślisz, że to był on?” – napisała do Onna.

„Nie wiem. Nie mogę spać. Dziś przyleciałem do Moskwy. Mieszkam w absurdalnie drogim hotelu przy Nikolskiej. Niesamowite uczucie być tu znowu po tylu latach”.

„Wow, czyli wszystko już się zaczęło?”

„Tak, to znaczy pojutrze zacznę odwiedzać tych mężczyzn. Potem lecę do Marrakeszu”.

„Dlaczego do Marrakeszu?”

„Tam mieszka Pietruszow, trzeci z tej grupy”.

„Boisz się?”

„Nie. Już nie. A ty?”

„Myślę, że nie. Czy mogę cię o coś spytać?”

„Jasne”.

„Kochałeś ją, prawda?”

Odpowiedź przyszła nie od razu.

„Chciałem ją wykorzystać, dopiero potem się w niej zakochałem”.

„Czy ona zabiła się z powodu tej sprawy?”

„Myślę, że tak, ale nigdy się nie dowiem, jaki naprawdę był powód”.

„W tej historii już nikt nie powinien umrzeć niepotrzebnie”.

Zdziwiło ją zdanie, które w tej rozmowie tak nagle przyszło jej na myśl, i na znak zapytania, który dostała od Onna, odpowiedziała znaczkim uśmiechniętej buźki.

Z przeraźliwą jasnością uświadomiła sobie, co jest do zrobienia. Tej samej nocy zarezerwowała miejsce w samolocie do Moskwy. Nura by wiedziała, co trzeba zrobić. „W tej historii już nikt nie powinien umrzeć niepotrzebnie”. Ale czy byli tacy, którzy powinni „umrzeć potrzebnie”? Przestała o tym myśleć i zaczęła wrzucać ubrania do sportowej torby. Skoro zdecydowała się w to wejść, to musi zmienić miejsce pobytu.

Następnego ranka przewiozła spakowany dobytek z mieszkania, które dotąd wynajmowała, do piwnicy Tiny, a po południu wsiadła w samolot do Moskwy.

2016/KRUK

Nie mogę się pozbyć wrażenia, że jestem śledzony, choć Szapiro przez cały dzień się nie pokazywał. Dwa dni temu pozwolił mi się wyspać, a po królewskim śniadaniu dał mi oba adresy. Potem wyszedłem z hotelu. Szare niebo jeszcze bardziej zszarzało, co zapowiadało śnieg, który po raz kolejny na chwilę spowije miasto bielą, lecz ostatecznie zostanie z niego szara maź. Moskwa powitała mnie jak zwykle lodowatą obojętnością i jak zwykle zatraciłem się w niej w ciągu sekundy. Tyle że teraz witała mnie przystrojona na zachodnią modłę bożonarodzeniowymi światłami, co mnie irytowało, bo te światła nie wywołały we mnie odświętnego nastroju, lecz raczej podejrzenie, że próbują coś ukryć.

Nie miałem ochoty jechać metrem ani spotykać tłumów, chciałem pozostać sam na sam z własnymi myślami. Myślami o puzzlach, które od lat próbowałem ułożyć. Poszedłem w stronę Patriarszych Prudów. W tej okolicy, przy kuchennym stole u Nikity, przy kiszonych ogórkach i morzu wódki, po raz pierwszy zetknąłem się z nazwiskiem Orłow. Nie przeczuwałem, że to nazwisko zmieni moje życie. Nie przeczuwałem zresztą wielu rzeczy.

Pod pierwszy adres było niedaleko, jakieś pół godziny marszu. Był to adres Szujewa.

Postanowiłem dać miastu jeszcze jedną szansę – może mnie jednak rozpozna? Ale miasto się zmieniło. I atmosfera, która w nim panowała, też się zmieniła. Była to atmosfera, na którą składały się przeszłość i teraźniejszość, stare łachy i nowe towary, połączenie przeciwstawnych elementów. To w niej zamykały się drzwi, które uważano za otwarte. Nastawiając się na przyszłość, wychwalano Związek Radziecki, sławiąc pokój, wspierano skrajnych ekstremistów, przeklinając wojnę, nieustannie ją prowadzono (z wszechobecnym oczywiście błogosławieństwem rosyjskiej Cerkwi),

a tocząc rozmowy o Wielkiej Rosji, wysoko podnoszono portrety Stalina. Atmosfera ta łatwo poddawała się rozmaitym wpływom, lecz kamuflaż, jaki stwarzała, był perfekcyjny. Nie znałem obowiązujących haseł, teraźniejsze reguły postępowania były dla mnie tajemnicą, nie brałem udziału w tej grze. Mój czas był czasem ciemnych rycerzy, chaosu i jego reguł. Mój czas był czasem pożądania pieniądza, nie jego panowania.

Skreśliłem w Sreteński Bulwar i poszedłem w kierunku ulicy Miąsniackiej. Fasady domów się zmieniły. Twarze też. Najbardziej brakowało mi aut radzieckich marek. Brak żyguli i zaporozca bolał mnie niemal fizycznie. Z trudem przyzwyczajałem się do widoku mercedesów, volkswagenów, bmw i toyot. Nie pasowały do mojego osobistego obrazu tego miasta, do związanych z nim wspomnień, w których oprócz strachu i wszystkiego, co było tu okropne, była też Ada. Chociaż Ada rzadko pojawiała się w Moskwie i nic jej do niej nie ciągnęło, to jednak stąd pochodziła i jakaś część Moskwy przecież w niej tkwiła, nawet jeśli Ada o tym nie wiedziała. Ja byłem zakochany w tym szaro-beżowym mieście, które zawsze chciało być przede wszystkim symbolem władzy.

Dom, którego szukałem, okazał się piękną klasycystyczną budowlą, jedną z wielu, jakie wzniesiono w ubiegłym stuleciu. Nowy był tylko domofon. Tutaj więc mieszkał pułkownik z Niżnego Nowogrodu.

Po zakończeniu procesu odszedł na wcześniejszą emeryturę i z dnia na dzień znikł. Wiedziałem tylko, że jego żona zaraz po procesie wniosła o rozwód. Teraz był pewnie starszym panem. Dziwiłem się, że stać go na mieszkanie w centrum Moskwy. Mieszkał sam? Dzieci pomagały mu finansowo?

Nacisnąłem dzwonek. Chwilę trwało, zanim w domofonie usłyszałem chrypliwy głos:

- Słucham.
- Mam dla pana list.
- List?

– Tak. Do rąk własnych.

Nastąpiła długa pauza, potem drzwi się otwały. Myślałem, że pułkownik będzie bardziej podejrzliwy. Na drugim piętrze w ostrożnie uchylonych drzwiach stał stary, łysy, grubawy mężczyzna. Z mieszkania czuć było stęchlizną i papierosami.

– Co to za list?

Obserwował mnie szparkami oczu zza krzywo nałożonych okularów.

– Od Aleksandra Orłowa.

– Od kogo?!

– Od Aleksandra Orłowa!

Obrzucił mnie poirytowanym spojrzeniem. Irytacja zmieniła się w zdumienie, a w końcu we wściekłość.

– Czego on ode mnie chce? – warknął i dostał napadu kaszlu.

– Przekazuję tylko list, wiadomość jest w środku.

– Tylko list, tylko list... Głupi pan jest? Nie wie pan, co jest w środku? Dlaczego wysyła do mnie właśnie pana?

– Przykro mi, ale niestety, nie wiem.

Obserwował mnie przez chwilę i nagle, gdy już byłem pewien, że zaraz zniknie za drzwiami, zatraskując mi je przed nosem, otworzył je szerzej i zaprosił mnie do środka. Zdumiony wszedłem za nim do mieszkania. Było takie jak właściciel: zapuszczone i dawno nieremontowane. Obszerne pokoje z dębowym parkietem były zastawione starymi meblami, wszędzie leżały gazety, a wokół telewizora w największym pokoju piętrzyły się brudne naczynia. Gdybym nie wiedział, kim jest, zapewne współczułbym starszemu człowiekowi.

– Jak się pan nazywa?

– Onno, Onno Bender.

- Bender. Co to za nazwisko? Niemieckie?
- Tak.
- Pracuje pan dla Orłowa?
- Nie... To znaczy w gruncie rzeczy nie. Piszę o nim.
- Pan o nim pisze?
- Tak, on chce, żebym napisał o nim książkę.
- To jakiś absurd! On mieszka teraz w Niemczech, prawda?
- Tak.
- Tak się wzbogacił, tak się wzbogacił, kto by pomyślał!...
- No tak, to prawda.

Stary człowiek wyciągnął butelkę koniaku z oszklonej witryny i postawił kieliszki do wódki.

- Napijmy się po jednym.

Nie odpowiedziałem. Na szczęście zjadłem porządne śniadanie.

- Ma pan komputer?
- Dlaczego pan pyta?

Szujew spojrzał na mnie podejrzliwie.

- W kopercie jest, zdaje się, film wideo.
- Film wideo?
- Tak.
- Co to za film?
- Niestety, nie mogę powiedzieć.
- Pan jest naprawdę głupi czy co?

Nagle znowu ogarnęła go wściekłość i pomyślałem, że mnie wyrzuci, ale uspokoił się szybko i nalał nam koniaku.

– Mam komputer, tak. Dostałem od córki. Ale go nie używam.

– Rozumiem. Mieszka pan sam?

– Tak. Moja żona zmarła dwa lat temu. Zresztą, właściwie ode mnie odeszła, flądra jedna. Mój syn... mój biedny chłopak... – Oczy Szujewa zaszyły łzami. – Ma problemy. A ja nie mogę mu pomóc. To straszne, czuć się bezsilnym. Musi pan wiedzieć, że po tej sprawie z Orłowem... mój syn nie mógł sobie z tym poradzić, nie mógł przeżyć tego gównianego procesu, a potem, kiedy jeszcze opuściła mnie żona... To wszystko go przerosło. Wrażliwy chłopak. Mówiłem mu: „Musisz pracować nad tym, żebyś miał grubą skórę, chłopcze, inaczej nie poradysz sobie w życiu”... Moja córka pracuje w ubezpieczeniach, jest moją chlubą.

Dziwiła mnie jego nagła rozmowność, jakby zapomniał, kim jestem i po co przyszedłem.

– Troszczy się o mnie, bo przecież emeryturę wojskową mi zabrali. Człowiek całe życie poświęcił dla armii, a na końcu, na końcu traktują go jak śmiecia. Najgorsze jest to pomówienie o morderstwo. Najpierw przeciągną człowieka przez bagno, a potem wszyscy się odwracają.

Nie mogłem się nadziwić, jak umiał wyprzeć ze świadomości niewygodne fakty. Lecz Szujew jeszcze nie skończył.

– Ani śladu lojalności i braterstwa, tylko zapomnienie. I mój biedny syn... Gdyby nie Nadia, umarłbym z głodu. I to mając tyle orderów, tyle medali za odwagę! Po Afganistanie i Czeczenii! Takie jest to zasrane życie.

Czułem, jak narasta w nim rozdrażnienie.

– Po co pana przysyła? Czego ode mnie chce? Jeśli mu chodzi o tę starą sprawę, to było wieki temu. Minęło, skończyło się – mówił, bardziej do siebie niż do mnie.

– Moim zadaniem jest znaleźć również Pietruszowa i Juricza – powiedziałem.

– Serio?

– Tak.

– Ale Pietruszow... Nie wiem, gdzie on mieszka, w każdym razie nie w Moskwie.

– W Maroku.

– Ma... gdzie?

– W Maroku.

– To wszystko jest bardzo dziwne.

– Pewnie tak.

– Widzi pan, walczyliśmy razem w Czeczenii. Byłem wtedy ich dowódcą w randze pułkownika, a Orłow... Orłow... – Nagle wybuchnął śmiechem. Z ust tryskały mu kropelki śliny, klepał się po udach. – On był pomocnikiem kucharza, takim chłopakiem do wszystkiego, może pan to sobie wyobrazić? No, napijmy się. Zdrowie!

– Zdrowie!

– Niewiarygodne, bo jak tak się zastanowić, to był tchórzliwy idiota, i tyle... Zrobiłem z niego mężczyznę, do końca swoich dni powinien być mi wdzięczny!

Słuchałem i czułem, że robi mi się niedobrze. Nie wiedziałem – od jego słów czy od alkoholu.

– A gdyby nie Pietruszow, Orłow nigdy nie doszedłby do tych pieniędzy. Jemu też powinien być wdzięczny.

Poczułem miękkość w kolanach. Modliłem się, żeby nie była to zapowiedź ataku paniki. Kiedy go miałem ostatni raz? Już jakiś czas temu. Tego się uchwyciłem. A w ostateczności zażyję oxazepam, który mam w torbie. Opanuję to, zachowam spokój.

Ataki paniki były rodzajem pamiątki po śmierci Ady. Próbowałem myśleć o płaszczu Ady ze sztucznego futerka, o Grömitz, o Bałtyku, o moich dzierganych ręcznie kolorowych skarpetkach, o dłoniach Kotki i jej

ogryzionych paznokciach. Poczułem, że znowu wraca mi spokój, jakby ktoś powoli wlewał we mnie szklankę zimnej wody.

– Jak pan to rozumie? – spytałem.

– Co?

– Że Orłow zawdzięcza Pietruszowowi swój majątek.

– Słuchaj pan, nie wiem, czego pan ode mnie chce.

– Może już pójdę, nie będę panu przeszkadzał.

Rozmowa zaczęła przerastać emerytowanego pułkownika. Był rozdygotany, czułem, że nie powinienem tu być.

– Wie pan, dlaczego nazywają go Generałem?

– Nie wiem.

– Juricz, Zając, ta tchórzliwa świnia, on pierwszy go tak nazwał, kiedy... kiedy tamto się wydarzyło. Wtedy Orłow wziął sprawy w swoje ręce, zaczął dyrygować, wydawać polecenia i wykazał taką jasność umysłu, że Zając, gdy Orłow wydał mu rozkaz, odpowiedział: „Tak jest, generale”. I tak zostało. Czego jeszcze Generał chce ode mnie? To wszystko było tak dawno. Minęło, wszystko minęło. Nie mogłem wrócić do armii, a tak chętnie biłbym się jeszcze w drugiej wojnie czeczeńskiej, ale wszystko stracone, wszystko przepadło z powodu tamtego zdarzenia. Ostatecznie za wszystko odpokutowałem. Po co on teraz nagle przychodzi, co to ma być, ja nie chcę tego listu, niech nas zostawi w spokoju! Jestem stary, nie mam zdrowia, chcę żyć spokojnie!

W jego słowach była furia, powtarzał coś bez związku, zaklinał się, że jest niewinny, mówił o wysokiej cenie, jaką zapłacił za to wszystko, a jego ton stawał się coraz bardziej agresywny. Postanowiłem zakończyć tę rozmowę i wstałem. Pułkownik nie ruszył się z miejsca, do wyjścia odprowadzała mnie jego nerwowa wyliczanka faktów. Zatrzasnąłem za sobą drzwi. Zbiegłem schodami na dół i nie przestałem biec, znalazłszy się na ulicy. Zatrzymałem się dopiero na rogu, kiedy zabrakło mi tchu, i głęboko odetchnąłem.

Wydawało mi się, że się duszę.

Tak, Generał posłał mnie pod te adresy, żeby nie musieć mi niczego opowiadać, bo to było ponad jego siły. Generał nie wierzył w prawdę. Uznawał za to ułamki prawdy, tak powiedziała mi kiedyś Ada (gdzie to było?), a teraz chciał, żebym odnalazł pozostałe elementy całości. Może sam ich nie znał, może o nich zapomniał?

Kto zamordował Nurę? Kto zacisnął jej ręce na szyi i nie zwolnił śmiertelnego uścisku, dopóki nie uszło z niej życie?

Nikita wyłożył mi kiedyś swoją teorię. Był pewien, że mordercą jest Pietruszow. Właśnie dlatego później, mając z jakiegoś dziwnego powodu zapewnione wysokie stanowisko w GUSS-ie, odstąpił je Orłowowi, żeby ten trzymał język za zębami. Przy okazji uitorował mu drogę do zdobycia pierwszego miliona.

Tyle lat badałem biografie mężczyzn, którzy potrafili wykorzystać okazję i ryzykując, zdobyć wielokrotnie więcej niż inni. Czasami był to czysty przypadek, czasami szczególny talent lub okoliczności w połączeniu z umiejętnościami albo ambicje czy ukryte pragnienie nowych możliwości i perspektyw. To pragnienie było ich chorobą. Nie przyznawali się do niej głośno. Chore ambicje były też motywacją, która sprawiała, że wchodzili w półoficjalne, niejasne powiązania i struktury czasów pieriestrojki. Nie potrafili inaczej, parli naprzód wbrew wszelkim przeciwnościom.

Ale Generał nie pasował do tego schematu, jego życie powinno właściwie potoczyć się inaczej. Nie podążał za pragnieniami, nie pozwolił decydować o sobie przypadkom i okolicznościom, lecz trzymał się racjonalnego, pragmatycznego planu i wytyczonego celu, co paradoksalnie stanowiło całkowite przeciwieństwo tego, co wcześniej było istotne w jego życiu. Jakby od pewnego momentu postanowił stać się kimś zupełnie innym, narodzić się na nowo, powstać jak Feniks z popiołów po wszystkim, co przeżył w czeczeńskich górach. Skończył z życiem, jakie było mu przeznaczone do tej pory, i rozpoczął inne, tak dalekie i obce temu, jakie było mu znane, że

trudno o większy kontrast.

Wsiadłem do metra i pojechałem na obrzeża Moskwy. Tam, w szarym pięciopiętrowym budynku z czasów Chruszczowa, mieszkał Juricz. Długo szukałem, nim znalazłem właściwy dom i właściwą klatkę schodową – wszystko było do siebie podobne i tonęło w anonimowości.

Kupiłem sobie gumę do żucia i włożyłem do ust, żeby nie wywołać wrażenia, że przed przyjściem tu łyknąłem coś na odwadę. Poza tym chciałem zatrzeć wszelkie ślady wcześniejszej wizyty, bo zdawało mi się, że od wyjścia z mieszkania Szujewa wlecze się za mną coś obrzydliwego.

Drzwi otworzyła mi kobieta w średnim wieku, w fartuchu, z włosami koloru platynowy blond spiętymi w wysoki kok.

– Chciałbym rozmawiać z Iwanem Juriczem – przeszedłem od razu do rzeczy.

– Kim pan jest, jeśli wolno spytać – odrzekła nieuprzejmie.

– Mam mu coś do przekazania. – Ruchem głowy wskazałem kopertę, którą trzymałem w ręce.

W przedpokoju pojawił się ośmio-, może dziewięcioletni chłopiec i z zaciekawieniem zaczął mi się przyglądać.

– Wania jest na dole, na podwórzu, gra w domino – poinformowała niechętnie kobieta. W jej głosie czuło się niezadowolenie. – Proszę wejść, zawołałam go. Idź po ojca! – zwróciła się do syna.

– Mogę sam zejść, nie chcę sprawiać kłopotów – powiedziałem.

– Już dobrze. Niech pan wejdzie do środka.

Wprowadziła mnie do dużego pokoju. Pachniało tu jedzeniem i świeżo wypraną bielizną. Usiadłem na wysłużonym fotelu. Kobieta zostawiła mnie samego. Meble były stare, a zasłony dziurawe. W kącie stała witryna z kilkoma porcelanowymi filizankami i barwnymi wazami. Na środkowej półce leżały dwa pudełka pralinek, najpewniej podarunek, eksponowanych

jako luksusowe delicje, które zapewne nigdy nie zostaną otwarte. Znałem takie absurdalne relikwie z moich moskiewskich czasów. Ściany pokoju były obwieszane ikonami. Gospodyni zaproponowała mi herbatę. Grzecznie odmówiłem.

Po chwili do pokoju wszedł drobny, chudy mężczyzna o przerzedzonych włosach i szerokim nosie. Miał ręce robotnika budowlanego i postawę kogoś, kto nieraz był upokarzany, kto się wstydzi, że żyje, i ze wszystkich sił chce być niewidzialny. Pokornie zbliżył się do mnie i spojrzał niepewnie, jakby zamiast mnie spodziewał się kogoś, kogo znał. Usiadł naprzeciwko.

– Przysłała mnie Aleksander Orłow. Mam panu osobiście wręczyć tę kopertę.

– Aleksander?

Zamilkł i spojrzał na kopertę, którą położyłem przed nim na stoliku.

– Skąd... skąd... ma pan mój adres?

Zaskoczyło mnie jego mocne jąkanie.

– Jak powiedziałem, zostałem poproszony o przekazanie panu tej koperty.

– Pan jest z Niemiec?

– Tak.

– I mówi pan po rosyjsku – dorzucił jakby z podziwem.

– Długo mieszkałem w Moskwie.

– Czego chce ode mnie Orłow? – Nerwowo sięgnął po kopertę.

– Przykro mi, nie umiem panu nic więcej powiedzieć. Wszystko znajdzie pan w środku.

– Ja nie mam... od lat nie mam z nikim kontaktu. Proszę mu przekazać, że z nikim się nie widuję, o Pietruszowie nie słyszałem od dawna, a pułkownik... Nie wiem nawet, czy on jeszcze żyje...

– Żyje. Właśnie u niego byłem.

– Pan odwiedził Szujewa? A Pietruszow?

– Jutro lecę do niego do Maroka.

– Tak, tak, tam mieszka. Ale dlaczego? Co Generał zamierza? Nie mam z tą sprawą już nic wspólnego, Boże uchroni, zerwałem też z armią, ja... – Przeżegnał się.

Widząc ten pobożny gest, zrozumiałem, skąd na ścianach jego mieszkania tyle ikon.

– Mam żonę, dwóch synów, pracuję w fabryce produkującej kiszonki, wszystko naturalne składniki, wszystko wysokiej jakości... Eksportujemy je nawet do rosyjskich supermarketów w Niemczech. Między innymi w Darmstadt, zna pan Darmstadt?

– Znam.

– Ale nie rozumiem... Nie chciałbym jakichś kłopotów.

– W środku jest wiadomość przekazana na wideo. Z niej dowie się pan wszystkiego. Chciałbym panu powiedzieć coś jeszcze, ale nic więcej nie wiem. Najlepiej, jeśli zostawię pan samego i...

– Proszę mu przekazać, że z armią nic już mnie nie łączy, z ludźmi stamtąd nie mam kompletnie do czynienia. Żyję swoim życiem, chodzę do cerkwi, ja... To, co się stało, było straszne, jest straszne, ale była wojna i ten proces...

Jąkał się coraz bardziej. Jego żona stanęła w drzwiach, wycierając ręce w fartuch.

– Wszystko w porządku, gołąbeczko, wszystko dobrze, rozmawiamy tylko, to dawny znajomy z wojska, zaraz przyjdę...

Kobieta rzuciła nam chmurne spojrzenie i odeszła.

– Niech pan mu powie – podjął Juricz – niech pan mu powie, że żyję spokojnie i nie chcę mieć z tym wszystkim nic wspólnego... Mamy teraz piekielnie ciężki czas, wie pan... Nasz cały blok i okolicę chce wykupić jakiś

inwestor, domy mają zostać rozebrane, a wspólnota i sąsiedzi... Robimy wszystko, żeby tu zostać. To nędzne odszkodowanie, wie pan... Mieszkanie należy do mojej żony. Wideo? Jakie wideo? – spytał nagle, jakby sens tego, co mu wcześniej zakomunikowałem, dotarł do niego dopiero teraz.

– Proszę je sobie obejrzyć.

Chciałem odejść. Ci mężczyźni przelewali na mnie swoje obawy i niepokój. Generał oczywiście wiedział, że będę musiał ich wysłuchać, ale ja miałem wrażenie, że to nie jest miejsce dla mnie. Nie mogłem rozgryźć planu Orłowa, nie rozumiałem, dlaczego wybrał taką właśnie drogę, zamiast ściągnąć tych trzech mężczyzn do siebie, po co to wideo z dziewczyną, kopia tamtej. I dlaczego w tym wszystkim ja? Czułem się zmanipulowany, zmuszony do działania w sprawie, której nie byłem w stanie przejrzeć. Byłem poirowany własną naiwnością. Dlaczego nie pomyślałem o tym wcześniej?!

Ręce Juricza zaczęły drżeć, na czoło wystąpiły krople potu, przygryzł wargę. To dziwne, ale poczułem dla niego litość. Zupełnie nie pasował do armii, do walk, do broni. Lecz doświadczenie podpowiadało mi, żeby nie wyciągać wniosków zbyt pochopnie i nie oceniać ludzi po tym, co widać.

– Wydaje mi się, że nie ma się pan czego bać. – Sam nie wiem, dlaczego to powiedziałem. – Wszystkie informacje znajdzie pan na tym wideo.

Podniosłem się z fotela. On nadal siedział na swoim miejscu, zatopiony w myślach, przeniesiony w odległą już przeszłość.

Gdy wychodziłem, w przedpokoju pojawiła się jego żona. Nieufnym spojrzeniem odprowadziła mnie do drzwi.

Miałem dwadzieścia lat, kiedy przyjechałem do Moskwy. Do miasta, gdzie życie pisało się na nowo. Chciałem w tym uczestniczyć. Czułem, że przynależę do tego eldorado, do tego szaleństwa, które wyzwoliły lata pieriestrojki. Czułem się tak, jakbym stał przy obozowym ognisku i przyglądał się płomieniom, które wszystko pochłaniają, wyzwalaając przy tym nieprzeczuwane siły, piekielne energie.

Poznawałem ludzi – szukających, zagubionych, również takich, którzy gubili się w trakcie szukania. Niewzruszenie w sobie wierzyłem, miasto niosło mnie na swoich brudnych rękach i dawało poczucie nietykalności, nie byłem już obserwatorem, tkwiłem w środku zdarzeń. Pisałem o zamachach bombowych, które wtedy wstrząsały Moskwą, pisałem o zwycięzcach i przegranych w wyścigu po wielkie pieniądze, pisałem o grymasach, jakie zaczynało robić to nowe życie, a przecież ciągle pisałem o sobie, o swojej tęsknocie za właściwym miejscem na tym świecie. Bito mi brawo. Chwalono odwagę i ostre spojrzenie. Pisałem o Biełym, o jego majątku, jego imperium, wyjaśniałem Zachodowi, z jakiego materiału są ci bohaterowie westernów na wschodzie Europy. Bieły kilka razy próbował mnie zastraszyć, ale myślę, że ostatecznie było mu obojętne, że jakiś tam Niemiec pisze o nim książkę. Wtedy jeszcze nie interesował się Zachodem, doskonale się czuł we własnej skórze, w swojej ojczyźnie i nie zdawał sobie sprawy z potęgi słowa. Sukces mojej książki w Niemczech dał mu tylko, wydaje mi się, satysfakcję, że tak wielu ludzi usłyszało o nim na Zachodzie. Nikita powtarzał, że miałem szczęście, bo trafiłem na człowieka, którego niewiele obchodziło, co się o nim mówi. Ale ostrzegał, że to szczęście nie będzie trwało wiecznie, szczęście w Rosji zawsze ma krótką datę ważności. Ja jednak chciałem sięgnąć jeszcze wyżej.

Prześwietlenie kariery Orłowa, która po procesie wystrzeliła jak rakieta, było tym, co najbardziej rozpalało moje ambicje.

W ciągu czterech lat Orłow zdobył to, czego innym nie udaje się osiągnąć przez całe długie życie. Na napisanie książki o Orłowie dostałem od wydawnictwa imponującą zaliczkę i mogłem zaczynać. Akurat wtedy Generał wszedł w bardzo ryzykowny interes na rynku nieruchomości. Ryzykowny, ponieważ sprzątnął go sprzed nosa pewnemu bonzie królującemu dotąd niepodzielnie w tej branży.

Jak drapieźnik w zaroślach czekałem godzinami, by w decydującym momencie wykonać skok. Szukałem jego dawnych znajomych, nawiązywałem kontakty z jego kolegami ze szkoły, znajdowałem ludzi,

którzy kiedyś dla niego pracowali, nawet byłych sąsiadów i przyjaciół jego zmarłej żony. W pewnym momencie zwrócił na mnie uwagę. A raczej na moje nazwisko. Kazał zebrać o mnie informacje.

Wtedy po raz pierwszy spotkałem Szapirę. Zaczepił mnie przed wejściem do metra, odciągnął na bok i wypowiedział tylko dwa zdania:

– Natychmiast przestajesz zbierać informacje na temat Orłowa. Żadnej książki o nim nie będzie.

Wbił we mnie swoje ptasie oczy, a potem zniknął w tłumie. Wydało mi się to nieco teatralne. Oczywiście musiałem się nauczyć pokonywać strach, bo od dawna wiedziałem, choć nie chciałem się do tego przyznać nawet przed samym sobą, że mam do czynienia z człowiekiem, który mnie przerasta. Nie przestałem jednak zbierać informacji. Zignorowałem pierwsze ostrzeżenie. Drugie przyszło nagle, na adres e-mailowy. „Jeśli nie porzucisz swojego zamiaru, spotkają cię nieprzyjemne konsekwencje”. E-mail nie był podpisany.

Poszedłem do Nikity. Siedzieliśmy w jego kuchni i piliśmy wódkę.

– Grozi ci niebezpieczeństwo, Onno – powiedział w zamyśleniu Nikita. – Orłow jest nieprzewidywalny, musisz to wszystko zostawić, tu nie da się nic zrobić.

Zdenerwowałem się. Powiedziałem, że mnie nie docenia. Zarzuciłem mu tchórzostwo.

Trzy dni później trafiłem na OIOM. Walczyłem o życie, zmagalem się z bólem, nie wiedziałem, czy z tego wyjdę.

Obrażenia czaszki, pęknięcie śledziony, cztery złamane żebra, jednostronna utrata słuchu. Dzień wcześniej do mojego mieszkania wtargnęło trzech osobników w czarnych kominiarkach i zostałem pobity. Było ze mną krucho.

Kiedy wyszedłem ze szpitala, zaszyłem się w swoim mieszkaniu i nie opuszczałem go przez dwa tygodnie. Zadzwoniłem do wydawnictwa, odwołałem projekt książki o Orłowie z uczuciem, że ze wstydu zapadnę się

pod ziemię. W głębi duszy czułem, że skończyłem nie tylko z historią Orłowa, ale i z historią tego miasta, że przegrałem i nie mam tu czego szukać. Spakowałem rzeczy i wróciłem do Niemiec.

Przez kilka lat udawało mi się trzymać z daleka od sprawy Orłowa, chociaż nie traciłem go z oczu. Moja teczka z informacjami na jego temat puchła coraz bardziej i coraz bardziej nie dawała mi spokoju.

Kiedy dotarła do mnie wiadomość, że Orłow zwinął interesy w Rosji, pokazał plecy swojej ojczyźnie, przeniósł się do Niemiec, w dodatku do tego samego miasta, które stało się moim domem, odczytałem to jako znak. Tamy zostały przerwane, moja obsesja odżyła.

Jewgienija, z którą Orłow ożenił się wkrótce po przeprowadzce, nie była osobą, dzięki której mógłbym się do niego zbliżyć, ale pomyślałem, że może się to uda przez jego córkę.

Cztery lata po jego przeniesieniu się do Berlina los dał mi okazję rewanżu za bóle nękające mnie od czasu pobicia w Moskwie, za moje czekanie, za mój wstyd: zdobyłem bilet na koncert do filharmonii obok Ady Orłowej.

Teraz jednak znajdowałem się w nijakim miejscu Moskwy, między identycznie wyglądającymi blokami z radzieckiej ery, które mówiły ludziom tylko to, że są wymiennymi elementami systemu. Usiadłem na metalowym stole stojącym na skwerku, zapaliłem papierosa i zacząłem szlochać jak dziecko. Nie wiedziałem, dlaczego czuję się taki bezradny i zagubiony, dlaczego to, że wreszcie oficjalnie, zupełnie otwarcie będę mógł pisać o Orłowie, kompletnie mnie nie cieszy. Wokół było szaro i zimno, miałem czerwone od mrozu dłonie, lodowate stopy i wszystko było mi obojętne, nawet to, że ktoś zobaczy, że płaczę.

Nic nie mogło sprawić, by postać Generała stała się w moim życiu wątkiem pobocznym. Nawet nieustanny strach, w jakim żyłem, odkąd trzech zamaskowanych mężczyzn zrobiło ze mnie krwawą breję. Ale Adzie, Adzie mogłoby się to udać. Dlaczego nie spostrzegłem tego we właściwej chwili? Dlaczego na czas nie zaciągnąłem hamulca? Powinienem to zrobić,

powiniennem widzieć przepaść, do której nieuchronnie dążyliśmy.

Nie chciałem się do tego przyznać, bo się wstydziałem, że dotychczasowy cel mego życia przesłoniła mi dziewiętnastoletnia dziewczyna i jej zmysłowe pocałunki, jej euforia i ciekawość życia, jej plany i zachwyty dla sztuki, i płatki kukurydziane z melonem, które co rano jadła w łóżku. Nie chciałem się przyznać, że to ona stała się głównym wątkiem mojego życia i że rok, który z nią spędziłem, był najpiękniejszym prezentem, jaki dostałem od losu. Kiedy wychodziła z mojego mieszkania, próbowałem być taki, jaki chciałem być wcześniej, bez niej, i wmawiałem sobie, że nasz romans to faza przejściowa, że niedługo jej się znudzę, a wtedy wrócę do mojego wielkiego planu, którego wykonanie zawiesiłem. Ale kiedy tylko Ada dzwoniła, oznajmiając, że dzisiejszy wieczór, następny dzień albo cały weekend może spędzić ze mną, z miejsca traciłem rozsądek i dobrowolnie oddawałem się w jej ręce, stawałem się jej zabawką, cierpliwym, wszystko przyjmującym chłopakiem, który za jeden pocałunek, za sygnał jej sympatii zrobi dla niej wszystko.

Rok był nierówny, lecz obfitował w wydarzenia jak żaden inny. Potem myślałem czasami, że niepotrzebnie kryliśmy się tak z naszym uczuciem przed jej potężnym ojcem. Regularne wyjazdy Ady, do których zmuszała ją jej pozycja, dawały mi momenty wytchnienia, czas na własne sprawy, ale też podtrzymywały we mnie iluzję, że wszystko mam pod kontrolą. Od dawna jednak żyłem bez planu. Byłem zależny od jej samopoczucia, od jej zakochania, jej dotknięć. Od dawna byłem jedną wielką tęsknotą za tym, by ją na zawsze mieć przy sobie, by stworzyć z nią prawdziwy związek, który wszystko inne usunie na plan dalszy.

W odróżnieniu od niej byłem wystarczająco dojrzały, by wiedzieć, że nasza bliskość od początku ma w swoje trwanie wpisany koniec, że czas odmierzany piaskową klepsydrą jest nieubłagany... Nasza bliskość mogła być bliskością tylko na pewien czas. Mówiłem sobie nieustannie, że cuda się nie zdarzają, że różnica wieku i inne nieprzewidywalne istniejące między nami różnice, a przede wszystkim jej ojciec, nigdy nie pozwolą, byśmy stworzyli normalny związek. Lecz my w każdym momencie, jaki z sobą spędzaliśmy,

udowadnialiśmy sobie na nowo, że jest inaczej.

Ada, choć młodziutka, była dojrzała. Wiedziała zaskakująco dużo o życiu i samej sobie. Czasami przerażała mnie bezlitośnie rzeczowym spojrzeniem na siebie i na ludzi. Zdawało się, że ma w sobie dwa bieguny: wszystko było w jej oczach albo cudowne, albo do wyrzygania się, raz mówiła, że mamy u stóp cały świat, innym razem – że nasze chowanie się przed światem, ta zabawa w kotka i myszkę, nigdy się nie skończy. Lecz zakochana, z tygodnia na tydzień stawała się coraz odważniejsza, wręcz zuchwała, przeczuwałem już coś niedobrego, chciałem ją ostrzec, także przed nią samą, lecz widziałem, że to niemożliwe.

Wtedy gdy mi opowiadała o jakimś utworze muzycznym albo o obrazie, który właśnie dla siebie odkryła, kiedy mówiła o studiach, na które chciała pójść, żeby lepiej móc rozumieć sztukę i spełnić marzenia ojca, który nie mógł studiować, bo przeszkodziła mu w tym wojna, stawała się dzieckiem. A potem znowu stawała się kobietą, dorosłą i praktyczną, która mnie upominała, żebym był cierpliwy i nie wysyłał jej co chwila wiadomości, kiedy ona jest z ojcem w podróży, i żebym na siebie uważał.

Wmawiałem sobie, że dalej realizuję swój plan, że nadal chodzi mi o jej ojca, gdy tymczasem ona już dawno usunęła go w cień, pozbawiła go wagi swoją lekkością, zastąpiła jasną teraźniejszością jego ciemną przeszłość.

Dlaczego więc ta historia odgrywała jeszcze jakąś rolę? Dlaczego uważałem, że trzeba, by została do końca wyjaśniona? I dla kogo? Tych dwoje, których dotknęła najbardziej, przecież już nie żyło. Ich nazwiska naznaczała ostateczność i ani ja, ani potężny Generał nie mogliśmy tego zmienić.

Tak bardzo chciałem poznać prawdę. I to ja sprawiłem, że Ada potem też za wszelką cenę chciała ją poznać. Kiedy próbowałem być szczery, tak szczery, że aż bolało, że sam się prawie nie poznawałem, musiałem przyznać, że czułem się w obowiązku z jej powodu doprowadzić tę historię do końca. Po jej śmierci pojawiły się czarne skrzydła winy, jej śmierć zmieniła moją

krew w smołę, byłem zwiastunem nieszczęścia, czarnym krukiem. Wahanie się byłoby tchórzostwem. Odwrócenie się plecami do życia i chowanie głowy w piasek udawało się tylko przez pewien czas, potem musiałem podjąć wyzwanie.

Człowiek o ptasiej twarzy pchnął mnie w stronę życia. Teraz należało iść tą drogą, iść do końca, moja litość dla siebie samego była bez znaczenia w obliczu jej śmierci. Otarłem łzy rękawem kurtki. Potem zapaliłem papierosa, zszedłem z zardzewiałego stołu i ruszyłem przed siebie.

– Okłamałeś mnie, nie jesteś ani trochę lepszy od innych, zakłamany gnoju, wierzyłam ci, wszystko ci opowiedziałam, myślałam, że chodzi ci o mnie... Ależ byłam głupia i naiwna!

Wykrzyczała mi to w twarz i nagle zaczęła się policzkować. Próbowałem chwycić ją za rękę, żeby jej w tym przeszkodzić, ale prychnęła na mnie jak dzika kotka i rozdrapała mi paznokciami policzek.

– Nie waż się do mnie podchodzić! Szubrawiec, kanalia! Jak mogłam... Mój ojciec miał rację: nikomu nie można wierzyć.

I znowu biła się po twarzy z taką siłą, że niemal czułem ból, który te uderzenia musiały wywoływać.

O drugiej w nocy zadzwoniła zniecka do moich drzwi, jak na alarm. Wpadła zalana łzami i zaczęła krzyczeć. Zanim dotarł do mnie sens jej słów, wiedziałem już, o co chodzi. Nie wiedziałem tylko, jak na to wpadła.

– Nigdy ci nie wybaczę tego, co ze mną zrobiłeś, a przecież tak cię...

Nagle jej agresja przeszła w rozdzierającą rozpacz. Wszystko zbiło się we mnie w jedną kluchę. Gdyby to coś dało, upadłbym na kolana, wykrzyczałbym sobie duszę z ciała, by odzyskać jej uczucie i zaufanie.

– Jak mi to wyjaśnisz? Wykorzystałeś mnie, podła świni!

Osunęła się po ścianie i usiadła na podłodze z twarzą ukrytą w dłoniach.

– Kto ci to powiedział?!

– Mój ojciec kazał nas śledzić, nasłał na nas Szapirę. Wiedziałam, że się domyśla, że kogoś mam, ale nic nie tłumaczyłam, zapowiedziałam tylko ludziom z ochrony, że mają trzymać język za zębami. Ktoś szedł za mną we wtorek, kiedy spotkaliśmy się w kinie.

Uspokoili się, przestała płakać. Siedziała, jakby uszły z niej siły, i tylko mechanicznie przekazywała to, co wiedziała.

– Co ci powiedział?

Zrobiłem krok w jej stronę.

– A cóż to ma za znaczenie?! Liczy się to, że miał rację, jak zwykle. Zawsze ma rację. *Voilà!*^[1]

Zmusiła się do uśmiechu.

Zacząłem wyrzucać z siebie wszystko, co miałem na swoją obronę. Nie skłamałem ani słowem. Powiedziałem jej to, co powinienem powiedzieć już kilka miesięcy temu. Opowiedziałem o swej obsesji na punkcie jej ojca, o pomyśle napisania o nim książki, który nie doszedł do skutku, o pobycie w moskiewskim szpitalu, o tym, że moje zainteresowanie Generałem odżyło po jego przeprowadzce do Berlina. Opowiedziałem o próbie dotarcia do niego poprzez zdobycie miejsca obok niej na koncercie. I o swej zupełnej bezbronności wobec niej, o strachu, o utracie kontroli i pragnieniu szczęścia, którego nic nie ugasi prócz niej samej.

Słuchała mnie spokojnie, ale z jej twarzy nie mogłem wyczytać, czy się cieszy, czy jest poirytowana, czy mi wierzy, czy patrzy na mnie z politowaniem. Siedziała bez ruchu, opierając się ścianę. Nie miałem odwagi jej dotknąć. Nie zniósłbym, gdyby się teraz ode mnie odsunęła, w chwili, gdy byłem najbardziej bezbronny.

– Kocham cię, Ado. Jeśli będzie trzeba, pójdę do twego ojca i powiem mu to otwarcie.

Wstydzilem się tego zdania, wstydzilem się jego nędznego patosu, wstydzilem się swego wieku, wstydzilem się, że nie jestem kimś lepszym,

bardziej jej godnym. Ale nie mogłem się cofnąć, musiałem zupełnie się przed nią odkryć, tylko tak mogłem zyskać maleńką szansę, chciałem usłyszeć jej wyrok, czekałem na ułaskawienie albo na szafot i nie mogłem już tego czekania znieść.

– Ado, proszę, powiedz coś – wyszeptałem i też usiadłem na podłodze.

– Dlaczego on? Co tak bardzo cię w nim zainteresowało?

Nie spodziewałem się tego pytania.

– Ja... nie wiem. Po prostu jego droga życiowa, tak, jego droga życiowa, bardzo nietypowa dla...

– Dla milionera wyzyskiwacza? Jest zbyt miły jak na kogoś takiego, prawda? Coś w tym rodzaju?

– Źle mnie zrozumiałaś.

– Właśnie, źle cię rozumiem, a chciałabym cię dobrze zrozumieć.

– Wszystko ci wyjaśnię, wszystko ci powiem. Co chciałabyś wiedzieć?

Od razu pożałowałem swoich słów. Bo dotrzymanie tej obietnicy oznaczało wydanie jej ojca. Jednak niedanie obietnicy było równoznaczne z bezpowrotną utratą Ady.

– Chodzi o tę historię z czasów wojny czeczeńskiej, prawda? – spytała.

Oślupiałem. Byłem pewien, że Orłow zrobił wszystko, żeby trzymać córkę z dala od tej sprawy, by nie dosięgły jej żadne brudy, krew i horror z jego przeszłości. Że włożył wiele starań, by tę historię uczynić niebyłą, i opłacił wielu, by nikt w niej nie grzebał. Śmierć Stanisława Pasternaka, nigdy niewyjaśniona, otwarła jednocześnie puszkę Pandory. Zamieniłem się w słuch: co dokładnie wiedziała i ile? Kto jej o tym powiedział?

– Tak, między innymi – odparłem ostrożnie.

– Ale on jest niewinny. Mam pewność.

To zdanie kompletnie mnie rozbroiło. O mały włos, a rzuciłbym się jej na

szyję. To zdecydowanie w jej tonie, a zarazem ta nieskończona naiwność! A więc nic jej nie powiedział, oczywiście, że nie. Nie odważył się obarczyć córki swoją przeszłością, zresztą nie pasowałoby to do tego, jak pojmował troskę o nią. Najwyraźniej Ada skojarzyła pewne fakty i sama je oceniła.

I wtedy popełniłem straszliwy błąd.

– No, nie wiem... – wymknęło mi się.

Powiedziałem to odruchowo, w najmniejszym stopniu nie zdając sobie sprawy z konsekwencji. Nie miałem pojęcia, jakie wrażenie te słowa zrobią na Adzie. A one natychmiast obudziły jej czujność, zasiały w niej wątpliwości. Zrozumiała, że kwestionuję niewinność ojca.

– Co o tym wiesz? – spytała gorączkowo.

Uspokoiła się nagle, otarła łzy rękawem i utkwiała we mnie wzrok.

– Niewiele... Próbowałem dotrzeć do prawdy, ale prawda jest bardzo, bardzo starannie ukryta.

– Opowiesz mi wszystko?

Przyrzekłem, że to zrobię. Miałem świadomość, że w ten sposób wciągam ją w coś, na co nie jest przygotowana. Był to początek łańcucha faktów, który miał się skończyć jej śmiercią.

W drodze powrotnej do hotelu wzięłem taksówkę. Gdy pozostawiliśmy za sobą szare przedmieścia i szofer zatrzymał się przed luksusowym dekadentckim hotelem, w którym mieszkałem, miałem wrażenie, że to inne miasto. Kontrasty są dla Moskwy czymś tak samo charakterystycznym, jak sobór Wasyla Błogosławionego albo Kreml.

Zaszyłem się w pokoju, rozłożyłem notatki i wszystkie materiały, jakie z sobą przywiozłem.

Około jedenastej do drzwi zapukał Szapiro. Wręczył mi bilet lotniczy do Marrakeszu. Miałem tam odnaleźć ostatniego z całej trójki, Pietruszowa, najbardziej perfidnego i przebiegłego. W Marrakeszu prowadził teraz hotel.

Adres hotelu znajdował się na firmowym pudełku zapalek, które wręczył mi Szapiro. Widniał na nim widoczek przedstawiający świątynię wypoczynku w ogrodzie pełnym palm.

2016/KOTKA

Wynajęła maleńki pokoik ze wspólną łazienką w hostelu w pobliżu Starego Arbatu. Rozłożyła przed sobą plan miasta. W rozmowie z nią Onno wymienił nazwę ulicy: Nikolska. Tam miał stać ten luksusowy hotel St. Regis. A więc Onno stamtąd właśnie wyjdzie. Pytanie tylko, czy sam, czy z Szapirą? W tym drugim wypadku będzie o wiele trudniej za nim iść, ale musi jej się udać. Musi zobaczyć tych mężczyzn na własne oczy. Oczami Nury. Bezpośrednia konfrontacja nie wchodziła w grę, ich reakcje były nie do przewidzenia, nie mogła ryzykować. Chciała tylko trochę bliżej podejść, zrozumieć, co mogła czuć Nura...

Na szczęście naprzeciwko hotelu St. Regis mieściła się galeria handlowa, a przy wejściu do niej kawiarnia należąca do amerykańskiej sieci. Właśnie ją otwierano, więc Kotka weszła do środka i zamówiła kawę. Po rosyjsku. Znała ten język już tylko biernie, lecz teraz, gdy wszystkie jej zmysły były w gotowości, gdy miała czujny i jasny umysł, błyskawicznie zaczęła go sobie przypominać. Zajęła miejsce przy oknie. Przed sobą widziała wejście do hotelu.

Czekała bardzo długo. Nic się nie działo. Zaczęła już myśleć, że może jednak Onno mieszka w innym hotelu, gdy koło jedenastej zobaczyła, jak z niego wychodzi. Poderwała się od stolika i pospiesznie wyszła na ruchliwą ulicę. Rozdzielał ich tłum ludzi i mogła się nie obawiać, że ją dostrzeże. Onno szedł pieszo, co ułatwiało sprawę. W razie czego mogła się schować za ludźmi, autami, budynkami

Szła za nim przez pół godziny. Obejrzał się tylko raz, jakby coś poczuł, i wtedy skuliła się jak bohaterowie filmów kryminalnych, mimo woli uśmiechając się przy tym. Po pewnym czasie Onno zatrzymał się przed piękną starą kamienicą przy spokojnej uliczce. Przez chwilę studiował

nazwiska na domofonie, potem nacisnął przycisk dzwonka. Kiedy brama się otworzyła i znikł w środku, przeszła na drugą stronę ulicy, podeszła do domofonu i również zaczęła czytać nazwiska. A więc tu mieszkał pułkownik.

Zapisała sobie adres, zrobiła komórką kilka zdjęć domu i wróciła na drugą stronę ulicy. Stała między autami i zapaliła papierosa. Czuła w sobie wielką chęć działania, choć sama nie wiedziała dokładnie, co właściwie robi. Miała jednak poczucie, że powinna była tu przyjść.

Nie wiedziała, jak długo tak stała, gdy nagle Onno wyszedł z kamienicy. Wydawało jej się, że spędził w środku zaledwie chwilę. Znowu zgięła się wpół, chowając się przed jego wzrokiem, ale on dosłownie wypadł z bramy i szybkim krokiem ruszył przed siebie. Kotka poszła za nim.

Onno wszedł do metra. Metro było dla niej bezpieczne – bez trudu mogła się ukryć w ludzkiej masie. Wsiadła do tego samego wagonu co on, tyle że na drugim końcu. Jechali długo, nie miała pojęcia, w jakim kierunku. Wsiadł na stacji końcowej. Odczekała kilka sekund, aż znalazł się na ruchomych schodach, i wtedy wyskoczyła z wagonu. Widziała, że długo szukał, nim w morzu podobnych do siebie szarych bloków z wielkiej płyty odnalazł właściwy.

Kiedy Onno znikł w jego bramie, obeszła budynek. Na podwórzu między blokami siedziało wokół blaszanego stołu kilku mężczyzn zajętych grą, słyszała odgłosy rozmowy, jeden z nich się jąkał. Kotka zastygła, cofnęła się kilka kroków – tak, ten mały, niepozorny mężczyzna, to przecież Zając. Oddaliła się na bezpieczną odległość. Pamiętała twarze każdego z trzech mężczyzn, do których miał dotrzeć Onno, oglądała je wcześniej na czarno-białych zdjęciach, które dostała od Onna e-mailem.

„Na co ci potrzebne ich fotografie?” – zapytał ją Onno.

„Chcę po prostu wiedzieć, jak wyglądają” – odpowiedziała.

Tak, chciała zobaczyć ich twarze. Oni za to powinni zobaczyć twarz Nury, kiedy będą patrzeć na nią, Kotkę.

Chwilę potem Juricz, przywołany przez małego chłopca, który pojawił się przed blokiem, wstał, przeciągnął się i szurając nogami, poszedł do domu.

Jak wyglądali mordercy? Czy widać było po nich, że chcą ją zamordować? Co czuła Nura, kiedy zorientowała się, że to pułapka, z której nie wyjdzie żywa? Krzyczała czy głos uwiązł jej w gardle?

Kotka znów zanotowała sobie adres i wróciła przez betonową dżunglę do metra. Było zimno, w powietrzu czuło się śnieg. Naciągnęła czapkę na uszy, a po pewnym czasie weszła do ciepłego, przesiąkniętego różnymi zapachami wagonu metra.

W hostelu położyła się na łóżku. Próbowwała zasnąć, ale sen nie przychodził, za bardzo była podniecona.

„I jak jest w Moskwie?” – napisała do Onna.

„Jeszcze nie wiem, dużo wrażeń” – odpisał od razu, co znaczyło, że wyszedł już od Juricza.

„Udało ci się ich znaleźć?”

„Tak. Choć nie byli specjalnie uradowani moimi odwiedzinami”.

„Myślisz, że to wideo coś da?”

„To znaczy?”

„Że przyjmą zaproszenie?”

„Nie mam pojęcia. Ale on chce się przekonać, jak zareagują”.

„Wydaje mi się to nielogiczne, przecież żaden z nich nie pojedzie dobrowolnie do Czeczenii!”

„O, naprawdę cię to wciągnęło!”

„Dziwisz się? Może ta historia ma jakiś związek ze mną?”

„*Sorry*, nie taki był plan”.

Wymieniając z Onnem te uwagi, zastanawiała się, czy pisze do niego jeszcze jako Kotka, czy już jako Nura.

„To wideo jest testem. Generał chce zobaczyć ich reakcję. I w zależności od tego zdecyduje, co robić dalej” – napisał Onno.

„Ciekawe, co Onno by powiedział, gdyby wiedział, że jestem w Moskwie, całkiem niedaleko” – pomyślała Kotka.

„A ja sędzę, że Orłow już dawno zdecydował” – odpisała i dalej go wypytywała o wizytę u Szujewa i Juricza.

Odpowiadał chętnie. Miał w sobie coś takiego, że bez problemu się dostosowywał. Była to cecha, którą od początku u niego lubiła, chociaż Onno tak samo reagował na tego dwuznacznego człowieka, Orłowa. Kotka notowała sobie wszystko, co powinna zapamiętać. Wszystko, co powinna wiedzieć Nura.

„Kiedy jedziesz do Marrakeszu?”

„Jeszcze nie wiem. Czekam na wskazówki od Szapiry”.

„On też jest w Moskwie?”

„Tak. Ma mnie na oku”.

„A zatem mnie też” – pomyślała Kotka.

„Więc to jest pułapka” – odpisała.

„Co przez to rozumiesz?”

„Wideo to pułapka”.

Znowu posłał jej poirytowany znak zapytania.

Ale już nie odpowiedziała. Zamiast tego wpisała w wyszukiwarce hasło „Moskwa, nocne lokale”. A potem, kiedy już wyświetliły jej się adresy kilku nocnych klubów, które mogłyby ją interesować, wyszukała najtańszy przelot do Marrakeszu.

Zawartość koperty była teraz na jej koncie i Kotka czuła, że wbrew rozsądkowi zapewne ją wyda. Były to pieniądze Nury, pieniądze, które musi wydać na Nurę.

Wybrała się do centrum handlowego naprzeciw hotelu, w którym mieszkał Onno, tam, gdzie dzisiejszego ranka zaczęła go śledzić. Chciała kupić sobie sukienkę, jaka podobałaby się Nurze. Czuła, że powinno to być coś kolorowego. Ostatnim razem miała na sobie sukienkę – czarną, prostą – kiedy R. pewnego wieczoru oznajmił, że zabiera ją do restauracji. Nura, która na zawsze pozostała osiemnastolatką, pewnie by jednak uznała, że czarna sukienka jest zbyt ponura. Potrzebowała więc czegoś lekkiego, młodzieńczego. Po dwóch godzinach kupiła, płacąc niemałą sumkę, sukienkę o dziewczęcym kroju, tuż przed kolana, z wąskim paskiem w talii, w kolorze wyblakłej czerwieni, z dyskretnym kwiatowym rzucikiem. Uznała, że sukienka jest świetna... na noc Nury.

Potem poszła do klubu, którego adres wyszukiwarka wyrzuciła jako pierwszy i którego sama nigdy by nie wybrała, bo było zbyt głośno, zbyt wielu turystów, za dużo popu. Ale miała na sobie sukienkę Nury i poszła tańczyć dla Nury. Nura na pewno lubiłaby pop. Na inne, alternatywne style w muzyce nie starczyło jej krótkiego życia.

Kotka już dawno nie była tak bardzo spragniona życia jak dziś. Dała się porwać ostrej muzyce. Tak łatwo było mieć osiemnaście lat, nawiązać rozmowę z pierwszymi z brzegu, jacy się nawinęli (ci dwaj chłopcy okazali się zmęczonymi turystami z Australii), tak łatwo było spacerować potem po ulicach w przeświadczeniu, że jest się na najwyższym szczycie świata. Kiedy Australijczycy zapytali ją w pewnej chwili, skąd pochodzi, odpowiedziała jednym słowem „Czeczenia” i uśmiechnęła się od ucha do ucha. Twarze pytających zachmurzyły się. Wyobraziła sobie, jakie sceny przysły im do głowy, jakie skojarzenia wywołała w nich nazwa tego kraju, ale było jej wszystko jedno. Kiedy potem koło trzeciej w nocy usiedli w pubie i jeden z nich włożył jej rękę pod sukienkę, wstała i wyszła bez pożegnania. Nura była dumną Czeczenką, nigdy nie pozwoliłaby mężczyźnie tak sobie poczynać.

Następnego ranka odkryła wiadomość od Onna na swoim telefonie.

„Chciałbym, żebyś tu była”.

Uśmiechnęła się tylko. Nie odpisała od razu.

„Kiedy wylatujesz?” – zapytała, kiedy już zjadła obfite śniadanie w kafejce obok hostelu.

„Jutro”.

„Jak długo tam zostaniesz?”

Wiedziała od Onna, że Pietruszow jest właścicielem hotelu. To ułatwiało sprawę. Jeśli będzie trzeba, znajdzie go sama, bez pomocy Onna. Ale musi być ostrożna. Nie wolno jej ryzykować.

Generał miał plan przemyślany w każdym szczególe, tego była pewna, a wideo było pułapką, może też strzałem ostrzegawczym. Ale ona nie pojedzie dobrowolnie nad to zapomniane przez Boga i ludzi jezioro w górach Czeczenii, do miejsca, które oni wszyscy z pewnością starali się wszelkimi sposobami wyrzucić z pamięci. Jeszcze w Berlinie ściągnęła z internetu informacje o tej miejscowości.

Dziwiła się, że Onno tak łatwo uwierzył Generałowi. Może wynikało to stąd, że Onno nie miał nic do stracenia. Tylko to tłumaczyło jego milczące posłuszeństwo. „Przecież naiwnością jest wierzyć, że Generał tak po prostu odkryje przed nim tajemnicę swojej przeszłości. Chodzi mu raczej o odpłatę” – podsumowała Kotka w myślach. Orłow zamierzał odpłacić Onnowi. Ze wszystkich, którzy byli mu coś winni, dług Onna wobec niego był największy.

Ludzie naznaczeni przez wojnę byli najbardziej nieustępliwi w realizowaniu swoich obsesji. Zapłacić będą musieli wszyscy. To pewne. Ale jaką cenę przyjdzie zapłacić jej, jeśli pozostanie w grze? Czy była dla Orłowa jednym z pionków na szachownicy? Lecz jednego nie udało się Generałowi wkalkulować: czynnika o imieniu Nura. Nie mógł wiedzieć, że ona, Kotka, przedziergnie się w Nurę. Już podczas ich pierwszego spotkania zrozumiała, że jeśli będzie działać jak Nura, to stanie się jedynym równym mu graczem, nie – jedynym, który go przewyższa, bo ofiara zawsze ma większą moc niż kat i ta moc ją chroni. Musi to mądrze wykorzystać.

Zdała się na los, pozwoliła, żeby obce miasto wzięło ją w ramiona, choć objęcie to było lodowato zimne i trochę zbyt mocne. Kotka wchłaniała w siebie wszystko z wyostrzoną wrażliwością. Robiła to dla Nury. Wsłuchiwała się w siebie, by nie przeoczyć w sobie jej głosu. Cały czas zastanawiała się, co zrobiłaby Nura, gdyby tu była. Postanowiła przesunąć swój wyjazd do Marrakeszu. Chciała najpierw bardziej zrozumieć Moskwę. Pytanie brzmiało – jak bardzo.

Nadal pisała do Onna, który sądził, że Kotka jest jeszcze w Berlinie. Prowadzenie tej gry sprawiało jej przyjemność. Dziwiło ją, jak łatwo było zrobić ten krok, jak łatwo było odwrócić się od tego, co znane, i wejść w nieznane.

Następnego dnia ruszyła śladami Onna. Szła w dół Sreteńskim Bulwarem, a potem skręciła w Miałniczką, aż doszła do spokojnej ulicy, przy której stały piękne stare kamienice. Przed domem Szujewa zaczęła chodzić w tę i z powrotem. Szujew mieszkał na trzecim piętrze, więc co chwila podnosiła głowę i wpatrywała się w jego okna. Niewiele mogła zobaczyć, nieco słońca wpadało tam tylko popołudniami. Co ten człowiek zrobił z Nurą? Jakie były jej ostatnie myśli? Co zrobiłaby Nura, będąc tutaj? Ona, Kotka, musi zobaczyć oprawców Nury, musi ich skonfrontować z ich ofiarą. Teraz tu postoi, zaczeka, wytrzyma, aż poczuje odwagę, wbrew zimnu, krzepiąc się herbatą w plastikowym kubeczku, kupioną w sklepie na rogu.

Z kamienicy wyszła rodzina z dziewczynką w czerwonej czapce pchającą wózek dla lalek, potem starsza kobieta z jamnikiem. Później przed bramą stanęło dwóch nastolatków. Pokazywali sobie coś na telefonach. Szujew się nie pojawił. Kotka była pewna, że od razu by go poznała. Czekanie było żmudne, pełne napięcia. Tego dnia wróciła do hostelu z niczym.

Następnego ranka kupiła sobie ciepłe rękawiczki oraz grubą czapkę i zaopatrzona w duży kubek herbaty zajęła poprzednią pozycję. Po trzech godzinach wyczekiwania zobaczyła, że z bramy wychodzi starszy mężczyzna w kurtce wojskowej i czapce na głowie. Jego chód był niepewny, ale kark przypominał kark byka. Kotka domyśliła się od razu, że to on. Domyśliła się,

bo wiedziała to Nura, a Kotka umiała już patrzeć jej oczami. Zaczęła iść za Szujewem drugą stroną ulicy. On stanął, sapnął, rozejrzał się zdezorientowany, jakby się zastanawiał, czy czegoś nie zapomniał, a potem ruszył dalej. Gdyby Kotka nie wiedziała, kim jest, ten stary mężczyzna budziłby jej współczucie.

Tymczasem Szujew przeszedł przez skrzyżowanie i skierował się do małego sklepu spożywczego na rogu. Zszedł po schodkach do sutereny i znikł na jakiś czas, a potem znowu się wyłonił i ruszył w drogę powrotną z reklamówką w ręce. Kotka szła za nim w pewnej odległości. On zdawał się nie zwracać na nic uwagi, nie dostrzegał świata wokół, zatopiony w sobie. Minąwszy dwie kamienice, doszedł do parku i usiadł na ławce. Starsza pani z jamnikiem, którą Kotka widziała poprzedniego dnia, minęła go, mówiąc mu dzień dobry. Szujew nie odpowiedział, może jej nie poznał albo udał, że nie poznaje. Sięgnął do reklamówki i wyjął z niej małą butelkę wódki. Potem drżącymi rękoma zapalił papierosa. Zaciągnął się i jego twarz się rozjaśniła. Kotka obserwowała go, stojąc za drzewem. Robił teraz wrażenie odprężonego, sięgnął po butelkę, upił duży łyk, jakby to była woda. Była to jego codzienna dawka zapomnienia.

Czy Nura czułaby satysfakcję, gdyby go teraz zobaczyła? Czy z zimną krwią wepchnęłaby go pod przejeżdżające auto, by jego nędzne życie znalazło szybki koniec? Czy Nura zdobyłaby się na taki postępek? Kotka nie wiedziała. Ale wiedziała, że chce go zobaczyć, jego oczy, jego twarz. Wyszła zza drzewa i zaczęła się do niego zbliżać. Patrzył na nią, nie widząc, zajęty tylko resztką własnego życia i butelką alkoholu, ale ona szła prosto na niego, tak że w końcu musiał ją dostrzec. Zatrzymała się kilka kroków od Szujewa. On się odwrócił, znowu pociągnął łyk wódki i chciał powoli odstawić butelkę, aż nagle zacisnął mocno powieki, pochylił się do przodu i wydał z siebie dziwny świst. Potem skoczył na równe nogi, jakby był młodym chłopakiem i jakby wcześniej tylko udawał starczą niedołężność.

– Kim pani jest? Kim pani jest? – powtarzał ogłupiały, jakby nie był pewien, czy jego zamglony mózg nie zadrwił sobie z niego.

W tym momencie przypomniał sobie chyba wideo, które pewnie już obejrzał.

– Przychodzi pani od Orłowa? Proszę zostawić mnie w spokoju!

Jego głos drżał. Kotka stała bez słowa, nie spuszczając z niego wzroku. W tej chwili do tego stopnia czuła się Nura, że zapomniała o sobie. Szujew jednym ruchem chwycił butelkę i ruszył przed siebie. Nie zastanawiając się, Kotka poszła za nim. Zupełnie nie czuła strachu. Ze strony tego starego, bezradnego mężczyzny nie groziło jej żadne niebezpieczeństwo, a Nura, umierając, wraz z ostatnim tchnieniem wyzwoliła się też z lęku. Na zawsze. Nigdy już nie będzie musiała się bać, niczego i nikogo.

– Proszę zostawić mnie w spokoju, proszę zostawić mnie w spokoju, ja nigdzie nie... Proszę mu to przekazać! Kim pani jest? Czego wy wszyscy ode mnie chcecie?!

Stary człowiek wykrzykiwał to, przyspieszając kroku. Park był pusty, Kotka bez trudu się z nim zrównała. Szła niemal obok niego. Na jego twarzy malowało się przerażenie i coś przypominającego obrzydzenie.

– Odejdź! Odejdź, kurwo! Jesteś dziwką Orłowa! Odejdź! – wołał coraz głośniejsze.

Kotka jednak była tuż-tuż.

– Pomocy! – krzyknął z desperacją i upuścił butelkę.

Wykrzesał z siebie resztki sił i puścił się biegiem. Kotka biegła za nim, zachowując jednakową odległość, by Szujew myślał, że może jej uciec.

Park skończył się nagle za zakrętem, Kotka zwolniła, ale Szujew potknął się na wysokim krawężniku i runął twarzą na jezdnię. W tej samej chwili rozległ się pisk opon, srebrne renault zahamowało gwałtownie, zatrzymując się tuż przed rozrzuconymi rękami Szujewa. Kotka momentalnie zrobiła w tył zwrot i ukryła się za drzewem.

Koło leżącego na jezdni Szujewa pojawiła się jakaś kobieta, zaczęła coś do niego mówić. Szujew podniósł głowę, jego szeroko otwarte oczy były

pełne przerażenia. Pokazał palcem w stronę parku, tam jednak nikogo nie było. Kobieta próbowała go uspokoić i postawić na nogi, ale on jakby przyrósł do asfaltu, kręcił tylko głową i pokazywał na park.

Kotka wyszła zza drzewa i ruszyła przed siebie. Łzy spływały jej po twarzy. Pozwalała, żeby kapały jak krople deszczu. Kiedy już się oddaliła na bezpieczną odległość, usiadła na chodniku i głęboko nabrała powietrza w płuca. Teraz, kiedy znów bardziej była sobą niż Nurą, poczuła, że zaczyna ogarniać ją strach. Miała miękkie kolana i sucho w ustach. Wróciła do niej myśl, która pojawiła się w jej głowie, kiedy czekała przed domem Szujewa, i zdrętwiała z przerażenia: „Czy Nura z zimną krwią wepchnęłaby go pod przejeżdżające auto, by jego nędzne życie znalazło szybki koniec?”. Jeszcze przez chwilę siedziała w bezruchu na chodniku, przerażona swoim czynem, a raczej pragnieniem, które, jak jej się wydawało, dzieliła z Nurą, pragnieniem zaszkodzenia staremu człowiekowi.

W kieszeni kurtki znalazła zmięte pudełko papierosów, wyjęła jednego i zapaliła.

– Nie powinnaś palić. Już bardziej pasuje do ciebie picie – powiedział do niej R.

Było to po ich pierwszej wspólnej nocy, kiedy rano usiadła naga na parapecie i zapaliła papierosa. Nalegał, żeby jeszcze chwilę się nie ubierali. On też chodził golutki po kuchni i parzył kawę. Czowała się nieswojo, przyciągnęła nogi do siebie i objęła rękami. Nie chciała, by patrzył na nią w ostrym świetle dnia. Ale on traktował to inaczej. Ukrywał uczucia, lecz nie miał oporów, by wystawiać na pokaz ciało, pozwalając jej oglądać się w bezlitosnym świetle słońca, jakby chciał powiedzieć: „To ja, przyjrzyj mi się dokładnie, zastanów się, czy jesteś gotowa przyjąć mnie takiego, jak mnie widzisz, czy jesteś gotowa ze mną wytrzymać”.

– I będziesz miała wkrótce cerę palaczki – dorzucił jeszcze, stawiając przed nią dymiącą pyszną kawę.

– Co to wszystko tu znaczy? – spytała.

- A co ma znaczyć?
- Myślę, że od nas zależy, co z tym zrobimy.
- A co byś chciała z tym zrobić?
- Jeszcze nie wiem.
- To już nieźle. Przynajmniej nie jesteś od razu we mnie zakochana i nie domagasz się, żebyśmy kupili gospodarstwo na wsi i mieli gromadę dzieci.
- Nie znoszę wsi, a jeśli chodzi o dzieci, to nie wiem, czy w ogóle chcę je mieć.
- To mi się w tobie podoba.
- Co mianowicie?
- Że jesteś wolna od stereotypów.
- Jakich stereotypów?
- Jakim powinno się być. Jak powinno się żyć. Jak powinno się żyć z sobą, żeby wolno to było nazwać miłością.
- *Wow*, używasz drastycznych słów!

Udawiała zimną, wyluzowaną, a jednocześnie się bała, bo powiedział coś, co właśnie poczuła i przed czym zaczęła się bronić wszystkimi sposobami, świadoma, że on nie jest kimś, z kim może poruszać takie tematy. A teraz on sam wypowiedział te słowa. To ją zaskoczyło i jednocześnie przestraszyło. Ale tak przyjemnie było pić tę pachnącą kawę, czuć na skórze ciepło słońca i jego bliskość, irytującą i oczywistą zarazem.

- Drastycznych słów? Dlaczego drastycznych? A masz inne? Na przykład sympatia, partnerstwo, towarzyszenie na pewnym etapie życia?
- Myślałam, że masz w głowie szufladki.
- Miłość nie jest żadną szufladką!

Nagle się zirytował. Jakby powiedziała coś, co go głęboko dotknęło i obraziło. I może tak było. Potrzebowała kilku miesięcy, żeby zrozumieć, że

był do głębi przekonany, że ofiarowuje jej nieskończenie wiele, a swoją sympatię okazuje bardziej niż hojnie. Nie zdawał sobie przy tym w ogóle sprawy, jak bardzo się chowa i barykaduje, by chronić własne „ja”.

– Zostawmy ten temat, dobrze? Zjedźmy spokojnie śniadanie.

Wprawdzie wydało jej się głupie tak demonstracyjne zmienianie tematu, ale co mogła powiedzieć, kiedy zaczęła się bać, że on coś zauważy, że przejrzy pozory, które stwarzała.

– Lubię twoje piersi. To wolno mi chyba powiedzieć? – rzucił przekornie i wyszedł z kuchni, podczas gdy ona została z podkurczonymi nogami na parapecie okna, a serce biło jej jak oszalałe.

Następnego dnia pojechała na obrzeża Moskwy, na osiedle z wielkiej płyty, pod brzydki pięciopiętrowy blok, gdzie mieszkał Juricz. Jadąc metrem w tamtą stronę, obmyślała kilka wariantów spotkania z Juriczem, który wyglądał niepozornie, ale nie był tak zniedołężniały jak Szujew. Musi uważać, nie może ryzykować. Pokaże mu się tylko i zniknie. Zachowa konieczny dystans. To jest w interesie Nury.

Nie może dać się opanować wątpliwościom, jakie ją nachodziły od chwili sprowokowanego przez nią wypadku Szujewa. Będzie działać pewnie i zdecydowanie. Musi iść bez wahań drogą Nury.

Szukając wśród bloków domu Juricza, wysłała do Onna pytanie: „Jak myślisz, co się stanie w Czeczenii, jeśli oni przyjadą?”.

Odpowiedź przyszła po dłuższej niż zwykle chwili: „Jestem pewien, że Generał zechce wyciągnąć z nich zeznania, które potem opublikuje. Ma teraz takie wpływy i możliwości, że może wszcząć nowy proces”.

Onno nie zwlekał z odpowiedziami, nie taił przed nią niczego. Był sam. Za długo był sam, więc teraz chętnie dzielił się z Kotką swymi przemyśleniami. Pogląd Onna na całą sprawę wydawał się Kotce przekonujący, nie mogła jednak opędzić się od pewnych wątpliwości. To, co mówił Onno, było dla niej zbyt oczywiste.

Przy blaszanym stole na podwórzu między blokami, gdzie mężczyźni grywali w domino, nie było nikogo. Światła w oknach domów miały różne odcienie: niezliczone barwne kwadraciki w niekończącym się betonowym morzu. Zapamiętała klatkę schodową, ale nie pamiętała piętra. Usiadła na stole i czekała. Co poczuł Juricz, oglądając wideo? Jeśli ma rodzinę, co powiedział żonie, dzieciom? Zdążyła wypalić trzy papierosy, nie zdejmując rękawiczek. Jasne światła miasta już tu nie sięgały, wszystko zdawało się smętne i beznadziejne.

Jakie uczucia mogła wywołać twarz Nury w tym niepozornym człowieku, który sprawiał wrażenie, że nie potrafiłby skrzywdzić muchy? Kotka pomyślała, że czasami trudniejsze od zabijania jest przyglądanie się, jak zabijają inni, bo przypomniawszy sobie szklany wzrok ojca, gdy kierował samochód w stronę, gdzie spodziewał się znaleźć wieczny spokój.

Na podwórzu blokowiska weszli dwaj starsi mężczyźni w dresach, zajęci rozmową, ale Juricza z nimi nie było. „Przydomek Juricza, Zając, zdradza więcej niż przydomek Orłowa, Generał” – pomyślała Kotka. Nasuwa myśl o drwinach i upokorzeniach, które przez lata Juricz musiał znosić i które odcisnęły swe piętno w jego wyrazie twarzy i sposobie poruszania się. Kotka zobaczyła małą dziewczynkę prowadzoną przez babcię za rękę. Obie znikły w jednej z klatek schodowych. Kotka marzła, ale nadal czekała. Właściwie na co?

Naraz na podwórko wszedł Juricz. Trzymał za rękę kilkuletniego chłopca w nausznikach, który z ożywieniem coś mu opowiadał. Ten widok ją zaskoczył. Ile lat mógł mieć ten mały? Czy wiedział coś o swoim ojcu? Czy będzie chciał poznać o nim prawdę, gdy dorośnie?

Nie miała czasu, by się ukryć, zeskoczyła tylko ze stołu i stanęła bez ruchu, bo on już ją zauważył i wlepił w nią wzrok. Szedł w jej stronę powoli, jak zahipnotyzowany. Jego synek nie przerywał, nadal z ożywieniem coś mu opowiadał. Przez ułamek sekundy zastanawiała się, czy nie odwrócić się i nie uciec, ale wtedy zmieniłaby się z tropiącej w ściganą.

– Jesteś... jesteś jej siostrą? – wyjąkał Juricz, podszedłszy blisko.

Dzieliło ich kilka kroków.

Tak, może była jej siostrą, o wiele młodszą siostrą Nury. Nie odpowiedziała jednak, bo nie zasługiwał na wyjaśnienie. Juricz pochylił się nad synkiem, szepnął coś do niego. Chłopiec chciał zaprotestować, ale Juricz podniósł głos i mały szybko, jak ugryziony przez tarantulę, pobiegł do domu.

W twarzy Juricza nie było przerażenia, tylko głęboki smutek zakleszczonego w nim już na zawsze człowieka. Patrzył na nią wyblakłymi oczami.

– Ja... ja... Tak mi przykro. Ja... sam mam dwoje dzieci. Dwóch chłopców, osiem i sześć lat. A moja żona i ja... chodzimy do cerkwi. – Czuł, że to, co mówi, jest śmieszne, ale jakoś musiał się wytłumaczyć. – Proszę mu powiedzieć, że ja wtedy wszystko bym wyjaśnił, gdyby przyszło co do czego, wie pani... Wszystko bym opowiedział, ale Pietruszow i Szujew... Proszę przekazać, że nie mogę przyjechać. Nie mogę do Cze... Co miałbym powiedzieć żonie? Ja...

Nagle zaczął szlochać. Szlochał jak dziecko, z nosa leciały mu smarki, wycierał je rękawem.

– Ja... ja... Była przecież wojna. Ja jej nie zabi... Ja jej nie...

Połykał słowa, które sobie przeczyły. Kotka stała bez ruchu i patrzyła mu w twarz.

– Co to za głupi pomysł? Pani siostrze nie przywróci to życia, a pani... pani nie może przecież współpracować z człowiekiem, który pani siostrę...

Zamilkł. Przypisywał morderstwo Generałowi? Chciał ratować własną skórę?

– Ja... ja nie przyjadę. Moja rodzina i ja przeżywamy teraz trudny okres. Chcą rozebrać te bloki, my walczymy o... Ale cóż to panią interesuje – powiedział nagle, odzyskując na chwilę panowanie nad sobą. – Ja mam pracę, zbliża się Nowy Rok, wie pani, i dzieci... Niechże pani coś powie! Niech

pani wreszcie coś powie! – krzyknął.

Ciekawe, że kiedy podnosił głos, nie jękał się, jakby złość dawała mu niezbędną pewność siebie, by mógł mówić, co naprawdę myśli.

– Ja jej nie... Ja jej nie... Ja z tą sprawą nie mam już nic wspólnego. Słyszysz pani? Słyszysz pani?!

Kotka dała krok przez ławkę i wyminęła Juricza, prawie dotykając w przelocie jego ramienia. Juricz ruszył za nią, chciał może od niej jakiejś odpowiedzi, potwierdzenia, że rozumiała, co mówił. Ale ona przyspieszyła kroku i zostawiła go w tyle. Juricz się zatrzymał. Dotarło do niego, że niczego od niej nie uzyska.

Dla Kotki stało się jasne, że ani Szujew, ani Juricz nie przyjmą zaproszenia na spotkanie w Czeczenii i że wideo posłużyło Generałowi tylko do upewnienia się, że przez dwadzieścia lat, które minęły od zbrodni, nie zmienili się ani na jotę. Generał uzyskał w ten sposób uzasadnienie decyzji, by rozpocząć polowanie. Co do tego, że takie polowanie się odbędzie, Kotka nie miała żadnych wątpliwości.

[1] *Voilà!* (fr.) – No i proszę!

2016/GENERAL

– Pilot pyta, kiedy start.

Szapiro cicho zapukał i usłyszawszy krótkie „tak”, wszedł do gabinetu Generała. Decyzja o starcie należała do szefa.

– Wejdz, napij się ze mną. Może toniku? – powiedział Generał do swego najbardziej lojalnego towarzysza i najbardziej tajemniczego osobnika, jakiego wydała ludzkość. Po latach ich wspólnych walk i zwycięstw ten małomówny i pozbawiony emocji mężczyzna ciągle stanowił dla niego zagadkę. – Powiedz mu, że startujemy jutro o siódmej, niech przygotuje cessenę.

– Myślałem, że weźmiemy gulfstreama. Stoi gotowy.

– Powiedziałem: cesseną. Koniec kropka.

– Dobrze, przekażę.

Szapiro wykonał krótki telefon i usiadł w skórzanym fotelu naprzeciw Generała. Generał nalał mu toniku, który Szapiro wziął z takim samym wyrazem twarzy, z jakim czasem obijał komuś pysk albo wyjmował z rąk córki Generała torby z zakupami.

– Zdrowie! – Generał uniósł kieliszek.

Szapiro odpowiedział podobnym gestem, bez słów.

„Czy pamięta ten ostatni raz, kiedy pił alkohol? – pomyślał Generał. – Z pewnością. Ma fenomenalną pamięć”.

Generał świetnie pamiętał ich pierwsze spotkanie po wyjściu na wolność. Było to niecały rok po urodzeniu się Ady. W więzieniu poprosił Szapirę o numer telefonu, bo był pewien, że los go jeszcze z nim zetknie, chociaż Szapiro był przekonany, że nigdy w życiu się nie zobaczą. Szapiro podał mu numer telefonu mieszkającej w Moskwie ciotki, u której zamierzał się

zainstalować, gdy opuści więzienie.

Siedział pół roku dłużej niż Generał. Gdy tylko wyszedł, Generał zadzwonił na podany numer. Odebrała starsza, prawie głucha kobieta, która nic nie rozumiała i ciągle pytała tylko, kto dzwoni. W pewnej chwili ktoś wziął od niej słuchawkę.

Usłyszał trochę niewyraźny, bełkotliwy głos. Był to głos Szapiry. Ukraińiec potrzebował kilku sekund, żeby rozpoznać Generała po głosie. Ten szczególnie Orłowa ucieszył, bo potwierdzał, że wtedy w więzieniu Szapiro pomógł mu nie z wyrachowania. Również szorstkość jego tonu podobała się Generałowi, ponieważ świadczyła o tym, że Szapiro nie stara się nikomu przypodobać.

– Cieszę się, że już wyszedłeś i jesteś w Moskwie. Chciałbym się z tobą zobaczyć. Może miałbym dla ciebie pewną propozycję.

Szapiro odpowiedział tak samo beznamiętnie, jak wtedy, gdy w więzieniu ostrzegł go przed niebezpieczeństwem. Krótkie: „Dobrze, jak chcesz” musiało Generałowi wystarczyć.

Umówili się w południe w urzędzonej na obowiązującą wtedy zachodnią modłę kawiarni w pobliżu MChAT-u^[1]. Szapiro się spóźnił. Czuć było od niego alkoholem. Niezobowiązująca pogawędka była stratą czasu, więc Orłow od razu przeszedł do rzeczy.

– Mam posadę w GUSS-ie. Wiesz, co to jest GUSS?

– Wiem – powiedział Szapiro i podrapał się po przedramieniu.

– Dostałem tam robotę w zamian za milczenie.

Sam się sobie dziwił, że mówi o tym z Szapirą tak otwarcie, ale wyraźnie czuł, że z tym dziwakiem nie może sobie pozwolić na jakąś grę czy niedopowiedzenia.

– Tak przypuszczałem.

– Po śmierci Pasternaka znalazłem się na przegranej pozycji.

– Mi nie musisz tego tłumaczyć.

– To dobrze. Domyślasz się też pewnie, że w GUSS-ie nie jestem mile widziany. Ale ja zamierzam się tam utrzymać. Chcę ich wycisnąć do ostatniej kopiejki i potrzebuję kogoś, kto będzie mnie ubezpieczał.

– Mnie tym bardziej nie będą tam chcieli. Przecież dopiero co wyszedłem z paki. Halo! – zawołał do kelnerki. – Proszę o butelkę wódki, wszystko jedno jakiej. Nie będą chcieli kłopotów – znowu zwrócił się do Generała. – Poza tym groźby wobec mnie wcale się nie skończyły, jeszcze teraz kilku niekoniecznie przyjemnych chłopaczków za mną łązi. Nie jestem dla ciebie dobrą obstawą, wierz mi.

– Przeciwnie, jesteś właśnie tym człowiekiem, którego potrzebuję.

Szapiro nagle zastygł i spojrzał Generałowi prosto w oczy, jakby tam szukał odpowiedzi. I znalazł. Rozdziawił usta, po chwili rozciągnął wargi w czymś, co przypominało uśmiech, a w końcu pokiwał głową.

– Rozumiem... Chcesz im pokazać, co? System cię wyruchał, teraz ty chcesz wyruchać system. Dobrze... Ale czy jesteś dość mocny, żeby postawić się chłopakom z miasta? – Znów bacznie mu się przyjrzał.

Na stoliku stanęła butelka drogiej wódki, Szapiro napełnił dwa kieliszki, nie pytając, czy Generał będzie pił.

– Jeśli chcesz... to... jestem gotowy, tak.

– Czyli wchodzisz w to?

– Jak rozumiesz, że ktoś cię będzie ubezpieczał?

– Ty mi powiedz.

– Dobierasz się komuś do skóry, chcesz ujawnić czyjeś ciemne sprawy?

– Myślę, że tak.

– Nie lekceważ ich. To są ciągle wojskowi skurwiele, nie jakieś tam złodziejaszki kieszonkowe.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

– I myślisz, że dasz radę, żeby ci z GUSS-u zaczęli rzygać krwią i żółcią? Do tej pory nie zawsze byłeś zwycięzcą.

Przebieg rozmowy był Generałowi nie w smak. Lecz ta rozmowa była szczerą. Szapiro potrzebował zajęcia, to było widać, a on mógł mu je dać. Teraz jednak siedział naprzeciw niego jak uczeń, który musi pokornie słuchać i grzecznie odpowiadać na pytania. Szapiro tymczasem zdążył opróżnić trzeci kieliszek.

– Mam poczucie, że odbieram solidne pouczenie – mruknął Generał.

– Ej, spokojnie, ty jesteś gościem nie wiadomo skąd, a oni to armia.

– Wydawało mi się, że obaj myślimy podobnie.

– Nie chodzi o ciebie ani o mnie. Tu nikogo nie interesuje, kto kogo lubi, a kogo nie znosi. Jeśli chcesz grać bohatera, musisz wiedzieć, jaką bronią dysponujesz. Z mieczem na kałasznikowa nie masz się co porywać.

– W zarządzie GUSS-u są dwie grube ryby. Zajmują się inwestycjami specjalnymi. Nazwijmy ich Gruby i Chudy. Ci dwaj dzielą się większością zysków. Gruby kasuje wpływy z budowy garnizonów, a Chudy z obiektów specjalnego przeznaczenia i baz wojskowych. Ale Gruby nie wie, że Chudy go kantuje. Ostatnio bez uzgodnienia z nim Chudy zawłaszczył silosy rakietowe. Oszukuje Grubego. Mam dowody i te dowody wkrótce zostaną Grubemu podrzucone.

– Dobrze, plan wygląda na przemyślany. Ale co dalej? Między tymi dwoma dojdzie do wojny. Na placu boju zostanie ten lepiej chroniony. A ty spodziewasz się stołka po tym, który wyleci, mam rację?

– Tak.

– Ale ciągle jeszcze będzie istniał albo Gruby, albo Chudy. Zależy, który się ostatecznie.

– No tak. I wtedy do gry wkroczysz ty – powiedział Generał.

- Chcesz się zająć jego brudnymi sprawkami?
- Dobrze to ująłeś.
- Masz jakiś pomysł?
- Chudy posuwa żonę generała, któremu podlega GUSS.
- Dobrze, sprawa podoba mi się coraz bardziej. A co z Grubym?
- Gruby ma przyjaciół, którzy współpracują z partyzantami z Groznego w sprawach ropy. No i czternaście ton ropy rocznie nie dociera w ten sposób do kraju.
- Dzielny chłopak! Przyłożyłeś się! Twoje zdrowie!
- Więc wchodzisz w to?
- A ty? Czego będziesz potem chciał? Fotela szefa?
- Fotela szefa.
- Przynajmniej jasna deklaracja. Nie możesz zakończyć tej wojny, chcesz więc chociaż na niej zarobić. O to ci chodzi?
- Wybacz, ale nie wyglądasz mi na kogoś, kto w życiu stara się być specjalnie moralny.
- Ja nie, ale ty tak. Wszystko, co do tej pory robiłeś, albo, powiedzmy, próbowałeś robić, nieznośnie jechało moralnością.
- Wszystko, co do tej pory robiłem, już się nie liczy.
- Dobrze, jak uważasz. W każdym razie wchodzę w to.
- No to uzgodniliśmy stanowiska. Jest tylko jeszcze jedna rzecz...
- Jaka?
- Koniec z alkoholem! Nie mogę sobie pozwolić na żaden błąd. Nie będziesz pił w robocie.

Szapiro rzucił mu krzywe spojrzenie. Przez chwilę Orłow myślał, że go rąbnie. Ale tamten dopił spokojnie swoją wódkę, odstawił kieliszek i skinął

głową.

– W porządku. Jak koniec, to koniec.

Dotrzymał słowa. Generał, patrząc teraz na Szapirę siedzącego przed nim na fotelu, zastanawiał się, czy ten oddany mu człowiek nie żałuje podjętej wtedy decyzji, czy nigdy nie chciał innego życia. Jedynym nałogiem, na jaki Szapiro pozwalał sobie od czasu ich rozmowy, były wesole, głośne, niespecjalnie wykształcone kobiety, w których łóżkach znikał na całe dnie, kiedy dostawał od Generała wolne. Kontakty rodzinne utrzymywał tylko z bratanicą i bratankiem. Dzieci brata studiowały za granicą, a Szapiro wspierał je finansowo i kontrolował na odległość z właściwą sobie pieczołowitością. Pilnował, by żadne z nich nie zeszło z obranej drogi i nie poddało się wpływowi niszczących genów, które mogły odziedziczyć po ojcu.

Co do Generała, to ten nigdy nie żałował, że wsiadł z Szapirą na tę szaloną karuzelę. Od początku obaj świetnie się uzupełniali. Wszystko, czego brakowało Generałowi, miał w sobie Szapiro, a wszystko, czego potrzebował Szapiro, wnosił w ich układ on.

Z upływem lat ich lakoniczne rozmowy stały się jeszcze bardziej lakoniczne. Obywali się niemal bez słów. Zawsze wiedzieli, co zamierza drugi, odgadywali swoje myśli. A początkowa arogancja Szapiry wobec Generała zmieniła się w zdumiewającą dla postronnych obserwatorów niemal boską cześć.

Generał podejmował decyzje, Szapiro je wykonywał. Najważniejsze było to, że ich działania wynikały z podobnych emocji. Był to wstręt, który skryzalizował się w nich w minionych czasach pod wpływem szoku i który dawał im odwagę posuwania się zawsze o krok dalej, niż spodziewał się przeciwnik.

Gruby i Chudy, jak nazywali między sobą szefów zarządu GUSS-u, to była pierwsza próba, której sprostali. Szapiro wynajął wtedy mieszkanie położone naprzeciw lokum, w którym Chudy spotykał się ze swoją kochanką. Fotografie, które zrobił, z powalającą ostrością dokumentowały uciechy

cielesne tych dwojga i jako niepodważalny dowód trafiły dzień później na biurko męża kochanki. Orłow nie zawahał się też przekupić dwóch pośredników i pojechać do opuszczonej fabryki, gdzie spotkał się z grupą określaną jako terrorystyczna i kupił od niej informacje poświadczające, że Gruby wplątał się w nielegalne interesy związane z ropą naftową na obszarze objętym wojną. Gruby i Chudy stracili swoje stanowiska w ciągu pięciu miesięcy, a ich miejsce zajął Orłow. Pierwszy milion zarobił na budowie tajnego kosmodromu. Nie poczuł żadnej radości, żadnej ulgi – czuł pustkę, której nie wypełniła ani satysfakcja z zemsty, ani radość z pokonania przeciwników.

Szapiro spojrział na niego wtedy ze współczuciem i powiedział: „Zapomnij o moralności, Aleksandrze. Zapomnij o Dostojewskim i o bajkach, w których na końcu zawsze zwycięża ten dobry. To wszystko bzdury. To tak nie działa. Przynajmniej nie u nas”.

W tamtym momencie Generał żałował, że zabronił Szapirze picia i skazał go na tak bezwzględnie trzeźwe spojrzenie na rzeczywistość.

Dla Soni i siebie Generał kupił mieszkanie w Leningradzkim Zaułku. Przy dobrej pogodzie, kiedy okna były otwarte, dobiegały tu dźwięki muzyki klasycznej z pobliskiego konserwatorium. Kiedy siedział przy oknie, trzymając na rękach Adę, zapominał o GUSS-ie, o armii pełnej skorumpowanych, chciwych szybkich zysków, na wszystko gotowych ludzi, którzy krok po kroku zawłaszczali kraj. Zapominał o chmurnej minie Soni, dla której ten świeżo osiągnięty dobrobyt nie stanowił, wbrew oczekiwaniom, żadnego zadośćuczynienia, a przede wszystkim nie przyniósł jej upragnionego spokoju. Zapominał o wyrzutach sumienia spowodowanych tym, że od miesiąca nie odwiedza matki i mimo jej próśb i błagań nie daje jej niczego poza kopertami z pieniędzmi, regularnie przekazywanymi przez Szapirę. Zapominał, że stale musi się mieć na baczności przed wrogami, których błyskawicznie mu przybywało. Zapominał o tym wszystkim, wsłuchiwał się w możliwość innego życia, życia, o jakim marzył niegdyś, zanim spakował plecak swego ojca i poszedł tam, dokąd nigdy iść nie

powinien.

Oczami wyobraźni widział Sonię i Adę w pięknym, bezpiecznym miejscu, ich całą trójkę idącą na wytworny koncert i zanurzającą się coraz głębiej w morzu wspaniałych dźwięków. Wyobrażał sobie, jak wieczorem jedzą wspólnie kolację, słyszał śmiech i żarty swych kobiet, widział, jak pieką ciasto w kuchni pełnej mąki na wszystkich blatach. Wyobrażał sobie, że stoi w jakimś muzeum przed imponującym obrazem, a potem pisze o nim rozprawę. Wyobrażał sobie, że wprowadza Adę w świat sztuki i że Ada wychowuje się w miejscu, gdzie ludzie nie są zmuszeni do wybierania między morderstwem a samobójstwem. Ale takie chwile nie trwały długo, z marzeń wrywały go telefony, najczęściej szło o kolejną wielką akcję, o następną zdobycz, bo władzę trzeba było potwierdzać ciągle od nowa i od nowa trzeba było zwyciężać wrogów. Całował wtedy Adę w czoło, zdejmował ją z kolan, wołał do Soni, że musi iść, i wychodząc z mieszkania, z głośnym hukiem zatrzaskiwał za sobą drzwi.

Przeczuwał, a raczej wiedział od początku, że Sonia długo tego nie wytrzyma. Samotne, pustelnicze życie, jakie prowadziła u jego boku, wkrótce odbije się na nich wszystkich. Dla Soni najgorsze było to, że nie mogła mu niczego zarzucić – przecież domagała się od niego, żeby podjął właśnie taką decyzję, jaką podjął. Nie wzięła wtedy pod uwagę, że mimo luksusowego mieszkania i wszystkich drogich mebli, w jakie je wyposażyli, mimo pomocy domowej i opiekunki do dziecka, nie odzyska mężczyzny, którego kochała. Wierzyła, że ciemne wspomnienia rozwieją się jak czarne chmury, gdy Aleksander zdobędzie pewną posadę, a z nią stabilność finansową, i że znowu stanie się tym niepewnym, nieśmiałym, zakochanym w niej chłopcem, jakim był kiedyś w Szczukino. Zamiast tego miała obok siebie milczącego, zamkniętego w sobie człowieka, który żył w ciągłym napięciu, którego łatwo było wyprowadzić z równowagi i który co dzień stawał się jej bardziej obcy, zimny, coraz bardziej agresywny, a przede wszystkim – i to kompletnie ją zaskoczyło – coraz bardziej żądny władzy. Bardziej niż pieniądze fascynowała go bowiem władza, którą teraz dysponował. Z tego powodu

Sonia cierpiała najbardziej: wiedziała, że to jej żądania doprowadziły do obecnej sytuacji.

Światem Soni było Szczukino – prostackie i prymitywne przedmieście Moskwy i jego anonimowe podwórka, wysokie bloki, cuchnące moczem przejścia między domami. Robotnicy i pijacy. Uliczne gangi i wałęsające się kundle. Bezrobotni i drobni naciągacze. Tam codziennością była beznadzieja, z której niekiedy dało się wyrwać jakiś piękny dzień. W wypucowanym, eleganckim centrum starej Moskwy Sonia czuła się obco, nie u siebie, miała wrażenie, że jej inność rzuca się w oczy. Nie rozumiała niepisanych praw tego miejsca, nie wiedziała, jak się ma zachowywać, jak rozmawiać, jak się ubierać. Zdawało jej się, że stąpa po tafli zamrożonego jeziora, która w każdej chwili może się pod nią załamać. A ten, który mógł ją wziąć za rękę, z którym mogłaby się uczyć tego nowego życia jak eleganckiego walca, ciągle był nieobecny. Nawet jeśli był w domu, to jedyną istotą, z którą rozmawiał, której dotyczył i dawał odrobinę miłości, była Ada. Ona, jego żona, stała się dla niego przezroczysta. Cokolwiek robiła czy mówiła, czarowała czy prowokowała, chwaliła go czy na niego wrzeszczała – nic nie działało. Obsesyjnie powtarzał: „Sama tego chciałaś!”.

To zdanie zamykało jej usta, odbierało wszelkie argumenty, prawo żądania od niego czegokolwiek.

W tajemnicy przed nim raz w tygodniu zaczęła jeździć do Lidii Nikołajewny, żeby babcia mogła nacieszyć się wnuczką. Mimo że trudno byłoby znaleźć dwie kobiety bardziej różniące się od siebie niż one, kilkumiesięczna nieobecność Aleksandra sprawiła, że połączyła je smutna bliskość. Nie była to spontaniczna sympatia, lecz oprócz siebie nie miały nikogo, a w końcu łączyła je miłość do tych samych osób. Gdy Sonia była w ciąży, Lidia Nikołajewna chroniła ją, dbała o nią, stała się dla niej prawie jak matka. I teraz Sonia – by złagodzić straszliwą karę, jaką na jej teściową nałożył syn – dawała jej możliwość uczestniczenia w życiu Ady.

Lidia Nikołajewna, krucha, zatrwazająco już wątła kobieta o wilgotnych oczach, przywiązała się bardzo do swoich „złotych dziewczyn”. Z małą Adą

godzinami potrafiła się bawić lub czytać jej książeczki, ciesząc się wnuczką, którą syn chciał trzymać od niej z daleka. Sonia wychodziła wtedy na podwórze, którego w starej Moskwie tak bardzo jej brakowało. Siedziała, paliła papierosy i obserwowała sąsiadów, stare i nowe twarze, kłótnie chłopaków i ich godzenie się. Odkąd się stąd wyprowadziła, urosło już nowe pokolenie i ono też miało swoich zwycięzców i przegranych. Obserwowała życie swego dawnego osiedla, a w tym czasie Lidia Nikołajewna kilka pięter wyżej oglądała z wnusią kreskówkę *Wilk i Zając* albo czytała jej książeczkę.

Przypadek sprawił, że któregoś dnia na podwórko zajrzał Inkasent, z którym Sonia od wyprowadzki nie miała żadnego kontaktu. On też już tu nie mieszkał, handlował teraz narkotykami i wymuszał haracze w zamian za ochronę, przez co awansował w hierarchii lokalnych kryminalistów. Kiedy zobaczył Sonię, porwał ją na ręce, podrzucił do góry, a potem zakręcił w kółko.

– Gdzie ta ciota, twój mąż? – zapytał. – Słyszałem, że jest teraz grubą rybą w zarządzie budownictwa czy gdzieś tam.

– Nie ma go w Moskwie. Cieszę się, że cię widzę, Pietia.

– A ty co tu robisz?

– Przyjechałam z dzieckiem odwiedzić teściową. Mała jest u niej.

– Wyglądasz jakoś... nie wiem, jakoś tak niespecjalnie. To przez niego? Zawsze ci mówiłem: daj sobie spokój z tym maminsynkiem! Ja tu jestem, twoje przeznaczenie!

– Przestań. Nie jestem w nastroju.

– Dobrze, dobrze. Więc w jakim nastroju jesteś? Musimy uczcić nasze spotkanie, mała.

– Mam czas do wieczora. Możemy pójść się czegoś napić.

– To rozumiem. Muszę tylko załatwić jedną rzecz. Potem zabieram cię na przejażdżkę godną królowej. Twój gówniany mąż nie ma o takich rzeczach pojęcia. Jesteś dziewczyną ze Szczukino, potrzebujesz czegoś prawdziwego,

mocnego, no nie?

Dwie godziny później siedzieli w jego samochodzie zaparkowanym na jednokierunkowej ulicy i wciągali biały proszek. Inkasent przerzucił się z handlu heroiną na kokainę i zapewniał, że „białe gówno” to przyszłość.

Pili koniak prosto z butelki i przez trzy godziny bez przerwy jeździli autem, słuchając głośnej „muzyki więziennej”, którą lubił Inkasent. Piosenki mówiły o mężczyznach, którzy bronili swego honoru i przeważnie byli na bakier z prawem.

Częstotliwość odwiedzin Soni u Lidii Nikołajewny znacznie wzrosła. Gdy tylko drzwi zamykały się za Aleksandrem, Sonia brała taksówkę do Szczukino i czekała, aż Inkasent zajedzie na podwórze swoim wypasionym wozem. Znowu spędzali razem całe dni jak za dawnych dobrych czasów i po raz pierwszy od miesiąca Sonia znów czuła, że żyje. Palili, pili, opowiadali sobie sprośne kawały, grali w karty z chłopakami z podwórka i zazwyczaj wciągali kokę. Lidia Nikołajewna, szczęśliwa, że może często widywać wnuczkę, nie zadawała żadnych pytań, bo nie wyobrażała sobie już życia bez odwiedzin Soni z Adą.

Najczęściej też Sonia wracała do domu przed swoim mężem, który zresztą rzadko pojawiał się wcześniej niż koło północy.

Oczywiście Generał zauważył raz czy drugi jej dziwną euforię, czuł zapach alkoholu, widział nienaturalną dla niej energię, ale nauczył się patrzeć na nią jak przez szybę i nie reagować. Niepotrzebne pytania pogorszyłyby ich i tak już napięte stosunki. Sonię opanowywało niekiedy pragnienie, żeby mąż zaczął ją śledzić albo kazał ją obserwować któremuś ze swoich ludzi. Przekonałby się wtedy, że się zagubiła, i może znowu zacząłby o nią walczyć.

„Może byłby zazdrosny, może to otworzyłoby mu oczy” – myślała Sonia. Ale on nie chciał niczego widzieć, więc pozwoliła mu trwać w nieświadomości.

Z czasem stała się mniej czujna, coraz dłużej zostawała w Szczukino, coraz rzadziej upominała surowo Adę, żeby nie wspominała ojcu o wizycie

u babci. Jej potrzeba radości i zapomnienia wznagała się niebezpiecznie, coraz bardziej potrzebowała też białego proszku, w który Inkasent zaopatrywał nowo otwierane i straszliwie drogie kluby. Coraz gorzej znosiła stan niebrania, coraz częściej dzwoniła z domu do Inkasenta, żeby po nią przyjechał. Od początku przeczuwała, że Inkasent zażąda kiedyś spłaty długu, który u niego zaciąga, i że będzie musiała zapłacić za chwile maniakalnej radości możliwe dzięki białemu proszkowi.

Było już ciemno i właśnie oboje posmarowali sobie dziąsła kokainą, siedząc pod wymalowanym farbą w spreju mostem nad rzeką Moskwą, kiedy włożył jej rękę między nogi. Nie miała ochoty na seks, myśl o zbliżeniu z nim ją odrzucała. Wiedziała jednak, jakie skutki wywoła jej odmowa, i bała się ich. Pozwoliła więc, żeby rozpiął spodnie, pozwoliła poprowadzić swą rękę i zaczęła masować mu członek, aż doszedł do stanu, żeby położyć się na niej.

Któregoś dnia Ada, która składała już pojedyncze zdania, opowiedziała ojcu, że oglądała u babci film rysunkowy. To wystarczyło. Generał kazał Szapirze sprawdzić, co się dzieje, i po tygodniu otrzymał sprawozdanie w postaci dokładnego opisu dnia Soni: pojechała do Szczukino, zostawiła dziecko u Lidii Nikołajewny, a potem na pięć godzin znikła w aucie Inkasenta.

Kiedy Generał wracał do tego we wspomnieniach, nie mógł sobie przypomnieć, jak wtedy zareagował, co poczuł. Czy w ogóle coś czuł? Jego furię wzbudziło przede wszystkim to, że Ada wbrew jego woli i wiedzy spędza czas z jego matką. Dopiero potem pojawiło się obrzydzenie na myśl, że Sonia zadaje się z tym neandertalczykiem, Inkasentem. Zdawał też sobie sprawę, że był to skutek jego własnego zachowania, bo nie zrobił nic, by taki scenariusz wykluczyć. Czuł, że ich małżeństwo się rozpada, i nie potrafił go ratować.

Jego dawna miłość do Soni była teraz uśpiona jak w narkozie. Jaką część siebie pamiętał wprawdzie jeszcze tamto silne uczucie, które go kiedyś z nią łączyło, ale było to już tylko blade wspomnienie.

Teraz najważniejszy był dla niego wielki projekt budowlany, który chciał przejąć. Miał wystarczająco dużo pieniędzy, żeby weń zainwestować i porzucić ograniczone możliwości, jakie dawało wznoszenie obiektów wojskowych. Zagarnął już, co miał zagarnąć, a teraz zamierzał pójść dalej, opuścić staw i wypłynąć na szerokie wody.

Założył firmę budowlaną i potrzebował intratnego zlecenia, które otworzyłoby mu kolejne drzwi. Takim zleceniem mogła stać się budowa luksusowego centrum handlowego, obiecana już jednemu z rekinów moskiewskiego rynku nieruchomości. Generał potrzebował dobrze obmyślonego planu, który pozwoliłby mu przejąć to zlecenie. Dorobił się rozbudowanej sieci informatorów i pośredników i udało mu się przemycić do prasy informację, że w przeszłości przy zakupie materiałów budowlanych jego konkurent przywłaszczył sobie ogromne sumy. Taka praktyka była właściwie powszechna, ale informacja podana do mediów stała się początkiem końca jego przeciwnika. Skandal był zbyt duży i władze poczuły się zmuszone na nowo ogłosić przetarg. Tym sposobem Generał wszedł do gry. I akurat w tym momencie Sonia postanowiła wydać wojnę sobie i jemu i zniszczyć wszystko, co ich łączyło. Przypuszczał, że chciała w ten sposób zwrócić jego uwagę, lecz z drugiej strony odpowiadało to też jej naturze, która zatęskniła za chaosem, kiedy tak przez nią upragniona, wymarzona normalność okazała się pułapką. Słowa były bezsensowne, pozbawione dostatecznej mocy, by odpowiednio wyrazić wrzące w nich obojgu, zdolne zachwiać wszystkim emocje i by cokolwiek naprawić.

Generał siedział w swoim nowym biurze w jednym z wysokościowców City Moskwa, dzielnicy znajdującej się jeszcze w budowie, pomyślanej jako wizytówka nowej kasty ludzi, „nowych Rosjan”. Patrzył przez okno na Moskwę i zastanawiał się, co robić. Był rozwścieczony słabością Soni, jej dążeniem do samozniszczenia, jej brakiem odpowiedzialności jako matki, zszokowany jej egoizmem i zdawał sobie sprawę, że istnieje tylko jedna droga: decyzja, czy zostać z sobą, czy się rozejść. Zostanie z sobą oznaczałoby jednak konieczność wzajemnego wybaczenia win. Analizując

motywy swego postępowania, musiał szczerze przyznać, że o przyjęciu propozycji Pietruszowa zdecydował nie pod wpływem próśb i nacisku Soni, lecz dlatego że zamordowano Stanisława Pasternaka, a to przekreślało nadzieję na sprawiedliwy proces morderców Nury. Mimo to pragnienie Soni, żeby podjął tę właśnie decyzję, mocno go dotknęło: nie mógł pojąć ani zaakceptować, że tego właśnie chciała ona, istota, którą kochał jak nikogo na świecie, która przez całe życie płynęła pod prąd, która o wszystko musiała walczyć, która mimo swojej przeszłości nie zgorzkniała, która broniła swoich marzeń i nadziei wszystkimi dostępnymi sposobami. To właśnie Sonia była ostatecznie tą, która zażądała od niego, by zapomniał, by wyparł się wszystkiego, w co wierzył. Zostać z nią oznaczało przebaczyć jej to. Nie wierzył, że to możliwe.

Na jego biurku piętrzyły się pisma dotyczące nowego zlecenia. Zbliżał się termin zawarcia umowy. Telefon nie przestawał dzwonić. Szapiro zorganizował dwie sekretarki, ale to było za mało. „Jeśli teraz otworzą się przede mną te drzwi, to wszystkie problemy się rozwiążą” – kalkulował Generał. To, co w ostatnich miesiącach nie zostało powiedziane, zrobione, wykrzywane, co nie było kochane, nie zostało znieawidzone, czemu nie podołał, zostanie splukane z powierzchni i fala zdarzeń porwie z sobą wszystko jak potężne tsunami. Nie był jeszcze na to gotowy. Potrzebował czasu. Potrzebował spokoju, żeby przemyśleć decyzję, zastanowić się, czy chce nowego początku z Sonią. Ale przede wszystkim czuł, że musi postanowić, co pocnie z tym szumowiną Inkasentem, który od czasów przedszkolnych prześladował go, upokarzał, wyśmiewał i obrzucał błotem. Inkasent raz na zawsze musiałby zniknąć z jego życia.

Unikał powrotów do domu przed północą, by nie narazić się na spotkanie z tym gangsterem. Jedno niewłaściwe słowo i mógłby stracić panowanie nad sobą i zacząć działać instynktownie. Kiedy wracał po północy, Sonia odsypiała już kokainową euforię.

Ale pewnego wieczoru zastał ją przed telewizorem, wyjątkowo nienacpaną. Siedziała z kolanami przyciągniętymi do brody, owinięta w szal,

miała zaczerwienione oczy. Oglądała czarno-biały film, którego treść najwyraźniej słabo do niej docierała. Mruknął coś na powitanie i chciał zniknąć w łazience, lecz ona zerwała się, pobiegła za nim jak psiak i stanęła w drzwiach łazienki. Kiedy mył ręce, powiedziała cicho, prawie niedosłyszalnie:

– Nie mogę tak dalej, Aleks.

– To znaczy? – zbył ją zimno, chcąc jak najszybciej zakończyć tę rozmowę.

– Dobrze wiesz, co to znaczy. Nie traktuj mnie jak głupią. Tak dalej nie można żyć.

– Jestem zmęczony, Soniu. Jutro rano muszę wcześniej wyjść. Mówiłem ci, jak trudny jest ten okres dla mnie i dla firmy, a przede wszystkim jak ważny. Wszystko inne może poczekać.

– Nie, nie może poczekać. Ja już nie mogę czekać. Ani sekundy!

Krzyknęła to na całe gardło, a on rozejrzał się w popłochu, nasłuchując, czy Ada się nie zbudziła.

– Cicho! – powiedział surowo i wyminął ją, kierując się do sypialni, w której spali od miesiąca jak dwoje obcych ludzi, nie dotykając się.

– Kochasz mnie jeszcze? Czujesz jeszcze coś do mnie?

– Naprawdę nie pora na takie rozmowy.

– Odpowiedz mi, do jasnej cholery!

Znów miał przed sobą dawną Sonię. Sonię ze Szczukino, która rozpychając się łokciami, zdobywała to, co chciała. Jakże kiedyś kochał w niej tę siłę! Teraz poczuł niechęć, matka jego córki wydała mu się wulgarna i pozbawiona godności.

„Kochasz mnie, ale temu draniowi liżesz kutasa, tak?” O mały włos, a rzuciłby jej to pytanie w twarz, lecz zamilczał, odwrócił się do niej plecami i zaczął się rozbierać. Wydychał z siebie wściekłość.

– Więc kiedy przyjdzie pora na rozmowę? Kiedy? Nigdy cię nie ma w domu, nigdy! Jestem całkiem sama! – Sonia zaczęła płakać.

Znieruchomiał. Dawniej zrobiłby wszystko, byle nie widzieć jej płaczącej, choć płakała bardzo rzadko. Teraz czuł w sobie pustkę, nie miał dla niej ani odrobiny współczucia.

– Przecież tego chciałaś!

– Znowu to samo! Nie wytrzymam tego. Tak, oczywiście, to ja jestem wszystkiemu winna, to ja cię zmusiłam, żebyś stał się tym podłym skurwielem, który stoi teraz przede mną! A ja przecież tylko chciałam, żebyśmy mieli jakąś szansę, bo cię kochałam! Bo byłam w ciąży, bo jako matka...

„Jako jaka matka? Która zostawia dziecko z porąbaną babką żyjącą w krainie cieni, żeby móc pić i się pieprzyć?!” Te słowa też miał na końcu języka, ale się powstrzymał. Nie chciał nic czuć, nie chciał niczego tłumaczyć, chciał tylko spać. Długo, bez snów. By potem zostać zbudzony spoconymi rączkami swojej córeczki ładującej się rano do jego łóżka.

– Tak mi przykro, Aleks, tak mi strasznie przykro... Gdybym wiedziała... Gdybym mogła, wszystko bym cofnęła. Nie chcę, żeby to był nasz koniec! Tyle bym za to dała!

„Naprawdę? Co takiego byś dała? Co byś zrobiła, żeby było inaczej?” Nie, nie powie tego głośno. Będzie milczał.

Położył się do łóżka i zgasił nocną lampkę. Jeszcze przez kilka sekund czuł jej przerażenie, szok i ból, jej bezradność wobec jego obojętności. Potem Sonia wyszła z pokoju.

Rano nie znalazł jej w domu. Ada siedziała w dużym pokoju na podłodze i bawiła się drewnianymi klockami.

– Gdzie jest mama? – zapytał i pocałował ją w policzek pachnący snem i ciepłem.

– Mama poszła – odpowiedziało dziecko spokojnie i dalej bawiło się

klockami.

Zadzwoił do Szapiry, by natychmiast zorganizował kogoś do dziecka. Nie było czasu na szukanie Soni. Sprawdził szafy, rzeczy Soni jeszcze były, ale jej nieobecność niepokoiła go, przeczuwał coś ostatecznego. Godzinę później w drzwiach stanął Szapiro z kobietą w średnim wieku, o imponujących biodrach. Rozglądała się niepewnie. Miała na imię Azja. Po jej minie widać było, że do tej pory nigdy nie przekroczyła progu tak luksusowego mieszkania.

– Jest zaprzyjaźniona z moją ciotką. Umie obchodzić się z dziećmi – zarekomendował ją krótko Szapiro.

Potem spojrział na zegarek, na znak, że muszą wyjść.

Trzy dni później zadzwonił telefon. Podobno Sonia piła przez trzy dni bez przerwy, w jej krwi znaleziono też „substancje chemiczne”. Jechała samochodem z odurzonym Inkasentem. Inkasent pędził jak szalony. Na wyboistej szosie za miastem zderzył się czołowo z jadącą z przeciwka ciężarówką przewożącą pnie drzew. Sonia zginęła na miejscu. Inkasent leżał w śpiączce.

Generał wchodził po schodach na ostatnie, niegotowe jeszcze piętro biurowca i nagle z jego gardła wydobył się krzyk. Krzyk, który miało usłyszeć to miasto, jego nieżyjąca żona, jego niepewna przyszłość, w której mieściła się świeżo podpisana umowa – domniemana przepustka do nowego życia, i przede wszystkim on sam.

Miasto pozostało nieporuszone. Martwa Sonia również. Zawrócił i zaczął schodzić w dół zakurzonymi schodami bez poręczy, by odpowiedzieć na wyzwanie, jakie odczytał w ostatecznym odejściu swej żony.

Azja została, Ada rosła. Rosły też konta w banku. Generał budował i rozszerzał swe wpływy, wywierał naciski i groził, kupował i przejmował projekty, gromadził akcje upadłych radzieckich fabryk produkujących materiały budowlane, akcje, których nikt jeszcze nie zdążył przejąć. Kosztowały niekiedy parę dolarów. Kilka lat wcześniej, w chwili szczytu

prywatyzacyjnego, były sprzedawane za kilka kopiejek. Teraz wynajdywał matki samotnie wychowujące dzieci, niepoczytalnych alkoholików, bezradnych rencistów, robotników wściekłych na nowe porządki w państwie i kryzys gospodarczy, kupował trzymane przez nich gdzieś na dnie szuflad akcje i obligacje, które wbrew obietnicom rządu nie przynosiły im żadnych zysków, i w ten sposób zapewnił sobie większość udziałów w nierentownych zakładach i fabrykach, które pod jego zarządem w krótkim czasie zmieniały się w maszynki do robienia pieniędzy.

Kupił cementownię w Riazaniu, kupił fabrykę płyt gipsowo-kartonowych i asfaltu w Uljanowsku, kupił upadającą fabrykę ceramiki budowlanej w Briańsku, kupił fabrykę żelbetu na Uralu. Wszystkie je zmodernizował, powtórnie uruchomił i zapewnił sobie monopol, żeby od nikogo nie być zależnym, żeby jego królestwo było samowystarczalne.

Podpisywał umowy na budowę centrów handlowych, sieci hoteli, domów mieszkalnych i biur. Izolował się od swoich interesów, tak jakby między nim a sferą jego działania istniał kordon sanitarny. Czynił się nietykalnym, nie pozwalał, aby fakty mogące go skompromitować przedostały się do wiadomości publicznej, a wrogów i przeciwników uciszał, kupując ich milczenie lub nasyłając na nich Szapirę, który zawsze potrafił zamknąć im usta.

Pieniądz rodził pieniądz. Jego królestwo rozwijało się jakby samo z siebie i stało się prawdziwym imperium. Generał unikał zatargów z ludźmi z placu Czerwonego i nigdy nie przekraczał niepisanej, lecz obowiązującej w tych kręgach granicy zachłanności na pieniądzu. Nie wchodził im w paradę i tego czy owego obłaskawiał droгим prezentem, co zapewniało mu ich przychyłność.

Kiedy statek, który zszedł z kursu, opuścił sternik nadużywający alkoholu, a ster przejął, radykalnie zmieniając kurs, człowiek o nienagannej przeszłości w tajnych służbach, Generałowi udało się do niego dopasować i w odróżnieniu od wielu innych podobnych mu graczy nie wzbudzić jego nieżyczliwości. Imperium Generała stało się udziałnym księstwem

w największym państwie na świecie.

W telewizji widział, jak wybucha druga wojna czeczeńska, widział na ekranie miejscowości, w których był, i odwracał wzrok.

Ada rosła, a on przyrzekł sobie, że będzie ją trzymał z dala od wszystkiego, co mogłoby zaciemnić jej jasne, otwarte spojrzenie na świat i ograniczyć jej fantazję. Zdobywał też dla siebie coraz więcej wolności. Odkrywał nowe namiętności. Bywał na wystawach malarstwa i aukcjach obrazów, żeby jego córka również mogła się zachwycać możliwościami ludzkiej fantazji i formami jej wyrazu. Zrósł się z Adą tak, że stanowili nierozdzielny organizm.

Matkę, której regularnie posyłał pieniądze, odwiedził tylko raz, niedługo przed jej śmiercią. Niecałe pół roku po śmierci Soni Lidia Nikołajewna dostała drugiego wylewu. Przyszedł do szpitala. Już nie mówiła. Z jej oczu wyczytał przerażenie, ból i żal. W jego ciele zagnieździła się dziwna głuchota i sparaliżowała go wewnątrz. Czuł potrzebę powiedzenia jej tego, czego nigdy nie powiedział, ale było tego tyle, że nie starczyłoby na to reszty jej życia. Milczał więc i rzucił tylko: „Jakoś to będzie. Będzie dobrze”. Oboje wiedzieli, że to nieprawda.

Matka umarła dwa miesiące później w prywatnym szpitalu zbudowanym przez jego firmę.

Ada została jedyną gwiazdą na jego czarnym nieboskłonie, jedyną instancją, z którą się liczył. Podbijała go swoją niefrasobliwością, szczerością, żywymi emocjami i wieczną ciekawością. Potrafiła zarazić go zachwytem, była jego czystym, bezgranicznym szczęściem.

Gdy podrosła, zaczęli podróżować po świecie, rozmawiać o świetle u Caravaggia i cieniach u Rembrandta, o plastyczności u Rodina, potem też o ready-made Duchampa i wściekłych deformacjach Bacona. Oglądali miejsca, które wyciskały im łzy z oczu, i kłócili się o naturę świata. Uwielbiał to, że w jej obecności może poczuć się romantykiem, jakim chciał być kiedyś. Stanowili nierozzerwalny tandem i tylko myśl o tym, że świat może ten stan

zakłócić i zniszczyć ich równowagę, przyprawiała go o szaleństwo.

Nie rozmawiali o jednym. O matce Ady. Na początku Ada zadowalała się odpowiedziami w rodzaju „mama jest u aniołków”, a później, kiedy to już nie wystarczało i nie dawała mu spokoju niepokojącymi pytaniami, znajdował sposoby, by wywinąć się od odpowiedzi. Kiedy Ada podrosła, sama przestała o to pytać, jakby się domyślała, że jej pytania mogłyby ich od siebie odsunąć, gdyby ojciec opowiedział jej wszystko, co miało jej zastąpić brakujące wspomnienia o matce.

Dzięki temu nie musiał jej opowiedzieć, że człowiek, który był współwinny śmierci jej matki, został zamordowany w aucie trzema strzałami z pistoletu przez jednego ze swych ludzi niecały tydzień po wyjściu ze szpitala.

– Wiesz, co się dzieje, prawda?

Dopił swój koniak i spojrzał Szapirze prosto w twarz.

– Chyba tak.

– I co o tym myślisz?

– Nie ma znaczenia, co myślę.

– Dla mnie ma. Inaczej bym cię nie pytał.

– Zrobisz, co musisz robić.

– Uważasz, że to będzie fałszywy ruch?

– Nigdy nie przestałeś widzieć świata czarno-białego. Tak to jest.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Chcę powiedzieć, że śmierć Ady i to, co się kiedyś stało w Czeczenii, to dwa buty nie do pary. W każdym razie większość na pewno tak by to oceniła.

– Ada by żyła, gdyby nie...

– Nie wiadomo. Tego nikt nie wie.

– Ale ja wiem! – Generał podniósł głos. Chciał coś jeszcze dodać, lecz dał

spokój i zmienił ton na rzeczowy. – Polecimy. Teraz. I jeszcze: chcę, żebyś w Moskwie kupił Azji mieszkanie. Coś przytulnego. Azja wkrótce przejdzie na emeryturę.

– Załatwione. A będziesz chciał obejrzeć wideo w samolocie?

– Masz już wszystkie?

– Wizyta u Pietruszowa nastąpi dopiero jutro. Był w podróży służbowej i wraca teraz do Marrakeszu. Ten Niemiec wie o tym i czeka.

– Dobrze. Więc obejrzę sobie dwóch pozostałych.

– Chciałeś potwierdzenia, oto ono ... – Szapiro wyjął mały pendrive z kieszeni marynarki.

– Wiesz, jakie są kolejne kroki?

– Jasne.

– To dobrze, nie powinniśmy tego wszystkiego już dłużej odsuwać. Za dwa tygodnie pojedziemy do Groznego. Chcę jeszcze na miejscu przygotować kilka rzeczy.

– Zajmę się zabezpieczeniem pobytu w Groznym.

Przez chwilę stał, jakby jeszcze się nad czymś zastanawiał, po czym wyszedł.

2016/KRUK

Przywitał mnie upał. Jaskrawe słońce po szarej Moskwie tak mnie zaskoczyło, że musiałem się do niego najpierw przyzwyczaić. Ku mojej wielkiej radości Szapiro się nie pojawił. Adres mojego lokum podał mi w e-mailu.

Był to riad – tradycyjny, bajeczny marokański dom, usytuowany w medynie, starej części miasta, w wąskiej uliczce, zbyt wąskiej, by można tam było wjechać autem. Dom miał turkusowe ściany, stoły z posrebrzanymi ozdobami, pomarańczowo-czerwone baldachimy, mozaikowe posadzki oraz wypełnione gęstą roślinnością patio, pośrodku którego znajdował się mały turkusowy basen. Mój pokój, z oknami wychodzącymi na patio, mieścił się na drugim piętrze.

Padłem na wielkie łóżko, na którym leżały rozrzucone płatki róż, i poczułem, jak ogarnia mnie dziwne podniecenie.

Telefon zasygnalizował, że dostałem SMS.

„Dojechałeś?”

„Tak. Tu jest wspaniale. Zazdrosna?”

„Gdzie dokładnie się zatrzymałeś? Chcę wygooglować twój hotelik”.

Podąłem jej adres. W ostatnich tygodniach była moim jedynym stałym połączeniem ze światem zewnętrznym. Tak się przyzwyczaiłem do jej SMS-ów, że zaczynałem się martwić, jeśli nie dostałem od niej czegoś przez dwie, trzy godziny. Dzieliliśmy się uwagami o wszystkim – zarówno o błahostkach, jak i o naszej sytuacji. Jej nieskomplikowany sposób bycia miał na mnie dobry wpływ. Jakby w swych słowach posyłała mi utajoną, przeznaczoną tylko dla mnie energię, której bardzo potrzebowałem.

Moja wizyta u Pietruszowa była zaplanowana na następny dzień.

W Marrakeszu i w Tangerze Pietruszow zarządzał luksusowymi riadami i zdawał się świetnie prosperować. Jego droga w interesach była osobliwa. Po tym, jak został przez Generała odcięty od dotychczasowych źródeł pieniędzy, był zmuszony rozejrzeć się za innymi sposobami dorobienia się. Wiedziałem, że ożenił się z bogatą kobietą i wyjechał z nią do Afryki Północnej.

Pietruszow był najbardziej przebiegły z nich trzech i myśl o spotkaniu z nim od początku przyprawiała mnie o ból głowy. Być może był jedynym prawdziwym przeciwnikiem Orłowa. Po głowie kołatała mi się ciągle teoria Pasternaka, że to Pietruszow jest mordercą czeczeńskiej dziewczyny. Miał też na sumieniu morderstwo Stanisława Pasternaka – tak przynajmniej uważał Nikita. Szujew na pewno był w nie zamieszany, niemniej decyzję musiał podjąć Pietruszow. Miał dosyć kontaktów w świecie przestępczym, by znaleźć kogoś, kto gotów był pozbawić życia niewygodnego adwokata za odpowiednią zapłatę.

Zasnąłem. Obudziłem się trzy godziny później, chciało mi się pić. Zszedłem na dół. Dom wydawał się pusty, tylko na patio zobaczyłem parę Francuzów. Usiadłem przy stoliku w restauracji należącej do mojego riadu i zamówiłem herbatę z mięty. Z oddali dobiegał głos muezina. Poddałem się ciepłu i egzotycznemu nastrojowi, pozwoliłem swobodnie bujać myślom. Zamówiłem talerz pysznych przystawek. W jakiś kuszący sposób czułem się zagubiony, zanurzony w obcej rzeczywistości i jaskrawych barwach, które raziły mnie w oczy, gdy się rozglądałem.

Kiedy poprosiłem o rachunek, dostrzegłem naraz w pewnej odległości przewieszoną przez ramię wypchaną sportową torbę i o wiele za ciepłą kurtkę przewiazaną wokół bioder. Popatrzyłem raz jeszcze, bo w pierwszej chwili uznałem, że myli mnie wzrok. Kotka podeszła do mnie z promiennym uśmiechem i na powitanie szeroko rozwarła ramiona. Zanim zdążyłem coś powiedzieć, przysiadła się do mego stolika.

– Umieram z głodu!

– Co tu robisz, u diabła?

– Pomyślałam, że może potrzebujesz towarzystwa, no i dostałam trochę pieniędzy na wydatki. Myślę, że Orłow chciał, żebym się tu pojawiła. Wzięłam sobie po prostu wolne.

– Co? Jak?

– Mmm... To wszystko brzmi tak apetycznie! – powiedziała, przebiegając wzrokiem kartę.

– Ale, Kotko... Z tego może być afera. Orłow dokładnie mówi, czego chce. Możemy mieć duże kłopoty, a poza tym Pietruszow w żadnym wypadku nie może cię zobaczyć!

– To naiwność z twojej strony tak myśleć, Onno! – powiedziała sucho i skinęła na kelnera.

– Nie rozumiem.

– On nie mówi nawet połowy z tego, co robi albo zamierza zrobić. Ty chyba najlepiej powinienesz to wiedzieć.

Poczułem rozdrażnienie. Jej obecność w ogóle mi nie pasowała, chociaż byłem zaskoczony radością, którą poczułem na jej widok. Ale w tym momencie Kotka stała się, jak mawiają dziennikarze śledczy, czynnikiem nieprzewidywalnym. Była nieobliczalna, a to oznaczało wielkie niebezpieczeństwo. Nie mogłem sobie pozwolić na najmniejsze ryzyko. Nie teraz. Nie tu. Od wielkiego finału dzieliły nas zaledwie dwa tygodnie, a potem... potem ta historia będzie moja.

– Właśnie dlatego ci mówię, że na pewno nie będzie zadowolony z tego, że tu przyjechałaś.

– W skrzynce na listy znalazłam pieniądze od niego. Na kopercie było napisane: „Na wydatki”. Na jakie? Zastanów się! On uprawia jakąś grę, Onno. Zaplanował ją w najdrobniejszym szczególe. Czegoś tu nie dostrzegamy. Ty nie dostrzegasz.

– Myślisz, że o Orłowie wiesz więcej niż ja? To przecież śmieszne! Oczywiście, Orłow gra, cholera jasna, właśnie to próbuję ci powiedzieć. A ty

nie znasz jego reguł, nadal nie masz bladego pojęcia, do czego jest zdolny!

– Tak, być może, ale ty za mało sprawdzasz... Chyba wiesz, że Orłowi nie przebaczy ci tak łatwo i nie odda ci za darmo swojej historii.

– Za darmo?

– Tak. Za darmo.

– O tym nigdy nie było mowy.

– A jaka jest według ciebie cena, której od ciebie zażąda?

– Nie wiem, ale jestem gotów ją zapłacić.

– Na pewno?

– Nie mam nic do stracenia. Mogę wybierać między placem budowy a tym wszystkim tutaj...

Nagle poczułem, że ucieka ze mnie cała siła, nie chciałem kłótni, nie chciałem ani Kotce, ani nikomu innemu na świecie musieć coś udowadniać. Wyczuła moją zmianę nastroju i zmusiła się do uśmiechu.

– Już dobrze, wyluzuj, może to wszystko nic mnie nie obchodzi... Chcę ci tylko powiedzieć, że jedziemy na jednym wózku. Poza tym moglibyśmy się trochę rozerwać. Przecież tu jest wspaniale, dlaczego nie skorzystać z okazji?

– Kotko, to nie są wczasy!

– A kto mówi o najnudniejszej formie przyjemności?

Puściła do mnie oko. Musiałem się uśmiechnąć. Oczywiście, pomysł był zwariowany, ale im dłużej o nim myślałem, tym mniej miałem ochoty, żeby protestować. Spędzilibyśmy razem czas, miałbym okazję bliżej jej się przyjrzeć, lepiej ją zrozumieć, uprzedzać jej nieprzewidywalne reakcje, być niejako rozbajaczem bomby. Z dala było to niemożliwe, a tu, w bezpośredniej bliskości, łatwiej byłoby mieć na nią oko. Tak sobie przynajmniej wmawiałem.

Wprawdzie nie dowierzałem euforii, jaką od niedawna okazywała, nie

wierzyłem w jej radykalne przeobrażenie się ze zgorzkniałej sceptyczki w wulkan radości, lecz zmianę tę przypisałem jej zawodowi. Była w końcu aktorką, a Nura jej nową rolą, wyzwaniem.

Uspokajałem się. Zamówiłem białe wino, żeby się ochłodzić i przemyśleć wszystko w spokoju.

– Masz się gdzie zatrzymać? – spytałem, podczas gdy ona rzuciła się na jedzenie.

Wzruszyła ramionami.

– Znajdę coś.

Zostawiłem ją i poszedłem do recepcji. Zapytałem po francusku dziewczynę w ognistocie czerwonej chuście na głowie o pokój, lecz ta, przybierając przesadnie zmartwiony wyraz twarzy, odrzekła, że niestety wszystko jest zajęte. zaproponowała wstawienie do pokoju dodatkowego łóżka. Zgodziłem się, mając nadzieję, że Kotka nie będzie zbyt protestować.

– Jasne, żaden problem – odpowiedziała, zapytana o to, nie podnosząc wzroku znad talerza. – Chyba że ty nie będziesz się w tej sytuacji czuł komfortowo.

Szczerze mówiąc, nie miałem pojęcia, jak się będę czuł, ale nie chciałem się nad tym zastanawiać, chciałem korzystać z wieczoru i rzucić się w jej towarzystwie w nocne życie Marrakeszu. Zostawiła rzeczy w pokoju, wzięła prysznic, przebrała się i wyszliśmy. Najpierw wałęsaliśmy się bez celu wąskimi uliczkami starego miasta, które przecinały się gęsto, tworząc nieprzenikniony labirynt. Potem poszliśmy na suk. W niekończących się kramach grzebaliśmy w stosach skór, chust i glinianych naczyń, przedzieraliśmy się przez tłum zaczepiających nas we wszystkich językach handlarzy.

Kotka była w stanie podniecenia, w jakim jeszcze nigdy jej nie widziałem. Jej euforia zaczęła udzielać się i mnie.

Kiedy poczułem głód, weszliśmy do małej knajpki spowitej zapachem kuminu i zjedliśmy tadżin^[2]. Zapytałem Kotkę, skąd ta jej radość. Wzruszyła ramionami i powiedziała coś, co nie bardzo zrozumiałem: „Wydaje mi się, że kiedyś byłam weselsza”.

Chciałem zarazić się jej radością. Od czasów Ady nikt nie brał mnie za rękę, od dawna nie czułem radości życia. Wieczór zapowiadał noc pełną fajerwerków, nie chciałem myśleć o poranku.

Szwendaliśmy się wąskimi uliczkami, szukając baru z odpowiednim wyborem alkoholu. Wyszliśmy z medyny i zapuściliśmy się w nową część Marrakeszu, gdzie po pewnym czasie wylądowaliśmy w odpicowanym barze o horrendalnych cenach, z muzyką loung. Na jedną noc zmieniliśmy się w innych ludzi. Wspaniale było cieszyć się czasem wyjętym tak nieoczekiwanie z codzienności, pozbawionym lęków i obaw.

Kotka była teraz zaraźliwie radosną, rozgadaną młodą kobietą poszukującą przyjemności i rauszu, ja byłem jej zrównoważonym towarzyszem, lekko zakochanym w tej nocy, w tym mieście i w niej, mojej niezwyklej towarzyszce. Wydostaliśmy się z trzymających nas na uwięzi naszych „ja” i niezauważalnie zaczęliśmy używać życia, które od dawna było dla nas zamknięte. Teraz przypuszczaliśmy na nie atak, braliśmy je w posiadanie.

Alkoholowe koktajle były słodkie i rozgrzewały żołądek. Rozwiązywały język i czyniły bardziej giętkimi nasze ciała.

Ona mówiła o kuriozalnych sytuacjach, jakich doświadczyła podczas różnych castingów, ja opowiadałem anegdoty z czasów, gdy byłem adeptem dziennikarstwa. Śmialiśmy się, nie pamiętając już, po co tu w ogóle przyjechaliśmy, zapomniawszy o prawdziwym powodzie naszej bytności w Marrakeszu. Dla kogoś z zewnątrz musieliśmy być rozbawioną parą, która właśnie się poznała i prześciga się w opowiadaniu sobie zabawnych historii.

Spytaliśmy barmana o lokal taneczny w pobliżu. Narysował nam drogę na serwetce.

Przekroczywszy rue des Banques, poszliśmy dalej, zabłądziliśmy, wzięliśmy taksówkę, która okrężną drogą zawiozła nas do kasyna, gdzie był mały klub. Miejsce miało w sobie coś z baśni z tysiąca i jednej nocy i dreszczowca zarazem. Na małej scenie stała ciemnoskóra kobieta i szeptała do mikrofonu songi, jakby odlatywała po LSD. Znow zamówiliśmy alkohol i powoli sączyliśmy drinki, poddając się działaniu muzyki.

Potem Kotka pociągnęła mnie na parkiet. Dawno nie ruszałem się w takt muzyki – ostatni raz z Adą. Nie dowierzałem swemu ciału, nie byłem pewien, co zachowało w pamięci swych komórek. Kotka zachowywała się swobodnie, niemal frywolnie. Czułem, że wzrok, jakim patrzy na mnie tej nocy, nie jest jej wzrokiem i że nie wolno mu zaufać. Ale jej spojrzenie nie oceniało, nie było w nim uprzedzeń, jakby patrzyła na wszystko pierwszy raz. Zanurzyliśmy się w tłumie spoconych, drgających ciał. Śpiew – w języku, którego nie potrafiłem określić – hipnotyzował i zapraszał. Kotka poruszała się miękko, a przy tym sprawiała wrażenie wytrwałej i zręcznej, jej ciało było zupełnie inne niż to, które niegdyś obejmowałem... Wydawała się nie oczekiwać ode mnie niczego poza tą chwilą i ta świadomość była wyzwalająca. Z minuty na minutę stawałem się lżejszy. Moje ciało obudziło się z trwającego dekadę zimowego snu i zaczęło poruszać się coraz szybciej, coraz bardziej dziko, jakby w rytualnym tańcu, podczas którego miałem wyrzucić z siebie wszystkie nękające mnie demony.

Kotka, patrząc na mnie, zaczęła klaskać, jej ruchy stawały się coraz odważniejsze. W pewnej chwili zawisła mi na szyi, a ja zacząłem wirować z nią wkoło. Zapomniałem, że byłem zwiastunem nieszczęścia, posłańcem przynoszącym złe wiadomości, że byłem opętany człowiekiem, przez którego dwukrotnie o mało nie straciłem życia, że jestem teraz pionkiem w jego niejasnej grze, co cierpliwie znoszę, chcąc wszelkimi sposobami zrzucić z siebie raz na zawsze ciężkie, czarne skrzydła winy.

Kiedy obejmowałem ciało mojej towarzyszki wieczoru, zdecydowanej, jak wyczuwałem, na wszystko, przypomniałem sobie, że w chwilach bliskości fizycznej z Adą hamowałem napływające do oczu łzy, tak niebывały zdawał

mi się cud, który był w tamtych momentach moim udziałem. Przypomniałem też sobie, jak zmieniła się natura Ady po pamiętnej nocy, kiedy wpadła jak burza do mego mieszkania, domagając się wyjaśnień.

Pierwszą z licznych zmian, jakie nastąpiły po naszej rozmowie, którą oceniłem potem jako zgubną, było to, że Ada przestała farbować sobie włosy na różowo. Pozwoliła, żeby odrastał jej naturalny pszeniczny blond, by coraz więcej jasnych pasm przebijało się przez różowy ogień na jej głowie. Zaczęła wyglądać jak kwiat, który przekwita.

Dała mi wprawdzie drugą szansę, ale była to szansa niezdrowa, chwilowa, pozbawiona siły. Dała mi ją zresztą tylko dlatego, że trzy dni po jej nocnej wizycie zjawił się u mnie Szapiro i gestem kazał mi wsiąść do czekającego na dole samochodu. Nie miałem wyboru – wsiadłem. Jazda zakończyła się przed potężnych rozmiarów willą w Zellendorfie, kryjącą całe mnóstwo dzieł sztuki, niedługo potem przetransportowanych przez Generała do Wenecji dla pocieszenia córki, przywrócenia jej uśmiechu.

Do tej pory nigdy nie widziałem Generała. Teraz stał naprzeciw mnie we własnej osobie. Było to dziwne uczucie, bo znaliśmy się już wiele lat, chociaż nigdy nie zetknęliśmy się osobiście.

– Więc to jednak był błąd, że zostawiłem cię wtedy przy życiu!

Tym zdaniem mnie powitał.

– Proszę pozwolić wszystko sobie wytłumaczyć! Wiem, jak to może wyglądać, ale... Ale to nieprawda. Kocham Adę, naprawdę ją kocham!

W tym momencie jego pięść trafiła mnie gdzieś pomiędzy nosem a kością policzkową. Zakręciło mi się w głowie. Zatoczyłem się do tyłu, wydając przy tym skowyt, który mnie zawstydził.

Szapiro i dwaj ochroniarze zrobili kilka kroków w moją stronę, ale Generał gestem kazał im odejść.

– Kocham Adę! Naprawdę! – krzyknąłem.

– Nie waż się wypowiadać jej imienia! Gdybym wiedział, gdybym się

domyślał, że to z tobą Ada się zadaje, zdusiłbym tę chorobę w zarodku, zanim zdążyłaby się rozwinąć. Ty, ty miałaś czelność podejść moją córkę, wykorzystać ją! Ona ma dziewiętnaście lat, rozumiesz, dopiero dziewiętnaście lat, ty chora, perwersyjna kanalio!

Tym razem jego cios trafił mnie w splot słoneczny. Upadłem na kolana.

– Trzymaj łapy z dala od niej, bo cię zabiję, zabiję cię, bydlaku! – ryczał, a jego ślina przyskała mi do oczu.

Pamiętam nieprzyjemny, metaliczny ton jego głosu. Nigdy wcześniej takiego nie słyszałem. Brzmiał tak, jakby jego właściciel miał za dużo żelaza we krwi, był brzęczący, magnetyczny, niemal sztuczny.

Każąc mnie do siebie sprowadzić, brudził sobie ręce. Byłem na tyle ważny, że karał mnie osobiście. Zobaczyłem krople potu na jego czole. Fizyczne rozprawianie się z kimś było dla niego wysiłkiem.

– Ja to zaraz wyjaśnię, ja... – wyjąkałem, choć było jasne, że próba tłumaczenia się jest kompletnie bezcelowa.

– Zamknij tę swoją chorą mordę! – wrzasnął i z całej siły grzmotnął mnie w bok.

Upadłem, a on w to samo miejsce dołożył jeszcze kopniaka. Dziwne, ale ból przestał robić na mnie wrażenie. Było tak, jakbym się go spodziewał, jakbym na niego zasłużył, jakby był logiczną konsekwencją, karą za cierpienie, które sprawiłem jego córce. Za to, że ją wykorzystałem, że podkopałem jej wiarę w niego, zachwiałem jej wyobrażeniem o świecie.

Po każdej krótkiej pauzie ogarniała go nowa fala wściekłości. Już, już łudziłem się, że zostawi mnie w spokoju, gdy znów do mnie podchodził i wymierzał kolejne ciosy, zapalczywiej, mocniej, bardziej bezlitośnie. Leżałem na podłodze w oczekiwaniu na kolejne uderzenie, osłaniając głowę rękami, kiedy nagle koło niego pojawiła się jego żona i krzyknęła po rosyjsku:

– Przestań, Aleks, przestań! Proszę cię, przestań!

Objęła go, próbując go ode mnie odciągnąć. Generał nie przestawał kłąć. Ona, zwinna i giętka, zawisała na nim jak małpka, nie chcąc dopuścić, by ta egzekucja trwała nadal. Zaczęła wołać Szapirę.

– Szapiro, pomóż mi, pomóż, do diabła! Nie widzisz, co się dzieje?! On go zabije, pomóż mi, nie stój jak słup!

Człowiek o ptasiej twarzy przez chwilę stał niezdecydowany. Posłuszeństwo wobec swego cara walczyło w nim z posłuszeństwem wobec carycy, nie wiedział, kogo ma słuchać. W końcu – na moje szczęście – zdecydował się pomóc Jewgienii i oderwał ode mnie Generała.

To chyba z powodu tego zajścia Ada zlitowała się nade mną i dała nam jeszcze jedną szansę. Była wściekła na ojca i na jakiś czas przestała z nim rozmawiać.

Chciała uchwycić się czegoś, w co już nie wierzyła. Zrezygnowała z nas, lecz nie chciała się do tego przyznać, chciała mi udowodnić, że jest tak samo nieustraszona, wolna, pozbawiona uprzedzeń, tak samo otwarta na świat i ludzi, jak na początku naszej znajomości. Była to też rozpaczliwa próba udowodnienia czegoś sobie samej, ale, choć nie chciała się do tego przyznać, nie miała już w sobie wiary. Mimo wszystko koniecznie chciała mieć rację, chciała, by mylił się jej ojciec, wpajając jej przekonanie, że ludziom nie można wierzyć, że większość, znając jej pochodzenie i majątek, wykorzysta ją i skrzywdzi. Sprzeczała się z nim o to, chciała mu pokazać, że tak nie jest: że jeśli okaże się ludziom zaufanie i życzliwość, oni zachowają się przyzwoicie.

Lecz rysa, która w niej powstała, była już zbyt poważna, i jej psychiczna konstrukcja traciła stabilność. Ada czuła, że wszystko w niej się chwieje i lada moment runie. Czuła się bezradna wobec tego niszczącego orkanu, który wywołałem.

Drugą zapowiedzią nieszczęścia było to, że prawie przestała wychodzić z domu. Zamykała się, a właściwie barykadowała się w nim, coraz bardziej owładnięta historią z przeszłości ojca. Stała się małomówna i podminowana,

każde moje słowo wywoływało w niej rozdrażnienie. Odrzucała bez dyskusji wszelkie sugestie, żeby coś zmienić. Tylko czasami dawała się dotknąć, pocałować w usta, odsunąć sobie opadający na czoło kosmyk. Najczęściej siedzieliśmy obok siebie przy jej długim stole i w milczeniu połykaliśmy zamówione jedzenie.

Nocami nie spała, chodziła bez wytchnienia po mieszkaniu w tę i we w tę. Odsyłała mnie do domu, znajdując różne wymówki, by być sama.

Jeśli mnie o coś pytała, to tylko o Nurę Giełajewą i jej morderców. O niczym innym nie potrafiła rozmawiać. Zacząłem tracić cierpliwość, stałem się nerwowy i rozdrażniony, chciałem ją kontrolować, bo przeczuwałem, że coś istotnego zaczyna mi umykać. Każdego dnia na nowo wznosiłem zamek z piasku, żeby pod koniec dnia stwierdzać, że znów przyszła fala, która go zmyła.

Ada groziła ojcu, że zerwie z nim kontakt, jeśli jeszcze raz odważy się podnieść na mnie rękę. Generał nie próbował mnie już niepokoić, lecz z częstotliwości jego telefonów do Ady, z większej niż zwykle liczby bodyguardów kręcących się wokół niej, z wizyt kontrolnych Szapiry wnioskowałem, że również jest bezradny wobec tej sytuacji i nie ma pojęcia, jak pomóc córce, jak przywrócić jej uśmiech, jak sprawić, żeby znowu się stała odważną, bezczelną, mądrą, ciekawą świata, zafascynowaną sztuką dziewczyną, którą była wcześniej.

Na początku lata zaproponował Adzie, by odwiedzili Wenecję, miasto, którym zachwycala się od dzieciństwa i w którym – co było rytuałem – regularnie oboje bywali. Ada pojechała i po przyjeździe wysłała mi radosną wiadomość: „Jestem dumną właścicielką pałacu marzeń. To coś najpiękniejszego, co w życiu widziałam. Mam ochotę płakać ze szczęścia”. I załączyła zdjęcie pałacu. Stał tuż nad kanałem, a jego widok zewnętrzny pozwalał się domyślać bajecznych wnętrz.

„Nazywa się Palazzo delle Laterne, już sama nazwa wystarczy, żeby się w nim zakochać. Chciałabym tu zostać, Onno. Musisz tu przyjechać...” Tak

napisała dwa tygodnie później. Pod pewnym względem poczułem ulgę i byłem niemal wdzięczny jej ojcu, że udało mu się coś, co nie udało się mnie: skierował jej myśli na inne tory, dostarczył jej powodu do radości, zaspokoił czymś konkretnym jej potrzebę piękna.

Odpisałem: „Przyjadę, gdy tylko mnie wezwiesz! Umieram z tęsknoty. Tak się cieszę, Ado, że jesteś w dobrym nastroju!”. Na ten SMS nie dostałem odpowiedzi, ale tydzień później przyszedł bilet lotniczy. Jej ojca wezwały zapewne interesy do Berlina, więc Ada wykorzystała sytuację i zaprosiła mnie do swego królestwa.

Poleciałem zatem do Wenecji, choć to miasto ze swymi ciemnymi, wilgotnymi uliczkami, starodawnymi pałacami i tłumami turystów zawsze mnie odrzucało, jakby było tylko atrapą, kłamstwem, syreną, która przyciąga i mami swym pięknem, by potem sprowadzić nieszczęście.

Piosenkarka przestała śpiewać i szczupły didżej o czarnych, wijących się włosach puścił ciężki beat połączony z elektro. Potrzebowałem przerwy, puściłem talię Kotki i poszedłem do łazienki. Kiedy wróciłem, Kotka zarządziła, że wychodzimy. Nie zaprotestowałem. Zataczając się z lekka, wyszliśmy w wilgotną, ciepłą noc. Milczeliśmy, jakby wszystko już zostało powiedziane, jakby słowa zostały zużyte. Opadły z nas maski. Byliśmy znowu tacy, jacy jesteśmy naprawdę, świadomi, że wracamy do własnego życia, do własnej rzeczywistości. Miałem wrażenie, że w tym samym momencie jej też przyszło to do głowy i przytłoczyło tak samo jak mnie.

– Opowiedz mi coś o tych trzech mężczyznach – poprosiła.

Zacząłem mówić, co wiem o Szujewie, Juriczu i Pietruszowie, i przez całą drogę opowiadałem tak gorliwie, jakby od tego zależało, czy jutro się obudzę.

W pokoju hotelowym znikła pod prysznicem. Otworzyłem laptop, znalazłem w internecie muzykę marokańską, a nawet jakąś maghrebską składankę muzyczną, która teraz szła cicho w tle. Kotka wyszła z łazienki zawinięta w ogromny ręcznik, mokra i bezbronna. Postawiłem przed nią wodę mineralną, którą wyciągnąłem z minibaru. Wypiła całą butelkę, po

czym nagle odwróciła się i pocałowała mnie. Był to pocałunek rozpaczy, próba wskrzeszenia radości, która w drodze powrotnej z klubu zaczęła się ulatniać. Nie miałem czasu na zastanowienie, zresztą już wcześniej postanowiłem, że się jej poddam, nie będę się bronił. Nie myślałem o tym, przeciw czemu będę dla niej środkiem zaradczym, było mi to obojętne. Proponowała mi swoje ciało, a ja byłem jej za to wdzięczny.

Padliśmy na miękkie, szerokie łóżko. Niewykorzystana dostawka stała w kącie pokoju jak wyrzut sumienia. Ściągałem z siebie ubranie, Kotka mi pomagała. Przytrzymała moją rękę, kiedy chciałem oswobodzić ją z ręcznika – najwidoczniej nie chciała od razu ujawniać wszystkich swych tajemnic. Nasze poznawanie siebie było od początku ograniczone, ale było nam to obojętne. Ona szukała we mnie kogoś innego, ja szukałem w niej kogoś innego. Wyczuwaliśmy na sobie ślady tych innych. Na naszych ciałach rysowaliśmy własne mapy, usuwając jednocześnie tamte ślady. Nie znaleźliśmy swoich pragnień i marzeń, więc działaliśmy na ślepo, instynktownie. Ona odrzuciła ręcznik i usiadła na mnie. Chciała być kimś innym, ale jej przyzwyczajenia i mowa jej ciała sprowadzały ją zawsze z powrotem do siebie. Nie miała poradnika, za którego radami mogłaby iść, nie pozostawało jej nic innego jak jej własne uczucie, a to uczucie było kruche, podejrzliwe, mylące.

Na udach Kotki szukałem pieprzyków Ady, na jej przedramionach małych włosków Ady, szukałem w Kotce ofiarności i nieumiejętności rozluźnienia się Ady, różowych sutków Ady na jej ciężkich piersiach, szukałem odpowiedzi między jej żebrami i pod obojczykiem, między jej obejmującymi mnie udami i jej lekko wypukłym pępkiem. Kotka chciała się zatracić i ja jej w tym pomagałem. Ja też szukałem zapomnienia i ona mnie w tym wspierała. Szukała odzewu w moim kręgosłupie i w moich ustach, w zagłębieniach pod kolanami i w płatkach uszu.

Kochaliśmy się do zupełnego wyczerpania, pospiesznie, do utraty tchu, nie oszczędzając się i nie starając się pokazać w jak najlepszym świetle. Mieliśmy dla siebie naszą nagość i kruchość. Ona domagała się, żebym

rozpoznał mowę jej ciała, a ja, żeby wykorzystwała moją umiejętność dopasowania się. Ja domagałem się, żeby rozumiała, że jej nie oceniam i daję jej wolność. Ona zaś, żebym zrozumiał, że jest jej obojętne, jakie były moje wcześniejsze upodobania, i że pozwala, bym postępował z nią, jak chcę – jest do mojej dyspozycji. Jej postawę przyjmowałem z wdzięcznością, wsysałem ją w siebie, smakowałem, kochałem ją jak wyposzczone zwierzę, jak ostatni egzemplarz swojej rasy. Ona chętnie ujawniała przede mną swoje żądze. Drapała mnie i darła. Przemierzaliśmy swe ręce, nogi, lędźwie, głowy, łokcie, zatraciliśmy się w sobie.

Zostawiłem ją na łóżku. Leżała na brzuchu i spała z lekko rozchylonymi ustami. Wyglądała wzruszająco, jak dziecko. Wziąłem prysznic, ubrałem się, zabrałem kopertę z informacją dla Pietruszowa i wyszedłem z pokoju. Szapiro zostawił mi wiadomość, że muszę wziąć taksówkę – hotel Pietruszowa był poza miastem, w oazie palm, w cieniu gór Atlasu. Szofer zażądał za kurs wygórowanej ceny, lecz było mi wszystko jedno, miałem jeszcze w żyłach alkohol wypity ostatniej nocy. Wziąłem z sobą tabletki od bólu głowy i miałem nadzieję, że pijąc po drodze wodę mineralną, przyjadę na miejsce w lepszej formie. Zostawiliśmy za sobą medinę, głosy muezinów wzywających na modlitwę i wąskie, kręte uliczki z natrętnymi handlarzami i chmarami dzieci. Hotel Pietruszowa nazywał się Dar Bagh. Zdjęcia, które znalazłem w internecie, pokazywały perłę mauretańskiego stylu. Słońce z minuty na minutę paliło coraz mocniej, zacząłem się pocić. Wypiłem dwie butelki wody i ogarnęła mnie senność, drzemałem, nie miałem siły podziwiać eksplozji kolorów napierającej z zewnątrz.

Gdy dojechaliśmy na miejsce, zapłaciłem i wysiadłem. Szapiro przysłał mi w e-mailu wskazówkę, że mam usiąść w hotelowym barze i cierpliwie czekać na Pietruszowa, bo podobno niełatwo go namierzyć. W towarzystwie zawodowo uśmiechniętego hotelowego boya przemierzałem oazę obsadzoną palmami i znalazłem się na kwadratowym placu, pośrodku którego był basen wyłożony ciemnoniebieskimi flizami i otoczony białymi leżakami, na których odpoczywali zamożni goście hotelu. Tuż obok basenu mieścił się bar, którego

wystrój stanowiły misy pełne egzotycznych owoców. Usiadłem w nim i czekałem. Po drugiej stronie baru siedzieli dwaj długonodzy Rosjanie rozmawiający o wycieczce do As-Sawiry.

Próbowałem czytać różnojęzyczną prasę. Nadal nie czułem się najlepiej. Zamawiałem kawę za kawą i piłem litry wody. Czułem się nieswojo, myśląc o minionej nocy. Nie chciałem, by wynikło z niej coś, co utrudni mi doprowadzenie historii Orłowa do końca, i wiedziałem, że istnieje takie niebezpieczeństwo.

Pietruszow pojawił się na placu przed hotelem dopiero około trzeciej po południu. Miał na sobie białe lniane ubranie. Towarzyszył mu umięśniony osiłek, który szedł z tyłu, prawdopodobnie bodyguard, obok niego zaś szedł młody blondyn w ogromnych okularach przeciwsłonecznych, z roztargnieniem wystukujący coś na swej komórce.

Pietruszow zmierzał do hotelu szybkim krokiem, kiedy mnie mijiał, poderwałem się i podszedłem. Mięśniak rzucił mi ostrzegawcze „hej, hej”, ale ja zwróciłem się już do Pietruszowa po nazwisku, zmuszając go, żeby się odwrócił. Blondyn spojrzał na mnie ze zblazowanym wyrazem twarzy.

– Tak? – zapytał Pietruszow po rosyjsku.

Były oficer był przystojnym, wysportowanym mężczyzną średniego wzrostu, miał zielone oczy i szlachetne rysy twarzy. Gdyby nie jego mocna opalenizna, można by go wziąć za profesora uniwersytetu. Dał znać mięśniakowi, żeby się zatrzymał.

– Idź, Lonia. Zaraz do ciebie dołączę.

A więc ten w okularach miał na imię Lonia. Polecenie, które usłyszał, jakoś go nie przekonywało, chciał coś odpowiedzieć, ale usłyszał ponaglenie wypowiedziane z naciskiem w głosie i usłuchał.

– Mam dla pana przesyłkę – powiedziałem, z pewnym trudem odnajdując w pamięci rosyjskie słowa.

– Przesyłkę? Jaką przesyłkę?!

– Od Aleksandra Orłowa.

Twarz Pietruszowa spochmurniała, oczy pociemniały.

– Orłow? Co do cholery...

Podąłem mu kopertę.

– Wszystko jest w środku.

Ochroniarz chciał wyrwać mi kopertę z rąk, lecz Pietruszow powstrzymał go gestem i sam wziął ją ode mnie.

– To jakiś żart? – warknął.

Spojrzał na mnie rozeźlony. Jego mocno ściągnięte brwi zapowiadały burzę.

– Jestem tylko posłańcem, moim zadaniem było dostarczyć panu tę przesyłkę.

– Niech się odpieprzy, to możesz mu przekazać! Czego ta świnia ode mnie chce?

– Tego, jak już wyjaśniłem, nie jestem w stanie panu powiedzieć.

Przeprosiłem i odwróciłem się, zamierzając odejść.

– Hej, zaczekaj! Kim jesteś, do diaska?

– Tylko posłańcem.

– Jak się nazywasz?

– Bender. Onno Bender. Ale to nie ma znaczenia.

– Bender jak?

– Onno.

– Zaraz, to mi coś mówi... Czy to nie ty napisałeś książkę o Białym?

– Tak, ja.

– Więc Orłow teraz nasyła na mnie dziennikarzy? Co to ma być, do

diabła?!

Zacząłem ostrożnie wycofywać się w kierunku wyjścia. Pietruszow stał jak wrośnięty w ziemię, przenosząc wzrok z koperty na mnie i z powrotem.

– Żegnam! – powiedziałem i przyspieszyłem kroku.

Czułem, że ochroniarz ruszył za mną, ale Pietruszow go powstrzymał.

– Powiedz mu, żeby mnie pocałował w dupę, słyszysz, szwabie?! – krzyknął za mną Pietruszow. – Powiedz mu, że nic mi nie może...

Jego głos brzmiał mi jeszcze w uszach, gdy znalazłem się na ulicy z mnóstwem reklam po obu stronach i zatrzymałem taksówkę.

Była rozgorączkowana, trawiło ją coś, co sprawiało, że jej oczy błyszczały nienaturalnie, głos brzmiał ochryple, a ruchy zdradzały niepokój. Cały czas musiała coś robić, czymś się zajmować. Przywitała mnie w szarych ogrodniczkach. Zatrudniła cały zespół konserwatorów i budowniczych, którzy według jej życzeń przygotowywali i zmieniali pałac jej marzeń. Był to wspaniały obiekt zbudowany około 1630 roku. Zachował się balkon w stylu barokowym, ale pierwotny charakter fasady został naruszony przez jakiegoś odważnego architekta, który dobudował żłobkowane kolumny. Również westybul z ośmioma kolumnami i półokrągłymi nadokiennymi sklepieniami nadawał pałacowi szczególny wygląd. Okrągłe łuki otwierały perspektywę na podworec położony na tyłach. Na górę prowadziły pięknie wijące się otwarte schody. Na niektórych ścianach zachowały się jeszcze oryginalne malowidła w przepięknej, wyblakłej, pastelowej tonacji. Nie przyszło mi do głowy, żeby liczyć pokoje, zresztą do niektórych nie można było jeszcze wejść.

Ada, jako władczyni tego miejsca, kręciła się nieustannie wśród armii rzemieślników, instruując ich od czasu do czasu po angielsku i po włosku, który szlifowała lekcjami przez internet. Coś w jej zachowaniu zdradzało nieustanny przymus działania, niecierpliwość i nienaturalną koncentrację.

Chodziłem za nią pokornie jak zbłąkany pies i czekałem na chwilę, kiedy będę mógł porozmawiać z nią w cztery oczy – należało naprawić błędy,

wyjaśnić niejasności. Mniej więcej po godzinie zrozumiałem jednak, że Adzie nie spieszy się wcale do pozostania ze mną sam na sam ani do rozmowy, na którą nalegałem. Poczulem się więc jak intruz, ktoś zbędny. Moje rozczarowanie pogłębiało się z godziny na godzinę. W którymś momencie Ada znikła, prosząc mnie wcześniej, żebym o siódmej czekał w dużej sali. Zjemy razem kolację.

W środku wielkiego, nieumeblowanego jeszcze pomieszczenia z ogromnym, od lat nieodkurzanym kandelabrem, gdzie złożono nierozpakowane skrzynie, obrazy i ciężkie zasłony baldachimu, co podkreślało rozmiary sali, stał stół nakryty białym obrusem, udekorowany niepokojąco pięknym bukietem kwiatów i kilkoma ciężkimi świecznikami. Stół był nakryty dla dwóch osób. Usiadłem po lewej stronie, skupiając wzrok na wielkich drewnianych drzwiach. Ada pojawiła się we wspaniałej szmaragdowozielonej sukience, która tak znakomicie na niej leżała, jakby była szyta na miarę. Z włosami zaczesanymi do tyłu i drogimi kolczykami w uszach lśniła jeszcze bardziej. Tak pięknej i w dobrym nastroju jeszcze jej nie widziałem. W codziennych ubraniach wyglądała jak dziewczynka: dzinsy z dziurami na kolanach, T-shirty z bezczelnymi hasłami, skórzane bransoletki, potargane włosy i podjadanie snickersów – to była Ada, którą znałem. Teraz siedziała przede mną dama pasująca do tego niezwykłego otoczenia i majątku, który dziedziczyła. Wydawało się, że rozkwitła. Nie miałem jednak pewności, czy to dobry, czy zły znak.

Do sali wkroczyli dwaj kelnerzy, niosąc srebrne tace z pokrywami. Jednocześnie rozległa się aria operowa, której nie znałem. Czułem się jak w teatrze.

Z kelnerami wszedł kucharz w bieli, który przedstawił nam menu. Nazwy co najmniej połowy wymienianych przez niego rarytasów usłyszałem po raz pierwszy. Ada lubiła, gdy w małych barach i restauracyjkach próbowaliśmy nowych potraw albo gdy pijąc piwo, wcinaliśmy makaron po azjatycku z pojemnika i czuliśmy się jak władcy świata. Nie pojmowałem więc, po co teraz ta wielka inscenizacja. Nalano wino – również nieprawdopodobnie

drogiego gatunku. Prawie nie zwracałem uwagi na potrawy na stole, obserwowałem tylko Adę, mając nadzieję, że spod maski, którą włożyła, wychynie na moment prawdziwa ona, taka, jaką znałem. Po przystawkach – pamiętam jedynie czerwony, rozpluwający się w ustach suflet podany z vitello tonnato, cieleciną w sosie z tuńczyka – powiedziała:

- Chciałabym, żebyś odpowiedział mi szczerze na moje pytania.
- Jakie pytania, Ado? Czy to wszystko tutaj nie jest cokolwiek dziwne?
- Kto z nich czterech ją zabił? Ale proszę, żadnych domysłów, chcę same fakty.

Liczyłem na to, że porozmawiamy o naszym psującym się związku, a tymczasem narzuciła mi przesłuchanie, w którym chodziło wyłącznie o jej ojca i historię Nury Giełajewej. Opanowanie, z jakim to robiła, wprowadziło mnie w drżenie. Naprzeciw mnie siedziała niemal obca osoba, a ja nie wiedziałem, co mam z sobą począć. Pojąłem jednak, że jest to moja ostatnia szansa, żeby ją przy sobie zatrzymać.

Aria działała mi na nerwy. Czuję, że zaczynam się pocić, miałem tego dość, nie wiedziałem, kiedy skończy się ta tortura. Kręcący się ciągle ubrani na biało kelnerzy, dziwaczna atmosfera i teatralność naszego spotkania – to wszystko potwornie mnie drażniło. Poczuję nieprzepartą chęć, żeby wstać i wyjść, lecz z drugiej strony chwyciłem się myśli, że może moja odpowiedź zdoła uratować nasz związek.

- Nie ma żadnych faktów, które obciążałyby twojego ojca, Ado. Powinnaś przestać o tym myśleć, zostawić to. Nie ma żadnych dowodów.
- W takim razie powiedz, co ty o tym sądzisz. Jak uważasz, kto zacisnął jej ręce na szyi?

Dobór jej słów mnie zatrwożył. Utkwiłem wzrok w kunsztownie podanej potrawie.

- Jeśli mnie pytasz, odpowiem: moim zdaniem Pietruszow. Tak uważa też Nikita, brat Stanisława Pasternaka.

Ada skinęła głową i upiła łyk wina.

– Dziękuję – powiedziała i zmieniła temat.

Poczułem ulgę. Przykryłem dłonią jej dłoń. Nie cofnęła ręki, więc odczytałem to jako znak nadziei. Ada zaczęła mówić o pałacu, jego architekturze, historii i malowidłach ściennych, jakie w nim pozostały i wymagają renowacji. Później o tym, gdzie powiesi obrazy nabyte w ciągu lat przez ojca. Nie znałem się szczególnie na sztuce, lecz nie ulegało wątpliwości, że zbiór Orłowa mógł przyprawić o zazdrość niejednego kolekcjonera. Lubiłem, gdy Ada z entuzjazmem opowiadała mi o jakimś obrazie, który ona lub jej ojciec zamierzali kupić. Coś z tego zawsze zapamiętywałem, a ekscytacja i zapach Ady wystarczały, bym chętnie jej słuchał. Teraz jednak uważałem, że najgorsze jest za nami, a pompatyczność naszego bycia we dwoje to już część nowego początku.

Przed deserem poprosiła, żebym wstał i poszedł za nią. Wzięła mnie za rękę. Podeszliśmy do obrazów, które starannie opakowane stały oparte o ściany albo leżały złożone jeden na drugim. Szukała wśród nich przez chwilę, po czym wyciągnęła kwadratowy pakunek, który oswobodziła z folii. Potem położyła na parkiecie przede mną mały obraz w ramach i poprosiła, żebym usiadł koło niej. W tym miejscu panował półmrok, więc wstała i przyniosła ze stołu jeden z ciężkich lichtarzy. Postawiła go na podłodze.

Obraz przedstawiał półnagą, pulchną młodą kobietę, z rudą przepaską wokół bioder. Kobieta odsłoniła prawą pierś, a stary, wychudzony mężczyzna w nędznym odzieniu, ze związanymi w tył rękami, ją ssał. Był to motyw dość szokujący, wcześniej go nie znałem. Kobieta obejmowała jedną ręką łysą głowę starca, jakby go prowadziła, i zerknęła w stronę potencjalnego obserwatora, jakby z góry odsuwając wszelkie oburzenie i oskarżenia z jego strony.

– To *caritas Romana*, motyw wywodzący się z rzymskiej legendy – powiedziała Ada, nie odrywając wzroku od obrazu. – Lubisz legendy, prawda?

– Tak, ale o tej nie słyszałem.

– Wróżbita Cymon został skazany na śmierć głodową. Nikomu nie wolno go było odwiedzić w więzieniu poza jego córką Pero. Pero przychodziła codziennie. Przeszukiwano ją przed każdą wizytą, żeby nie mogła wnieść do środka pożywienia. Lecz Cymon nie umarł. W pewnym momencie sędziowie i strażnicy więzienni zorientowali się, że Pero, która niedawno została matką, karmi ojca piersią i w ten sposób chroni go od śmierci. Według przekazów sędziowie tak się wzruszyli jej postawą, że ułaskawili Cymona. Interesująca jest przy tym nie litość Pero, podnoszona przez historyków sztuki i Kościół, lecz jej gotowość do przekraczania granic, łamanie tabu.

Urwała, jakby zabrakło jej tchu.

– To mój pierwszy samodzielnie kupiony obraz – dodała po chwili w zamyśleniu. – Nie jest dokładnie datowany, pochodzi gdzieś z połowy siedemnastego wieku. Malarz maltański. Ta wersja zrobiła na mnie wielkie wrażenie, większe niż ten sam motyw autorstwa Rubensa czy Caravaggia.

Nie wiedziałem, że ten temat inspirował tak wielu malarzy. Znowu poczułem, że do czegoś nie dorosłem. Obraz miał w sobie coś perwersyjnego, zwłaszcza w kontekście naszej wcześniejszej rozmowy, czy raczej wypytywania, któremu przed kilkunastoma minutami zostałem poddany. Dlaczego Ada mi go pokazała, do czego zmierzała?

– Tak, to temat, który zajmował wielu malarzy – powiedziała.

– Jest mocno nietypowy.

Właściwie chciałem powiedzieć „odrażający”, nie byłem jednak pewien, czy jej nie zirytuję, a ponieważ i bez tego miałem wrażenie, że poruszam się po polu minowym, dałem spokój.

– Tak uważasz?

Zdawało mi się, że Ada jest w tej chwili myślami gdzie indziej, może w średniowieczu, a może tylko w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku.

– To był jednak on, Onno – powiedziała nagle i odłożyła obraz na bok.

Wystarczyło mi jedno spojrzenie na Adę, by zrozumieć, co ma na myśli.

– Nie, nie, nie wolno ci tak myśleć. Wszystko przemawia za tym, że to nie on...

– To był on. A teraz przepraszam cię, boli mnie głowa, muszę pójść do siebie. Nie zjem deseru, nie dam rady. Zostań tu jeszcze chwilę i spróbuj fantastycznej bezy. Zobaczymy się jutro.

Nachyliła się ku mnie i namiętnie mnie pocałowała.

– Ado... Nie, zaczekaj, musimy...

– Jutro, okej? Jestem bardzo zmęczona.

I nie czekając na odpowiedź, wyszła lekkim krokiem. Nie wiedziałem, że był to nasz ostatni pocałunek.

Tamtej nocy zbudził mnie dziwny odgłos. Nie wiedziałem, czy to był sen, czy jawa. Miałem pokój ze wspianym łóżkiem, na końcu korytarza wyłożonego dużymi drewnianymi taflami. Przewracałem się z boku na bok miotany na przemian chęcią pójścia do niej i strachem, jak mnie przyjmie, i w końcu nie odważyłem się na to. Wieczór bardzo mnie zmęczył, nie miałem siły ryzykować kolejnego rozczarowania. Spojrzałem na zegarek. Była trzecia nad ranem. Zupełnie oprzytomniałem, czułem, że szybko nie zasnę. Postanowiłem wstać i spróbować jednak szczęścia. W podkoszulku i dżinsach przeszedłem bosą przez korytarz. Słysząc było, jak wody kanału pluskają o ścianę pałacu, ale poza tym panowała przytłaczająca cisza. Korytarz oświetlony był tylko jedną małą lampą, oświetlenie nie odgrywało, jak się zdaje, specjalnej roli w planach przebudowy pałacu. Korytarz kończył się szerokimi schodami, które prowadziły na dół, do sali recepcyjnej. Zatrzymałem się nagle pośrodku schodów, bo w dole zobaczyłem dwa cienie i delikatne światło. Wstrzymałem oddech. To był Generał. Stał obok córki, oboje byli ubrani, jakby się wcale nie kładli. Rozmawiali szeptem, patrząc przy tym na ścianę przed sobą. Przypomniało mi się, że jest tam ścienne

malowidło, które Ada pokazała mi w przelocie poprzedniego dnia. Pamiętałem tylko pastelowe kolory, nie zwróciłem uwagi na jego treść. Generał trzymał w ręce latarkę i oświetlał różne miejsca na malowidle.

Przyjechał niespodziewanie czy też realizował jakiś plan? Dlaczego Ada mnie tu ściągnęła, jeśli wiedziała, że jej ojciec przyjedzie? Chciała konfrontacji? Poczuję się wystawiony na ostrzał, zawrzało we mnie. Lecz w widoku tych dwojga było coś, co przykuło moją uwagę. Stali obok siebie jak dwa puzzle nierozzerwalnie do siebie należące i współtworzące jeden obraz, obraz, którego poza nimi nikt nie potrafi rozszyfrować. Teraz dopiero zauważyłem, jak podobne są ich ciała i ich postawa. Jakby byli całością podzieloną na dwie płcie. Ada przechyliła głowę i jej włosy dotykały ramienia ojca, a Generał obejmował ją lewą ręką w talii. Ogarnęła mnie paląca ciekawość, na co w tej chwili oboje patrzą i jaki jest wyraz ich twarzy. A może pokazywała mu ten sam obraz, który pokazała mi wieczorem? Czy też powiesiła go już na ścianie – obraz z młodą kobietą karmiącą własnego ojca i spoglądającą prowokacyjnie na tego, kto ją zamierza obserwować? Czy też oboje oglądali odkryte malowidła ścienne? Co Ada mówiła ojcu i co on jej odpowiadał?

„To był on”. Na wspomnienie tych słów Ady poczułem dreszcz na plecach. Zacząłem się wycofywać, starając się robić to bezszelestnie. Zrozumiałem, że muszę uciekać, nie mogę spotkać się z Generałem. Cokolwiek Ada zamierzała, ściągając mnie tutaj, nie chciałem mieć z tym nic wspólnego. Nagle Ada wspięła się na palce i wyszeptała coś ojcu do ucha. Ten stał chwilę nieruchomo, potem odwrócił w moim kierunku i – jestem pewien – zobaczył mnie, musiał mnie zobaczyć. Ale nie dał po sobie niczego poznać, cofnął się, nachylił – jego twarz była bardzo blisko twarzy córki – i wypowiedział jedno słowo, którego nie rozumiałem, po czym zaczął gwałtownie kręcić głową. Wróciłem spieszenie do pokoju.

Spakowawszy rzeczy i upewniwszy się, że korytarz jest pusty, opuściłem pałac. Szedłem płataniną uliczek nocnej Wenecji. Miasto wydało mi się więzieniem – chodziłem po nim i nie znajdowałem wyjścia. Krążyłem ciągle

wkoło, aż wreszcie zrozumiałem, że mogę się stąd wydostać wyłącznie drogą wodną. Znalazłem zaspanego gondoliera, który właśnie wysadził pod hotelem zawianą parę, i wskoczyłem do gondoli, nie pytając go o zdanie.

– Odpływamy! – rzuciłem.

2016/KOTKA

Nie wiedziała, która z nich bardziej potrzebowała tego nocnego zapomnienia – Nura czy ona. Może to zresztą nie było już ważne.

Najważniejsze, że kiedy Onno rano brał prysznic i zostawił otwarty komputer, znalazła w jego e-mailach adres, pod jaki miał jechać, by przekazać ostatnią przesyłkę. Zamówiła do pokoju królewskie śniadanie. Wśród napojów był też sok ananasowy, którego nie znosiła, teraz go jednak wypijała, bo wyobraziła sobie, że dla Nury byłoby to coś pysznego – radzieckie dzieci z gór na pewno nie były rozpieszczane egzotycznymi sokami.

Po śniadaniu wybrała się najpierw do ogrodów Majorelle. Włożyła suknię w kwiatowy rzucik, którą kupiła w przeświadczeniu, że w takiej dobrze czułaby się Nura, i która świetnie pasowała do „czerwonego miasta”, jak nazywany jest Marrakesz. Spacerując po egzotycznym ogrodzie, chłonęła wspaniałość zieleni i barw roślin i drzew. Wiedziała, że Nura byłaby przeszczęśliwa w tym rajskim miejscu. Potem wzięła taksówkę do hotelu Dar Bagh z postanowieniem, że dziś nie będzie podejmować żadnych konkretnych działań, przyjrzy się tylko z daleka Pietruszowowi i zdecyduje, co robić. W tym momencie nie wiedziała jeszcze, jak powinno wyglądać ich spotkanie.

Gdy wysiadła z taksówki, poczuła, jak na jej głowę leje się niemiłosierny żar. Dawał się jej jeszcze we znaki alkohol wypity ostatniej nocy, ból głowy i ciężkość nóg, a mimo to ogarnęło ją uczucie nieskończonej swobody. Suknia, którą miała na sobie, przydawała jej cudownej lekkości, jakby Kotka nie chodziła, lecz unosiła się w powietrzu. Odpłynęły wszystkie problemy minionych tygodni, a burzliwe zapomnienie się ostatniej nocy dało jej potrzebną pewność siebie. Czy taka byłaby pierwsza noc miłosna Nury? Czy Nura poparłaby jej wybór partnera? W końcu Kotkę coś łączyło z Onnem,

choć nie była to, jakby życzyła tego Nurze, wielka, wszystko tłumacząca miłość.

Ujrzała przed sobą położony wśród palm stylowy hotel otoczony murem. Za murem rozciągała się zielona posiadłość z długim basenem, wokół którego były ustawione leżaki. W głębi dostrzegła pole golfowe. Widok ten uchwyciła przez otwartą bramę, z której wyjeżdżał samochód terenowy z zaciemnionymi szybami. Nie była zdecydowana, czy wejść na teren hotelu, czy poczekać.

Czy Onno zdążył już przekazać Pietruszowowi kopertę? Czy Pietruszow obejrzał wideo? Jak zareagował? Te pytania paliły ją w język, ale nie było nikogo, kto mógłby na nie odpowiedzieć. Nagle usłyszała za sobą odgłos kół samochodu jadącego po gorącym piasku. Auto terenowe, które przed chwilą wyjeżdżało, wróciło i zatrzymało się tuż koło niej, przed zatrzaśniętą już bramą wjazdową.

Z otwartego okna samochodu wystawała opalona męska ręka trzymająca komórkę w pretensjonalnej osłonce.

– Boria, nie, ja tego nie potrzebuję, jedźmy już – usłyszała młody męski głos mówiący po rosyjsku. – Nie traćmy czasu. Ona dziś wróci, Boria, co wtedy zrobisz, nie, daj spokój...

Boria, tak, Boria, Borys! Kotka zamarła, a potem udała, że czegoś szuka w torebce. Nie mogą zobaczyć jej twarzy, nie wolno jej się odwrócić, to zbyt niebezpieczne.

– Ależ Lonia, to nic wielkiego, ona wraca późno, weźmiemy tylko okulary i jedziemy, okej? Mamy mnóstwo czasu – odpowiedział niski męski głos.

Kotka zdała sobie sprawę, że popełniła błąd.

– Te szelmy, znowu nikogo nie ma przy domofonie, ja ich pozabijam – powiedział ten o niskim głosie i z impetem otworzył drzwi samochodu.

W chwili, kiedy Kotka, która postanowiła czym prędzej odejść, właśnie

go wyminęła, usłyszała jego głos:

– Hej, ty!

Mówił do niej po rosyjsku. Stężała. Pod żadnym pozorem nie może się odwrócić.

– Co tu robisz?! Mówię do ciebie, panienko! – grzmiał mężczyzna.

Rzuciła się do ucieczki w kierunku, z którego przyszła.

– Hej, stój! Nie uciekniesz mi tak łatwo! Chcesz się zabawić, to chodź, zabawimy się!

Kotka nie wiedziała, czy mężczyzna jest pół metra czy pięćdziesiąt metrów za nią. Biegła najszybciej, jak potrafiła. Biegła, jakby chodziło o jej życie, nie, o życie Nury. Biegła, bo Nura nie mogła już uciekać. Biegła wyludnionymi uliczkami, w wyblakłą czerwień tej okolicy, mijała meczety, nadgryzione zębem czasu mozaikowe łuki, oślepiające kolory i nagle wyłoniły się przed nią stragany z nieskończoną ilością skórzanych pantofli, dywanów i glinianych naczyń. Kotka biegła nadal, nie oglądając się za siebie, jakby się bała, że jeśli się odwróci, sparaliżuje ją jego wzrok. Tak, była pewna, że na twarzy Pietruszowa było wypisane to wszystko, co kazało Nurze zamknąć oczy. Czy w ogóle ją ściga? A może Pietruszow został przy samochodzie, każąc ją śledzić komuś innemu?

Gdy wreszcie zabrakło jej tchu, usiadła na gorącym asfaltowym chodniku. Nie była w stanie zrobić kroku. Rozejrzała się wokół. Nie dostrzegła nikogo, kto by ją śledził.

Kiedy wrócił jej oddech, ogarnęła ją wściekłość na samą siebie. Dlaczego uciekła?! Dlaczego nie skonfrontowała się z tym strasznym człowiekiem?! To raczej on powinien się jej strzec. Co mógł jej zrobić? Porwałby ją, zaczął wypytywać, posłużyłby się nią jako metodą nacisku wobec Generała? To mało prawdopodobne. Minął czas bezprawia, dzikie lata dziewięćdziesiąte, nie jest to też Związek Radziecki. Ale tacy ludzie jak Pietruszow rządzą się własnymi prawami. Naiwnością było zakładać, że tym

razem nie posunie się za daleko.

Kupiła butelkę wody. Ogarnęło ją nieprawdopodobne zmęczenie. Ledwie się poruszała, miała miękkie nogi. Dowlekła się do jakiegoś przystanku autobusowego i pojechała na stare miasto. Zdecydowała, że na razie nie pójdzie do hotelu, bo jeśli Pietruszow jednak ją śledzi, mogłaby naprowadzić go na Onna.

W ostrym błękanie wieczornego nieba poprzecinanego różowymi smugami wylądowała na przeludnionym placu Dżami al-Fana z jego garkuchniami pod gołym niebem, stoiskami z jedzeniem, połykaczami ognia, zaklinaczami węży, muzykantami i wróżbiarzami. W drgającym od upału powietrzu przesuwały się masy ludzi jak armia mrówek zmierzająca do obranego celu.

Usiadła na ziemi obok pucybuta i przyglądała się życiu rynku. Nieoczekiwanie pomyślała o R. Przez moment zapragnęła, żeby tu był, by mogła dzielić z nim to, co przed sobą widzi. Myśl o nim w tym miejscu wydała jej się po zmieniających się jak w kalejdoskopie wydarzeniach ostatniego czasu niemal absurdalna. Tak szybko zostawiła wszystko za sobą. Berlin i kartony wypchane rzeczami, kłopoty jej rodziny, castingi i gonitwa za wielką szansą – to wszystko stało się niemal nierzeczywiste. Jakby nigdy nie miała innego życia niż życie Nury. Jakby od zawsze nosiła przewiewne, kolorowe suknie i miała ciemne włosy, jak gdyby zawsze radośnie, upojnie, do zatracenia spędzała czas z mężczyzną, z którym w normalnych okolicznościach nie byłaby w stanie nawet się zaprzyjaźnić, nie mówiąc o pójściu do łóżka, jakby od zawsze mieszkała w tym mieście pachnącym piaskiem, kuskusem, orientalnymi przyprawami, gorącym tłuszczem, osłami, ludzkim potem i zwiędłymi pragnieniami.

Ale teraz, gdy zanurzyła się w tym wielobarwnym chaosie, myśl o R. pojawiła się znowu. Poczwała w gardle dławiącą kluczę i ucisk w żołądku. Zamknęła oczy i przypomniała sobie jego dotknięcie na swojej kości łonowej, ostrożne, delikatne dotknięcie budzące oczekiwanie, wzmagające głód. To Onno tak jej dotykał ostatniej nocy, a ona przez chwilę wyobrażała sobie, że

to R. ze swoim nienasyconym głodem jej ciała. I przez ułamek sekundy życzyła sobie, by R. nigdy jej tak nie dotykał, żeby w ramionach innego nie musiała szukać jego dotknięć.

Kiedy obserwowała połykacza ognia i wróżbitki oraz masy turystów szukających egzotycznych wrażeń i wdychała intensywne zapachy, myślała o tym, że to spojrzenie R. tak ją uzależniło i sprawiło, że przez kilka lat nie mogła się od niego oderwać. Bo w tym spojrzeniu, w jego sposobie patrzenia na nią kochała samą siebie.

Nagle zaczął ją stary brodaty człowiek w białej szacie, wyglądający na uczonego. Nie rozumiała, co mówił, przeszkodził jej, odpędził go więc podniesionym głosem. Starzec odszedł. Zdziwiło ją własne zdecydowanie. Podniosła się, zaczęła się przechadzać między kramami pełnymi najrozmaitszych towarów, wśród głośnych handlarzy, targujących się z turystami i wozów zaprzężonych w osły. Czekwała, aż ciemność zupełnie otuli miasto. Dopiero wtedy poszła do hotelu. Nie wiedziała, czy cieszy się na spotkanie z Onnem, czy raczej położy się na nieużywanym dotąd dostawionym łóżku, żeby kolejny ranek przyniósł więcej spokoju i jasności.

Wchodząc na patio, zobaczyła przy jednym ze stolików człowieka o ptasim wyglądzie i Onna. Szapiro przemawiał do Onna, a Onno z głową zwieszoną jak karcony uczeń potakiwał co pewien czas, jakby potwierdzając jego słowa. Obecność Szapiry, który zawsze wzbudzał w niej strach, nie oznaczała niczego dobrego. To, co zrobiła, było zbyt ryzykowne, i perspektywa, że zostanie wykluczona z gry, stawała się niebezpiecznie realna. Musi udowodnić, że jest przydatna, musi wytłumaczyć swoje zachowanie, najlepiej w rozmowie z samym Generałem, bo na niego – tego była pewna – ma większy wpływ niż na Szapirę, tego wykastrowanego z wszelkich emocji człowieka. Wykorzysta swój talent, udowodni, że jednak jest niezastąpiona.

Onno zauważył ją pierwszy. Zmierzył ją ponurym wzrokiem. Kotka z niewinnym wyrazem twarzy podeszła do stolika i przywitała się serdecznie.

– Jak mogłaś! – wybuchnął Onno bez wstępów. – Oszukałaś mnie, poszłaś za mną do Pietruszowa!

– Nie szłam za tobą! Wynotowałam sobie tylko jego adres z twoich e-maili.

– Co za horrendalna głupota! Co ty sobie myślałaś?!

Nie przypuszczała, że Onno potrafi tak się unieść.

– Nie tak głośno, to nie bazar! – wtrącił się Szapiro.

Onno zamilkł. Kotka zastanawiała się, w którym momencie została nakryta. Kto zobaczył ją przy hotelu Pietruszowa? Czy wiedzą już też, że wcześniej była w Moskwie?

– Przykro mi, nie przyszło mi do głowy, że ktoś przez to ucierpi... – Udawała naiwną, niewinną dziewczynę w kwiecistej sukience.

– Pani w ogóle nie miała prawa tu przyjechać – powiedział człowiek o ptasim wyglądzie.

– Myślałam, że pieniądze na wydatki...

– Nie były przeznaczone na to, żeby pani się tu pojawiła i zepsuła zamiary Aleksandra – przerwał jej Szapiro. – Na co pani liczyła, przeprowadzając tę dziecinną akcję dziś w południe? To nie jest zabawa, to cholernie poważna sprawa! Nie będę tolerował niczego, co może zniweczyć plany Aleksandra, rozumiemy się?

Mówił w sposób opanowany, nieprzyjemnym, lodowatym tonem.

– Ale ja nic o tym nie wiedziałem, naprawdę! – zawołał Onno.

– Generał chce się z wami widzieć, i to zaraz – dorzucił Szapiro jakby mimochodem i wysączył wodę do dna.

– Jest w Marrakeszu? – spytał Onno z przerażeniem w głosie.

– Jest tutaj? – zapytała Kotka z ulgą, czując, że szansa na pozostanie w grze rośnie, bo istnieje perspektywa spotkania z Generałem.

– Tak. Od razu was do niego zawiozę – powiedział i spojrzał na Kotkę z wyrzutem. – Wystarczająco długo czekaliśmy tu na panią.

Był podminowany. Próbował to ukryć, co nadawało jego głosowi wrogie drżenie. Kotka i Onno podnieśli się jednocześnie, jak przestraszone dzieci, i poszli za nim do czekającego w pobliżu samochodu. Szapiro usiadł na miejscu obok kierowcy, oni z tyłu. Szapiro rzucił kierowcy egzotycznie brzmiącą nazwę, po czym zamilkł.

Droga do Palmeraie, pełnej palm dzielnicy w północnej części Marrakeszu, upłynęła w milczeniu. Samochód podjechał pod willę zbudowaną z cegieł i gliny, położoną w środku oliwnego gaju, otoczoną mnóstwem drzew pomarańczowych, odgradzoną od reszty okolicy. Słysząc było cykanie świerszczy, z wnętrza domu dobiegały dźwięki muzyki. Onno, z każdą minutą bardziej spięty, kiedy usłyszał tę muzykę, skulił się i otarł pot z czoła.

– Przepraszam. Ale ja to naprawię, nie martw się – szepnęła Kotka.

– Jeżeli nas wyrzuci, zamorduję cię, przysięgam!

Nagle samotny wiking przeobraził się we wściekłego boksera, który, kiedy wchodzili do willi, potrącał ją ramieniem.

Zostali wprowadzeni do dużego pomieszczenia z lustrem i olbrzymią rudoczerwoną makatą na jednej ze ścian. Z głośników dochodziła aria z *Łucji z Lammermooru*, aria szaleństwa, jak zawsze określał ją R. Często namawiał Kotkę, by posłuchała różnych wykonania tej opery i nauczyła się wychwytywać subtelne różnice w sposobie wyrażania szaleństwa. Na przeciwległą ścianę sali skierowany był rzutnik, na ścianie widniał znieruchomiły obraz przerwanej projekcji. Przedstawiał siedzącego na krześle przed laptopem Szujewa, który przymknął powieki i palił papierosa.

– Co to jest? – wymamrotał Onno, rozpoznając Szujewa.

– To przecież...

Nagle pojęła. Oczywiście, to jasne, Generał go sfilmował. Sfilmował

Szujewa, gdy ten oglądał wideo.

- Ogląda właśnie wideo.
- Ale dlaczego został sfilmowany?!

Zanim zdążyła mu odpowiedzieć, do pomieszczenia wszedł Szapiro z Generałem.

Orłow wyglądał szczuplej niż ostatnim razem. Skinął im głową i usiadł na ciemnozielonym dywanie. Kotka i Onno zajęli miejsca na przygotowanych stołkach.

– Chcę panu coś wyjaśnić – zaczęła Kotka, kiedy zapadła nieprzyjemna cisza i wszyscy utkwili wzrok w sfilmowanym Szujewie.

– Tu nie ma czego wyjaśniać. Dziękuję za wasze usługi i życzę powodzenia. Jutro wróćcie z Szapirą do Berlina. Oboje. Sprawę wypłaty honorarium możemy załatwić od razu.

– Pan ich filmował, kiedy oglądali wideo – powiedziała Kotka.

Było to bardziej stwierdzenie niż pytanie. Generał unikał patrzenia na nią wprost, tak jak podczas spotkania w jego willi w Berlinie. Kotka postanowiła go sprowokować, żeby musiał na nią spojrzeć.

– Tak, filmowałem – odparł ostro.

– I co? Czy ich reakcja była taka, jak się pan spodziewał?

– Co to znaczy: „jak się spodziewałem”?

Zwrot w rozmowie wyraźnie go zaskoczył. Jego głos dochodził jakby z daleka, z innego pomieszczenia. Aria, ku uldze Onna, właśnie się skończyła. Rzut oka na Onna wystarczył Kotce, by się zorientować, że sytuacja zaczyna go przerastać. Bał się, że każde kolejne słowo tylko pogorszy ich położenie. Kotka natomiast czuła, że musi przełamać rezerwę Generała, musi zaintrygować go swoim, a raczej Nury wyglądem, by jej się nie wywinął.

– Czy ci trzej przeklinali, byli wzburzeni, wyłączyli wideo czy coś w tym

rodzaju?

Onno chrząknął nerwowo w reakcji na słowa Kotki, co ona zignorowała.

– Uważa pani, że tego właśnie się spodziewałem w reakcji na wideo?

– Samochód stoi gotowy, mogę ich... – wtrącił się Szapiro stojący gdzieś z tyłu, też zapewne obawiający się dalszego przebiegu tej rozmowy.

Generał nie zareagował.

– Tak zakładam. Chciał pan zobaczyć ich reakcję na własne oczy – powiedziała Kotka.

– A jak pani sądzi, który z nich trzech to zrobił? Pani przecież zdążyła ich poznać.

– Zdaje mi się, że Szujew burzył się, przeklinał, może wyłączył film przed końcem. Juricz, jak sądzę, płakał jak bóbr i na końcu zniszczył pendrive z obawy, by jego żona nie zobaczyła nagrania. Pietruszow... nie, on na pewno nie obejrzał filmu do końca. Może zresztą nie obejrzał wcale. Nie wiem.

– Nieźle, nieźle! – wykrzyknął Generał i zerwał się z miejsca podekscytowany, jakby wygrał jakiś zakład.

Zwrócił się do Szapiry, żeby przysłał kogoś z napojami. Onno patrzył niepewnie to na jednego, to na drugiego.

Szapiro, którego polecenie Generała wcale nie zachwyciło, posłuchał dopiero za drugim razem.

– I proszę mi teraz powiedzieć, dlaczego miałbym się spodziewać takich reakcji? – zwrócił się Generał do Kotki.

W tym momencie nie pozostało mu nic innego, jak spojrzeć na nią wprost, a ona, wyćwiczona w mowie ciała Nury, postarała się, żeby nie mógł od niej odwrócić wzroku. Patrzyła mu prosto w oczy, hipnotyzowała go spojrzeniem. Generał próbował patrzeć w dal, uciekać wzrokiem, ale Kotka nie dała mu tej możliwości: podniosła się, zrobiła krok w jego stronę, zaczęła

chodzić w tę i z powrotem, stale zwrócona do niego twarzą.

– Chce pan potwierdzenia, że ma pan rację.

– Rację? W czym?

Było w tej rozmowie coś, co go intrygowało. Chodziło albo o to, że go przejrzała, albo że odważyła się rozmawiać z nim jak równy z równym.

– Pan chce tych trzech mężczyzn mieć pod koniec miesiąca w jednym miejscu. Ale pan wie, że żaden z nich nie pojedzie tam dobrowolnie. Wiedział pan o tym od początku. Lecz jakaś część pana pragnęła też, żeby pan się mylił. Jakaś część pana chciała wierzyć, że ci trzej zmienili się od tamtego czasu i że gdy zobaczą moją twarz, to znaczy twarz Nury, jakoś to nimi wstrząśnie. Że oni... nie wiem, jak to powiedzieć... że nie pozostaną całkiem zimni. Może nie okażą skruchy, bo spodziewać się tego po nich byłoby błędem, tak bardzo znowu ludzie się nie zmieniają, ale przynajmniej... Tak, tego się pan spodziewał... tego spodziewała się jakaś część pana. Pan chciał się upewnić, że właściwie trafił z tym, co zamierza zrobić.

– To wszystko brzmi bardzo... bardzo dramatycznie. Ale chętnie posłucham, proszę mówić dalej.

Kotka podeszła do Generała niebezpiecznie blisko, może zbyt blisko. Zatrzymała się przed nim i zmusiła, by popatrzył na nią z dołu.

– Nie wiem, co pan robi, ale teraz wolno panu to zrobić. Bo w tych trzech nie zmieniło się nic, zupełnie nic. Myślą tak jak wcześniej, że zrobili coś, co musieli wtedy zrobić, i w dalszym ciągu nie czują się winni. Więc teraz pan nie będzie już ich zapraszał do hotelu w górach Czeczenii, teraz pan ich nakłoni, żeby przyjechali.

– Nakłoni! Cóż za wspaniałe słowo! Proszę więc jeszcze zdradzić, jak, pani zdaniem, ja ich do tego nakłonię, by pozostać przy pani wysmakowanym określeniu.

Onno siedział na swoim stołku jak przymurowany, poruszała się tylko jego głowa, jakby obserwował grę w ping-ponga.

Do sali wjechał wózek z alkoholami pchany przez kelnera. Jego pojawienie się wprowadziło odrobinę odprężenia. Kelner nalał Generałowi whisky, Kotka odmówiła alkoholu, bo chciała zachować jasność umysłu, Onno poprosił o gin z tonikiem – potrzebował czegoś mocniejszego, żeby przetrwać.

– Domyślam się, że pan ma w ręku konkretne środki perswazji.

– A co bym zrobił, gdybym nie miał racji i gdyby wideo nie wywołało w nich takiej reakcji, jakiej się spodziewałem?

– Myślę, że pan nie mógł przewidzieć ich reakcji. Dalsze postępowanie uzależnił pan właśnie od tego, jaka będzie ich reakcja. Gdyby była inna, niż pan się spodziewał, może nawet by pan to przerwał albo...

– Przerwał, przerwał – powtórzył, jakby smakował to słowo. – Wobec tego jakimi środkami, pani zdaniem, ściągnę ich teraz w umówione miejsce?

„Ściągnę” – to słowo podkreślił z dziwną przyjemnością. Kotka czuła, że musi być skoncentrowana, nie może sobie pozwolić na żaden błąd, zbyt dużo ma do stracenia. Lecz nie wątpiła ani przez chwilę, że Nurze udałoby się wziąć udział w zaplanowanym przez Generała spotkaniu ostatniego dnia roku w jej ojczystych górach.

– Pan chce, żebym to odgadła?

– Bardzo proszę. Sprawia pani wrażenie osoby, która wszystko prześwieciliła i wszystko widzi.

Z kąta sali dobiegło sapnięcie Szapiry. Nie podobało mu się to wszystko. Kotce udało się wytrącić Generała z jego bezpiecznej, zdystansowanej pozy.

Tymczasem Generał coraz lepiej się bawił.

„Taki plan jak ten – myślała Kotka – skazuje człowieka na samotność, milczenie i trwanie w napięciu”. Zdawało się, że Generał znalazł w niej gracza równego sobie. Musi temu sprostać.

– Zakładam, że od początku dysponował pan bardzo skutecznym

środkiem nacisku na wszystkich trzech.

Onno spojrział na Kotkę wzrokiem pełnym podziwu. Chyba jej wcześniej nie doceniał. A może ona zwariowała. Ignorowała go, tak samo jak ignorowała Szapirę. W tym pomieszczeniu liczyli się tylko oni – Generał i Kotka. Powietrze z napięcia zdawało się wibrować.

Generał pociągnął łyk whisky i wbił wzrok w Kotkę. „Właśnie o to chodzi – pomyślała. – Zobaczył przynętę, teraz tylko muszę go skłonić, żeby połknął haczyk”.

– Środek nacisku. No, no. A jakiego, pani zdaniem, rodzaju?

– Jeśli mam wejść do gry, muszę wiedzieć, o co gramy.

Teraz był dobry moment, żeby postawić pierwsze odważne żądanie. Nie zrobi tego jeszcze wprost, Generał nadal musi mieć poczucie, że to on ustala zasady.

– Nie wiedziałem, że z sobą gramy. – Generał wybuchnął śmiechem. Nieoczekiwanie, gwałtownie.

Nigdy nie słyszała, by się śmiał. Śmiał się ochryple, bezczelnie, niemal kumplowsko.

– To nie tak, ona tak nie uważa – próbował wtrącić się Onno, pełen obaw, że zuchwałość Kotki zemści się na nich obojgu.

– Pst! – powiedział Generał, nie odrywając wzroku od Kotki.

– A więc gramy? – spytała.

Musiała głośno wypowiedzieć to, co dla nich obojga od dłuższej chwili było już jasne.

– Dobrze, jeśli pani chce, może pani uważać naszą rozmowę za grę.

– W prawdziwej grze zawsze gra się o coś, czyż nie? Tylko wtedy gra ma sens.

– A im wyższa stawka, tym lepiej. Gra pani w karty?

– Kiedyś grałam. Dawno temu.

– Ja często grałem w karty z córką. Lubiła grać.

Po raz pierwszy wspomniał o córce w jej obecności, a przede wszystkim w obecności Onna. To dobry czy zły znak? A może ostrzeżenie?

– Tak, nie ma nic gorszego niż ludzie, którzy grają bez zaangażowania – powiedziała Kotka. – A więc o co gramy?

– Za daleko pani się posuwa – rozległ się głos Szapiry.

– Cicho, Szapiro – usadził go Generał. Na jego twarzy pojawił się nikły uśmiech. – A o co pani i Onno chcielibyście grać?

– Chcielibyśmy przy tym być. Chcemy tam pojechać.

Onno jednym haustem opróżnił swoją szklankę. Zapadła pełna napięcia, nieprzyjemna cisza. Generał wstał i odwrócił się w stronę ogrodu za szklanymi drzwiami, pogrążonego teraz w ciemności.

– Jakie środki nacisku wobec tych mężczyzn mam, pani zdaniem, w swym ręku?

Nie powiedział, że się zgadza, ale z tego pytania wywnioskowała, że wstępnie zaakceptował jej żądanie.

– Zacznijmy od Szujewa. Mieszka w komfortowej dzielnicy Moskwy.

– Ja pierniczę, śledziła mnie! – nie wytrzymał Onno.

Uderzył ręką w kolano i z niedowierzaniem pokręcił głową. Lecz nikt nie zwracał na niego uwagi.

– Szujew nie sprawia jednak wrażenia, że ktoś się o niego troszczy. Może potrzebować pieniędzy. Ale jest stary. Nie miałby co z nimi zrobić, poza tym miałby pewnie opory. Same pieniądze nie wystarczą, chyba że nie tylko on ich potrzebuje. O ile wiem, ma dzieci, chociaż nie wydaje się, żeby był z nimi blisko.

Generał się odwrócił, na jego twarzy malowało się zdumienie. Kotka

czuła, że jest na dobrym tropie. Jeden do zera. Do tej pory nie zastanawiała się, jakich środków nacisku mógłby użyć Generał, ale teraz, kiedy głośno myślała, wiele rzeczy ułożyło się jej w głowie. Znała szczegóły, teraz musi je tylko z sobą połączyć.

– Słucham, słucham...

Nie pozwolił jej odetchnąć. Spytała, czy może zapalić.

– Nie! – dobiegło z kąta sali.

Generał spojrzał ostro na Szapirę.

– Proszę, oczywiście, niech pani pali.

Kotka wiedziała, że musi się skupić, nie może stracić wątku. Po ostatniej nocy oczy piekły ją z niewyspania. Papieros pozwolił jej zyskać na czasie. Więc dzieci Szujewa. Szujew ma ich dwoje, jeśli dobrze pamięta. Syna w każdym razie na pewno.

– Więc tak, Szujew ma albo przefajdane z dziećmi, przepraszam za wyrażenie, albo dzieciom nie wiedzie się zbyt dobrze i nie mogą ojcu pomóc.

– W pierwszym wypadku pieniądze nie na wiele się zda, prawda?

Zaczął jej pomagać, czy chce, by zgubiła trop?

– Nie, dlaczego? Pieniędźmi mógłby ich do siebie przekonać.

– Tak, ale wtedy zaczną zadawać pytania...

Niewiarygodne, lecz najwyraźniej chciał, by odgadła, naprowadzał ją na właściwą odpowiedź.

– Wiem! Jego dzieci są w finansowych kłopotach. W końcu to zawsze pieniądze są tym, co...

– A zatem twierdzi pani, że to pieniądze będą środkiem nacisku? – przerwał jej.

– Tak, dzieci Szujewa potrzebują pieniędzy.

– Potrzebują pieniędzy. Aha.

Sposób, w jaki wymówił „potrzebują”, otworzył jej oczy. Nie, one nie potrzebowały pieniędzy, one tkwiły po uszy w kłopotach.

– Mają... Jedno ma... Nie! Oboje mają długi!

Generał znowu się zaśmiał i zatarł ręce. Kotka zaciągnęła się papierosem. Poczowała, że rośnie we własnych oczach. Musi wyprzedzić Generała, wykorzystać jego dobry nastrój i szybko pomyśleć, jak może wyglądać sytuacja u Juricza. Pieniądze, tak, Juricz na pewno też potrzebuje pieniędzy – warunki, w jakich żyje, nie wskazują na dobrobyt. Tylko na co konkretnie Juricz mógłby ich potrzebować? Rozmawiała z nim, co jej mówił? Jej mózg niemal parował, skronie pulsowały, jeszcze raz zaciągnęła się głęboko papierosem. Co takiego powiedział Juricz, co mogłaby teraz wykorzystać? Pojedyncze zdania pojawiały się w jej głowie w rytmie staccato^[3]: „Co to za głupi pomysł?... Pani nie może przecież współpracować z człowiekiem, który pani siostrę... Ja nie przyjadę... Ja mam pracę, zbliża się Nowy Rok, wie pani, i dzieci...”.

Co jeszcze mówił? Z wysiłkiem starała się odgrzebać w pamięci coś więcej. „Moja rodzina i ja przeżywamy teraz trudny okres”. Tak, to jest jakiś punkt zaczepienia. Ale dlaczego trudny czas? Bingo! „Chcą rozebrać te bloki, my walczymy...” Bloki! No jasne! To on, Generał, jest tym, który chce je rozebrać! Ogarnęło ją rozgorączkowanie, jakby za chwilę miała wejść na scenę.

– Punkt dla pani. Syn Szujewa jest bardzo zadłużony. Tak bardzo, że musi to ukrywać przed otoczeniem. Jest nałogowym graczem – powiedział Generał i nalał sobie kolejną whisky. – Jego nałóg doprowadził go już dwa razy na intensywną terapię, ale nie wyciągnął z tego żadnych wniosków – dodał z uśmiechem i znowu usiadł na dywanie. – A jak pani widzi sytuację Juricza?

Onno zrobił sobie nowy gin z tonikiem. Kiedy podchodził do wózka z alkoholem, Kotka zauważyła, że jego ubranie jest mokre od potu i klei się do niego, jakby wyszedł spod prysznica, wcześniej się nie rozbierając.

– To pan, prawda? Pan jest tym, kto zamierza rozebrać te bloki?

– Ona z nim rozmawiała! – wykrzyknął wstrząśnięty Onno, lecz nikt nie zwrócił na niego uwagi.

Generał i Kotka badali się wzrokiem jak drapieżnik i jego zdobycz, tylko jeszcze nie było wiadomo, kto tu jest drapieżnikiem, a kto zdobyczą.

– Juricz z panią o tym rozmawiał?

– Nazwałabym to raczej rozmową z samym sobą.

Musiała odpowiedzieć, ale tak, żeby jeszcze nie zdradzić zbyt wiele. Nie mogła pozwolić, by zajrzał jej w karty.

– Pan wyrzuci go na ulicę razem z całą rodziną, jeśli on nie zgodzi się na pana warunki. Jak powiedziałam, to zawsze kwestia pieniędzy.

– A jak jest z panią? Czy też decyduje pieniądz?

– No oczywiście, do pewnego stopnia tak.

Chrząknął, jakby dawał do zrozumienia, że niezupełnie jej wierzy. Ona sama uważała inaczej. Ale tak utrzymywać było najprościej. Inne powody niełatwo było nazwać i wyjaśnić.

– Więc mam rację? – spytała.

– W czym? Chodzi o środki nacisku?

– Tak.

– W pani wypadku było zapewne inaczej. Zainkasowanie czterdziestu dwóch tysięcy euro nie stanowi, zdaje się, jedynej pani motywacji – powiedział i przeciągnął się.

Nie podjęła tego tematu. Nie mogła pozwolić, żeby gra straciła napięcie. Trzeba je utrzymać do końca, tak jak aktor winien utrzymać w napięciu widzów, gdy gra na scenie – tego uczono ją od zawsze.

– Zostaje jeszcze Pietruszow – powiedziała.

– Tak, zostaje Pietruszow.

– On ma pieniądze. Może nie jest krezusem, ale stać go na wygodne

życie. Zdaje mi się, że zdecydowanie pana nie lubi.

– Skąd to przypuszczenie? W końcu pani z nim nie rozmawiała.

– Bo pan tu przyjechał.

– Więc?

– W Moskwie pana nie było. Przynajmniej oficjalnie.

– Oficjalnie! A to dobre! Rozbrajające!

W jego głosie pojawiło się rozdrażnienie. Zrozumiał, że został przejrany.

„Mężczyźni tego pokroju bardzo tego nie lubią. Trzeba się wycofać – pomyślała Kotka. – Lepiej nie wyprowadzać go z równowagi. Muszę zostawić mu złudzenie, że nad wszystkim panuje”.

– Więc z tego, że tu jestem, wnioskuje pani, że Pietruszow mnie nie znosi? Ta logika wydaje mi się nieco dziwna.

„Muszę udać, że zbił mnie z tropu” – pomyślała Kotka.

– Cóż... Pietruszow w pana ocenie jest kimś specjalnym. Co do tamtych dwóch, to nietrudno będzie panu wyrzucić na nich nacisk. Od początku ma ich pan w garści. Tutaj... tutaj chce pan osobiście nadzorować sytuację i mieć pewność, że wszystko idzie w dobrym kierunku.

„Już lepiej” – pomyślała, dostrzegając w jego twarzy rozluźnienie. Niech będzie przekonany, że to on w tej grze pociąga za wszystkie sznurki.

– A więc Pietruszow... Jak sobie z nim poradzę? – spytał Generał.

„Muszę go dla siebie pozyskać – powtarzała sobie Kotka. – Zaskakiwać, ale i stwarzać wrażenie, że to on wyprzedza mnie o krok”.

– Zastanawiam się jeszcze – powiedziała. – Brakuje mi wiedzy dotyczącej tła sprawy. W każdym razie Pietruszow to człowiek bardzo agresywny, tyle mogę powiedzieć. Tacy jak on nie lubią, gdy ich do czegoś zmuszać. Ale może... może zadziałałoby tu zastraszenie?

– Myślałem, że sprawę zawsze rozwiąże pieniądz...

Znowu czuł się zwycięzcą. Uśmiechnął się i pociągnął łyk alkoholu.

– Tak, pieniądz też może tu odegrać jakąś rolę, ale w jakiej formie, tego jeszcze nie wiem. Może wykorzystać obawę Pietruszowa przed rozwodem?

– Rozwodem? Dlaczego rozwodem?

Generał nastawił ucha i lekko pochylił się do przodu. Jego reakcja była spontaniczna. Więc nic o tym nie wiedział. Nie znał jeszcze pięty achillesowej Pietruszowa.

„Jeśli teraz mam rację, to wygrałam – pomyślała Kotka. – Ale nie mogę pokazać, że wiem o czymś, o czym on nie wie”.

– Bo Lonia, jego towarzysz, raczej na pewno nie jest jego żoną.

– Lonia? – Generał odwrócił się i spojrzał pytająco na Szapirę.

– Tak, chłopak, którego Pietruszow wszędzie z sobą zabiera – wtrącił się Onno.

Dla niego też stało się jasne, że tę informację posiadli z Kotką wcześniej niż Generał.

Pietruszow popełnił nieostrożność, na chwilę stracił czujność, i to akurat w dniu, w którym Kotka i Onno złożyli mu wizytę.

Kotka była pewna, że Szapiro też go obserwował. Ale Pietruszow to nie Juricz: potrafił zacierać za sobą ślady. Nie dawał się tak łatwo wysledzić i nie pozwalał grzebać w swoich sprawach, tak jak Szujew i Juricz. Umiał ukrywać swoje preferencje seksualne i związek z mężczyzną. Na szczęście dla Kotki opuszczona szyba w oknie samochodu, którym wyjeżdżał ze swojej posesji, pozwoliła jej się zorientować, że w samochodzie oprócz Pietruszowa siedzi jakiś żigolak, i to nasunęło jej pewne podejrzenia.

– Oczywiście, Lonia to nie jego żona. Jego żoną jest Lena Kaługina, córka Miszy Kaługina – mruknął Generał i Kotka wyczuła w tych słowach zarzut pod adresem Szapiry.

– Miszy Kaługina, tego Miszy Kaługina?! – wykrzyknął podekscytowany

nagle Onno.

– Kto to jest? – zapytała Kotka z udaną naiwnością.

Dzięki Onnowi mogła pokazać, że czegoś nie wie. Tym bardziej szczerze, że naprawdę nie miała pojęcia, o kogo chodzi.

– Nie słyszałaś o nim?! To jeden z najważniejszych ludzi w GASKOM-ie.
– Onno spojrział na Kotkę z niedowierzaniem. – O kurczę, więc to stamtąd płynie kasa!

To zdanie okazało się dla Kotki brakującą cegiełką.

– Ach, więc to tak?! To upraszcza sprawę! Daję głowę, że małżonka Pietruszowa nic nie wie o istnieniu miłego Loni, a Pietruszow zrobi wszystko, żeby tak pozostało. Na pewno nie ma ochoty zamienić życia w tym gorącym kraju na egzystencję w szarej, zimnej ojczyźnie, w dodatku bez widoków na jakąkolwiek finansową odprawę. A tak na pewno by się stało, gdyby do jego żony dotarły słuchy o jego uczuciu do blondynka. W Rosji poza tym niekoniecznie przychylnie traktuje się związki homoseksualne. No, wspaniale!

Kotka zapaliła następnego papierosa i zaczęła chodzić po pokoju.

– Tu go mamy! Pan potrzebuje tylko kilku dowodów, najlepiej w postaci zdjęć czy nagrania wideo, które pokażą jego romans! – wykrzyknęła, jakby chodziło o szczęśliwie rozwiązana kwestię.

Odważyła się spojrzeć w kierunku Szapiry i posłać mu uśmiech.

Generał wpatrywał się w swoją szklankę. Nie podnosił wzroku.

„Wygrałam! Bezapelacyjnie! – triumfowała w duchu Kotka. – Dostarczyłam przecież... nie, Nura dostarczyła brakującej odpowiedzi. Teraz Generał będzie wiedział, jak zmusić Pietruszowa, by stawił się w Czeczenii”.

Kiedy Kotka obejrzała się powtórnie, Szapiry nie było już w pokoju. Rozluźniła się. Podeszła do wózka z napojami i nalała sobie wódki. Miała prawo uczcić tę chwilę. Teraz miała prawo.

– Więc pozostajemy w grze? – spytała Generała po długim milczeniu.

– Przepraszam na chwilę. – Generał podniósł się bez odpowiedzi i wyszedł, zostawiając szklankę z whisky na dywanie.

– Całkiem ci chyba odbiło! Zdajesz sobie sprawę, że możesz wszystko zepsuć? – wybuchnął Onno, gdy zostali sami.

– Ale niczego nie zepsułam – stwierdziła Kotka z uśmiechem i uściśnęła jego ramię. – Nie bądź takim panikarzem!

– Za daleko się posunęłaś! Okłamałaś mnie! Myślałem, że trzymamy sztamę.

– Bo trzymamy! Dobrze, przepraszam, jeśli okazałam się trochę lekkomyślna, ale ty byś mnie z sobą nie zabrał, a ja chciałam... musiałam koniecznie... I w końcu wszystko naprawiłam, prawda? Więc przyjmij moje przeprosiny.

Nagle jej się przypomniało, że ostatniej nocy była z nim w łóżku, lecz odsunęła od siebie tę myśl, tłumacząc sobie, że to była noc Nury, noc dla Nury, a teraz wytworzy się między nimi niewinna, przyjazna neutralność.

– Posunęłaś się absolutnie za daleko! Nie wiem, co zdecyduje Generał. Ale jeśli nam podziękuje, jeśli nas wyrzuci, to przez ciebie! I ja cię zabiję!

Biła od niego czysta agresja. Po ciepłe i spokoju, jakimi zwykle emanował, nie było śladu. Chciał dodać coś jeszcze, ale w drzwiach stanął Generał.

– Wybaczcie. Szapiro zaraz odwiezie was do hotelu.

Nie patrzył na nich.

– Więc jedziemy do Czeczenii?

Pytanie Kotki zabrzmiało cicho i niepewnie. Generał wyglądał na zmęczonego, jakby wcześniejsza rozmowa wiele go kosztowała.

– Tegoście przecież chcieli.

Kotka oniemiała z wrażenia. A więc będą przy tym, kiedy sprawa zacznie zmierzać do finału!

CZTERY: W ŚNIEGU

2016/KRUK

Lecieliśmy odrzutowcem Generała. Przez większą część drogi milczeliśmy. I ja, i Kotka pierwszy raz odbywaliśmy podróż prywatnym samolotem. Każde z nas było pogrążone we własnych myślach i niejasnych przeczuciach.

Generał siedział w tylnej części odrzutowca stanowiącej coś w rodzaju jego biura. Szapiro też gdzieś się zaszył i zobaczyliśmy go dopiero tuż przed lądowaniem. W trakcie lotu podano nam napoje. Obserwowaliśmy chmury.

Ciągle jeszcze czułem złość do Kotki, a mimo to budziła we mnie respekt. Wykazała niesłychany upór. Ostatecznie to jej zasługą było, że leciliśmy do Czechenii. Nie doceniałem jej i to odkrycie w tym momencie, nad chmurami, przstraszyło mnie. Leciliśmy w niewiadome, a ona była w tej grze elementem nieprzewidywalnym. Zarzucałem sobie, że uległem sympatii do niej i nie przyjrzałem się bliżej jej motywom, nie skalkulowałem zawczasu wszystkiego.

Po tym, jak rozmową z Generałem przypominającą mecz ping-ponga wywalczyła dla nas bilety do Czechenii, poleciałem do Berlina. Kotka została w Marrakeszu, wynajęła wygodny pokój we francuskim hostelu i wysyłała mi radosne SMS-y, jakby nic szczególnego się nie stało. Potem pojechała nad morze. Kiedy spytałem, skąd ten pomysł, odpisała: „Zawsze chcieliśmy zobaczyć to wybrzeże”. Nie dociekałem, kogo ma na myśli, pisząc „my”. Miałem inne rzeczy na głowie.

Dwa dni przed naszym wylotem do Czechenii Kotka pojawiła się w Berlinie. W naszych stosunkach zamiast dawnej lekkości zapanował dystans, co zapewne było efektem wspólnej nocy w Marrakeszu.

Prowadziła jakąś własną grę. Nie wiedziałem, czego się po niej spodziewać. Powinna zabrać swoje honorarium i wrócić do własnego życia,

lecz miałem wrażenie, że temu jej życiu brakowało jasności i poczucia bezpieczeństwa. Jakby nikt tam na nią nie czekał, jakby nic jej nie wzywało. Więc może teraz uciekała przed kimś lub przed czymś. Nie wiedziałem i byłem zmęczony tymi zagadkami. Moje pytania zadawane jej mniej lub bardziej wprost w SMS-ach czy e-mailach zbywała, robiła uniki. Musiałem skoncentrować się na najważniejszym: Kotka zarzucała mi od początku, że zbyt łatwowiernie podchodzę do sprawy Generała i że naiwnością z mojej strony jest zakładać, że Generał tak po prostu odda mi swoją historię. Lecz zastanawianie się nad ceną, jakiej może ode mnie zażądać, prowadziło donikąd, bo nie domyślałem się odpowiedzi i czułem, że Generał nie wyjawii tego aż do końca.

Oczywiście wiedziałem, że będę musiał zapłacić, ale też miałem wrażenie, że żadna cena mnie nie odstraszy. Teraz jednak, kiedy zbliżaliśmy się do miejsca, gdzie ta historia miała swój początek, zacząłem się zastanawiać, czy naprawdę jestem gotów na wszystko.

Lotnisko było ponure i puste. Sprawiało wrażenie pozostałości po erze radzieckiej. Czas się tu zatrzymał – te same uniformy, ten sam wyraz twarzy celników, ten sam ton wobec pasażerów. Siedziałem spokojnie, stosując się do poleceń Szapiry. Zabrano nam paszporty i kazano czekać w samolocie. Po pół godzinie przyszedł rosyjski urzędnik i oddał je nam z naburmuszoną miną. Dopiero wtedy wyszliśmy.

Na zewnątrz uderzył w nas lodowaty podmuch powietrza. Kotka włożyła na głowę kaptur, ja ratowałem się czapką. Na budynku lotniska wisiał ogromny banner z osławionym powiedzeniem syna prezydenta: „Moją bronią jest prawda i wszelkie wojska są wobec niej bezsilne”. Przełknąłem te słowa, starając się nie zwracać uwagi na podły smak, jaki zostawiały.

Koło południa opuściliśmy lotnisko. Czekał na nas czarny jeep i dwóch umundurowanych żołnierzy wyposażonych w imponującą broń. Kotce na ich widok zrzędnęła mina, lecz nic nie powiedziała. Szapiro usiadł za kierownicą i włączył silnik. Za nami ruszył drugi, identyczny jeep z żołnierzami.

– Najpierw coś zjemy, zanim ruszymy dalej – powiedział Szapiro.

Jechaliśmy szeroką, zupełnie pustą drogą do Groznego. Kotka i ja obserwowaliśmy widoki za oknem. Z licznych bannerów i plakatów umieszczonych wzdłuż drogi spoglądali na nas nieżyjący już prezydent, mający tu status nieśmiertelnego, i jego syn. Czy to młodzieżowe turnieje sportowe, czy uniwersytet, wszystko nosiło ich imię. Hasła na plakatach były najczęściej demagogicznymi radami i napomnieniami albo patriotycznymi sloganami rodem z Moskwy z lat sześćdziesiątych. Ilustrowały je zdjęcia dzieci przyjaźnie machających rękami albo radosnych studentów dziękujących zmarłemu przywódcy bądź jego synowi za dobrobyt w kraju, za nowe budynki i świetlaną przyszłość. A wszyscy oni wspólnie dziękowali rosyjskiemu przywódcy, którego zdjęcia z czasów młodości gęsto ozdabiały przydrożne słupy.

Generał siedział na miejscu obok kierowcy i milczał. Nie interesowały go widoki za oknem. Może znał te okolice, a może nie chciał ich sobie przypominać. Dojechaliśmy do centrum Groznego i skręciliśmy w szeroki bulwar nazwany imieniem rosyjskiego przywódcy. Były tu sklepy z odzieżą, też jakby z minionej epoki, a obok nich kawiarnie i restauracje w amerykańskim stylu.

Wszędzie stali uzbrojeni mężczyźni z marsowym wyrazem twarzy. Nie miałem pewności, jaką rolę mieli do odegrania – chronili obywateli, czy raczej ich zastraszali... Mijały ich kobiety w chustach na głowie i barwnych spódnicach sięgających ziemi, brodaci mężczyźni w tradycyjnych papachach i czysto ubrane, urodziwe dzieci. Wszyscy poruszali się lekko i z wdziękiem, jakby unikając wszelkich nieostrożnych ruchów. Pary spacerowały w przepisowej odległości, nawet małżeństwa z dziećmi, idąc obok siebie, zachowywały dystans.

Szukałem śladów obu minionych wojen. Nie dojrzałem ich na żadnym domu mieszkalnym, na żadnej budowli, nie przypominała o niej żadna tablica pamiątkowa ani żaden pomnik, choć od ostatniej wojny nie minęło nawet dziesięć lat. Dwie wojny i niezliczona ilość ofiar – zabitych, kalek,

zaginionych, zhańbionych, zniszczonych psychicznie, pozbawionych nadziei, zamkniętych w sobie, złamanych, zżeranych nienawiścią. Zamiast tego widać było świeżo odnowione fasady domów, które wyglądały na niezamieszkałe, jakby stanowiły tylko dekoracje do jakiegoś filmu, a życie rozgrywało się zupełnie gdzie indziej. Na budynku największego hotelu widniał neon, którego nienaturalnie wielkie litery wyrażały podziękowania narodu czeczeńskiego dla syna prezydenta. Za hotelem rozciągał się nowo założony park przypominający ogrody w Wersalu, z meczetem przytłaczających rozmiarów. Wszystkie tablice informacyjne i nazwy ulic były po rosyjsku. Niektóre nazwy, takie jak na przykład ulica Generała Troszewa, szokowały: utrwały pamięć o tych, którzy nie tak dawno zrównali to miasto z ziemią, i jakby szydziły z tych, którzy przeżyli.

Opuściliśmy centrum. Jechaliśmy teraz szeroką ulicą z blokami po obu stronach, mijaliśmy małe kioski, stragany z warzywami, ulicznych handlarzy i kawiarnie, z których dobiegała rosyjska muzyka pop. Przed budynkiem jakiejś szkoły w karnych szeregach stali uczniowie w biało-czarnych mundurkach, z narzuconymi na ramiona kurtkami albo płaszczami, jakby szybko musieli zebrać się przed szkołą. Towarzyszyli im nauczyciele. Dzieci z obojętnym wyrazem twarzy recytowały jakiś tekst. W tle rozbrzmiewała pieśń, znowu rozpoznałem imię syna prezydenta i rosyjskiego przywódcy.

– To jest tak koszmarne nierzeczywiste – mruknąłem, mając nadzieję, że Kotka mi odpowie i przerwiemy nieznośne milczenie.

Ale Kotka popatrzyła na mnie nieobecny wzrokiem. W jej szeroko otwartych oczach było przerażenie i zdumienie. Ogarnęło mnie współczucie dla niej, miałem ochotę przyciągnąć ją do siebie i przytulić. Ale nie umiałem się przełamać. Pomiędzy nami wyrósł mur. Nie wiedziałem, jak go pokonać.

Zatrzymaliśmy się w wąskiej uliczce. Na rogu był warsztat samochodowy, przed którym panował duży ruch. Starzy mężczyźni rozmawiali po czeczeńsku, stojąc przy równie starym jak oni mercedesie. Siedząca na ławce młoda kobieta w sukni do kostek, z wełnianym szalem owiniętym wokół głowy, upominała małego chłopca, który właśnie próbował

podnieść coś z ziemi. Wszystko działo się jakby w zwolnionym tempie. Zastanawiałem się, co dzieje się w ludziach, którzy dzień w dzień muszą człołobitnie traktować swych niedawnych wrogów i wyrażać im wdzięczność. Co czują, straciwszy w dwóch straszliwych wojnach dzieci, braci, siostry, rodziców, gdy teraz są zmuszeni żyć tak, jakby tych wojen nigdy nie było. Co dzieje się z psychiką dzieci, które rosną w toksycznym milczeniu otaczającym zabitych na wojnie i w wymuszonym kulcie tych, których w gruncie rzeczy wszyscy po cichu nienawidzą?

Koło nas przejechał wóz policyjny i człowiek w mundurze przypominającym mundury radzieckie próbował rzucić okiem do wnętrza naszego samochodu. Wstrzymałem oddech, a za chwilę poczułem wstyd. Zrozumiałem, jak łatwo da się zastraszyć człowieka. Zwłaszcza tu, w miejscu, gdzie pewne wartości zupełnie się nie liczą, więcej – są wyśmiewane albo zabronione, i gdzie kłamstwo nazywa się prawdą, a prawdę kłamstwem.

Ada umarła w imię czegoś, bez czego – w jej przekonaniu – życie było nie do wyobrażenia. Zadawałem sobie pytanie, czy się nie myliła. Może życie pozbawione moralności także jest warte istnienia i Ada podjęłaby inną decyzję, gdyby była dziesięć lub dwadzieścia lat starsza? Czy przyczyną jej bezkompromisowości była młodość? Jaki przekaz mi zostawiła? Co chciała mi powiedzieć? Jej śmierć była apelem do ojca, lecz posłańcem przynoszącym straszną wiadomość uczyniła mnie. Przydzieliła mi tę przerażającą rolę, dzwoniąc do mnie w przeddzień i prosząc, żebym nazajutrz do niej przyszedł. Wiedziała, że to ja znajdę ją martwą i będę musiał z tym żyć. Dlaczego mnie w ten sposób ukarała? O co mnie obwiniła? O to, że podzieliłem się z nią wiedzą na temat jej ojca czy że długo tego nie robiłem? Cierpiałem, szukając odpowiedzi, i spętany litością nad samym sobą połykałem leki psychotropowe w przeświadczeniu, że wszystko, co mi pozostało, to posępne poczucie winy i kompletnego bezsensu.

Wcześniej całe lato Ada spędziła w Wenecji i w tym czasie pisywaliśmy do siebie, lecz po tamtej mojej nagłej ucieczce, kiedy zobaczyłem ją z ojcem

stojącą w ciemności i kiedy najwyraźniej powiedziała mu coś ostatecznego i mocnego, pojąłem, że przegrałem. Pisałem do niej codziennie płomienne e-maile i SMS-y, dając do zrozumienia, że na nią czekam, że będę miał dla niej czas, jeśli będzie tego potrzebować, ale było za późno, nie mogłem jej już uratować. Najczęściej odpowiadała krótko, nie reagując na moje wyznania. Pisała o swoich obrazach i postępach w remoncie pałacu, o pięknie Wenecji. To, co nas dawniej łączyło, rozwiało się.

Zacząłem niemal z utęsknieniem czekać, kiedy padnie słowo „rozstanie”. Spodziewałem się go, przeczuwałem, że to nieuniknione. Z trudem znosiłem wyczekiwanie. Uzależnienie mej przyszłości od tego, czy Ada mi wybaczy, ciążyło mi jak kamień. Robiłem wszystko, co było w mojej mocy, żeby mi wybaczyła, ale wiedziałem już, że jej łagodność była pozorem, grą.

A potem, w końcu września, nagle zadzwoniła. Siedziałem nad artykułem do dużego czasopisma, mając nadzieję, że po nim dostanę stały angaż, kiedy w słuchawce usłyszałem jej głos. Powiedziała:

– Jestem w Berlinie. Cieszę się, że znowu cię zobaczę, Onno. Przyjdź do mnie jutro około południa, będę na ciebie czekać.

Serce zaczęło mi bić jak oszalałe, przez cały dzień nie mogłem o niczym innym myśleć. Chodziłem w kółko, zajadałem emocje, grałem w gry wideo, wyszedłem powłóczyć się po mieście – zabijałem czas.

Następnego dnia obudziłem się około ósmej. Wiedziałem, że już nie zasnę. Wstałem, wybiegłem z domu i poszedłem do niej na piechotę. Zdyszany dotarłem pod loft, w którym mieszkała i przed którym tym razem nie było ochroniarza, co wydało mi się dziwne, bo jej ojciec zgodził się, by mieszkała oddzielnie, pod warunkiem że zaakceptuje nieustanną obecność ochrony. Pojechałem na górę wielką windą towarową i wystukałem kod. Wielkie metalowe drzwi wejściowe do jej mieszkania odskoczyły i wszedłem do środka. Pamiętam, że przeraziła mnie cisza, jaka tam panowała. Nie była właściwa dla tego miejsca, nie pasowała do Ady. Zawołałem Adę po imieniu, zajrzałem najpierw do łazienki, znowu zawołałem, nie było odpowiedzi. Do

sypialni odważyłem się wejść dopiero wtedy, gdy obszedłem już wszystkie inne pomieszczenia. Może podświadomie przygotowywałem się na coś strasznego, nie wiem...

Leżała w łóżku. Wyglądała tak młodo i pięknie, z włosami blond, w których nie było już śladu różowych kosmyków. Była niemal uśmiechnięta, jakby odpoczywała po czymś bardzo wyczerpującym. I tylko ta bladość. Śmierć musiała nastąpić przed kilkoma godzinami. Krew spłynęła z jej twarzy. Z bliska sprawiała wrażenie figury woskowej, kopii samej siebie. Nie krzychałem. Jej śmierć odebrała mi głos. Usiadłem przy niej na łóżku i dotknąłem jej zimnej ręki. Szukałem pulsu. Wiedziałem, że jest za późno, mimo to mechanicznie wybrałem numer alarmowy w nadziei, że może się mylę.

Dopiero wtedy zauważyłem pustą fiolkę po proszkach o polskiej nazwie – tabletkach nasennych, które Bóg wie skąd wytrzasnęła. Siedziałem przy niej bez ruchu, wpatrując się w jej twarz. Oczy były lekko przymknięte, jakby za chwilę miały się otworzyć, ręce spoczywały wzdłuż ciała, prawe kolano było lekko ugięte. Nie myślałem o niczym, niczego nie czułem. W tamtej chwili byłem pewien jednego: że zabrała też moje życie, a to, co teraz nastąpi, będzie tylko jego imitacją. Życiem na niby.

Wysiedliśmy przed małym drewnianym domem. Nie było szyldu, który by informował, że jest tu jakaś restauracja. Generał wszedł pierwszy, za nim Szapiro. Znaleźliśmy się w przestronnym pomieszczeniu ze stołami nakrytymi białymi obrusami i sztucznymi kwiatami na ścianach. Z kąta dobiegała rosyjska piosenka, ubrana na czarno kobieta kroїła za ladą warzywa.

Lokal był pusty. Na widok Generała kobieta mocno zacisnęła powieki. Ręka z nożem zawisała w powietrzu.

– Aleksander! Mój chłopcze! – krzyknęła radośnie w najczystszyms rosyjskim.

Miała słowiańskie rysy twarzy. Wysokie kości policzkowe, krystalicznie

niebieskie oczy, lekko zadarty nos i postawna sylwetka zdradzały, że nie jest stąd. „Mój chłopcze” według mnie kompletnie nie pasowało do Orłowa, ale w jej serdeczności było coś ujmującego. Podeszła do Generała z szeroko otwartymi ramionami i objęła go. On pocałował ją w czoło i usiadł za stołem.

– Powinieneś być mnie uprzedzić – powiedziała z serdeczną przyganą w głosie. – Przygotowałam się. Mój Boże, wcale się ciebie nie spodziewałam! Witam wszystkich państwa! – zwróciła się do nas.

Podala nam rękę, przedstawiając się jako Galina.

– Umieramy z głodu – powiedział Generał i widząc puste stoły, zapytał Galinę, czy ma klientów.

– No cóż, Czeczeni jeszcze nie całkiem się do nas przekonali, wolą swoją kuchnię, ale powoli... Jesteśmy już na zachodnich blogach i stronach internetowych, z czasem się przebijemy.

Teraz zauważyłem nad drzwiami wejściowymi mały szyld, na którym widniała nazwa pisana alfabetem łacińskim – Coq au Vin, a na drzwiach kilka naklejek blogów podróżniczych.

– Zamawiamy potrawę dnia! – zdecydował Generał za nas wszystkich i Galina pospieszyła do kuchni, by wydać polecenia.

– Polecam soupe à l'oignon gratinée i oczywiście coq au vin de Bourgogne. Na deser crêpes au citron albo cassis macarons! – zawołała z głębi zaplecza.

– Świetnie! Bierzemy wszystko! – wykrzyknął Generał.

Nawet Szapiro zdawał się zaskoczony tak nieoczekiwaną serdecznością swego szefa. Kiedy Galina wróciła do nas, opowiedziała nam, że jej lokal został otwarty tylko dzięki Generałowi.

– Mój syn i ten tu przystojny młody mężczyzna – poklepała Generała po plecach – byli dobrymi przyjaciółmi, razem walczyli w Czeczenii. Mój syn nie przeżył wojny. Alosza był zafascynowany kuchnią francuską, chciał zostać kucharzem, kształcić się we Francji, pamiętasz, Aleksandrze?

Generał uśmiechnął się lekko, pijąc kawę po turecku, którą podała mu nieśmiała dziewczyna w chuście na głowie. Galina zasypywała Generała pochwałami.

– Zostawmy to, Galino – protestował.

– Nie, twoi przyjaciele muszą wiedzieć, z kim mają do czynienia! Jaki jesteś wielkoduszny! Po śmierci Aloszy... nie wiem, czy poradziłabym sobie bez twojej pomocy. Alosza był moim jedynym synem.

Na chwilę zamilkła, spuściła wzrok. Potem znowu się ożywiła i mówiła dalej:

– Była wtedy taka organizacja, NGO czy jakoś tak, i jej członkowie wpadli na pomysł, żeby poznać z sobą kilka sympatycznych rosyjskich i czeczeńskich matek, których dzieci zginęły na wojnie, i ja wtedy tu przyjechałam, no i zostałam. Poznałam wspaniałych ludzi i, może to zabrzmie dziwnie, ale mam poczucie, że tu jestem bliżej swego syna.

Zamyśliła się, czuliśmy, że na chwilę weszła w rzeczywistość, która nie jest nam dostępna.

– Aleksander wspierał mnie przez wszystkie te lata. I kiedyś zapytał: „Dlaczego nie robisz tego, co chciał robić twój syn? Dlaczego nie nauczysz się przyrządzać tych wszystkich wspaniałych potraw i nie otworzysz restauracji?”. Z początku byłam sceptyczna, bo nie jestem już najmłodsza, ale on, nieustępliwy, przekonał mnie w końcu i teraz nie potrafię już sobie wyobrazić, że mogłabym robić co innego. Ten lokal to moja duma. Nie zgłębiałam wprawdzie tajników sztuki kulinarnej we Francji, ale uczyłam się u pewnego Francuza w jednym takim ekskluzywnym hotelu w Moskwie i *voilà*, jestem kucharką!

– Jest najlepsza, ja wam to mówię! – Orłow poklepał ją poramieniu.

– Otwarliśmy ten lokal trzy lata temu. Czeczeńcy nie chodzą wprawdzie zbyt często do restauracji, a jeśli już, to chcą tylko fast foodów, ale powoli, powoli weszło tu życie. Staliśmy się miejscem znanym turystom z zagranicy.

W ostatnim tygodniu mieliśmy grupę z Dagestanu. Mówili, że o nas słyszeli i że chcą zjeść, jak jadali francuscy królowie. Żałuję tylko, że nie mogę podawać francuskiego wina. Jak pewnie wiecie, tu obowiązuje prohibicja.

Nigdy w życiu nie spodziewałbym się takiego jedzenia w takim miejscu. Okolica i sam lokal, którego wystrój odpowiadał miejscowym gustom, zupełnie nie pasowały do wyszukanych potraw, które pojawiły się na stole: zupy cebulowej, koguta w winie, naleśników i makaroników.

Kotka była wyraźnie zafascynowana Galiną i słuchała jej jak urzeczona. Kiedy wyszła na papierosa, Galina posłała mnie za nią.

– Galina kazała ci przekazać, że kobiety tutaj nie palą. W każdym razie publicznie. Jeśli ktoś będzie się zbliżał, mam wziąć od ciebie papierosa.

Uliczkę spowijało szare światło popołudnia. Z dala dochodziły odgłosy z warsztatu samochodowego.

– Co za bzdura! Będę palić, gdzie i kiedy mam na to ochotę.

– Dziwna jesteś... Nie chcesz chyba narobić kłopotów Galinie?

Spojrzała na mnie uważnie i skinęła głową, choć niezupełnie przekonana.

– Wariactwo, prawda? – powiedziałem, zastanawiając się, czy kiedyś wróci nasze dawne porozumienie.

– Kim on był? – spytała.

– Kto?

– Ten Alosza.

– Był przy tym, jak gwałcili Nurę. Odebrał sobie życie. Media, które opisywały sprawę, nawet się o nim nie zająknęły. Dziwne, prawda? Pewnie dlatego, że nie stawiałoby to w zbyt dobrym świetle rosyjskiej armii.

– Nie masz wrażenia, że to tutaj też jest jakieś dziwne? Po co on nas tu przywiózł?

– Dlaczego znowu dziwne? Przecież słuchałaś jej z zaciekawieniem.

– O rany, Onno, zbudźże się! Orłow sprząta. Po prostu sprząta.

– Kotko, ty już wiele rzeczy dostrzegłaś w tej sprawie i dostatecznie głęboko w nią weszłaś, nie uważasz?

Spojrzałem jej w oczy, dostrzegłem zdecydowanie malujące się na jej twarzy i zrozumiałem, że ciągnie mnie do niej, czy tego chcę, czy nie. Przeraziło mnie to, ale ona była moją jedyną ostoją, jedyną towarzyszką, na której mogłem się oprzeć w tej niepewnej wyprawie.

– On... on... – wyjąkała i przydeptała niedopałek.

– Już dobrze, uspokój się.

Przyciągnąłem ją do siebie. Wydała mi się nagle zagubiona w tym obcym miejscu. Pozwoliła się objąć, przytuliła się do mojej piersi, odprężyła się. Pomyślałem, że mógłbym tak stać godzinami.

– Poradzimy sobie. Dziś wieczór dojedziemy do hotelu, a jutro będzie po wszystkim – powiedziałem.

– Właśnie.

– Co „właśnie”?

– On już nie wróci. Zostanie tutaj.

– Zostanie?!

– Nie rozumiem cię. Pół życia zajmujesz się tym człowiekiem, tak się do niego zbliżyłeś, byłeś związany z jego córką i nie zastanawiasz się, co tu się zdarzy?

– Przecież ich nie pozabija. Nie jest psychopata. To jest gra.

– To znaczy?

– Jestem przekonany, że chodzi o rodzaj wyroku. Uważasz inaczej? Powystrzela nas czy jak? Dlaczego tak ci zależało, żeby tu przyjechać?

Jej przemądrzałość zaczynała mnie irytować. Oczywiście, miała rację, trzeba zachowywać ostrożność, ale nie mogłem dopuścić do siebie

wątpliwości, wycofać się, gdy byłem tak blisko celu. Nie mogłem jej powiedzieć, że dawno już tak zdecydowałem i nie widzę dla siebie innej drogi.

– On po sobie sprząta. Jakby przygotowywał się na śmierć.

– Gdyby chciał odebrać sobie życie, zrobiłby to już dawno, wierz mi. Ktoś taki jak Orłow nie zastrzelił się ot tak.

– Chodź, wracajmy do środka, deserzeka.

Szapiro kiwał na nas z wnętrza lokalu.

Godzinę później ruszyliśmy dalej. Wcześniej Orłow znikł jeszcze z Galiną na pół godziny w kuchni. Wrócili do sali rozpromienieni.

– Niech was Bóg błogosławi! – wołała Galina, stojąc w drzwiach i machając do nas na pożegnanie.

– Będzie dobrze, Galino! Skończą się przeszukiwania domu, Szapiro o to zadba! – odkrzyknął Generał już z samochodu.

Drugie auto z dwoma żołnierzami czekało na nas po przeciwnej stronie ulicy.

Szapiro włączył rosyjską stację. Muzyka była fatalna, ale zwalniała nas z konieczności rozmowy.

Jazda trwała prawie trzy godziny. Czulem rosące napięcie Kotki, które i mnie się udzieliło. Kotka co chwila poprawiała się nerwowo na siedzeniu, rozcierała dłonie, wzdychała, a potem znowu zastygała w bezruchu. Czulem, że męczą ją pytania, na które nie znajduje odpowiedzi.

Przełęcz nie były jeszcze zasypane śniegiem. Mijaliśmy porządnie wyglądające wsie, dzieci z matkami, szkoły i kluby młodzieżowe ozdobione portretami ojca, syna i rosyjskiego przywódcy, niezliczone bannery i plakaty przedstawiające tę trójkę, pasterzy i stada owiec i parliśmy naprzód, w surowy, majestatyczny krajobraz Kaukazu. Przed sobą mieliśmy coraz węższe drogi nad przyprawiającymi o zawrót głowy przepaściami i widok

gór, których szczyty, nieskończenie wysoko strzelające w górę, otulał śnieg jak biała kołdra, a niebo, pokryte wielką ilością chmur, wydawało się w przyprószonym świetle późnego popołudnia coraz bliżej nas. Powietrze było lodowate i krystalicznie czyste. Samochody coraz wolniej i ostrożniej pokonywały serpentyny. Krajobraz zapierał dech w piersiach, a światło zachodzącego słońca sprawiało, że śniegowe kołdry na szczytach zyskały intensywny odcień oranżu. Tylko beznadziejna muzyka z radia naruszała podniosłość tej chwili. Jakieś piosenkarskie beztalencie śpiewało coś w tym stylu, że ona chce włączyć autopilota i przylecieć do miodu jego ust, a znów w refrenie żegna się ze swoją szminką. Kiedy dotarł do mnie sens tych słów, nie mogłem się powstrzymać i parsknąłem śmiechem, ale nikt nie zwrócił na to uwagi, wszyscy jak zahipnotyzowani chłonęli widoki za oknem, jakby po raz pierwszy zobaczyli tajemnice natury nieprzeznaczone zwykle dla ludzkich oczu. W połowie drogi zaczął padać śnieg, płatki wirowały coraz gęściej, coraz szybciej. Auta jeszcze bardziej zwolniły, choć nikt nie jechał z przeciwka. Ślady ludzkiej obecności były coraz rzadsze, nie było już widać żadnej wsi, żadnych osad, czasem tylko na wzniesieniu rysowały się kształty samotnej wieży obronnej.

Ciemność, która zapadła, zdawała się pochłaniać nawet światła reflektorów. Posuwaliśmy się naprzód w żółtym tempie. Na ramieniu poczułem przyjemny ciężar – to Kotce, która zasnęła, opadła głowa.

Po pewnym czasie, kiedy już zaczęło mi się wydawać, że ta droga nigdy się nie skończy i że naszym celem jest tylko jazda przed siebie, nagle pojaśniało. Przed nami roztaczał się magiczny widok na błyszczące, nieruchome jezioro otoczone dzikimi górskimi zboczami. Okolicę oświetlały rozmieszczone wokół jeziora latarnie. Na jeziorze znajdował się długi drewniany pomost, przy którym zobaczyłem przycumowane pojedyncze łodzie sprawiające wrażenie opuszczonych.

– Czeczeni opowiadają, że nikt dokładnie nie zna głębokości jeziora Kezenoj-am. Jak wszystkie narody, uwielbiają mitologizować własną historię.

Od chwili wyjazdu z Groznego Generał nie powiedział ani słowa. Teraz

jakby obudził się ze snu.

Kotka uniosła głowę i rozejrzała się oszołomiona.

– Jak mówi legenda, przed wiekami żył tu lud, który wyparł się swych bogów. Nie oddawał im czci, kierował się własnymi żądzami i zachciankami i pewnego dnia, jakżeby inaczej, dosięgła go kara. Bogowie sprawili, że ziemia się otworzyła i pochłonęła osadę. Następnego dnia na jej miejscu rozciągało się już jezioro, a ciała mieszkańców spoczęły na jego dnie.

Próbowałem to sobie wyobrazić, ale zamiast gniewu dawnych bogów widziałem raczej sceny przypominające hollywoodzkie filmy katastroficzne. Nagle w tej fascynującej dzikiej okolicy dostrzegłem imponujący drewniany budynek położony na jednym ze wzniesień okalających jezioro. Był tu jak obce ciało.

– Jesteśmy na miejscu, to jest ten hotel – oznajmił Szapiro.

Asfaltowa droga doprowadziła nas do parkingu. Samochód jadący za nami również się zatrzymał. Hotel spowijało przytłumione światło kilku latarni. Z bliska emanował przytulnością, która nie harmonizowała jednak z dzikością okolicy. Szerokie balkony z bali oraz dwuspadowy dach sięgający niemal ziemi upodabniały go do domów wznoszonych w Skandynawii. Poza naszymi dwoma autami na parkingu było pusto. Wokół panowała dziwna, nierzeczywista cisza. Mroźne powietrze ostro uderzyło nas w twarze, zaczęło szczypać w policzki.

Przy wejściu powitał nas mężczyzna słusznej postury, z gęstą brodą, w swetrze w norweski wzór.

– *Maszallah!* Pięknie witam! Nazywam się Achmad. Proszę zwracać się do mnie przez całą dobę ze wszystkim problemami i życzeniami – powiedział łamanym rosyjskim z czeczeńskim akcentem, podając każdemu z nas rękę. – Inni goście przyjechali już wczoraj, wypoczywają w swoich pokojach – dodał, kłaniając się lekko Generałowi.

– Czy normalnie macie dużo gości? – spytała bez wstępów Kotka, kiedy

wchodziliśmy do dużego, pustego holu z pięknymi flizami na podłodze.

Domyśliłem się, że chciała się dowiedzieć, czy jest to normalny hotel, czy też jakaś atrapa.

– Gości będziemy mieć wkrótce. Wy jesteście pierwsi. Nasz hotel nie działa jeszcze oficjalnie.

Na usta cisnęło mi się pytanie, czy aby właścicielem tego obiektu nie jest Generał, ale powstrzymałem się. W końcu ten szczegół był nieistotny. Istotna była informacja, że inni goście są już na miejscu. A więc wszystko szło według planu.

Szapiro i Generał gdzieś znikli. Achmad wskazał nam pokoje. Mój i Kotki mieściły się obok siebie na drugim piętrze. Pokoje były proste, przytulne, wszystko pachniało nowością i świeżym drewnem. Padłem na łóżko. Nie miałem siły ruszyć ręką ani nogą. Teraz dopiero poczułem zmęczenie i nadmiar wrażeń ostatniej doby, a do tego dziwne uczucie izolacji wśród tej dzikiej, wyniosłej natury i napięcie oczekiwania na to, co się tu rozegra. Jutro skończy się rok, skończy się historia Orłowa i wreszcie będę znał zakończenie.

Zostaliśmy zaproszeni na dziewiątą wieczór na kolację do restauracji hotelowej. Zmusiłem się, żeby pójść pod prysznic. Długo stałem pod gorącym strumieniem wody. Nasłuchiwałem przez ścianę, ciekaw, co robi Kotka, jak się czuje. Tęskniłem za tą zupełnie nieracjonalną relacją, która nawiązała się między nami w ostatnich tygodniach, chociaż trudno by ją było dokładnie nazwać. Wydawało mi się, że jestem za Kotkę odpowiedzialny, bo to ja ją namówiłem, by się zaangażowała w tę historię. O wiele bardziej niż kwestia wyroku, jaki Orłow na nas wyda, zajmowało mnie pytanie, dlaczego pozwolił nam tu przyjechać.

Spotkaliśmy się na korytarzu. Kotka się przebrała, miała teraz na sobie ciemnoniebieską sukienkę do kolan, która bardzo podkreślała jej figurę i dodawała jej dziewczęcości. W ogóle, stwierdziłem, w ostatnich tygodniach zmieniła się zewnętrznie. Ciemne włosy i zmiana stylu ubierania się zrobiły

z niej zupełnie inny typ kobiety. Wyglądała młodziej, swobodniej, ale też bardziej krucho, jakby odrzuciła maskę kobiety z wielkiego miasta, za którą dotąd się kryła. Uśmiechnęła się do mnie i wzięła mnie pod rękę.

– Niesamowite miejsce, prawda? – powiedziała i uszczypnęła mnie w ramię.

– Tak, nierealne.

– Jutro sylwester. Myślisz, że hucznie będziemy świętować? – Zaśmiała się gardłowo i prowokacyjnie, jak to ona, a zaraz potem spytała: – Czym się zajmiesz, gdy to wszystko się skończy?

– Zaczę pisać książkę. W ten sposób raz na zawsze zamknę ten rozdział. A potem... potem może zmienię zawód i otworzę na Kreuzbergu bar z kuchnią kaukaską. To by było coś, jak sądzisz? Ty mogłabyś wymyślać przepisy.

– Boję się, Onno – powiedziała nagle.

– Ja też – odrzekłem najbardziej neutralnym tonem, na jaki było mnie stać. – Ale myślę, że to jest normalne.

– Ci uzbrojeni mężczyźni! Co to znaczy?

– Jesteśmy przecież w Czeczenii, Generał musi tu zadbać o bezpieczeństwo.

– A ja myślę, że ich zadaniem jest wywierać nacisk.

– Więc tym sposobem wymusi na nich zeznania – powiedziałem pocieszającym tonem, choć nie byłem pewien, czy sam w to wierzę.

Weszliśmy do pogrążonej w półmroku jadalni, oświetlonej głównie odblaskiem ognia z kominka. Roznosiły się już kuszące zapachy. Pośrodku stał długi drewniany stół zastawiony półmiskami z różnymi rodzajami serów i wędlin, jakimiś daniami mącznymi, których nie znałem, wazami z dymiącą zupą. Na małym stoliku z boku ustawione były alkohole. Przed kominkiem w skórzanym fotelu usadowił się stary Szujew i grzał ręce. Juricz siedział

przy stole z przerażoną miną i dojadał coś ze swego talerza.

Obaj odwrócili się lekliwie w naszą stronę. Juricz zerwał się na równe nogi, jakby zobaczył ducha. Szujew zaklął. Było oczywiste, że się nas nie spodziewali. Chwilę później do jadalni, w towarzystwie Szapiry, wkroczył Generał ubrany w czarny golf i ciemnozielone spodnie.

– Dobry wieczór panom. Mam nadzieję, że mieliście dobrą podróż i czujecie się tutaj dobrze obsłużeni i dobrze karmieni. Przykazałem Achmadowi, żeby odgadywał wasze życzenia, i jak widzę, niektóre udało się spełnić, co, Zając? – Popatrzył na Juricza z szelmowskim uśmiechem.

– Dobry wieczór, Generale... Aleksandrze – wyjąkał przestraszony Zając.

Było w nim coś, co budziło szczere współczucie, szczególnie kiedy do wyrazu twarzy i jąkania dodało się jeszcze jego ubiór: za duże beżowe spodnie i zmechacony sweter.

Szujew wbił w Orłowa oczy nabiegłe krwią. Rzadko miałem okazję widzieć w czyimś spojrzeniu tyle nienawiści. Generał skinął mu głową, neutralnie, niemal przyjaźnie, jakby widział dawnego kolegę z pracy, z którym wprawdzie od dawna nie miał kontaktu, ale który nie był mu niesympatyczny. I znowu zadziwiła mnie jego umiejętność zakładania masek. Jego emocje, tak bezwzględnie podporządkowane woli, budziły strach.

– Borys kazał przeprosić, został w swoim pokoju, nie dołączy na razie do naszej szlachetnej grupy – powiedział Generał i zajął miejsce naprzeciw Juricza.

Usiedliśmy z Kotką na krzesłach ustawionych w pewnym oddaleniu.

– Ależ chodźcie tu bliżej, tak będzie przyjemniej – rzekł Generał. – Panie pułkowniku, pana również zapraszamy do stołu, jeśli pan tak uprzejmy. Proszę dotrzymać nam towarzystwa.

Niechętnie, mrużąc coś pod nosem, Szujew podniósł się z fotela i przyczłapał do nas. Usiadł obok Juricza. Obaj co chwila rzucali z ukosa spojrzenia na Kotkę, co ona ze stoickim spokojem ignorowała. Żaden nie

odważył się jednak zapytać, kim ona jest i dlaczego się tu znalazła. Na twarzy Juricza malowało się coś jakby ból. Spojrzenie Szujewa wyrażało czystą wściekłość.

– Wywarłeś na nas presję, odważyłeś się grozić naszym dzieciom i rodzinom... Chcę wiedzieć, co to znaczy! Chcę wiedzieć, po co tu jestem! – wyrzucił z siebie Szujew i grzotnął pięścią w stół.

Z tyłu usłyszałem ciężkie westchnienie Szapiry, który zdawał się przygotowany na wszelkie ewentualności.

– Powoli, powoli, wszystko w swoim czasie. Zjemy spokojnie, a jeśli Pietruszow zechce się do nas przyłączyć, wszystko sobie wyjaśnimy. Achmad, nalej nam wódki. W przywilejach najpiękniejsze jest to, że znoszą pewne zakazy, nieprawdaż? – odparł Generał i zaśmiał się nienaturalnie głośno.

Achmad nalał do kieliszków. Stuknęliśmy się i zaczęliśmy jeść.

– Wania, stary dobry Wania! Tak dawnośmy się nie widzieli. – Generał spojrział na Juricza wzrokiem prawie sentymentalnym i jeszcze raz się z nim stuknął. – Wiem, masz kłopoty... Ale będzie dobrze. Twoja rodzina dostanie solidne odszkodowanie, będziecie mogli sobie kupić o wiele większe mieszkanie, może bliżej centrum. Twoim dzieciom będzie dobrze.

– Dziękuję, dziękuję, Gene... Aleksandrze! Wiesz, że nie stać nas na żadne drogie mieszkanie.

I Juricz, jakby zapomniawszy, gdzie jest i naprzeciw kogo siedzi, zaczął naiwnie i szczerze opowiadać o swojej pracy, niskich zarobkach i o prywatnych lekcjach synów, które tyle kosztują, i że mieszkanie, które zajmuje z rodziną, jest własnością jego żony i jest to jedyna cenna rzecz, jaką żona posiada. Słyszając powtórne zapewnienie Generała, że otrzyma odpowiednie odszkodowanie, Juricz zaczął mu uniżenie dziękować, co pogardliwie skomentował Szujew.

Po mniej więcej godzinie do jadalni został wprowadzony Pietruszow.

Dwaj mężczyźni w mundurach z rozmachem pchnęli go w kierunku stołu. Pietruszow zatoczył się, stracił równowagę, lecz w ostatnim momencie zdołał utrzymać się na nogach, zaklął i rozjuszony zatrzymał się przed nami.

– Ty draniu! – rzucił, patrząc na Generała.

Jeden z uzbrojonych mężczyzn zrobił krok w jego stronę, więc Pietruszowowi nie pozostało nic innego, jak zająć miejsce przy stole, choć dość daleko od nas.

– Ty gnoju! Co ma znaczyć ten pieprzony cyrk?! – ciskał się nadal.

Dopiero teraz dostrzegłem jego podbite oko. A więc była już wcześniej jakaś akcja wstępna.

Pietruszow dostrzegł Kotkę i wbił w nią bezczelny wzrok.

– A ta dziwka to kto? – warknął po chwili.

– Hej, Boria, nie lubimy, kiedy obraża się damy. Muszę cię prosić o uprzejmiejszy ton. No już, wypij jednego!

– Pocałuj mnie w dupę! Chybaś zwariował! Ale mnie nie zastraszysz. I ta tania kopia! Angażujesz jakąś dublerkę ze spalonego teatru i spodziewasz się... czego? Czego właściwie? Co ma znaczyć to przedstawienie? Co my tu robimy?

– Właśnie, też chciałbym to wiedzieć! – włączył się Szujew.

– Ale to jest przecież jej siostra... Myślałem... – jękał się Juricz, lecz nikt go nie słuchał.

– Nie pozwolę sobą dyrygować! Nie jestem twoim pachołkiem! – grzmiał Pietruszow.

– Ta pani, nazwijmy ją Nura na czas naszego tu pobytu, jest moim gościem i proszę wszystkich o należyty szacunek. No, Pietruszow, zjedz coś, wypij i odpręż się trochę. Twoja agresywność w ostatnich dwudziestu latach ani na jotę, jak widzę, nie osłabła.

Generał zachowywał przyjazny, ugodowy ton, co Pietruszowa tym

bardziej rozjuszało.

Orłow skosztował jakiejś potrawy.

– Wyśmienita, dzięki, Achmadzie! – zawołał w głąb pomieszczenia pozostającego w półmroku.

Szapiro kazał wyjść uzbrojonym mężczyznom i zajął miejsce na drugim końcu stołu. Jedząc zupę, taksował wszystkich czujnym spojrzeniem.

– Jeszcze raz witam was wszystkich! Jesteście tu moimi gośćmi! – Generał podniósł się, trzymając przed sobą kieliszek jak tarczę. – Cieszę się, że po tylu latach znowu się widzimy. I mam nadzieję, że czas spędzony w tym wspaniałym miejscu będzie dla was przyjemnością.

– Daj spokój z tym cyrkiem, przejdź do rzeczy! – zawołał z lekceważeniem Pietruszow, opróżnił jednym haustem swój kieliszek i uderzył nim o blat stołu. – Te twoje próby zastraszenia nie potrwają długo. Uruchomiłem już swoje kontakty, przyjadą tu po mnie...

– Zaproszenie jednak przyjąłeś, więc twoje kontakty nie bardzo, jak się zdaje, działają. Chodzi o kontakty szanownej małżonki, czyż nie?

– Pieprz się, jesteś ostatni, z kim miałbym ochotę o tym rozmawiać! – W głosie Pietruszowa brzmiała taka wściekłość, że trudno było wyobrazić sobie coś większego.

Kotka, która przez cały czas miała wzrok wbity w talerz i starała się być niewidoczna, drgnęła z przerażenia. Generał, przewracając krzesło, doskoczył do Pietruszowa, błyskawicznie chwycił go za kołnierz, po czym rąbnął jego głową o blat stołu.

– Powiedziałem ci, że będziesz uprzejmy, ty ścierwo! – zasyczał i ten syk miał w sobie coś o wiele bardziej przerażającego niż wrzaski Pietruszowa.

Szapiro z szybkością światła stanął za Pietruszowem, a w drzwiach pojawili się znowu uzbrojeni mężczyźni.

– Wyjść, wyjść, nie wzywałem was! – krzyknął Generał w ich stronę. –

Siadaj, Szapiro. Wszystko w porządku, Boria będzie już grzeczny, prawda?

Pietruszow trzymał się za nos, nie odzywając się ani słowem.

– No więc świetnie... Boria potrafi być szarmanckim mężczyzną, jeśli chce.

Generał wytarł sobie ręce w spodnie, jakby przed chwilą dotknął czegoś obrzydliwego, i wrócił na swoje miejsce.

– Przepraszamy was, to już się nie powtórzy! Prawda, Boria, obiecujesz?

Pietruszow nie odpowiedział i Orłow powtórzył z naciskiem:

– Słyszysz, Boria? Obiecujesz?

– Tak.

– No właśnie. Na czym stanęliśmy? A więc dziękuję wam serdecznie, że przyjęliście moje zaproszenie. Trzeba tu dodać, o czym sami wiecie, że musiałem wam trochę pomóc w podjęciu tej decyzji. Przykro mi. Najważniejsze, że wszyscy tu jesteście. Łączy mnie z wami pewna szczególna więź. Temu na pewno żaden z was nie zaprzeczy!

Jego głos zyskiwał na jasności, a ton stawał się coraz radośniejszy.

– Dlatego chciałbym zakończyć ten rok wspólnie z wami. Jutro czeka nas wspaniale zastawiony stół, sztuczne ognie, jeśli tylko ktoś z was będzie miał ochotę je puszczać. Sam od lat tego nie robiłem. Tak, niczego nam nie zabraknie. W ciągu dnia do waszej dyspozycji będzie sala fitnessu i sauna, polecam też spacer, jeśli ktoś ma odwagę wybrać się do lasu... A jeśli jezioro przez noc nie zamarznie, z łódki na jeziorze będzie można podziwiać hotel. Musicie mi wybaczyć, lecz poza hotelem będą z wami moi ludzie. Dla waszego bezpieczeństwa, rozumie się... Wierście mi, mielibyśmy błyskawicznie niechcianą wizytę, gdyby się rozniosło, że tu jesteśmy. Wiecie o tym, bracia, że w Czeczenii pewnych rzeczy tak szybko się nie zapomina. Jak myślicie, kiedy ulega przedawnieniu *czir*, krwawa zemsta, co? Więc raczej siedźcie grzecznie na miejscu.

Znowu się zaśmiał nienaturalnie głośno i znów kazał Achmadowi napęłnić swój kieliszek.

– W sylwestra przed północą spotkamy się na poddaszu, w pięknym pomieszczeniu z bilardem i stołem do gry w karty. Stamtąd będziemy mieli rozległy widok na okolicę. Zagramy w pewną grę. Tylko mężczyźni, rozumie się. Nasz gość z Niemiec będzie musiał zdecydować, czy do nas dołączy, czy opuści nas wcześniej. Pani też oczywiście ma prawo pozostać i nam się przyglądać albo również wyjechać. Ale my, my będziemy grać.

– Cóż to znowu za przekłeta gra, w którą mamy zagrać? – warknął Szujew z nieufnością w głosie.

– Zagramy w grę losową. Znacie gry losowe?

Pietruszow siedział z twarzą demonstracyjnie zwróconą w kierunku okna. Przy słowie „gra” lekko drgnął, nie dał jednak nic po sobie poznać.

Juricz, ożywiony po wódce, uśmiechnął się szeroko.

– O, ja chętnie gram, Generale! Z moimi synami ciągle gram w domino, w szachy albo czasem w karty...

Szujew z pogardą spojrział na Juricza.

– To dobrze, Wania. To nawet bardzo dobrze. Ja dawno nie grałem – odparł Generał.

– Co to wszystko ma znaczyć? – nie ustępował Szujew.

– Rok i trzy miesiące temu moja córka odebrała sobie życie – powiedział nagle Generał. Dał znak Achmadowi, żeby podał mu papierosy. – Może któryś z was o tym słyszał. Ale nie chodzi mi o wasze kondolencje.

– To straszne... – wyjąkał Zajęc.

– Tak, w istocie, to jest straszne, Wania. To jest piekło, mój drogi. Ale zmierzam do czegoś innego. Ada, moje oczko w głowie, odebrała sobie życie, bo ten oto pan, pozwólcie, że go przedstawię, Onno Bender, z którym mieliście już przyjemność, udawał do niej miłość. Onno jest jednym

z dziennikarzy, którzy lubią nurzać się we wszelkich aferach i którzy od lat mnie śledzą. Chce napisać o mnie książkę, a także relację z naszego obecnego intermezzo w Czeczenii. Tak czy owak...

Chciałem coś odpowiedzieć, lecz wiedziałem, że to bez sensu. Jednym haustem opróżniłem swój kieliszek. Pod stołem poczułem rękę Kotki, która chwyciła moją dłoń.

– Wielokrotnie ostrzegałem go, by trzymał się ode mnie z daleka, ale to nie pomogło. Moja dziewiętnastoletnia córka zakochała się w nim, jak to w tym wieku bywa, i w pewnym momencie stwierdziła, że jej ukochany bezczelnie ją okłamuje, po to, by móc zbliżyć się do mnie. A potem... tak... oszczędzę wam tego, co zdarzyło się potem. On w każdym razie, sądząc, że w ten sposób uratuje swoją skórę, opowiedział jej rzeczy, które nie były przeznaczone dla jej uszu. I moja córka zdecydowała, że nie chce mieć ojca gwałciciela i mordercy.

Zapadła dziwna cisza. Wszyscy mężczyźni zastygli w milczeniu, a Kotka coraz mocniej ścisnęła moją dłoń. Słyszeć było tylko trzask drewna w kominku i tykanie zegara na ścianie. Czułem, że zaczyna mnie ogarniać panika, lecz ratowała mnie ręka Kotki, koncentrowałem się na niej, starając się ignorować dzikie walenie serca i miękkość kolan.

– Od kiedy moja córka odebrała sobie życie, często zastanawiałem się nad tym, jakie było moje życie kiedyś i jakie jest teraz, co zrobiłem źle, a co dobrze. Miałem czas, by pewne rzeczy przemyśleć, i doszedłem do wniosku, że błędem było zakładać, że pewne sprawy zostają zapomniane, że przestają istnieć. Nic na świecie nie znika, nie znika tak po prostu. Prawda? Zdrowie!

Wlał w siebie przezroczysty płyn. Nikt nie poszedł w jego ślady, nikt nie odważył się mu przerwać. Nawet Pietruszow słuchał z napięciem.

– Zgwałciliśmy dziewczynę i zabiliśmy ją. Kara za to dosięgła nie nas, lecz moją córkę. Pomógł w tym trochę ten tu obecny młody człowiek.

Orłow spojrzał na mnie i uśmiechnął się.

– Ta miła pani, którą przez czas naszego tu pobytu będziemy nazywać Nurą, w pewnym momencie otworzyła mi oczy. A raczej uczyniła to jej twarz, którą przypadkiem zobaczyłem na plakacie. Zrozumiałem wtedy, że nic nie znika bez śladu. Gdybyśmy wtedy otrzymali to, na co zasłużyliśmy, moja córka dziś by żyła. Uważam, że nadszedł czas, żebyśmy wszyscy zapłacili cenę, jaką już dawno winniśmy byli zapłacić. Zagramy w grę. Ci, którzy wygrają, wrócą do domu. Ci, którzy przegrają, zostaną tutaj.

– Co to znaczy, że zostaną tutaj? – spytali jednocześnie Juricz i Szujew.

– On nas wyda Czeczenom! Nie bądźcie głupi, nie bądźcie naiwni! Wystarczy, że poinformuje któregoś z nich, i nie wyjdziemy stąd żywi! – krzyknął Pietruszow. – Wystarczy, że zadzwoni do jakiegoś pieprzonego brata czy kuzyna, i zaraz tu będą! Nie bądźcie tak durni... Co za parszywa historia! Ale do tego nie dojdzie! Powiadomiłem swoich ludzi. To dlatego kazałeś nam odebrać komórki, żebyśmy nie mieli kontaktu ze światem. Jakbyś był Bogiem! Nie jesteś Bogiem, Orłow, jesteś chorym masochistą, jesteś mordercą, to ty nas wpakowałeś w to gówno, ty... Mówię wam, on ściągnie tu tych terrorystów, napuści ich na nas, załatwi nas, tak jak załatwili wtedy tego adwokata...

– Co? Nie, nie, przecież w to nie wierzysz – powiedział cicho Szujew.

Juricz wydał z siebie odgłos przypominający skomlenie.

Generał, który z uśmiechem palił papierosa i nieporuszony patrzył gdzieś w dal, odwrócił się raptownie i ostro spojrział na Pietruszowa.

– Co powiedziałeś?

– Prawdę powiedziałem, prawdę! Jesteś chorą świnią, Orłow, a ja...

– Kto załatwił adwokata? O kim mówiłeś?!

– O tym twoim bohaterze, tym Żydzie, Pasternaku. Nie graj teraz niewiniątka.

– Chcesz powiedzieć, że Szujew i ty nie maczaliście w tym palców?

– Rany boskie, nie! To potworna pomyłka, Orłowie! – Szujew zdawał się autentycznie wzburzony.

– To był ktoś stąd, pojmyj wreszcie, jeden z tych terrorystów! – Pietruszow aż się zapluł.

– Kto to był? Konkretnie! – spytał Generał.

W jego głosie słychać było zaskoczenie.

– Nazywał się Musa... Musa... Jakżeż mu było na nazwisko, do cholery! – Alkohol i napięcie sprawiły, że Szujew poczerwieniał jak burak.

– Osmajew. Musa Osmajew – podpowiedział Pietruszow. – Pochodził z tej samej wsi, co ona. Chyba nie powiesz, że nie wiedziałeś? – zaatakował Generała, lekko pochylony nad stołem, w bojowej postawie.

– Rozeszły się pogłoski, że adwokat przejdzie na naszą stronę, bo i tak nie ma szans – dodał Szujew.

– Chcesz powiedzieć, że to wy zaczęliście rozsiewać te pogłoski? – spytał lodowatym tonem Generał. Jego maska uprzejmości znikła w jednej chwili.

– Tak ludzie gadali i to dotarło pewnie aż tutaj. Chodziły słuchy, że Pasternak jest zdrajcą, a ten cały proces to farsa. I nasłano na niego tego terrorystę, Musę Osmajewa. On potem znikł w podziemiu. Teraz jest pewnie w Afganistanie albo w Syrii u swoich braci i ścina głowy dla Allacha – tłumaczył gorliwie Szujew.

– Zostawię was, ale życzę miłego wieczoru. Zobaczymy się jutro! – Generał wstał. Miał ściągniętą twarz, poprzednie rozluźnienie znikło bez śladu.

Kiedy wychodził z sali, towarzyszył mu gwar: Juricz skamlał, Pietruszow groził, a Szujew grzmiał.

Kotka, która też była już u kresu wytrzymałości, zerwała się z miejsca i wyszła na zewnątrz. Ja zostałem jeszcze chwilę, próbując pojąć to, co tu usłyszałem.

W nocy, kiedy już zasypiałem, usłyszałem pukanie. Za drzwiami stała Kotka w rozciągniętym podkoszulku ledwie sięgającym bioder. Była przerażona. Bez słowa zaprosiłem ją do środka. Usiedliśmy na łóżku.

– Onno, proszę cię, tylko niech ci nie przyjdzie do głowy brać udział w tej zaszraniej grze czy w tym czymś, co zaplanował Orłow. Nie wolno ci w to wejść! Moglibyśmy... Moglibyśmy przecież...

– Cicho, ciii... Będzie dobrze. O niczym jeszcze nie wiem. W każdym razie Orłow nie wyda mnie na odstrzał jakimś bojownikom, w końcu mam u nich czyste konto. Chodźmy spać, jutro będziemy wiedzieć więcej.

– Nie weźmiesz udziału w tej grze! Obiecuj mi!

– W porządku. Nie zrobię niczego, co by mnie mogło narazić.

– Ja wiem, że bardzo ci zależy na tej historii, ale my...

Nie dokończyła. Osunęła się na łóżko, pociągając mnie za sobą. Przytuliłem ją mocno. Chciałem, żeby przestała się bać, ale musiałem też dopilnować, żeby na czas stąd wyszła.

2016/GENERAL

Czarne, matowe jezioro z nieruchomą taflą wody wydawało się malowidłem umieszczonym wśród gór przez siłę wyższą. Wstawał dzień. Generał schodził ścieżką ku jezioru ubrany w ciepłą kurtkę, rękawice i czapkę. Zbocza gór pokrywał świeży śnieg, podnosząca się mgła otulała jezioro, uśpiony hotel, stoki i wąwozy.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł! – krzyknął za nim Szapiro, gdy zobaczył, że Generał odcumowuje jedną z łodzi.

Za odpowiedź musiał mu wystarczyć brak odpowiedzi. Kiedy Generał się odwrócił, przed hotelem dostrzegł Kotkę. Pomachał do niej. Owinięta w czarną kurtkę zbiegła ku niemu jak mała dziewczynka.

– Dzień dobry! – przywitała go z uśmiechem, jakby był jej dobrym znajomym, z którym się umówiła na przejażdżkę łodzią.

– Dzień dobry! Dotrzyma mi pani towarzystwa?

– O tak, chętnie – odparła, przeskakując dla rozgrzewki z nogi na nogę.

Szapiro, wyraźnie zdegustowany niezrozumiałym pomysłem szefa, demonstracyjnie oddalił się od pomostu.

– Jezioro na szczęście jeszcze nie zamarzło. To właściwie nietypowe dla tej pory roku – powiedział Generał, pomagając Kotce wejść do kołyszącej się na wodzie łodzi.

Potem wszedł do niej sam, uważając, by nie stracić równowagi.

– Tak wcześnie na nogach? – zapytał i chwycił za wiosła, po czym zaczął nimi poruszać w różne strony, chcąc znaleźć najwłaściwsze miejsce uchwytu.

– Obudziłam się i nie mogłam zasnąć, więc pomyślałam, że najlepiej zrobię, jak się przejdę, okolica jest tak fascynująca – powiedziała, rozglądając

się wokół. Brzeg zginął już we mgle, która tworzyła nad wodą nieprzenikliwą zasłonę. – Nie wiedziałam zbyt wiele o tym kraju, zanim...

– Zanim nie zwróciliśmy się do pani z tą szaloną propozycją? To chciała pani powiedzieć?

Wiosłował miarowo, pewnie, choć nie można się było zorientować, czy łódź rzeczywiście płynie w zamierzonym kierunku. Mgła była tak gęsta, że z trudnością dało się coś zobaczyć na kilka metrów. Panowała absolutna, nierzeczywista cisza, którą przerywał tylko krzyk nieznanego ptaka.

– Kiedy pani osiągnęła wiek, w którym człowiek zaczyna się interesować obcymi krajami, z tego kraju nie pozostało już wiele – powiedział zamyślony, nie przerywając wiosłowania.

– Dlaczego pan się zgodził, żebym była obecna na tym spotkaniu? – zapytała po krótkiej pauzie, która dopuszczała niespodziewane zwroty akcji.

– Sama pani przecież na to nalegała. Myślałem, że pani tego chce.

– Tak, oczywiście, ale dlaczego pan tego chciał?

– Jest pani do niej tak przerażająco podobna...

Odwrócił od niej wzrok i przerwał wiosłowanie, lecz po chwili znowu ujął wiosła i zaczął równomiernie ciąć nimi wodę.

– Jaka ona była?

Długo się zastanawiała, czy może zadać to pytanie.

– Odważna. Miała marzenia. Konkretnie plany. Nie rozmawialiśmy często, na tematy osobiste wcale, ale sprzedawała nam kury z hodowli swej matki, w tajemnicy przed nią...

– Kury?

– Tak, kury. Zdaje się, że odkładała w ten sposób na coś pieniądze, chyba chciała stąd wyjechać. Taki zamiar to był niemy sprzeciw wobec rodziny, wyzwanie dla całego klanu, całej wsi. Coś takiego ludzie uważają tu za niepojętą zuchwałość.

- Więc ją znaleźcie?
- Alosza i ja, tak.
- Alosza był synem Galiny?
- Tak.

Następnego pytania, które się narzucało, nie zadała, ku jego wielkiej uldze.

– Wiele pragnęła. To jest to, co pozostało mi w pamięci. Jej bardzo zdecydowana wola i śmiałość.

Kotka zamyśliła się, otulona kokonem mgły. On zaś myślał o kostce Rubika, która najbardziej przypominała mu Nurę, bo po tej straszliwej nocy znalazł ją na podłodze w szopie i przechowywał przez wszystkie te lata w różnych okolicznościach życia jak najcenniejszy skarb. Teraz też miał ją przy sobie, w kieszeni marynarki. Ta kostka, idealnie ułożona przez Nurę, była jedynym przedmiotem, który po niej został.

Wiele lat temu w Moskwie – akurat kupił wtedy największą stalownię w kraju – Ada, która miała dziesięć czy jedenastę lat i nigdy wcześniej nie interesowała się jego gabinetem, któregoś dnia wtargnęła tam pod jego nieobecność i buszując po szufladach, szafach i regałach, trafiła na tę kostkę. Zaczęła się nią bawić. Zgromił ją wtedy jak nigdy. Przestraszyła się, upuściła kostkę.

– Chciałam się nią tylko pobawić... – wyjąkała i wybuchła płaczem.

Zrobiło mu się przykro, że się nie pohamował, ale był bardzo wzburzony. Perfekcyjnie osiągnięta symetria kolorów została zniszczona. Wysięk Nury zniweczyły ręce Ady i nie dało się tego cofnąć.

Zamknął wtedy kostkę w sejfie, do którego tylko on znał szyfr.

– Nigdy więcej, rozumiesz, nigdy więcej nie wolno ci bez pytania wchodzić do gabinetu i tykać tej kostki! Możesz mieć dziesięć innych kostek Rubika, ale tej nie ruszaj! – krzyczał jeszcze, kiedy Ada we łzach wybiegała

z pokoju.

Mgła się podniosła, a chmury jakby się obniżyły. Niebo przechodziło w jezioro, a jezioro w niebo. Granica między ziemią a wodą rozplynęła się, zatarły się granice między wtedy a teraz. Przestał wiosłować, rozglądał się, wciągając w płuca zimne i wilgotne powietrze. W twarzy Kotki pojawiło się napięcie. Bała się go, czy też miejsce i sytuacja, w której się znajdowali, budziła jej strach? Miała wprawę w odgrywaniu emocji, więc może tylko udawała spiętą, a w gruncie rzeczy chodziło o coś innego? Domyślił się, że chciałaby się dowiedzieć, jak to było. Lecz ona milczała, wytrzymywała tę ciszę. Więc zaczął sam.

– Pierwszy był Szujew. Był pijany. Przesłuchanie ciągnęło się bez końca, z biciem i gwałceniem. Wszystko wymknęło się spod kontroli. W pewnym momencie stało się jasne, że nie ma już odwrotu.

Słowa, wymawiane powoli i z namysłem, zdawały się wywoływać echo, były jak płaski kamyczek, który rzucony na wodę odbija się wielokrotnie od jej powierzchni, wzbudzając małe kręgi, a potem idzie na dno czarnego jeziora jak niegdyś lud, który lekceważył swych bogów.

Nie patrzyła na niego, jakby trudno jej było przyjąć do wiadomości to, co mówił, lecz całe jej ciało było napięte, na plecach czuła dreszcz.

– Z nim, z pułkownikiem, jeszcze walczyła, broniła się, drapała, gryzła. Ale kiedy Alosza strzelił sobie w głowę, poddała się... Leżała nieruchomo, patrzyła na nas niewidzącym wzrokiem, nieobecna, jak wydrażona skorupa, co tamtych czyniło jeszcze dzikszyimi. Po Szujewie przyszła kolej na Pietruszowa. Ten miał w twarzy jakieś zwierzęce podniecenie. Jego spojrzenie było bardziej odrażające niż razy, których jej tej nocy nie szczędzono. Zając, ten Zając zgwałcony przez życie, tylko pilnował. Ułatwiał sprawę innym, przytrzymywał Nurę. Potem pchnięto do niej mnie. Kiedy znalazłem się koło niej, wyrwała się z odrętwienia, spojrzała na mnie, lecz nie zamglonym spojrzeniem, ale spojrzeniem, w którym było błaganie. Zrozumiałem je od razu. Ktoś zdarł ze mnie spodnie, nie wiem już kto.

Miałem wrażenie, że wszystko dzieje się w zwolnionym tempie, straciłem poczucie rzeczywistości. Nie rejestrowałem wszystkiego. Najbardziej prymitywny człowiek by tam oszalał... pod warunkiem że był jeszcze człowiekiem... Czułem pod sobą jej półnagie ciało, czułem jej obrzydzenie i jej wyczerpanie, nie potrafiłem... Dostałem kilka ciosów i... zacząłem robić wszystko automatycznie. Jakby to nie było moje ciało. Jakby to nie były moje ręce. Czułem, że ona nie chce dłużej znosić tej hańby, która dla kobiety stąd była czymś najpotworniejszym, bezczeszczenia jej ciała przez kolejnych mężczyzn. Leżąc na niej, objąłem rękami jej szyję i zacisnąłem je. Nie broniła się, patrzyła mi prosto w oczy, godząc się, bym skrócił jej mękę. Jak zaszczute zwierzę, które czuje, że z tego nie wyjdzie, i pragnie już śmierci. Inni nie zorientowali się z początku, co robię, a potem... wcale mnie nie odciągali. Stali wokół nas, patrząc, jak ją duszę... Zaciskałem ręce coraz mocniej, a ona się poddawała. Niepojęte, jak wychodziła naprzeciw tej śmierci. Odebraliśmy jej wszystko, a ona nie chciała być tym, czym była teraz, tym, co z niej pozostało. Krzyczałem, krzyczałem coraz głośniejsze i coraz bardziej zaciskałem ręce. Z jej gardła wyszedł charkot, potem, pamiętam, drgnęły jej nogi i przez ramiona przebiegło drżenie. To był koniec. Zabiłem ją.

Generał znowu chwycił za wiosła i przyspieszył tempo.

Po twarzy Kotki płynęły łzy. Nie ocierała ich. Patrzyła na Generała, po prostu na niego patrzyła. Nigdy bardziej nie przypominała Nury niż w tym momencie, na tym jeziorze zasnutym mgłą, spowitym w zimne opary, gdzieś na granicy przeszłości i innego świata, nieba i ziemi, grozy i subtelnej czułości.

– Dlatego się zgodziłem, żebyś z nami przyjechała – powiedział Generał, zdziwiony jasnością i zdecydowaniem własnego głosu. – I ponieważ wiem, że nie przeszkodzisz mi w tym, co zamierzam – dodał.

Nad ich głowami w gęstej mgle rozległ się przerażający krzyk przelatującego ptaka, zupełnie jak tamtej nocy, kiedy za oknem szopy usłyszał ten sam głos i szum skrzydeł i odebrał to jako znak zwiastujący

nieszczęście. Ptak nie dał się teraz zobaczyć, tak samo jak wówczas.

Generał powoli zawracał łódź, uderzenia wiosł o wodę wydawały dźwięk przypominający skomlenie.

– Nie przeszkodzę? – zapytała Kotka ochryłym głosem, przeciągając słowa.

– Nie, nie przeszkodzisz.

– Skąd pan wie?

– Bo ty też tego chcesz.

– Czego? Czego miałabym chcieć?

– Chcesz, żeby spotkało nas to, na cośmy zasłużyli.

Nie odpowiedziała, drżącymi rękami wyjęła z kieszeni paczkę papierosów. Instynktownie podkuliła nogi, kiedy do łodzi wpadło kilka kropel lodowatej wody. Ogień zapalniczki rozświetlił na chwilę gęstą szarość i wydobył ich postacie z mgły. Popatrzyli na siebie. On przez moment nie wiedział, czy ma przed sobą Nurę czy jej sobowtóra.

– Powinniśmy wracać. Jest pora śniadania. Szanowni goście czekają.

Przeskoczył na ton uprzejmego hotelarza, kierując łódź do niewidocznego brzegu. Kotka skupiła się na papierosie, jakby paliła po raz pierwszy w życiu, kompletnie zaskoczona zmianą oblicza Generała. W milczeniu dopłynęli do brzegu. Szapiro czekał na pomoście z olbrzymią lampą. Był też Achmad, który z ulgą powitał ich powrót.

Kotka wysiadła z łodzi i szybkim krokiem skierowała się w górę. Generał dogonił ją i poprosił, żeby na moment zaczekała.

– Chciałbym ci coś przekazać.

– Mnie?

– Tak. To należało do niej.

Wyjął z kieszeni kostkę Rubika.

– Do niej? – spytała Kotka ze strachem i ostrożnie wzięła kostkę do ręki.

– Tak. Nurze udało się ją ułożyć i była z tego niesłychanie dumna. Ale moja córka zniszczyła to ułożenie....

– Przykro mi, to straszne, co stało się pańskiej córce. To nie powinno było jej dosięgnąć.

Patrzyła w ziemię, obracając w ręce kostkę Rubika.

– Musa Osmajew był jej kolegą z sąsiedztwa. Dowiedziałem się tego. Teraz jest w Syrii. Jego też nie powinno to być dosięgnąć. Tak samo jak najuczciwszego człowieka, jakiego kiedykolwiek spotkałem, Stanisława Pasternaka. Także Osmana i Awlura, dwóch kuzynów Nury, nie powinno to być dosięgnąć. Po pierwszej wojnie czeczeńskiej zeszli do podziemia. Młodsza siostra Nury, którą Nura szczególnie kochała, w wieku jedenastu lat musiała uciekać do Inguszetii, bo rodzina po procesie obawiała się aktów zemsty i napadów... I mojej córki też nie powinno to być dosięgnąć. Masz zupełną rację. Dziękuję... O, widzę, naszego przyjaciela.

Onno z zatroskaną miną stał przy wejściu do hotelu, wypatrując ich, bez płaszcza, w samym swetrze.

– Onno naprawdę kochał Adę – powiedziała Kotka. – To nie było tak, że ją tylko wykorzystał.

Powiedziała to nieporadnie, jakby sama w to nie wierzyła, lecz czuła, że powinna bronić przyjaciela.

– Naprawdę? – zapytał chłodno Generał i nie czekając na odpowiedź, wyminął Onna i wszedł do hotelu.

Zamknął się w pokoju konferencyjnym. Usiadł do komputera i przejrzał swoją pocztę. Czy naprawdę wszystko wyjaśnił, zakończył, zamknął? Właściwie tak. Ale dla pewności sprawdził raz jeszcze. Dokumenty leżały na biurku, w jednej teczce, starannie posegregowane. Szapiro zatroszczy się o nie. Poczul, że chciałby raz jeszcze usłyszeć głos Jewgienii. Jeszcze raz zobaczyć, jak z właściwą sobie lekkością chodzi po pokojach, a psy, jej

wierni towarzysze, idą za nią posłusznie krok w krok. Ująć jej dłoń i całować jej wnętrze. Tęsknota za Jewgieniją była jedyną rzeczą, jaka jeszcze łączyła go z życiem. Jewgienija, ze swymi błyszczącymi oczami i wolą udowodnienia światu, że ich życie może być szczęśliwe, a świat da się lubić, mimo wszystko...

I jej wściekłość, jej furia, kiedy zrozumiała, że on powoli zaczyna wykluczać ją ze swego życia. Od tak dawna już unikał z nią zbliżeń, że odeszła, musiała odejść. A jednak był przekonany, że znała go zbyt dobrze, by myśleć, że zachowywał się tak z jakiegoś banalnego powodu, że już jej nie kocha. Czasami przez głowę przebiegała mu myśl, co by było, gdyby udało mu się spełnić jej najskrytsze pragnienie i gdyby urodziła dziecko. Czy wtedy też by tu przyjechał? Czy dziedzictwo Ady wzięłoby w nim górę na przyszłość mającego się urodzić dziecka? Lecz to pytanie było w końcu bez znaczenia, tak jak większość pytań, które jeszcze pojawiały się w jego głowie. To, co się liczyło, to ten dzień, ostatni dzień roku. Prawdopodobnie też ostatni dzień jego życia, bo los nie może przecież okazać się tak głupi, by zostawić przy życiu właśnie jego!

Wbrew temu, czego się spodziewał, nie czuł świątecznego nastroju. Pompatyczna celebra w operowym stylu wydała mu się nienaturalna. Może wpłynęło na to to miejsce. Ta cisza, ta parująca powoli mgła, ten zupełny spokój. Niewiele było na świecie miejsc, które okazywałyby taką obojętność wobec ludzkich spraw. Jakby człowiek był błędem natury, pomyłką, mącicielem, a natura z jej górami i wodami pozostawała – bez niego – w doskonałej harmonii.

I prawdopodobnie tak było. Nigdy nie powinien był tu trafić. W to miejsce bogów i surowych zasad adatu, częściowo przekazanych ustnie, a częściowo za pomocą pergaminowych rolek zawierających czeczeńską kronikę, przechowujących pamięć o historii narodu. Nie tylko on, nikt obcy nie powinien się tu plątać. Czeczeni żyli tu od wieków, składali bogom ofiary i czcili swych przodków, sławili swych bohaterów i bezlitośnie karali wrogów. Tacy byli ci, którzy żyli w tym świecie otoczonym przez góry

i zawsze wystarczali sami sobie. Nie interesowali się osiągnięciami zachodniej cywilizacji, tańczyli za to zikr, taniec męczenników, i śpiewali pieśni o umarłych. Byli sobą wśród swoich, tak samo jak natura. Ingerowali w nią tylko na tyle, na ile to było niezbędne, pomni wiedzy pozostawionej im przez przodków, że tych, którzy nie traktują z bojaźnią swoich bogów, czeka los zatopionych na dnie jeziora. Niewielu, zaledwie kilku śmiałków ważyło się wyruszyć w drogę, pokonać te przełęcze, te góry i znaleźć się w innym świecie. Dziewczyna o czarnych oczach należała do tych odważnych i może udałoby jej się uciec z tego świata, który wystarczał sam sobie, w którym przeszłość była równie ważna jak teraźniejszość. Może doszłaby tam, gdzie sięgały jej marzenia, sprzedając jemu i Aloszy zabite kury i rozwiązując zagadkę kostki Rubika.

Szapiro zapukał do drzwi.

– Achmad chce wiedzieć, na którą ma przygotować kolację.

– Myślę, że koło dwudziestej będzie dobrze. Tak, koło dwudziestej.

– Mieliśmy pewien incydent.

– Jaki incydent?

– Pietruszow próbował uciec.

– Rozumiem. Gdzieście go złapali?

– Najpierw próbował odzyskać swoją komórkę. A potem... znaleźliśmy go w lesie. Chłopcy ściągnęli go z powrotem. Czy podjąć jakieś środki?

– Nie. W porządku.

Na szczęście Szapiro oszczędził mu dalszych komentarzy. W takich chwilach rozumiał się ze swym szefem bez słów. Generał to doceniał.

– Myślałeś już, co będziesz robił potem?

– Wrócę do Odessy. Będę się troszczył o bratanka i bratanicę. Nic szczególnego.

– To dobrze, to bardzo dobrze – odparł w zamyśleniu Generał.

Szapiro wyczuł, że powinien zostawić go samego. Przed wyjściem dodał jeszcze:

– Dopilnuję wszystkiego. Będzie tak, jak kazałeś.

Wymamrotał jeszcze cicho „dziękuję” i zamknął za sobą drzwi.

A więc tak to jest. Bez rozgłosu, cicho. Tak to jest, kiedy porządkuje się sprawy, gdy wszystko wraca na swoje miejsce, gdy wypuszcza się stery z rąk, tak to jest, kiedy coś się zamyka. Zupełnie niedramatycznie. Generał obawiał się chwilami, czy lęk, stały towarzysz jego młodości, nie wróci do niego teraz, pod koniec życia, ale nie, nie pojawił się. Najwidoczniej to, co raz zdecydowanie wypleni się ze swego charakteru, już nie wraca, i nie chodzi tu tylko o lęk, ale o część samego siebie.

Sonia... Zatęsknił za nią. Za Sonią z ich dobrego okresu, zanim jeszcze wszystko legło w gruzach. Chwyciłby ją mocno w ramiona, nie pozwoliłby się jej oddalić. Posiedziałyby z nią w jakimś zaniedbanym, opuszczonym baraku w Szczukino, patrzył, jak pali papierosa, i obiecałby jej, że teraz już będzie dobrze, bo się odnaleźli i postanowili iść przez życie ręką w rękę jak para ludzi, których chroni złudzenie niezniszczalnej miłości, miłości, jaką zna tylko młodość. Powiedziałyby jej, że to nie była jej wina, że chciała dobrze żyć, bo na moralność może sobie pozwolić tylko młodość. Powiedziałyby jej, że niepotrzebnie się zadręczała, bo jej oparciem mogła stać się Ada, kiedy on ją zawiódł... Jak chętnie siedziałyby teraz z Adą w rosyjskim pociągu, przemierzając ogromne, bezludne przestrzenie tego kraju, pijąc herbatę z samowara i jedząc pierożki, przyglądałby się, jak Ada czyta, jak się bawi, jak wygląda z okna, a nocą – jak najpiękniejszej melodii na świecie – nasłuchiwałby jej oddechu wtapiającego się w monotony stukot kół pociągu.

Matka... Gdyby mógł, rozsunałby matce zasłony w oknach, wpuścił trochę światła w jej mroczną egzystencję, zdarłby ze ścian stare tapety i portrety ojca, a order i listy przechowywane w ciężkiej dębowej szafie wyrzuciłby do śmieci albo by rozpałił na podwórzu ognisko i tam skończyłby swój żywot. Zaryglowałby matce drzwi, którymi wracała

w przeszłość, tysiąc razy by ją rozczarował, aż pewnego dnia wreszcie by zrozumiała, że on, jej syn, nie chce być taki jak jej mąż i że czołgi, które w imieniu ojczyzny zabijają ludzi, to nie jest jedyny sposób na zdobycie sławy i szacunku. Pokazałby matce Europę, którą знаła tylko z książek, zawiózłby ją na wybrzeże Atlantyku, żeby inny świat otworzył jej oczy i uzdrowił jej obsesje. Ale to już tylko czysty sentymentalizm, nic więcej. Nie takie było jego życie. Jego życie było przeciwieństwem tego, co sobie właśnie wyobraził. Wszystko, co mógł zrobić, zrobił na swój sposób, i mimo wszystko było to dobre życie – z wieloma przywilejami, zgodne z zasadami, które wyznawał.

W świecie, w którym bogowie byli tak okrutni, że zatapiali całe wsie, żądali ofiar i obiat^[4], wolał być bogiem niż człowiekiem.

Nie tylko oglądał zachwycające obrazy, ale je kupował. Zmuszał ludzi, by robili to, co chciał. Podróżował po świecie i pokazał swej córce rzeczy, które dla większości były niedostępne. Stworzył własne imperium i w pewnej chwili jego bogactwo stało się wprost niezmiernie. Osiągnął szczyty, które otwierały zupełnie inne spojrzenie na świat. A teraz zamierzył zdecydować o losie kilku ludzi, wydać na nich wyrok, tak jak to kiedyś uczynili bogowie rozczarowani nieposłusznym ludem.

Teraz był sędzią i oskarżonym w jednej osobie i mógł sobie na to pozwolić, bo był tym, kim był. Bo nie zatrzymał przy sobie Soni, nie rozsunał przed matką ciężkich zasłon, nie ochronił przed sobą Ady, bo ukarał Jewgienię swym lekceważeniem i sprawił, że odeszła. I ponieważ feralnego letniego dnia przed laty, tutaj, w tych górach, tak długo zaciskał ręce na szyi pewnej dziewczyny, aż uszły z niej życie, nadzieja, miłość i ból. Z tym wszystkim żył i dźwigał to jak brzemień, należne brzemień.

Jedno tylko by zmienił, gdyby mógł. Chciałby znowu stać z Adą w Wenecji przed tamtym ściennym malowidłem, które wycisnęło mu łzy z oczu, kiedy ona, ogarnięta niepokojem i szaleństwem, bez wytchnienia krążyła po pałacu. Gdyby jeszcze raz tak jak wtedy stał obok niej, ubranej w odświętną suknię, pięknej i dumnej, i usłyszał pytanie, które wyszeptała mu

do ucha, stając na palcach: „Papa, zabiłeś ją?”, dałby jej teraz inną odpowiedź, nie zaprzeczyłby. Wszystko by jej opowiedział, wyznał i dodał, że od tamtej chwili wszystko, co czynił, czynił w dwójnasób i trójnasób. Bo w szarości tamtego poranka, gdy jako morderca opuszczał szopę, obudziła się w nim zachłanność, by zdobyć wszystko, czego zapragnie, i niszczyć to, co mu stanie na drodze, obudziła się w nim żądza, by osiąść wszystko, na co spojrział, by wszystkiego skosztować, wszystkiego doświadczyć, by przekraczać wszelkie granice. Śmierć tamtej dziewczyny odebrała mu strach przed czymkolwiek i kimkolwiek, jakby przejął od niej zuchwałość, jaką okazywała za życia, a to znaczyło, że zaczął zdradzać wszystko, co do tamtego dnia było dla niego święte.

I być może Ada by go zrozumiała i mogła mu wybaczyć... A może niczego by to nie uratowało. Może już było za późno.

Generał spojrział na zegarek. Było popołudnie. Jeszcze raz przejrzał dokumenty. Potem wyrzwał przez okno. Mgła się przerzedziła. Białe szczyty gór z samotnymi jodłami poniżej spowijały gęste chmury. Przez moment zapatrzył się na ten widok i zapomniał o dokumentach, o testamencie, o zadaniach, które powierzył Szapirze, i o tym, jakie mogło być jego życie.

„Dlaczego jest ciemność i światło?” – przypomniał sobie pytanie pięcioletniej Ady. Stali wtedy w nowym, wspaniałym domu, do którego wprowadzili się po śmierci Soni i po sukcesie jego pierwszej wielkiej transakcji handlowej; wokół piętrzyły się nierozpakowane jeszcze kartony z rzeczami. Po śmierci Soni Ada zaczęła się bać ciemności. Mogła spać tylko przy zapalonym świetle, z twarzą wtuloną w poduszkę.

„Bez ciemności nie widzielibyśmy światła, a bez światła ciemności” – wyjaśnił jej, ale to tłumaczenie wydało mu się niezbyt przekonujące. „Ale dlaczego muszę w ogóle widzieć ciemność?” „Gdyby zawsze było jasno, byłoby nudno” – powiedział i objął jej dziecięce, drobne ramionka. Czuł lęk w jej gardle, w jej kręgosłupie, czuł, że całe jej ciało bezszelestnie bierze w posiadanie podstępne zwierzę lęku. Chciał ją pocieszyć, dodać odwagi.

„Wiesz, Ado, nie musisz bać się ciemności. Ciemność to nic innego jak maska światła”.

Ada popatrzyła na niego w skupieniu, rozważając to zdanie w swej główce, potem skinęła głową, uśmiechnęła się i uspokoiła.

2016/KOTKA

W jadalni ustawiono choinkę sięgającą sufitu. Cała sala została przybrana złotą lametą. Kotka zdziwiła się, że tak szybko udało się Achmadowi tego dokonać. Z niewidocznych głośników ze wszystkich kątów dobiegała muzyka. Rozstawiono zapalone świece, pachniało pieczeniem i winem. Kotka przez całe popołudnie szukała Onna, ale ten jakby zapadł się pod ziemię. Nie mogła się uspokoić od czasu przejażdżki po jeziorze. Serce waliło jej jak szalone. Łamała sobie głowę nad tym, w jaki sposób mogliby z Onnem stąd uciec.

Jeśli teoria Pietruszowa jest trafna i Generał naśle na nich żadnych zemsty mieszkańców aułu, Onno nie będzie obiektem ich wrogości i wtedy Generał osobiście zechce wyrównać z nim swe rachunki. Ale w jaki sposób?

Co Generał miał na myśli, mówiąc, że ona nie przeszkodzi mu w tym, co zamierzył? Czemu nagle przeszedł z oficjalnej formy „pani” na sugerujące zaufanie „ty”? I w czym miałyby mu nie przeszkodzić? Czowała, że ją przejrzał, i zaczęła się bać. Podobne odczucie miała wtedy, kiedy Szujew o mały włos nie został potrącony przez auto. Ogarnęła ją panika, zrobiło jej się niedobrze. Czy naprawdę działa w imieniu Nury? Czy naprawdę tego chce? Czy chce, żeby Pietruszow, Szujew i Juricz dostali się w ręce ludzi, którzy nienawidzili ich najbardziej na świecie? Co by to Nurze pomogło? Była też zmuszona przyznać się sama przed sobą, że perspektywa, iż Generał tak po prostu ją stąd wypuści, też niezbyt jej się podobała.

Z godzinę siedziała na łóżku, bawiąc się kostką Rubika i próbując właściwie ułożyć kolory, lecz jej się nie udało. Zniecierpliwiona, rzuciła kostkę na łóżko. Patrzyła na tę niemodną już zabawkę, zastanawiając się, ile dla Nury znaczyła. Ona w każdym razie tak czy owak dojdzie w końcu do tego, jak ułożyć tę kostkę. Jeśli nie dzisiaj, to kiedyś.

Gdzie podziewa się Onno? Może wyszedł się przejść? Dlaczego do niej nie zadzwonił?! Przecież obydwójce mieli komórki, nie zostali ich pozbawieni jak pozostali. Na ekranie swego telefonu zobaczyła pięć nieodebranych połączeń i kilka SMS-ów, które szybko przebiegła wzrokiem. Matka pisała, że z Natalią martwią się o nią i prosiła, żeby się odezwała. Kilkakrotnie dzwoniła jej agentka, w końcu wysłała SMS zakończony szeregiem wykrzykników: „Odezwij się, do diabła, to ważne!!!”. Właściciel mieszkania chciał wiedzieć, czy już się wyprowadziła i kiedy odda mu klucze. Koleżanka z teatru pytała, czy Kotka może zagrać za nią w zastępstwie, bo zachorowała jej matka. A między tym wszystkim zobaczyła wiadomość, która zaskoczyła ją najbardziej, bo jej nadawca przestał dla niej istnieć, odkąd weszła w świat Nury. Jego pojawienie się teraz w tym świecie wydało jej się kompletnie niestosowne: „Proszę, zajrzyj do swojej poczty. Skomponowałem utwór, który w tytule ma twoje imię!”. Skomponował utwór! Zamiast tego wszystkiego, czego nie potrafił jej dać. Roześmiała się. Zdziwiła ją wesołość, z jaką na to zareagowała. A potem skasowała wszystkie wiadomości. W ten sposób skasowała lata miłosnych wyznań, próśb, gróźb, przykrości, przeciągania liny, tęsknoty i oczekiwań.

Do matki napisała po gruzińsku: „Jutro wracam do Berlina, zadzwonię, jak tylko będę mogła. Nie martwcie się. U mnie wszystko w porządku”.

Do agentki: „O co chodzi? Teraz nie mogę dzwonić. Proszę, napisz więcej”.

Zastanawiała się, czy nie powinna raczej wysłać w świat sygnału SOS, ale do kogo? I jak by to miała uzasadnić? Zamiast tego wysłała piąty SMS do Onna: „Proszę, zadzwoń. Muszę z tobą pogadać!”.

Jeszcze raz przejrzała się w lustrze. Niesforny kosmyk wysunął się z włosów spiętych w krótki koński ogon i zwisał z czoła. Wsunęła go na miejsce. Jasna plamka u nasady włosów nadal była widoczna, jakby była nie do usunięcia, obojętnie, czy miała włosy rude, czy czarne. Może zobaczyła teraz tę plamkę, żeby się upewnić, że jest naprawdę Kotką i że jej życie jeszcze się nie kończy, że wyjdzie stąd cało po tej nocy. Lekko pociągnęła

usta szminką i zeszła na dół.

Prawie wszyscy siedzieli już przy długim, obficie zastawionym stole. Na kolację przygotowano potrawy rosyjskie i czeczeńskie, europejską pieczeń w winnym sosie, przepiórki i jagnięcinę, sałatkę z buraków i rybę w sosie musztardowym, góry owoców oraz szampana w butelkach, które były tak piękne, że same w sobie stanowiły ozdobę stołu. W kącie ustawiono ladę, na której czekały ciasta i desery: trufle w czekoladzie, kolorowe makaroniki, szarlotka, tort nugatowy i krem ze skondensowanego mleka. Kotka patrzyła na tę obfitość, wstrzymując oddech. Czerwonawe światelka oplatające choinkę wzmacniały nastrój sylwestrowego przyjęcia, wszystko zdawało się zanurzone w teatralnym świetle. Odświętny wystrój sali i bogactwo stołu kontrastowały z posępnymi twarzami biesiadników.

– Prosimy, prosimy do nas jedyną kobietę w naszym towarzystwie! Właśnie opowiadałem panom historię tych oto butelek szampana, to bardzo szczególna historia, może panią też zainteresuje.

Kotka zadała sobie pytanie, czy forma „ty”, na którą Generał przeszedł podczas przejażdżki po jeziorze, wynikała z intymności, kruchości i nagości jego spowiedzi, czy też była w istocie przeznaczona dla Nury? Teraz znowu zwracał się do niej oficjalnie – „pani”, a przez to wyznaczał jej rolę osoby z zewnątrz.

Dziwił ją jego swobodny, neutralny ton. Miała wrażenie, że jest w nim dwóch ludzi: ten, który wczesnym rankiem płynął z nią łodzią po jeziorze spowitym we mgle, i obecny, który grał gospodarza dbającego o dobry nastrój gości.

– W czasie pierwszej wojny światowej u wybrzeży Finlandii niemiecka łódź podwodna zatopiła statek Jönköping, na którego pokładzie znajdował się ekskluzywny ładunek: skrzynie z szampanem Piper-Heidsieck z tysiąc dziewięćset siódmego roku. Szampan był przeznaczony dla rodziny carskiej, ale los chciał, że nigdy nie dotarł na miejsce przeznaczenia. Bodajże w dziewięćdziesiątym siódmym roku blisko dwa tysiące butelek udało się

wydostać na powierzchnię. Zimna woda sprawiła, że szampan, mimo upływu lat, świetnie się przechował. Kilka butelek kupił moskiewski Ritz-Carlton, a resztę... ja. Częstujcie się. Świętujmy! Trudno o lepszą okazję!

Odkorkował butelkę, z której buchnął spieniony złotawy płyn, spłynął po szyjce, po jego rękach. Generał zaczął rozlewać szampana do wysokich kryształowych kieliszków.

Kotka zajęła miejsce obok Onna. Naprzeciw niej siedział Juricz wpatrzony w odrętwieniu w obficie zastawiony stół. Szujew siedział obok Pietruszowa i ćmił papierosa za papierosem; drżały mu ręce. Pietruszow utkwiał wzrok gdzieś daleko – wyglądał na wykończonego. O czym myśleli? Czego się spodziewali? Czy miała to być kolacja skazańców? Onno, z podkrążonymi oczami, sprawiał wrażenie nieobecnego.

– Szukałam cię wszędzie – szepnęła do niego Kotka.

– Przepraszam, potrzebowałem samotności, musiałem coś przemyśleć – odpowiedział również szeptem i nałożył sobie pełen talerz.

Generał ugaszczał ich, dolewał alkoholu, zachęcał, by się częstowali, i tylko on jeden udawał, że jest w sylwestrowym nastroju. Wszystkich innych męczyły złe przeczucia.

Nagle Juricz zaczął skomleć i błagać Kotkę o łaskę. Zrobiło jej się nieprzyjemnie, bo czynił to tak wprost, bez ogródek, lecz z drugiej strony czuła satysfakcję, gdyż widziała, że biedak nadal brał ją za siostrę Nury.

– Wania, mój drogi, nie naprzykrzaj się pani, teraz nie czas na to. Teraz chcemy świętować. Achmad, czy możesz trochę zgłośnić muzykę? Dziękuję. Wypijmy za nowy początek, za to, żeby Nowy Rok przynajmniej niektórym z nas przyniósł prawdziwy nowy początek!

Orłow wstał i uniósł kieliszek szampana. Pozostali zastanawiali się, co oznacza „przynajmniej niektórym z nas”. Czy to zdanie daje im nadzieję? Czyżby teoria Pietruszowa nie miała się sprawdzić? A może, jak uważał Onno, Generałowi chodziło tylko o to, żeby wydobyć z nich zeznania i fakty

i oczyszczonych posłać po tej nocy do domu?

Kotka czuła narastający strach, który ścisnął jej gardło, osiadał w zagłębieniach pod kolanami i szumiał w uszach. Nie można było wierzyć temu człowiekowi, który miał w sobie zbyt wiele rozpaczy, zbyt wiele nienawiści do samego siebie, zbyt wiele pogardy. Orłowi na pewno wyładuje swe emocje w sposób gwałtowny i nikt nie może czuć się bezpieczny. Co miał na myśli, mówiąc, że ona mu w tym nie przeszkodzi? W czym nie przeszkodzi? Czy to, co zamierza, dotknie wszystkich? Ale dlaczego miałoby dotknąć ją? A może chciał, by była czegoś świadkiem?

Zdawało się, że góry wokoło wstrzymały oddech w oczekiwaniu na coś niesłychanego. Drobne pęcherzyki powietrza w złotym napoju wydobytym z zatopionego statku mieszały się ze strachem i poczuciem beznadziei gości Generała, którzy byli jego więźniami. Muzyka zagłuszała krzyk, który rodził się w ich gardłach, lecz był powstrzymywany. Zegar na ścianie nie przestawał posuwać czasu naprzód i coraz bardziej stawał się tykającą bombą. Śnieg zagłuszał ciężkie oddechy, a ogień w kominku połykał drżenie ciał. Nienawiść kleiła się do srebrnych sztućców, które mężczyźni trzymali bojaźliwie w swych rękach.

Kotka myślała o pustyni w Maroku, na którą wybrała się przed przyjazdem tutaj. Próbowwała koncentrować się na wspomnieniu złotych, nieopisanych pięknych wydm, dzięki którym zaznały tam spokoju. Ona i Nura. Teraz musi się opanować, obie mają istnieć jeszcze tylko dzisiejszego wieczoru. I musi się jej udać ochronić Onna. Bo Onno był pierwszą nocą miłosną Nury, jej pierwszym mężczyzną w innym życiu, w życiu, w którym nie była gwałcona i mordowana. W życiu, w którym do jej wsi nie dociera żadna wojna, w którym dzięki kurom może zaoszczędzić dosyć pieniędzy i wyjechać w daleki świat za górami. W świat, który zatrzymała dla niej ona, Kotka, i pokolorowała go farbami, wypełniła różnorodnymi przeżyciami, świat, w którym Nura będzie mogła iść za swymi marzeniami i być szczęśliwa. W tym życiu Nura spotkała Onna i nauczyła się go kochać. Onna, mężczyznę, który dał jej radość i nie przyczynił cierpienia, który był delikatny

i kochający, który umiał być przyjacielem, lojalnym towarzyszem. Nura nie pozwoliłaby, żeby coś mu się stało. Chroniłaby go... W tym nowym życiu, które oddała jej Kotka, poznała pustynię i widząc jej niewypowiedziane piękno, rozplakała się. Jechała Drogą Tysiąca Kazb^[5], z milionem palm daktylowych, wchodziła do złotych pałaców z piasku. W tym życiu Nura zaznała smaku wolności i została tancerką. Jej specjalnością stał się taniec brzucha w zaczarowanym, orientalnym lokalu, na zgubę turystów, którzy skakali na główkę w obietnice tysiąca i jednej nocy i w tej nocy się zatracali. Albo została obieżyświatem, kartografką świata i jego cudów, architektem, fotografką, pilotem, który poznaje świat z góry, z chmur, a może nawet aktorką, tak, właściwie dlaczego nie.

W tym życiu, które pożyczyła jej Kotka, były szczęście i irytacja, muzyka i oszałamiające chwile świętowania, kolorowe suknie i wysokie szpilki, które dawały dumny chód, choć zostawiały pęcherze na nogach, była miłość, coś jak przystań, jak dom, jeden człowiek lub kilkoro wiernych, gotowych przypominać, kim się jest, były związki na całe życie i obietnice, których się dotrzymuje, były piękne, choć niepotrzebne przedmioty, takie jak srebrne dzbany kupione na targu w marokańskim Warzazat, były dotknięcia, które nawet wiele lat później wywołują gęsią skórkę, i niezapomniane pocałunki o smaku melonów i humusu. Były żyjące na wolności kozy i dromadery, Beduini z oczami zaklejonymi piaskiem i tysiące lat mądrości odkrywanej w liniach dłoni, była miłość, zasypywana niekiedy piaskiem, która jednak po pewnym czasie potrafi buchnąć jeszcze większym płomieniem. To wszystko było w innym życiu Nury i w to inne życie nie miał prawa wejść żaden strach, żaden gwałt, nic nie powinno zagrozić jego pięknu.

Kotka odetchnęła głęboko i skupiła się na muzyce. Panika nadwerżyła jej umiejętność samokontroli i zamroczyła jasność myślenia, jaką osiągnęła w ostatnich tygodniach.

Szujew odsunął talerz, nalał sobie pełny kieliszek koniaku, poderwał się z miejsca i ruszył w kierunku Kotki. Nie miał przyjaznych zamiarów.

– To wszystko z powodu tej zdziury, z jej powodu tu jesteśmy, chodź no tu,

ty brudna wywłoko!

Był już prawie przy niej, chciał ją chwycić za włosy i przeciągnąć po podłodze, lecz zanim Onno zdążył interweniować, Szapiro wyrósł jak spod ziemi, chwycił Szujewa za kołnierz i zmusił go, by ukląkł. Szepnął mu coś do ucha, Szujew zbladł, podniósł się i zataczając się, wrócił na swoje miejsce.

– Wszystko w porządku? – spytał Kotkę Generał zatroskanym tonem.

Skinęła głową, choć nic nie było w porządku.

– Musimy pogadać – szepnęła w stronę Onna.

Onno, który siedział nad swoim talerzem z nieobecny wyrazem twarzy, kiwnął głową na znak zgody.

– Dobrze, wyjdźmy na papierosa, gdy tylko nadarzy się okazja.

Generał próbował zająć myśli zebranych. Najpierw opowiadał banalne historyjki o zwyczajach i tradycjach regionu, potem monologował na temat utworu, który właśnie płynął z głośników, następnie recytował Lermontowa, później rozpoczął opowieść o kaukaskim rozdziale w życiu Tołstoja. Pozostali tymczasem zapadali się coraz bardziej w siebie, cisi, nieruchomi. Wyglądali jak figury w upiornym gabinecie figur woskowych.

– Czy wiecie, że w tym kraju nie było nigdy domów dziecka ani domów starców? Nigdy! – Generał nalał sobie armeńskiego koniaku. – Ej, Pietruszow, wiedziałeś o tym?

– Co proszę?

Pietruszow, wyrwany z własnych myśli, spojrzał na niego zdeorientowany.

– Nie było żadnych domów dziecka ani domów starców. Wiecie, co to znaczy? Tu uchodzi za skandal nie wziąć do swego domu sieroty albo nie opiekować się własnymi rodzicami do końca ich życia.

Nikt nie rozumiał, dlaczego Generał opowiada im to wszystko, ale też nikt tak naprawdę go nie słuchał, bo ich umysły wypełniał strach przed nocą, która

była jedną wielką niewiadomą i w której wyczuwało się ostateczną groźbę.

– Myślę, że to wiele mówi o tym kraju i tych ludziach, nie uważacie? – perorował Generał jakby nigdy nic. Słuchał go tylko Szapiro, który siedział na końcu stołu, pijąc wodę. – Chodź, Pietruszow, powiedz nam coś, kiedyś byłeś przecież dobrym mówcą!

– Ciągle jeszcze jestem, jeśli mówię z własnej nieprzymuszonej woli. Chętnie rozmawiam jako człowiek wolny, ale nie wtedy, kiedy ktoś mnie do czegoś zmusza.

– Bardzo się mylisz, Boria! Całe twoje życie, podobnie jak życie naszego pułkownika Szujewa i szeregowego Juricza, i moje własne, jest jednym pasmem przymusów. Przyjechaliśmy gdzieś, gdzie nie mieliśmy niczego do szukania, i zrobiliśmy rzeczy, których nie wolno nam było robić. Podporządkowywaliśmy się ciągle woli innych, wmawiając sobie, że to jest nasza własna decyzja. Czy myślisz, że choć przez sekundę byłeś w życiu wolny? Myślisz, że choć jeden Rosjanin na świecie jest wolny? Kiedykolwiek był? Naszą wolność kupujemy niewidzialnością i milczeniem albo kończy się ona w obozie pracy, a w najlepszym razie w dziewięciometrowej celi. Nasza wolność to albo bierność i apatia, albo strach. I dlatego nieustannie pozbawiamy wolności innych, wpadamy do nich nagle jak nieproszeni goście i przywłaszczamy ją sobie. Bo nie możemy znieść, gdy ktoś jest inny niż my. Nie możemy znieść, gdy ktoś ma coś, czego myśmy nigdy nie mieli i nigdy nie będziemy mieć. A wiesz dlaczego, Boria, wiesz, czemu tak jest? Bo byśmy się wszyscy pozabijali, tak jak wtedy, kiedy na krótko została nam dana ta wytęskniona wolność. My nie umiemy być wolni. Nie chcemy być wolni. Przecież jesteś wykształconym człowiekiem, na pewno nieraz zastanawiałeś się nad tym, dlaczego pewne rzeczy są takie, jakie są, prawda?

– Chcesz znać moje zdanie, Orłow? Nagle chcesz wiedzieć, co myślę? Jak cię widzę? Jak widzę to wszystko? Otóż my musimy wpadać do innych, jak to ująłeś, żeby inni nie chcieli wpadać do nas. I ktoś taki jak ty, kto zdradza swoich towarzyszy, bo uważa, że przez to jest kimś szczególnym, lepszym, ma czelność prawić o moralności?! Poważnie? A ci tam wtedy w wąwozie,

oni byli lepsi, tak? A my, myśmy tam przyszli i z wzorowych ludzi zrobiliśmy bestie, tak? To jest twoja prawda, tak? Twoja szczerza ocena tych spraw, tych ogarniętych gorączką wojny prymitywów, które jeszcze dziś dyszą żądzą zemsty i wysadzają w powietrze nasze kobiety i dzieci? To ty ją zabiłeś, Orłow. Ty i nikt inny!

Kotka dojrzała kątem oka, że Onno ostrożnie odkłada sztucce i w zwolnionym tempie odwraca się w stronę Generała. Patrzył na niego, jakby zobaczył ducha, zbladł jak płótno, ciemne podkówki pod oczami zmieniły się w czarne plamy.

– Tak, jesteś i zawsze będziesz mordercą, Orłow! Obojętnie, kogo na nas poszczujesz, nie zmienisz tego faktu. Przyjąłeś wtedy moją propozycję, wzięłeś moje stanowisko w tamtej firmie i wzbogaciłeś się jak świnia, a teraz siedzisz tu i bajasz o sprawcach, ofiarach i winie. Czyjej winie? Nie czuję się winny, tak jak nie czuje się winny ani Szujew, ani Zajac. Twojej winy ci nie odbierzemy, Orłow. Wtedy zrobiliśmy to, co trzeba było zrobić, złapaliśmy terrorystkę i próbowaliśmy wydobyć z niej informacje. Być może nasze metody nie były specjalnie dżentelmeńskie, ale to była wojna, do ciężkiej cholery! Gdybyśmy tego nie zrobili, kto wie, wtedy ona albo któryś z jej psychopatycznych braci wysadziłby nas w powietrze.

Orłow najspokojniej w świecie otarł sobie usta białą płócienną serwetą i zwrócił ciężkie spojrzenie na Pietruszowa.

– Udusiłem ją, bo nie było, nie mogło być dla niej innego rozwiązania. Po tym wszystkim, co zrobiliście, co zrobiliśmy, nie wypuścilibyście jej. Nie pozwolilibyście na to, nieprawdaż? Skróciłem tylko jej mękę. Tak, zrobiłem to. A potem chciałem wziąć na siebie odpowiedzialność. Odmówiliście mi tego prawa, wy i moja ojczyzna. Dlatego tu siedzimy. Dziękuję ci, Boria, że dałeś mi możliwość zdobycia takiej fortuny, że mogłem was wszystkich kupić. Dziękuję ci, Boria, z całego serca, bo to dzięki tobie odkryłem w sobie nieprawdopodobny talent. To nie wasze poczucie winy przywiodło was tutaj, nie śmierć Nury, nie wojna, nie przeszłość, tylko pieniądze. Nie, nie miałem złudzeń, że przez ten czas się zmieniliście. Ale jakaś częśćka mnie nie chciała

pozbyć się nadziei, że to, co się wtedy stało, jest ważniejsze od pieniędzy, lecz nie, oczywiście myliłem się. Dobrze, kończmy już niemiłą część tego wieczoru. Widzę, że tak naprawdę nikt z was nie ma ochoty ze mną świętować, więc nie będę was zmuszał, zrezygnujemy też ze sztucznych ogni. Wobec tego proponuję, żebyśmy dokładnie o wpół do dwunastej spotkali się na górze, w pokoju bilardowym.

Drżały jej ręce, gdy kilka minut później stała z Onnem na tarasie i próbowała go przytulić.

– Nie wierzyłem Adzie, nie wierzyłem nawet po jej śmierci. Byłem pewien, że zrobił to jeden z tamtych trzech – mruknął Onno, tkwiąc sztywno w jej objęciach.

– To już nieważne, Onno. Musisz to wszystko przerwać, musisz z tym skończyć. Wyjeżdżamy. Myślę, że Pietruszow miał rację, Orłow w swoim szaleństwie wystawi ich wszystkich na ostrzał, jest w stanie posunąć się do tego. Teraz nie ma to już znaczenia. Jedźmy. Weźmiemy jeden z tych dwóch samochodów i pojedziemy. Ja nie piłam, poradzę sobie na drodze. Onno, spojrzysz na mnie, spojrzysz na mnie i powiedz, że mnie zrozumiałeś!

– O czym ty mówisz?

– Obiecałeś mi, że nie zrobisz niczego, co może narazić twoje życie. A to jest niebezpieczne, cholernie niebezpieczne. Chcę wracać.

– Wracać? Dokąd?! Co z tobą, do diaska!

Patrzył na nią jak przez szybę, nie dostrzegając jej. Był gdzie indziej, nie umiała do niego trafić.

– Nie mogę wyjechać. Teraz już nie mogę.

– Oczywiście, że możesz. Zaczniemy w Berlinie od początku, będziemy...

Przemawiała do niego bez przerwy, obejmując go mocno ramionami. Nagle zaczęła łkać. Nie była już Nurą, była na powrót sobą, Kotką, ze swoim lękiem i bezsilnością wobec tego, co miało nastąpić. Czowała zwierzęcy strach,

tak jak wtedy, kiedy jej ojciec naciskał w ładzie pedał gazu. Strach o własne życie. Prosiła Onna i błagała, wspinając się na palce i całując go, żeby wrócił do rzeczywistości, do siebie. Onno pomału tajał, budził się z apatii, czuła, że zbiera się w sobie, że zamyka ją w swoim uścisku.

– Podejmę właściwą decyzję, zaufaj mi – powiedział.

– Nie, musisz mi obiecać. Umówmy się, gdzie się spotkamy. Orłow dał ci wybór. Ja też mam wybór. Wyjedziemy. Nie pojedę bez ciebie.

– Dobrze, dobrze, zrozumiałem.

– Żadna historia na świecie nie jest warta tego, żeby coś ci się stało.

– Nic mi się nie stanie.

– Dobrze, więc powiedz, gdzie się spotkamy.

– Yyy... nie wiem.

– Możemy jechać zaraz. On cię nie zmusi, żebyś tu został, porozmawiamy z nim i...

– Jestem to winien Adzie – powiedział nagle i wyzwolił się z jej objęć.

– Dobrze, więc nie teraz, jak chcesz. Ale powiedz, gdzie i kiedy się spotkamy.

– O wpół do pierwszej. Przy wejściu do hotelu.

– A więc umowa stoi. Wpół do pierwszej przy wejściu. Bądź punktualnie. Jedziemy razem.

Zanim wszedł do środka, jeszcze raz się odwrócił, mrugnął do niej i powiedział:

– Dzięki!

Nie wiedziała, za co podziękował, bezczelnie pokazała mu język. Nagle przyszła jej wielka ochota, żeby go pocałować, ale znikł już w drzwiach.

Skończyło się świętowanie. Sztuczne ognie przepadły. Czerń nocy zaciągnęła się wokół jeziora.

Kotka poszła do swego pokoju. Próbowwała się uspokoić. Stłumiła chęć zapukania do Onna. Wyszła z pokoju, zapaliła papierosa, potem zeszła do pustej jadalni i wlała w siebie zawartość stojących na stole niedopitych kieliszków, jeden za drugim, jak leci, szybko. Znowu wróciła do swego pokoju, na balkonie zapaliła kolejnego papierosa. Wytężała wzrok, próbując w dookolnym mroku dojrzeć jakieś światełko, sygnał ostrzegawczy, a może znak nadziei, ale niczego nie mogła dostrzec. Hotel otaczała nienaturalna cisza. Słyszała swój własny oddech. Próbowwała myśleć o złotym życiu Nury na pustyni. Spakowała swoje rzeczy.

Kilkanaście minut po jedenastej do jej drzwi zapukał Szapiro. Zaprowadził ją na górę, na najwyższe piętro. Był tam ciemnozielony pokój z dużym stołem bilardowym i okrągłym drewnianym stołem do gry w karty, obciągniętym zielonym sukniem. Pokój przypominał angielski klub dla mężczyzn. W kącie mieścił się mały bar z wielkim wyborem alkoholi i kilkoma wysokimi stołkami pokrytymi skórą. Na ścianie wisiał obraz, niezbyt pasujący do tego otoczenia, przedstawiający letnią aleję. Na drugim końcu pomieszczenia było wpuszczone w ścianę lustro.

Generał siedział z twarzą zwróconą w stronę balkonu i wpatrywał się w ciemność za oknem. Tamci trzej jeszcze nie przyszli.

Kiedy weszła, podniósł się i podszedł do niej.

– Chciałbym panią prosić, żeby teraz pani zdecydowała. Zaraz przyjdą tamci. Pani może natychmiast odejść albo przejść do pokoju obok i obserwować, jak zakończy się nasza gra. To lustro, tam na ścianie, to lustro weneckie. Po jego drugiej stronie jest pomieszczenie, z którego widać wszystko, co się tu dzieje.

– Co pan zamierza?

– Tego nie zdradzę. Nie mogę zepsuć gry. Powiem jedynie tyle: będzie to coś, co może być dla pani trudne. Decyzja należy do pani.

– Nie wiem, co pan zamierza, więc jak mogę podjąć decyzję?

– Sądzę, że się pani domyśla.

Popatrzył na nią przenikliwie jasnymi jak woda oczami. Wytrzymała to spojrzenie.

– A co z Onnem?

– Onno również ma prawo zdecydować, czy weźmie udział w tej grze, czy nie. Albo zyska wyłączne prawa do historii mego życia, na czym, jak rozumiem, ogromnie mu zależy, i wtedy musi zagrać, albo wycofa się z gry i wtedy o wszystkim będzie musiał zapomnieć.

Kotka nie wiedziała, co na to odpowiedzieć.

Generał uśmiechnął się lekko i dotknął jej ramienia.

– Onno nie jest więźniem. Ma wybór.

– Gdzie on teraz jest?

– Nie wiem. Zaraz przyjdzie albo go znajdą i przyprowadzą. A więc?

– Ja... pójdę do tego drugiego pokoju, a potem... Około wpół do pierwszej wzięłabym chętnie jedno z aut.

– Oczywiście. Wydam polecenie. Pojedzie pani do Groznego, a stamtąd wróci samolotem do Berlina. Dziękuję pani za wszystko. Jest pani odważna. W najbliższych dniach Szapiro przeleje honorarium na pani konto.

Czuła suchość w ustach, z trudem trzymała się na nogach, nie wiedziała, co się z nią dzieje, co dzieje się naprawdę, a co tylko jej się wydaje. Zanim zdołała coś odpowiedzieć, pojawił się uzbrojony robot i zaprowadził ją do pokoju obok.

Było to małe pomieszczenie bez okna. Jedną jego ścianę wypełniało lustro, przez które doskonale było widać wnętrze pokoju w angielskim stylu. Usiadła na krześle, usiłując uspokoić oddech. Wyszperała w torebce komórkę i wybrała numer Onna. Onno miał wyłączony telefon. „No, super” – pomyślała zniechęcona. Przecież jej obiecał!

Muszą stąd uciec. Teraz miała pewność, że barwne życie Nury złożone

z wydm piaskowych i z marzeń nie zniosłoby tego, co za chwilę tutaj się rozegra. Nie słyszała wprawdzie, lecz widziała, że uzbrojeni mężczyźni wpychają Szujewa, Pietruszowa i Juricza do pokoju bilardowego, jak pasterze zaganiający owce do zagrody. Przestraszony Juricz próbował coś tłumaczyć, Szujew oganiał się rękami, jeden Pietruszow wchodził opanowany i skupiony. Drzwi były jeszcze otwarte. Również drzwi pokoju, w którym się znajdowała, nie zamknięto na klucz.

Musi uciekać. Zostanie. Musi uciekać. Zaczeka na Onna. Musi znaleźć inne zakończenie historii Nury. Ucieknie, żeby uratować własne życie. Musi dalej żyć innym życiem Nury. Zatroszczy się o siebie. Musi zobaczyć, jak zostaną ukarani oprawcy Nury. Wyjdzie stąd, znajdzie Onna i ucieknie z nim. Dla Nury czy dla siebie, to już nie ma znaczenia.

Mężczyźni usiedli wokół okrągłego stołu. Drzwi od pokoju bilardowego nadal były otwarte. Kotka znowu wybrała numer Onna. Jego telefon dalej był wyłączony. A przecież jej obiecał. Obiecał, do cholery!

Generał wyjął ze skórzanej kabury rewolwer z długą posrebrzaną lufą, przypominający rewolwery z westernów, i położył przed sobą na stole. Na ten widok Juricz zerwał się, ale został przytrzymany i z powrotem posadzony na krześle. Szujew tylko kręcił głową. Generał z poważną miną zaczął do nich mówić, jakby coś wyjaśniać. Słuchali go z kamiennym wyrazem twarzy. Tylko ciałem Zająca wstrząsały dreszcze, pewnie tłumili szloch.

Okrągły stół. Na nim rewolwer. On... on... chce grać w rosyjską ruletkę. Kotka odskoczyła od lustra, oparła się o ścianę. Jej wzrok padł na niski stolik w kącie. Leżały na nim telefony komórkowe. Cztery, nie pięć. Ich ekrany były wygaszone. Przy okrągłym stole w pokoju bilardowym było pięć krzeseł, ale czterech mężczyzn. Na szczęście. Onno najwyraźniej słusznie zdecydował. Pojedzie z nią, o wpół do pierwszej będzie czekał na nią przed wejściem. Na pewno, wkrótce, zaraz. Pozostawi tamtych ich własnemu losowi.

Przeklęta rosyjska ruletka! Kiedy teraz o tym myślała, wszystko wydało

jej się logiczne. Oczywiście, mówił o grze. Dlaczego nie wpadła na to wcześniej! Ale kto robi coś takiego?! Kto gra w rosyjską ruletkę? Czy to wszystko dzieje się naprawdę? Głowa jej pękała, cała była spocona. I myśli, jak uderzenia młotkiem: „Onno, Onno, Onno”... Gdzie on jest? Ogarnął go strach i uciekł? Nie czekał na nią? Wszystko lepsze niż...

Nagle zabrzączał jej telefon. Ze zdenerwowania upuściła go na ziemię, uklękła, podniosła go i przeczytała wiadomość: „Masz tę rolę, psia mać! Główną rolę w serialu! Pokonałaś setki konkurentek! Gdzie się podziewasz, odezwij się, musimy to uczcić! Twoja pękająca z dumy agentka”.

To, co przeczytała, wydało jej się komunikatem z innej planety, niemającym z nią nic wspólnego. Skasowała wiadomość. Jeszcze raz wybrała numer Onna, ale połączenie od razu zostało odrzucone – Onno nie chciał albo nie mógł rozmawiać. To nie miało sensu. Zostanie tu jeszcze minutę, tak, minutę, a potem... Rzuciła okiem do pokoju bilardowego. Generał pił brązowawy płyn z czworokątnej szklanki. Rewolwer leżał przed nim jak ostrzeżenie i groźba. Serce Kotki biło jak oszalałe, zdawało jej się, że zaraz straci przytomność.

Wtem znów usłyszała cichy sygnał komórki. Najpierw pomyślała, że to jej telefon, lecz zobaczyła, że świeci się jedna z komórek na stoliku. Nie namyślając się, podeszła i spojrzała na podświetlony ekran.

„Aleks, to cud, cud, którego tak potrzebowaliśmy! Udało się, jestem w ciąży, kocham”... Dalej nie udało jej się przeczytać. Kiedy nacisnęła na wyświetlacz, pokazało się pole do wpisania kodu odblokowującego komórkę. To był naprawdę jego telefon. Stała jak wrośnięta w ziemię, patrząc, jak wiadomość znika z ekranu i telefon przechodzi w stan spoczynku. Czy to był dla niej ratunek? Ratunek dla nich wszystkich? Czy ma pobiec do pokoju obok i przekazać Generałowi tę wiadomość, mówiąc, że gra się skończyła, zanim się zaczęła, że teraz zrobiło się naprawdę poważnie, bo on znowu zostanie ojcem? Czy ona ma to wszystko raptownie zakończyć? Ale co z Nurą i jej barwnym życiem? Jej inne życie będzie możliwe tylko wtedy, kiedy wszyscy zamkną za sobą przeszłość. Kiedy ich życie dobiegnie końca.

Stała jak sparaliżowana, w nienaturalnej pozycji, z jedną stopą lekko uniesioną, jakby chciała biec, a drugą jak przyrośniętą do podłogi. Ona, świadek doskonały, który zaświadczy, że to wszystko zdarzyło się naprawdę. „Onno” – jego imię znów przebiegło jej przez głowę jak sygnał ostrzegawczy. Wolno, jak we śnie, który jednak bardzo przypominał rzeczywistość, podeszła do weneckiego lustra. Generał z podniesioną ręką pokazywał wyraźnie trzy palce. Czy ten gest dotyczył jej? Co znaczył? Czy w rewolwerze były trzy kule? Trzy kule na czterech? Komu było pisane przeżyć? Nie знаła właściwie zasad tej śmiertelnej gry. W tym miejscu zresztą wszystkie zasady były zniesione.

Chwyliła swoją komórkę, ściskając ją oburącz. Drzwi jej pomieszczenia nie były zamknięte. Mogła pobiec do pokoju obok, poprosić, by Orłowi na chwilę wyszedł. Mogła mu powiedzieć, że jego żona spodziewa się dziecka, że powinien przerwać tę potworną grę, zakończyć to wszystko krótko i bez bólu nieprzewidzianym happy endem dla wszystkich uczestników tego strasznego spotkania, którym los ofiarowuje nowe życie dzięki pewnemu embrionowi.

Ale co będzie z Nurą, z jej innym życiem, które od tygodni tak pracowicie dla niej tkła? Czy to wszystko obróci się wniwecz?

Zegar w pokoju bilardowym pokazywał, że do północy zostało pięć minut. Zaraz rozpocznie się finał. Ona musi wyjść. Zostanie, musi to wszystko skończyć. Jeszcze raz rzuciła okiem na telefon z radosną wiadomością, z której tylko część udało jej się odczytać.

Mimo wszystko Onno wybrał życie – nie pojawił się. Widocznie czeka na nią gdzieś na dole, zaraz wezmą auto, ruszą przed siebie ciemną szosą i zostawią to wszystko za sobą, aż dotrą dokądś, gdzie będą światła i sztuczne ognie, gdzie ludzie będą świętować, a oni stukną się kieliszkami za nowy rok i za to, że przeżyli. Będą...

Nie, nie ruszy się stąd. Nie może odebrać Nurze życia, które z własnej woli jej dała, jedyne życie, jakie Nurze zostało. Orłowi chciał ją na świadka

i Kotka wytrwa, przetrzyma, spojrzy śmierci w twarz, jak wtedy w aucie ojca pędzącym na zatracenie. Nie pójdzie do nich, nie będzie próbować przeszkodzić temu, co zostało już wprawione w ruch. Nie pozwoli, żeby wyszli stąd cało. Nie wybaczy im, to nie leży w jej możliwościach. Wytrzyma, kiedy kule będą przebijać ich czaszki. Potem zejdzie na dół, wsiądzie z Onnem do auta i odjedzie.

Położyła telefon na stoliku. I nagle osłupiała. Rozpoznała oprawkę komórki Onna. Srebrną oprawkę z naklejką z autem. Co tu robi jego telefon? Dlaczego...?

Wyprostowała się. Rozciągnęła grzbiet. Nabrała głęboko powietrza. Odrzuciła włosy z twarzy. Zrobiła krok w stronę szklanej tafli i zatrzymała się. Generał siedział plecami do niej, jakby powiedział jej już wszystko, co miał do powiedzenia. Obok niego siedzieli Szujew i Pietruszow, naprzeciwko Juricz, zalany łzami. Jaka będzie kolejność? Czy taka jak wtedy, kiedy gwałcili Nurę? Najpierw pułkownik, za nim Pietruszow, potem Generał, a na końcu, jeśli w rewolwerze zostanie jeszcze jedna kula, trzęsący się z przerażenia Juricz?

„Tak, to by było sprawiedliwe” – pomyślała i przełknęła ślinę. W ustach zupełnie jej zaschło. Nie miała czasu na picie, nie miała czasu na nic. Wskazówka minutowa na zegarze zbliżała się do północy. Teraz z pokoju bilardowego wyszedł Szapiro, a uzbrojeni ludzie obstawili stół. Drzwi zostały zamknięte na klucz. Kotka odetchnęła z ulgą. Onno nie przyszedł. Onno czekał na nią przy wejściu do hotelu.

Tylko ona miała być świadkiem.

Zaczęła grzebać w torebce i znalazła to, czego szukała – kostkę Rubika. Zacisnęła ją w dłoni jak amulet. Utkwiła teraz wzrok w karku Generała, który właśnie brał rewolwer do ręki. Nie, nie przeszkodzi mu. „Punktowe krwawienia i otarcia skóry, krwawe wylewy w obrębie opłucnej, wybroczyny w okolicy lewego oczodołu i wokół ust, zasinienie i opuchnięcie twarzy, krwiaki na wewnętrznej części uda”. Nie, nie przeszkodzi mu. „Obrażenia

spowodowane zbyt gwałtownym rozciąganiem mięśni”... Nie, nie przeszkodzi mu. „Zakrwawione krocze”... Nie, nie przeszkodzi mu.

W tym momencie, kiedy Generał wcisnął Szujewowi rewolwer do ręki, drzwi się rozwarły i do pokoju wtoczył się Onno, blady jak ściana i najwyraźniej pijany. Drzwi zamknęły się za nim.

Kotka wydała z siebie głuchy krzyk. Zaczęła walić pięściami w szybę, wołać Onna po imieniu, krzyczała, ile sił w płucach. Potem wybiegła na korytarz, zaczęła szarpać drzwi pokoju bilardowego, bić w nie pięściami, wykrzykując imię Onna, lecz zdawało się, że żadne dźwięki tam nie dochodziły, nikt nie reagował, nikt nie otwierał. Zrozumiała, że wszystko stracone. Biegiem wróciła do swego pokoju, pokoju świadka. Skakała na szklaną ścianę, biła w nią pięściami, aż zupełnie straciła w nich czucie. Na darmo. Nie widzieli jej ani nie słyszeli. Może powinna poszukać Szapiry, zawołać go – gdzież on jest, gdzież on jest, do diabła! – i powiedzieć mu, że jego władcy urodzi się następca tronu, Szapiro na pewno ma drugi klucz od pokoju bilardowego, mógłby otworzyć, przerwałaby tę krwawą zabawę. Ale to by znaczyło, że ona musi stąd wyjść, i nie zobaczy tego, co najistotniejsze i ostateczne.

Zegar wybił północ. Gra się rozpoczęła.

Generał wstał i wskazał Onnowi miejsce. Onno usiadł jak automat. Nie rozglądał się. Było jasne, że nie wiedział o tym, że Kotka jest tuż obok za szklaną ścianą. Generał powiedział mu coś na ucho, Onno skinął głową bez słowa. Kotka drapała szybę, ciskała w nią kostką Nury. Wreszcie dała za wygraną i zastygła w bezruchu z twarzą przyciśniętą do szyby.

Mężczyźni z bronią jak na komendę cofnęli się od stołu i ustawili się przy drzwiach. Nikt nie wyjdzie z pokoju, dopóki gra się nie skończy.

Pułkownik mocniej ujął w rękę rewolwer, pewnym ruchem przyłożył lufę do skroni i nacisnął spust.

[1] MChAT (Moskowskij Chudożestwiennyj Akademieskij Tiatr) – Moskiewski Akademicki Teatr Artystyczny.

[2] Tadżin – tradycyjne danie kuchni marokańskiej przyrządzane najczęściej z baraniny i warzyw w postawionym na żarzących się węglach glinianym naczyniu z pokrywką w kształcie stożka. Naczynie to jest zwane tadżin i od niego potrawa wzięła nazwę.

[3] Staccato – ostre oddzielanie od siebie dźwięków.

[4] Obiata – ofiara ze zwierząt lub płodów rolnych składana bóstwom w czasach pogańskiej Słowiańszczyzny.

[5] Kazba – muzułmańska twierdza.

Spis treści:

Okładka _

Karta tytułowa

Prolog: Nura

1994/Nura

Raz: Odłamek

1995/Osesek

2016/Kotka

2016/Kruk

2016/Generał

2016/Kotka

1995/Osesek

2016/Kruk

2016/Kotka

2016/Generał

2016/Kotka

2016/Generał

Dwa: Kostka Rubika

2016/Kruk

Szujew

Juricz/Zajac

Pietruszow

1995/Osesek

Trzy: Pero

2016/Generał

2016/Kotka

2016/Kruk

2016/Kotka

2016/Generał

2016/Kruk

2016/Kotka

Cztery: W śniegu

2016/Kruk

2016/Generał

2016/Kotka

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału: *Die Katze und der General*

Copyright © 2018 by Frankfurter Verlagsanstalt GmbH, Frankfurt am Main

Copyright © for the translation by Urszula Poprawska

Tłumaczenie niniejszego dzieła zostało wsparte w formie grantu udzielonego
przez Goethe-Institut

Wydawca prowadzący: Monika Rossiter

Redaktor prowadzący: Anna Małocha

Projekt okładki: Eliza Luty

Fotografia na okładce: © Audrey Shtecinjo / Stocksy.com

ISBN 978-83-8135-804-0



www.otwarte.eu

Wydawnictwo Otwarte sp. z o.o., ul. Smolki 5/302, 30-513 Kraków

Na zlecenie Woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek